

# ORHAN PAMUK

*mimi mmmii*



# ORHAN PAMUK

## MUZEUM NIEWINNOŚCI

PRZEŁOŻYŁA  
Anna Akbike Sulimowicz



**Wydawnictwo Literackie**

*Dla Rüyü*

Tylko ludzie bardzo naiwni mogą sądzić, że ubóstwo to występ-  
pek, wybaczalny, gdy zdobędzie się majątek.

**Celal Salik, *Zapiski***

Komuś śni się, że trafił do raju, i na dowód, że naprawdę tam  
był, otrzymał kwiat, a obudzony się, stwierdza, że w ręku  
rzeczywiście trzyma kwiat — i co wtedy?

**Samuel Taylor Coleridge, *Zapiski***

Patrzyłem na leżące na stoliku przybory toaletowe, których  
używała, flakony, pudrka. Brałem je do ręki i oglądałem.  
Długo obracałem w dłoni malutki zegarek. Potem zajrzałem  
do szafy. Stroje, ozdoby... Wszystkie te przedmioty stanowiące  
dopełnienie kobiety wzbudziły we mnie uczucie głębokiego  
osamotnienia, współczucia, pragnienie stania się nią.

**Ahmet Hamdi Tanpınar, *Zapiski***

# 1. NAJSZCZĘŚLIWSZA CHWILA W MOIM ŻYCIU

To była najszcześniejsza chwila w moim zyciu, a ja nawet o tym nie wiedzialem. Czy gdybym wiedzial, zdoalalbym to szczescie zatrzymac? Czy wszystko potoczyloby sie inaczej? Tak. Gdybym sie zorientowal, ze to najcudowniejszy moment w moim zyciu, nie pozwolilbym uciec szczesciu. Ta zlota chwila napełniająca dusze i ciało głębokim spokojem trwała zaledwie kilka sekund, jednak mnie wydawało się, że upłynęły godziny, lata. 26 maja 1975 roku, w poniedziałek, za kwadrans piętnasta, przez moment świat zdawał się wolny od czasu i grawitacji, a my od winy, grzechu, kary i skruchy. Pocałowałem spocone od seksu i upału ramię Fiisun\*, powolnym ruchem objąłem ją, wszedłem w nią i delikatnie ugryzłem płatek jej lewego ucha, a wtedy zawieszony w nim koleczyk przez długą chwilę jakby unosił się w powietrzu, aż w końcu wysunął się i spadł na pościel. Byliśmy tak szczęśliwi, że nie zauważyliśmy tego i całowaliśmy się dalej.

\* Wymowa w języku polskim niektórych głosek tureckich — zob. s. 748 (przyp. red.).

Niebo za oknem miało jaskrawy odcień błękitu, tak charakterystyczny dla wiosennych dni w Stambule. Mieszkańcy miasta, którzy nie wyzyli się jeszcze zimowych przyzwyczajęń, na ulicach pocili się z gorąca, lecz w pomieszczeniach budynków, sklepów, pod lipami i platanami wciąż panował chłód. Bił też od zalatującego wilgocią materaca, na którym radośni jak dzieci kochaliśmy się, zapominając o całym świecie. Przez otwarte drzwi balkonowe wpadł do wnętrza nagły podmuch wiosennego wiatru, przesycony zapachem morza i drzew, uniósł firanki i zarzucił je nam na plecy, przyprawiając o dreszcz nasze nagie ciała. W ten ciepły majowy dzień, leżąc na łóżku w pokoju na drugim piętrze, mogliśmy widzieć chłopców grających w piłkę na podwórzu i przeklinających w ferworze zawodów; nagle zorientowaliśmy się, że ich nieprzyzwoite słowa oznaczają dokładnie to, co właśnie teraz robimy — znieruchomieliśmy na moment i z uśmiechem spojrzeliśmy sobie w oczy. Nasze szczęście było jednak tak wielkie i głębokie, że natychmiast zapomnieliśmy o tym żarcie rzuconym z podwórka, tak jak chwilę wcześniej zapomnieliśmy o kolczyku.

Gdy spotkaliśmy się następnego dnia, Ftisun powiedziała, że zgubiła kolczyk. Rzeczywiście, znalazłem go, gdy wyszła. Miał kształt pierwszej litery jej imienia i leżał w błękitnej pościeli. Wiedziony dziwnym impulsem, wsunąłem kolczyk do kieszeni, by nie zginął.

— Jest tutaj, kochanie — powiedziałem i sięgnąłem do prawej kieszeni marynarki wiszącej na oparciu krzesła. — Ach, nie ma! — Przez moment czułem zbliżającą się katastrofę, zwiastun nieszczęścia, ale ciepły poranek przypomniał mi, że przecież dzisiaj mam na sobie inne ubranie. — Został w kieszeni drugiej marynarki.

— Proszę, przynieś go jutro, tylko nie zapomnij — powiedziała Ftisun, szeroko otwierając oczy. — Wiele dla mnie znaczy.

— Dobrze.

Osiemnastoletnia Fiisun była moją daleką ubogą krewną, o której istnieniu jeszcze miesiąc wcześniej zupełnie nie pamiętałem. Ja zaś miałem trzydzieści lat i szykowałem się do zaręczyn z Sibel, z którą — jak twierdzili wszyscy — tworzyliśmy piękną parę.

## 2. BUTIK CHAMPS ÉLYSÉES

Zdarzenia i przypadki, które miały odmienić całe moje życie, zaczęły się niedługo przedtem, to znaczy 27 kwietnia 1975 roku, gdy na wystawie pewnego sklepu ja i Sibel zobaczyliśmy torebkę znanej marki Jenny Colon. Mieliliśmy się wkrótce zaręczyć i owego wieczoru szliśmy aleją Valikonagi, rozkoszując się rześkim wiosennym powietrzem, lekko pijani i bardzo szczęśliwi. Podczas kolacji w Foyer, nowo otwartej eleganckiej restauracji w Nişantaşı, szczegółowo opowiadaliśmy moim rodzicom o przygotowaniach do zaręczyn, które zaplanowaliśmy na połowę czerwca, tak by Nurcihan, koleżanka Sibel z liceum Nôtre Dame de Sion i z lat spędzonych we Francji, mogła przyjechać z Paryża. Sibel już dawno zamówiła suknię w atelier Ipek Ismet, najbardziej wziętej i najdroższej w owym czasie krawcowej w Stambule. Tamtego wieczoru po raz pierwszy pokłóciła się z moją matką z powodu pereł, które ta zamierzała jej podarować do ozdobienia sukni. Mój przyszły teść chciał wyprawić swej córce jedynaczce zaręczyny równie wystawne jak sam ślub, a to bardzo odpowiadało mojej matce. Ojciec też



był zadowolony, że jego synową będzie Sibel, która studiowała na Sorbonie — w owych czasach w kręgach stambulskiej burżuazji o każdej dziewczynie, która uczyła się w Paryżu, mawiano, że „studiowała na Sorbonie”.

Po kolacji, obejmując Sibel czule ramieniem i tuląc do siebie, w radosnym nastroju odprowadzałem ją do domu; właśnie myślałem z dumą, jaki to ze mnie szczęściarz, gdy nagle wykrzyknęła:

— Och, jaka śliczna torebka!

Choć w głowie wciąż szumiało mi od wina, od razu zapamiętałem sklep i poszedłem tam następnego dnia w południe. Nie należałem do tych uprzejmych z natury mężczyzn, którzy stale kupują kobietom upominki i szukają pretekstu, by posłać im kwiaty... ale być może chciałem taki być. W tamtych czasach bogate panie domu, zeuropeizowane mieszkanki Stambułu, nudząc się w swych rezydencjach, w takich dzielnicach jak Şişli, Nişantaşı czy Bebek, otwierały nie „galerie sztuki”, lecz „butik”, w których innym znudzonym bogatym paniom domu starały się sprzedać po kosmicznych cenach „modne” kreacje skopiowane z zagranicznych magazynów, takich jak „Elle” czy „Vogue”, stroje przywiezione w walizce z Paryża i Mediolanu, biżuterię pochodzącą z przemytu i najróżniejsze drobiazgi. Pani Şenay, właścicielka butiku Champs Elysées, gdy odwiedziłem ją wiele lat później, przypomniała mi, że podobnie jak Fiisun, jest moją daleką krewną ze strony matki. Za sprawą tej kobiety — która nie pytając o powody mojego zainteresowania, przekazała mi wszystko, co miało związek z butikiem Champs Elysées i Fiisun, w tym tabliczkę z nazwą sklepu — uświadomiłem sobie, że o niektórych dziwnych momentach mojej historii wiedziała nie tylko pani Şenay, lecz także dużo — więcej, niż mogłem przypuszczać — innych osób.

Gdy następnego dnia około wpół do pierwszej przekraczałem próg butiku Champs Elysees, rozległ się brzęk małego mosiężnego dzwonka — dźwięk, który wciąż przyprawia mnie o szybsze bicie serca. W gorące wiosenne południe wnętrze sklepu było przyjemnie chłodne. Na początku wydawało mi się, że nikogo w nim nie ma. Dopiero po chwili spostrzegłem Fiisun. Oczy, oślepione blaskiem słońca, powoli przyzwyczajały się do panującego w sklepie mroku, serce zaś z niewiadomego powodu nagle podeszło mi do gardła, jak mająca uderzyć o brzeg olbrzymia fala.

— Chciałbym kupić torebkę z wystawy, tę wiszącą na manekinie — powiedziałem, myśląc jednocześnie: „Jaka ładna, jaka atrakcyjna dziewczyna”.

— Tę kremową, z kolekcji Jenny Colon?

Gdy nasze spojrzenia się spotkały, od razu ją sobie przypomniałem.

— Tę na manekinie na wystawie — szepnąłem jakby we śnie.

— Już wiem — powiedziała. Jednym ruchem zdjęła z lewej nogi żółty pantofel, postawiła na wystawie bosą stopę **0** starannie pomalowanych czerwonym lakierem paznokciach i sięgnęła ręką do manekina. Spojrzałem na bucik, a potem na jej długie, niezwykle zgrabne nogi. Nie nadszedł jeszcze maj, a już były opalone.

Przy długich nogach dziewczyny obszyta koronką żółta spódniczka w kwiatki wydawała się jeszcze krótsza. Fiisun wzięła torebkę, przeszła za ladę i gestem pełnym tajemniczości i nadmiernej powagi, jakby odkrywała przede mną jakiś zakazany sekret, zręcznymi długimi palcami otworzyła zapinaną na suwak kieszeń (w środku znajdowały się zwinięte w kule arkusze kremowej bibuły), rozchyliła dwie przegródki (były puste) i jeszcze jedną ukrytą kieszonkę, mieszczącą etykietkę

z nazwą firmy Jenny Colon oraz instrukcją konserwacji. Nasze spojrzenia znów się spotkały.

— Cześć, Fiisun. Aleś ty wyrosła! Chyba mnie nie poznałaś.

— Ależ tak, kuzynie Kemal. Od razu pana poznałam, ale wyglądało na to, że pan mnie nie poznaje, dlatego nie chciałam się narzucać.

Zapadła cisza. Spojrzałem na torebkę. Uroda kuzynki, zbyt krótka spódniczka, a może jeszcze coś innego, nie dawały mi spokoju; nie byłem w stanie zachowywać się naturalnie.

— No i co porabiasz?

— Przygotowuję się do egzaminów wstępnych na uniwersytet. I pracuję tutaj. Dzięki temu mogę się przynajmniej spotykać z ludźmi.

— To wspaniale. Ile kosztuje ta torebka?

— Tysiąc pięćset lirów — marszcząc brwi, odczytała cenę, ręcznie napisaną na przyklejonej od spodu karteczce (suma ta odpowiadała w owych czasach sześciomiesięcznym zarobkom młodego urzędnika). — Ale jestem pewna, że pani Şenay obniży ją dla pana. Poszła do domu na obiad. Teraz pewno śpi, dlatego nie mogę do niej zadzwonić i zapytać. Ale jeśli wstąpi pan pod wieczór...

— Nieważne — powiedziałem i ruchem, który Fiisun miała potem wielokrotnie przedrzeźniać podczas naszych sekretnych spotkań, wyjąłem z tylnej kieszeni portfel i odliczyłem wilgotne banknoty. Fiisun starannie, acz po amatorsku zawinęła torebkę w papier i włożyła do reklamówki. Przez cały ten czas zdawała sobie sprawę, że w milczeniu obserwuję szybkie i delikatne ruchy jej smukłych dłoni w kolorze miodu. Podała mi pakunek, podziękowałem.

— Wyrazy szacunku dla cioci Nesibe i twojego ojca — przez chwilę nie mogłem sobie przypomnieć jego imienia (ach tak, pan Tank).

Zawahałem się przez moment — mój duch opuścił ciało i w jakimś rajskim zakątku całował Ftisun — i szybko ruszyłem w stronę drzwi. To była idiotyczna myśl, przecież dziewczyna wcale nie jest aż taka ładna. Dzwonek przy drzwiach zabręczał, usłyszałem dochodzący skądś tryl kanarka. Wszedłem na ulicę i poczułem miłe ciepło. Byłem zadowolony z kupionego prezentu. Bardzo kochałem Sibel. Postanowiłem zapamiętać o sklepie i o Ftisun.

### 3. DALECY KREWNI

A jednak przy kolacji poruszyłem ten temat z matką. Wymknęło mi się, że kupując torebkę dla Sibel, spotkałem Ftisun, naszą daleką krewną.

— Ach, prawda, córka Nesibe pracuje u Şenay w sklepie, szkoda dziewczyny! — powiedziała matka. — Już nas nie odwiedzają w święta. To przez ten konkurs piękności. Co dzień przechodzę koło tego sklepu, ale zapominam tam zajrzeć... zresztą nie mam nawet ochoty. A przecież bardzo lubiłam Ftisun, kiedy była małą dziewczynką. Gdy Nesibe przychodziła do nas szyć, czasem przyprowadzała ją ze sobą. Wyjmowałam wtedy z szafy zabawki i dawałam jej, a ona cichutko się bawiła, podczas gdy jej matka była zajęta szyciem. Matka Nesibe, nieboszczka ciocia Mihriver, też była bardzo miła.

— Jak są z nami spokrewnione?

Korzystając z okazji, że ojciec, zajęty oglądaniem telewizji, nas nie słyszy, matka opowiedziała mi ze szczegółami, jak to jej ojciec, czyli mój dziadek, Ethem Kemal (który urodził się

w tym samym roku co Atattirk\* i — jak miałem się dowiedzieć ze znalezionych po latach fotografii — chodził z twórcą Republiki Tureckiej do tej samej szkoły prowadzonej przez Şemsi Efendiego), na długo przedtem, nim ożenił się z babcią, miał już żonę, z którą zaślubiono go pospiesznie, zanim skończył dwadzieścia trzy lata. Ta biedna dziewczyna (prababcia Ftisun), z pochodzenia Bośniaczka, zmarła w trakcie ewakuacji Edirne podczas wojny bałkańskiej. Mojemu dziadkowi, Ethemowi Kemalowi, nie urodziła dzieci, ale z pierwszego małżeństwa z pewnym biednym szejchem, za którego wydano ją — jak to określiła matka — „w wieku dziecięcym”, miała córkę o imieniu Mihriver. Matka zawsze mówiła, że ciocię Mihriver (babcię Ftisun), która wychowywała się u różnych dziwnych ludzi, oraz jej córkę Nesibe (matkę Ftisun) należałoby uznać nie za nasze krewne, lecz powinowate (mimo to z nieznanych powodów upierała się, byśmy te kobiety z dalekiej gałęzi naszej rodziny nazywali ciociami). W ostatnich latach moja matka (ma na imię Vecihe) podczas świątecznych wizyt odnosiła się do tych zubożałych powinowatych bardzo chłodno i z dużym dystansem. Rozgniewało ją bowiem, że przed dwoma laty ciocia Nesibe nie tylko zgodziła się, by jej córka, szesnastoletnia wówczas Ftisun, ucząca się w liceum żeńskim w Nişantaşı, wzięła udział w konkursie piękności, ale jak się później dowiedzieliśmy, wręcz ją do tego zachęcała. Z zasłyszanych plotek moja matka wysnuła wniosek, że ciocia Nesibe, którą kiedyś lubiła i której pomagała, jest dumna z owego wydarzenia, choć powinna się wstydić, i dlatego się od niej odwróciła.

\* **Ataturk (pol. ojciec Turków) — Mustafa Kemal Pasza (1881-1938), przywódca ruchu narodowego, który obalił sułtanat i w 1923 r. przekształcił Turcję w laicką republikę. Był jej pierwszym prezydentem. Autor licznych reform zmierzających do europeizacji kraju (przypisy, jeśli nie zaznaczono inaczej, pochodzą od tłumaczki).**

A przecież ciocia Nesibe bardzo ceniła i szanowała moją matkę, starszą od niej o dwadzieścia lat. Zapewne dlatego, że matka bardzo ją wspierała, gdy w młodości Nesibe utrzymywała się ze zleceń, chodząc szyć po domach w lepszych dzielnicach.

— Byli bardzo, bardzo biedni — powiedziała matka i jakby z obawy, że uznam to za przesadę, dodała: — Ale nie tylko oni, cała Turcja była w tamtych czasach biedna.

Matka polecała Nesibe swoim koleżankom jako „bardzo dobrego człowieka i bardzo dobrą krawcową”, raz w roku zaś (a czasami nawet dwa) zapraszała ją do siebie, by szyła jej suknie na przyjęcia i wesela.

Ponieważ uczyłem się w szkole z internatem, nie widywałem Nesibe, gdy przychodziła do nas szyć. Latem 1956 roku okazało się nagle, że potrzebna jest suknia, i matka wezwała ciocię do naszego letniego domu w Suadiye. W małym pokoiku na piętrze, z którego okien między palmowymi liśćmi widać było łódzie, motorówki i dzieci skaczące z pomostu do wody, przesiadywały obie wśród nożyczek, szpilek, centymetrów krawieckich, naparstków, ścinków materiałów i koronek wysypujących się z ozdobionego widoczkciem Stambułu pudełka z przyborami Nesibe, i narzekając na upał, komary i pośpiech, a przy tym żartując i śmiejąc się jak dwie kochające się siostry, do północy szyły na maszynie do szycia marki Singer należącej do mojej matki. Przypominam sobie, że kucharz Bekri co chwila nosił do tego dusznego i pachnącego aksamitem pokoju szklanki lemoniady, ponieważ spodziewająca się dziecka dwudziestoletnia Nesibe stale miała na nią ochotę. Gdy jak zawsze jadły razem obiad, matka mówiła kucharzowi pół żartem, pół serio: „Kobiecie w ciąży trzeba natychmiast dać to, na co ma chętkę, bo inaczej dziecko będzie brzydkie!”, a ja z zainteresowaniem przyglądałem się lekko zaokrąglonemu brzuchowi cio-

ci Nesibe. Wydaje mi się, że to wtedy właśnie po raz pierwszy dostrzegłem istnienie Fiisun, ale oczywiście nie było jeszcze wiadomo, czy urodzi się chłopiec, czy dziewczynka.

— Nesibe, nic nie mówiąc mężowi, zawyżyła wiek córki i zgłosiła ją do konkursu — powiedziała matka z gniewem, ogarniającym ją na samo wspomnienie tego zdarzenia. — Łaska boska, że nie wygrała, bo dzięki temu uniknęła kompromitacji. Gdyby dowiedzieli się o tym w szkole, na pewno wyrzuciliby dziewczynę... Teraz skończyła liceum, ale nie spodziewam się, że zacznie jakieś sensowne studia. Już nas nie odwiedzają w czasie świąt, więc nie mam pojęcia, co u nich słyszać... Wszyscy wiedzą, jakiego rodzaju dziewczyny biorą udział w takich konkursach. A jak się zachowywała wobec ciebie?

Matka sugerowała, że Fiisun zaczęła sypiać z mężczyznami. Plotki na ten temat słyszałem już od moich kolegów kobieciarzy, gdy w gazecie „Milliyet” opublikowano zdjęcie Fiisun w grupie dziewczyn, które przeszły wstępne eliminacje. Nie chciałem sprawiać wrażenia, że interesuję się tym wstydliwym tematem. Po chwili ciszy matka z tajemniczym wyrazem twarzy pogroziła mi palcem:

— Uważaj! Wkrótce zaręczysz się z wyjątkową, bardzo miłą i piękną dziewczyną! Pokaż no, co jej kupiłeś. Miimtaż (to imię mojego ojca), zobacz, Kemal kupił Sibel torebkę!

— Naprawdę? — spytał ojciec. Na jego twarzy pojawił się wyraz radości, jakby obejrzał torebkę i był uszczęśliwiony szczęściem syna i jego ukochanej. Ani na chwilę jednak nie oderwał wzroku od telewizora.



## 4. SEKS W BIURZE

W telewizorze, w który wpatrywał się ojciec, leciała pretensjonalna reklama Zefira — „pierwszej tureckiej oranżady o smaku owocowym”, którą mój kolega Zaim wprowadził na rynek w całej Turcji. Spojrzałem na reklamę i nawet mi się spodobała. Ojciec Zaima, tak jak mój, też był fabrykantem i dużo zarobił w ciągu ostatnich dziesięciu lat, a teraz syn, wsparty ojcowskim kapitałem, rzucił się w nowe, śmiałe przedsięwzięcia. Doradzałem mu w sprawach zawodowych i szczerze zależało mi, by odniósł sukces.

W Stanach ukończyłem studia z zakresu zarządzania, a po powrocie do kraju odbyłem służbę wojskową. Ojciec chciał, żebym podobnie jak mój starszy brat aktywnie włączył się w kierowanie naszą rozrastającą się fabryką i nowo zakładanymi spółkami; mimo mojego młodego wieku dał mi więc stanowisko dyrektora generalnego mieszczącej się w Harbiye spółki Satsat, która zajmowała się importem i dystrybucją. Spółka miała duży budżet, przynosiła wielkie zyski, jednak bynajmniej nie za sprawą moich starań, lecz raczej rachunkowych

kombinacji, dzięki którym przelewano na jej konto dochody z innych spółek i fabryk. Jako mianowany dyrektor, syn właściciela, spędzałem dni na potulnym zabieganiu o względy moich podwładnych, starszych ode mnie o dwadzieścia, trzydzieści lat zasłużonych pracowników i biuściastych doświadczonych biuralistek w wieku mojej matki, które pomagały mi poznać tajniki zawodu.

W starym budynku siedziby Satsat w Harbiye, trzęsącym się w posadach za każdym razem, gdy przejeżdżały ulicą — a przejeżdżały często — zdezelowane miejskie autobusy i trolejbusy, zmęczone jak starzy urzędnicy, pod wieczór, gdy wszyscy już sobie poszli, odwiedzała mnie Sibel, z którą planowałem wkrótce się zaręczyć, i kochaliśmy się w gabinecie dyrektora generalnego. Mimo całej swojej nowoczesności, popierania praw kobiet i feministycznych haseł, które poznała w Europie, miała taką samą jak moja matka opinię o sekretarkach — w tamtych czasach obiektach dowcipów i kpin w satyrycznych piśmiokach. „Nie kochajmy się tutaj, czuję się jak sekretarka”, mawiała. Prawdziwym powodem jej rezerwy, którą wyczuwałem, gdy uprawialiśmy seks na stojącej w gabinecie skórzanej kanapie, były jednak właściwe ówczesnym tureckim dziewczynom obawy przed samym rozpoczęciem współżycia. W owych latach dopiero nieliczne dziewczęta ze zeuropeizowanych bogatych rodzin, bywające w Europie, zaczynały łamać tabu dziewictwa i sypiać przed ślubem ze swoimi chłopakami. Sibel czasami chwaliła się, że jest jedną z tych „odważnych” — przespała się ze mną jedenaście miesięcy „przed” (to już tak dawno, że najwyższa pora się pobrać!).

Teraz, gdy po latach staram się z całą szczerością opowiedzieć moją historię, nie zamierzam w żadnym razie wyolbrzymiać odwagi mojej ukochanej ani lekceważyć siły seksualnej presji wywieranej na kobiety, gdyż Sibel oddała mi się dopiero

wtedy, gdy się przekonała, że mam poważne zamiary, to znaczy uznała, że można mi zaufać, czyli: gdy nabrała pewności, że się z nią ożenię. A ponieważ byłem poważnym, uczciwym mężczyzną, zdecydowałem się poślubić Sibel, sam zresztą tego pragnąłem, a nawet jeśli bym nie pragnął, nie miałem już drogi odwrotu, skoro „ofiarowała mi swoje dziewictwo”. To poczucie odpowiedzialności kładło się cieniem na złudzeniu bycia wolnym i nowoczesnym, wynikającym z powodu uprawiania seksu przed ślubem, ale jednocześnie zbliżało nas do siebie.

Podobnego wrażenia — jakby jakiś cień mącił urok wszystkiego — doznawałem, gdy Sibel wspominała, że powinniśmy się jak najszybciej pobrać. Były jednak także momenty, gdy kochając się w biurze, oboje czuliśmy się w pełni szczęśliwi. Przypominam sobie, jak wśród dochodzącego z alei Halaskargazi ulicznego zgiełku, warkotu przejeżdżających autobusów przytulałem się do niej w ciemności, powtarzając sobie w duchu, że los się do mnie uśmiechnął i będę szczęśliwy do końca życia. Pewnego razu, gdy skończyliśmy się kochać i właśnie strącałem popiół z papierosa do popielniczki z napisem Satsat, półnaga Sibel usiadła przy biurku mojej sekretarki, pani Zeynep, i stukając w klawisze maszyny do pisania, zaczęła z chichotem zgrywać „głupią blondynkę sekretarkę”.

## 5. RESTAURACJA FOYER

Foyer, której ilustrowaną kartę dań, ogłoszenie reklamowe, firmowe zapałki i serwetkę udało mi się po latach odszukać, bardzo szybko po otwarciu stała się jedną z popularnych restauracji na modłę europejską (imitujących styl francuskich lokali), tak lubianych przez — dość nieliczną — grupę bardzo dobrze sytuowanych mieszkańców dzielnic Beyoğlu, Şişli czy Nişantaşı (czyli, jak byśmy powiedzieli, używając nieco kpiącego określenia z plotkarskich gazet: „socjety”). Lokalom tego rodzaju, które miały klientom dawać poczucie, niezbyt silnie zresztą podkreślane, że znajdują się w jakimś europejskim mieście, zamiast pretensjonalnych zachodnich nazw typu: Ambassador, Majestic czy Royal, nadawano nazwy: Kulisy, Schody czy Foyer, które przypominały bywalcom, że znajdują się w Stambule, na obrzeżach zachodniego świata. Następne pokolenie bogaczy preferowało jednak dania w stylu tych przygotowanych przez babcię, ale serwowane w bardziej wystawnym *entourage'u*, dlatego powstały liczne lokale łączące tradycję z przepychem, takie jak Hanedan, Sułtan, Htinkar, Paşa, Vezir.

Wieczorem tego dnia, gdy kupiłem torebkę, podczas kolacji w Foyer powiedziałem do Sibel:

— Czy nie lepiej by było, gdybyśmy się spotykali w mieszkaniu mojej matki w kamienicy Zmiłowanie? Jest tam ładny widok na zieleń za domem.

— Sądzisz, że po zaręczynach i ślubie opóźni się przeprowadzka do naszego własnego domu? — spytała.

— Nie, kochanie, skądże!

— Nie chcę się z tobą spotykać jak kochanka, ukradkiem, na tajnych schadzках w cudzych mieszkaniach.

— Masz rację.

— Skąd ci przyszło do głowy, żeby spotykać się w tym mieszkaniu?

— Zapomnij o tym — poprosiłem. Zerknąłem na wypełniający Foyer zadowolony tłum i wyciągnąłem torebkę zapakowaną w reklamówkę.

— Co to? — zaciekała się Sibel, przeczuwając, że dostanie prezent.

— Niespodzianka! Sama zobacz.

— Naprawdę?

Gdy otwierała pakunek, na jej twarzy pojawił się wyraz dziecięcej radości, który po wyjęciu torebki zamienił się w znak zapytania, a potem w z trudem skrywane rozczarowanie.

— Pamiętasz, wczoraj wieczorem, gdy odprowadzałem cię do domu, zobaczyłaś ją na wystawie i bardzo ci się spodobała...

— Tak. Jesteś bardzo kochany.

— Cieszę się, że ci się podoba. Będiesz z nią ślicznie wyglądać na zaręczynach.

— Niestety, już ustalone, jaką będę mieć wtedy torebkę — powiedziała Sibel. — Oj, proszę, nie bądź smutny! Kupiłeś mi piękny prezent, to takie miłe z twojej strony... No dobrze,

powiem ci, o co chodzi, żebyś się nie smucił. Nie mogę mieć tej torebki na zaręczynach, bo... jest podrabiana!

— Jak to?

— Kemalu, to nie jest oryginalna torebka Jenny Colon. To podróbka!

— Po czym poznałaś?

— Po wszystkim, kochany. Spójrz na te szwy, którymi przy-  
szyto fragment z logo do skóry. A teraz zobacz, to jest prawdzi-  
wa torebka Jenny Colon, którą kupiłam w Paryżu — widzisz  
te szwy? Nie na darmo Jenny Colon jest najdroższą marką we  
Francji, ba! na całym świecie. Nie użyliby takich tanich nici...

Przyglądając się szwom na oryginalnej torebce, zadawałem  
sobie pytanie, co oznacza ten tryumfalny ton, który wyczuwa-  
łem w głosie mojej przyszłej narzeczonej. Dla Sibel, córki eme-  
rytowanego ambasadora, który sprzedał wszystkie co do jednej  
parcele odziedziczone po dziadku, osmańskim paszy, i żył  
w zasadzie na kredyt, bycie w pewnym sensie córką urzęd-  
nika stwarzało niekiedy dyskomfort i odbierało jej pewność  
siebie. W takich chwilach wspominała, że jej babcia grała na  
fortepianie, opowiadała o zasługach dziadka podczas wojny  
o niepodległość albo o tym, że drugi dziadek, ze strony matki,  
należał do bliskiego otoczenia sułtana Abdtilhamita. Wyczu-  
wałem zakłopotanie Sibel i jeszcze mocniej ją kochałem.

Rozwój przemysłu tekstylnego i eksportu na początku lat  
siedemdziesiątych sprawił, że liczba ludności Stambułu wzros-  
ła trzykrotnie, a ceny gruntów, zwłaszcza w naszej dzielnicy,  
podwoiły się. W ciągu ostatnich dziesięciu lat spółki mojego  
ojca bardzo się rozwinęły, rodzinny majątek powiększył się  
pięciokrotnie, lecz jak łatwo można było wywnioskować z na-  
zwiska Basmaci\*, nasza rodzina od trzech pokoleń bogaciła

\* *Basmaci* — wytwórca lub sprzedawca drukowanych tkanin.

się na tekstyliach. Mimo wysiłków tych trzech generacji nie potrafiłem jednak rozpoznać podrobionej torebki i to nie dało mi spokoju.

Sibel spostrzegła, że straciłem humor, i pogłaskała moją dłoń.

— Ile zapłaciłeś za torebkę? — spytała.

— Tysiąc pięćset — odpowiedziałem. — Jeśli ci się nie spodobała, jutro ją wymienię.

— Nie wymieniaj, kochany, tylko zażądaj zwrotu pieniędzy. Nieźle cię naciągnęli.

— Przecież właścicielka sklepu, pani Şenay, jest naszą daleką krewną! — zachnąłem się, unosząc wysoko, jakby z wielkim zdziwieniem, brwi.

Sibel wyjęła mi z rąk swoją torebkę, której zawartość przeglądałem w zamyśleniu.

— Mój kochany, jesteś wykształcony, mądry i dobrze wychowany, ale nawet nie wiesz, jak możesz dać się oszukać kobietom! — powiedziała, czule się uśmiechając.

## 6. ŁZY FİISUN

Następnego dnia w południe, z tą samą reklamówką w ręku, udałem się do butiku Champs Elysées. Zabrzączał dzwonek i z początku sądziłem, że w sklepie, który znowu wydał mi się chłodny i mroczny, nikogo nie ma. Pograżone w półmroku wnętrze spowijała magiczna cisza, którą przerwał świergot kanarka. Za parawanem, wśród liści cyklamenów, spostrzegłem cień Fiisun. Obsługiwała otyłą kobietę przymierzającą stroje. Tym razem Fiisun miała na sobie bluzkę w lilie, polne kwiaty i liście — wyglądała w niej bardzo ładnie. Uśmiechnęła się na mój widok.

— Jesteś chyba zajęta — powiedziałem, wskazując wzrokiem przymierzalnię.

— Zaraz skończę — szepnęła, jakby dzieliła się sekretami sklepu ze starym klientem.

Kanarek w klatce przeskakiwał z drążka na drążek. Mój wzrok przyciągnęły sprowadzone z Europy drobiazgi i leżące w kącie czasopisma o modzie, ale nie byłem w stanie na niczym skupić uwagi. Znów ogarnęło mnie to silne magicz-



ne wrażenie, o którym chciałem zapomnieć, które chciałem traktować jako coś zwyczajnego, ale nie mogłem się od niego uwolnić. Gdy patrzyłem na Fiisun, wydawało mi się, że widzę kogoś dobrze mi znanego, bliskiego. Była do mnie podobna. Jako dziecko miałem falujące czarne włosy, tak jak ona, ale z wiekiem, tak samo jak u niej, wyprostowały się. Poczujęm, że mogę postawić się na jej miejscu, że dogłębnie ją rozumiem. Wzorzysta bluzka, którą miała na sobie, podkreślała naturalny koloryt cery i włosy ufarbowane na blond. Przypomniałem sobie, że moi kumple mówili o niej „panienka z «Playboya»”, i zrobiło mi się przykro. Czy to możliwe, że z nimi sypiała? „Zwróć torebkę, odbierz pieniądze i zabieraj się stąd! Masz się wkrótce zaręczyć z cudowną dziewczyną”, powtarzałem sobie w duchu. Spoglądałem przez okno na zewnątrz, na plac Nişantaşi, gdy po chwili w szybie wystawowej pojawiło się obok mnie jak duch odbicie Fiisun.

Klientka przymierzająca stroje po serii achów i ochów w końcu wyszła, nic nie kupiwszy, a Fiisun zaczęła składać spódnice i odwieszać je na wieszaki.

— Wczoraj wieczorem widziałam was na ulicy — powiedziała, a jej ponętnie rozchylone usta zdawały się zajmować całą twarz.

Gdy uśmiechnęła się przyjaźnie, spostrzegłem na jej wargach bladuróżową szminkę. W tym czasie pomadki marki Misslyn krajowej produkcji były bardzo popularne i wyglądały zwyczajnie, jednak jej makijaż prezentował się wyjątkowo.

— Kiedy nas widziałaś?

— Pod wieczór. Był pan z panią Sibel. Widziałam was z drugiej strony ulicy. Szliście na kolację?

— Tak.

— Bardzo ładna z was para! — powiedziała tonem staruszki zadowolonej ze szczęścia młodych.

Nie spytałem, skąd zna Sibel.

— Mam małą prośbę — powiedziałem. Wyjmując torebkę, poczułem wstyd i jednocześnie podniecenie. — Ja i moja narzeczona chcielibyśmy ją zwrócić.

— Oczywiście, wymienimy. Może te eleganckie rękawiczki albo kapelusz, niedawno dostaliśmy z Paryża. Pani Sibel nie spodobała się torebka?

— Nie chcemy wymieniać — powiedziałem z zakłopotaniem. — Poprosimy o zwrot pieniędzy.

Na jej twarzy dostrzegłem zdziwienie, wręcz strach.

— Dlaczego? — spytała.

— To nie jest oryginalna torebka Jenny Colon, tylko podróbka — wyszeptąłem.

— Co takiego?!

— Ja się na tym nie znam — odrzekłem bezradnie.

— W naszym sklepie to niemożliwe — odpowiedziała stanowczo. — Czy chce pan od razu odebrać pieniądze?

— Tak.

Na jej twarzy pojawił się wyraz dojmującego bólu. „Dobry Boże — pomyślałem — czemu nie przyszło mi do głowy, by wywalić torebkę do śmieci, a Sibel powiedzieć, że zwrócono mi pieniądze!”

— To nie ma żadnego związku z tobą czy panią Şenay. My, Turcy, potrafimy natychmiast skopiować, podrobić wszystko, co jest modne w Europie — starałem się uśmiechnąć. — Mnie — może powinienem powiedzieć „nam” — wystarczy, że torebka spełnia swoją funkcję, że ładnie wygląda w ręku kobiety. To, jakiej jest marki, kto ją wyprodukował, czy to oryginał, czy nie, jest bez znaczenia.

Nie uwierzyła w moje słowa, tak samo jak ja nie dawałem im wiary.

— Zwrócę panu pieniądze — odpowiedziała oschle.

Zamilkłem i nie oponując już, patrzyłem prosto przed siebie, zawstydzony własnym grubiaństwem.

Mimo dojmującego uczucia wstydu spostrzegłem, że Fiisun wcale nie zrobiła tego, co powinna w tej chwili zrobić, i zdziwiło mnie to. Patrzyła na kasę, jakby kryły się tam upiory, i nie zbliżyła się do niej ani o krok. Gdy zobaczyłem, że Fiisun poczerwieniała, skrzywiła się i do oczu napłynęły jej łzy, wpadłem w panikę i podszedłem do niej.

Rozpłakała się. Nie wiem, jak to się stało, ale objąłem ją i przytuliłem. Oparła mi głowę na piersi i płakała.

— Wybacz, Fiisun — szepnąłem.

Gładziłem jej miękkie włosy, czoło.

— Zapomnij o tym, proszę. To tylko torebka, która okazała się podróbką.

Westchnęła głęboko, jak dziecko, jej ciałem raz czy dwa wstrząsnął szloch, po czym znowu zaczęła płakać. Zakręciło mi się w głowie od dotyku jej pięknych rąk, piersi, bliskości jej ciała. Zapewne chęć ukrycia przed samym sobą narastającego pożądania wzbudziła we mnie to mylne wrażenie, że znam ją od lat, że w gruncie rzeczy jesteśmy sobie bardzo bliscy. To była moja młodsza siostra, śliczna, słodka, nieszczęśliwa! Nagle poczułem, być może pod wpływem świadomości naszego odległego pokrewieństwa, że jej ciało — długie ręce i nogi, delikatne kości, wąskie ramiona — jest podobne do mojego. Gdybym był dziewczyną, miał dwanaście lat mniej, moje ciało wyglądałoby tak samo jak ciało Fiisun.

— Nie ma powodu do płaczu — powiedziałem, głaszcząc jej długie włosy.

— Nie mogę wyjąć pieniędzy z kasy i panu oddać — wyjaśniła. — Gdy pani ŝenay wychodzi na przerwę obiadową, zabiera klucz ze sobą. Bardzo mi przykro. — Oparła głowę o moją pierś i znowu zaczęła płakać. Czule, delikatnie gładziłem jej

piękne włosy. — Pracuję tu, by poznawać nowych ludzi, jakoś spędzać czas, nie dla pieniędzy — wyjąkała wśród szlochu.

— Pieniądze też są ważne, Fiisun — powiedziałem bezmyślnie.

— Tak — westchnęła jak zrozpaczone dziecko. — Mój tato jest emerytowanym nauczycielem... Dwa tygodnie temu skończyłam osiemnaście lat, nie chciałam być ciężarem dla rodziców...

Przestraszyłem się ozywającego znów we mnie zwierzęcego pożądanía i zdjąłem rękę z jej włosów. Ona też natychmiast je wyczuła i opanowała się. Odsunęliśmy się od siebie.

— Proszę nikomu nie mówić, że płakałam — powiedziała, ocierając łzy.

— Przysięgam, że dochowam naszej tajemnicy, Fiisun.

Dostrzegłem na jej twarzy cień uśmiechu.

— Zostawię teraz torebkę, a po pieniądze przyjdę później  
•— oświadczyłem.

— Torebka może zostać, ale proszę nie przychodzić po pieniądze. Pani Œenay będzie się upierać, że to nie jest podróbka, i może być dla pana nieprzyjemna.

— W takim razie wymieńmy ją na coś innego.

— Na to się nie zgodzę — w jej głosie pobrzmiwał ton urażonej dumy.

— Ale to przecież bez znaczenia — rzuciłem.

— Dla mnie to ma znaczenie — oświadczyła stanowczo.

— Gdy pani Œenay wróci, wezmę od niej pieniądze.

— Nie chcę, żebyś przez tę kobietę miała problemy — odpowiedziałem.

— Wiem, co zrobię — powiedziała z niewyraźnym uśmiechem. — Powiem jej, że pani Sibel ma już identyczną, dlatego tę chce pan zwrócić. Zgadza się pan?

— Dobry pomysł. Ja też jej tak powiem.

— Nie, proszę nic nie mówić — Fiisun zdecydowanie zaproponowała. — Zaraz weźmie pana na spytki. Lepiej też, żeby nie przychodził pan już do sklepu. Zostawię pieniądze u cioci Vecihe.

— Och, nie, nie mieszajmy do tego mojej mamy, jest strasznie ciekawska.

— W takim razie gdzie mam zostawić pieniądze? — spytała Fiisun, lekko unosząc brwi.

— Aleja Teşvikiye numer 131, kamienica Zmiłowanie, jest w niej lokum mojej matki — powiedziałem. — Przed wyjazdem do Stanów chodziłem tam, żeby się uczyć albo słuchać muzyki. Przyjemne, ciche mieszkanko z oknami na podwórze... Teraz też codziennie wyskakuję na chwilę z pracy, żeby między drugą a czwartą popracować tam w spokoju.

— Oczywiście, przyniosę panu pieniądze. Jaki numer mieszkania?

— Cztery — odpowiedziałem niemal szeptem. — Drugie piętro. Do widzenia! — zdołałem jeszcze wykrztusić na pożegnanie.

Albowiem moje serce od razu wyczuło, co się dzieje, i zaczęło bić jak oszalałe. Nim wyszedłem, zebrałem się w sobie i jak gdyby nigdy nic rzuciłem Fiisun ostatnie spojrzenie. Gdy tylko znalazłem się na ulicy, wstyd i poczucie winy, które mnie przepełniły, wymieszały się z wizjami szczęścia, a chodniki Nişantaşi w skwarne południe owego wiosennego dnia magicznym sposobem wydały mi się zupełnie żółte. Nogi prowadziły mnie w cieniu, pod daszkami i rozpiętymi nad witrynami sklepów markizami w biało-niebieskie pasy, aż na jednej z wystaw zobaczyłem jaskrawożółty dzbanek na wodę i kupiłem go bez zastanowienia. Wbrew temu, co na ogół spotyka rzeczy kupione pod wpływem impulsu, żółty dzbanek przez blisko dwadzieścia następnych lat stał na stole moich

rodziców, a potem matki i moim, i nikt nigdy nie odezwał się słowem na jego temat. Ilekroć podczas kolacji chwytałem go za ucho, przypomiinałem sobie początek mojego nieszczęścia, za które winą obarczały mnie spojrzenia matki, na wpół pełne wyrzutów, na wpół zbolące, choć jego sprawcą było życie.

Ucałowałem matkę, ucieszoną, ale jednocześnie zaskoczoną moim pojawieniem się wczesnym popołudniem. Na jej wyraz twarzy pytający: „Cóż to ma znaczyć?” odpowiedziałem, że dzbanek kupiłem ot, tak sobie.

— Daj mi klucze do mieszkania w kamienicy Zmiłowanie — poprosiłem. — W biurze są czasem takie tłumy, że nie sposób pracować. Zobaczą, może tam będzie mi wygodniej, kiedyś dobrze mi się tam uczyło.

— Na pewno całe mieszkanie tonie w kurzu — powiedziała matka, ale zaraz przyniosła ze swojego pokoju pęk kluczy, z których jeden, otwierający drzwi wejściowe do budynku, był oznaczony czerwoną wstążeczką. — Pamiętasz wazon z Kutahyi\*, ten w czerwone kwiatki? — spytała, podając mi klucze. — Nie mogę go nigdzie znaleźć, sprawdź, czy go tam przypadkiem nie zaniósłam. I nie pracuj zbyt dużo... Wasz ojciec całe życie pracował, żeby wam, dzieci, lepiej się wiodło, żebyście byli szczęśliwi... Spotykaj się raczej z Sibel, cieszcie się wiosną, bawcie się...

Kładąc klucze na mojej dłoni, rzuciła mi tajemnicze spojrzenie: — I bądź ostrożny! — Już gdy byłem mały, tego rodzaju spojrzeniem sygnalizowała jakieś zbliżające się życiowe niebezpieczeństwo, zapewne większe i poważniejsze niż to, które mogło się wiązać z przekazaniem kluczy do mieszkania.

\* **Kiitahya** — miasto w zachodniej części Anatolii, słynące z wyrobu ceramiki w charakterystyczne kolorowe wzory.

## 7. KAMIENICA ZMIŁOWANIE

Moja matka kupiła mieszkanie w tej kamienicy przed dwudziestoma laty, po części jako lokatę kapitału, a trochę po to, by się czymś zająć lub mieć gdzie pójść od czasu do czasu i odetchnąć. Wkrótce jednak zaczęła używać go w charakterze składziku, gdzie gromadziła stare rzeczy, które uznała za niemodne, i nowe, które znudziły się jej niemal natychmiast po zakupieniu. Gdy byłem dzieckiem, podobała mi się ta kamienica, z ocienionym cyprysami i kasztanowcami podwórkiem, na którym dzieci grały w piłkę, a jej nazwa Zmiłowanie wydawała mi się śmieszna, choć bardzo lubiłem, jak matka opowiadała, skąd się ona wzięła.

Gdy w 1934 roku Atatiirk nakazał narodowi tureckiemu przyjęcie nazwisk, w Stambule zaczęto nadawać nazwiska także nowo wznoszonym budynkom. Było to uzasadnione, ponieważ ulice w mieście nie miały jeszcze nazw, budynki regularnej numeracji, i tak samo jak w czasach osmańskich bogate rodziny zamieszkujące okazałe domy i pałace były z nimi utożsamiane (wiele rodzin, o których wspominam w mojej

opowieści, mieszkało w kamienicach noszących nazwy przyjęte od nazwisk właścicieli). Równoległe panowała moda na nadawanie budynkom nazw oznaczających wyższe wartości, przy czym matka twierdziła, że ci, którzy nazywali wybudowane na swe zlecenie domy Wolność, Dobry Uczynek czy Cnota, sami te wartości przez całe życie deptali. Budowę kamienicy Zmiłowanie rozpoczął pewien dręczony wyrzutami sumienia kupiec w podeszłym wieku, który wzbogacił się podczas pierwszej wojny światowej, handlując cukrem na czarnym rynku. Gdy jego dwaj synowie (z córką jednego z nich chodziłem w szkole podstawowej do tej samej klasy) zorientowali się, że ojciec zamierza utworzyć *vakif*\* i dochody z kamienicy przeznaczyć dla ubogich, postarali się o opinię lekarską, iż cierpi on na uwiad starczy, zamknęli go w domu opieki i przejęli kamienicę. Jej nazwy, która w dzieciństwie wydawała mi się taka dziwna, jednak nie zmienili.

Dzień po próbie zwrócenia torebki-podróbki, 30 kwietnia 1975 roku, między godziną drugą a czwartą czekałem w mieszkaniu matki, lecz Fiisun się nie pojawiła. Byłem lekko urażony, nie wiedziałem, co myśleć; wracając do biura, czułem głęboki niepokój. Następnego dnia znów poszedłem do mieszkania, jakby miało mnie to uspokoić. Ale i tym razem Fiisun nie przyszła. W dusznych pokojach, wśród porzuconych przez matkę starych wazonów, ubrań, zakurzonych gratów, znalazłem amatorskie zdjęcia zrobione dawno temu przez ojca. Gdy je oglądałem, powróciły wspomnienia z dzieciństwa i młodości, nawet te, o których na śmierć zapomniałem. Pod wpływem wspomnień mój niepokój stopniowo przygasiał.

Kolejnego dnia, jedząc lunch u Hacı Arifa w Beyoğlu z Abdilkerimem, przedstawicielem Satsat na Kayseri (i jednocześnie

\* *Vakif* — w islamie fundacja zakładana dla finansowania działalności religijnej i dobroczynnej.



moim kolegą z wojska), uświadomiłem sobie ze wstydem, że dwa dni pod rząd siedziałem w pustym mieszkaniu, czekając na Fiisun. Postanowiłem więc zapamiętać o niej, o torebce-podróbce, o tym wszystkim. Jednak już dwadzieścia minut później spojrzałem na zegarek i wyobraziłem sobie, że być może w tym momencie Fiisun zmierza do kamienicy Zmiłowanie, by zwrócić mi pieniądze za torebkę. Wymyśliłem na poczekaniu jakieś kłamstwo, szybko uwinąłem się z jedzeniem i pobiegłem tam czym prędzej.

Kilkanaście minut po moim przyjsciu do drzwi zapukała Fiisun. To znaczy byłem przekonany, że osobą, która puka, jest właśnie ona. Idąc korytarzem, przypomniałem sobie sen z ostatniej nocy, w którym otwierałem jej drzwi.

Fiisun trzymała w ręku parasolkę. Jej włosy były mokre. Miała na sobie sukienkę w żółte groszki.

— Och, a już myślałem, że o mnie zapomniałaś! Wejdz, proszę.

— Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Oddam panu pieniądze i zaraz sobie pójdę.

W drugiej ręce trzymała używaną kopertę z nadrukiem „Kursy Dokształcające «Sukces»”, nie sięgnąłem jednak po nią. Chwyliłem dziewczynę za ramię i wciągnąłem do środka.

— Straszny deszcz — rzuciłem, choć prawdę mówiąc, nawet nie zauważyłem, że się rozpadało. — Usiądź na chwilę, po co masz moknąć. Zaparzę herbatę, rozgrzejesz się.

Poszedłem do kuchni.

Gdy wróciłem, Fiisun przyglądała się gratom mojej matki, antykom, bibelotom, zakurzonym zegarom, pudłom na kapelusze i innym rozmaitym szpargałom. Zacząłem wyjaśniać, wtrącając od czasu do czasu dla rozładowania atmosfery jakiś żarcik, że wszystkie te rzeczy moja matka kupiła pod wpływem impulsu w eleganckich sklepach w Nişantaşi czy Beyoglu, na

wyprzedazach wyposażenia wyburzanych pałacików i na wpół spalonych *yah\**, a nawet likwidowanych klasztorów derwiszy, albo też przywiozła z podróży po Europie, po czym wpakowała je tutaj i na amen o nich zapomniała. Otwierałem przy tym pachnące naftaliną i kurzem szafy, demonstrując upchnięte w nich sterty tkanin; pokazałem trójkołowy rowerek, na którym w dzieciństwie jeździliśmy ja i mój starszy brat (nasze ubranka matka rozdawała biednym krewnym), nocnik, wazon z Kutahyi w czerwone kwiatki, ten, o którym matka powiedziała: „Sprawdź, czy go tam nie ma”, i ułożone w niezliczonych pudłach matczyne kapelusze.

Kryształowa bombonierka przypomniała nam niegdysiejsze świąteczne spotkania. Gdy Fiisun była mała i z rodzicami przychodziła do nas z wizytą, częstowano gości z tej bombonierki mieszanką różnych słodczy, landrynek, migdałów w cukrze, kokosowych makaroników oraz rachatłukum.

— Pewnego razu podczas święta Ofiar\*\* pojechaliśmy samochodem na przejażdżkę — powiedziała Fiisun z błyskiem w oku.

Przypomniałem sobie ten dzień.

— Byłaś wtedy jeszcze smarkulą. Wyrosła z ciebie piękna dziewczyna.

— Dziękuję. Pójdę już.

— Nie wypijaś herbaty. I deszcz wciąż pada — poprowadziłem ją do okna i lekko odchyliłem firanek.

\* *Yah* — wille nad brzegiem Bosforu.

\*\* *Święto Ofiar (Kurhan Bayiami)* — jedno z najważniejszych świąt muzułmańskich, obchodzone dla upamiętnienia ofiary Abrahama. Rozpoczyna się dziesiątego dnia miesiąca zu al-hidżdża i trwa cztery dni. W jego trakcie zarzyna się rytualnie zwierzęta (w Turcji głównie owce i woły), których mięso zostaje następnie podzielone na trzy części: jedną ofiarowuje się ubogim, drugą krewnym i sąsiadom, a trzecią spożywa podczas rodzinnej uczty.

Wyrzała przez okno jak dziecko, które pierwszy raz znalazło się w czyimś mieszkaniu, tak jak to potrafią młodzi ludzie, którzy nie dostali jeszcze od życia po głowie i wciąż są otwarci na wszystko i wszystkiego ciekawi. Pożądliwie spojrzałem na jej kark, szyję, cerę, która nadawała jej policzkom nieodparty urok, widoczne jedynie z bardzo bliska liczne drobniutkie pieprzyki (czyż moja babcia nie miała dokładnie w tym samym miejscu wielkiej brodawki?). Moja ręka bezwiednie, jakby należała nie do mnie, lecz do kogoś innego, uniosła się i dotknęła wpiętej w jej włosy spinki w kształcie czterech kwiatków werbeny.

— Masz zupełnie mokre włosy.

— Czy powiedział pan komuś, że płakałam w sklepie?

— Nie. Ale bardzo chciałbym wiedzieć, czemu płakałaś.

— Dlaczego?

— Dużo o tobie myślałem. Jesteś taka piękna, wyjątkowa. Zapamiętałem cię jako małą, milutką czarnowłosą dziewczynkę. Nawet mi przez myśl nie przeszło, że tak wyładniejesz.

Uśmiechnęła się powściągliwie, jak przyzwyczajona do komplementów piękna i dobrze wychowana dziewczyna, sceptycznie unosząc jednak przy tym brwi. Zapadła cisza. Fiisun odsunęła się ode mnie.

— Jak zareagowała pani ŝenay? — zmieniłem temat. — Przyznała, że torebka jest podróbką?

— Zdenerwowała się. Ale gdy się dowiedziała, że zostawił pan torebkę i chce zwrotu pieniędzy, postanowiła załatwić rzecz bez rozgłosu. Kazała mi zapomnieć o całej sprawie. Chyba wiedziała, że to podróbka. Nie ma pojęcia, że do pana przyszłam. Powiedziałam jej, że wstąpił pan koło południa i odebrał pieniądze. Ale teraz muszę już iść.

— Nie ma mowy, najpierw musisz się napić herbaty!

Przyniosłem szklanki z kuchni. Z mieszaniną podziwu i zakłopotania, czułości i radości przyglądałem się, jak dmucha na

gorący napar i pije drobnymi łyżkami, ostrożnie i pospiesznie. Moja dłoń znów bez udziału mojej woli dotknęła jej włosów. Odwróciłem twarz dziewczyny ku sobie i spostrzegłszy, że nie stawia oporu, szybko pocałowałem ją w kącik ust. Zacerwieniła się. Trzymała obiema rękami szklankę z herbatą i nie miała jak się przede mną bronić. Czułem, że jest na mnie zła i jednocześnie nie wie, co zrobić.

— Bardzo lubię się całować — oświadczyła buńczucznie.  
— Ale teraz, tutaj, z panem, nie wypada.

— Dużo się już całowałaś? — spytałem, bez większego powodzenia starając się, by zabrzmiało to dziecinnie.

— Oczywiście, że się całowałam. Ale nic więcej.

Pokój, zgromadzone w nim graty na wpeł zasłane łóżko z błękitną pościelą, umyślnie przeze mnie tak pozostawione, obrzuciła spojrzeniem, które miało dać mi do zrozumienia, że według niej w gruncie rzeczy wszyscy mężczyźni są, niestety, tacy sami. Widziałem, że próbuje ocenić sytuację, ale nie przychodziło mi do głowy nic, co pozwoliłoby dalej prowadzić rozpoczętą grę.

Na stoliku postawiłem dla ozdoby znaleziony w szafie fez, jeden z tych, które produkuje się dla turystów. Oparła o niego kopertę z pieniędzmi i choć widziała, że ją zauważyłem, nie omieszkała podkreślić:

— Tam zostawiłam kopertę.

— Nie wypuszczę cię, dopóki nie dopijesz herbaty.

— Spóźnię się — zaprotestowała, ale nie ruszyła do wyjścia.

Piliśmy herbatę i rozmawialiśmy o krewnych, o dzieciństwie, przywołując wspólne wspomnienia, nikogo przy tym nie krytykując, o nikim nie mówiąc źle. Fiisun powiedziała, że ona i jej matka bały się mojej matki, ale jednocześnie bardzo ją szanowały; moja matka okazywała Fiisun dużo sympatii; gdy przychodziły szyć, Fiisun mogła się bawić naszymi zabawka-

mi, na przykład nakręcanym pieskiem i kurą, które bardzo jej się podobały, choć obawiała się, że je zepsuje. Do czasu owego konkursu piękności moja matka na każde urodziny przesyłała jej przez **naszego** szofera, **pana Cetina**, **prezent**, na przykład kalejdoskop. Wciąż jeszcze go ma... Posyłała jej ubrania o kilka numerów za duże, żeby Fiisun z nich tak od razu nie wyrosła. Szkocką spódnicę z wielką agrafką mogła założyć dopiero po roku, ale tak ją polubiła, że nawet gdy już ten fason wyszedł z mody, nosiła ją jako minispódniczkę. Powiedziałem, że kiedyś w Nisantasi widziałem ją w tej spódnicy. Gdy rozmowa zaczęła schodzić na zgrabne nogi i szczupłą talię, szybko zmieniliśmy temat. Wujek Sureyya był lekko niezrównoważony... Za każdym razem, gdy przyjeżdżał z Niemiec, składał uroczyste wizyty przedstawicielom wszystkich gałęzi coraz bardziej rozproszonej rodziny. Za jego pośrednictwem każdy mógł się dowiedzieć, co słychać u innych.

— Wtedy, w święto Ofiar, gdy rankiem pojechaliśmy samochodem, wujek Sureyya też tam był — zauważyła Fiisun z ożywieniem.

Szybko włożyła płaszcz i zaczęła szukać parasolki. Bezskutecznie, gdyż krążąc między kuchnią a pokojem, niepostrzeżenie wrzuciłem ją za stojącą przy drzwiach wejściowych szafę z lustrem.

— Nie przypominasz sobie, gdzie ją położyłaś? — spytałem, gdy oboje przystąpiliśmy do gorączkowych poszukiwań.

Przetrzasaliśmy całe mieszkanie, zaglądając nawet w najbardziej nieprawdopodobne miejsca. Wtedy zadałem jej ulubione pytanie kolorowej prasy kobiecej: „Jak spędzasz wolny czas?”. Odparła, że w zeszłym roku zabrakło jej punktów i nie dostała się na wybrany kierunek studiów. Gdy nie pracuje w butik Champs Elysees, chodzi na kursy przygotowawcze pod nazwą „Sukces”, by jeszcze raz spróbować dostać się na

uniwersytet. Do egzaminów zostało półtora miesiąca, musi więc solidnie pracować.

— Na jaki kierunek się wybierasz?

— Nie wiem — odpowiedziała zakłopotana. — Chciałabym pójść do konserwatorium i zostać aktorką.

— Te kursy to strata czasu. Tylko wyciągają od ludzi pieniądze — oświadczyłem. — Jeżeli masz z czymś kłopoty, zwłaszcza z matematyką, zawsze możesz tu wpaść, codziennie po południu tutaj pracuję. Szybko ci wszystko wytłumaczę.

— Czy innym dziewczynom też wyjaśniasz matematykę?  
— spytała. Jej brwi znów tym samym żartobliwym ruchem uniosły się do góry.

— Nie ma żadnych innych dziewczyn.

— Pani Sibel przychodzi do nas do sklepu. Bardzo piękna i miła kobieta. Kiedy się pobierzecie?

— Zaręczyny odbędą się za półtora miesiąca. Może weźmiesz tę? — pokazałem jej letnią parasolkę kupioną przez matkę w Nicei.

Stwierdziła, że w żadnym razie nie może wrócić z nią do sklepu. Chciała stąd jak najszybciej wyjść i nie miało już dla niej znaczenia, czy znajdzie parasolkę, czy nie.

— Deszcz przestał padać! — oznajmiła z radością w głosie.

Odprowadzając ją do drzwi, nagle zdałem sobie sprawę, że już jej nie zobaczę.

— Proszę, odwiedź mnie jeszcze kiedyś. Napijemy się herbaty... i nic więcej.

— Niech pan się nie gniewa, Kemal, ale nie chcę więcej tutaj przychodzić. Pan wie, że już nie przyjdę. Proszę się nie obawiać, nikomu nie powiem, że pan mnie pocałował.

— A co z parasolką?

— Parasolka należy do pani Şenay, ale niech tam, może tu zostać! — odparła, po czym szybko, lecz bynajmniej nie obojętnie, pocałowała mnie w policzek i wyszła.

# I. PIERWSZA TURECKA ORANŻADA O SMAKU OWOCOWYM

Aby przywołać pogodną, przepojoną optymizmem atmosferę szczęścia i radości, panującą w owe dni, chciałbym wspomnieć o napoju Zefir, pierwszej tureckiej oranżadzie o smaku owocowym — truskawkowym, brzoskwiniowym, pomarańczowym bądź wiśniowym, oraz o promujących go ogłoszeniach prasowych i reklamach telewizyjnych. Tamtego wieczoru Zaim wydawał w swym apartamencie w Ayazpaşa z pięknym widokiem wielkie przyjęcie z okazji wprowadzenia oranżady na rynek. Mieliśmy się tam spotkać całą paczką. Sibel chętnie spędzała czas w towarzystwie moich młodych, bogatych kolegów, uwielbiała rejsy jachtem po Bosforze, przyjęcia niespodzianki z okazji urodzin, zabawy w klubach, a potem w środku nocy przejażdżki kawalkadą aut po ulicach Stambułu; lubiła więk-szość moich kolegów, z wyjątkiem Zaima. Twierdziła, że Zaim to pozer, kobieciarz, że jest zbyt ordynarny, a sprowadzanie przez niego tancerek brzucha w charakterze niespodzianki na zakończenie przyjęcia czy podawanie kobietom ognia zapalniczką z logo „Playboya” uważała za prostackie. Nie podobało

się jej, że miewa przygody z początkującymi aktorkami i modelkami (w owych czasach w Turcji była to profesja nowa i podejrzana), bo może się z nimi przespać bez ślubu (i tak nie miał zamiaru z żadną się ożenić), a to, że z porządnyimi dziewczynami nawiązuje znajomości nie prowadzące do niczego poważnego, uznawała za brak odpowiedzialności z jego strony. Dlatego niezmiernie zdziwiło mnie jej rozczarowanie, gdy w rozmowie telefonicznej oznajmiłem, że źle się czuję i nie zamierzam iść wieczorem na przyjęcie.

— Ależ ma przyjść ta niemiecka modelka, która zagrała w reklamie lemoniady, piszą o niej w gazetach! — powiedziała.

— Zawsze powtarzasz, że Zaim daje mi zły przykład...

— Skoro nie idziesz na przyjęcie do Zaima, musisz być naprawdę chory. Zaczynam się niepokoić. Może do ciebie przyjechać?

— Nie trzeba. Mama i Fatma się mną zajmują. Do jutra mi przejdzie.

Leżąc w ubraniu na łóżku, pomyślałem o Fiisun. Zdecydowałem się o niej zapomnieć i już nigdy w życiu się z nią nie spotkać.



## 9.F

Następnego dnia, 3 maja 1975 roku, o godzinie drugiej trzydzieści, Fiisun zjawiła się w kamienicy Zmiłowanie i pierwszy raz poszła ze mną na całość. Tego dnia czekałem na nią, nie żywiąc większej nadziei na spotkanie. Dziś myślę, że nie do końca była. Lo prawda, ale wtedy po prostu nie wierzyłem, że się pojawi. Moje myśli krążyły wokół jej słów wypowiedzianych poprzedniego dnia, wokół przedmiotów z dzieciństwa, antyków matki, starych zegarów, rowerka na trzech kółkach, dziwnej poświaty w mrocznym mieszkaniu, zapachu kurzu i starości, pragnienia, by zostać samemu i wyjrzeć przez okno na podwórze... To mnie tutaj przyciągnęło. Chciałem jeszcze raz przemyśleć nasze spotkanie, jeszcze raz je przeżyć; umyć i odstawić do szafki szklanki, z których piliśmy z Fiisun herbatę, zabrać rzeczy matki i zapomnieć o własnej hańbie... Porządkując mieszkanie, znalazłem zrobione przez ojca zdjęcie, przedstawiające łóżko w małym pokoju, okno i widok na podwórze. Zauważyłem, że przez te lata pokój zupełnie się nie zmienił. A kiedy usłyszałem pukanie do drzwi, pomyślałem: „To na pewno matka!”.

— Przyszłam zabrać parasolkę — oznajmiła Fiisun. Nie weszła jednak do środka.

— Wejdz — zaproponowałem.

Zawahała się. Uznawszy, że sterczenie w drzwiach byłoby niegrzeczne, przestąpiła próg. Zamknąłem drzwi. Wyglądała prześlicznie w ciemnoróżowej sukience z białymi guzikami i paskiem z dużą klamrą, który podkreślał jej wąską talię. We wczesnej młodości miałem pewien słaby punkt — nie czułem skrępowania obecnością dziewczyn, które uważałem za piękne i tajemnicze, tylko wtedy, gdy byłem wobec nich zupełnie szczery. Sądziłem, że osiągnąwszy trzydziestkę, uwolniłem się już od tej otwartości i naiwności — byłem jednak w błędzie.

— Jest tutaj — palnąłem bez namysłu i wyciągnąłem parasolkę zza szafy z lustrem. Nawet nie robiłem sobie wyrzutów, że wcześniej jej tam nie znalazłem.

— Jak mogła tam wpaść?

— Wcale nie wpała. Schowałem ją, żebyś tak od razu sobie nie poszła.

Przez moment wahała się, czy się uśmiechnąć, czy też zmarszczyć brwi. Wzięłem ją za rękę i pod pretekstem zaparzenia herbaty zaprowadziłem do kuchni. Pachniało tam kurzem i wilgocią. Wszystko potoczyło się błyskawicznie. Nie panowaliśmy już nad sobą i zaczęliśmy się całować. Całowaliśmy się długo i namiętnie. Robiła to z takim zapamiętaniem, tak mocno obejmowała mnie za szyję i zaciskała powieki, aż poczułem, że możemy posunąć się do samego końca.

Nie, to niemożliwe, żeby była jeszcze dziewicą! W pewnej chwili, całując ją, uświadomiłem sobie, że Fiisun właśnie podjęła wiele znaczącą w jej życiu decyzję i przyszła tu specjalnie, by „to” ze mną zrobić. Ale przecież tak działo się jedynie w zagranicznych filmach! Dlatego tym bardziej wydało mi się

dziwne, by tutaj, w Turcji, jakaś dziewczyna tak się zachowała. Być może więc wcale nie była dziewicą?

Wciąż się całując, wyszliśmy z kuchni. Usiedliśmy na brzegu łóżka i bez zbędnych ceregieli, nie patrząc jedno na drugie, zrzuciliśmy z siebie część ubrań, po czym wsunęliśmy się pod koc. Był zbyt gruby, w dodatku kłuł mnie tak samo jak tamten, którym mnie okrywano w dzieciństwie. Zrzuciłem go, odsłaniając nasze na wpół nagie ciała. Oboje byliśmy spoceni, ale to właśnie na swój sposób pozwalało nam czuć się swobodnie. Przez zaciągnięte zasłony przenikały do wnętrza żółtawopomarańczowe promienie słońca, nadające wilgotnemu od potu ciału Fiisun jeszcze mocniejszy odcień opalenizny. To, że przyglądała się mojemu nagiemu ciału równie swobodnie, jak ja przyglądałem się jej, że w milczeniu, bez cienia niechęci ani lęku, ba! wręcz z pożądaniem i jakąś nieokreśloną czułością patrzyła z bliska na moją coraz wyraźniej rysującą się męskość, budziło we mnie pełne zazdrości przekonanie, że w innych łóżkach, na kanapach, siedzeniach samochodów patrzyła już tak na innych nagich mężczyzn.

Oboje poddaliśmy się rytmowi samoistnie zrodzonemu z namiętnych igraszek, które moim zdaniem stanowią niezbędną część każdej prawdziwej miłosnej historii. W pewnej chwili, po rzucanych sobie nawzajem pełnych niepokoju spojrzaniach, poznaliśmy jednak, że oboje mamy przed sobą niełatwe zadanie. Fiisun zdjęła kolczyki, z których jeden opisałem już jako pierwszy eksponat w naszym muzeum — w owych czasach młodzi ludzie nosili bransoletki, wisioriki, pierścionki z pierwszą literą imienia, kolczyki pewnie też, choć nigdy nie zwróciłem na to uwagi — i odłożyła je na blat stojącego przy łóżku stolika. Staranność, z jaką to zrobiła, przywodząca na myśl wyuczony gest krótkowzrocznej dziewczyny zdejmującej okulary przed wejściem do morza, pozwalała mi przypuszczać,

iż zamierza pierwszy raz pójść na całość. Gdy po zdjęciu sukienki równie stanowczo zdjęła także małe figi, nabrałem pewności, że naprawdę będziemy się kochać. Wtedy — o ile sobie przypominam — dziewczyny, które nie chciały pójść na całość, zostawały w majtkach.

Pocałowałem ją w pachnące migdałami ramię, dotknąłem językiem jej wilgotnej od potu, gładkiej jak aksamit szyi. Zadrżałem na widok piersi, o ton jaśniejszych — choć sezon opalania jeszcze się nie zaczął — od reszty jej zdrowego, smagłego ciała. Nauczyciele, w których ta część mojej powieści budzi niepokój, podczas omawiania jej na lekcji mogą nakazać uczniom przerzucić kilka kartek, odwiedzający zaś moje muzeum niech obejrzą eksponaty i sami uznają, że to, co zrobiłem, zrobiłem przede wszystkim dla Fiisun, patrzącej na mnie oczami pełnymi smutku i lęku, potem dla nas obojga, a dopiero na samym końcu dla własnej przyjemności. Jakbyśmy, wykazując maksimum dobrej woli, starali się wspólnie pokonać jakąś trudność, którą na naszej drodze postawiło życie. Właśnie dlatego, leżąc na niej całym swoim ciężarem, napierając na nią, wśród czułych słów zadawałem też pytanie: „Kochanie, boli cię?”, i nie dziwiłem się, że choć patrzyła mi prosto w oczy, nie odpowiadała. W końcu zamilkłem, gdyż od chwili, gdy nastąpiło ostateczne zbliżenie, lekkie, delikatne drżenie płynące gdzieś z głębi i rozlewające się po całym jej ciele (wyobraźcie sobie słoneczniki drżące w ledwie wyczuwalnych podmuchach wiatru) zacząłem odczuwać jako własny ból.

Zrozumiałem, że gdy odwraca ode mnie spojrzenie i co jakiś czas patrzy na własne ciało, wsłuchuje się w siebie, chcąc jak najgłębiej przeżyć to, czego doznaje po raz pierwszy w życiu. Ja zaś powinienem był egoistycznie skoncentrować się na własnej przyjemności, jeśli chciałem dotrzeć do końca tej trudnej

podróży i poczuć ulgę. W ten sposób oboje instynktownie pojęliśmy, że aby głębiej odczuć rozkosz, która nas połączy, musimy ją przeżywać osobno. Przytulając się mocno do siebie, bezlitośnie, z pasją, wykorzystywaliśmy się nawzajem dla własnej przyjemności. W sposobie, w jaki Fusun obejmowała ramionami moje plecy, było coś z ruchów owej wchodzącej do morza niewinnej, krótkowzrocznej dziewczyny, która uczy się pływać i gdy wydaje się jej, że tonie, w panicznym strachu przed śmiercią trzyma się kurczowo szyi spieszącego jej z pomocą ojca. Dziesięć dni później, gdy z zamkniętymi oczami wtuliła się we mnie, spytałem, jaki obraz ożywa w jej głowie. Powiedziała: „Widzę pole pełne słoneczników”.

Grający w piłkę chłopcy, których radosne okrzyki, nawoływania i wyzwiska miały podczas następnych dni towarzyszyć naszym miłosnym uniesieniom, podobne jak wtedy, gdy kochaliśmy się po raz pierwszy, z zapałem uganiali się po ogrodzie zrujnowanego pałacyku Hayrettina Paszy. Gdy ich pokrzykiwania na moment ustały, pokój w jednej chwili wypełniła niezwykła cisza, przerywana jedynie kilkoma nieśmiałymi okrzykami Fusun i jednym czy dwoma jękami, jakie wydałem, by rozładować nagromadzone we mnie napięcie. Z oddali słychać było dźwięk gwizdka policjanta kierującego ruchem na placu Nişantaşi, klaksony samochodów, stukot młotka. Jakiś dzieciak kopnął puszkę, zaskrzeczała mewa, gdzieś zadźwięczała filiżanka, zaszleściły liście platanów, poruszone ledwie wyczuwalnym powiewem wiatru.

Leżeliśmy w tej ciszy ciasno spleceni i oboje najchętniej usunęlibyśmy ze świadomości wszystkie te wstydlive szczegóły, które antropologowie z upodobaniem opisują jako rytuały pierwotnego społeczeństwa — zakrwawione prześcieradło, rozrzucone ubrania, przyzwyczajanie się do widoku nagich ciał. Fusun płakała i nie słuchała moich słów pocieszenia. Po-

wiedziała, że nie zapomni tego do końca życia. Jeszcze trochę popłakała i umilkła.

Ponieważ po latach życie miało ze mnie uczynić antropologa badającego własne przeżycia, bynajmniej nie odnoszę się lekceważąco do pełnych pasji badaczy, którzy z odległych krajin zwożą skorupy, sprzęty, narzędzia i eksponują je z zapałem, starając się nadać swojemu i w ogóle ludzkiemu życiu jakiś sens. Nadmierne koncentrowanie się na śladach pierwszego razu i związanych z nim przedmiotach mogłoby jednak uniemożliwić zrozumienie intensywnego uczucia wdzięczności i czułości, jakie rozwijało się między mną a Fiisun. Z tego względu dla zobrazowania miłości, z jaką moja osiemnastoletnia kochanka pieściła moje trzydziestoletnie ciało, gdy przytuleni do siebie, w milczeniu leżeliśmy na łóżku, eksponuję tu jedynie batystową chusteczkę do nosa, w kwiatki, którą Fiisun miała tego dnia starannie złożoną w torebce. Za symbol delikatnej i kruchej czułości między nami niech posłuży kryształowy kałamarz mojej matki, który Fiisun znalazła na stole, gdy po wszystkim wypaliliśmy po papierosie. Natomiast modny w tamtych latach szeroki męski pasek, którego wielka, masywna klamra, gdy tylko jej dotknąłem podczas ubierania się, wywołała we mnie przypływ samczej dumy, a zaraz potem poczucie winy, niech zaświadczy, jak obojgu nam było trudno porzucić stan niewinnej jak w raju nagości, gdy po włożeniu ubrania musieliśmy znowu patrzeć na dawny, brudny świat.

Przed wyjściem oświadczyłem, że jeśli Fiisun myśli o dostaniu się na studia, powinna przez najbliższe półtora miesiąca solidnie popracować.

— Boisz się, że do końca życia będę sprzedawczynią? — spytała z uśmiechem.

— Oczywiście, że nie... Ale chciałbym, żebyś się pouczyła przed egzaminami. Możemy uczyć się tutaj razem. Któ-

rych podręczników używasz? Program podstawowy czy rozszerzony?

— W liceum mieliśmy podstawowy. Ale na kursach przygotowawczych uczył obu. Na testach nie ma żadnego rozróżnienia. Wszystko mi się miesza.

Umówiliśmy się, że spotkamy się tu jutro, by razem pracować nad matematyką. Gdy Fiisun wyszła, poszedłem do księgarni w Nisantasi i kupiłem podręczniki, z których uczyła się na kursach i w szkole. W biurze zapaliłem papierosa, przejrzałem książki i doszedłem do wniosku, że naprawdę jestem w stanie jej pomóc. Wystarczyło, bym pomyślał, że mogę nauczyć Fiisun matematyki, a nieznośny ciężar, jaki tamtego dnia leżał mi na duszy, natychmiast znikł i pozostało jedynie uczucie niezmiernego szczęścia i osobliwej dumy. Szczęście to odczuwałem jako ćmiący ból w szyi, nosie i na skórze, duma zaś, której nie potrafiłem przed sobą ukryć, wyrażała się poprzez radość. Gdzieś, w jakimś zakątku mego umysłu stale krążyła myśl, że jeszcze wiele razy spotkam się z Fiisun w kamienicy Zmiłowanie i będę się z nią kochał. Wiedziałem jednak, że będzie to możliwe tylko wtedy, gdy zachowam się tak, jakby w moim życiu nie wydarzyło się nic niezwykłego.

## 10. ŚWIATŁA MIASTA I SZCZĘŚCIE

Wieczorem w hotelu Pera Palas\* odbywały się zaręczyny Yeşim, koleżanki Sibel z liceum. Całe towarzystwo miało tam być, ze mną włącznie. Sibel, ubrana w srebrzystą, połyskującą suknię i koronkową narzutkę, była wniebowzięta. Uznała, że ta uroczystość może posłużyć za wzór dla naszej, więc wszystkim się interesowała, ze wszystkimi rozmawiała, a z jej twarzy nie schodził uśmiech.

Syn wujka Siireyyi, ten, którego imienia zawsze zapominam, przedstawił mnie Inge, niemieckiej modelce z reklamy oranżady Zefir. Wypiłem dwie szklaneczki *raki*\*\* i rozluźniłem się.

— Jak się pani podoba Turcja? — spytałem po angielsku.

\* Pera Palas Oteli — jeden z najstarszych hoteli w Stambule, otwarty w 1893 r. Gościli w nim m.in. Agatha Christie, Mata Hari, Alfred Hitchcock, Jacqueline Kennedy. Pokój, w którym podczas wizyt w Stambule wielokrotnie zatrzymywał się Atatürk, zamieniono w 1981 r. w muzeum.

\*\* *Raki* — popularna w Turcji wódka anyżowa, pita w wąskich szklaneczkach po rozcieńczeniu wodą (mętnieje wtedy i nabiera białawego koloru).



— Widziałam tylko Stambuł — odpowiedziała. — Bardzo mnie zaskoczył, spodziewałam się czegoś zupełnie innego.

— A czego się pani spodziewała?

Przyglądaliśmy się sobie w milczeniu. Mądra dziewczyna. Szybko się nauczyła, że jednym niewłaściwym słowem może głęboko zranić uczucia Turków, więc tylko się uśmiechnęła i z okropnym akcentem powiedziała po turecku:

— Zasługujesz na najlepsze!

— Wystarczył tydzień, by stała się pani znana w całej Turcji. Jakie to uczucie?

— Wszyscy mnie rozpoznają, policjanci, taksówkarze, przechodnie! — ucieszyła się jak dziecko. — Sprzedawca baloników dał mi jeden w prezencie, mówiąc: „Zasługujesz na najlepsze!”. W kraju, gdzie jest tylko jeden kanał telewizyjny, łatwo zdobyć sławę.

Ciekawe, czy zdawała sobie sprawę, że chcąc być uprzejma, zaczęła zachowywać się protekcyjnie?

— A w Niemczech ile jest kanałów? — spytałem.

Zrozumiała, że powiedziała coś niewłaściwego, i zawstydziała się. Niepotrzebnie zadałem to pytanie.

— Co dzień rano w drodze do pracy widzę pani zdjęcie zajmujące całą ścianę budynku. Ślicznie pani wygląda.

— Ach, w reklamie wy, Turcy, zostawiliście Europę daleko w tyle!

Te słowa w jednej chwili tak mnie uszczęśliwiły, że zapomniałem o ich wyłącznie grzecznościowym charakterze. Wśród radosnego, ożywionego tłumu poszukałem wzrokiem Zaima. Rozmawiał z Sibel. Miło było pomarzyć, że mogliby się polubić. Nawet teraz, po latach, pamiętam to intensywne uczucie szczęścia, jakie mnie wtedy ogarnęło. Sibel nadała Zaimowi przydomek Zasługujesz na Najlepsze. To hasło kampanii reklamowej oranżady Zefir uważała za egoistyczne i nieczułe.

W Turcji, kraju biednym, dręczonym problemami, gdzie z powodu poglądów lewicowych albo prawicowych tylu młodych ludzi zabija się nawzajem, to sformułowanie, zdaniem Sibel, brzmiało okropnie.

Przez otwarte drzwi balkonowe napływało do wnętrza przyjemne wiosenne powietrze, niosąc z sobą zapach lip. W dole, w wodach Złotego Rogu, odbijały się światła miasta. Nawet Kasimpaşa, dzielnica biednych domków, nabierała urody. Czułem, że wiodę wyjątkowo szczęśliwe życie, a co więcej, przygotowuję się, by w przyszłości wieść jeszcze szczęśliwsze. Waga tego, co wydarzyło się między mną a Fiisun, nieco zbijała mnie z tropu, ale przecież każdy ma swoje sekrety, zmartwienia, obawy — myślałem sobie. Kto wie, ilu z tych wystrojonych gości dręczy dziwny niepokój, ilu ma zranioną duszę? Wystarczy jednak w tłumie, wśród znajomych, wypić kieliszek czy dwa i zaraz się okazuje, jak w gruncie rzeczy mało istotne i przemijające jest to, czym się tak dręczymy.

— Ten nerwowo facet, któremu się przyglądasz — powiedziała Sibel — to słynny Zimny Suphi. Zbiera pudełka od zapalek, gdy jakieś zobaczy, zaraz chowa do kieszeni. Podobno całe mieszkanie ma nimi wypełnione. Tak mu się porobiło, kiedy rzuciła go żona. Na naszych zaręczynach kelnerzy nie będą nosić takich dziwacznych strojów, prawda? Za dużo pijesz dziś wieczór. Dlaczego? Posłuchaj, coś ci opowiem.

— Co?

— Ta Niemka, modelka, wpadła w oko Mehmetowi i ten nie odstępował jej teraz na krok, a Zaim jest strasznie zazdrosny. Aha, i jeszcze ten syn twojego wujka Siireyyi... To jakiś krewny Yeşim... Czy jest coś, o czym nie wiem, coś, co zepsuło ci humor?

— Skądże! Wszystko w porządku. Jestem wręcz szczęśliwy.

Po tylu latach wciąż pamiętam słodko brzmiące słowa Sibel. Była pogodna, mądra, troskliwa, i wiedziałem, że u jej boku jest mi dobrze i będzie mi dobrze przez całe życie. Kiedy odprowadziłem ją późnym wieczorem do domu, idąc potem pustymi i pogrążonymi w mroku ulicami, rozmyślałem o Fiisun. Tym, co nie dawało mi spokoju, był nie tyle sam fakt, że się ze mną przespała, ile jej zdecydowanie. Nie krygowała się nawet wtedy, gdy się rozbierała, ani przez moment nie wydawała się mieć wątpliwości...

Nasz salon był pusty. Czasem gdy ojciec nie mógł spać, siadał tam w piżamie; lubiłem z nim pogawędzić, zanim się położyłem. Teraz jednak rodzice już spali, z ich sypialni dobiegały pochrapywanie matki i westchnienia ojca. Przed snem wychyliłem jeszcze jedną szklaneczkę *raki* i wypaliłem papierosa. Położyłem się, ale nie zasnąłem od razu. W moim umyśle ożywały obrazy miłosnych chwil z Fiisun, wymieszane ze szczegółami uroczystości zaręczyn.

## 11. ŚMIĘTO OFIAR

Leżąc tak, w stanie pomiędzy snem a jawą, ujrzałem wujka Siireyyę, naszego dalekiego krewnego, i spotkanego na zaręczynach Yeşim jego syna, którego imię zawsze zapominam. Dawno temu, kiedy Fiisun przyszła do nas ze świąteczną wizytą i razem wybraliśmy się na przejażdżkę samochodem, wujek Siireyya też nas wtedy odwiedził.

Gdy przewracałem się na łóżku, starając się zasnąć, obraz tamtego zimnego, ołowianowoszarego poranka ożył przed moimi oczami niczym wspomnienie dobrze znane, a jednocześnie dziwnie obce, tak jak to się zdarza niekiedy w snach. Przypomniałem sobie trójkołowy rowerek i to, jak wyszedłem z Fiisun na ulicę, i jak w milczeniu przyglądaliśmy się zarzynaniu ofiarnego barana, a potem wsiedliśmy do samochodu.

Gdy następnego dnia spotkaliśmy się w kamienicy Zmiłowanie, wspomniałem jej o tym.

— Rowerek przyniosłyśmy z mamą, żeby go zwrócić — wyjaśniła Fiisun, która pamiętała wszystko lepiej niż ja. — Najpierw jeździliście na nim twój starszy brat i ty, a później twoja

mama dała rowerek mnie. Gdy podrosłam, był dla mnie za mały, mama przyniosła go więc z powrotem, właśnie wtedy, w święto.

— Moja matka musiała go tu przynieść. Teraz sobie przypominam, że wujek Siireyya też przyszedł tamtego dnia z wizytą...

— Poprosił wtedy o likier — zauważyła Fiisun.

Przejażdżkę samochodem, na którą nieoczekiwanie razem wyruszyliśmy, Fiisun też pamiętała lepiej niż ja.

Muszę tu wspomnieć o pewnym zdarzeniu, które przypomniało mi się pod wpływem jej opowieści. Fiisun miała wtedy dwanaście lat, ja — dwadzieścia cztery. Był 27 lutego 1969 roku, pierwszy dzień Święta Ofiar. Jak każdego roku w naszym domu w Nişantaşi radosny tłum bliższych i dalszych krewnych, szykownie wystrojonych, pod krawatami i w marynarkach, czekał na obiad. Co rusz odzywał się dzwonek u drzwi, pojawiali się nowi goście. Oto przyszła ciocia, młodsza siostra mojej matki, ze swym mężem o głowie jak dynia, oboje odświętnie ubrani, zaciekawieni dziećmi. Wszyscy wstają, nowo przybyli witają się po kolei z każdym, całują się, ściskają sobie dłonie, krzesła są odsuwane, pani Fatma i ja częstujemy gości słodyczami. I wtedy ojciec odwołuje mnie i brata na bok.

— Chłopaki, wujek Siireyya znów się dopytuje, czemu nie ma likieru. Niech któryś z was skoczy do sklepu, do naszego Alaaddina, i kupi likiery miętowy i truskawkowy.

Już w tamtych latach ojcu zdarzało się czasem wypić za dużo i matka przez wzgląd na jego zdrowie zakazała świątecznej tradycji podawania na srebrnej tacy, w kryształowych kieliszkach, likieru miętowego i truskawkowego. Dwa lata wcześniej, podczas podobnego świątecznego poranka, wujek Siireyya zaczął domagać się likieru i matka, by uciąć temat, rzuciła:

„Jak to, alkohol podczas religijnego święta?!”, co wywołało nie kończącą się dyskusję między nią a wujkiem, zagorzałym kemalistą, na temat religii, cywilizacji, Europy i Republiki.

— Który z was pójdzie? — spytał ojciec, wyciągając banknot z szeleszczącego pliku dziesięciolirówek, które specjalnie wypłacił z banku, by rozdać przychodzącym ze świątecznymi życzeniami dzieciom i stróżom.

— Niech Kemal idzie! — rzucił mój starszy brat.

— Niech Osman idzie! — odciąłem się.

— Idź ty, mój mały — ojciec zwrócił się do mnie. — • Tylko nie mów matce, dokąd...

Wychodząc, spostrzegłem Fiisun.

— Chodź, pójdziemy razem do sklepu!

Dwunastoletnia dziewczynka, chuda, z nogami jak patyki, ot, córka dalekich krewnych, oprócz śnieżnobiałej kokardy upiętej na starannie zaplecionych w warkocz czarnych lśniących włosach i schludnego stroju nie wyróżniała się niczym szczególnym. Teraz, po latach, Fiisun przypomniała mi zdawkowe pytania, jakie jej zadałem, gdy jechaliśmy windą: w której jesteś klasie (w pierwszej gimnazjalnej), do której szkoły chodzisz (do żeńskiego gimnazjum w Nişantaşı), kim chcesz zostać, jak dorośniesz (milczenie).

Wyszliśmy z budynku. Było chłodno. Po kilku krokach spostrzeżliśmy, że na pustej, zabłoconej parceli obok, pod niewielką lipą zebrało się parę osób szykujących się do zarżnięcia owcy.

Teraz zapewne uznałbym, że nie jest to widok odpowiedni dla małej dziewczynki, i nie pozwoliłbym jej podejść. Ale wtedy ruszyłem w tamtą stronę z bezmyślnym zaciekawieniem. Nasz kucharz Bekri i odźwierny Saim zakasali rękawy i przewrócili na ziemię związaną, pomalowaną henną owcę. Obok stał mężczyzna w fartuchu, z wielkim rzeźnickim nożem

w rękę, ale nie mógł zabrać się do dzieła, ponieważ zwierzę bardzo się szamotało. W końcu kucharzowi i odźwierzemu, którym z ust dobywały się obłoczki pary, udało się unieruchomić ofiarę. Rzeźnik złapał owcę za sympatyczny pyszczek i brutalnie wykręciwszy jej głowę, przystawił nóż do gardła. Zapadła cisza. *Allahiiekber\**, *allahiiekber!* — zawołał. Szybkim, posuwistym ruchem wbił nóż w białą szyję zwierzęcia. Gdy wyjął ostrze, z rany trysnęła obfita jaskrawoczerwona struga krwi. Owca szamotała się, widać było, że uchodzi z niej życie. Wszyscy stali w bezruchu. Nagły powiew wiatru zajęczał w liściach lipy. Rzeźnik obrócił głowę owcy i pozwolił krwi spływać do wykopanego uprzednio w ziemi dołka.

Zobaczyłem kilkoro dzieci o wykrzywionych twarzach, naszego kierowcę **Cetina**, modlącego się staruszka. Fiisun bez słowa chwyciła mnie za rękaw marynarki. Ciałem owcy wstrząsały jeszcze co jakiś czas dreszcze, ale były to już ostatnie skurcze. Rzeźnikiem, który wytarł w fartuch zakrwawiony nóż, był Kazim, ten który miał sklep przy posterunku policji — w pierwszej chwili go nie poznałem. Gdy napotkałem wzrok kucharza Bekriego, zrozumiałem, że była to kupiona na ofiarę nasza owca, która przez tydzień stała uwiązana na podwórku.

— Chodźmy już — powiedziałem do Fiisun.

Ruszyliśmy bez słowa. Odczuwałem niepokój, gdyż biernie przyglądałem się, jak mała dziewczynka stała się świadkiem takich rzeczy. Miałem poczucie winy, ale nie potrafiłem określić dłaczego.

Ani matka, ani ojciec nie byli religijni. Nigdy nie widziałem, by któreś z nich się modliło albo pościło. Jak wiele par, które dorastały w pierwszych latach Republiki, nie tyle po-

\* *Allahiiekber* — Bóg jest wielki.

gardzali religią, ile się nią nie interesowali, a swą obojętność tłumaczyli, podobnie jak wielu ich znajomych i przyjaciół, przywiązaniem do Atatiirka i idei laickiego państwa. Mimo to, jak wiele laickich, burżuazyjnych rodzin z Nigantagi, my też kazaliśmy na Święto Ofiar zarzynać barana i jak nakazywała tradycja, rozdawać mięso biednym. Ale ani ojciec, ani ktokolwiek z rodziny nie celebrował składania ofiary, pozostawiając to kucharzowi i odźwiernemu, podobnie jak rozdanie skóry i mięsa potrzebującym. Także ja nigdy dotąd nie uczestniczyłem w ceremonii odprawianej od lat w świąteczny poranek na niezabudowanej działce.

Gdy idąc z Fiisun w milczeniu do sklepu Alaaddina, mijaliśmy meczet Teşvikiye, zaczął wiać chłodny wiatr, a ja zdrząłem od narastającego we mnie niepokoju.

— Przestraszyłaś się? — spytałem. — Niepotrzebnie na to patrzyliśmy...

— Biedny baranek... — powiedziała.

— Wiesz, dlaczego złożono go w ofierze, prawda?

— Kiedyś, gdy będziemy szli do raju, ten baranek przeprowadzi nas przez most nad piekłem...

Tak ludzie niewykształceni i dzieci tłumaczyli sobie znaczenie ofiary.

— Ta historia ma swój początek — oświadczyłem tonem nauczyciela. — Znasz go?

— Nie.

— To posłuchaj: Ibrahim nie miał dzieci. „Allahu, obdarz mnie potomkiem, a zrobię wszystko, co zechcesz”, modlił się codziennie. W końcu jego modlitwy zostały wysłuchane i urodził mu się syn, Izmael. Ibrahim szalał z radości. Strasznie kochał swego syna, całował go, tulił i dziękował Allahowi, że został nim obdarzony. Pewnej nocy we śnie objawił mu się Allah i powiedział: „Zabij swego syna na ofiarę dla mnie”.



— Dlaczego tak powiedział?

— Posłuchaj dalej. Ibrahim był gotów spełnić rozkaz Allana. Wyjął nóż i już miał poderżnąć synowi gardło... I wtedy nagle pojawił się baranek...

— Dlaczego?

— Allah ulitował się nad Ibrahimem, zesłał mu baranka, by złożył go w ofierze zamiast syna. Allah przekonał się, że Ibrahim jest mu posłuszny.

— Gdyby Allah nie zesłał baranka, Ibrahim naprawdę zabiłby swojego syna?

— Na pewno — odpowiedziałem z niepokojem. — Allah też nie miał wątpliwości, że Ibrahim to robi, dlatego pokochał go i zesłał mu baranka, żeby się nie smucił.

Zorientowałem się, że nie jestem w stanie wyjaśnić dwunastolatce, jak ojciec może chcieć zabić swego syna, którego kocha nad życie. Mój niepokój zamienił się w męczarnię wyjaśniania małej dziewczynce znaczenia ofiary.

— Och, sklep Alaaddina jest zamknięty! Zobaczmy, czy ten na placu jest otwarty.

Poszliśmy na plac Nişantaşı. Kiosk z papierosami i gazetami U Nurettina też był zamknięty. Ruszyliśmy z powrotem do domu. Szliśmy w milczeniu, a ja obmyślałem, jak wyjaśnić postępowanie Ibrahima, by Fiisun poczuła doń sympatię.

— Ibrahim nie mógł oczywiście wiedzieć, że zamiast syna złoży w ofierze baranka. Ale tak mocno wierzył w Allana i tak bardzo go kochał, że czuł, iż nie spotka go z Jego strony nic złego... Jeżeli kogoś bardzo kochamy, jeżeli oddamy mu to, co jest dla nas najcenniejsze, wiemy, że ten ktoś nie wyrządzi nam krzywdy. To jest właśnie ofiara. A ty kogo najbardziej kochasz?

— Mamę i tatę.

Na chodniku przed domem spotkaliśmy kierowcę **Cetina**.

— Panie **Cetinie**, ojciec prosił, żeby kupić likier. W Nişantaşı wszystkie sklepy są zamknięte, niech pan nas zawiezie na Tak-sim. Trochę się przejedziemy.

— Ja też jadę, prawda? — spytała Fiisun.

Usiedliśmy na tylnym siedzeniu należącego do mojego ojca wiśniowego chevroleta model 1956. Pan **Cetin** poprowadził samochód przez pełne wybojów, brukowane kocimi łbami uliczki. Fiisun wyglądała przez okno. Przejechaliśmy przez Mackę, zjechaliśmy w dół, do Dolmabahe. Na opustoszałych ulicach napotkaliśmy zaledwie kilka odświętnie ubranych osób. Ale gdy mijaliśmy stadion, ujrzelśmy tłumek zebrany wokół zarzynanej ofiary.

— Panie **Cetinie**, niech pan z łaski swojej opowie małej, dlaczego składa się ofiary. Ja nie potrafię jej tego dobrze wytłumaczyć.

— Ależ bardzo proszę, paniczku Kemal — zgodził się szofer, nie mogąc odmówić sobie przyjemności zademonstrowania, że jest silniej niż my przywiązany do wiary. — Składamy ofiary na znak, że ufamy tak samo jak Ibrahim... Ofiara oznacza, że jesteśmy gotowi poświęcić Mu to, co mamy najcenniejszego. Tak mocno Go kochamy, panienko, że oddajemy mu to, co jest nam najdroższe. I to nie oczekując niczego w zamian.

— Czyż nie ma jednak obietnicy rajy po śmierci? — spytałem przebiegle.

— Jeśli taka będzie wola Boża... To będzie wiadomo w dniu Sądu Ostatecznego. Ale nie składamy ofiary po to, by pójść do rajy. Składamy ją, bo kochamy Boga i nie oczekujemy zapłaty.

— Bardzo interesuje się pan sprawami wiary, panie **Cetinie**.

— Ależ paniczku Kemal, pan jest taki wykształcony, na pewno wie pan więcej ode mnie. Zresztą żeby to wiedzieć, nie trzeba religii ani meczetów. Oddajemy komuś coś, co dla

nas jest niezwykle cenne, co nosimy głęboko w sercu, tylko dlatego, że tego kogoś bardzo kochamy i niczego za to nie oczekujemy.

— Ale wtedy ta osoba, dla której tak się poświęcamy, może poczuć się niezręcznie — zaoponowałem. — Będzie myślała, że czegoś od niej chcemy.

— Bóg jest wielki — oznajmił **Cetin**. — Wszystko wie i widzi... Zrozumie, że kochamy go bezinteresownie. Nikomu nie uda się oszukać Boga.

— O, tu jest otwarty sklep! — zawołałem. — Panie **Cetine**, proszę się zatrzymać, w tym barze sprzedają likier.

Szybko kupiliśmy z Fiisun po butelce likieru miętowego i truskawkowego, popularnych produktów monopolu państwowego, i wróciliśmy do samochodu.

— Panie **Cetine**, mamy trochę czasu, niech nas pan obwiezie po mieście — poprosiłem.

To, o czym rozmawialiśmy podczas tej długiej przejażdżki, przypominała mi dopiero po latach Fiisun. Mnie bowiem z owego chłodnego, ołowianoszarego poranka pozostało tylko jedno, bardzo wyraźne wspomnienie: w świąteczny poranek Stambuł przypominał rzeźnię. Nie tylko na obrzeżach miasta, na niezabudowanych parcelach przy wąskich uliczkach, na pogorzeliiskach i w ruinach, lecz także przy głównych alejach w bogatych dzielnicach już od wczesnego rana trwała rzeź dziesiątek tysięcy ofiar. W niektórych miejscach chodniki i bruk były zalane krwią. Nasz samochód zjeżdżał ze wzgórza, mijał mosty, krążył wąskimi uliczkami i wszędzie widać było ofiarne zwierzęta, niektóre już obdarte ze skóry, inne właśnie zarzynane, jeszcze inne pocięte na kawałki. Mostem Atatiirka przejechaliśmy na drugą stronę Złotego Rogu. Mimo święta, flag, odświętnie ubranych ludzi miasto wydawało się zmęczone i ponure. Przy Akwedukcie Walensa skręciliśmy w stronę

Fatih. Na pustym placu sprzedawano pomalowane henną owce na ofiarę.

— Też je zarzną? — spytała Fiisun.

— Pewnie nie wszystkie, panienko — odpowiedział **Cetin**.  
— Dochodzi południe, a jeszcze nie znalazły kupca... Może do końca świąt nikt ich nie kupi i nieszczęsne stworzenia ocaleją... Ale wtedy handlarze sprzedadzą je rzeźnikom, panienko...

— Zanim przyjdą rzeźnicy, kupimy je i uratujemy! — oświadczyła Fiisun. Miała na sobie eleganckie czerwone paletko. Uśmiechnęła się do mnie buńczucznie i mrugnęła okiem.  
— Odbierzemy owieczki człowiekowi, który chciał zarznąć własnego syna, prawda?

— Odbierzemy!

— Ależ z panienki mądrała! — stwierdził Cetin. — W gruncie rzeczy Ibrahim wcale nie chciał zabić syna. Ale taki był rozkaz Boga. Jeżeli nie będziemy słuchali rozkazów Boga, świat stanie na głowie i wszystko runie... Fundamentem świata jest miłość. A fundamentem miłości jest miłość do Boga.

— Ale jak ma to zrozumieć dziecko, które własny ojciec chce złożyć w ofierze? — spytałem.

— Paniczu Kemal, ja wiem, że pan tak mówi, bo lubi się pan ze mną droczyć i żartować, tak jak pana ojciec — powiedział szofer. — Pana ojciec bardzo mnie lubi. Ja też go ogromnie szanuję, nie obrażam się z powodu jego żartów, z powodu pańskich także nie. Odpowiem panu pewnym przykładem. Widział pan film pod tytułem *Patriarcha Ibrahim*?

— Nie.

— Pan oczywiście na takie filmy nie chodzi. Ale niech pan zabierze panienkę do kina i koniecznie obejrzyjcie ten film. Nie będziecie się nudzić... Ekrem Guciu gra Ibrahima. Myśmy poszli całą rodziną, z żoną, teściową, dziećmiakami, spłakaliśmy się jak bobry. Zwłaszcza gdy Ibrahim bierze do ręki nóż i patrzy

na syna... I wtedy, gdy jego syn, Izmael, mówi tak, jak napisano w Koranie: „Tatusiu, rób, co Allah nakazał!”, też płakaliśmy... A gdy pojawił się baranek, który miał zostać złożony w ofierze zamiast chłopca, wszyscy w kinie płakali z radości. Gdy od daje się komuś, kogo się kocha, to, co ma się najcenniejszego, i nie żąda niczego w zamian, świat staje się piękny, i dlatego płakaliśmy, panienko.

Dobrze pamiętam, jak przejechaliśmy z Fatihu do Edirnekapi i skręciwszy w prawo, zjechaliśmy wzdłuż Murów\* w dół, ku Żłotemu Rogowi. Długo nikt nie przerywał ciszy, jaka zapadła w samochodzie, gdy jechaliśmy przez przedmieścia, wzdłuż zrujnowanych umocnień. W ogrodach pomiędzy resztkami murów, na placykach przy fabryczkach i byle jak skleconych warsztatach, wśród śmieci, pustych beczek i odpadów widzieliśmy tylko pojedyncze zarżnięte zwierzęta, odłożone na bok ściągnięte skóry, wnętrzności i rogi. Tu jednak, w ubogich dzielnicach, wśród drewnianych domów pokrytych łuszczącą się farbą, radość ze święta przeważała nad jego ofiarnym charakterem. Przypominam sobie, jak z sympatią przyglądaliśmy się karuzelom i huśtawkom w świątecznym lunaparku, dzieciom kupującym pańską skórkę za grosiki otrzymane na święta, tureckim flagom umieszczonym jak rogi z przodu autobusów... Wszystkie te obrazy zbierałem później z pasją na pocztówkach i fotografiach.

Wjeżdżając pod górę na Şişhane, dostrześliśmy zbiegowisko pośrodku jezdni, zrobił się korek. Sądziłem, że to jakaś zabawa z okazji święta, aż do chwili gdy nasz samochód przejechał wśród tłumu i znalazł się tuż obok miejsca wypadku, gdzie ofiary wydawały ostatnie tchnienie. Na pochyłości zawiodły

\* Mury Teodozjusza — pozostałości miejskich umocnień z czasów bizantyjskich.

hamulce w ciężarówce, wjechała na przeciwległy pas i dosłownie staranowała samochód osobowy.

— Boże, tyś jest wielki! — powiedział **Cetin**. — Panienko, proszę na to nie patrzeć.

Przód samochodu był całkowicie zmiażdżony, jak przez mgłę dostrzeżliśmy rannego, lekko poruszającego głową. Do dziś pamiętam zgrzyt odłamków szkła pod kołami chevroleta i ciszę, jaka potem zapadła. Wjechaliśmy na wzgórze i szybko, jakbyśmy uciekali przed śmiercią, pomknęliśmy przez opustoszałe ulice z Taksimu na Nişantaşı.

— Gdzieście się podziewali tyle czasu? — zawołał ojciec na nasz widok. — Martwiliśmy się. Udało wam się kupić likier?

— Zaniosem do kuchni — odparłem.

W salonie pachniało perfumami, wodą kolońską i dywanami. Wmieszałem się w tłum krewnych i zapomniałem o małej Fiisun.

## 12. POCAŁUNEK W USTA

Gdy następnego dnia po południu znów spotkałem się z Fiisun, jeszcze raz powróciliśmy wspomnieniami do tej przejażdżki sprzed sześciu lat. A potem zapomnieliśmy o wszystkim i długo, długo całowaliśmy się i kochali. Sposób, w jaki Fiisun zamykała oczy i przytulała się do mnie z całej siły, jak tonący do koła ratunkowego, podczas gdy przenikający przez zasłony i firanki pachnący wiosenny wiatr wywoływał gęsią skórę na jej ciele w kolorze miodu, sprawiał, że traciłem głowę, nie potrafiłem dostrzec głębszego znaczenia tego, co przeżywałem, i dokładnie tego przeanalizować. Zrozumiałem, że aby nie pograżyć się jeszcze bardziej w poczuciu winy, w wątpliwościach, by nie zabłąkać się w niebezpieczne rejony, gdzie miłość znajduje pożywkę, potrzebuję męskiego towarzystwa.

Spotkałem się z'Fiisun jeszcze trzy razy, aż pewnej soboty zadzwonił mój starszy brat i zaprosił mnie na mecz z Giresunspor. Było prawdopodobne, że po tym meczu Fenerbahçe zostanie ogłoszony mistrzem kraju. Poszedłem. Z zadowoleniem stwierdziłem, że stadion Dolmabahçe, stadion mojego

dzieciństwa, przez dwadzieścia lat nic się nie zmienił, tyle że teraz nosił nazwę Stadion imienia İnönü. Widać było wprawdzie próby pokrycia boiska murawą na wzór stadionów europejskich, jednak trawa przyjęła się jedynie w narożnikach, dlatego boisko przypominało łysą głowę z resztkami włosów na skroniach i nad karkiem. Tak samo jak dwadzieścia lat temu, w połowie lat pięćdziesiątych, widzowie z numerowanymi, płatnymi trybun, niczym rzymscy obywatele oglądający popisy gladiatorów, obrzucali wyzwiskami złanych potem piłkarzy, a zwłaszcza mniej znanych obrońców, kiedy tylko ci zbliżyli się do linii bocznej: „Rusz się, kurwa, ty rozlazła cioto!”. Rozszalała widownia z otwartych trybun, złożona z bezrobotnych, biedaków, uczniów i studentów, rzucała podobne wyzwiska, skandując je i wyśpiewując chórem, by jak najgłośniej wykrzyczeć swój gniew. (Jak można było wyczytać następnego dnia na sportowych kolumnach gazet, mecz należał do łatwych). Przyłapałem się na tym, że po każdym gołu strzelonym przez Fenerbahę zrywam się na równe nogi i krzyczę wraz z innymi. W atmosferze święta i jedności, w tłumie mężczyzn nieustannie całujących się i gratulujących sobie, zarówno na trybunach, jak i na boisku, rodziło się we mnie uczucie, które spychało gdzieś na bok poczucie winy i wręcz przemieniało moje obawy w dumę. Ale w chwilach gdy na stadionie robiło się ciszej, gdy trzydzieści tysięcy ludzi słyszało odgłos uderzenia w piłkę, zwracałem wzrok ku Bosforowi widocznemu zza trybun, patrzyłem na radziecki statek przepływający przed pałacem Dolmabahę i myślałem o Fiisun. To, że wybrała właśnie mnie, choć nie znaleźmy się przecież zbyt dobrze, i tak spontanicznie mi się oddała, nie dawało mi spokoju. Wciąż miałem przed oczami jej długą szyję, urocze zagłębienie pępka, pojawiający się w jej oczach błysk zarazem podejrzliwości i uczucia, spojrzenie pełne smutnej



otwartości, jakim obdarzała mnie, gdy leżeliśmy w łóżku, nasze pocałunki...

— To chyba z powodu zaręczyn jesteś taki zamyślony — powiedział mój brat.

— Tak.

— Bardzo ją kochasz?

— Oczywiście.

Z uśmiechem na wpełń czułym, na wpełń ironicznym odwrócił wzrok i patrzył na grę toczącą się na środkowym polu. W palcach trzymał cygaro Marmara — dwa lata temu uznał palenie cygar krajowej produkcji za oryginalne i odtąd się z nimi nie rozstawał. Lekki wiatr, wiejący podczas meczu od strony wieży Leandra, wprawiający w przyjemny łopot wielkie flagi obu drużyn i małe chorągiewki w narożnikach, z uporem wciskał mi w twarz dym z cygara — zupełnie tak samo jak w dzieciństwie dym z papierosa mojego ojca. I tak samo jak w dzieciństwie oczy piekły mnie i łzawiły.

— Małżeństwo dobrze ci zrobi — oświadczył mój brat, nie odrywając wzroku od piłki. — Od razu postarajcie się o dziecko. Nie czekajcie z tym zbyt długo, będzie się mogło bawić z naszymi. Sibel to konkretna dziewczyna, twardo stąpa po ziemi, a ty lubisz bujać w obłokach, będzie więc dla ciebie dobrą przeciwwagą. Mam nadzieję, że nie zniechęcisz jej do siebie jak inne dziewczyny... Przecież to faul, sędzia kalosz!

Gdy Fenerbahę strzelił drugiego gola, obaj zerwaliśmy się na równe nogi, krzycząc: „Gooool!”, po czym padliśmy sobie w objęcia i ucałowaliśmy się. Po meczu dołączyli do nas kolega ojca z wojska, Kadri, zwany Kubłem, oraz kilku miłośników futbolu, biznesmenów, adwokatów. Z rozwrzeszczanym tłumem ruszyliśmy pieszo w dół wzgórza. Poszliśmy do hotelu Divan, gdzie popijając *raki*, rozmawiano o piłce nożnej i polityce. A ja myślałem o Fiisun.

— Aleś się zamyślił — powiedział pan Kadri. — W odróżnieniu od swojego starszego brata chyba nie lubisz futbolu.

— W zasadzie lubię, ale ostatnio...

— Kemal lubi piłkę, panie Kadri, ale nie dostaje dobrych podań! — odezwał się mój brat kpiąco.

— Mogę wymienić ci z pamięci skład drużyny Fenerbahę z 1959 roku — wykrzyknąłem. — Özcan, Nedim, Basri, Akiin, Naci, Avni, Mikro Mustafa, Can, Yiiksel, Lefter, Ergun.

— W tym składzie grał też Seracettin — wtrącił Kadri Kubę. — Zapomniałeś o nim.

— Nie zapomniałem, tylko wcale go nie było w tym składzie.

Wywiązała się dyskusja i jak zwykle- w takich wypadkach skończyło się zakładem, czy w zespole Fenerbahę na mistrzostwach w 1959 roku Seracettin grał czy nie grał. Założyłem się z Kadrim Kubem — kto przegra, ten postawi kolację kompanii pijącej *raki* w hotelu Divan.

Wracając do domu przez Nişantaşı, odłączyłem się od reszty towarzystwa. W kamienicy Zmiłowanie znajdowało się pudełko z moją kolekcją dołączanych do gumy do żucia papierków z podobiznami piłkarzy. Matka wyniosła je tam razem z innymi zabawkami z dzieciństwa. Wiedziałem, że jeśli uda mi się odszukać pudełko i zbierane wraz z bratem zdjęcia sportowców i artystów, wygram zakład.

Ale gdy tylko znalazłem się w mieszkaniu, zrozumiałem, że przyszedłem tu po to, by przypomnieć sobie chwile spędzone z Fiisun. Przez moment patrzyłem na pozostawione w nieładzie łóżko, gdzie się kochaliśmy, stojącą u jego wezgłowie popielniczkę pełną niedopałków, szklaneczki po herbacie. Nagromadzone przez moją matkę stare graty, nienakręcone zegary, naczynia kuchenne, leżące na podłodze wykładzina, zapach kurzu i rdzy połączyły się w mej wyobraźni z wypełniającymi

pokój cieniami i w jakimś zakamarku mojej duszy utworzyły isticie rajski, szczęśliwy kącik. Na dworze zrobiło się ciemno, ale z ogrodu wciąż dobiegały krzyki i przekleństwa grających w piłkę dzieciaków.

Owego majowego dnia 1975 roku odnalazłem w mieszkaniu w kamienicy Zmiłowanie blaszane pudełko, w którym w dzieciństwie chowałem obrazki z opakowań gumy do żucia Zambo — było jednak puste. Podobizny artystów, które zwiedzający muzeum mogą podziwiać, dostałem wiele lat później od pana Hifziego, w czasach, gdy przyjaźniłem się z nieszczęsnymi kolekcjonerami, marznącymi w zagraconych po sufit pokojach. Co więcej, przeglądając po latach tę kolekcję, odkryłem, że niektórych widocznych na zdjęciach aktorów, jak na przykład Ekrema Guciu (tego, który w filmie *Patriarcha Ibrahim* zagrał Ibrahima), poznałem osobiście, bywając w barach, do których przychodzili ludzie z branży filmowej. Już wtedy, tamtego dnia, wiedziałem, że ten magiczny pokój, w którym niemal fizycznie wyczuwałem aurę roztaczaną przez stare sprzęty i szczęście bijące z naszych pocałunków, będzie zajmował wyjątkowo ważne miejsce w moim życiu.

Jak większość ludzi w latach, w których toczy się akcja mojej opowieści, dwie całujące się w usta osoby po raz pierwszy w życiu zobaczyłem w kinie i doznałem wstrząsu. Było to coś, co niezwykle mnie zaintrygowało, i odtąd zawsze pragnąłem zrobić to z jakąś ładną dziewczyną. Oprócz kilku przypadkowych zdarzeń w Ameryce, przez całe moje trzydziestoletnie życie nigdzie indziej poza kinem nie widziałem całujących się par. Kina wydawały mi się — nie tylko w dzieciństwie, także później — miejscami, do których chodzi się po to, by zobaczyć, jak inni się całują. Akcja filmu była tylko pretekstem do pocałunku. Czułem, że kiedy Fiisun całowała się ze mną, naśladowała sceny, które wcześniej widziała na ekranie.

Chciałbym teraz opowiedzieć o całowaniu się z Fiisun. Jestem w rozterce. Z jednej strony pragnę podkreślić, jak istotną część mojej opowieści stanowią seks i pożądanie, z drugiej — chciałbym ochronić ją przed uznaniem za banalną i powierchowną. Sądzę, że smak cukru pudru na ustach Fiisun pochodził od gumy do żucia Zambo. Całowanie się z Fiisun przestało być aktem prowokacji, jak podczas naszych pierwszych spotkań, dokonywanym, by wystawić się nawzajem na próbę, wyrazić pociąg, jaki jedno odczuwało do drugiego. Stało się czymś, co robiliśmy dla obopólnej przyjemności, im częściej zaś się to zdarzało, tym bardziej nas zaskakiwało. Rozkoszując się smakiem swoich ust, po raz pierwszy dostrześliśmy, że w każdym długim pocałunku biorą udział nie tylko nasze wilgotne usta i ośmielające jeden drugiego języki, lecz także wspomnienia. Całując Fiisun, całowałem najpierw ją obecną, Fiisun ze wspomnień, a potem na moment otwierałem oczy i znów je zamknąwszy, całowałem Fiisun, którą widziałem przed chwilą, i tę, którą zapamiętałem, po czym pojawiały się inne podobne wspomnienia i też je całowałem, aż w końcu całowałem jednocześnie cały tłum Fiisun, co sprawiało, że wydawałem się sobie jeszcze bardziej męski. Tym razem, całując ją, całowałem ją jak kogoś innego, wszyscy Kemale, którymi stawałem się podczas naszego pocałunku, łączyli się z tłumem Fiisun ożywających w moich wspomnieniach, a rozkosz, jaką wzbudzały we mnie jej dziecinne usta, mięsiste wargi i zwinny, ruchliwy język igrający w moich ustach, połączona z zamętem w głowie i pojawiającymi się coraz to nowymi myślami („to jeszcze dziecko” — mówiła jedna myśl, „tak, bardzo kobiece dziecko” — odpowiadała druga), stawała się coraz większa. Wyczuwałem, że zarówno te długie pocałunki, jak i rozwijające się powoli nasze własne miłosne rytuały były oznaką powstania nowego rodzaju szczęścia, zapowiedzią uchylenia

bram raju, do którego tak trudno dostać się na tym świecie. Nie tylko otwierały przed nami wrota cielesnych rozkoszy i stale rosnącego pożądania, lecz także prowadziły nas poza wiosenne popołudnia, w ogromny, szeroki, nieogarniony Czas.

Czy mogłem się w niej zakochać? Czułem głębokie szczęście, a jednocześnie niepokój. Te przeciwstawne odczucia wskazywały, że moja dusza miota się między niebezpieczeństwem wzięcia tego uczucia na serio a trywialnym zlekceważeniem go.

Pewnego dnia wieczorem Osman ze swą żoną Berrin i dziećmi przyszli w odwiedziny do rodziców i jedli z nami kolację. Pamiętam, że przy stole nie przestawałem myśleć o pocałunkach Fiisun.

Następnego dnia koło południa wybrałem się samotnie do kina. Bynajmniej nie ze względu na film. Poczujęm, że nie jestem w stanie zjeść jak zawsze obiadu w lokalu dla rzemieślników w Pangalti, w towarzystwie starych księgowych z Satsat i troskliwych korpulentnych sekretarek, które z lubością przypominały mi, jakim to słodkim maluchem byłem w dzieciństwie. Chciałem zostać sam. Zbyt trudno byłoby mi jeść posiłek, żartując z pracownikami, wobec których odgrywałem rolę zarówno kolegi, jak i dyrektora bez zadęcia, a jednocześnie myśleć o Fiisun i czekać, kiedy wreszcie wybije druga.

W filmie, na który poszedłem, zachęcony reklamą pokazów filmów Hitchcocka (wpadła mi w oko, gdy szedłem aleją Republiki w Osmanbey, oglądając wystawy sklepów), pokazywana jest scena pocałunku z udziałem Grace Kelly. Papieros wypalony podczas pięciominutowej przerwy, lody Alaska Frigo, które odnalazłem po latach i umieściłem w moim muzeum, by przypominały o widzach porannych seansów, leniwych wagarowiczach i niepracujących paniach domu, latarka bileterki — wszystkie te eksponaty niech staną się dowodem na

to, że właśnie w kinie przypomniałem sobie o odczuwanych przez cały wiek dojrzewania potrzebie samotności i pragnieniu całowania się. Lubiłem chłód kinowej sali w gorący wiosenny dzień, duszne powietrze zalatujące pleśnią, paru kinomania-ków szeptem wymieniających między sobą uwagi. Lubiłem patrzeć na cienie przy skraju kurtyny z grubego aksamitu, na mroczne zakamarki kulis, oddając się marzeniom, a świadomość, że niedługo zobaczę Fiisun, ogarniała całą moją duszę jak uczucie niezwyklej błogości.

Po wyjściu z kina ruszyłem przez płataninę bocznych uliczek dzielnicy Osmanbey w stronę alei Teşvikiye, mijając po drodze sklepy tekstylne, kawiarnie, sklepy żelazne, pralnie, w których krochmalono i prasowano koszule. Szedłem w stronę miejsca naszej schadzki i pamiętam, że pragnąłem wtedy, aby było to nasze ostatnie spotkanie.

Na początku naprawdę starałem się uczyć Fiisun matematyki. Jej włosy opadające na kartki zeszytu, żywe ruchy dłoni po blacie stołu, sposób, w jaki gumka na końcu gryzionego przez nią ołówka niczym sutek zanurzała się w różowym zagłębieniu między wargami, dotknięcie ramieniem jej nagiego ramienia sprawiały, że traciłem rozum, ale panowałem nad sobą. Gdy zaczynaliśmy rozwiązywać jakieś równanie, na twarzy Fiisun pojawiał się buńczuczny wyraz. Szybko wydmuchiwała przed siebie dym z papierosa (czasem prosto w moją twarz) i kątem oka rzucała mi spojrzenia, by sprawdzić, czy widzę, jak szybko odniosła zwycięstwo, po czym popełniała prosty błąd w dodawaniu i wszystko psuła. Gdy uzyskany wynik nie pasował ani do odpowiedzi a, ani b, c czy d w teście, smutniała, po czym zaczynała gorączkowo się tłumaczyć: „To nie z głupoty, tylko z nieuwagi!”. Pouczałem ją z wyższością, że uwaga jest częścią inteligencji, i przyglądałem się czubkowi ołówka, który jak dziób głodnego wróbla pospiesznie przeskakiwał

po linijkach nowego zadania. Przeczesała palcami włosy i nie odzywając się słowem, sprawnie upraszczała równanie, a ja z niepokojem obserwowałem, jak znów narasta we mnie niecierpliwość i zamęt myśli. Nagle zaczynaliśmy się całować, całowaliśmy się długo i namiętnie, a potem szliśmy do łóżka. Kochając się, czuliśmy na sobie ciężar dziewictwa, wstydu, winy, poznawaliśmy to po naszych ruchach. Ale w oczach Fiisun widziałem przyjemność, jaką sprawiał jej seks, radość, że wreszcie odkrywa rozkosze, których tak długo była ciekawa i którymi jest oczarowana. Jak żądny przygód podróżnik, który pokonawszy wzburzony ocean, po licznych trudach dociera wreszcie do odległego kontynentu — tematu legend i opowieści — i pełen podziwu oraz zachwytu wita każde drzewo, każdy kamień, każdy strumień w tym nowym świecie, z entuzjazmem, ale i z uwagą wacha i smakuje każdy kwiat i owoc, tak samo Fiisun, z identyczną ciekawością i oszołomieniem, powoli odkrywała nowe doznania.

Tym, co w gruncie rzeczy najbardziej ciekawiło Fiisun, nie było moje ciało, ani też, mówiąc ogólnie, ciało mężczyzny, jeśli oczywiście nie liczyć najbardziej widocznego męskiego narzędzia rozkoszy. Jej uwaga i zainteresowanie kierowały się bardziej ku niej samej, ku własnemu ciału i odczuciom. Moje ręce, palce, usta były przydatne jedynie do odkrywania punktów rozkoszy na jej gładkim jak aksamit ciele i wewnątrz niego. Niektórych z nich zupełnie nie znała i musiałem pokazywać jej do nich drogę. Pojawiająca się wtedy rozkosz zaskakiwała ją — oczy Fiisun zasnuwała przyjemna mgła; wydając niekiedy okrzyki zadowolenia, z podziwem obserwowała wypływające z niej fale nowej przyjemności, wzbierające w żyłach, szyi, głowie, przebiegającą przez nią niczym dreszcz rozkosz, po czym znowu zwracała się do mnie z prośbą: — Zrób to jeszcze raz, zrób tak raz jeszcze!

Byłem szczęśliwy. Nie było to jednak szczęście, które mógłby zmierzyć mój umysł. To było coś, co najpierw czułem na skórze, a potem odbierałem jako fizyczne wspomnienie zdarzeń z codziennego życia, coś, co czułem na szyi, gdy telefonowałem, w krzyżu, gdy pośpiesznie wbiegałem po schodach, albo w piersi, gdy w pewnej restauracji na Taksimie jadłem kolację z Sibel, z którą za cztery tygodnie miałem się zaręczyć. Czasem zapominałem, że źródłem tego uczucia, które przez cały dzień towarzyszyło mi jak zapach na skórze, była Fiisun, i — zdarzyło się tak kilka razy — kochając się pośpiesznie z Sibel w biurze, gdy nie było tam już żywej duszy, miałem wrażenie, iż przeżywam takie samo, jedyne w swoim rodzaju, wielkie szczęście.



## 13. MIŁOŚĆ, ŚMIAŁOŚĆ, NOWOCZESNOŚĆ

Pewnego wieczoru, gdy poszliśmy do Foyer, Sibel dała mi w prezencie kupioną w Paryżu wodę toaletową Spleen. Choć nie lubiłem się perfumować, któregoś dnia z czystej ciekawości spryskałem szyję wodą. Fiisun zauważyła to, gdy skończyliśmy się kochać.

— Pani Sibel kupiła ci tę wodę?

— Nie. Sam sobie kupiłem.

— Żeby się podobać pani Sibel?

— Nie, kochanie, żeby się podobać tobie.

— Z panią Sibel też oczywiście sypiasz?

— Nie.

— Nie kłam, proszę — powiedziała Fiisun, a na jej wilgotnej od potu twarzy pojawił się wyraz niepokoju. — To moim zdaniem całkiem normalna rzecz. To oczywiste, że z nią także sypiasz — spojrzała mi głęboko w oczy, jak matka delikatnie napominająca dziecko, by mówiło prawdę.

— Nie.

— Uwierz, że kłamstwo zrani mnie boleśniej. Powiedz prawdę, proszę! Dlaczego ze sobą nie sypiacie?

— Sibel poznałem zeszłego lata w Suadiye\* — przytuliłem Fiisun i zacząłem opowiadać. — Latem mieszkanie na Nigantagi stało puste, więc tam się spotykaliśmy. Jesienią wyjechała do Paryża, a zimą kilka razy pojechałem ją odwiedzić.

— Samolotem?

— Tak. Gdy w grudniu Sibel skończyła studia i wróciła z Francji, aby wyjść za mnie za męża, zaczęliśmy spotykać się w domku letniskowym w Suadiye. Ale zimą panuje tam taki ziąb, że szybko odechciało nam się seksu.

— Zawiesiliście uprawianie seksu do czasu znalezienia ciepłego gniazdka?

— Dwa miesiące temu, na początku marca, pojechaliliśmy znowu do Suadiye. Było strasznie zimno; Rozpaliłem w kominku, ale narobiło się tylko pełno dymu i pokłóciliśmy się. Sibel mocno się przeziębiała, miała gorączkę, tydzień spędziła w łóżku. Nie chcieliśmy więcej tam jeździć i się kochać.

— Które z was nie chciało? — spytała Fiisun z ciekawością, która wydawała się sprawiać jej ból. — Ty czy ona? — Na jej twarzy łagodny wyraz mówiący: „proszę, mów prawdę” ustąpił miejsca błaganiu: „proszę, nie rób mi przykrości kłamstwem”.

— Sibel uznała chyba, że jeśli przed ślubem będziemy rzadziej uprawiać seks, będę wyżej cenił zaręczyny, małżeństwo i ją samą.

— Ale mówisz, że robiliście to.

— Nie rozumiesz. Nie chodzi o pierwszy raz.

— Ach tak — powiedziała, ścisząc głos.

— Sibel udowodniła, że bardzo mnie kocha i darzy zaufaniem. Ale wciąż odczuwa dyskomfort z powodu seksu przed

\* Suadiye — ekskluzywna dzielnica Stambułu na azjatyckim brzegu Bosforu.

ślubem... I ja to rozumiem. Nie jest tak śmiała i nowoczesna jak ty, choć tak długo studiowała w Europie...

Zapadła głucha cisza. Później całe lata zastanawiałem się, co ona oznaczała, i wydaje mi się, że teraz potrafię z całą pewnością to wyjaśnić: ostatnie zdanie, jakie wypowiedziałem do Fiisun, miało jeszcze jedno znaczenie. Dałem przez nie do zrozumienia, że przespanie się ze mną było ze strony Sibel aktem miłości i zaufania, a ze strony Fiisun — aktem odwagi i wyrazem jej nowoczesności. Wynikało z tego, że rzucając pod adresem Fiisun komplement o odwadze i nowoczesności, którego potem miałem przez długie lata gorzko żałować, dałem do zrozumienia, iż nie będę czuł szczególnej odpowiedzialności za Fiisun ani przywiązania do niej za to, że się ze mną przespała. Skoro bowiem była nowoczesna, przespanie się z mężczyzną przed ślubem czy też brak dziewictwa w noc poślubną nie powinny być dla niej problemem... Tak się przecież sądzi o Europejkach albo o pewnych kobietach ze Stambułu, o których krążą legendy... A przecież powiedziałem to z zamiarem sprawienia Fiisun przyjemności.

Gdy w panującej wtedy ciszy wszystkie te myśli, choć nie tak wyraźnie jak teraz, przechodziły mi przez głowę, mój wzrok padł na kołyszące się w podmuchach wiatru drzewa na podwórku. Leżąc i rozmawiając w łóżku po skończonym seksie, spoglądaliśmy czasem przez okno na drzewa, widoczne pomiędzy nimi budynki i przelatujące tu i tam wrony.

— Ja wcale nie jestem odważna i nowoczesna! — odezwała się Fiisun po dłuższej chwili.

Uznałem, że czuje się niezręcznie albo po prostu jest zbyt skromna, i nie zastanawiałem się dłużej nad jej słowami.

— Kobieta może całe lata kochać mężczyznę do szaleństwa, ale ani razu się z nim nie przespać... — dodała ostrożnie.

- Oczywiście — potwierdziłem. Znow zapadła cisza.
- Czyli obecnie nie sypiacie z sobą? Czemu nie przychodziliście tutaj?
- Jakoś nie przyszło nam to do głowy — odrzekłem. — Dawniej przychodziłem tu, by się uczyć, słuchać z kolegami muzyki, i dopiero gdy spotkałem ciebie, pomyślałem o tym mieszkaniu...
- Jestem gotowa uwierzyć, że nie pomyślałeś — oświadczyła Fiisun z przebiegłą miną. — • Ale reszta tego, co mi mówiłeś, to kłamstwa. Czyż nie? Chcę, żebyś zawsze mówił mi prawdę. Nie wierzę, że z nią teraz nie sypiasz. Przysięgnij!
- Przysięgam, że z nią teraz nie sypiam — zapewniłem, obejmując Fiisun.
- Kiedy zaczniecie znowu ze sobą sypiać? Latem, kiedy twoja mama wyjedzie do Suadiye? Kiedy wyjeżdża? Odpowiedz mi szczerze, o nic więcej nie będę cię pytać.
- Po moich i Sibel zaręczynach rodzice przeniosą się na lato do Suadiye — mruknąłem z zakłopotaniem.
- Do tej pory zawsze mówiłeś mi prawdę?
- Tak.
- Pomyśl dobrze.
- Udałem, że się zastanawiam. W tym czasie Fiisun wyciągnęła z kieszeni mojej marynarki prawo jazdy i bawiła się nim.
- Pan Ethem... Ja też mam drugie imię. Ale mniejsza z tym. I co, zastanowiłeś się?
- Tak. Nie kłamałem.
- Teraz czy w ogóle?
- Nigdy... Jesteśmy przecież w miejscu, gdzie nie potrzebujemy się nawzajem okłamywać.
- Co przez to rozumiesz?
- Wyjaśniłem jej, że nie łączą nas wspólne interesy, chęć zysku, pomiędzy nami panuje szczerłość i nie potrzebujemy

mać kłamstwem najczystszych, najbardziej podstawowych ludzkich uczuć, choć musimy je ukrywać przed innymi.

— Jestem pewna, że kłamiesz — oświadczyła Fiisun.

— Widzę, że twoje zaufanie do mnie szybko się ulotniło.

— W gruncie rzeczy chciałam, żebyś mnie oszukiwał... Bo kłamie się z obawy przed utratą czegoś cennego...

— Kłamie o tobie, ale tobie nie kłamie. Jeśli koniecznie chcesz, mogę cię oszukiwać. Spotkamy się jutro?

— Dobrze!

Objąłem ją z całej siły i wciągnąłem w płuca jej zapach. Ilekroć czułem tę woń, z nutami morza, karmelu i herbatników, ogarniało mnie uczucie szczęścia i wiary w przyszłość, choć czas spędzony z Fiisun ani trochę nie wpływał na zmianę kierunku, w którym toczyło się moje życie. Ta wewnętrzna radość i optymizm wydawały mi się czymś naturalnym, lecz bynajmniej nie dlatego, że jak wszyscy tureccy mężczyźni byłem przekonany o swojej racji, a co więcej, uważałem się za ofiarę czyjejś niesprawiedliwości. Chyba po prostu wciąż nie zdawałem sobie sprawy z tego, co mi się przydarzyło.

Już wtedy jednak zacząłem sobie uświadamiać, że w głębi mojej duszy powstają pęknięcia, tworzą się rany, które pewnych mężczyzn wpędzają w trwającą do końca życia beznadziejną, głęboką i czarną jak noc samotność. Co wieczór przed pójściem spać wyjmowałem z lodówki butelkę *raki*, nalewałem sobie szklaneczkę i patrząc przez okno, wypijałem ją w ciszy i samotności. Okna mojej sypialni na ostatnim piętrze budynku naprzeciwko meczetu Teşvikiye wychodziły na okna sypialni wielu innych rodzin podobnych do naszej; od czasów dzieciństwa siedzenie w ciemności i obserwowanie wewnątrz innych mieszkań napawało mnie spokojem.

Patrząc tak nocą na światła Nişantaşi, nieraz myślałem, że abym mógł dalej wieść piękne i szczęśliwe życie ze wszyst-

kim, do czego byłem przyzwyczajony, nie mogę zakochać się w Fiisun. Czułem, że nie wolno mi dać się pochłonać jej serdeczności, zmartwieniom, żartom, jej osobowości. Nie było to specjalnie trudne, gdyż lekcje matematyki i seks zabierały nam większość czasu. Z czasem, gdy po miłosnych igraszkach ubieraliśmy się i szybko opuszczaliśmy mieszkanie, zacząłem sądzić, że Fiisun dokłada podobnych starań, by się we mnie nie „zabujać”. Dziś jestem przekonany, że uświadomienie sobie rozkoszy, jaką dawały nam te chwile szczęścia, które było wtedy naszym udziałem, jest warunkiem koniecznym dla zrozumienia tego, co się wtedy działo.

Pragnienie przeżywania wciąż na nowo miłosnych uniesień, uzależnienie od doznawanej ekstazy jest niewątpliwie siłą napędową mojej opowieści. Za każdym razem, gdy po latach próbowałem zrozumieć moje uzależnienie od Fiisun, przypominały mi się te niezrównane momenty naszej bliskości, a w mojej głowie zamiast logicznych myśli pojawiały się obrazy scen miłosnych. Na przykład Fiisun siedzi mi na kolanach, a ja chwytam ustami jej dużą lewą pierś... Albo patrzę z zachwytem na kształtne plecy i pośladki Fiisun, a krople potu skapują z mego czoła i brody na jej śliczny kark... Albo wydawszy okrzyk rozkoszy, Fiisun otwiera na moment oczy... Albo widzę wyraz malujący się na jej twarzy, gdy osiągamy szczytowy moment uniesienia...

Wkrótce jednak spostrzegłem, że te obrazy nie były źródłem rozkoszy i szczęścia, lecz jedynie podniecającymi wizjami... Gdy wiele lat później usiłowałem zrozumieć, dlaczego tak się w niej zakochałem, próbowałem przypomnieć sobie nie tylko sceny miłosne, ale także zwykłe przedmioty, tamten pokój, otoczenie. Czasami na metalowej balustradzie balkonu przysiadła wrona i przyglądała się nam w milczeniu. Takie same wrony przyfruwały na balkon, gdy byłem mały. Matka straszyla

mnie wtedy: „Śpij już, zobacz, wrona się na ciebie patrzy!”. Fiisun też miała swoją wronę, której się bała.

W niektóre dni kurz na meblach i chłód panujący w pokoju, kiedy indziej znów wymięta pościel lub bladeść naszych ciał, brud, cienie, dobiegające z zewnątrz odgłosy ulicy, szum samochodów, nie kończący się hałas z placów budowy, nawoływania domokrażców pozwalały nam odczuć, że nasze miłosne schadzki nie są częścią snu, lecz odbywają się naprawdę. Czasem aż z Dolmabahçe, z Beşiktaşı dochodził do naszych uszu dźwięk syreny okrętowej i oboje zastanawialiśmy się, jaki to mógł być statek. Z każdym kolejnym spotkaniem kochaliśmy się coraz śmielej, szczerzej, bardziej otwarcie i zrozumiałem, że nie tylko ten rzeczywisty świat i niezwykle pociągające szczegóły seksualne, lecz także odrażające cechy ciała Fiisun, jej czyraki, pryszcze, owłosienie, niepokojące ciemne znamiona są dla mnie źródłem szczęścia.

Co mnie z nią łączyło oprócz niepohamowanej żądzy? Albo dlaczego mogłem się z nią kochać tak swobodnie? Czy tym, z czego zrodziła się nasza miłość, była rozkosz i stale odnawiające się pożądanie, czy też coś innego, co to pożądanie wytworzyło i podsycalo? W owe cudowne dni, gdy codziennie spotykałem się po kryjomu z Fiisun i uprawiałem z nią seks, nie zadawałem sobie tych pytań; byłem jak dziecko, które weszło do sklepu ze słodyczami i bez umiaru objada się cukierkami.

## 14. ULICE, PLACE I MOSTY STAMBUŁU

Któregoś razu Fiisun powiedziała o ulubionym nauczycielu z liceum: „Nie był taki jak inni mężczyźni”. Spytałem, co przez to rozumię, ale nie odpowiedziała. Dwa dni później zapytałem ponownie, co oznacza „być jak inni mężczyźni”.

— Wiem, że zadajesz to pytanie serio — powiedziała. — Ja też chciałabym ci serio odpowiedzieć. Mam to zrobić?

— Oczywiście... Czemu wstajesz?

— Nie chcę być naga, gdy będę ci o tym opowiadać.

— Ja też powinienem coś na siebie włożyć? — spytałem, ale nie odpowiedziała. Wstałem i ubrałem się.

Aby oddać panującą w tym momencie w pokoju ciężką, męczącą i przygnębiającą atmosferę, rozkładałem teraz następujące eksponaty: paczki papierosów, popielniczkę z Kutahyi, którą wyciągnąłem z jednej z szaf i przyniosłem do sypialni, filiżankę (tę używaną przez Fiisun) i szklankę do herbaty oraz muszelkę, którą Fiisun, snując swą opowieść, raz po raz brała do ręki i nerwowo się nią bawiła. Dziecinne kolorowe spinki Fiisun nie pozwolą z kolei zapomnieć, że te historie przydarzyły się dziecku.



Fiisun zaczęła swą opowieść od przykrych wspomnień związanych z małym sklepikiem przy ulicy Kuyulu Bostan, czymś pomiędzy kioskiem z papierosami, sklepem z zabawkami i papierniczym. Jego właściciel, Wujek Obłeśny, był kolegą jej ojca, od czasu do czasu spotykali się na partyjce *tavla*\*. Między ósmym a dwunastym rokiem życia Fiisun była często, zwłaszcza latem, posyłana przez ojca do tego sklepu po oranżadę, papierosy czy piwo. Za każdym razem Wujek Obłeśny mówił: „Nie mam drobnych, chodź, dam ci oranżadę zamiast reszty”, i pod tym pretekstem zatrzymywał ją w sklepie, a gdy nikogo nie było w pobliżu, pod byle pozorem (na przykład: „ale się spociłaś”) próbował obmacywać.

Gdy miała dziesięć, dwanaście lat, raz czy dwa razy w tygodniu wieczorem zachodził do nich ze swoją grubą żoną sąsiad, Gówniany Wąsacz, którego ojciec Fiisun bardzo lubił. Gdy razem słuchali radia, rozmawiali, pili herbatę, jedli ciasteczka, ten wysoki facet niepostrzeżenie dla nikogo, także dla Fiisun, która nie wiedziała nawet, o co chodzi, kładł rękę na jej ramieniu, biodrze, w taliu albo na udzie i przez chwilę tak ją trzymał, jakby przez zapomnienie. Czasami ręka „przypadkowo”, jak owoc spadający prosto do koszyka, opadała na podołek Fiisun i lekko drząc, wilgotniejąc i rozgrzewając się, szukała drogi wyjścia, aż nieruchomiała w pachwinie, a w tym czasie jej właściciel, gawędząc z pozostałymi domownikami, drugą ręką podnosił do ust szklaneczkę herbaty.

Dziesięcioletnia Fiisun chciała usiąść na kolanach ojcu grającemu z kolegami w karty, lecz ten się nie zgodził („Ależ córeczko, widzisz przecież, że jestem zajęty!”), a wtedy jego kumpel od karcianego stolika, Pan Szkaradny, powiedział: „Chodź do mnie, przynieś mi szczęście”, i objął ją, a potem

\* *Tavla* — popularna w Turcji gra towarzyska, tryktrak, backgammon.

w sposób, jak się szybko zorientowała, nie całkiem niewinny, przytulił i pieścił.

Ulice Stambułu, mosty, wzgórze, kina, autobusy, zatłoczone place i bezludne zaułki pełne były mrocznych cieni Wujów Obłeśnych, Gównianych Wąsaczy, Panów Szkaradnych, które ożywały w wyobraźni Fiisun — do żadnego z nich jednak nie czuła nienawiści („Być może dlatego, że żaden z nich naprawdę nie zawrócił mi w głowie”). Najbardziej dziwiło Fiisun to, że jej ojciec nie zauważał, iż jeden na dwóch odwiedzających ich dom gości w krótkim czasie zamieniał się w Wujka Obłeśnego albo w Gównianego Wąsacza, dopadał ją w korytarzu czy kuchni i obmacywał. Gdy skończyła trzynaście lat, zaczęła sądzić, że aby stać się dobrą dziewczyną, nie może skarżyć się na macanki ze strony tych zdradzieckich, obłeśnych i szkaradnych typów. Właśnie w tym czasie pewien chłopak z liceum, zakochany w niej po uszy (na tego wielbiciela Ftisun się nie uskarżała), napisał na murze dokładnie przed oknami ich mieszkania: „Kocham cię”, a wtedy ojciec przyciągnął ją za ucho do okna i pokazując napis, wymierzył jej siarczysty policzek. Rozmaici Bezwstydni Wujkowie lubili pokazywać swe kutasy w parkach, na pustych parcelach, w bocznych uliczkach, więc Fiisun, jak każda porządna stambulska dziewczyna, nauczyła się unikać takich miejsc.

Przypadki molestowania nie zdołały jednak zmącić jej optymistycznego spojrzenia na życie, gdyż mężczyźni, wciągając ją w tę mroczną, tajemną grę, z zapałem pokazywali jej jednocześnie, jak łatwo ich zranić. Wystarczyło, że zobaczyli ją na ulicy, w bramie szkoły, przy wejściu do kina, w autobusie, i już całe zastępy łąziły za nią krok w krok, niektórzy nawet całymi miesiącami, a ona udawała, że ich nie dostrzega, i żadnego nie było jej ani trochę żal (to ja spytałem o ten żal). Niektórzy z nich nie byli bynajmniej cierpliwi, zakochani czy grzeczni;

po pewnym czasie przechodzili do słownych zaczepek (jesteś bardzo ładna, czy możemy się razem przejść, przepraszam, chciałbym się o coś zapytać, głucha jesteś czy co? — i temu podobne), a potem dorzucanych z wściekłością wyzwisk i przekleństw. Byli tacy, którzy zamiast uganiać się za nią w pojedynkę, przyprowadzali coraz to nowych kolegów, by pokazać im dziewczynę będącą obiektem ich zainteresowania i zasięgnąć opinii. Niektórzy obleśnie chichotali z kumplami, inni próbowali wręczyć jej list lub upominek, jeszcze inni płakali. Odkąd jeden z namolnych wielbicieli na siłę próbował ją pocałować, nie starała się już zawstydząć prześladowców i przestała w jakikolwiek sposób odpowiadać na zaczepki. Od czternastego roku życia, od chwili, kiedy zrozumiała zdradzieckie zamiary „innych mężczyzn”, nie pozwalała się już przypadkiem obmacywać, nie dawała się łatwo wciągnąć w pułapki. Ale i tak ulice miasta wciąż pełne były pomysłowych osobników, którzy zawsze znaleźli sposób, by dziewczynę pomacać, uszczyptać, klepnąć, otrzeć się o nią. Nie dziwiło jej, gdy wystawiali rękę przez okno samochodu, by dotknąć kobietę idącą chodnikiem, gdy udawali, że się potknęli, by wpaść na nią, gdy próbowali pocałować ją w windzie albo wydając resztę, niby przypadkiem głaskali ją po palcach.

Każdy mężczyzna utrzymujący w tajemnicy związek z piękną kobietą jest zmuszony czasem z zazdrością, czasem z uśmiechem, a najczęściej ze współczuciem i pogardą wysłuchiwać rozmaitych opowieści o różnych mężczyznach zadurzonych w jego ukochanej, uganiających się za nią, próbujących się do niej zbliżyć. Na kursach przygotowawczych „Sukces” był chłopak w wieku Fiisun, miły, łagodny i przystojny. Stale proponował jej wspólne wyjście do kina albo do pobliskiej herbarciarni, i za każdym razem, gdy ją zobaczył, nagle się ożywił, po czym onieśmielony milkł. Pewnego razu, gdy okazało się, że

zapomniała ołówka, podarował jej długopis i kiedy zobaczył, że Fiisun notuje nim na zajęciach, był niezwykle szczęśliwy.

„Kierownikiem” tych kursów był pewien trzydziestokilkulatek z włosami nasmarowanymi brylantyną, cichy, nerwowy i denerwujący. Pod byle pozorem, a to „nie złożyłaś wszystkich wymaganych dokumentów”, a to „jeden z twoich formularzy testowych zaginął”, wzywał Fiisun do siebie i zaczynał mówić o sensie życia, urodzie Stambułu, swoich wierszach, a nie doczekawszy się ze strony dziewczyny żadnego zachęcającego gestu, odwracał się do niej plecami i patrząc przez okno, rzucał zduszonym głosem przez zaciśnięte zęby: „Możesz wyjść!”.

O wielu klientach — były wśród nich także kobiety — butiku Champs Elysees, którzy zauroczeni młodą sprzedawczynią, kupili od pani Źenay mnóstwo ubrań, biżuterii, różnych drobiazgów, Fiisun nie chciała wspominać. Po wielu naleganiach zdecydowała się opowiedzieć mi o „najśmieszniejszym” z nich. Miał około pięćdziesiątki, wąsy najeżone jak szczotka, był niski, gruby jak beczka, elegancko ubrany i bogaty. Rozmawiając z panią Źenay, układał w ciup małe usteczka i wtrącał długie zdania po francusku. Gdy wychodził ze sklepu, zostawiał za sobą silną woń perfum, która przyprawiała Cytrynkę, kanarka Fiisun, o utratę zmysłów.

Wśród kandydatów do jej ręki przysłanych przez swatkę, którą matka zatrudniła niby w tajemnicy przed Fiisun, był jeden, z którym dziewczyna kilka razy się spotkała. Spodobał jej się, bo sprawiał wrażenie zainteresowanego bardziej nią samą niż małżeństwem, i całowała się z nim. W zeszłym roku strasznie się w niej zakochał pewien chłopak z Liceum Roberta\*, poznany podczas międzyszkolnego konkursu mu-

\* **Robert Koleji** — założona w 1863 r. renomowana amerykańska szkoła w Stambule, z językiem wykładowym angielskim.

zycznego. Czekał na nią przed szkołą, codziennie się spotykali, kilka razy nawet się całowali. Tak, przez pewien czas chodziła też z Hilim Bektarem, ale z nim się nie całowała, bo jemu w głowie było tylko jedno: zaciągnąć dziewczynę do łóżka. Do piosenkarza Hakana Serinkana, prezentera konkursu piękności, poczuła sympatię nie dlatego, że był sławny, lecz dlatego, że gdy inni za kulisami tylko knuli intrygi i jawnie starali się pozbawić ją szans, on był miły i dodawał jej otuchy, a nawet wyjawiał w sekrecie pytania w kategorii „wiedza i inteligencja” (wraz z odpowiedziami oczywiście), które zadawał na scenie drżącym ze strachu kandydatkom. Potem jednak, gdy ów piosenkarz o nieco staromodnych manierach zaczął do niej wydzwaniać, nie odpowiadała na telefony, zresztą nie życzyła sobie tego matka. Wyraz mojej twarzy Fiisun słusznie odczytała jako oznakę zazdrości, jednak z wciąż zaskakującą dla mnie logiką uznała, że jestem zazdrosny tylko dlatego, iż był to znany prezenter, dlatego z czułością i zadowoleniem oświadczyła, że od szesnastego roku życia nie była w nikim zakochana. Lubiła, gdy w czasopismach, telewizji, piosenkach mówiono o miłości, jednak nieustanne opowiadanie o niej osobiście uważała za przejaw fałszu, podejrzewając, że wielu ludzi wcale nie jest zakochanych i jedynie obnosi się ze swymi uczuciami, by zwrócić na siebie uwagę innych.

— Czy kiedykolwiek czułaś coś podobnego do miłości?  
— spytałem, wyciągając się obok niej na łóżku.

— Chyba nie — odpowiedziała i po chwili zastanowienia, tonem kogoś, kto stara się być szczery, zaczęła opowiadać o jeszcze jednym przypadku.

Był to przystojny, bogaty i oczywiście żonaty trzydziesto-pięcioletni biznesmen, który zakochał się w Fiisun niemal chorobliwą miłością, co sprawiło, że i jej zaczęło się wydawać, iż mogłaby go pokochać. Pod wieczór, gdy kończyła pracę

w butiku, podjeżdżał po nią swoim mustangiem na róg ulicy Akkavak. Na parkingu pod wieżą Zegarową, przy pałacu Dolmabahçe, gdzie pijąc podawaną do samochodu herbatę, można podziwiać widok Bosforu, albo na pustym placu przed Pałacem Sportu i Sztuki\* siedzieli w samochodzie w ciemności, czasem też w deszczu, i całowali się, a rozpalony namiętnością mężczyzna zapomniał, że jest już żonaty, i proponował Fiisun małżeństwo. Być może mógłbym przyjąć opowieść o nim tak, jak tego chciała Fiisun, z uśmiechem, zdusić w sobie zazdrość, ale gdy wymieniła markę samochodu, opowiedziała, czym się zajmował, wspomniała jego duże zielone oczy, potworna zazdrość niemal odebrała mi rozum. Człowiek, którego imię wymieniła, Turgay, był bogatym przemysłowcem z branży tekstylnej, z którym zarówno mój ojciec i starszy brat, jak i ja często się spotykaliśmy, był naszym kolegą po fachu i przyjacielem rodziny. Nieraz widywałem tego przystojnego, wysokiego, tryskającego zdrowiem faceta paradującego z żoną i dziećmi po ulicach Nişantaşı — obraz prawdziwej rodzinnej idylli. Czyżby zazdrość, która mnie ogarnęła, była tak silna dlatego, że podziwiałem i szanowałem pana Turgaya za przywiązanie do rodziny, pracowitość, uczciwość? Fiisun szczegółowo opowiedziała mi, że z początku, chcąc ją „złowić”, przez wiele miesięcy przychodził niemal codziennie do butiku i wydawał spore sumy na sprawunki, by przekupić panią Şenay, która szybko się zorientowała w sytuacji.

— Nie rób przykrości mojemu specjalnemu klientowi — nalegała pani Şenay, więc Fiisun przyjmowała od niego prezenty; potem, nabrawszy pewności, że facet ją kocha, z ciekawości zaczęła się z nim spotykać, a nawet poczuła do niego dziwną

\* **Spor Sergi Salonu — otwarty w 1947 r. kompleks sportowo-wystawieniczny w dzielnicy Harbiye.**

sympatię. Pewnego śnieżnego zimowego dnia, wysłana przez panią Şenay do pomocy jej koleżance, która otworzyła sklep w dzielnicy Bebek, pojechała tam z nim jego samochodem. W drodze powrotnej zjedli obiad w Ortakóy, a wtedy lubieżny przemysłowiec, pan Turgay, wypiwszy nieco za dużo *raki*, zaczęła ją namawiać, zapraszając niby na kawę, by poszła z nim do jego garsoniery przy jednej z bocznych uliczek w Şişli. Gdy odmówiła, ten uczuciowy, subtelny mężczyzna stracił panowanie nad sobą. „Dam ci wszystko, co zechcesz” — obiecywał, wożąc ją mustangiem po niezabudowanych okolicach na obrzeżach miasta, próbował się z nią całować, a gdy stawiała opór, chciał dobrać się do niej siłą.

— Jednocześnie wciąż powtarzał, że da mi pieniądze — opowiadała Fiisun. — Następnego dnia po zamknięciu butiku nie spotkałam się z nim. Kolejnego dnia przyszedł do sklepu — albo zapomniał, co zrobił, albo nie chciał o tym pamiętać. Prosił i błagał, kupił mi zabawkę, miniaturowego mustanga, by przypominał mi piękne wspólnie spędzone chwile, zostawił ją u pani Şenay. Ale już nigdy nie wsiadłam do jego samochodu. Właściwie powinnam była mu powiedzieć, żeby już więcej nie przychodził, ale nie mogłam, przecież tak się we mnie kochał, jak dziecko zapominał o całym świecie. A może było mi go żal, nie wiem. Przychodził codziennie, pani Şenay była zadowolona, bo dużo kupował, zamawiał różne rzeczy dla żony, a gdy tylko udało mu się mnie dopaść w jakimś kącie, jego zamglone zielone oczy mówiły: „Niech będzie tak jak kiedyś, będę przyjeżdżał po ciebie co wieczór, pojedziemy na przejażdżkę samochodem, niczego więcej nie chcę”. Po tym, jak poznałam ciebie, zaczęłam się chować na zapleczu, gdy przychodził. Teraz zachodzi już znacznie rzadziej.

— Czemu wtedy, zimą, gdy całowałaś się z nim w samochodzie, nie poszłaś na całość i nie przespałaś się z nim?

— Nie miałam jeszcze wtedy skończonych osiemnastu lat — odpowiedziała, z powagą marszcząc brwi. — Osiemnaste urodziny obchodziłam dwa tygodnie przed naszym spotkaniem w sklepie, dwunastego kwietnia.

Jeżeli najwyraźniejszą oznaką miłości jest nieustanne myślenie o ukochanej lub kandydatce na ukochaną, byłem o krok od zakochania się w Fiisun. Jednak ukryty we mnie rozsądny, nie tracący zimnej krwi drugi „ja” powtarzał stale, że powodem, dla którego moje myśli wciąż krążą wokół Fiisun, są inni mężczyźni. Na twierdzenie, że zazdrość jest także ważną oznaką miłości, moja logika odpowiadała z irytacją, że jest to przemijające uczucie — wystarczy kilka dni, bym przyzwyczał się do istnienia listy innych mężczyzn, z którymi całowała się Fiisun, i zaczął nimi gardzić, bo nie potrafili posunąć się dalej i musieli zadowolić się jedynie pocałunkami.

Kochając się z nią tego dnia, z zaskoczeniem stwierdziłem, że nie działam tak jak zwykle pod wpływem dziecięcej radości z seksu, stanowiącej mieszankę gry, ciekawości i euforii, lecz wiedziony zamiarem, jak to określają dziennikarze, „objęcia jej w posiadanie”, wyrażam swe pragnienia władczymi, gwałtownymi gestami.



## 15. KILKA NIEMIŁYCH FAKTÓW ANTROPOLOGICZNYCH

Skoro wspomniałem o „obejmowaniu w posiadanie”, pozwólcie, że wrócę do tematu stanowiącego fundament mej opowieści, dobrze zresztą znanego niektórym czytelnikom i zwiedzającym. Licząc się z tym, że przedstawiciele przyszłych pokoleń, odwiedzający moje muzeum na przykład po roku 2100, mogą mieć trudności ze zrozumieniem jego idei, uznałem za konieczne przedstawić ponownie, choćbym miał się powtarzać, pewne nieprzyjemne — dawniej powiedziano by „niemiłe” — informacje typu antropologicznego.

W roku 1975 od narodzin Chrystusa, liczoną według kalendarza słonecznego, w regionie, którego centrum stanowił Sztambuł, na Bałkanach, Bliskim Wschodzie oraz na południowych i wschodnich wybrzeżach Morza Śródziemnego dziewictwo wciąż było cennym skarbem, który należało chronić aż do ślubu. W wyniku procesów zwanych westernizacją lub modernizacją, a szczególnie na skutek urbanizacji wiek zawierania małżeństw przez dziewczęta stale się podnosił i dlatego w niektórych dzielnicach Sztambułu faktyczna wartość tego skarbu

zaczęła nieznacznie spadać. Zwolennicy zachodniego stylu życia optymistycznie sądzili, że wskutek modernizacji, którą utożsamiali z postępowaniem cywilizacyjnym, ten typ moralności i cała ta kwestia zostaną zapomniane. Ale w owych latach nawet w najbogatszych, najbardziej zeuropeizowanych warstwach społeczeństwa Stambułu posunięcie się przez dziewczynę „do końca” i uprawianie seksu przed ślubem pociągało za sobą poważne konsekwencje.

Najmniej poważną z nich, o czym już opowiadałem, była konieczność wzięcia ślubu. W kręgach zeuropeizowanych bogaczy na uprawianie przedmałżeńskiego seksu przez parę poważnych młodych ludzi, którzy się zaręczyli lub pozostawali w akceptowanym społecznie związku prowadzącym do małżeństwa, tak jak to było w przypadku Sibel i moim, patrzono tolerancyjnie. Młode, wykształcone kobiety z wyższych sfer, które sypiały z kandydatami na swych mężów, wolały tłumaczyć swoje zachowanie nie zaufaniem do partnera, lecz nowoczesnością i wolnością, która pozwalała im nie przejmować się tradycją.

Jeśli to zaufanie jeszcze nie powstało i bycie razem młodych nie uzyskało społecznej aprobaty, a dziewczyna wskutek nalegań partnera, siły uczucia, alkoholu, głupoty, nadmiaru ciekawości i tym podobnych powszechnie znanych powodów straciła dziewictwo, mężczyzna, jeśli był wierny tradycyjnemu pojęciu honoru, powinien się być z nią ożenić, by uratować jej dobre imię. W wyniku takiej właśnie wpadki Ahmet, brat mojego kolegi z okresu młodości, Mehmeta, i jego dziewczyna Sevda, pełni strachu i poczucia winy, zawarli związek małżeński, który zresztą okazał się szczęśliwy.

Jeżeli facet próbował się wykręcić od małżeństwa, a dziewczyna nie miała jeszcze osiemnastu lat, jej rozwścieczony ojciec wnosił sprawę do sądu, by zmusić podrywacza do ożenku.

Niekiedy takie sprawy budziły zainteresowanie prasy i w gazetach pojawiały się ocenzone zdjęcia „uwiedzionej”, jak to dziennikarze określają, dziewczyny, z oczami zasłoniętymi czarnym prostokątem, by nikt nie rozpoznał jej w tej hańbiącej sytuacji. Takie same czarne prostokąty umieszczano na zdjęciach zatrzymanych w wyniku policyjnych nalotów prostytutek, a także na fotografiach cudzołożnic czy ofiar gwałtu, dlatego w tamtym czasie czytanie tureckich gazet przypominało udział w balu maskowym, gdzie wszystkie uczestniczki mają zasłonięte opaskami oczy. Jeśli nie liczyć uważanych za kobiety lekkich obyczajów piosenkarek, aktorek i uczestniczek konkursów piękności, Turczynki z nie zasłoniętymi oczami pojawiały się na zdjęciach w gazetach niezwykle rzadko. W reklamach bowiem preferowano nie będące muzulmankami cudzoziemki.

Nie do pomyślenia było, żeby będąca przy zdrowych zmysłach dziewczyna dziewica oddała się mężczyźnie, który nie obiecał jej małżeństwa — dziewczynę, która coś takiego zrobiła, powszechnie uważano za niespełna rozumu. W niezwykle popularnych w owym czasie melodramatach krajowej produkcji często, ku przestrodze, pokazywano poruszające losy dziewczyn, które na niewinnych z pozoru przyjęciach zostały najpierw oszołomione wrzuconym im do lemoniady narkotykiem, a potem „zbrukane” i pozbawione „najcenniejszego skarbu”. Zakończenie miało zawsze moralny wydźwięk, gdyż te szlachetne umierały, a te mniej szlachetne zostawały prostytutkami.

Bez wątplenia można przyjąć, że tym, co odbierało dziewczynie rozum, mógł być pociąg płciowy. Ale dziewczyna, która podchodzi do swej seksualności z pasją, szczerze i otwarcie jak dziecko, do tego stopnia, że jest gotowa odrzucić zwyczaj, z powodu których ludzie zabijają się wzajemnie, przeraża po-

tencjalnych kandydatów na męża, gdyż z jednej strony wydaje im się istotą nierzeczywistą, a z drugiej pozwala przypuszczać, że w przyszłości może zdradzać męża dla czystej przyjemności. Mój kolega z wojska, o skrajnie konserwatywnych poglądach, wyznał mi pewnego razu z zakłopotaniem, a przede wszystkim z żalem, że porzucił swoją dziewczynę, bo „za dużo się kochali przed ślubem” (choć robili to wyłącznie ze sobą).

Wobec tych wszystkich surowych reguł i kar (od wyrzucenia poza nawias społeczeństwa po śmierć) nakładanych na i tak łamiące je dziewczyny zadziwiające było panujące wśród młodych mężczyzn ze Stambułu przekonanie o istnieniu całych rzesz panien, które dla przyjemności sypiają z facetami przed ślubem. Przekonanie to, przez socjologów nazywane miejską legendą, rozpowszechnione było szczególnie wśród osiedlających się w Stambule przybyszy z prowincji, biedoty i drobnej burżuazji, tak jak wiara w Świętego Mikołaja wśród dzieci na Zachodzie, i uznawane bezdyskusyjnie za prawdziwe — nawet zeuropeizowani młodzi ludzie ze stosunkowo bogatych dzielnic, z Taksim, Beyoglu, Şişli, Nişantaşı czy Bebeku, przeżywając stany seksualnego głodu, dawali się zwieść tej miejskiej legendzie. Byli przekonani, że dziewczyny gotowe przed ślubem przespać się z mężczyzną zupełnie jak Europejki, czyli po prostu dla przyjemności, żyją w takich miejscach jak Nişantaşı, gdzie toczy się akcja tej opowieści, nie zakrywają chustką włosów i noszą minispódniczki. Moi koledzy, na przykład Hilmi Bękart, syn przemysłowca, wyobrażali je sobie jako chciwe stworzenia gotowe zrobić wszystko, byle tylko zbliżyć się do nich, chłopaków z bogatych rodzin, i wsiąść do ich mercedesów. W sobotnie wieczory, gdy po wypiciu niewielkiej ilości piwa solidnie się napalili, przeczesywali cały Stambuł, ulicę po ulicy, chodnik po chodniku, by spotkać choćby jedną taką dziewczynę. Dziesięć lat temu, gdy stuknęła

mi dwudziestka, pewnego zimowego wieczoru spędziłem na takich poszukiwaniach kilka godzin, krążąc po mieście z Hil-mim Bękartem mercedesem jego ojca. Nie spotkaliśmy żadnej kobiety, ani w krótkiej, ani w długiej spódniczce, aż w końcu, zapłaciwszy kupę forsy alfonsom, przespaliśmy się z dwiema rozrywkowymi panienkami, które w luksusowym hotelu w Bebeku prezentowały turystom i miejscowym lowelasom taniec brzucha. Nie obchodzi mnie, czy czytelnicy z przyszłych szczęśliwych stuleci będą mnie potępiać. Chciałbym wziąć jednak w obronę mojego kolegę Hilmięgo. Choć miał w sobie wiele z prymitywnego macho, nie uważał bynajmniej każdej dziewczyny w minispódniczce za jedną z legendarnych kobiet, wręcz przeciwnie, bronił przed natrętami tych, które z powodu ufarbowanych blond włosów, makijażu i krótkiej spódnicy stały się obiektami zaczepek, a gdy trzeba było, wdawał się nawet w bójki z obdartymi chłopakami z biedoty i młodymi wąsatymi nieponiami, by nauczyć ich, jak zachowywać się wobec kobiet i czym jest cywilizacja.

Uważni czytelnicy zorientowali się zapewne, że obserwacje natury antropologicznej umieściłem tu po to, by zdystansować się od zazdrości, jaką budziły we mnie miłosne opowieści Fiisun. Najbardziej zazdrosny byłem o pana Turgaya. Lecz ponieważ był on znanym mi przemysłowcem, mieszkającym tak samo jak ja w Nigantagi, traktowałem swą zazdrość jako coś naturalnego i sądziłem, że szybko minie.

## 16. ZAZDROŚĆ

Owego wieczoru, gdy Fiisun tyle mi naopowiadała o namiętności pana Turgaya, po kolacji w starym *yah* w Anadoluhisan, dokąd Sibel z rodzicami zawsze przenosiła się na lato, usiadłem obok narzeczonej.

— Kochany, za dużo dziś wypiełeś — stwierdziła. — Czy masz jakieś zastrzeżenia do przygotowań?

— W zasadzie jestem bardzo zadowolony, że zaręczyny odbędą się w Hiltonie. Wiesz, to mamie najbardziej zależało na hucznych zaręczynach... Powinna więc być usatysfakcjonowana.

— Co cię więc niepokoi?

— Nic... Daj mi listę gości...

— Ma ją moja mama, dostała od twojej.

Wstałem i zrobiwszy trzy kroki, od których zatrzęsł się cały dom, a deski podłogi wydały jęklive skrzypienia, każda inne, usiadłem przy mojej przyszłej teściowej.

— Czy, za pozwoleniem, mógłbym rzucić okiem na listę gości?

— Oczywiście, moje dziecko...

Choć w oczach dwoiło mi się i troiło od wypitej *raki*, od razu znalazłem na liście pana Turgaya i zostawionym przez moją matkę długopisem wykreśliłem jego nazwisko, po czym natychmiast, wiedziony impulsem, wpisałem Fiisun i jej rodziców, dodając też adres ich mieszkania przy ulicy Kuyulu Bostan.

— Mama o tym nie wie — szepnąłem, zwracając listę — lecz ten człowiek, którego nazwisko wykreśliłem, choć tak ceniliśmy go jako przyjaciela rodziny, całkiem niedawno przy poważnej transakcji dotyczącej dostaw przędzy dał się ponieść chciwości i wyrządził nam wiele szkód.

— Ach, nie ma już takich przyjaźni jak dawniej, nie ma już takich ludzi, Kemal — powiedziała moja przyszła teściowa, porozumiewawczo mrugając okiem. — Mam nadzieję, że ludzie, których wpisałeś na listę, nie zmartwią was jak tamci. Ile to osób?

— Daleki krewny mojej mamy, nauczyciel historii, jego żona, która całe lata dla nas szyła, oraz ich piękna osiemnastoletnia córka.

— O, jak dobrze! Potrzeba nam ładnych dziewcząt. Wśród zaproszonych gości jest tylu młodych chłopaków, że już zaczęliśmy się martwić, z kim będą tańczyć!

Gdy wracaliśmy do domu prowadzonym przez pana **Cetina** chevroletem model 1956 mojego ojca, na wprost śpiąc, przyglądałem się ruchliwym głównym ulicom pogrążonym w nocnym mroku, urodzie starych murów pokrytych politycznymi hasłami, spękaniem, plamami mchu i pleśni, snopom światła rzucanym przez reflektory miejskich promów na nabrzeża, w głąb ulic, na gałęzie stuletnich platanów i odbijającym się we wstecznym lusterku, a jednocześnie wsłuchiwałem się w delikatne pochrapywanie ojca, uśpionego na tylnym siedzeniu kołysaniem auta na nierównym bruku.

Matka była zadowolona, że wszystko układa się po jej myśli. Jak zawsze, gdy całą rodziną wybraliśmy się w gości, w drodze powrotnej do domu oceniała przebieg wizyty i spotkanych ludzi.

— Tak, to bardzo dobrzy, porządni ludzie, uczciwi, skromni, kulturalni, nie można im niczego zarzucić. Ale ten prześliczny stary *yah*, w jakim okropnym jest stanie! Aż szkoda! Nie stać ich na remont? Nie wierzę. Tylko nie zrozum mnie źle, synu, nie sądzę, byś znalazł w Stambule dziewczynę sympatyczniejszą i bardziej subtelną od Sibel, mającą lepiej poukładane w głowie niż ona.

Pozostawiwszy rodziców przed domem, poszedłem się przejść. Postanowiłem pójść koło sklepu Alaaddina, w którym w dzieciństwie z mamą i starszym bratem kupowaliśmy tanie krajowe zabawki, czekoladki, piłki, pistolety, szklane kulki, karty do gry, gumy do żucia z obrazkami, ilustrowane powieści i mnóstwo innych rzeczy. Sklep był jeszcze otwarty. Alaaddin zdjął gazety rozwieszane wokół pnia kasztanowca rosnącego tuż przed sklepem i miał właśnie pogasić światła, ale okazując niespodziewaną wyrozumiałość, zaprosił mnie do środka i pozwolił mi grzebać w paczkach gazet do zwrotu, które o piątej rano miały zostać zastąpione świeżymi. Dał mi w ten sposób czas na kupienie taniej lalki, którą postanowiłem podarować Fiisun, lecz gdy obliczyłem, że całe piętnaście godzin dzieli mnie od chwili, gdy będę mógł wziąć ją w ramiona i zapomnieć o zazdrości, po raz pierwszy poczułem ból, że nie mogę do niej zatelefonować.

To, co czułem, było jak żal, jak wypływające gdzieś z wnętrza pieczenie. Ciekawe, co ona teraz robi? Nogi same niosły mnie nie do domu, lecz dokładnie w przeciwną stronę. Skręciwszy w ulicę Kuyulu Bostan, przeszedłem obok kawiarni, w której w młodości przesiadywałem z kolegami, słuchając



radia i grając w karty, i obok szkolnego boiska, gdzie graliśmy w piłkę nożną. Choć byłem pijany, mój wewnętrzny głos rozsądku nie zamilkł zupełnie i podpowiadał mi, że drzwi otworzy ojciec Fiisun i skończy się to katastrofą. Podszedłem dalej na tyle, by móc z daleka widzieć jej dom i rozświetlone okna mieszkania. Gdy patrzyłem na okna na drugim piętrze, w które niemal wchodziły gałęzie kasztanowca, czułem, jak moje serce bije coraz mocniej.

Obraz, który wiele lat później zleciłem namalować, by wystawić go w tym miejscu w moim muzeum, niewątpliwie całkiem dobrze oddaje wygląd okien mieszkania Fiisun i jej rodziców, które od palącego się w mieszkaniu światła nabrały pomarańczowego koloru, nieźle też ukazuje oświetlone tym samym światłem gałęzie kasztanowca i głęboki granat nocnego nieba nad Nigantagi, z rysującymi się na jego tle dachami i kominami. Ale nie wiem, czy jest w stanie oddać zazdrość, jaką odczuwałem, gdy wpatrywałem się w ten widok.

Gdy tak patrzyłem, mój pijany umysł mówił mi z całą szczerością, że przyszedłem tu nie tylko po to, by choć raz zobaczyć Fiisun w tę rozświetloną księżycowym światłem noc, by ją pocałować, by z nią porozmawiać, lecz także po to, by nabrać pewności, że tego wieczoru nie spotyka się z kimś innym. Skoro raz już poszła na całość, być może jest ciekawa, jak to jest kochać się z jednym ze swych wielbicieli, wyliczonych tego dnia jeden po drugim. Radość, jaką Fiisun czerpała z odkrywania rozkoszy seksu, radość dziecka, które dostało nową, wspaniałą zabawkę, jej — tak rzadko moim zdaniem spotykana u innych kobiet — zdolność do oddawania się bez reszty uprawianiu miłości, stawały się przyczyną narastającej we mnie zazdrości. Nie pamiętam, jak długo patrzyłem w okna mieszkania Fiisun. Późno w nocy, z lalką w ręku, wróciłem do domu i położyłem się spać.

Następnego dnia, jadąc rano do pracy, rozmyślałem nad tym, co robiłem ostatniej nocy, nad rozmiarami zazdrości, której nie potrafiłem wyrzucić z serca. Tak głębokie zaangażowanie mogło mieć tragiczne skutki. Popijająca oranżadę Zefir modelka Inge patrzyła na mnie lubieżnie z bocznej ściany kamienicy i ostrzegała, bym uważał. By nie pozwolić namiętności przybrać na sile, postanowiłem w żartach zdradzić moją tajemnicę kolegom, Zaimowi, Mehmetowi, Hilmiemu. Ale wątpiłem, aby mogli mi pomóc. Lubili przecież Sibel, wiedziałem, że uważają mnie za szczęściarza, dlaczego więc mieliby nie odczuć zawiści na wieść o tym, co przydarzyło mi się z Fiisun, zwłaszcza że ją też uważali za atrakcyjną dziewczynę. W dodatku intuicja mówiła mi, że gdy poruszę ten temat, nie będę w stanie ukryć siły swoich uczuć. Po jakimś czasie porzucę żartobliwy ton, zacznę mówić o Fiisun ze szczerością, na jaką zasługuje, a koledzy od razu się zorientują, że wzięło mnie na poważnie. Przed oknami biura z łoskotem przejeżdżały rozklekotane autobusy na Lèvent i Mackę, którymi w dzieciństwie wracaliśmy z mamą i bratem z Tunelu\* do domu, a ja zrozumiałem, że w tej chwili niewiele mogę zrobić, by moja fascynacja Fiisun nie zaszkodziła małżeństwu, które zamierzałem zawrzeć. Uznałem, że najlepiej będzie nie robić nic, pozostawić sprawy ich własnemu biegowi i spokojnie delektować się szczęściem i rozkoszą tak szczerze oferowanymi mi przez życie.

\* Tunel — podziemna kolejka, łącząca dzielnicę Karakóy nad Złotym Rogiem z położoną na wzgórzu Galatą.

## 17. ODTĄD MOJE ŻYCIE JEST ZWIĄZANE Z TWOIM

Wystarczyło jednak, że tego dnia Fiisun spóźniła się dziesięć minut na schadzkę w kamienicy Zmiłowanie, bym natychmiast zapomniał o poczynionych postanowieniach. Zerkając co chwilę na zegarek подарowany mi przez Sibel oraz na budzik marki Nacar, którym Fiisun lubiła potrząsać, aby brzęczał, zacząłem niespokojnie przemierzać pokój tam i z powrotem, przy akompaniamencie skrzypiącego parkietu, i wyglądać zza uchylonych zasłon na ulicę Teşvikiye, a moje myśli uparcie krążyły wokół pana Turgaya. W końcu wybiegłem z mieszkania.

Ruszyłem ulicą Teşvikiye do butiku Champs Elysees, starannie obserwując oba chodniki, by nie przeoczyć nadchodzącej Fiisun. W sklepie jej nie zastałem.

— Bardzo proszę, panie Kemal! — powitała mnie pani Şenay.

— Postanowiliśmy z Sibel kupić tę torebkę Jenny Colon — powiedziałem.

— Namyślili się państwo jednak — w kącikach ust pani Şenay przez moment czał się kpiący uśmieszek. Nie trwał jednak

długo, gdyż tak jak ja czułem się zakłopotany z powodu Fiisun, tak dla niej krępujące było to, że wyszło na jaw, iż świadomie sprzedaje podrobione towary. Oboje milczeliśmy. Powolnym ruchem, który zdawał mi się umyślną torturą, zdjęła z wystawowego manekina torebkę i starannie ją wytarła, jak przystało na doświadczonego sprzedawcę, który nie podaje towaru, nie zdmuchnąwszy zeń ostatniej drobinki kurzu. Ja w tym czasie zainteresowałem się kanarkiem Cytrynką, któremu tego dnia humor najwyraźniej nie dopisywał.

Gdy wychodziłem ze sklepu z zapakowaną torebką, pani Šenay odezwała się, z satysfakcją bawiąc się dwuznacznością wypowiedzianych słów:

— Teraz, gdy obdarzył pan nasz sklep z a t i f a n i e m, być może będzie nas pan częściej zaszczycał swoją obecnością.

— Oczywiście.

Czy miało to oznaczać, że jeśli nie będę robił u niej wystarczająco dużych zakupów, da coś do zrozumienia Sibel, która od czasu do czasu odwiedzała ten sklep? Było mi przykro nie dlatego, że zaplątywałem się w sieć tej kobiety, lecz dlatego, że musiałem uważać na takie drobiazgi.

Będąc w sklepie, wyobraziłem sobie, że Fiisun zajrzała do kamienicy Zmiłowanie i poszła nie zastawszy mnie. W rozświetlony słońcem wiosenny dzień ulice były wypełnione paniami domu robiącymi zakupy, dziewczynami w minispódniczkach niewprawnie poruszającymi się w supermodnych ostatnio butach na koturnach, uczniami na wagarach. Szukając wzrokiem Fiisun, przyglądałem się cygańskim kwaciarkom, sprzedawcy amerykańskich papierosów z przemytu, który prawdopodobnie był policyjnym tajniakiem, typowemu dla Nigantagi tłumowi przechodniów.

Nagle przede mną przemknęła cysterna z napisem „Woda źródłana «Życie»”, a zza niej ukazała się Fiisun.

— Gdzie byłeś? — Gdzie byłaś? — powiedzieliśmy jednocześnie, z promieniejącymi szczęściem uśmiechami.

— Ta wiedźma podczas przerwy obiadowej została w sklepie, a mnie wysłała do swojej koleżanki. Spóźniłam się i już cię nie zastałam.

— Zaniepokoiłem się i poszedłem do sklepu. Kupiłem torebkę na pamiątkę.

Fiisun miała w uszach kolczyki; jeden z nich umieściłem później w gablocie przy wejściu do muzeum. Z alei Valikonagi skręciliśmy w mniej ruchliwą ulicę Emlak. Właśnie minęliśmy dom, w którym znajdował się gabinet dentystyczny, dokąd w dzieciństwie zabierała mnie mama, oraz gabinet pediatry — nigdy nie zapomnę zimnej metalowej szpatułki, którą bezlitośnie wepchnął mi kiedyś do gardła — gdy spostrzegliśmy zbierający się w dole wzgórza tłum, jacyś ludzie biegli w jego stronę, inni zaś odchodzili, wyraźnie wstrząśnięci tym, co ujrzeli.

Zdarzył się wypadek, wstrzymano ruch. Cysterna z napisem „Woda źródłana «Zycie»”, pędząc w dół ze wzgórza, zjechała na lewy pas i wpadła prosto na jadący nim dolmuş\*. Kierowca cysterny, której wysiadły hamulce, stał z boku i trzęsąc się ze zdenerwowania, zapalał papierosa. Wydłużony przód plymoutha z lat czterdziestych, kursującego na trasie Teşvikiye-Taksim, został kompletnie zmiądzony. Ocalał jedynie taksometr. Przez coraz liczniejszy tłum gapiów zdołałem dostrzec wciśnięte między resztki stłuczonej szyby i pogięte kawałki metalu zakrwawione ciało kobiety, pasażerki siedzącej na przednim siedzeniu. Rozpoznałem ją — była to brunetka, z którą przed chwilą minąłem się w drzwiach butiku Champs

\* **Popularny w Stambule środek komunikacji miejskiej, mikrobus kursujący po ustalonej trasie i zatrzymujący się na żądanie pasażerów.**

Elysees. Wszędzie dookoła pełno było odłamków szkła. Złapałem Fiisun za ramię.

— Chodźmy! — powiedziałem, ale nie zareagowała. W milczeniu napawała się widokiem zmiażdżonego ciała we wraku samochodu.

Gdy w końcu pojawił się policyjny radiowóz, opuściliśmy gęsty już tłum gapiów — obawiałem się nie tyle widoku martwej kobiety (tak, musiała być już martwa), ile spotkania kogoś ze znajomych. Bez słowa ruszyliśmy pospiesznie ulicą, gdzie mieścił się posterunek, w stronę kamienicy Zmiłowanie, ku temu, co na początku tej książki nazwałem najszczęśliwszą chwilą mojego życia.

Na chłodnej klatce schodowej objąłem Fiisun i pocałowałem ją w usta. Gdy weszliśmy do mieszkania, pocałowałem ją ponownie, lecz wyczułem, że jej skłonne do igraszek wargi są tym razem nieśmiałe, zaś ona zachowuje się z rezerwą.

— Muszę ci coś powiedzieć — oświadczyła.

— Powiedz.

— Boję się, że nie weźmiesz tego serio albo mnie odrzucisz.

— Zaufaj mi.

— Nie jestem pewna, ale i tak ci to powiem — na jej twarzy pojawił się wyraz zdecydowania, jak u kogoś, kto wie, że nie ma odwrotu, że nie może już dłużej ukrywać swej tajemnicy.

— Umrę, jeśli mnie odrzucisz.

— Nie myśl już o tym wypadku, kochanie, i powiedz, co chciałaś mi powiedzieć.

Zaczęła cicho płakać, tak samo jak wtedy, w południe, w butik Champs Elysees, gdy nie mogła oddać mi pieniędzy za torebkę. Jej szloch przeszedł w gniewny krzyk dziecka, które wścieka się z powodu doznanej niesprawiedliwości:

— Zakochałam się w tobie. Strasznie się w tobie zakochałam!

Jej głos brzmiał oskarżycielsko, a zarazem niezwykle czule.

— Cały dzień myślałam o tobie. Myślę o tobie od rana do wieczora.

Płakała z twarzą ukrytą w dłoniach.

Muszę przyznać, że w pierwszej chwili miałem chęć uśmiechnąć się jak głupek. Ale nie zrobiłem tego. Co więcej, ukryłem przepełniającą mnie radość i przybierając zatroskany wyraz twarzy, zmarszczyłem lekko brwi. To była najbardziej emocjonująca, najszczersza chwila w moim życiu, moje zachowanie tchnęło jednak pewną sztucznością.

— Ja też cię bardzo kocham.

Mówiłem szczerze, lecz moje słowa nie zabrzmiały tak zdecydowanie i poważnie jak jej. No i to ona pierwsza je wypowiedziała. Ja zrobiłem to po niej, dlatego moje wyznanie miłości zabrzmiało jak pocieszenie, zdawkowa grzeczność, dźwięczało w nim naśladownictwo. A w dodatku gdybym w tym momencie był bardziej zakochany w niej niż ona we mnie (co chyba było prawdą), to i tak ona znajdowała się na straconej pozycji, jako ta, która pierwsza wyznała swoją wielką miłość. Mój wewnętrzny miłosny ekspert — wolę nie wiedzieć, gdzie i w wyniku jakich obrzydliwych doświadczeń zdobył swą wiedzę — z perfidną satysfakcją obwieszczał mi, że niedoświadczona Fiisun przegrywa w tej grze, bo jest w niej bardziej szczerą niż ja. Mogłem z tego wnosić, że dręczące mnie zazdrość i urojenia wkrótce się skończą.

Zapłakana Fiisun wyjęła z kieszeni pomiętą dziecinną chusteczkę. Przytuliłem ją i pieszcząc jej niewiarygodnie gładką, wręcz aksamitną skórę szyi i ramion, powiedziałem, że to kompletnie nie ma sensu, gdy taka piękna dziewczyna jak ona, w której się wszyscy kochają, płacze, bo się zakochała.

• — To znaczy, że ładne dziewczyny nie mogą się zakochać? — spytała przez łzy. — Skoro wiesz wszystko, powiedz mi też, co...

— Co?

— Co z nami teraz będzie?

Patrzyła na mnie, jej wzrok zaś mówił, że to jest właśnie sedno całej sprawy, że nie da się zbyć słówkami o miłości i urodzie, a od mojej odpowiedzi zależy bardzo wiele.

Lecz ja nie znałem odpowiedzi. Wiem to dopiero teraz, gdy po latach wspominam tamtą chwilę. Wtedy zaniepokoiłem się, że tego rodzaju pytania mogłyby spowodować między nami rozdźwięk, za który w głębi duszy obwiniałbym Fiisun, dlatego nie powiedziałem nic i zacząłem ją całować.

Bez entuzjazmu odwzajemniała moje pocałunki. Spytała, czy tylko taką mam odpowiedź.

— Tak — potwierdziłem.

— Czy nie mieliśmy najpierw zająć się matematyką? — rzuciła mi pytająco.

W odpowiedzi znowu zacząłem ją całować, a ona całowała mnie. Przytulanie się, całowanie wydawało się bardziej naturalne niż próby wyrażenia słowami sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy, wszystko wypełniała nieodparta moc „tu i teraz”. W miarę jak zdejmowała ubranie, Fiisun z przygnębionej dziewczyny, zmartwionej tym, że się zakochała, zmieniała się w pełną temperamentu kobietę, gotową zapomnieć się w miłośnym uniesieniu. W ten sposób zaczęliśmy przeżywać to, co uznałem za najszcześniejszy moment mojego życia.

Przeżywając taką chwilę, nie zdajemy sobie sprawy, że jest to najszcześniejsza chwila w naszym życiu. Możemy oczywiście sądzić, albo wręcz mówić szczerze (i często), że ten wyjątkowy moment jest właśnie teraz, ale mimo to jakaś część naszego „ja” wciąż wierzy w jeszcze piękniejsze, jeszcze szcześniejsze chwile, które zdarzają się w przyszłości. Nikt bowiem nie jest w stanie, zwłaszcza w młodości, żyć w przekonaniu, że potem będzie tylko gorzej, a jeżeli przeżywając najszcześniejszy mo-



ment swego życia, potrafi sobie wyobrazić jego wyjątkowość, to zaczyna wierzyć, iż przyszłość też będzie wspaniała.

Lecz gdy czujemy, że nasze życie zaczyna przybierać swój ostateczny kształt, niczym powieść, możemy dokładnie określić, tak jak ja to robię właśnie teraz, która chwila była tą najszczęśliwszą. Aby wyjaśnić, dlaczego spośród wszystkich wybraliśmy właśnie tę, a nie inną, będziemy zapewne musieli całą naszą historię opowiedzieć od nowa, właśnie jak powieść. Wskazując ten najszczęśliwszy moment, wiemy już jednak, że odszedł w przeszłość, nigdy nie wróci, to zaś sprawia nam ból. Jedyną natomiast rzeczą, która pozwoli nam go znieść, jest posiadanie jakiejś pamiątki po owej złotej chwili. Przedmioty pozostałe po szczęśliwych chwilach wierniej bowiem niż ludzie, którym te chwile zawdzięczamy, przechowują wspomnienia barw, radości czerpanej z czyjegoś dotyku i widoku.

Gdzieś w połowie naszego długiego miłosnego aktu, czyli w najszczęśliwszym momencie mojego życia, gdy oboje z podniecenia traciliśmy oddech, gdy pocałowałem jej wilgotne od potu ramię i objąwszy ją, wszedłem w nią, a potem delikatnie ją ugryzłem w szyję i lewe ucho, kolczyk, na którego kształt na początku nie zwróciłem uwagi, wysunął się z ucha Fiisun i spadł na błękitną pościel.

Każdy, kto ma jakiegokolwiek pojęcie o kulturze i muzeach, wie, że u podstaw wiedzy o cywilizacji Zachodu, która za władnęła dziś całym światem, leżą muzea, a ich założyciele, prawdziwi kolekcjonerzy, gromadząc pierwsze okazy, potem klasyfikowane i katalogowane (pierwsze katalogi to jednocześnie pierwsze encyklopedie), nie mieli pojęcia, do czego te ich działania doprowadzą, nie wiedzieli nawet, że to, co trafia do ich rąk, stanowi początek kolekcji.

Gdy chwila, którą nazwałem najszczęśliwszą w moim życiu, dobiegła końca i nadeszła pora rozstania, kolczyk skrył

się gdzieś pomiędzy nami w fałdach prześcieradła, a Fiisun spojrzała mi prosto w oczy.

— Odtąd moje życie jest związane z twoim — powiedziała cicho.

Spodobało mi się to, a jednocześnie mnie przeraziło.

Następnego dnia, gdy znów spotkaliśmy się w kamienicy Zmiłowanie, w oczach Fiisun dostrzegłem tyle samo nadziei, co strachu.

— Zgubiłam wczoraj jeden kolczyk — powiedziała, pocałowawszy mnie na powitanie.

— Jest tutaj, kochanie — wsunąłem rękę do prawej kieszeni marynarki wiszącej na oparciu krzesła. — Ach, nie ma! — Przez moment czułem zbliżającą się katastrofę, ale ciepły poranek przypomniał mi, że przecież mam dzisiaj na sobie inne ubranie. — Został w kieszeni drugiej marynarki.

— Proszę, przynieś go jutro, tylko nie zapomnij — powiedziała Fiisun, szeroko otwierając oczy. — Wiele dla mnie znaczy.

## 18. HISTORIA BELKIS

Wszystkie gazety poświęciły wypadkowi sporo miejsca. Fiisun nie czytała gazet, ale pani Şenay przez cały ranek tyle razy mówiła o zabitej kobiecie, że Fiisun zaczęło się wydawać, iż niektóre z mieszkanki Nişantaşı wstępowały do sklepu tylko po to, by porozmawiać o ofierze wypadku.

— Pani Şenay zamierza jutro w południe zamknąć butik, żebym ja też mogła wziąć udział w pogrzebie — oznajmiła mi Fiisun. — Zachowuje się tak, jakby tamta kobieta była bardzo lubiana. A przecież nie była...

— A jaka była?

— To prawda, że często przychodziła do sklepu. Ale na ogół tylko brała do przymierzenia w domu najdroższe sukienki, które dopiero co przyszły z Włoch czy z Paryża, zakładała je na przyjęcie, a następnego dnia przynosiła z powrotem i mówiła, że na nią nie pasują. Pani Şenay złościła się, bo jak sprzedać potem taką sukienkę, skoro wiele osób już ją widziało. Poza tym była opryskliwa wobec nas wszystkich, stale się targowała, dlatego pani Şenay jej nie lubiła i obgadywała ją za plecami.

Jednak ta kobieta miała szerokie znajomości, dlatego pani Şenay wolała się jej nie sprzeciwiać. A ty ją znałeś?

— Nie. Ale kiedyś była dziewczyną jednego z moich kolegów — powiedziałem i poczułem wyrzuty sumienia, że jestem dwulicowy, chcąc historię związaną z zabitą kobietą zachować dla Sibel. Spodziewałem się, że będę mieć większą przyjemność z opowiadania tego właśnie jej. A przecież jeszcze niecały tydzień wcześniej ani trochę nie przejąłbym się tym, że ukryłem coś przed Fiisun, czy nawet że jej skłamałem. Kłamstwo wydawało mi się wtedy zabawnym, nieuniknionym skutkiem ubocznym związku tego rodzaju. Teraz zacząłem się zastanawiać, czy jakoś nie skrócić i nie zmienić tej historii, tak by móc ją opowiedzieć Fiisun; zrozumiałem jednak, że to niemożliwe. Musiała wyczuć, że coś przed nią ukrywam, powiedziałem więc szybko:

— To bardzo smutna historia. Tę biedaczkę potępiano, bo spała z wieloma mężczyznami.

Wcale tak nie myślałem, po prostu rzuciłem ot, tak sobie, bez zastanowienia. Zapadła cisza.

— Nie bój się — odezwała się w końcu Fiisun niemal szeptem. — Do końca życia nie pójdę z nikim innym do łóżka.

Po powrocie do Satsat poczułem wewnętrzny spokój, ochocho wziętem się do roboty i po raz pierwszy od dłuższego czasu pracowałem z przyjemną świadomością, że zarabiam pieniądze. Z moim pracownikiem Kenanem, nieco młodszym ode mnie i pełnym zapału, wśród śmiechów i żartów przejrzeliliśmy po kolei prawie sto nazwisk figurujących na liście dłużników firmy.

— Cóż pocniemy z panem Hojnym, panie Kemalü? — spytał Kenan z uśmiechem, unosząc żartobliwie brwi.

— Ano, trzeba będzie zaapelować do jego hojności, skoro ma takie nazwisko...

Wracając wieczorem do domu, szedłem ulicami Nişantaşı pod mocno już zazielenionymi platanami i wciągałem głęboko w płuca zapach lip napływający z ogrodów przy pałacykach dawnych wielmożów, które wtedy jeszcze nie padły pastwą ognia. Patrząc na stojące w korku samochody i ich kierowców z wściekłością trąbiących klaksonami, poczułem, że jestem zadowolony z mojego życia — wczorajszy kryzys miłości i zazdrości przeminął, a wszystko zmierza ku dobremu. W domu wziąłem prysznic i gdy wyjmowałem z szafy czystą, wyprasowaną koszulę, przypomniałem sobie o kolczyku. Nie znalazłszy go w kieszeni marynarki, do której — jak sądziłem — wczoraj go włożyłem, przeszukałem szafę i szuflady. Zajrzałem też do miseczki, gdzie Fatma, nasza gosposia, wrzucała wszelkie znalezione urwane guziki, spinki do mankietów, drobne monety, które wypadły z kieszeni, zapalniczki. Nigdzie go jednak nie było.

— Fatmo! — zawołałem ściszym głosem. — Czy Fatma nie widziała gdzieś tutaj pojedynczego kolczyka?

Jasny i przestronny pokój w głębi mieszkania, należący do mojego starszego brata, dopóki ten się nie ożenił, pachniał parą z żelazka i lawendą. Fatma, układając uprasowane tego popołudnia moje i ojca chustki do nosa, koszule i ręczniki, odpowiedziała, że nie widziała żadnego kolczyka. Z kosza pełnego wymieszanych skarpetek nie do pary wyjęła jedną i uniosła ją jak niesforne małego kotka.

— Tylko popatrz, ty wiercipazurze! — zwróciła się do mnie, używając jednego z nadanych mi w dzieciństwie przezwisk. — Jak nie obetniesz paznokci, wszystkie skarpetki będziesz miał dziurawe! Ja ci ich cerować nie będę!

— Już dobrze, dobrze.

W kącie salonu, od strony alei Tesvikiye, siedział ojciec okryty białym fartuchem, a fryzjer Basri strzygł mu włosy.

Matka, siedząc jak zwykle w przeciwległym rogu pokoju, coś mu opowiadała.

— Chodź, przyniosłam właśnie najnowsze plotki — powiedziała na mój widok.

Basri, który do tej pory z ponurą miną udawał, że nie słyszy opowieści mojej matki, na dźwięk słowa „plotki” znieruchomiał z nożyczkami w ręku i wyszczerzył w uśmiechu swe długie zęby.

— Na czyj temat?

— Młodszy syn Lerzanów chce podobno zostać rajdowcem, ale jego ojciec się nie zgadza i...

— Wiem. Rozbił w drobny mak ojcowskiego mercedesa. A potem zadzwonił na policję, że wóz skradziono.

— A słyszałeś, co zrobiła Şaziment, żeby wydać swoją córkę za syna Karahanów? Czekaj, a dokąd to się wybierasz?!

— Nie będę na kolacji. Idziemy z Sibel na przyjęcie.

— Idź i powiedz Bekriemu, żeby nie smażył niepotrzebnie barwen. Specjalnie dla ciebie poszedł dziś po nie na targ rybny w Beyoğlu. Obiecuj, że zjesz je jutro na obiad.

— Słowo honoru!

Słabe, siwe włosy mojego ojca spadały na parkiet, widoczny spod podwiniętego, by się weń nie wczepiały, dywanu.

Wyprowadziłem samochód z garażu i włączyłem radio. Wybijając palcami na kierownicy rytm słyszanych piosenek, przejechałem przez most na Bosforze i w ciągu godziny dotarłem do Anadoluhisan. Na dźwięk klaksonu mojego auta Sibel wybiegła z *yah*. Podczas jazdy wspomniałem, że zabita we wczorajszym wypadku na ulicy Emlak kobieta to dawna dziewczyna Zaima („Zaima Zasługujesz na Najlepsze”? — zapytała z uśmiechem Sibel), i zacząłem opowiadać jej całą historię.

— Miała na imię Belkis, była trochę starsza ode mnie, musiała mieć jakieś trzydzieści dwa, trzydzieści trzy lata. Pocho-

działa z biednej rodziny. Gdy zaczęła bywać w lepszym towarzystwie, nieżyczliwe jej osoby, żeby ją ośmieszyć, rozповідаły, że jej matka chodziła w chustce\*. Gdzieś pod koniec lat pięćdziesiątych, na akademii z okazji 19 maja\*\*, poznała pewnego chłopaka, swojego rówieśnika, zakochali się. Chłopak, Faris, był najmłodszym synem Kaptanoglu, rodziny armatorów, wówczas jednej z najbogatszych w Stambule. Ta historia miłości ubogiej dziewczyny i bogatego chłopaka, jak żywcem wzięta z któregoś z tureckich melodramatów, trwała całe lata. Albo uczucie łączące tę parę licealistów było tak silne, albo oboje byli tak bezmyślni, że nie tylko uprawiali seks przed ślubem, ale na dodatek wcale się z tym nie kryli. Najrozsądniej byłoby oczywiście, gdyby się pobrali, ale sprzeciwiła się temu rodzina chłopaka, przekonana, że dziewczyna z ubogiej rodziny poszła na całość tylko po to, by złapać bogatego męża, i wszyscy o tym wiedzą. Chłopak najwyraźniej nie miał dość siły, żeby poprowadzić wybrankę do ołtarza wbrew woli rodziców, był jeszcze głupi i zależny od nich finansowo. Rodzina zamiast wyprawić im wesele, rozwiązała sprawę, fundując obojgu studia we Francji. Po trzech latach chłopak zmarł w Paryżu z jakiegoś powodu, może od narkotyków, a może ze smutku. A Belkis, zamiast, jak to bywa w takich wypadkach, związać się z jakimś Francuzem i zapomnieć o Turcji, wróciła do Stambułu i zaczęła wieść bogate życie erotyczne u boku różnych zamożnych mężczyzn, budząc tym zazdrość kobiet z towarzystwa. Jej drugim kochankiem był Sabih Niedźwiedź... Po rozstaniu z nim miała romans z najstarszym synem rodziny Demirbag, który właśnie

\* W zeuropeizowanych kręgach noszenie przez kobietę chusty bywa uznawane za oznakę zacofania i przynależności do niższych klas społecznych.

\* Święto Sportu i Młodości oraz Dzień Pamięci Atatürka, obchodzone w rocznicę lądowania Mustafy Kemala Paszy w Samsunie.

leczył rany po doznanym zawodzie miłosnym. Następny jej kochanek, Rifki, też był facetem po uczuciowych przejściach, więc przez pewien czas mężczyźni z wyższych sfer nazywali ją anielską pocieszycielką i każdy miał ochotę przeżyć z nią przygodę. Wszystkie zaś bogate zamężne kobiety — które przez całe życie nie spały z innym mężczyzną prócz męża lub co najwyżej w wielkiej tajemnicy, dręczone poczuciem wstydu, wdały się w jeden krótkotrwały romans, lecz sparaliżowane lękiem przed kompromitacją nie potrafiły czerpać z niego przyjemności — chętnie utopiłyby Belkis w łyżce wody z zazdrości za to, że bez cienia skrępowania romansowała z najbardziej pożądanymi kawalerami, a w dodatku miewała także nader wielu, jak mi się wydaje, żonatych kochanków. Ale jej uroda zaczynała powoli przygasać, nie miała pieniędzy, by się stroić, dbać o siebie, można więc powiedzieć, że ten wypadek okazał się dla niej najlepszym wyjściem...

— Dziwne, że spośród tylu mężczyzn żaden nie chciał się z nią ożenić — stwierdziła Sibel. — Czyżby nikt nie pokochał jej tak mocno, by pójść z nią do ołtarza?

— Mężczyźni zakochują się w tego typu kobietach, i to mocno. Ale małżeństwo to coś zupełnie innego. Gdyby nie przespała się z Farisem Kaptanoglu, tylko najpierw wyszła za niego mąż, szybko zapomniano by o jej ubogim pochodzeniu. Z drugiej strony, gdyby Belkis była z bardzo bogatej rodziny, nikt by jej nie wypominał, że w dniu ślubu nie była dziewicą. Ale że nie potrafiła osiągnąć tego, co udawało się innym, że prowadziła tak swobodne życie seksualne, wszystkie te baby z towarzystwa nazywały ją kurwą pocieszycielką. Rzuciła się w pierwszą miłość bez opamiętania, bez reszty oddała się ukochanemu i być może za to powinniśmy ją podziwiać.

— A ty ją podziwiasz?

— Nie, zawsze wydawała mi się odstręczająca.



Przyjęcie, nie pamiętam już teraz, z jakiej okazji wydawane, odbywało się na długim betonowym pomoście przy jednym z nadmorskich domów w Suadiye. Sześćdziesiąt, może siedemdziesiąt osób z kieliszkami w rękach uważnie mierzyło się nawzajem wzrokiem i wymieniało półszepcem uwagi, kto przyszedł, kto już tu był. Wyczułem, że większość kobiet nie jest zadowolona z długości swoich strojów; znaczna część tych, które włożyły minispódniczki, nie czuła się swobodnie, pewno myślały, że mają za krótkie lub zbyt grube nogi. Dlatego na pierwszy rzut oka wszystkie przypominały przesiadujące w barze, zdenerwowane, początkujące panie do towarzystwa. Tuż obok pomostu, w miejscu, gdzie wyciągano na brzeg łodzie, z grubej rury wylewały się do morza ścieki. Ich smród docierał aż do tłumu gości, pomiędzy którymi krążyli kelnerzy w białych rękawiczkach.

Pewien lekarz duszy, który natychmiast po przedstawieniu się wręczył mi świeżo wydrukowaną wizytówkę i oznajmił, że niedawno wrócił do kraju po studiach w Ameryce i otworzył gabinet, na usilne prośby pani w średnim wieku, lecz wciąż pełnej kokieterii, zaprezentował otaczającej go grupce słuchaczy swą definicję miłości: jest to dające szczęście pragnienie uprawiania seksu wyłącznie z jedną osobą, mimo nadarżających się okazji do uprawiania go z innymi. Po dyskusji na temat miłości wdałem się w rozmowę z pewną matką, która przedstawiła mi swoją osiemnastoletnią córkę. Zastanawialiśmy się, gdzie wobec bojkotu zbyt upolitycznionych tureckich uniwersytetów powinna wysłać dziewczynę na studia. Temat ten nasunął się po doniesieniach prasowych, że w obawie przed kradzieżą pytań na ogólnokrajowy egzamin wstępny pracownicy drukarni, gdzie drukowano testy, zostali skazani na długotrwały pobyt w areszcie domowym.

Dużo później na pomoście zjawili się wysoki, przystojny Zaim o pociągłej twarzy i pięknych oczach oraz niemal dorównująca mu wzrostem Inge, niemiecka modelka. Na ich widok niejedno serce ścisnął bolesny skurcz, i to bynajmniej nie z podziwu dla urody tej pary. Szczupła, długonoga Inge, naturalna blondynka z niebieskimi oczami i mlecznobiałą cerą, bezlitośnie wytykała opętanym manią bycia Europejkami paniom ze stambulskiej socjety, desperacko farbującym włosy na blond, depilującym brwi i biegającym od butiku do butiku w poszukiwaniu stosownych kreacji, że odcień skóry i właściwa ich rasie budowa stanowią w ich wyglądzie skazę, której nie da się naprawić. Mnie zaś najbardziej w Inge pociągał dobrze mi znany wyraz jej twarzy, uśmiech, kształt ust. Uśmiechała się przecież do mnie co rano z reklamy w gazecie, a potem, gdy szedłem do pracy, spotykałem ją na bocznej ścianie kamienicy w Harbiye. Oczywiście na przyjęciu wokół Inge błyskawicznie zebrał się tłumek.

W drodze powrotnej Sibel odezwała się, przerywając panującą w aucie ciszę:

— Ten Zaim „Zasługujesz na Najlepsze” to być może dobry chłopak. Ale nie dość, że użył w reklamie tej czwartorzędnej niemieckiej modelki, która wygląda, jakby sypiała z arabskimi szejkami, to jeszcze pokazuje wszystkim, że jest jego kochanką. Uważasz, że tak wypada?

— Jest wielce prawdopodobne, że ta modelka sądzi, iż niczym się nie różni od arabskich szejków, i żywi wobec nas równie przyjacielskie uczucia. Oranżada dobrze się sprzedaje. Zaim powiedział kiedyś, że jeśli Turcy dowiedzą się, że turecki produkt podoba się także ludziom z Europy, tym chętniej będą po niego sięgać.

— Widziałam u fryzjera, że w „Weekendzie” zamieścili na rozkładówce zdjęcie tej kobiety z Zaimem, a do tego jeszcze

wywiad z nią, zilustrowany okropnym, prostackim zdjęciem, na którym jest półnaga.

Milczeliśmy przez dłuższą chwilę. W końcu uśmiechnąłem się i powiedziałem:

— Widziałaś tego potężnie zbudowanego faceta, który łamanym niemieckim zapewniał Inge, że bardzo efektownie wygląda w tej reklamie, i uparcie gapił się na jej włosy, by mu się wzrok przypadkiem nie ześlizgnął na jej odsłonięty biust? To właśnie był Sabih Niedźwiedź, drugi kochanek tej Belkis, która zginęła w wypadku...

Ale Sibel już spała, podczas gdy auto przejechało pod spowitym mgłą mostem nad Bosforem.

## 19. POGRZEB

Następnego dnia w południe wyszedłem z biura i udałem się do domu, by tak jak obiecałem, zjeść z matką smażoną barwenę. Uwalniając leżące na talerzu ryby z cieniutkiej jak błona różowawej skóry i z chirurgiczną precyzją delikatnie wybierając z mięsa na wpół przezroczyste ości, omawialiśmy przygotowania do zaręczyn i „najnowsze wieści z frontu” (jak określiła to matka). Po dopisaniu znajomych, którzy dali do zrozumienia, że nader chętnie zostaliby zaproszeni, a których pod żadnym pozorem nie wolno było urazić, lista gości wydłużyła się i obejmowała już dwieście trzydzieści nazwisk. W tej sytuacji menedżer hotelu Hilton, chcąc zapobiec ewentualnym problemom z niewystarczającą ilością „zagranicznych alkoholi” (wyrażenie fetysz), nawiązał już kontakty z kolegami po fachu z innych hoteli i znajomymi importerami trunków. Renomowane krawcowe szyjące dla pań z wyższych sfer, jak Ipek Ismet, Şaziye, Şermin Mańkutka czy Madame Mualla, niegdysiejsze koleżanki i konkurentki matki Fiisun, miały pełne ręce roboty, a ich pracownice ślęczały do białego rana

nad zamówionymi na zaręczyny kreacjami. Ojciec źle się czuł i drzemał w swoim pokoju. Matka uważała, że źródłem jego kiepskiej formy nie są problemy zdrowotne, lecz zły nastrój, nie potrafiła jednak dociec, co mogło w takim stopniu zepsuć mu humor tuż przed zaręczynami syna, a ponieważ sądziła, że ja mogę coś wiedzieć na ten temat, starała się mnie wy badać. Gdy kucharz Bekri podał na stół ryż z *ęehriye\**, który należało spożyć jako następne danie po rybie — zgodnie z niezmiennym zwyczajem z czasów dzieciństwa — by nie zachciało jej się pływać, matka nagle posmutniała, jakby cała jej radość ulotniła się wraz ze zjedzonym daniem.

— Tak mi żal tej biedaczki! — powiedziała ze szczerym smutkiem w głosie. — Ileż ona wycierpiała. Ileż przeszła, jak strasznie jej zazdrościli. A w gruncie rzeczy dobra była z niej kobieta, bardzo dobra.

Nie wyjaśniając, o kim mówi, matka opowiedziała, jak to przed laty poznali się z „nią”, czyli panią Belkis, i jej ówczesnym kochankiem, Demirem, starszym synem rodziny Demirbag, w górskim kurorcie Uludag, i gdy mój ojciec i Demir grali w karty, matka z Belkis do późnej nocy siedziały w hotelowym barze urządzonym w rustykalnym stylu, piły herbatę, robiły na drutach i gawędziły.

— Wiele się nacierpiała ta biedaczka, najpierw z powodu ubóstwa, potem przez mężczyzn. Wiele, wiele przeszła — oznajmiła matka, po czym zwróciła się do gosposi, Fatmy: — Kawę podaj na balkonie. Będziemy oglądać wyprawienie ciała.

Okna i szeroki balkon salonu naszego rozległego mieszkania, w którym (z wyjątkiem pobytu w Stanach) spędziłem prawie całe życie, wychodziły na dziedziniec meczetu Teşvikiye,

\* *Şehriye* — makaron w kształcie ziaren, dodawany do gotowanego ryżu.

gdzie co dzień celebrowano przynajmniej jeden pogrzeb. Oglądanie pogrzebów było ulubioną rozrywką naszego dzieciństwa, która oswajała nas zarazem z przerażającą tajemnicą śmierci. W meczecie odprawiano ceremonie pogrzebowe nie tylko członków bogatych stambulskich rodzin, lecz także znanych polityków, generałów, dziennikarzy, piosenkarzy i aktorów. Stąd wyruszali oni w ostatnią drogę przy dźwiękach marszu pogrzebowego Chopina, granego, zależnie od rangi i pozycji zmarłego, przez orkiestrę wojskową lub miejską, niesieni powoli w trumnach na ramionach żałobników aż na plac Nişantaşı. W dzieciństwie braliśmy z bratem na ramiona ciężką poduszkę i sformowawszy kondukt złożony z kucharza Bekriego, Fatmy, szofera **Cetina** i innych osób, szliśmy powoli korytarzem, wyśpiewując marsz pogrzebowy i lekko kołysząc się na boki, jak ci, którzy naprawdę nieśli trumnę. Matka zawsze uprzejmie przyjmowała niezapowiedzianych gości, którzy tuż przed pogrzebem byłych premierów, słynnych bogaczy czy piosenkarzy pukali do naszych drzwi, mówiąc: „Przechodziłem w pobliżu i postanowiłem zajrzeć”, ale gdy wychodzili, nie omieszkała zauważyć: „Nie przyszli do nas w odwiedziny, lecz po to, by obejrzeć pogrzeb”. W ten sposób chciała dać nam do zrozumienia, że owe wystawne uroczystości urządzone są nie po to, by zamyślić się nad śmiercią czy okazać szacunek zmarłemu, lecz po to, by zaspokoić ludzkie upodobanie do ceremonii i zwykłe gapiostwo.

— Usiądź tutaj, będziesz lepiej widział — zaproponowała matka, gdy tylko zajęliśmy miejsca przy małym stolczku na balkonie. Kiedy jednak zauważyła, że nagle poblądłem, a na mojej twarzy pojawił się wyraz zupełnie niepodobny do wyrazu zadowolenia z oglądania widowiska, zrozumiała to opacznie: — Nie poszłam na pogrzeb tej kobiety, której tak mi żal, nie dlatego, mój drogi, że twój ojciec leży chory. Nie zniósłabym

widoku takich typów, jak Rifki czy Sarnim, w ciemnych okularach założonych niby po to, by ukryć łzy, a tak naprawdę po to, by nikt się nie zorientował, że nie uronili ani jednej. A poza tym stąd lepiej wszystko widać. Co ci jest?

— Nic. Wszystko w porządku.

Moje serce zaczęło gwałtownie bić, gdy przy głównej bramie meczetu, od strony alei Teşvikiye, na schodach prowadzących w dół, tam gdzie stała trumna, w zacienionym miejscu, w którym na pogrzebach zawsze gromadziły się kobiety, wśród pań z towarzystwa okrytych szykownymi wielobarwnymi szalami i kobiecim w zwykłych chustkach dostrzegłem Fiisun. Osłoniła głowę szalem w kolorze pomarańczy. W prostej linii dzieliło nas jakieś siedemdziesiąt, osiemdziesiąt metrów. Ale z wysokości, na której się znajdowałem, nie tylko widziałem, lecz wręcz czułem, jak oddycha, marszczy brwi, jak jej delikatna skóra w południowym upale pokrywa się potem i jak ściśnięta wśród zakwefionych kobiet czuje się nieswojo i przygryza leciutko dolną wargę z lewej strony, przenosząc ciężar drobnego ciała z jednej nogi na drugą. Miałem ochotę krzyknąć do niej i pomachać ręką, by jak we śnie bezskutecznie spróbować zwrócić na siebie jej uwagę, moje usta nie wydały jednak żadnego dźwięku, a serce wciąż łomotało w mej piersi.

— Pójdę już, mamó.

— Ach, co ci jest? Zbladłeś jak prześcieradło!

Zszedłem na dół i z oddali przyglądałem się Fiisun. Stała obok pani Şenay. Przysłuchiwała się jej rozmowie z szykownie ubraną korpulentną damą, a jednocześnie w zamyśleniu nawiązała na palec zwisający koniec niewprawnie zawiązanego pod brodą szala. Okrywająca głowę tkanina nadawała jej twarzy niedostępny i nabożny wyraz. Wygłaszane właśnie kazanie, wskutek złej regulacji umieszczonych na dziedzińcu głośników, zamieniło się w niezrozumiałe bełkot, z którego dało się

wyłović jedynie parę zdań o tym, że śmierć to ostatni przystanek, oraz powtarzane często, jakby na postrach, z dziwnie niemelodyjnym akcentem, słowo: Allah. Co chwila do grupy oczekujących dołączał ktoś pospiesznie, jak gość spóźniony na przyjęcie, wszystkie głowy zwracały się w jego stronę, do klapy przypinano mu małe czarno-białe zdjęcie zmarłej Belkis, a Fiisun uważnie obserwowała te powitania, machania rękami, pocałunki w policzki, uściski pocieszenia i konwencjonalne uprzejmości.

Ona też, jak wszyscy, miała przypięte zdjęcie Belkis. Zwyczaj przypinania fotografii zmarłych rozpowszechnił się po pogrzebach ofiar nierzadkich w tamtych czasach morderstw politycznych, a wkrótce zaakceptowała go także stambulska burżuazja. Zdjęcia, których odnalezioną po latach niewielką kolekcję eksponuję w tym miejscu, przypinane do kołnierzy przez zbolałą, lecz w gruncie rzeczy zadowoloną grupkę przedstawicieli socjety, koniecznie w okularach przeciwsłonecznych, co jeszcze bardziej upodobało ich do prawicowych i lewicowych bojówkarzy, nadawały podobnemu do beztróskiego rautu pogrzebowi zwykłego członka klasy wyższej powagę, aurę poświęcenia życia w imię jakiegoś ideału, wyższego celu. Fotografia Belkis, otoczona na wzór zachodni grubą żałobną obwódką, sprawiała ponadto, że jej nekrologi zamieszczone w gazetach przypominały doniesienia o zbrodni na podłożu politycznym.

Starając się nie zwrócić niczyjej uwagi, szybko się stamtąd oddaliłem. Poszedłem do kamienicy Zmiłowanie i z niecierpliwością czekałem na przyjście Fiisun. Gdy po dłuższym czasie, wiedziony jakimś wewnętrznym nakazem, machinalnie uchyliłem nigdy nie odsuwane, zakurzone zasłony okna wychodzącego na aleję Teşvikiye, ujrzałem przejeżdżający powoli karawan z trumną z ciałem Belkis.



Przez moją głowę wolno jak ten karawan przeszła myśl, że niektórzy ludzie całe życie muszą cierpieć z powodu biedy, niezrozumienia i podobnych przypadłości. Wydało mi się, że odkąd skończyłem dwadzieścia lat, niewidzialna zbroja chroni mnie przed wszelkiego rodzaju kłopotami. Jednocześnie poczucie to uświadamiało mi, że poświęcanie nadmiernej uwagi nieszczęściom innych może przedziurawić ten pancerz i także mnie samego uczynić nieszczęśliwym.

## 20. DWA WARUNKI FIISUN

Fiisun spóźniła się. Zdenerwowało mnie to, ale ją jeszcze bardziej. Powiedziała, że spotkała koleżankę, Ceydę, zabrzmiało to jednak nie jak usprawiedliwienie, lecz raczej jak wyrzut. Wyczułem zapach perfum tamtej kobiety. Poznały się na konkursie piękności. Ceyda także została pokrzywdzona, zajmując dopiero trzecie miejsce. Ale teraz była bardzo szczęśliwa, chodziła bowiem z synem Sedircich, chłopak miał wobec niej poważne zamiary, chciał się żenić.

— Jakie to uroczę, prawda? — spytała Fiisun, z rozbijającą szczerością patrząc mi prosto w oczy.

Przytaknąłem. Ceyda miała jednak pewien problem. Młody Sedirci traktował ją poważnie i nie chciał, żeby pracowała jako modelka.

— Na przykład teraz kręcą reklamę huśtawek ogrodowych na lato. Chłopak jest bardzo konserwatywny i uparty. Nie zgadza się nawet, by wystąpiła zapięta po samą szyję, o występie w minispódniczce w ogóle nie ma mowy. A przecież Ceyda skończyła kurs dla modelek. Jej zdjęcia były w gazetach. Pro-

ducent huśtawek zgadza się na turecką modelkę, ale chłopak się uparł.

— Powiedz jej, że ten facet wkrótce ubierze ją w czarzaf.

— Ceyda już od dawna jest gotowa zrezygnować po ślubie z pracy i zostać panią domu — oświadczyła Fiisun, zdziwiona i oburzona moim niezrozumieniem sprawy. — Niepokoi się, bo co jeśli chłopak jednak nie traktuje jej tak poważnie, jak sądziła? Chce się ze mną spotkać i porozmawiać o tym. A twoim zdaniem jak poznać, czy facet podchodzi do kobiet serio?

— Nie mam pojęcia.

— Ty wiesz, jacy są mężczyźni tego rodzaju...

— Nie znam się na konserwatywnych bogaczach z prowincji. Powiedz lepiej, jak tam twoja praca domowa?

— Nie odrobiłam żadnego zadania, w porządku? A ty znalazłeś mój kolczyk?

Już miałem zareagować jak cwany pijak, który choć dobrze wie, że nie ma prawa jazdy, podczas kontroli policyjnej przeszukuje gorączkowo kieszenie, schówek w samochodzie, teczkę, ale się powstrzymałem.

— Nie, nie znalazłem twojego kolczyka. Nie martw się, pewnie kiedyś się znajdzie...

— Mam dość, idę sobie i już tu więcej nie przyjdę!

Jej nieskoordynowane ruchy, gdy z ponurą miną zbierała swoje rzeczy, mówiły mi, że nie żartuje. Jak ochroniarz w barze broniłem jej dostępu do drzwi i błagałem, by została. Powtarzane bez przerwy (i absolutnie szczerze!) słowa, że bardzo ją kocham, w końcu zmiękczyły Fiisun — zacząjony gdzieś w kąciakach warg uśmiech zadowolenia pogłębił się, a brwi ze skrywaną czułością leciutko się uniosły.

— No dobrze, zostanę. Ale pod dwoma warunkami: po pierwsze, powiesz mi, kogo najbardziej w życiu kochasz...

Zmieszałem się. Od razu wyczuła, że nie jestem w stanie wymienić imienia ani Sibel, ani jej.

— Z mężczyzn... — dodała.

— Ojca.

— Bardzo ładnie. To był pierwszy warunek. Teraz przysięgnij na głowę twojego ojca, że nigdy mnie nie okłamiesz!

— Przysięgam.

— Nie, nie tak, całym zdaniem.

— Przysięgam na głowę mojego ojca, że nigdy cię nie okłamię.

— Powiedziałeś to bez mrugnięcia okiem.

— A jaki jest twój drugi warunek?

Nim jednak go wymieniła, pocałowaliśmy się namiętnie i zaczęliśmy się kochać. Spragnieni siebie, oboje czuliśmy, że w miłosnym upojeniu zawędrowaliśmy do jakiejś fantastycznej krainy. Wydawało nam się, że znajdujemy się na nowej, nieznannej planecie, która w mojej wyobraźni przypominała romantyczną bezludną, skalistą wyspę albo zdjęcia zrobione na powierzchni Księżyca. Gdy potem rozmawialiśmy o tym dziwnym wrażeniu, jakbyśmy podróżowali do innego świata, Fiisun powiedziała, że oczami wyobraźni ujrzała gęsto zarośnięty drzewami, pogrążony w półmroku park, okno wychodzące na ten park i znajdujące się za nim morze, i łan żółtych słoneczników kołyszących się na zboczu. Obrazy te roztaczały się przed nami w chwilach miłosnego uniesienia (dokładnie tak, jak zdarzyło się to w tamtym momencie), gdy zbliżaliśmy się do siebie najbardziej, jak było to możliwe, na przykład gdy szeroko otwartymi ustami chwytałem pierś Fiisun zakończoną jędrną brodawką albo gdy ona przywierała do mnie z całej siły, wtulając swój nos w zagłębienie, gdzie bark łączy się z szyją. Ze swoich oczu mogliśmy wyczytać, że ta niezwykle bliskość wywoływała w nas nie znane dotąd uczucia.

— No dobrze, oto mój drugi warunek — oznajmiła wesoło Fiisun, gdy skończyliśmy się kochać. — Weźmiesz mój kolczyk i ten dziecienny rowerek i przyjdiesz do moich rodziców któregoś dnia na kolację.

— Przyjdę, oczywiście — rzuciłem szybko, rozluźniony tak jak i ona dopiero co uprawianym seksem. — Ale co im powiemy?

— Czy nie mogłeś spotkać na ulicy krewnej, zapytać, co słychać u jej rodziców? A ona nie mogła cię zaprosić? Albo nie mogłeś zająć któregoś razu do sklepu i zapragnąć ich odwiedzić? Czy jest coś dziwnego w tym, że tuż przed egzaminami wstępnymi na studia udzielasz co dzień korepetycji z matematyki swojej kuzynce?

— Któregoś wieczoru na pewno przyjdę z kolczykiem na kolację. Obiecuję. Ale o tych lekcjach matematyki lepiej nie mówmy nikomu ani słowa.

— Dlaczego?

— Jesteś bardzo ładna. Od razu się domyśla, że jesteśmy kochankami.

— Czyli facet i dziewczyna nie wytrzymają, jak Europejczycy, sam na sam w jednym pokoju, żeby się zaraz nie zacząć kochać?

— Oczywiście, że wytrzymają... Ale tu jest Turcja, każdy uzna, że zajmują się nie matematyką, lecz czymś zupełnie innym. A ponieważ wiedzą, że każdy o tym pomyśli, oni też zaczynają o tym myśleć. Dziewczyna, żeby nie zepsuć swojej reputacji, zaproponuje: „zostawmy drzwi otwarte” i tak dalej, chłopak zaś stwierdzi, że dziewczyna, która zgadza się przebywać z nim przez dłuższy czas w jednym pomieszczeniu, na pewno go prowokuje, więc aby sobie nie pomyślała, że nie jest prawdziwym facetem, zaczyna się do niej przystawiać. Po jakimś czasie w umysłach obojga kiełkuje nieczysta myśl

o tym, co wszyscy sądzą, że oni teraz robią, i zachciewa się im rzeczywiście to zrobić. I nawet jeśli się z sobą nie prześpią, zaczynają czuć się winni i wiedzą, że nie będą w stanie wytrzymać w jednym pokoju bez uprawiania seksu...

Zapadła cisza. Leżeliśmy z głowami na poduszce, a nasze spojrzenia wędrowały po kompozycji, na którą składały się rura centralnego ogrzewania, otwór wyprowadzający przewód kominowy od piecyka i zasłaniającej go klapki, karnisz, zasłony, sufit w rogu pokoju, spękania i odpryski farby. Odtwarzam ten widok ze wszystkimi szczegółami, by zwiedzający mogli odczuć po latach tamtą ciszę.

## 21. OPOWIEŚĆ MOJEGO OJCA: KOLCZYKI Z PERŁAMI

Na początku czerwca, dziewięć dni przed zaręczynami, w słoneczne czwartkowe południe zjadłem z moim ojcem obiad w restauracji Abdullaha Efendiego w Emirgan i już wtedy zrozumiałem, że tego obiadu nigdy nie zapomnę.

— Wybierzmy się przed zaręczynami na obiad, tylko my dwaj. Udzielę ci kilku rad — zaproponował ojciec, którego brak humoru bardzo niepokoił w owe dni matkę. Jadąc prowadzonym przez **Cetina**, który odkąd pamiętam, był kierowcą ojca, chevroletem model 1956, słuchałem posłusznie ojcowskich napomnień (partnerzy od interesów niekoniecznie są przyjaciółmi w życiu i temu podobne), uważając to za swojego rodzaju przedzaręczynową tradycję. Jednocześnie podziwiałem z okien samochodu urodę wybrzeży Bosforu, znoszone przez silny nurt promy linii miejskich i mroczne mimo południowego słońca zagajniki wokół *yah*. W dodatku ojciec, zamiast przestrzegać mnie, jak to robił w dzieciństwie, przed lenistwem, lekkomyślnością, bujaniem w obłokach i przypominać mi o obowiązkach, namawiał, bym korzystał z życia, które jest

darem boskim i trwa tak krótko. Przez otwarte okna do auta wpadało powietrze przesycone zapachem lasów sosnowych i morza.

W tym miejscu eksponuję gipsowe popiersie mojego ojca, które dziesięć lat wcześniej, gdy niespodziewanie zbił wielki majątek na eksporcie tekstyliów, zamówił za namową jednego ze swych kolegów u profesora Akademii Sztuk Pięknych, rzeźbiarza Somtaga Yontunca (nazwisko\* nadał mu sam Atatürk). Te sztuczne wąsy doczepiłem mu już sam, oburzony, że dyplomowany artysta zmniejszył zarost, by nadać twarzy bardziej europejski wygląd. Jako dziecko, przyglądałem się, jak ojcu drżą końce wąsów, gdy strofuje mnie za psoty.

Uznałem teraz, że napomina mnie, bym przez zbytnią pracowitość nie przegapił życiowych przyjemności, bo jest zadowolony z nowych rozwiązań, jakie wprowadziłem w Satsat i innych naszych spółkach. Gdy powiedział, że teraz ja powinienem się zająć pewnymi sprawami, nad którymi pieczę sprawował dotąd mój starszy brat, oświadczyłem, że zrobię to z wielką chęcią, i dodałem, że brat przez swoje nadmiernie ostrożne i zachowawcze działania wyrządził nam wiele szkód. Spostrzegłem, że na te słowa nie tylko ojciec, lecz także szofer **Cetin** uśmiecha się z zadowoleniem.

Restauracja Abdullaha Efendiego znajdowała się kiedyś w Beyoglu, przy głównej ulicy, tuż przy meczecie Agi. Bywali w niej wszyscy sławni i bogaci, wybierający się do kin w tej dzielnicy. Dopiero kilka lat temu, gdy większość klientów była już zmotoryzowana, lokal został przeniesiony do niewielkiej posiadłości na wzgórzach Emirgan, skąd w oddali widać było Bosfor. Ojciec, ledwie przekroczył próg restauracji, przybrał pogodny wyraz twarzy i przywitał się po kolei z każdym

\* Yontunc można przetłumaczyć jako Rzeźbibraz.



z kelnerów, których znał od lat z tej czy z innych restauracji. Rozejrzał się też, czy wśród gości siedzących w wielkiej sali nie spotka kogoś znajomego. Gdy prowadził nas *maitre d'hotel*, ojciec podszedł do jednego stolika, siedzących przy drugim pozdrowił z daleka, po czym przekomarzał się przez chwilę ze starszą damą, która ze swą ładną córką siedziała przy trzecim i dziwiła się, że tak szybko wyrosłem, jestem tak podobny do ojca i taki przystojny. U kelnera, który przez całe moje dzieciństwo zwracał się do mnie per „paniczu”, by w jakimś momencie niepostrzeżenie zacząć nazywać mnie „panem Kemalem”, ojciec zamówił dla nas dwóch przekąski i *raki*.

— Ty też się napijesz, prawda? — spytał. — Zapal, jeśli chcesz — dodał, jakbyśmy problemu palenia przeze mnie papierosów w jego obecności nie rozwiązali już po moim powrocie z Ameryki.

— Poprosimy popielniczkę dla pana Kemala — powiedział do jednego z kelnerów.

Ojciec wahał hodowane w szklarni przy restauracji miniaturowe pomidorki i popijał łyk za łykiem *raki*. Wyczułem, że chce ze mną o czymś porozmawiać, ale nie wie, jak zacząć. Przez chwilę obaj patrzyliśmy przez okno. Szofer **Cetin** rozmawiał ze swoimi kolegami po fachu z innych zaparkowanych przy pobliskiej bramie samochodów.

— Nie zapominaj, ile zawdzięczamy **Cetinowi** — powiedział ojciec, jakby szykował testament.

— Wiem.

— Nie wiem, czy wiesz... Nie wyśmiewaj się z jego nabożnych historyjek, którymi nas tak często raczy. To porządny człowiek, uczciwy, poważny, dobra dusza. Służy u nas od dwudziestu lat. Gdyby coś mi się stało, nie zwalniaj go. I nie zmieniaj co chwila samochodu na nowszy, jak ci nowobogaccy. Chevrolet to dobry wóz... —<sup>1</sup> To jest właśnie Turcja.

Gdy dziesięć lat temu państwo zakazało importu nowych aut, Sambuł zmienił się w muzeum amerykańskiego przemysłu motoryzacyjnego. Ale co tam, przynajmniej mamy najlepszych mechaników na świecie...

— Tato, ja w tym samochodzie wyrosłem, nie martw się o niego.

— Świetnie, synu! — skoro zaczął mówić takim tonem, jakby przekazywał ostatnią wolę, mógł przejść do zasadniczego tematu. — Sibel to wyjątkowa, bardzo miła dziewczyna — oświadczył. Najwyraźniej nie o tym jednak zamierzał mówić.

— Chyba zdajesz sobie sprawę, że niełatwo jest znaleźć kogoś takiego. Kobiety, zwłaszcza taką jak ona, powinieneś chronić jak rzadko spotykany kwiat, wręcz nosić na rękach — na jego twarzy niespodzianie pojawił się dziwny, zawstydzony wyraz.

— Pamiętasz tamtą ładną dziewczynę? Tę, z którą raz zobaczyłeś mnie w Begiktagu... Co sobie pomyślałeś na jej widok?

— Jaką dziewczynę?

— No tamtą, mój drogi, dziesięć lat temu widziałeś mnie, jak siedzę na ławce w parku Barbarosa w Begiktagu z piękną młodą dziewczyną... — zirytował się ojciec.

— Nie pamiętam, tato.

— • Jak to nie pamiętasz, synu! Patrzyliśmy na siebie. Byłem z bardzo ładną dziewczyną.

— I co się potem stało?

— Potem ty odwróciłeś wzrok, by nie zawstydzić własnego ojca. Przypominasz sobie?

— Nie pamiętam.

— Przecież nas widziałeś!

Nie przypomniałem sobie tego spotkania, trudno mi było jednak udowodnić ojcu, że naprawdę nic nie pamiętam. Po długiej, nieprzyjemnej dyskusji doszliśmy do wniosku, że widziałem ich, ale tak bardzo chciałem o tym zapomnieć, aż

w końcu mi się udało. A może oni w panice uznali, że ich widziałem? Tak przeszliśmy do zasadniczego tematu rozmowy.

— Ta dziewczyna dziesięć lat temu została moją kochanką, była bardzo piękna — powiedział ojciec, dumnie zawierając w jednym zdaniu dwa najważniejsze elementy całej tej sprawy.

Wydawał się nieco rozczarowany, że nie widziałem na własne oczy urody tamtej dziewczyny, lub, co gorsza, widziałem, lecz nie zapamiętałem, i to odbierało mu część przyjemności opowiadania tej historii, którą, jak wyczuwałem, od dawna pragnął się ze mną podzielić. Jednym ruchem wyjął z kieszeni małe czarno-białe zdjęcie. Ze zrobionej na pokładzie rafowym promu linii miejskich w Karakóy patrzyła na mnie smutno ciemnowłosa młoda kobieta.

— To ona — powiedział ojciec. — Zdjęcie zrobiono w roku, gdy się poznaliśmy. Szkoda, że jest na nim taka przygnębiona. Nie widać, jaka była piękna. Czy teraz ją sobie przypominasz?

Milczałem. Czułem zdenerwowanie, gdy ojciec opowiadał mi o swej kochance, choćby nie wiem jak dawnej. Nie byłem jednak w stanie określić, co było w tym takiego denerwującego.

— Nie mów swemu bratu tego, co ci teraz powiem — poprosił ojciec, chowając zdjęcie z powrotem do kieszeni. — On tego nie zrozumie, jest zbyt zasadniczy. Ty byłeś w Ameryce, zresztą nie mówię o niczym zdrożnym, pojmujesz?

— Oczywiście, tato.

— W takim razie słuchaj — ojciec upił łyżeczek *raki* i zaczął opowiadać.

Po raz pierwszy zobaczył ją „siedemnaście i pół roku temu, w styczniu 1958 roku, padał wtedy śnieg”. Jej czysta i niewinna uroda zrobiła na nim ogromne wrażenie. Dziewczyna pracowała w Satsat, który ojciec właśnie założył. Na początku byli po prostu kolegami z pracy, ale łącząca ich sympatia, mimo ogromnej różnicy wieku, wynoszącej dwadzieścia siedem lat,

wkrótce przerodziła się w coś głębszego, poważniejszego. Po rocznym romansie z przystojnym pracodawcą (jak szybko obliczyłem, ojciec miał wtedy czterdzieści siedem lat) dziewczyna, zresztą pod naciskiem mojego ojca, zrezygnowała z pracy. Zwolniła się z Satsat. Również pod jego naciskiem nie szukała nowego zajęcia i zamieszkała w apartamencie, który dla niej kupił w Begiktagu, wiodła ciche życie z nadzieją, że kiedyś się pobiorą.

— Serdeczna, czuła, inteligentna, była wyjątkową osobą — stwierdził ojciec. — Nie była taka jak inne kobiety. Miałem kilka przygód, ale w nikim nie zakochałem się tak mocno jak w niej. Naprawdę poważnie myślałem, synu, żeby się z nią ożenić, ale co stałoby się z waszą matką, z wami...

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

— Nie zrozum mnie źle, mój mały, nie chcę przez to powiedzieć, że poświęciłem się dla waszego szczęścia. W gruncie rzeczy to oczywiście jej bardziej zależało na ślubie niż mnie. Zwodziłem ją tyle lat. Nie wyobrażałem sobie życia bez niej, czułem ból, gdy długo jej nie widziałem. I nie mogłem nikomu o tym opowiedzieć. W końcu pewnego dnia powiedziała mi: „Musisz wybrać!”. Albo rozstanę się z waszą matką i ożenię się z nią, albo mnie rzuci. Nalej sobie *raki*.

— I co było potem?

— Gdy nie zostawiłem waszej matki i was, odeszła ode mnie — powiedział ojciec po chwili milczenia. Wyznanie to nie przyszło mu łatwo, ale wyraźnie poczuł ulgę. Gdy spojrzął na mnie i pojął, że może mówić dalej, jeszcze bardziej mu ulżyło.

— Strasznie cierpiałem, strasznie. Twój brat się ożenił, ty byłeś w Ameryce. Oczywiście starałem się nie dać po sobie niczego poznać. Takie cierpienie ukradkiem, w tajemnicy, jak jakiś złoczyńca, jest jeszcze boleśnieszce. I oczywiście wasza

matka od dawna coś przeczuwała, tak jak w przypadku innych moich przygód. Tym razem zrozumiała, że to coś poważnego, ale nie odezwała się słowem na ten temat. W domu twoja matka i ja, z Bekrim i Fatmą u boku, żyliśmy jak w hotelu, udając, że wciąż jesteśmy rodziną. Ból wydawał się nie do zniesienia, zdawało mi się, że oszaleję, ale nie potrafiłem zdobyć się na to, co powinienem był uczynić. Ona (ojciec nie zdradził mi jej imienia) też była nieszczęśliwa. Powiedziała mi, że pewien inżynier zaproponował jej małżeństwo, i jeśli nie podejmę w końcu decyzji i się z nią nie ożenię, wyjdzie za innego. Nie potraktowałem tego serio... Byłem pierwszym mężczyzną w jej życiu. „Nie chce nikogo innego, tylko blefuje”, myślałem. Czasem ogarniał mnie paniczny lęk, ale mimo to nie mogłem się zdobyć na żadne działanie. Dlatego starałem się o tym nie myśleć. Latem pojechaliśmy całą rodziną do Izmiru, na międzynarodowe targi, **Cetin** prowadził samochód... Po powrocie doszły mnie słuchy, że wyszła za mąż, ale nie uwierzyłem. Uznałem, że rozsiewa takie pogłoski, żeby zwrócić na siebie moją uwagę, by mi dokuczyć. Nie chciała ze mną rozmawiać, odrzucała wszystkie propozycje spotkań, nie odbierała telefonu. Sprzedała mieszkanie, które jej kupiłem, i wyprowadziła się, nie zostawiając adresu. Czy naprawdę wyszła za mąż, czy jej mąż jest inżynierem, czy ma dzieci, co robi — przez cztery lata nie ośmieliłem się nikogo o to zapytać. Obawiałem się, że kiedy się dowiem, ból powróci, ale niewiedza była tak samo straszna. Wyobrażać sobie, że żyje gdzieś w Stambule, czyta te same co ja wiadomości w gazecie, ogląda ten sam program telewizyjny, i nie móc jej zobaczyć — to mnie wykańczało. Miałem wrażenie, że całe moje życie jest nic niewarte. Nie zrozum mnie źle, synu, byłem dumny z was, naszych fabryk, twojej matki. Ale tak strasznie mnie bolało...

Mówił w czasie przeszłym, czułem więc, że ta historia się zakończyła, a ojciec znalazł ukojenie, ale wcale nie przypadło mi to do gustu.

— W końcu któregoś popołudnia nie wytrzymałem i zadzwoniłem do jej matki. Kobieta wiedziała o mnie, wiedziała, kim jestem, ale nie poznała mnie po głosie. Okłamałem ją, mówiąc, że jestem mężem koleżanki jej córki z liceum. Poprosiłem, by zawołała córkę do telefonu, bo żona jest chora i prosi, by ją odwiedzić w szpitalu. A matka w płacz: „Moja córka nie żyje!”. Zmarła na raka! Czułem, że ja też zaraz wybuchnę płaczem, i szybko odłożyłem słuchawkę. Nie spodziewałem się tego, ale nie miałem wątpliwości, że to prawda. Nie wyszła za mąż za inżyniera... Jakie to życie jest straszne; nie ma żadnego sensu!

Ojciec płakał, a ja byłem całkowicie bezradny. Rozumiałem go, ale jednocześnie wzbierał we mnie gniew, próbowałem zastanowić się nad tą historią, lecz tak samo jak prymitywne ludy, które nie potrafią myśleć o tabu — tak utrzymują antropolodzy — miałem jedynie mętlik w głowie i czułem wzbierający ból.

— No, nieważne — po chwili ojciec wziął się w garść. — Nie zaprosiłem cię tutaj, synu, by cię dręczyć opowieściami o moich bolesnych przeżyciach. Wkrótce się zaręczysz i ożenisz. Chciałem oczywiście, byś usłyszał tę smutną historię, byś lepiej poznał swojego ojca, ale pragnąłem powiedzieć ci też o czymś innym, rozumiesz?

— O czym?

— Teraz bardzo żałuję, że jej nie chwaliłem, nie mówiłem, jaka jest słodka, miła, ile dla mnie znaczy. Żałuję, że nie mówiłem jej tego tysiące razy. To była dziewczyna o złotym sercu, skromna, mądra i niezwykle piękna... Nie było w niej tego, co zauważałem u innych kobiet, takiego ostentacyjnego obnoszą-

nia się ze swą urodą, jakby to była ich własna zasługa, rozka-  
pryszenia, nieustannej żądzy komplementów... Tyle lat minęło,  
a ja wciąż cierpię, nie tylko z powodu jej utraty, ale również  
dlatego, że nie traktowałem jej tak, jak na to zasługiwała. Sy-  
nu, trzeba okazywać kobiecie uczucia, nim będzie za późno!

Ostatnie słowa powiedział podniosłym tonem i wyjął z kie-  
szeni podniszczone aksamitne pudełeczko.

— Kupiłem to dla niej, gdy pojechaliśmy całą rodziną do  
Izmiru na targi, chciałem jej dać, by mi wybaczyła, ale nie było  
już okazji — oznajmił, otwierając pudełeczko. — Pasowałyby  
jej te kolczyki. To bardzo cenne perły. Przez te wszystkie lata  
trzymałem je głęboko schowane. Nie chcę, by po mojej śmierci  
znalazła je matka. Weź je. Długo nad tym myślałem, dla Sibel  
będą idealne.

— Ależ tato! Sibel nie jest moją potajemną kochanką, tylko  
przyszłą żoną! — zaoponowałem, ale z ciekawością zjrzałem  
do pudełka.

— Daiuj sobie tę gadaninę — poprosił ojciec. — Nie mów  
nic Sibel o historii związanej z tymi kolczykami. Ilekroć je wło-  
ży, wspomnisz o mnie. I nie zapomnisz rad, których ci dzisiaj  
udzieliłem. Będiesz dobrze traktował tę piękną dziewczynę.  
Niektórzy mężczyźni źle odnoszą się do kobiet, choć twierdzą,  
że to nieprawda. Nie bądź taki jak oni. I miej zawsze w pamięci  
moje słowa.

Zamknął pudełeczko i władczym ruchem osmańskiego pa-  
szy wetknął mi je w dłoń, jakby wręczał bakszysz.

— Chłopcze, przynieś nam jeszcze *raki* i lód! — zawołał do  
kelnera, a zwracając się do mnie, powiedział: — Jaki piękny  
dzisiaj dzień, prawda? I jaki śliczny mają tu ogród! Pachnie wios-  
ną i lipami.

Następną godzinę spędziłem na tłumaczeniu ojcu, że mam  
spotkanie, którego nie mogę odwołać, a rzeczą nader niewłaści-

wą byłoby, gdyby ojciec zadzwonił do Satsat i sam je odwołał, jako najwyższy szef.

— Tego się więc nauczyłeś w Ameryce. Brawo! — oświadczył.

Aby nie robić ojcu przykrości, wypilem jeszcze jedną szklaniczkę, ale jednocześnie zerkałem z niepokojem na zegarek, nie chciałem bowiem — zwłaszcza tego dnia — spóźnić się na randkę z Fiisun.

— Poczekaj, synu, posiedźmy jeszcze trochę, patrz, jak pięknie rozmawiamy, ojciec i syn, tak szczerze. Ożenisz się i zapomnisz o nas, starych! — powiedział ojciec.

— Tato, rozumiem, przez co przeszedłeś, nigdy też nie zapomnę rad, których mi udzieliłeś — obiecałem, wstając z miejsca. Im starszy był ojciec, tym wyraźniej w chwilach emocji drżały mu kąciki ust. Chwycił mnie za rękę i uścisnął z całej siły. Gdy odwzajemniłem uścisk, w tej samej chwili z jego oczu potoczyły się łzy, jakbym ścisnął gąbkę ukrytą gdzieś pod jego policzkami.

Szybko się jednak opanował, głośno poprosił kelnera o rachunek, a w drodze powrotnej zasnął w samochodzie, pewnie i gładko prowadzonym przez Cetina.

W kamienicy Zmiłowanie rozterki nie dręczyły mnie długo. Gdy zjawiała się Fiisun, jak zwykle namiętnie się całowaliśmy. Wyjaśniłem jej, że czuć ode mnie alkohol, bo jadłem z ojcem obiad, a potem wyjąłem z kieszeni aksamitne pudełeczko.

— Zobacz, co jest w środku!

Fiisun ostrożnie otworzyła puzderko.

— Ale to nie jest mój kolczyk! — stwierdziła. — To perły, bardzo kosztowne!

— Podobają ci się?

— A gdzie jest mój kolczyk?

— Twój kolczyk najpierw zniknął gdzieś w nie wyjaśnionych okolicznościach, potem któregoś ranka zjawił się u mnie



i przyprowadził swego towarzysza. Włożyłem je oba do tego pudełeczka i przyniosłem prawowitej właścicielce!

— Nie jestem dzieckiem! — zachnęła się Fiisun. — To nie są moje kolczyki!

— Moim zdaniem duchowo są twoje.

— Chcę mój własny kolczyk z powrotem!

— To upominek dla ciebie...

— Nawet nie będę mogła ich nosić... Wszyscy będą się pytać, skąd je mam...

— Więc nie noś. Ale nie odrzucaj mojego podarunku.

— Dajesz mi je w zamian za mój kolczyk... Gdybyś go nie zgubił, nie przyniósłbyś mi tych. Naprawdę go zgubiłeś? Ciekawa jestem, co z nim zrobiłeś?

— Któregoś dnia na pewno odnajdzie się w domu, w jakiejś szafie.

— Któregoś dnia... — westchnęła Fiisun. — Z jaką łatwością to mówisz... Jesteś taki beztroski. Kiedy? Jak długo będę czekać?

— Niedługo — powiedziałem, próbując w panice ratować sytuację. — Przyjdzie dzień, że z kolczykiem i rowerkiem przyjdę wieczorem z wizytą do twoich rodziców!

— Czekam — oświadczyła Fiisun.

Pocałowaliśmy się.

— Ależ śmierdzi ci wódką z ust! — skrzywiła się.

Nie przejąłem się tym i dalej ją całowałem. A gdy zaczęliśmy się kochać, wszystkie zmartwienia nagle się ulotniły. Kolczyki, które mój ojciec kupił swojej kochance, zostawiłem w mieszkaniu w kamienicy Zmiłowanie.

## 22. REKA PANA RAHMIEGO

Dzień zaręczyn zbliżał się wielkimi krokami i moją uwagę zaprzętało tyle pilnie wymagających załatwienia spraw, że nie miałem nawet czasu, by przeżywać miłosne rozterki. Radziłem się kolegów, synów kolegów mojego ojca, gdzie zdobyć szampana i inne europejskie trunki, które miały być podawane na zaręczynowym przyjęciu w hotelu Hilton. Prowadziliśmy na ten temat długie dyskusje w klubie. Turystom, którzy po latach odwiedzą moje muzeum, muszę wyjaśnić, że w owych czasach przywóz zagranicznych alkoholi znajdował się pod ścisłą kontrolą państwa, które zazdrośnie strzegło swoich przywilejów, a że nader skąpo wydzielało ono dewizy importerom, bo samo niewiele ich miało, sprowadzone legalnie zagraniczne alkohole były rarytasem. Lecz w bogatszych dzielnicach, w delikatesach, w sklepach handlujących towarami z przemytu, w barach luksusowych hoteli i na chodnikach ulic u krążących z torbami pełnymi losów sprzedawców biletów na loterię zawsze można było kupić szampan, whisky i przemycane amerykańskie papierosy. Każdy, kto tak jak ja zamierzał wydać wystawne przy-

jęcie, musiał sam znaleźć i dostarczyć do hotelu europejskie napitki, które należało koniecznie podać gościom. Kierownicy hotelowych barów i barmani znali się oczywiście i w razie potrzeby pomagali sobie, podsyłając butelki, by wielkie imprezy mogły przebiegać bez zakłóceń. Po przyjęciu redaktorzy rubryk towarzyskich i dziennikarze plotkarskich gazet szczegółowo opisywali, jaką część serwowanych alkoholi stanowiły oryginalne zagraniczne wyroby, a jaką krajowa whisky Ankarska, musiałem więc brać to pod uwagę.

Jeśli akurat nie zajmowałem się przygotowaniami, telefonowała Sibel i jechaliśmy na obrzeża Bebeku czy Arnavutköy albo do Etiler, które wtedy dopiero zaczynało się rozwijać, by oglądać atrakcyjnie usytuowane, nowo wznoszone bloki. Zacząłem podzielać upodobanie Sibel do wyobrażania sobie, jak będziemy mieszkać w tych nie ukończonych jeszcze, pachnących wapnem i cementem pomieszczeniach, zastanawiania się, gdzie będzie sypialnia, gdzie jadalnia oraz jak ustawimy wypatrzoną w sklepie z meblami w Nişantaşı długą sofę, by móc z niej podziwiać widok na Bosfor. Wieczorami, na przyjęciach, na które razem chodziliśmy, Sibel lubiła opowiadać znajomym o obejrzanych mieszkaniach, ich dobrych i złych stronach, roztańczających się z ich okien widokach. Dyskutowała z obcymi ludźmi o naszych planach życiowych, a ja z zakłopotaniem usiłowałem zmieniać temat. Rozmawiałem z Zaimem o sukcesie oranżady Zefir, meczach piłki nożnej, nowych lokalach otwieranych na lato. Przeżywane z Fiisun sekretne szczęście sprawiło, że rzadko zabierałem głos podczas spotkań z przyjaciółmi, coraz większą przyjemność sprawiało mi przyglądanie się wszystkiemu z boku. Czułem, że ogarnia mnie jakiś smutek, ale wtedy nie był on jeszcze tak wyraźny. Dostrzegam go w pełni dopiero teraz, gdy od tamtych zdarzeń upłynęły lata. Wtedy wiedziałem jedynie, że stałem się jakiś wyciszony.

— Mało się odzywasz ostatnio — powiedziała Sibel któregoś razu, gdy o północy odwoziłem ją do domu.

— Naprawdę?

— Od pół godziny siedzimy i milczymy.

— Byłem ostatnio na obiedzie z ojcem. Nie mogę przestać o tym myśleć... Mówi jak ktoś, kto czuje zbliżającą się śmierć...

W piątek szóstego czerwca, na osiem dni przez zaręczynami i na dziewięć przed egzaminami Fiisun na studia, ojciec, brat i ja pojechaliliśmy prowadzonym przez Cetina chevroletem w okolice *hamamu*\* Cukurcuma, gdzieś między Beyoglu a Tophane, by złożyć kondolencje. Zmarłym był pochodzący z Malatyi nasz długoletni pracownik, zatrudniony w fabryce ojca od samego początku jej działalności. Ten krzepki, sympatyczny człowiek, odkąd pamiętam, roznosił przesyłki w biurze firmy. Stracił rękę, zmiażdżoną przez maszynę, i nosił protezę. Ojciec bardzo go lubił i cenił za pracowitość, dlatego po wypadku znalazł dla niego zajęcie w biurze, i tak go poznaliśmy. Na początku jego sztuczna ręka budziła we mnie i moim bracie lęk. Pan Rahmi był jednak tak pogodnym i miłym człowiekiem, że wkrótce przestaliśmy się bać, a proteza stała się dla nas czymś w rodzaju zabawki. Ilekroć przychodziliśmy do ojca do pracy, stale na nią zerkaliśmy. Któregoś razu przyglądaliśmy się, jak pan Rahmi modli się na rozłożonym w pustym pokoju dywaniku, zdjawszy swą sztuczną rękę i położywszy ją obok.

Pan Rahmi miał dwóch synów, równie pogodnych i krzepkich jak on sam. Obaj z szacunkiem ucałowali rękę mojego ojca. Zona nieboszczyka, tęgawa, zniszczona kobieta o różowionej twarzy, na nasz widok zaczęła płakać, ocierając łzy rogiem chustki okrywającej jej głowę. Ojciec z serdecznością,

\* *Hamam* — turecka łaźnia.

na jaką ani ja, ani brat nie potrafiliśmy się zdobyć, zaczął ją pocieszać, objął i ucałował dzieci zmarłego i zdumiewająco szybko nawiązał duchową więź z pozostałymi gośćmi. My zaś, mój brat i ja, trzymaliśmy się na dystans, nękami poczuciem winy. Brat pouczającym tonem wygłosił kilka zdawkowych słów, ja bąknąłem coś o wspomnieniach.

W takich momentach nie są ważne słowa ani gesty, ani też prawdziwość czy siła odczuwanego bólu, lecz zdolność dostrojenia się do panującej atmosfery. Czasem wydaje mi się, że ludzie palą papierosy nie ze względu na działanie nikotyny, lecz dlatego, że nawet w pustych, bezsensownych momentach tak łatwo sprawiają wtedy wrażenie robiących coś ważnego. Starszy syn nieboszczyka wyciągnął w naszą stronę paczkę maltepe\*. Ojciec, brat i ja skwapliwie wyjęliśmy po papierosie, zapaliliśmy je od płomienia podanej przez niego zapałki i dziwnym zrzędzeniem założywszy w tym samym momencie nogę na nogę, wszyscy trzej jednocześnie zaciągnęliśmy się dymem, jakby była to najważniejsza rzecz na świecie.

Obcy mi smak papierosów Maltepe sprawił, że uległem złudzeniu, iż odkryłem „głębką” prawdę o życiu. W życiu liczy się szczęście. Jedni są szczęśliwi, inni nie. Większość ludzi tkwi gdzieś pomiędzy jednym a drugim stanem. W owych dniach byłem bardzo szczęśliwy, ale nie chciałem tego dostrzec. Teraz, po latach, dochodzę do wniosku, że niedostrzeganie szczęścia jest być może najlepszym sposobem na zachowanie go. Ale ja nie zauważałem swego szczęścia nie dlatego, że chciałem je zachować, lecz dlatego, że bałem się nieszczęścia, które nieuchronnie się zbliżało — utraty Fiisun. Czy pod wpływem tego właśnie strachu stawałem się tak milczący, a jednocześnie tak wrażliwy?

\* **Maltepe** — popularna w Turcji marka papierosów.

Gdy rozglądałem się po małym, ubogo urządzonym, ale czyściusieńkim pomieszczeniu (na ścianie zawieszono — tak jak Europejczycy wieszają obrazy — kilim, były tam także piękny barometr w modnym w latach pięćdziesiątych stylu oraz plakietka z napisem: „Bismillah"\*), przez moment niewiele brakowało, bym zapłakał razem z żoną pana Rahmiego. Na telewizorze leżała szydełkowa serwetka, a na niej stała figurka śpiącego psa. Pies też wydawał się bliski płaczu. Przyglądając mu się, nagle poczułem ulgę. Pamiętam wyraźnie, że zaraz potem pomyślałem o Fiisun.

\* *Bismillah* — w imię Boże.

## 23. MILCZENIE

W miarę jak zbliżał się dzień zaręczyn, chwile milczenia pomiędzy mną a Fiisun stawały się coraz dłuższe, potężniały i zatrzymywały nasze codzienne, trwające co najmniej dwie godziny spotkania, podczas których kochaliśmy się za każdym razem coraz gwałtowniej.

— Mama dostała zaproszenie na zaręczyny — powiedziała Fiisun pewnego dnia. — Bardzo się ucieszyła, tata też uważa, że powinniśmy się wybrać. Chcą, żebym poszła z nimi. Dzięki Bogu, następnego dnia są egzaminy wstępne, nie będę musiała udawać, że jestem chora.

— Wysłała je moja matka — odparłem. — Absolutnie nie przychodź! Ja też nie mam ochoty tam iść.

Miałem nadzieję, że w odpowiedzi rzuci mi: „W takim razie nie idź!”, ale nie odezwała się. Im bliżej było zaręczyn, tym intensywniej się kochaliśmy; pot lał się z nas, gdy zwieraliśmy się w uścisku, powtarzając, jak żyjący ze sobą od lat kochankowie, te same dobrze znane ruchy dłoni, ramion, całego ciała. Czasem leżeliśmy bez ruchu i bez słowa, patrząc na lekko

falującą firankę, poruszaną wpadającym przez otwarte okno podmuchem wiatru.

Aż do zaręczyn spotykaliśmy się w kamienicy Zmiłowanie codziennie o tej samej porze i intensywnie uprawialiśmy seks. Nie rozmawialiśmy o naszej sytuacji, o moim zbliżającym się małżeństwie, o tym, co będzie później, i staraliśmy się unikać tematów, które mogłyby sprowadzić nasze myśli na te tory. Okoliczności skłaniały do milczenia. Z podwórka dochodziły krzyki i przekleństwa chłopców grających w piłkę. Podczas pierwszych spotkań również nie rozmawialiśmy o tym, co będzie dalej, ale śmiejąc się i żartując, gadaliśmy o byle czym, o wspólnych krewnych, o okropnych facetach, o plotkach z Nigantagi. Wesołe rozmowy szybko się skończyły i to napępniało nas smutkiem. Oboje czuliśmy, że coś tracimy. Lecz to przykre uczucie wcale nas od siebie nie oddalało, wręcz przeciwnie, w dziwny sposób jeszcze bardziej nas ze sobą wiązało.

Co jakiś czas przyłapywałem się na marzeniach, że po zaręczynach nadal będę się widywał z Fiisun. Wyobrażenie raju, który miał trwać dalej jak gdyby nigdy nic, z fantazji (a może powinienem powiedzieć — pragnienia) przemieniało się powoli w pewność. Skoro Fiisun kocha się ze mną tak namiętnie, tak szczerze, nie może mnie zostawić — w takim oto kierunku szło moje rozumowanie. W gruncie rzeczy była to jednak sprawa uczucia, a nie logicznego myślenia. Nie przyznawałem się sam przed sobą do tych myśli, jednak gdzieś w zakamarkach mojego umysłu analizowałem słowa i gesty Fiisun, by odczytać z nich, co zamierza. Ona doskonale o tym wiedziała i nic nie dawała po sobie poznać. Milczeliśmy więc coraz dłużej. Fiisun również obserwowała mnie i też na próżno snuła przypuszczenia. Czasem, jak szpiedzy, którzy mają oczy szeroko otwarte,



by nie przegapić żadnej cennej informacji, uważnie badaliśmy się nawzajem. Bez komentarza umieszczam teraz w gablocie mojego muzeum białe figi Fiisun, jej białe dziecinne rajstopy i te przybrudzone białe plastikowe buty, jako świadków tamtych bolesnych chwil milczenia.

Dzień zaręczyn nadszedł szybko i obrócił wniwecz wszystkie marzenia. Tego dnia pozbyłem się kolejnego problemu związanego z zapewnieniem szampana i whisky (pewien handlarz domagał się zapłaty z góry za wszystkie butelki), potem pojechałem na Taksim, w barze Atlanty, do którego chodziłem jako dziecko, zjadłem hamburgera i wypłem ajran, po czym poszedłem do Cevata Gaduły, fryzjera, u którego bywałem też jako dziecko. W latach sześćdziesiątych Cevat przeniósł swój zakład z Nigantagi do Beyoglu, a wtedy ojciec, brat i ja zaczęliśmy się strzyc u innego fryzjera, Basriego. Czasem jednak, gdy znalazłem się w pobliżu albo gdy chciałem się trochę pośmiać i poprawić sobie humor, szedłem do Cevata na ulicę Aga Cami, by się ogolić. Na wieść o moich zaręczynach Cevat bardzo się ucieszył i zaaplikował mi specjalne golenie dla panów młodych, z użyciem importowanej pianki do golenia i bezwonnego, jak twierdził, balsamu nawilżającego. Wytropił i usunął każdy włoszek zarostu na mojej twarzy. Po wizycie u fryzjera poszedłem pieszo do Nigantagi, do kamienicy Zmiłowanie.

Fiisun przyszła o tej samej godzinie co zawsze. Kilka dni wcześniej wspomniałem, że nie powinniśmy spotykać się w sobotę, gdyż następnego dnia są egzaminy, ale Fiisun chciała odpocząć po intensywnej nauce. Pod pozorem przygotowań do egzaminów od dwóch dni nie pojawiała się jednak w butik Champs Elysees. Gdy tylko weszła do mieszkania, usiadła przy stole i zapaliła papierosa.

— Tyle myślę o tobie, że w głowie nie starcza mi miejsca na matematykę — powiedziała z kpiną w głosie. Roześmiała się, jakby powiedziała coś absurdalnego, jakiś powtarzany w filmach banał, i natychmiast się zaczerwieniła.

Gdyby nie jej rumieniec, jej przygnębienie, ja też obróciłbym wszystko w żart. Udawalibyśmy, że nie mamy pojęcia o tym, że tego dnia odbędą się moje zaręczyny. Ale tak się nie stało. Ogarnął nas oboje głęboki, nieprzewyciężony smutek, którego nie da się zagłuszyć żartami, ukoić rozmową, który nawet dzielony z kimś, nie staje się lżejszy. I zrozumieliśmy, że jedynym, co może nas od niego uwolnić, jest seks. Fiisun wyciągnęła się na łóżku, jak chory wsłuchujący się we własne ciało, wzrok skierowała w górę, jakby obserwowała gromadzące się nad jej głową obłoki smutku. Położyłem się obok niej i tak jak ona wpatrywałem w sufit. Chłopcy bawiący się na podwórku przestali krzyczeć, słysząc było tylko odgłos odbijanej piłki. Po chwili umilkły także ptaki i zapanowała głęboka cisza. Gdzieś z oddali dobiegł dźwięk syreny okrętu, odpowiedział mu inny.

Po jakimś czasie napiliśmy się whisky ze szklanki należącej kiedyś do Ethema Kemala, mojego dziadka, drugiego męża jej prababki, i zaczęliśmy się całować. Pisząc o tym teraz, czuję potrzebę pocieszenia czytelników, których zainteresowała moja historia: powieść wcale nie musi być smutna, nawet jeśli jej bohaterowie są smutni. Jak zawsze staraliśmy się zająć nasze myśli przedmiotami znajdującymi się w mieszkaniu, sukienką mojej matki, kapeluszem, bibelotami, a potem się całowaliśmy — oboje nabraliśmy już biegłości w pocałunkach. Więc zamiast was smucić, drodzy czytelnicy, powiem, że język Fiisun jakby rozplątywał się w moich ustach. Podczas coraz dłuższych pocałunków w otchłani naszych zwartych ze sobą, głębokich jak jaskinie ust zbierał się ciepły, słodki

niczym miód płyn, czasem skapujący z kącików ust na brodę, a przed naszymi oczami pojawiały się wizje rajskiej krainy, które może wytworzyć jedynie dziecięca wiara, że wszystko będzie dobrze. Podziwialiśmy te barwne, fascynujące widoki jak zmieniające się obrazki w kalejdoskopie. Czasami jedno z nas, niczym łakomy ptak chwytający dziobem dojrzałą figę, zasysało dolną lub górną wargę drugiego, wciągało ją do swych ust i przytrzymując zębami, usiłowało ją uwięzić pomiędzy nimi, jakby chciało powiedzieć: mam cię! Drugie w tym czasie cierpliwie i z satysfakcją obserwowało przygody swoich warg, odkrywając, jaki rozkoszny dreszcz budzi zdanie się na łaskę ukochanej osoby, a jednocześnie jak wspaniale może być, gdy powierzy się jej nie tylko wargę, lecz także całe ciało. Zaczynało pojmować, że sfera pomiędzy czułością a biernym poddaniem się to najmroczniejsze, najgłębsze rejony miłości, i odpowiadało tym samym. Wtedy nasze niecierpliwie wijące się języki wyslizgiwały się spomiędzy zębów i szybko odnajdowały się nawzajem, przypominając, że miłość ma też łagodniejsze strony, związane nie z siłą, lecz z delikatnością, czułym dotykiem, przytulaniem.

Zasnęliśmy, zmęczeni miłosnymi zapasami, i obudziliśmy się równocześnie, wstrząśnięci nagłym dreszczem, gdy wpadający przez otwarte drzwi balkonowe powiew wiatru, przesycony subtelną wonią lip, uniósł i zarzucił na nas firankę.

— Śniło mi się, że jestem na polu słoneczników — powiedziała Fiisun. — Słoneczniki dziwnie kołysały się na lekkim wietrze. Było w tym coś przerażającego, chciałam krzyknąć, ale nie mogłam.

— Nie bój się. Jestem przy tobie.

Nie będę opowiadał, jak wstaliśmy, jak ubraliśmy się i ruszyliśmy do drzwi. Przypomniałem jej, by zachowała spokój na egzaminie i nie zapomniała wziąć ze sobą karty egzaminacyj-

nej. Przekonałem ją, że wszystko będzie dobrze, że na pewno zda, i starając się, by zabrzmiało to naturalnie, dodałem jeszcze coś, co od dawna próbowałem dobrze sformułować:

— Spotkamy się jutro o tej samej porze, zgoda?

— Zgoda — powiedziała Fiisun, odwracając wzrok.

Popatrzyłem za nią z miłością i zrozumiałem, że zaręczynowe przyjęcie odbędzie się bez zakłóceń.

## 24. ZARĘCZYNY

Pocztówki z widokiem hotelu Hilton zdobyłem dla Muzeum Niewinności jakieś dwadzieścia lat po wydarzeniach, które opisuję. Jedne znalazłem u zaprzyjaźnionych stambulskich kolekcjonerów, inne wyszukałem na pchlich targach (a także w małych muzeach) w moim mieście i w całej Europie. Po długich negocjacjach słynny filokartysta, pan Halit, pozwolił mi wziąć do ręki i obejrzeć z bliska jedną z takich pocztówek, a wtedy znajoma fasada hotelu, utrzymana w światowym modernistycznym stylu, przypomniała mi nie tylko ten wieczór, gdy się zaręczyłem, lecz także całe moje dzieciństwo.

Gdy miałem dziesięć lat, moi rodzice, niezwykle podekscytowani, wybrali się na przyjęcie z okazji otwarcia hotelu; obecna była cała stambulska socjeta, wraz z dawno już zapomnianą amerykańską gwiazdą filmową, Terry Moore. Przyzwyczajili się do tego hotelu, którego obca bryła, widoczna z okien naszego mieszkania, odcinała się od staroświeckiej panoramy Stambułu, i chętnie wpadali tam przy każdej nadarzającej się okazji. Przedstawiciele firm, z którymi ojciec robił

interesy, a jednocześnie miłośnicy tańca brzucha, zatrzymywali się zawsze w Hiltonie. W niedzielne wieczory całą rodziną przychodziliśmy tam skosztować wspaniałych hamburgerów, których nie serwowano w żadnej innej restauracji. Brat i ja byliśmy oczarowani noszonym przez odźwiernego o sumiastych wąsach purpurowym uniformem, bogato zdobionym złotymi szamerunkami, z mnóstwem guzików i naramiennikami obszytymi poruszającymi się przy każdym ruchu frędzlami. W tamtych czasach wszelkie zachodnie nowinki pojawiały się najpierw w Hiltonie, dlatego największe gazety miały przy hotelu swoich stałych korespondentów. Gdy mamie zdarzało się poplamić ulubiony kostium, posyłała go do hotelowej pralni chemicznej, lubiła też umawiać się z koleżankami na herbatę w cukierni w holu. Wesela wielu moich krewnych i kolegów odbywały się w wielkiej sali balowej w podziemiach budynku. Gdy okazało się, że należący do mojej przyszłej teściowej na wpół zrujnowany *yah* w Anadoluhisan nie nadaje się do urządzenia w nim przyjęcia zaręczynowego, jednomyślnie wybraliśmy hotel Hilton. Wspomnę też, że od momentu otwarcia hotel ten był jednym z nielicznych nowoczesnych miejsc tego typu, gdzie wynajmowano pokoje dobrze sytuowanym eleganckim panom i odważnym paniom, nie pytając ich o akt ślubu.

Szofer **Cetin** odrobinę przed czasem przywiózł nas, czyli ojca, matkę i mnie, przed wielkie obrotowe drzwi pod markizą przypominającą latający dywan.

— Mamy jeszcze pół godziny — oświadczył ojciec, który zawsze ożywiał się, ilekroć wchodził do hotelu. — Chodźcie, napijemy się herbaty.

Usiedliśmy w rogu, skąd było dobrze widać cały hol. Starszy kelner natychmiast rozpoznał ojca i serdecznie go powitał. Zamówiliśmy po szklaneczce *raki* dla nas i herbatę dla matki.

Przyjemnie było przyglądać się tłumom ludzi wypełniających pod wieczór hotel i schodzącym się na uroczystość gościom, wspominając przy tym minione czasy. Zaproszeni krewni i znajomi nadciągali radosnymi grupkami, zaciekawieni, odświętnie ubrani, i mijali nas, niewidocznych zza wielkiej donicy pełnej cyklamenów o rozłożystych liściach.

— Ojej, ależ ta córka Rezzan wyrosła, jaka milutka! — zachwyciła się matka. — Powinno się zabronić noszenia mini dziewczynom, które nie mają zgrabnych nóg — oznajmiła, marszcząc brwi, na widok innych gości. — To nie my posadziliśmy Pamuków tak daleko z tyłu, tylko rodzice Sibel — odpowiedziała na pytanie ojca. — Żał patrzeć, co się zrobiło z tej pani Fazili, ani śladu nie zostało po jej olśniewającej urodzie... — mówiła, wskazując następnych zaproszonych. — Szkoda, że nie zostali w domu, wolałabym nie widzieć tej biedaczki w takim stanie... Te w chustkach to jakieś krewne matki Sibel... W chwili gdy porzucił swą uroczą żonę i dzieci, by ożenić się z tym pospolitym babskiem, pan Hicabi przestał się dla mnie liczyć... Patrz, fryzjer Nevzat jakby specjalnie na złość zrobił Zumrut tę samą fryzurę co mnie... A to kto? Ta dwójka przypomina lisy, mają takie nosy jak one, tak samo się ruszają, coś takiego, nawet stroje mają jakieś lisie... Czy ty, synu, masz pieniądze?

— Skąd ci to teraz przyszło do głowy? — spytał ojciec.

— Wpadł do domu w pośpiechu, zaraz się przebrał, jakby szedł do klubu, a nie na własne zaręczyny, i natychmiast wyszedł! Wziąłeś ze sobą pieniądze, synku?

— Wziąłem.

— To dobrze. Wyprostuj się! Do czego to podobne, wszyscy będą na ciebie patrzeć, a ty się garbisz... Chodźmy już!

Ojciec dał znak kelnerowi, że chce jeszcze jedną porcję *raki*, po czym spojrzął mi w oczy i zamówił drugą dla mnie.

— No proszę, zły humor ci minął — powiedziała matka.  
— Co się z tobą dzieje?  
— Mam być smutny na zaręczynach własnego syna?  
— Ach, patrzcie, jak pięknie wygląda! — zawołała matka na widok Sibel. — Cudowna suknia, perły wspaniale się prezentują. Takiej ślicznej dziewczynie we wszystkim ładnie... A do tego z jaką elegancją się porusza, prawda? Co za urocza, dystyngowana osoba! Synu, nawet nie wiesz, jaki z ciebie szczęściarz!

Sibel obejmowała dwie ładne koleżanki, które przed chwilą przeszły obok nas. Trzymając z dala od siebie dopiero co zapalone długie papierosy z filtrem i z przesadną ostrożnością starając się nie popsuć sobie fryzur, makijażu i kreacji, wymieniły powitalne pocałunki, lecz ich pomalowane jaskrawoczerwoną, błyszczącą szminką wargi nie musnęły nawet policzków. Po chwili rozchichotane dziewczyny zaczęły pokazywać sobie nawzajem stroje, naszyjniki i bransoletki.

— Każdy mądry człowiek wie, że życie jest piękne i celem wszystkich jest osiągnięcie szczęścia — oświadczył ojciec, przyglądając się trójce ślicznotek. — Ale w końcu tylko głupcom się to udaje. Jak to wytłumaczyć?

— To jeden z najpiękniejszych dni w życiu chłopaka, Miim-taz, po co mu teraz mówisz takie rzeczy? — zachnęła się matka.  
— No, synu, co tak siedzisz, rusz się, podejdź do Sibel! — powiedziała, zwracając się do mnie. — Bądź zawsze przy niej, dziel z nią każdą chwilę szczęścia...

Odstawiłem szklanekę i ominąwszy donicę, ruszyłem w stronę dziewcząt. Twarz Sibel rozjaśnił radosny uśmiech.

— Gdzie się podziewałaś? — spytałem, całując ją na powitanie.

Przedstawiła mi swoje koleżanki. Skierowaliśmy się w stronę wielkich obrotowych drzwi.



— Wyglądasz przepięknie, najdroższa — wyszeptałem jej do ucha. — Moja jedyna!

— Ty też, przystojniaku! Ale nie stójmy tutaj...

Nie ruszyliśmy się jednak z miejsca, i to bynajmniej nie z mojego powodu. To Sibel wyraźnie przypadły do gustu pełne zachwyty spojrzenia, jakimi obrzucali nas wchodzący przez wielkie obrotowe drzwi znajomi i nieznajomi oraz kłębiący się w hotelowym holu tłum, złożony z zaproszonych gości i kilku dobrze ubranych zagranicznych turystów.

W owych czasach zeuropeizowane wyższe sfery Stambułu ograniczały się do dość wąskiego, zamkniętego kręgu. Wszyscy się znali — każdy o każdym wszystko wiedział. Nawet teraz, po latach, mogę wymienić osoby, które po kolei przechodziły przez obrotowe drzwi. Kobieta, z którą matka gawędziła w parku w dzielnicy Macka, podczas gdy my bawiliśmy się w piaskownicy, z wydatną szczęką, dokładnie taką samą jak członkowie rodziny Halis z Ayvahku, właściciele gajów oliwnych i zakładów produkujących mydło, do której weszła przez zamążpójście (małżeństwo między krewnymi!) — i jej synowie (o jeszcze bardziej wydatnych szczękach)... Kolega ojca z wojska, a mój kompan z meczów piłki nożnej, niegdyś bramkarz, potem handlarz samochodów, Kadri Kubeł, i jego córki, aż jarzące się od błyszczących bransoletek, naszyjników, kolczyków, pierścionków... Syn byłego prezydenta, bohater gospodarczych afer, o grubym karku, i jego elegancka żona... Doktor Barbut, który przeprowadzał modne w czasach mojego dzieciństwa operacje usunięcia migdałków — już sam widok jego lekarskiej torby i płaszcza z wielbłądziej wełny budził przerażenie w niejednym dziecku...

— Sibel ma jeszcze migdałki — oznajmiłem doktorowi, kiedy serdecznie mnie ścisnął.

— Medycyna dysponuje już bardziej nowoczesnymi metodami straszenia ładnych dziewcząt w celu sprowadzania ich na właściwą drogę! — doktor odpowiedział tym samym co zwykle żartem.

Gdy w drzwiach pojawił się przystojny pan Harun, przedstawiciel Siemens na Turcję, zapragnąłem, by matka zauważyła go i wpadła w irytację. Ten niezwykle zrównoważony, wyglądający na statecznego człowieka, obdarzany przez moją matkę epitetami typu „cham” i „bezwstydnik”, ożenił się z córką swojej drugiej żony (czyli pasierbicą), nie przejmując się ani trochę powszechnym oburzeniem, jakie wzbudziło jego trzecie już małżeństwo. Zimną krwią, spokojem i niezmiennie uprzejmym uśmiechem zdołał sprawić, że W krótkim czasie wszyscy zaakceptowali tę sytuację. Pan Cuneyt, który przyszedł z żoną Feyzan, z lichwiarza stał się przemysłowcem, gdy za niewielkie pieniądze przejął wraz z towarami fabryki należące do Greków i Żydów, których rząd w czasie drugiej wojny światowej wysłał do obozów pracy, bo nie byli w stanie płacić nałożonych na mniejszości narodowe podatków. Ojciec mówił o nim nie tyle z gniewem moralizatora, ile z zazdrością, a jednocześnie bardzo lubił jego towarzystwo. Tego wieczoru okazało się, że starszy syn pana Cuneyta, Alptekin, jest moim kolegą z podstawówki, a najmłodsza córka, Asena, chodziła do jednej klasy z Sibel, i to odkrycie tak się nam spodobało, że postanowiliśmy wkrótce spotkać się tylko we czwórkę.

— Zejdziemy już na dół? — spytałem.

— Przystojniak z ciebie, ale musisz trzymać się prosto — powiedziała Sibel, nieświadomie powtarzając słowa mojej matki.

Kucharz Bekri, Fatma, dozorca Saim z żoną i dziećmi, wszyscy w odświętnych strojach, nadeszli wkrótce jedni po drugich; zawstydzeni i zakłopotani, uścisnęli dłoń Sibel. Fatma i Macide, żona Saima, zakryły głowy eleganckimi szalami,

które matka przywiozła im w prezencie z Paryża, drapując je na swoją modłę jak muzułmańskie chusty. Ich przyszczaci synowie, wystrojeni w marynarki i krawaty, nieśmiało, ale z zachwytem zerkali na Sibel.

Potem spostrzeżliśmy Fasiha Fahira, masona, przyjaciela mojego ojca, i jego żonę Zarife. Ojciec bardzo go lubił, nie pochwalał jednak jego zainteresowań. W domu pomstował na masonów, twierdził, że tworzą „opartą na protekcji monopolistyczną klikę”, z uwagą czytał publikowane przez antysemityczne wydawnictwa listy tureckich wolnomularzy, wykrzykując co chwila: „o, proszę, proszę!”, lecz gdy Fasih miał przyjść w odwiedziny, szybko zdejmował z półki i chował takie dzieła, jak *Prawdziwe oblicze masonerii czy Byłem masonem*.

Zaraz za nim pojawiła się jedyna w Stambule (a może i w całym islamskim świecie) kobieta alfons, słynna Luksusowa Şermin, ze swoim znakiem firmowym, fioletową apaszka na szyi (zasłaniała nią bliznę po nożu i nigdy jej nie zdejmowała), jedną ze swych panienek, wystrojoną, prowadząc na niebotycznych szpilkach. Gdy dostrzegłem jej twarz powszechnie znaną, także w kręgach socjety, przez moment sądziłem, że została zaproszona na zaręczyny, ona jednak przeszła przez hol i skierowała się do cukierni.

Noszącego dziwaczne okulary Faruka, zwanego Szczurem, który we wczesnych latach dzieciństwa bywał regularnie gościem na moich urodzinach, a ja na jego, gdyż nasze matki się przyjaźniły, oraz chłopaków z rodziny potentatów tytoniowych Marufów, z którymi spotykaliśmy się na spacerach w parku, bo przyjaciółkami były z kolei nasze nianie, Sibel znała z klubu Cercle d'Orient\*.

\* Założony w 1882 r. przez angielskiego ambasadora Sir Alfreda Sandisona i działający do dnia dzisiejszego klub, zrzeszający wybitne postaci polityki, biznesu, nauki i kultury.

Przez obrotowe drzwi, w towarzystwie mojego przyszłego teścia, wszedł dawny minister spraw zagranicznych, stary, gruby Melikhan, który miał nam założyć zaręczynowe obrączki. Ujrzawszy Sibel, którą znał od dziecka, objął ją i ucałował.

— Przystojny — stwierdził, zmierzwiwszy mnie wzrokiem od stóp do głów. — Miło mi pana poznać, młody człowieku — powiedział, ściskając moją dłoń.

Podeszły do nas roześmiane koleżanki Sibel. Były minister pół żartobliwie, pół serio pochwalił sukienki, ozdoby i fryzury dziewcząt i ze swobodą pozującego na lubieżnego staruszka, któremu wszyscy i tak pobbżają, ucałował jedną po drugiej w policzki, po czym, jak zwykle zadowolony z siebie, zszedł na dół, do sali balowej.

— Nie znoszę tego dziada — oświadczył ojciec, schodząc po schodach.

— Daj spokój — mitygowała go matka. — Uważaj lepiej na stopnie.

— Widzę przecież, Bogu dzięki, jeszcze nie oślepiłem! — burczał ojciec. Rozpromienił się dopiero na widok rozbawionego tłumu i roztaczającej się z hotelowego ogrodu panoramy Bosforu, z wieżą Leandra i brzegami skweru, widocznej zza pałacu Dolmabahę. Wziąłem go pod rękę i poprowadziłem wśród kelnerów krążących z tacami pełnymi kolorowych kanapek. Witaliśmy gości, całując się z każdym w policzki i wypytując, jak się miewa, co słychać.

— Panie Miimtas, pański syn to wypisz wymaluj pan w młodości... Jakbym pana widziała...

— Ależ szanowna pani, ja wciąż jestem młody — zaproponował ojciec. — Czy my się znamy? — spytał, po czym zwracając się do mnie, szepnął łagodnie: — Daj spokój, nie prowadź mnie pod rękę, jakbym był kaleką...

Posłusznie puściłem jego ramię. W rzeźście oświetlonym ogrodzie pełno było młodych kobiet. Z przyjemnością im się przyglądałem. Większość z nich włożyła eleganckie pantofle na wysokich obcasach, z wycięciem na palce, w którym widać było paznokcie starannie pomalowane lakierem w strażackim odcieniu czerwieni, niektóre miały na sobie suknie z głębokimi dekolami, odsłaniające ramiona, ale sięgające ziemi, i czuły się swobodnie, gdyż nie było im widać nóg. Wiele z nich miało, podobnie jak Sibel, małe lakierowane torebki z metalowymi zapięciami.

W pewnym momencie Sibel złapała mnie za rękę i zaczęła przedstawiać swoim liczny krewny, koleżankom z dzieciństwa i ze studiów, przyjacielom, których dotychczas nie znałem.

— Kemal, pozwól, że poznam cię z kimś, kogo bardzo lubię — powtarzała za każdym razem i na jej twarzy pojawiał się wyraz radosnego podniecenia. Przedstawianą osobę wychwalała jednak w sposób, który mimo całego tego ożywienia i serdeczności wydawał mi się zbyt oficjalny. Radość Sibel brała się zapewne stąd, że jej życie układało się dokładnie tak, jak chciała i jak sobie wymyśliła. Po tylu staraniach każda perełka na jej sukni, każda kokardka znajdowała się dokładnie tam, gdzie powinna, każda fałda tkaniny idealnie układała się na jej figurze. Tego wieczoru wszystko szło po jej myśli i na tej podstawie miała prawo uważać, że szczęśliwe życie, które dla siebie przewidziała, urzeczywistni się we wszystkich szczegółach. Dlatego Sibel każdą chwilę, każdą nową twarz, każdego, kto całował ją na powitanie, witała z radością, jakby był to nowy powód do zadowolenia. Od czasu do czasu mocno się do mnie przytulała i opiekuńczym gestem zdejmowała z mojego ramienia dwoma palcami jak pęsetą niewidoczny pyłek czy zabłąkany włos.

Gdy odrywałem wzrok od osób, z którymi kolejno się witałem, widziałem, że goście, wśród których nieustannie krążyli kelnerzy z kanapkami, zaczynają czuć się coraz swobodniej; alkohol robił swoje, słychać było śmiechy i okrzyki. Wszystkie panie miały mocny makijaż i szykowne stroje. Większość wybrała lekkie, dopasowane w talii suknie z głębokimi dekolantami, w których wydawały się marznąć. Mężczyźni ubrani byli w eleganckie białe garnitury, zapięte na wszystkie guziki jak odświętne ubranka małych chłopców. W wyborze krawatów zaznaczał się jeszcze wpływ panującej trzy, cztery sezony wcześniej mody na szerokie, wielobarwne i wzorzyste, „hipisowskie”, stąd były one nieco bardziej kolorowe niż przeciętne krawaty noszone wtedy w Turcji. Popularne kilka lat wcześniej na całym świecie „pekaesy”, długie włosy i męskie buty na obcasach, dawno przestały być modne, najwyraźniej jednak wieść o tym nie dotarła do bogatych Turków w średnim wieku albo po prostu w to nie uwierzyli. Zapuszczane z upodobaniem, „bo takie się teraz nosi”, długie, zachodzące na policzki czarne baczki i tradycyjne czarne wąsy, w połączeniu z czarnymi włosami, nadawały, zwłaszcza młodemu mężczyznom, dość ponury wygląd. Być może z tego względu niemal wszyscy panowie po czterdziestce smarowali swe przeredzone czupryny brylantyną. Jej zapach i woń różnych męskich wód toaletowych oraz ciężkich perfum kobiet mieszały się z dymem papierosów, wypalanych jakby pod przymusem przez tłum zgromadzonych gości, dochodzącym z kuchni smrodem spalonego tłuszczu i ledwie wyczuwalnym wiosennym wiatrem, tworząc mieszankę aromatów przypominającą mi przyjęcia organizowane przez rodziców, gdy byłem dzieckiem. Zespół muzyczny (Srebrne Liście) dla wprowadzenia nastroju grał pół żartem, pół serio lekką muzykę „do windy” — coś w stylu tej, którą puszczają w windach w amerykańskich drapaczach

chmur. Jej dźwięki szeptały mi na ucho, jak bardzo jestem szczęśliwy.

Gdy zaproszeni goście, zwłaszcza starsi, zmęczeni oczekiwaniem na stojąco i zgłodniali, ruszyli w stronę stołów, szukając swoich miejsc, w czym pomagały im rozbiegane i rozwrzeszczane dzieci („Babciu, znalazłem nasz stół!”, „Dokąd tak pędzisz? Powoli, nie biegaj, bo się przewrócisz!”), poczułem, że od tyłu ktoś bierze mnie pod rękę. Były minister spraw zagranicznych gestem wytrawnego polityka i dyplomaty odciągnął mnie na bok i zaczął się rozwodzić, nie szczędząc przy tym własnych wspomnień, nad tym, że Sibel, którą znał od dziecka, to delikatna i subtelna dziewczyna, a potem zajął się wychwalaniem jej rodziny, jaka jest sympatyczna i kulturalna.

— Panie Kemalu, takich rodzin z tradycjami już się nie spotyka — oznajmił. — Pan wywodzi się ze stanu kupieckiego, sam pan wie, i to lepiej ode mnie, że teraz wszędzie panoszą się pozbawieni ogłady nuworysze, przybysze z prowincji, których żony i córki chodzą w chustach. Niedawno widziałem takiego: Arab szedł przodem, a za nim dwie żony zakutane w czarne czadory, kupił im lody i tak paradowali po Beyoglu... Powiedz mi teraz, chłopcze, czy jesteś zdecydowany ożenić się i żyć z Sibel szczęśliwie do końca waszych dni?

— Jestem, proszę pana — odpowiedziałem. Eks-minister był wyraźnie zawiedziony, że nie rzuciłem w odpowiedzi jakiegoś żartu.

— Zareczyn się nie zrywa, co oznacza, że jej imię będzie odtąd zawsze łączone z twoim. Dobrze się zastanowiłeś?

Wokół nas zaczął się tworzyć krąg słuchaczy.

— Zastanowiłem się.

— A więc pozwól, że was szybko zaręczę, a potem możemy zasiąść do kolacji. Stań tu, proszę.

Najwyraźniej mu się nie spodobałem, lecz wcale nie popsu-  
ło mi to humoru. Minister zaczął przemówienie od własnych  
wspomnień z wojska, z których wynikało, że czterdzieści lat  
temu i Turcja, i on sam byli bardzo ubodzy, po czym opowie-  
dział, jak w tamtych czasach skromnie i bez rozgłosu zaręczył  
się ze swą nieżyjącą już żoną. Wychwalał Sibel i jej rodzinę. Je-  
go opowieść nie była bynajmniej żartobliwa, mimo to wszyscy,  
z obserwującymi jego wystąpienie z dalszych miejsc kelnerami  
włącznie, słuchali z uśmiechem, wręcz tryskając wesołością,  
jakby opowiadał jakąś przezabawną historyjkę. Gdy Hulya, mi-  
lutka dziesięciolatka o zębach wystających jak u zająca, którą  
Sibel, podziwiana przez dziewczynkę bezgranicznie, bardzo  
lubiła, przyniosła na srebrnej tacy zaręczynowe obrączki, które  
tu oto eksponuję, w sali na moment zaległa cisza. Z podniece-  
nia ani ja, ani Sibel, ani zaskoczony minister nie wiedzieliśmy,  
na którą rękę i na który palec je włożyć, co wywołało małe  
zamieszanie. Z rozbawionego tłumu dobiegały okrzyki: „Nie  
na ten palec!”, „Druga ręka!”, aż w końcu obrączki znalazły się  
na właściwych miejscach, a minister przeciął łączącą je wstą-  
żeczkę i w tym momencie rozbrzmiały oklaski przypominające  
trzepot skrzydeł zrywającego się do lotu stada gołębi. Byłem  
na to przygotowany, mimo to aplauz tylu radośnie uśmiech-  
niętych osób, które stanowiły część mojego życia, wzbudził  
we mnie dziecięcą wręcz euforię. Ale nie to przyprawiło mnie  
o szybsze bicie serca.

W tłumie, gdzieś z tyłu, dostrzegłem Fiisun z rodzicami.  
Ogarnęła mnie głęboka błogość. Gdy całowałem Sibel, ścis-  
kałem matkę, ojca, brata, którzy od razu podeszli, by złożyć nam  
gratulacje, znałem przyczynę mego radosnego podniecenia,  
lecz wydawało mi się, że uda mi się je ukryć, i to nie tylko przed  
otaczającym nas tłumem, lecz także przed samym sobą. Nasz  
stół znajdował się tuż przy parkiecie do tańca. Zanim przy nim



zasiedliśmy, spostrzegłem, że Fiisun i jej rodzice zajęli miejsca przy stole na samym końcu, razem z pracownikami Satsat.

— Oboje musicie być bardzo szczęśliwi — stwierdziła Berrin, moja bratowa.

— Raczej wykończeni... — westchnęła Sibel. — Jeżeli zaręczyny są takie męczące, to co dopiero ślub...

— Wtedy też będziecie szczęśliwi.

— A czym, twoim zdaniem, Berrin, jest szczęście? — spytałem.

— Ooo, ale sobie temat wybrałaś! — zachnęła się Berrin i przez moment udawała, że rozmyśla nad własnym szczęściem, najwyraźniej jednak nawet wspomnienie sprawiało jej przykrość, bo tylko uśmiechnęła się z zakłopotaniem. Przez radosny zgiełk, okrzyki gości, zadowolonych, że podano poczęstunek, przez brzęk sztućców i muzykę do uszu nas obojga w tym samym momencie przedarł się głośny, przenikliwy głos mojego brata, który coś komuś opowiadał.

— Rodzina, dzieci — westchnęła Berrin, wskazując oczami swego męża. — Jeśli nie jest się szczęśliwym, nawet w najgorszych momentach żyje się tak, jakby się było szczęśliwym. W rodzinnej atmosferze twoje problemy po prostu znikają, muszą się rozwiązać. Od razu postarajcie się o dziecko. Zróbcie sobie dużo dzieci, jak ludzie na wsi.

— Ze co? — zainteresował się mój brat. — O czym tak plotkujecie?

— Mówię im, żeby postarali się o dziecko — odpowiedziała Berrin. — Ile powinni mieć dzieci?

Uznawszy, że nikt na mnie nie patrzy, jednym haustem wychyliłem pół szklaneczki *raki*. Po chwili Berrin nachyliła się ku mnie i szepnęła mi do ucha:

— Kim jest ten facet z miłą dziewczyną siedzący na końcu stołu?

• — Ta dziewczyna to Nurcihan, przyjaciółka Sibel z liceum i ze studiów we Francji. Sibel specjalnie posadziła ją przy moim koledze Mehmedzie. Chce ich z sobą wyswatać.

— Jak dotąd niewiele wskazuje, by miała osiągnąć zamierzony cel! — zauważyła Berrin.

Wyjaśniłem Berrin, że Sibel jest bardzo przywiązana do Nurcihan, podziwia ją, a jednocześnie się o nią martwi; gdy razem studiowały w Paryżu, Nurcihan spotykała się z francuskimi mężczyznami, nie bała się uprawiać z nimi seksu (Sibel opowiadała o tym z podziwem nie pozbawionym nuty zazdrości), a nawet w tajemnicy przed swą bogatą rodziną ze Stambułu z niektórymi z nich pomieszkiwała, jednak ostatnia z tych przygód bardzo ją wyczerpała i dziewczyna pod wpływem Sibel zapragnęła wrócić do kraju.

— Ale żeby stało się to możliwe, musi tu znaleźć kogoś, kogo będzie cenić, kogoś na odpowiednim dla niej poziomie, dla kogo nie będzie miała znaczenia jej przeszłość we Francji i jej kochankowie, i się w nim zakochać.

— No, na początek miłości to nie wygląda! — zaśmiała się cichutko Berrin. — Czym zajmuje się rodzina Mehmeta?

— Są bogaci. Ojciec jest znanym przedsiębiorcą budowlanym.

Gdy Berrin uniosła brwi, natychmiast wyjaśniłem jej, że Mehmet jest moim kolegą z Liceum Roberta, człowiekiem uczciwym i godnym zaufania. Co prawda jego rodzina jest bardzo wierząca i konserwatywna, on sam jednak jest przeciwny aranżowanemu małżeństwu i choć jego nosząca chustę matka znalazła dla niego odpowiednią kandydatkę, do tego ze Stambułu i wykształconą, nie zgodził się na ślub, bo postanowił, że sam znajdzie sobie dziewczynę, będzie z nią chodził na randki i dopiero po jakimś czasie się z nią ożeni.

— Ale jak dotąd nie udało mu się to z żadną z nowoczesnych kobiet, które poznał.

— I się nie uda — oświadczyła Berrin, jakby coś o tym wiedziała.

— Dlaczego nie?

— Przyjrzyj mu się — powiedziała Berrin. — Za takich jak on, wywodzących się gdzieś z głębokiej Anatolii, dziewczyny wolą wychodzić za mąż za pośrednictwem swatki. Boją się, że jeśli z kimś takim poczynąłyby sobie nieco śmieiej, zaraz uznałyby je za dziwki...

— Mehmet nie jest taki.

— Ale jego rodzina, miejsce, skąd pochodzi, takie są. Mądre dziewczyny oceniają nie tylko samego faceta, lecz także jego rodzinę, sytuację, nieprawdą?

— Tak, masz rację — zgodziłem się. — Pewne dziewczyny, pozwól, że ich imion nie będę wymieniał, które czują się nieswojo w obecności Mehmeta i mimo jego poważnych zamiarów wolą się z nim nie zadawać, zachowują się swobodniej i posuwają się dalej wobec innych mężczyzn, których zamiary nie są wcale takie pewne.

— A nie mówiłam! — wykrzyknęła Berrin z satysfakcją. — W tym kraju nie brak mężczyzn, którzy po latach potrafią upokarzać własne żony pod pretekstem, że przed ślubem pozwoliły im zanadto się do siebie zbliżyć. Powiem ci coś jeszcze: twój kolega Mehmet w gruncie rzeczy wcale nie był zakochany w żadnej z tych dziewczyn, do których usiłował się zbliżyć. Gdyby był, dziewczyny by to wyczuły. Nie mówię, że któraś poszłaby z nim do łóżka, ale być może skończyłoby się to ślubem.

— Tylko że Mehmet nie mógł się w żadnej z nich zakochać, bo nie pozwalały mu się do siebie zbliżyć, były zbyt konserwatywne i bojaźliwe... To jak dyskusja, co było pierwsze: jajko czy kura?

— Nieprawda — zachnęła się Berrin. — Seks, sypanie z sobą wcale nie musi oznaczać miłości. Miłość może być taka jak ta, która łączyła Lajlę i Madžnuna\*.

— Hmmm — mruknąłem.

— O co chodzi, powiedzcie nam! — zawołał z drugiego końca stołu mój brat. — Kto z kim sypia?

Berrin rzuciła mężowi spojrzenie oznaczające: uważaj, co mówisz, tu są dzieci, po czym szepnęła mi prosto do ucha:

— Dlatego warto się zastanowić, czemu twój przyjaciel Mehmet o spojrzeniu niewinnego jagniątka nie umiał zakochać się w żadnej z tych dziewczyn, do których w poważnych zamiarach próbował się zbliżyć.

Przenikliwość Berrin wzbudziła mój szczerzy podziw i przez moment miałem ochotę zdradzić jej, jaki z tego Mehmeta ptaszek. Bywał regularnie gościem czterech burdeli, mieszczących się w dzielnicach SiraseMler, Cihangir, Bebek i Nişantaşi, i w każdym z nich miał swoje ulubione panienki. Z jednej strony usilnie, lecz bez powodzenia starał się nawiązać jakąś głębszą uczuciową więź z poznanymi w firmie dziewczynami po maturze, dziewicami koło dwudziestki, z drugiej zaś każdego wieczoru szedł do tych luksusowych przybytków i urządzał trwające do białego rana dzikie orgie z udziałem dziwek wystylizowanych na aktorki z zachodnich filmów, i tylko czasem, gdy za dużo wypił, zdarzało mu się chlapnąć, że nie starcza mu forsy na panienki albo że nie może się pozbierać po szalonej nocy. Gdy o północy wychodziliśmy z jakiegoś przyjęcia, nie wracał do domu, w którym ojciec z nieodłącznym różańcem w ręku i zakutane w chusty matka oraz siostry zawsze przestrzegali

\* **Lajla i Madžnun** — bohaterowie klasycznej arabskiej historii miłosnej, opiewanej także w literaturze perskiej i tureckiej; ich miłość stanowi symbol czystego uczucia, bez fizycznego spełnienia.

postu w ramadanie, lecz pożegnawszy się z nami, szedł do jednego z ekskluzywnych burdeli w Cihangirze czy Bebeku.

— Za dużo pijesz — zwróciła mi uwagę Berrin. — Nie pij tyle. Zbyt wielu tu ludzi, wszyscy patrzają.

— Dobrze — odpowiedziałem i z uśmiechem wzniosłem szklanę.

— Popatrz na Osmana, jaki on jest odpowiedzialny, a z ciebie taki lekkoduch... Jak dwaj bracia mogą tak się różnić?!

— Ależ skąd! Jesteśmy do siebie bardzo podobni. Zobaczysz, odtąd będę jeszcze poważniejszy i bardziej odpowiedzialny niż Osman.

— W gruncie rzeczy nie przepadam za powagą... — zaczęła mówić Berrin. — Ale ty mnie w ogóle nie słuchasz! — zawołała po chwili.

— Co? Ależ słucham!

— W takim razie co mówiłam?

— Ze miłość powinna być jak w romansach. Jak ta Lajli i Madznuna...

— No proszę, nie słuchałeś! — stwierdziła Berrin z uśmiechem. Ale było widać, że mój stan ją niepokoi. Odwróciła się do Sibel, by sprawdzić, czy ta widzi, co się ze mną dzieje. Sibel była jednak zajęta rozmową z Mehmetem i Nurcihan.

Gdy rozmawiałem z Berrin, jakąś część mojego umysłu pochłaniały myśli o Fiisun, czułem, że ona siedzi gdzieś tam, za moimi plecami. Zawstydzony, starałem się to ukryć, i to nie tylko przed tymi, którzy czytają moją książkę, lecz także przed samym sobą. Ale dość już tego! Widzicie zresztą sami, że mi się nie udało. Odtąd będę więc całkowicie szczerzy wobec moich czytelników.

Pod jakimś pretekstem wstałem od stołu. Nie pamiętam, co naprędce wymyśliłem. Chciałem zobaczyć Fiisun. Rozejrzałem się, ale nigdzie jej nie dostrzegłem. Dokoła kłębił się tłum ludzi,

którzy przekrzykując się, głośno rozmawiali, wrzeszczały dzieci bawiące się w chowanym wśród stołów, a z tym wszystkim mieszały się dźwięki muzyki i brzęk sztućców, wywołując hałas nie do zniesienia. Ruszyłem na koniec sali z nadzieją, że znajdę tam Fiisun.

— Kochany Kemalu, gratulacje — odezwał się jakiś głos.  
— Będzie też taniec brzucha, prawda?

Głos należał do Selima Snoba, siedzącego przy stole z Zaimem i jego rodziną. Wybuchnąłem śmiechem, jakbym usłyszał świetny dowcip.

— Dokonał pan dobrego wyboru, panie Kemalu — oświadczyła jakaś dobroduszna staruszka. — Zapewne pan mnie sobie nie przypomina. Z pańską mamą...

Nim zdążyłem usłyszeć, skąd zna moją matkę, odepchnął mnie od niej kelner z tacą. Gdy udało mi się odzyskać równowagę, starsza pani była już daleko z tyłu.

— Pokaż zaręczynową obrączkę! — jakieś dziecko mocno chwyciło moją dłoń.

— Zostaw pana, tak nie wypada! — matka szarpnęła je za rękę i już miała wymierzyć mu policzek, gdy nauczony najwyraźniej doświadczeniem dzieciak wyrwał się i z uśmiechem pobiegł dalej. — Wracaj mi tu zaraz! — krzyknęła za nim matka. — Bardzo pana przepraszam... Gratulacje...

Zupełnie nie znana mi kobieta o zaczerwienionej twarzy śmiała się głośno, lecz napotkawszy mój wzrok, nagle spoważniała. Jej mąż sam się przedstawił — jest krewnym Sibel, ale razem ze mną odbywał służbę wojskową w Amasyi. Może usiadłbym na chwilę przy ich stole? Spojrzałem na koniec sali, czy nie ma tam Fiisun, ale nigdzie nie mogłem jej dostrzec. Jakby się zapadła pod ziemię. Poczułem ból. Moje ciało wypełniało nie znane mi dotąd uczucie tęsknoty.

— Czy szuka pan kogoś?

— Narzeczona na mnie czeka, ale chętnie wypiję z panem szklaneczkę...

Wyraźnie ucieszeni, zaraz zsunęli krzesła i dostawili do stołu jeszcze jedno. Nie, nie potrzebuję noża ani widelca, tylko trochę *raki*.

— Kemalu, poznałeś już admirała Ercetina?

— Ach, tak — odparłem, choć wcale sobie tego nie przypominałem.

— Jestem mężem ciotecznej siostry ojca Sibel, młody człowieku — wyjaśnił skromnie admirał. — Gratulacje!

— Proszę wybaczyć, panie admirale, jest pan ubrany po cywilnemu, dlatego pana nie poznałem. Sibel zawsze wspomina o panu z najwyższym szacunkiem.

W rzeczywistości Sibel opowiadała mi, że przed laty ich daleka kuzynka podczas wakacji w letnim domu na wyspie Heybeli zakochała się w przystojnym oficerze marynarki, ja zaś sądząc, że admirał musi być jednym z tych wysoko postawionych wojskowych, których ceni się w bogatych rodzinach, gdyż mogą zapewnić dobre stosunki z urzędami państwowymi, protekcję i pomoc w załatwieniu odroczenia służby wojskowej, nie służyłem zbyt uważnie jej opowieści. Teraz, ogarnięty dziwną chęcią przypodobania mu się, już miałem na końcu języka pytanie: „Panie admirale, kiedy wojsko zdecyduje się zrobić porządek w tym kraju? Komuniści i reakcyjniści ciągną każdy w swoją stronę i popychają ojczyznę na skraj przepaści...”, ale choć byłem kompletnie pijany, czułem, że jeśli to zrobię, uznają mnie za chama i pijaka. W pewnej chwili wstałem, wiedziony jakimś wewnętrznym impulsem, i spostrzegłem w oddali Fiisun.

— Państwo pozwolą, że ich zostawię — powiedziałem.

Jak zawsze gdy za dużo wypięłem, szedłem niepewnie, czując się jak cień samego siebie. Fiisun usiadła za stołem na

końcu sali. W sukience na ramiączkach, która odsłaniała jej piękne, gładkie ramiona, w eleganckim uczesaniu prosto od fryzjera wyglądała przepięknie. Wystarczyło, bym ją zobaczył, choćby z daleka, a już przepełniło mnie szczęście i radosne podniecenie.

Udawała, że mnie nie widzi. Przy czwartym z siedmiu dzielących nas stołów zauważyłem rodzinę Pamuków. Zamieniłem kilka słów z Aydinem i Gunduzem, którzy swego czasu prowadzili interesy z moim ojcem. Moja uwaga cały czas skupiała się jednak na stole, przy którym siedziała Fiisun. Od razu dostrzegłem, że jeden z posadzonych obok pracowników Satsat, młody i pewny siebie Kenan, nie mógł, podobnie zresztą jak i pozostali, oderwać oczu od Fiisun i starał się ją bliżej<sup>1</sup> poznać.

Pamukowie, jak wiele niegdyś bogatych rodzin, które straciły majątek na skutek nieumiejętnego nim zarządzania, zachowywali dystans wobec innych gości, czując się nieswojo w towarzystwie nuworyszy. Nie dostrzegłem wśród nich nikogo wartego odnotowania, może poza dwudziestotrzyletnim Orhanem, który siedząc obok swej pięknej matki, ojca, starszego brata, stryja i kuzynów, nerwowo i niecierpliwie palił jednego papierosa za drugim, starając się przy tym ironicznie uśmiechać.

Opuściwszy to przygnębiające towarzystwo, skierowałem się prosto do stołu Fiisun. Nie potrafię opisać wyrazu szczęścia, jaki odmalował się na jej twarzy, gdy zrozumiała, że nie zamierzam jej ignorować, że podchodzę do niej bez skrępowania, pełen miłości, a ona nie musi już udawać, że mnie nie widzi. Zarumieniła się, jej smągła cera przybrała żywy, różowawy ocień. Po spojrzeniach cioci Nesibe zorientowałem się, że Fiisun musiała jej wszystko opowiedzieć. Uścisnąłem najpierw suchą dłoń ciotki, potem podałem rękę wujowi, który raczej nie wyglądał na wtajemniczonego — miał długie palce i wąskie nadgarstki, takie same jak jego córka. Gdy przyszła



kolej przywitać się z moją ukochaną, najpierw uścisnąłem jej rękę, a potem pochyliłem się i ucałowałem ją w oba policzki. Widok wrażliwych miejsc na jej szyi i za uszami wywołał we mnie wspomnienia chwil szczęścia i namiętności. Pytanie: „Dlaczego przyszłaś?”, które wielokrotnie powtarzałem sobie w myślach, zmieniło się nagle w stwierdzenie: „Dobrze, że przyszłaś”. Podkreśliła oczy cieniutką czarną kreską, wargi pociągnęła różowawą szminką. Po zaczerwienionych oczach i lekko opuchniętych powiekach poznałem, że wczoraj wieczorem po rozstaniu się ze mną musiała płakać. Nagle na jej twarzy pojawił się wyraz zdecydowania.

— Panie Kemal, miałam okazję poznać panią Sibel. Podjął pan właściwą decyzję... — oświadczyła odważnie. — Gratuluję panu z całego serca.

— Ach, bardzo dziękuję.

— Panie Kemal — wtrąciła w tym momencie jej matka — wśród tylu obowiązków znalazł pan jeszcze czas, by uczyć naszą córkę matematyki. Niech Bóg panu wynagrodzi!

— Egzamin jest jutro, prawda? Lepiej będzie, jak wcześniej wróci do domu.

— Oczywiście, ma pan prawo przejmować się jej egzaminem — oświadczyła matka Fiisun. — Ale biedaczka tyle się namęczyła, ucząc się pod pana kierunkiem. Niech pan pozwoli jej trochę się zabawić dziś wieczorem.

Uśmiechnąłem się do Fiisun jak pobłażliwy nauczyciel. W tym zgiełku i gwarze jakby nikt nas nie słyszał — niczym we śnie. W spojrzeniach rzucanych przez dziewczynę matce zauważyłem gniew, który widywałem w jej oczach podczas naszych spotkań w kamienicy Zmiłowanie. Popatrzyłem ostatni raz na jej na wpół odsłonięte kształtne piersi, wspinałe ramiona, dziecięce jeszcze dłonie. Gdy wracałem do swojego stołu, czułem, jak szczęście wzbiera we mnie niczym sfilmo-

wana w zwolnionym tempie potężna, zwycięska fala, pędząca w stronę brzegu, by zaraz weń uderzyć i zmieść całą moją przyszłość.

Zespół Srebrne Liście grał właśnie *Wieczór nad Bosforem*, turecką przeróbkę *It's Now or Never*. Gdybym nie był absolutnie przekonany, że czyste szczęście można przeżywać jedynie wtedy, gdy się kogoś obejmuje, i tylko w ten sposób osiąść je „teraz”, wspominałbym tę chwilę jako jeden z najszcześniejszych momentów w moim życiu. Albowiem ze słów matki Fiisun i gniewnych, urażonych spojrzeń dziewczyny wynioskowałem, że nasz związek będzie trwał nadal, że nawet jej matka akceptuje go, wiążąc z nim pewne oczekiwania. Zrozumiałem, że jeśli będę postępował ostrożnie i z wyczuciem, jeśli będę okazywał Fusun, jak bardzo ją kocham, zatrzymam ją przy sobie do końca życia. Oznaczało to, że Bóg, który tylko nielicznym ze swych sług, mojemu ojcu, stryjom, dopiero około pięćdziesiątki i po wielu trudach pozwolił skosztować odrobiny niemoralnego męskiego szczęścia, to znaczy cieszyć się urokami szczęścia rodzinnego u boku wykształconej, kulturalnej, mądrej i pięknej żony, a jednocześnie przeżywać w sekrecie głęboką miłość, pełną szalonych uniesień, z młodą, piękną, atrakcyjną dziewczyną, mnie obdarzył tym szczęściem tuż po trzydziestce, nie każąc mi przy tym specjalnie cierpieć ani nie zmuszając do poświęceń. Choć nie byłem głęboko wierzący, w tym momencie na zawsze utkwiał mi w pamięci widok wypełniającego ogród hotelu Hilton radosnego tłumu gości, barwnych lampek, przebłyskujących zza drzew świateł nad Bosforem i granatowego nieba nad tym wszystkim, jak nadesłana przez Boga pocztówka z życzeniami szczęścia.

— Gdzie się podziewałeś? — spytała Sibel. Jak się okazało, poszła mnie szukać. — Niepokoiłam się. Berrin powiedziała, że chyba za dużo wypiliśmy. Dobrze się czujesz, kochany?

— Tak, przez moment wydawało mi się, że za dużo tego dobrego, ale teraz czuję się świetnie. Jedyne mój problem to nadmiar szczęścia.

— Ja też jestem bardzo szczęśliwa, ale martwi mnie coś innego.

— Co takiego?

— Między Nurcihan i Mehmetem nie zaiskrzyło.

— Mówi się trudno. Najważniejsze, że nam jest wspaniale!

— Nie, nie, oni oboje tego chcą. Jeśli choć troszeczkę się polubią, jestem pewna, że możemy się spodziewać rychłego ślubu. Ale oni jakoś nie mogą się przełamać... I boję się, że stracimy taką okazję...

Spojrzałem z daleka na Mehmeta. Próbował zagadywać Nurcihan, lecz widząc własną nieporadność, był coraz bardziej zły na siebie i coraz bardziej zamykał się w sobie.

Staliśmy obok małego podręcznego stolika, na którym piętrzyły się stosy pustych talerzy.

— Usiądźmy i porozmawiajmy tylko we dwoje — zaproponowałem. — Być może dla Mehmeta jest już za późno... Może on już nie jest w stanie ożenić się z ładną, uczciwą dziewczyną?

— A to dlaczego?

Usiedliśmy przy naszym stole. Powiedziałem Sibel, że Mehmet nie potrafi znaleźć szczęścia nigdzie indziej, jak tylko w pachnących perfumami przybytkach pod czerwoną latarnią. Z niepokojem, wręcz strachem szeroko otworzyła oczy.

— Ty widocznie dobrze znasz te miejsca! Chodziłeś tam z nim, zanim mnie poznałeś?

— Bardzo cię kocham — położyłem swą dłoń na jej dłoni, nie zwracając uwagi na kelnera, który gapił się na zaręczynowe obrączki na naszych palcach. — A Mehmet chyba czuje, że nie jest już w stanie związać się głębokim uczuciem z żadną przyzwoitą dziewczyną. I to go niepokoi.

— Och, jaka szkoda! — westchnęła Sibel. — Dziewczyny się go boją...

— Gdyby ich nie odstraszał... Dziewczyny mają rację... A jak się z którąś prześpi, a potem z nią nie ożeni? Będzie skończona, nikt jej nie będzie chciał.

— Takie rzeczy się wie.

— Co się wie?

— Czy można facetowi zaufać, czy nie.

— To nie takie łatwe. Wiele dziewczyn tego nie potrafi i boją się podjąć decyzję. Albo zgadzają się na seks, ale nie sprawia im on żadnej przyjemności... Być może są takie, które nie mają żadnych zahamowań, nie wiem. Mehmet musiał nasłuchać się opowieści o wolnej miłości w Europie, aż mu pewnie ślinka ciekła, inaczej nie wbiłby sobie do głowy, że bycie nowoczesnym, ucywilizowanym jest równoznaczne z uprawianiem seksu przed ślubem. Gdyby nie to, dawno już byłby szczęśliwie żonaty z zakochaną w nim porządną dziewczyną. A teraz patrz no tylko, jak go skręca przy Nurcihan...

— Wie, że Nurcihan w Europie sypiała już z facetami... To go pociąga, a jednocześnie przeraża... Chodź, pomożemy mu — zaproponowała Sibel.

Zespół Srebrne Liście grał teraz własny utwór pod tytułem *Szczęście*. Tkliwy nastrój wywołany muzyką udzielił się także mnie. Poczujęm, że miłość do Fiisun przepełnia mnie bólem i zarazem błogością. Jednocześnie ojcowskim tonem tłumaczyłem Sibel, że może za sto lat Turcja stanie się naprawdę nowoczesna i wtedy, wolni od balastu dziewictwa, strachu przed tym, co ludzie powiedzą, będziemy kochać się beztrasko, szczęśliwi jak w raj, lecz nim to nastąpi, miłość i seks pozostaną źródłem cierpień jeszcze wielu ludzi.

— Nie, nie — zaproponowała moja śliczna narzeczona o złoty sercu, biorąc mnie za rękę. — Oni też wkrótce będą szczęś-

liwi, tak jak my jesteśmy dzisiaj. Na pewno uda nam się doprowadzić do ślubu Mehmeta z Nurcihan.

— No dobrze, co w takim razie powinniśmy zrobić?

— A co to ma znaczyć? Narzeczeni zaszyli się w kącie i coś sobie szepczą na ucho! — wykrzyknął nie znany mi grubas.

— Pozwoli pan, panie Kemal, że się przysiądę? — Nie czekając na odpowiedź, przysunął sobie krzesło i usiadł obok nas. Miał około czterdziestu lat, w klapę marynarki wpiął biały goździk. Biła od niego ciężka, mdląca woń damskich perfum.

— Gdy państwo młodzi na weselu trzymają się na uboczu, pryska radosny nastrój!

— Nie jesteśmy młodą parą, dopiero się zaręczaliśmy — sprostowałem.

— Ale wszyscy twierdzą, panie Kemal, że te zaręczyny są wspanialsze niż niejedno wystawne przyjęcie ślubne! Czy oprócz hotelu Hilton bierze pan pod uwagę inne miejsca na zorganizowanie wesela?

— Przepraszam, a właściwie z kim mam przyjemność?

— Ach, prawda, panie Kemal, to ja powinienem prosić o wybaczenie. Nam, pisarzom, wydaje się, że wszyscy nas znają. Nazywam się Sureyya Sabir. Może mnie pan znać z rubryki „Biały goździk”, którą prowadzę w gazecie „Wieczór”.

— Ach, pańskie ploteczki z życia wyższych sfer czyta cały Stambuł! — zawołała Sibel. — Myślałam, że ich autorem jest kobieta\*, świetnie zna się pan na strojach, na modzie!

W tym samym momencie wypaliłem bez zastanowienia:

— Kto pana zaprosił?

— Bardzo dziękuję za miłe słowa, pani Sibel. W Europie nikogo nie dziwi, że subtelny mężczyzna zna się na tych sprawach. Panie Kemal, zgodnie z tureckim prawem prasowym

\* Imię Sureyya może nosić zarówno mężczyzna, jak i kobieta.

my, dziennikarze, mamy prawo udziału we wszelkich publicznych zgromadzeniach, za okazaniem tej oto legitymacji prasowej. A każda uroczystość, na którą zostały wydrukowane zaproszenia, jest uznawana za publiczne zgromadzenie. Mimo to przez wszystkie lata pracy nie zjawiłem się na żadnym przyjęciu, na które nie zostałem zaproszony. Osobą, za sprawą której znalazłem się tu jako gość, był nie kto inny jak pańska czcigodna matka. Ona docenia znaczenie tego, co określają państwo jako plotki z wyższych sfer, czyli w rzeczywistości informacji o życiu towarzyskim, i często zaprasza mnie na organizowane przez siebie przyjęcia. Żywimy do siebie tak wielkie zaufanie, że gdy nie mogę przyjść, pańska matka zdaje mi relację przez telefon, a ja potem zamieszczam w gazecie wszystko co do słowa. Gdyż szanowna pani, tak samo zresztą jak i pan, zwraca uwagę na każdy szczegół i nigdy nie podaje nieprawdziwych informacji. W moich doniesieniach o wydarzeniach towarzyskich, panie Kemal, nie ma i nie może być miejsca na kłamstwo!

— Żle pan zrozumiał Kemala... — usiłowała mnie tłumaczyć Sibel.

— Dopiero co pewni nieżyczliwi ludzie stwierdzili, że na tym przyjęciu wszystkie butelki whisky i szampana pochodzą z przemytu, jaki udało się znaleźć w całym Stambule... Naszemu krajowi brakuje dewiz, by wesprzeć produkcję fabryk, kupić ropę! Są tacy, którzy z czystej zawiści i wrogości wobec bogactwa chcą rzucić cień na tę wspaniałą uroczystość, zadając na łamach gazet pytania w rodzaju: „Skąd ten nielegalny alkohol?”. Jeśli będzie ich pan traktował tak źle jak mnie, niech pan mi wierzy, napiszą jeszcze gorsze rzeczy... Nie, ja nigdy nie sprawię panu przykrości. Pańskie nieprzyjemne pytanie wyrzucę z pamięci raz na zawsze. Gdyż turecka prasa jest wolna. Ale za to odpowie mi pan, tylko szczerze, na jedno pytanie.

- Ależ proszę pytać, panie Siireyyo!
- Przed chwilą byliście tak pochłonięci rozmową tylko we dwoje, jak przystało na parę narzeczonych, na jakiś poważny temat... Bardzo jestem ciekaw... o czym tak dyskutowaliście?
- Martwiliśmy się, czy goście są zadowoleni z poczęstunku — rzuciłem szybko.
- Pani Sibel, mam dla pani dobrą wiadomość — oświadczył Biały Goździk z rozbawieniem. — Z pani przyszłego męża jest bardzo kiepski łgarz!
- Kemal ma takie dobre serce — powiedziała Sibel.
- Mówiliśmy o tym, że Bóg jeden wie, ile osób w tym tłumie cierpi z powodu miłości, małżeństwa albo spraw związanych z seksem.
- Ach tak — wyjąkał dziennikarz i zamilkł na moment, nie potrafiąc się zdecydować, czy wobec użycia przez Sibel słowa „seks”, które dopiero niedawno stało się popularne i nabrało cech fetyszu, powinien przybrać pozę słuchacza zszokowanego wyznaniem mającym posmak skandalu, czy też okazać głębokie zrozumienie dla ludzkiej niedoli.
- Państwa oczywiście, jako ludzi nowoczesnych i szczęśliwych, takie problemy nie dotyczą... — powiedział po chwili. Nie było w tym drwiny, raczej pochlebstwo, rzucone bez skrępowania przez kogoś, kto wie, że to najlepszy sposób na wybrnięcie z niezręcznej sytuacji. Z miną mającą świadczyć, jak głęboko jest przejęty problemami zaproszonych gości, zaczęła opowiadać, czyja córka była bez wzajemności zakochana w czyim synu, za czyją oglądali się mężczyźni, przez co jako zbyt swobodna naraziła się na ostracyzm ze strony „lepszyc” rodzin, która matka miała nadzieję wydać córkę za zepsutego syna któregoś z bogatych rodów, a czyj fajtłapowaty synalek, zaręczony z jedną dziewczyną, kochał się na zabój w drugiej. Oboje z Sibel słuchaliśmy tego z rozbawieniem, a widząc to,

Biały Goździk z jeszcze większym zapałem kontynuował swą opowieść. Goście zaczęli właśnie gromadzić się wokół parkietu do tańca, gdy oświadczył, że te wszystkie „bezceństwa” wkrótce zaczną jedno po drugim wychodzić na jaw. W tym momencie pojawiła się moja matka i odesłała nas do naszego stołu, oburzona, że siedzimy i plotkujemy, podczas gdy wszyscy na nas patrzą.

Ledwo zająłem miejsce obok Berrin, gdy w moim umyśle rozbłysnął jak po włożeniu wtyczki do kontaktu świetlisty obraz Fiisun. Tym razem jednak jego blask nie budził we mnie niepokoju, wręcz przeciwnie, emanował błogością i rozjaśniał nie tylko mrok nocy, lecz całą moją przyszłość. Krótko mówiąc, poczułem nagle, że zaczynam postępować jak mężczyźni, dla których ich kochanki są prawdziwym źródłem szczęścia, a którzy zachowują się, jakby zawdzięczali owo szczęście żonom i rodzinom, czyli udaję, że to dzięki Sibel jestem w siódmym niebie.

Zamieniwszy kilka słów z redaktorem plotkarskiej kolumny, moja matka podeszła do naszego stołu.

— Uważajcie na tych dziennikarzy! Wypisują niestworzone rzeczy, jakieś podłe wymysły. Potem będą się domagać, żeby ojciec wykupił u nich więcej reklam. A teraz pierwszy taniec! Wszyscy na was czekają — oświadczyła, po czym zwracając się do Sibel, dodała: — Orkiestra już gra. Ach, jakaś ty śliczna, jak pięknie wyglądasz!

Zatańczyliśmy w takt granego przez Srebrne Liście tanga. Goście obserwowali nas w milczeniu i to nadawało naszemu szczęściu jakąś sztuczną głębię. Sibel położyła rękę na moim ramieniu, jakby chciała mnie objąć, zbliżyła głowę do mojej piersi tak bardzo, jakbyśmy znajdowali się sam na sam w ciemnym kącie dyskoteki. Co chwila szeptała do mnie z uśmiechem kilka słów i wskazywała na coś ponad moim ramieniem, a ja



po tanecznym obrocie zerkałem w tamtą stronę, na przykład na kelnera z pełną tacą, obserwującego nas z uśmiechem, na jej matkę roniącą łzy, kobietę o fryzurze przypominającej ptasie gniazdo, na Mehmeta i Nurcihan, którzy gdy nas przy nich nie było, siedzieli odwróceny do siebie plecami, na wzbogaconego na wojnie (tamtej wojnie) milionera, dziewięćdziesięcioletniego starca, którego musiał karmić służący. Ale ani razu nie spojrzełem w stronę końca sali, gdzie siedziała Fiisun. Wolałbym też, by i ona nas nie widziała, gdy Sibel radośnie szeptała mi do ucha: „Spójrz na tego, zobacz, jak tamta wygląda!”.

Nagle rozległy się oklaski, po czym szybko ucichły, a my jak gdyby nigdy nic tańczyliśmy dalej. Gdy na parkiet zaczęły wchodzić inne pary, wróciliśmy do naszego stołu.

— Pięknie wyglądaliście, wspaniała z was para! — oświadczyła Benin. Wydaje mi się, że Fiisun nie było jeszcze wtedy wśród tańczących. Sibel była tak zmartwiona brakiem jakiegokolwiek porozumienia między Mehmetem a Nurcihan, że domagała się, bym z nim porozmawiał.

— Powiedz mu, żeby się trochę pozalecał do Nurcihan! — poprosiła, ja jednak zignorowałem jej prośbę. Do rozmowy włączyła się Berrin. — Nic na siłę! — oświadczyła szeptem i dodała, że nie tylko Mehmet, ale także Nurcihan ma muchy w nosie i zachowuje się jak mimoza, a skoro nie przypadli sobie do gustu, nie należy na nich naciskać. — Nie, wręcz przeciwnie, wesela mają magiczną moc! — zaoponowała Sibel. — Większość par, które potem stają na ślubnym kobiercu, poznaje się właśnie na weselach. Nie tylko dziewczyny, także chłopaków ogarnia wtedy ten specjalny nastrój. Trzeba im tylko pomóc...

— O czym rozmawiacie? Ja też chcę wiedzieć — zainteresował się mój starszy brat, po czym zrobił nam wszystkim wykład, że czasy swatów bezpowrotnie minęły, lecz w Turcji

nadal brakuje miejsc, gdzie młodzi ludzie mogliby się spotykać jak ich rówieśnicy w Europie, dlatego swaci ochotnicy mają w dzisiejszych czasach nadal ręce pełne roboty. Zapomniawszy, że całą dyskusję zapoczątkowało zachowanie Mehmeta i Nurcihan, Osman zwrócił się do niej:

— Ty na przykład nie pozwolisz, by swatka znalazła ci męża, prawda?

— Ach, Osmanie, jeśli facet jest fajny, to nie ma znaczenia, jak się go znalazło! — zachichotała Nurcihan.

Wszyscy się roześmieli, jakby usłyszeli coś nieprzyzwoitego, i uznali, że nie może to być nic innego jak po prostu żart. Tylko Mehmet zrobił się purpurowy i odwrócił wzrok.

— Widziałeś? — szepnęła mi potem Sibelna ucho. — Wystraszyła chłopaka. Pomyślał, że kpi sobie z niego.

Nie zwracałem uwagi na to, co działo się na parkiecie. Ale dwadzieścia pięć lat później, gdy zakładałem swe muzeum, spotkałem Orhana Pamuka, który powiedział mi, że o ile pamięta, Fiisun w tym czasie zatańczyła dwukrotnie. Jej pierwszego partnera nie znał, lecz z opisu wywnioskowałem, że mógł to być Kenan z Satsat. Drugim mężczyzną, który poprosił ją do tańca, był, co wyznał mi nie bez dumy, on sam. Choć minęło tyle lat, wspominał ten wieczór wciąż z błyskiem w oku. (Jeżeli czytelnicy pragną usłyszeć z jego ust, co czuł, tańcząc z Fiisun, niech zjrzą do ostatniego rozdziału tej książki, zatytułowanego *Szczęście*).

Gdy pan Orhan, w którego szczerość nie wątpię, tańczył, Mehmet, nie mogąc już dłużej znieść chichotów Nurcihan i dwuznacznych rozmów o miłości, małżeństwie, swatach, „nowoczesnym” życiu, wstał od stołu i opuścił nasze towarzystwo. W jednej chwili wszyscy stracili humor.

— Powinniśmy się wstydić — oświadczyła Sibel. — Uraziliśmy go.

— Nie patrz tak na mnie — broniła się Nurcihan. — Wcale nie zachowałam się gorzej niż wy. Wszyscy spiliście się i tylko rechotaliście między sobą. Biedny, nieszczęśliwy Mehmet.

— Będiesz dla niego miła, gdy Kemal przyprowadzi go z powrotem? — spytała Sibel. — Możesz go uszczęśliwić, a on ciebie. Tylko musisz go lepiej traktować.

Pragnienie Sibel pogodzenia tych dwojga, wyrażone tak otwarcie i gorąco, najwyraźniej przypadło Nurcihan do gustu, bo oznajmiła: — No, nie musimy tak zaraz lecieć do ołtarza. Dopiero co się poznaliśmy, mógł chociaż powiedzieć mi parę miłych słów.

— Powiedziałyby, ale to niełatwe w obecności dziewczyny z charakterem, takiej jak ty — Sibel roześmiała się i resztę wyszeptała Nurcihan na ucho.

— Wiecie, dlaczego u nas chłopaki nie potrafią flirtować z dziewczynami? — spytał mój brat. Zawsze gdy wypił, na jego twarzy pojawiał się taki sympatyczny wyraz. — Bo nie ma tu miejsca, gdzie można byłoby flirtować. Nie ma nawet słowa oznaczającego flirt.

— W twoim słowniku flirt oznaczał pójście ze mną do kina w sobotnie popołudnie — powiedziała Berrin. — Brałeś z sobą przenośne radyjko i co pięć minut sprawdzałeś wynik meczu Fenerbahçe.

— Zabierałem je ze sobą nie po to, by słuchać transmisji, ale by zrobić na tobie wrażenie — oznajmił Osman. — Chciałem się pochwalić, że pierwszy w Stambule mam radio tranzystorowe...

Nurcihan wyznała, że jej matka szczyliła się tym, iż pierwsza w Turcji używała robota kuchennego. Zanim jeszcze zaczęto w Turcji sprzedawać sok pomidorowy w puszkach, to znaczy gdzieś pod koniec lat pięćdziesiątych, matka Nurcihan zapraszała koleżanki na brydża i częstowała je podawanym

w kryształowych szklaneczkach sokiem z pomidorów, selera, buraków czy rzodkwi. Po czym zapraszała panie z towarzystwa do kuchni, gdzie z dumą demonstrowała im pierwsze i w owym czasie jedyne w kraju niezwykle urządzenie. Przy akompaniamencie muzyki z tamtych lat zaczęliśmy wspominać maszynki do golenia, noże do mięsa, elektryczne otwieracze do puszek i tym podobne przybory, którymi stambulska burżuazja cięła sobie twarze i ręce do krwi, by szczyć się byciem pierwszymi w Turcji użytkownikami tych dziwnych i przerażających narzędzi. Podziwiane w Europie i przywożone stamtąd, by na ogół zepsuć się po pierwszym użyciu, wszystkie te szpulowe magnetofony, suszarki do włosów, od których wysiadały korki, wyjące elektryczne młynki do kawy, budzące przerażenie w pomocach domowych, miksery do przygotowywania majonezu, do których nie można było w Turcji znaleźć części zamiennych, nadal leżały zakurzone gdzieś w naszych domach, bo nikt nie miał serca ich wyrzucić. Rozbawieni, wybuchając co chwila śmiechem, w pewnej chwili zauważyliśmy, że na zwolnionym przez Mehmeta krześle usiadł Zaim „Zasługujesz na Najlepsze” i nie tracąc czasu, z ożywieniem włączył się do rozmowy. Nie minęły nawet trzy minuty, a już zdążył szepnąć Nurcihan do ucha parę słów i rozśmieszyć ją do łez.

— A co z twoją niemiecką modelką? — zagadnęła go Sibel.  
— Porzuciłeś ją?

— Inge nie była moją dziewczyną, wróciła do Niemiec — odparł Zaim, nie tracąc kontenansu. — Łączyły nas wyłącznie interesy. Wychodziliśmy razem wieczorami, bo chciałem jej pokazać nocne życie Stambułu.

— Pozostaliście na przyjacielskiej stopie! — wykrzyknęła Sibel, powtarzając jedno z ulubionych wyrażenia kolorowej prasy, przeżywającej w tym czasie rozkwit.

— Widziałam ją dzisiaj w kinie — oznajmiła Berrin. — W reklamie, jak zawsze z uśmiechem, piła oranżadę — rzuciła w stronę męża. — U fryzjera wyłączyli prąd, poszłam więc na film z Jeanem Gąbinem i Sophią Loren. Reklamy są wszędzie, w każdym lokalu, i oranżadę piją wszyscy, nie tylko dzieci. Gratulacje... — powiedziała, zwracając się znowu do Zaima.

— Wybraliśmy właściwą porę — skromnie przyznał Zaim. — Mieliśmy też fart.

Nurcihan rzuciła mi pytające spojrzenie. Wyczułem, że Zaim chce, bym go przedstawił, pospieszyłem więc z krótką prezentacją, mówiąc, że kolega jest właścicielem spółki Sektaş, produkującej nowość na rynku, oranżadę Zefir, reklamowaną przez niemiecką modelkę, sympatyczną Inge, którą mieliśmy okazję poznać.

— A ty próbowałaś już naszej oranżady o smaku owocowym? — Zaim natychmiast zwrócił się do Nurcihan.

— Oczywiście. Najlepsza jest truskawkowa — odpowiedziała Nurcihan. — Nawet we Francji nie piłam czegoś tak dobrego.

— Mieszkasz we Francji? — zaciekawiał się Zaim i zaprosił całe nasze towarzystwo na weekend, na zwiedzanie fabryki, rejs po Bosforze i piknik w Lesie Belgradzkim. Wszyscy siedzący przy stole nie spuszczaali wzroku z niego i Nurcihan. W końcu oboje wstali i poszli tańczyć.

— Idź, odzyskaj Mehmeta, niech wyrwie Nurcihan z łap Zaima — poprosiła Sibel.

— Nie jestem pewien, czy Nurcihan chce być ratowana...

— Nie mam zamiaru rzucać mojej przyjaciółki na pożarcie temu kiepskiemu naśladowcy Casanovy, któremu w głowie tylko zaciąganie dziewczyn do łóżka!

— Zaim to dobry chłopak, jest uczciwy, a do kobiet ma po prostu słabość. A poza tym czemu Nurcihan nie miałaby prze-

żyć jakiejś przygody, jak we Francji? Czy zaraz musi wychodzić za mąż?

— Francuscy mężczyźni nie pogardzają kobietą tylko dlatego, że się z nimi przespała przed ślubem. Tu od razu straci dobrą reputację. A co ważniejsze, nie chcę, by złamała Mehmetowi serce.

— Ja też, ale jednocześnie nie chcę, by cudze problemy zepsuły nam dzień zaręczyn.

— Nie masz pojęcia, jak fajne może być swatanie. Pomyśl, jeśli się uda, Mehmet i Nurcihan całe lata pozostaną naszymi najlepszymi przyjaciółmi.

— Nie sądzę, by Mehmet zdołał dziś wieczorem odebrać Nurcihan Zaimowi. Na przyjęciach, w towarzystwie, po prostu boi się rywalizować z innymi mężczyznami.

— Porozmawiaj z nim, dodaj mu odwagi. A ja już odpowiednio nastawię Nurcihan, obiecuję. Idź i zaraz go przyprowadź. — Uśmiechnęła się przymilnie, gdy wstałem: — Ale jesteś przystojny. Nie zajmuj się innymi, wracaj szybko i zatańcz ze mną.

Pomyślałem, że przy okazji być może zobaczę Fiisun. W poszukiwaniu Mehmeta przeciskałem się na wpół pijany między stołami, wśród pokrzykującego, roześmianego tłumu, ściskając dłonie wielu osób. Koleżanki matki, które przez całe moje dzieciństwo w każdą środę po południu przychodziły do nas grać w bezika, jakby się umówiły — farbowały włosy na odcień jasnego szatynu, a teraz jednocześnie (również jakby się umówiły) pomachały do mnie od stołu, przy którym siedziały ze swymi mężami, i zawołały jak do dziecka: „Ke-maal!”. Przypominam sobie też kolegę ojca, ubranego w biały smoking i koszulę ze złotymi spinkami u mankietów, który uściskawszy mi rękę swą wypielęgnowaną dłonią z nienagannym manikiurem, pozostawił na niej silną woń wody toaletowej. Dziesięć

lat później ten trudniący się importem biznesmen miał zasłynąć jako kupiec, który obalił ministra, po tym jak ministrowi ceł, który domagał się od niego zbyt dużej łapówki, wręczył ozdobione widokiem Antepu i wypełnione po brzegi plikami dolarów wielkie pudło po *baklawie*\*, a szczerą rozmowę, jaką wtedy odbyli, zarejestrował na dyktafonie przymocowanym bandażem marki Gazo do spodu fotela, po czym podał do wiadomości publicznej. Wiele twarzy wydało mi się znajomych i bliskich, a jednocześnie czułem się nieswojo, nie potrafiąc określić, kto jest kim, czyim jest mężem, czyją siostrą. Podobnego wrażenia doznawałem, gdy przyglądałem się zdjęciom starannie wklejanym przez matkę do rodzinnego albumu.

— Kemalku! — odezwała się dobrze wyglądająca kobieta w średnim wieku. — Czy pamiętasz, jak miałeś sześć lat i chciałeś się ze mną ożenić?

Dopiero gdy zobaczyłem jej przepiękną osiemnastoletnią córkę, przypomniałem sobie, kim jest.

— Ciocia Meral! Twoja córka jest tak podobna do ciebie... — wykrzyknąłem, zorientowawszy się, że to najmłodsza córka ciotki mojej matki.

Właśnie wychodziły. Ciocia Meral usprawiedliwiała się, mówiąc, że jej córka ma jutro egzaminy wstępne na studia, i wtedy uświadomiłem sobie, że między mną a ciotką i między jej córką a mną jest dokładnie taka sama różnica wieku: dwanaście lat. Mimowolnie rozejrzałem się, ale ani na parkiecie, ani przy stołach z tyłu nie dostrzegłem Fiisun. Wszędzie było pełno ludzi. Zrobioną w tym momencie fotografię, na której widać jedynie moją rękę i kolegę ojca, Guvena, zwanego Zatapiaczem Statków, działającego w branży ubezpiecze-

\* *Baklawa* — rodzaj polanego syropem i posypanego orzechami pistacjowymi ciasta przypominającego ciasto francuskie.

niowej, nabyłem od pewnego kolekcjonera, który wiele lat później wszedł w posiadanie zdjęć z różnych balów i uroczystości w Hiltonie i trzymał całe ich stopy w swym zagraczonym do granic możliwości mieszkaniu. Na innej fotografii, wykonanej trzy sekundy później, na drugim planie widać było pewnego bankiera, jak się później dowiedziałem, znajomego ojca Sibel. Ze zdumieniem stwierdziłem, że za każdym razem, kiedy odwiedzałem Harrodsa w Londynie (zdarzyło się to dwa razy), natykałem się na tego jegomościa, gdy pogrążony w zadumie, starannie wybierał garnitur w ciemnym kolorze.

Mijając kolejne stoły, kazałem się fotografować z siedzącymi przy nich ludźmi. Dziwiłem się, że aż tyle było dookoła ufarbowanych na blond brunetek, tylu pewnych siebie bogaczy, tyle podobnych krawatów, zegarków, pantofli na obcasie, bransoletek, tyle baczków i wąsów przyciętych w identyczny sposób. Wszyscy ci ludzie byli mi w jakiś sposób znani, łączyły mnie z nimi wspólne wspomnienia, przede wszystkim jednak czułem radość na myśl o czekającym mnie wspaniałym życiu i zachwyty urodą pachnącej mimozami ciepłej nocy. Ucałowałem w policzki na powitanie pierwszą turecką laureatkę europejskiego konkursu piękności — po czterdziestce i dwóch nieudanych małżeństwach poświęciła się działalności na rzecz ubogich, sierot oraz kalek, zbierała datki na balach organizacji charytatywnych („A jakież to poświęcenie, mój drogi, ona ma od tego procent!” — mawiała matka) i w tym samym celu odwiedzała też raz na dwa miesiące biuro naszej firmy. Z wdową po pewnym armatorze (zabitym strzałem w oko podczas sprzeczki z krewnymi o majątek), która na wszelkich rodzinnych spotkaniach pojawiała się zawsze cała we łzach, zamieniłem kilka słów o udanym wieczorze. Ze szczerym szacunkiem uścisnąłem delikatną dłoń Celala Salika, najpopularniejszego



w owym czasie, najbardziej odważnego i niezwykłego felietonisty (w tym miejscu eksponuję jeden z jego felietonów). Przy którymś stole kazałem się sfotografować z synami, córką i wnukami zmarłego pana Cevdeta, jednego z pierwszych muzułmańskich bogaczy w Stambule. Przy innym wdałem się w dyskusję na temat serialu *Şigany* (doktor Kimble jest poszukiwany za niepopelnioną zbrodnię i nie mogąc dowieść swej niewinności, wciąż ucieka, ucieka, ucieka!), który oglądała cała Turcja, a nawet założyłem się, jak się skończy ostatni odcinek, który miał zostać wyemitowany w najbliższą środę.

W końcu znalazłem Mehmeta. W towarzystwie innego kolegi z Liceum Roberta, Tayfuna, sączył *raki*, usadowiony na wysokim stołku przy barze w bocznej sali.

— O, proszę, panowie kawalerowie w komplecie! — zawołał Tayfun, gdy przysiadłem się do nich. Nie tylko radość ze spotkania, ale też miłe wspomnienia wywołane słówkiem „kawalerowie” sprawiły, że przez twarze naszej trójki przebiegł tęskny uśmiech. W ostatniej klasie liceum podczas dużej przerwy ruszaliśmy mercedesem, którym bogaty ojciec Tahsina pozwalał synowi jeździć do szkoły, do pewnego luksusowego domu schadzek, mieszczącego się w starym pałacyku na peryferiach dzielnicy Emirgan, gdzie posuwaliśmy zawsze te same, ładne i miłe panienki. Zabraliśmy dziewczyny kilka razy na przejażdżkę samochodem i choć staraliśmy się to ukryć, mocno się do nich przywiązaliśmy, a one brały od nas mniej niż od starych lichwiarzy i pijanych kupców, których przyjmowały wieczorami. Właścicielka przybytku, była luksusowa prostytutka, przyjmowała nas niezwykle grzecznie, jakbyśmy się spotkali na balu w ekskluzywnym klubie na Wyspach Książących. Lecz ilekroć w holu, gdzie wieczorami dziewczyny w minispódniczkach czekały na klientów, pałac

papierosy i czytając fotopowieści\*, widziała nas, uczniów, którzy w szkolnych marynarkach i krawatach wyskoczyli na dużą przerwę, wybuchała śmiechem i wołała: „Dziewczyyny, przyszli panowie kawalerowie ze szkooooły!”. Z nadzieją na rozweselenie Mehmeta przypomniałem mu inne zabawne sytuacje. Pewnego dnia zdarzyło się nam uciąć po seksie zbyt długą drzemkę w pokoju rozgrzanym wpadającymi przez żaluzje promieniami wiosennego słońca i przegapiwszy pierwszą popołudniową lekcję, wpadliśmy do klasy w połowie drugiej. Na pytanie nauczycielki geografii, dystygowanej starszej pani, co mamy na usprawiedliwienie, odpowiedzieliśmy: „Uczyliśmy się biologii, pani profesor!”. Odtąd wyrażenie „uczyć się biologii” zaczęło w naszym języku oznaczać „pójść do burdelu”. Przypomniało nam to, że dziewczyny pracujące w starym pałacyku, na którego froncie widniał napis „Hotel i restauracja Półksiężyc”, nosiły botanicznie brzmiące pseudonimy: Kwiatek, Listek, Laura, Róża. Pewnego razu wybraliśmy się do pałacyku wieczorem. Ledwo poszliśmy z dziewczynami na górę, zjawił się pewien znany biznesmen, przyprowadzając ze sobą niemieckich współpracowników. Łomotanie do drzwi brutalnie przerwało nasze igraszki — wyrzucono nas z pokoi, ponieważ goście zażądali, by dziewczyny zaprezentowały taniec brzucha. Na pocieszenie pozwolono nam usiąść przy stoliku w kącie restauracji i stamtąd podziwiać występ — wydawało nam się, że dziewczyny włożyły mieniące się od cekinów stroje i tańczą, by oczarować nie bogatych klientów, lecz nas. Uszczęśliwieni, przyglądaliśmy się ruchom tancerek, teraz już wiedząc na pewno, że jesteśmy w nich zakochani, a jednocześnie

\* Popularne w Turcji w latach 70. i 80. XX w., przypominające komiksy powieści, złożone ze zdjęć opatrzonych wypowiedziami bohaterów w dymkach.

nie przeczuwając, że nie zapomnimy tego do końca życia. Gdy przyjechałem do Stambułu z Ameryki na wakacje, Mehmet i Tayfun chcieli pokazać mi nowości, jakie pojawiły się w luksusowych przybytkach, które ulegały przemianom za każdym razem, gdy nowy komendant policji obejmował stanowisko. Na przykład przy ulicy Siraselviler znajdowała się stara siedmipiętrowa kamienica, należąca ongiś do Greków. Kiedy stróże porządku organizowali nalot i opieczętowywali apartament na jednym piętrze, panienki przyjmowały swych wielbicieli na innym, w mieszkaniu umeblowanym takimi samymi sprzętami i obwieszonym takimi samymi lustrami jak poprzednie... Przy jednej z bocznych uliczek Nişantaşı stał pałacyk, a sprzed jego drzwi ochroniarze przeganiali nie tylko ciekawskich, lecz i klientów, którzy wydawali się im nie dość bogaci... Luksusowa Şermin — dopiero co widziałem ją wchodzącą do hotelu — dwanaście lat temu miała plymoutha „skrzydlaka”, model z 1962 roku; wieczorami ze swoimi dwiema, trzema panienkami, trzeba przyznać zadbanymi i czystymi, robiła rundkę wokół hotelu Park, placu Taksim i hotelu Divan, zatrzymywała się i czekała na klientów albo po wcześniejszym telefonicznym uzgodnieniu dostarczała towar do domu. Z nostalgicznych wspomnień moich przyjaciół można było wyraźnie wyczuć, że tamte miejsca, tamte kobiety dostarczały im nieporównanie więcej radości, niż mogliby jej otrzymać od wiecznie drżących z obawy o swe dziewictwo i dobre imię porządnym dziewcząt.

Nie dostrzegłem Fiisun, ale na pewno jeszcze nie wyszła, jej rodzice wciąż siedzieli przy swoim stole. Zamówiłem kolejną *raki* i zagadnąłem Mehmeta o nowości i modne przybytki. Tayfun zadeklarował kpiąco, że może mi dostarczyć całą listę nowych luksusowych burdeli, po czym z sarkazmem zaczął wymieniać polityków, generałów, znanych posłów do parlamentu zatrzymanych podczas akcji przez obyczajówkę,

czekających na swą kolej żonatych znajomych, wszystkich jak jeden mąż wyglądających przez okno, byle tylko nie napotkać czyjegoś wzroku. Wspomniał też o siedemdziesięcioletnim kandydacie na premiera, który, jak podano, zamiast umrzeć na serce we własnym łóżku, w ramionach żony, zmarł w luksusowym burdelu, w łóżu z widokiem na Bosfor, w ramionach dwudziestoletniej Czerkieski. Łagodna muzyka nastrajała do wspomnień. Spostrzegłem, że Mehmetowi nie przypadły do gustu złośliwości Tayfuna. Wspomniałem mu, że Nurcihan wróciła do Turcji, by wyjść za mąż, i powiedziała Sibel, iż Mehmet się jej podoba.

— Tańcz z tym lemoniadziarzem, Zaimem — mruknął Mehmet.

— Chce wzbudzić w tobie zazdrość — odparłem, nie spojrzawszy nawet w stronę parkietu.

Mehmet pokrygował się trochę, ale w końcu przyznał, że fajna z niej dziewczyna i jeżeli rzeczywiście poważnie podchodzi do sprawy, on może oczywiście szepnąć jej parę miłych słów, po czym dodał z całą szczerością, że jeżeli coś z tego wyjdzie, będzie mi wdzięczny do końca życia.

— Czemu od początku nie byłeś dla niej miły?

— Nie wiem, jakoś nie potrafiłem.

— Wracajmy lepiej do naszego stołu, jeszcze ktoś zajmie twoje miejsce.

Gdy rozdając uściski i całusy, przeciskaliśmy się przez tłum, rzuciłem okiem na parkiet, by sprawdzić, jak radzą sobie w tańcu Nurcihan z Zaimem, i wtedy dostrzegłem Fusun... Tańczyła z nowym pracownikiem Satsat, młodym, przystojnym Kenanem... Ich ciała były zbyt blisko siebie... Poczuję, jak po moim brzuchu rozpełza się ból. Usiadłem na swoim miejscu.

— Co się stało? — spytała Sibel. — Nie udało się? Z Nurcihan sprawa też przedstawia się kiepsko. Uważa, że Zaim jest

świetny. Zobacz, jak ze sobą tańczą. Nie zwracaj już sobie tym głowy.

— Nie. To niemożliwe. Mehmet się zgodził.

— Więc czemu jesteś taki ponury?

— Nie jestem ponury.

— Mój kochany, na pierwszy rzut oka widać, że straciłeś humor — uśmiechnęła się Sibel. — Co się stało? No dobrze, ale już więcej nie pij.

Zespół skończył grać jeden utwór i zaraz zaczął następny, wolniejszy i bardziej nastrojowy. Przy stołach zapadła długa, bardzo długa cisza. Poczułem, jak do krążącej w moich żyłach krwi przenika porażająca bólem zazdrość. Jednocześnie nie byłem jednak w stanie przyznać się przed samym sobą, że ją odczuwam. Z poważnych, lekko zabarwionych zawiścią spojrzeń ludzi obserwujących parkiet mogłem wywnioskować, że tańczące pary jeszcze bardziej zbliżyły się do siebie. Ani ja, ani Mehmet nie patrzyliśmy w tę stronę. Mój brat coś powiedział; teraz, po latach, nie przypominam sobie co, pamiętam jedynie, że starał się włączyć do rozmowy, jakby miał coś niezwykle ważnego do powiedzenia. Rozległy się dźwięki następnego kawałka, jeszcze intensywniej nasyconego emocjami, jeszcze bardziej romantycznego, i nie tylko mój brat, ale także Berrin, Sibel, wszyscy zaczęli kątem oka zerkać na tulące się do siebie tańczące pary. W głowie miałem kompletny mętlik.

— Co mówiłaś? — zwróciłem się do Sibel.

— Słucham? Nic nie mówiłam. Dobrze się czujesz?

— Może dać znać Srebrnym Liściom, by zrobili przerwę?

— Dlaczego? Daj spokój, niech goście sobie tańczą — zaproponowała Sibel. — Patrz, nawet najbardziej nieśmiali poprosili do tańca dziewczyny, które wpadły im w oko. Możesz mi wierzyć, koniec końców połowa tych par się pobierze.

Wolałem nie patrzeć. Nie spojrzałem też na Mehmeta.

— Zobacz, idą tu! — szepnęła Sibel.

Przez moment wydawało mi się, że ma na myśli Fiisun i Kenana. Serce zaczęło mi szybciej bić. Ale to Nurcihan i Zaim przestali tańczyć i wracali do stołu. Zerwałem się na równe nogi i złapałem Zaima za ramię.

— Chodź, postawię ci drinka — zaprowadziłem go do baru. W tłumie znów musiałem ścisnąć się i obcałowywać z mnóstwem ludzi, a Zaim w tym czasie przekomarzał się z dwiema wyraźnie zainteresowanymi nim dziewczynami. Melancholijne spojrzenia jednej z nich, o długich czarnych włosach i nosie garbatym jak u potomków osmańskich sułtanów, wypowiedziały mi, że musi to być ta, która przed kilku laty zapalała nieodwzajemnionym uczuciem do Zaima; chodziły nawet słuchy, że próbowała się z jego powodu zabić.

— Wszystkie dziewczyny na ciebie lecą — powiedziałem, gdy tylko usiedliśmy przy barze. — Jak ty to robisz?

— Nic takiego, wierz mi.

— Z tą niemiecką modelką to też było nic takiego?

Zaim uśmiechnął się z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

— Nie lubię, gdy uważa się mnie za podrywacza — odezwał się po chwili. — Gdybym znalazł dziewczynę tak cudowną jak Sibel, też najchętniej od razu bym się ożenił. Gratuluję ci z całego serca. Sibel jest naprawdę idealną narzeczoną. Musisz być bardzo szczęśliwy, to widać.

— W tej chwili nie za bardzo. Chciałem ci o czymś powiedzieć. Mogę na ciebie liczyć, prawda?

— Wiesz, że dla ciebie zrobię wszystko — oświadczył, patrząc mi prosto w oczy. — Możesz mi zaufać. Mów!

Gdy barman przygotowywał dla nas *raki*, zerknąłem w stronę parkietu. Czyżby Fiisun pod wpływem nastrojowej muzyki złożyła głowę na ramieniu Kenana? Miejsce, gdzie tańczyli,

pograżone było w półmroku, a ja, choćbym się nie wiem jak wysiłał, nie byłbym w stanie patrzeć w ich stronę bez bólu.

— Jest pewna dziewczyna, moja daleka kuzynka ze strony matki — powiedziałem, rzucając spojrzenie w stronę parkietu.

— Ma na imię Fiisun.

— Ta, która brała udział w konkursie piękności? Właśnie tańczy.

— Skąd wiesz?

— Jest wyjątkowo ładna. Widuję ją za każdym razem, gdy przechodzę koło tego butik w Nigantagi. Robię tak jak wszyscy: zwalniam i zaglądam do środka. Trudno przejść obojętnie wobec takiej ślicznotki. Wszyscy ją znają.

— To moja kochanka — rzuciłem szybko, z obawy, że Zaim za chwilę zrobi jakąś niestosowną uwagę. Na jego twarzy pojawił się leciutki cień zazdrości. — Już to, że tańczy teraz z innym, sprawia mi ból. Chyba się w niej zakochałem, i to mocno. Muszę jakoś wybrnąć z tej paskudnej sytuacji, w gruncie rzeczy nie chcę, żeby trwało to zbyt długo.

— No tak, dziewczyna jest fantastyczna, ale sytuacja niewesoła — zgodził się Zaim. — Nie można pozwolić, by ciągnęło się to dłużej.

Nie spytałem dlaczego. Przez twarz Zaima przebiegł grymas jakby pogardy, cień zazdrości, nie zastanawiałem się jednak nad tym. Zrozumiałem jedynie, że nie mogę powiedzieć mu wprost, czego od niego oczekuję. Chciałem, żeby najpierw poznał, jak głębokie i szczere uczucie połączyło mnie z Fiisun, i uszanował to. Byłem jednak pijany i gdy tylko zacząłem opowiadać o miłości do niej, wyczułem, że mogę mówić wyłącznie o zwyczajnym, przyziemnym aspekcie moich przeżyć, a jeśli zacznę opowiadać o ich sferze duchowej, Zaim uzna mnie za słabeusza albo narażę się na śmieszność, być może nawet mnie potępi, choć sam ma za sobą tyle miłosnych przygód. W grun-

cie rzeczy wcale nie oczekiwałem, że doceni szczerość moich uczuć, wystarczyło mi, że dowie się, jak mi się powiodło i jak bardzo czułem się szczęśliwy. Gdy wspominam to po latach, całkiem jasno zdaję sobie sprawę, że tak naprawdę właśnie **0** to mi chodziło, lecz wtedy nie chciałem tego dostrzec, i siedzieliśmy tak obaj, przyglądając się tańczącej dziewczynie, a ja, na wpół zamroczony, opowiadałem Zaimowi o tym, co zaszło między mną a Fiisun. Co jakiś czas zerkałem na niego i widząc na jego twarzy cień zazdrości, usiłowałem sam siebie przekonać, że nie tego pragnę, lecz zrozumienia. Wyznałem mu, że byłem jej pierwszym mężczyzną, opisałem radość, jaką sprawiały nam seks i miłosne sprzeczki, podałem kilka niezwykłych szczegółów, które akurat w tym momencie przyszły mi do głowy.

— Krótko mówiąc — powiedziałem w nagłym natchnieniu — niczego w życiu nie pragnę bardziej niż tego, by nigdy nie stracić tej dziewczyny.

— Rozumiem.

Sprawiło mi ulgę, że przyjął to z męskim zrozumieniem, nie osądzając mojego życia miłosnego i nie zarzucając mi egoizmu.

— W tej chwili martwi mnie jedynie, że chłopak, z którym tańczy, to młody, zdolny Kenan z naszej firmy. Ona chce, że- bym był zazdrosny, a to może zaważyć na jego karierze... Naturalnie boję się też, że on to weźmie na poważnie. W gruncie rzeczy Kenan byłby dla niej idealnym mężem.

— Rozumiem — powtórzył Zaim.

— Zaprowadzę Kenana do stołu mojego ojca. A ty zajmij się w tym czasie Fusun, jak dobry obrońca wyprowadź piłkę z pola karnego, żeby ta piękna noc skończyła się przyjemnie, bym nie zdechł z zazdrości i by nie przychodziły mi do głowy głupie pomysły typu — wyrzucić Kenana z pracy. Jutro są egzaminy



wstępne na uniwersytet, niedługo Fiisun będzie musiała iść do domu. Zresztą cała ta niemożliwa miłość też się wkrótce skończy.

— No, nie wiem tylko, czy twoja dziewczyna się mną zainteresuje — zawahał się Zaim. — Jest jeszcze jeden problem.

— Jaki?

— Wydaje mi się, że Sibel chce trzymać Nurcihan z dala ode mnie. Zarezerwowała ją dla Mehmeta. Ale to chyba ja podobam się Nurcihan bardziej, ona mnie zresztą też się podoba. Chciałbym, byś mi trochę pomógł. Mehmet to nasz kolega, niech szanse będą równe.

— Co mam zrobić?

— Dziś wieczorem, gdy Sibel i Mehmet są w pobliżu, nie za wiele jestem w stanie zdziałać, w dodatku teraz z powodu twojej dziewczyny w ogóle nie będę mógł się zająć Nurcihan. Musisz mi to jakoś zrekompensować. Obiecuj, że przyprowadzisz ją na piknik organizowany w niedzielę w naszej fabryce.

— Dobra, obiecuję.

— Dlaczego Sibel nie pozwala mi zbliżyć się do Nurcihan?

— Z powodu tych twoich dziewczyn, niemieckich modelek, tancerek... Sibel nie lubi tego rodzaju historii. Chce znaleźć dla swojej przyjaciółki porządnego faceta.

— Proszę, wytłumacz Sibel, że ja wcale nie jestem taki zły.

— Stale jej tłumaczę — odpowiedziałem, podnosząc się z miejsca. Zapadła cisza. — Jestem ci wdzięczny za to, że poświęcasz się dla mnie. Ale uważaj z Fiisun i, broń Boże, nie zakochaj się w niej! Ona jest taka słodka.

Na twarzy Zaima zobaczyłem wyraz tak głębokiego zrozumienia, że przestałem się wstydzić swojej zazdrości i przynajmniej na moment odzyskałem spokój ducha.

Dosiadłem się do stołu moich rodziców. Powiedziałem ojcu, który zdążył już wypić sporo *raki* i był na dobrym rauszu, że

chciałbym, by poznał Kenana, młodego i zdolnego pracownika naszej firmy. Nie chcąc wzbudzać zawiści w siedzących z Kenanem przy jednym stole pozostałych ludziach z Satsat, napisałem w imieniu ojca prośbę, by do nas podszedł, i dałem karteczkę Mehmedowi Alemu, kelnerowi, którego znaleźliśmy od samego początku działalności hotelu, przykazując, aby dyskretnie podał ją młodemu człowiekowi, gdy ten przestanie tańczyć. W tym momencie matka, mówiąc: „Nie pij więcej, masz już dość!”, usiłowała odebrać ojcu szklankę i wylała mu *raki* na krawat. Muzyka ucichła, kelnerzy roznosili lody w pucharkach. Patrzyłem na okruszki chleba, kieliszki ze śladami szminki na brzegach, poplamione serwetki, popielniczki pełne niedopałków, zapalniczki, talerze z resztkami jedzenia, zgniecione paczki po papierosach i wydały mi się one ilustracją kompletnego mętliku panującego w mojej głowie. Boleśnie przeczuwałem, że zbliżamy się do końca tego wieczoru. A przecież dopiero co radośnie zapalaliśmy papierosy, zanim zabraliśmy się do jedzenia serwowanych dań.

Mały, sześć-, może siedmioletni chłopiec wdrapał mi się na kolana. Sibel pod pretekstem zabawy z nim podeszła i usiadłszy obok mnie, przytuliła malucha, a moja matka popatrzyła na nią i powiedziała: „Wspaniale do ciebie pasuje!”. Na parkiecie pary znów krążyły w tańcu. Po chwili ubrany szykownie jak z żurnala młody, przystojny Kenan przysiadł się do nas i zaczął opowiadać, jak wielkim dla niego zaszczytem jest zostać przedstawionym mojemu ojcu oraz byłemu ministrowi spraw zagranicznych, który właśnie wstawał od stołu. Gdy stary dyplomata, zataczając się, odszedł, powiedziałem ojcu, że Kenan jest doskonale zorientowany w sprawach związanych z rozszerzeniem działalności Satsat na prowincji, a zwłaszcza w Izmirze.

— Mój chłopcze, jakie znasz języki obce? Czytasz książki? Masz jakieś hobby? Jesteś żonaty? — ojciec zaczął zadawać mu

pytania, te same, które miał zwyczaj zadawać nowo przyjmowanemu do pracy.

— Nie jest żonaty — wtrąciła się matka. — Przed chwilą tak pięknie tańczył z Fiisun, córką Nesibe — dodała.

— Ależ ładna dziewczyna z niej wyrosła — powiedział ojciec.

— Obaj zanudzają pana rozmowami o pracy! — matka zwróciła się do Kenana. — A pan wolałby bawić się ze swą przyjaciółką...

— Ależ skąd, cieszę się, że mogę przebywać w państwa towarzystwie — zaoponował Kenan. — Poznać pana Miimtaza to dla mnie największy zaszczyt.

— Jaki to kulturalny, dobrze wychowany młody człowiek! — szepnęła do mnie matka. — Może powinnam go do nas zaprosić?

Szepnęła to na tyle głośno, by Kenan usłyszał. Kiedy matce ktoś przypadł do serca, chwaliła go niby tak, byśmy słyszeli tylko my, ale w rzeczywistości dbała, by pochwały dotarły także do uszu zainteresowanej osoby. Gdy ten ktoś się zawstydził, uznawała to za znak swojej potęgi i na jej twarzy pojawiał się uśmiech. I właśnie moja matka uśmiechnęła się w ten sposób, zespół Srebrne Liście zaczął grać wolny, nastrojowy kawałek. Dostrzegłem, że Zaim prosi Fiisun do tańca.

— Skorzystajmy z okazji, że ojciec tu jest, by omówić temat Satsat i prowincji — zaproponowałem.

— Teraz, na własnych zaręczynach, będziesz rozmawiał o pracy? — zaoponowała matka.

— Proszę pani — wtrącił Kenan — zapewne pani nie wie, ale pani syn trzy, cztery razy w tygodniu zostaje w biurze po pracy, gdy wszyscy już pójdą do domu, i pracuje do późna.

— Nierzadko Kenan też zostaje i pracujemy razem — dodałem.

— Tak, czasem bywa nawet zabawnie — przytaknął Kenan.  
— Pracujemy do rana, a przy tym układamy z nazwisk dłużników kalambury.

— Co robicie z czekami bez pokrycia? — zainteresował się ojciec.

— Chciałem właśnie, byśmy się nad tą sprawą zastanowili wszyscy wspólnie, Satsat i jego przedstawiciele, tatusiu — odpowiedziałem.

Przy akompaniamencie nastrojowej muzyki rozmawialiśmy o czekach, niezbędnych zmianach w Satsat, lokalach rozrywkowych w Beyoglu w czasach, gdy ojciec miał tyle lat co Kenan, o metodach pracy pana Izaka, pierwszego księgowego zatrudnionego przez ojca — w tym momencie odwróciliśmy się w stronę jego stołu i pozdrowiliśmy go, podnosząc kieliszki; o pięknie nocy i młodości oraz „ogólnie o miłości” — temat ten poruszył ojciec pół żartem, pół serio i zasypał Kenana gradem dociekliwych pytań, lecz ten nie zdradził, czy jest zakochany. Matka z kolei wypytywała Kenana o jego rodzinę. „Ach, jakie wspaniałe były kiedyś tramwaje, prawda, chłopcy?”, powiedziała, gdy okazało się, że jego ojciec jest pracownikiem magistratu i przez wiele lat pracował jako motorniczy.

Większość gości opuściła już przyjęcie. Ojcu co chwila oczy same się zamykały.

W końcu rodzice wstali od stołu. Szykując się do wyjścia, ucałowali mnie i Sibel. — Nie zostawajcie zbyt długo, synu — powiedziała matka, patrząc jednak w oczy mojej narzeczonej.

Kenan chciał wracać do stołu, który zajmował z innymi kolegami z firmy, lecz nie pozwoliłem mu na to. — Sprawę otwarcia sklepu w Izmirze powinniśmy omówić także z moim bratem — oświadczyłem. — Nie tak znowu często spotykamy się wszyscy razem.

Osman, kiedy chciałem przedstawić mu Kenana, którego przecież od dawna znał, uniósł kpiąco brwi i stwierdził, że wypity trunek zmaćił mi rozum. Berrin spojrzeniem wskazała Sibel kieliszek w moim ręku. Tak, przed chwilą szybko wychyliłem dwie *raki*, gdyż ilekroć mój wzrok padał na Zaima tańczącego z Fiisun, ogarniała mnie idiotyczna zazdrość. A na nią pomagał tylko alkohol. Nie było sensu być zazdrosnym, ale podczas gdy brat rozwodził się nad problemami ze ściągalnością naleźności, wszyscy, w tym także Kenan, obserwowali taniec Zaima z Fiisun. Nawet zwrócona do nich plecami Nurcihan wyczuła, że Zaim zainteresował się kimś innym, i spochmurniała. Jestem szczęśliwy — powiedziałem w pewnym momencie sam do siebie. Choć pijany, wiedziałem, że wszystko idzie po mojej myśli. Na twarzy Kenana dostrzegłem niepokój podobny do mojego i natychmiast przed moim ambitnym, lecz niedoświadczonym kolegą, który ciesząc się zainteresowaniem ze strony swoich szefów, stracił dopiero co trzymaną w ramionach cudowną dziewczynę, postawiłem — wysoką i smukłą jak moja — szklaneczkę *raki* pocieszycielki. W tym samym momencie Mehmet poprosił do tańca Nurcihan, a Sibel z radością mrugnęła do mnie porozumiewawczo. „Kochanie, wystarczy, nie pij już więcej” — powiedziała łagodnie.

Oczarowany słodyczą narzeczonej, poprowadziłem ją na parkiet. Lecz gdy tylko znaleźliśmy się wśród tańczących par, zdałem sobie sprawę, że popełniłem błąd. Srebrne Liście grały *Wspomnienie tamtego lata* i dzięki tej melodii ożywiły we mnie z całą siłą — chciałbym, by taką mocą obdarzone były eksponaty w moim muzeum — wspomnienia zeszłego lata, które spędziliśmy razem w niczym nie zmaconym szczęściu. Sibel przytuliła się do mnie z miłością. Jakże chciałbym z równie silnym uczuciem móc objąć moją narzeczoną teraz, tej nocy, gdy zrozumiałem, że spędzę z nią resztę życia! Moje

myśli krążyły jednak wokół Fiisun. Starałem się dostrzec ją w tłumie tańczących, a jednocześnie zapanować nad sobą, by nie zobaczyła, jak mi dobrze z Sibel. Uznałem, że najlepszym sposobem, aby to osiągnąć, będzie zagadywanie innych par i żartowanie z nimi. Jak to zwykle bywa, wszyscy uśmiechali się pobłażliwie — ot, narzeczony wypił trochę za dużo.

W pewnym momencie znaleźliśmy się obok znanego dziennikarza, który tańczył z ładną brunetką. „Panie Celalu, miłość nie przypomina felietonu w gazecie, nieprawdaż?“, zawołałem do niego. A gdy napotkaliśmy Mehmeta i Nurcihan, potraktowałem ich jak parę kochanków z długim stażem. Do pani Zumriit, która gdy matka przychodziła do niej z wizytą, ni stąd, ni zowąd zaczynała — zapewne po to, by nie rozumiała służba — rozmawiać po francusku, powiedziałem kilka słów w tym języku. Ludzie śmiali się, ale bynajmniej nie z moich żartów, lecz dlatego, że wygłupiałem się po pijanemu. Sibel zorientowała się, że w moim stanie żaden niezrównany taniec nam nie wyjdzie i tylko szeptała mi na ucho, jak bardzo mnie kocha, że nawet będąc pijany, jestem taki milutki, że jeśli swoim swataniem zepsuła mi humor, to przeprasza, ale dla szczęścia przyjaciółki jest gotowa zrobić wszystko, i że ten niepoważny Zaim znalazł sobie następny po Nurcihan obiekt zainteresowania i zaleca się teraz do mojej dalekiej krewnej. Marszcząc brwi, odpowiedziałem, że Zaim to w gruncie rzeczy porządny facet i przyjaciel, któremu można zaufać. Dodałem też, że Zaim był ciekaw, dlaczego Sibel go nie lubi.

— Rozmawialiście z Zaimem o mnie? Co mówił? — zapytała. W przerwie między kolejnymi utworami znów znaleźliśmy się obok Celala Salika, dziennikarza.

— Panie Kemal, odkryłem, co wspólnego mają ze sobą miłość i felieton! — zawołał.

— Cóż takiego?

— I miłość, i felieton powinny dawać nam zadowolenie teraz. Ale siłę i piękno obu mierzy się tym, na jak długo pozostaną w naszej pamięci.

— Mistrzu, powinien pan kiedyś o tym napisać — odrzekłem, lecz on był już zajęty rozmową z brunetką, z którą tańczył. W tym samym momencie tuż przy nas pojawili się Zaim i Fiisun. Ona, z głową niemal dotykającą jego szyi, coś do niego szeptała, on uśmiechał się pogodnie. Wyczułem, że Zaim dostrzegł mnie i Sibel, lecz wirując w tańcu, udawał podobnie jak Fiisun, że nas nie widzi.

Nie myląc specjalnie kroków, pociągnąłem Sibel za sobą i jak piracka fregata zderzająca się burtą w burtę ze ściganą kupiecką galerą, wpadłem na nich z impetem.

— Och, przepraszam państwa — wykrzyknąłem. — A, to wy! Jak się miewacie? — Wyraz zmieszania i zadowolenia, jaki odmalował się na twarzy Fiisun, sprawił, że błyskawicznie oprzytomniałem. Natychmiast zorientowałem się jednak, że stan upojenia alkoholowego może być doskonałym alibi. Puściłem dłoń Sibel i zwróciłem się do Zaima:

— Teraz wy zatańczcie ze sobą. — Zaim przestał obejmować Fiisun w talii. — Ty uważasz, że Sibel źle cię ocenia, a ty, Sibel, na pewno masz wiele pytań do Zaima. — Udając, że poświęcam się w imię poprawy ich stosunków, popchnąłem ich lekko ku sobie. Z ponurymi minami Sibel i Zaim zaczęli tańczyć, a ja wymieniłem spojrzenia z Fiisun. Objąłem ją w pół i manewrując w tańcu, poprowadziłem jak najdalej stamtąd, niczym porywający wybrankę zakochany chłopak.

Jak mam opisać spokój, jaki mnie ogarnął, gdy tylko Fiisun znalazła się w moich ramionach? Cały ten nieznośny hałas, wciąż bezlitośnie huczący mi w uszach, który przypisywałem zgiełkowi tłumu, brzękliwym dźwiękom orkiestry, szumowi miasta, okazał się po prostu brakiem Fiisun. Jak dziecko,

które przestaje płakać w ramionach tylko jednej osoby, tak ja poczułem przy niej, że otacza mnie głęboka, miękka jak aksamit cisza. Fiisun mówiła mi spojrzeniem, że ona czuje to samo, a panujące między nami milczenie uznałem za znak, że oboje jesteśmy świadomi, ile szczęścia dajemy sobie nawzajem; pragnąłem, by ten taniec nigdy się nie skończył. Lecz już chwilę później z niepokojem pomyślałem, że nasze milczenie mogło dla niej oznaczać coś zupełnie innego. To, że właśnie teraz powinienem udzielić odpowiedzi na podstawowe pytanie („Co z nami będzie?”), które dotąd próbowałem zbyć żartami. Być może tylko z tego powodu tu przyszła. Zainteresowanie, które na przyjęciu wzbudzała w mężczyznach, zachwyty dostrzegalny nawet w oczach dzieci dodały jej odwagi i złagodziły ból. Być może ona też uważała mnie za tymczasową rozrywkę. Przygnębiające uczucie, że wieczór dobiega końca, mieszało się w moim zamroczonym alkoholu, lecz akurat teraz sprawnie pracującym umyśle ze strachem przed utratą Fiisun.

— Jeśli dwoje ludzi kocha się nawzajem tak jak my, nikt, ale to nikt nie jest w stanie stanąć pomiędzy nimi — powiedziałem bez namysłu, sam się dziwiąc, że te słowa padają z moich ust. — Gdyż tacy jak my zakochani wiedzą, że nic nie zniszczy ich miłości, bo w najgorszych nawet chwilach, gdy mimo woli boleśnie ranią się nawzajem, znajdują w sobie niewyczerpaną siłę, która dodaje im otuchy. Możesz być pewna, że znajdę sposób, by wszystko dobrze się skończyło. Słuchasz mnie?

— Słucham.

— Spotkaliśmy się w niewłaściwym czasie — dodałem, upewniwszy się, że nikt z pozostałych tańczących na nas nie patrzy. — Do tego na początku nie mogliśmy wiedzieć, jak nasza miłość okaże się głęboka. Ale teraz zadbam, by wszystko



dobrze się ułożyło. Na razie najważniejszą sprawą jest twój jutrzejszy egzamin, dlatego dziś nie powinnaś zaprzętać sobie głowy tymi sprawami.

— Powiedz mi, co z nami będzie.

— Jutro jak zawsze — w tym momencie mój głos zadrżał — spotkajmy się o drugiej, już po egzaminach, w kamienicy Zmiłowanie. Wtedy będę ci mógł w spokoju powiedzieć, co nas czeka. Jeśli mi nie zaufasz, nie zobaczysz mnie już więcej.

— Przyjdę, jeśli powiesz mi to teraz.

Gdy dotykałem jej cudownych ramion w kolorze miodu, w mojej odurzonej alkoholem głowie powstała myśl, że jutro 0 drugiej przyjdzie do mnie, jak zwykle będziemy się kochać i już zawsze będziemy razem. Ta wizja była niezwykle piękna, natychmiast więc zrozumiałem, że muszę zrobić wszystko, czego Fiisun ode mnie zażąda.

— Nikt nie stanie pomiędzy nami — powtórzyłem.

— Dobrze, przyjdę jutro po egzaminach, mam nadzieję, że dotrzymasz słowa i powiesz mi, co i jak zamierzasz zrobić.

Przyciskając mocniej rękę, którą trzymałem na jej biodrze, starałem się w rytm muzyki niepostrzeżenie przyciągnąć Fiisun bliżej do siebie, natrafiłem jednak na jej opór. To mnie jeszcze bardziej podnieciło. Ale zorientowałem się, że próbę przytulenia jej na oczach wszystkich mogłaby uznać nie za przejaw uczuć, lecz za oznakę mojego upojenia alkoholem, i natychmiast wzięłem się w garść.

— Powinniśmy usiąść. Wszyscy na nas patrzą — wysunęła się z moich objęć.

— Idź do domu, wyśpij się — szepnąłem. — A na egzaminie pomyśl o tym, że bardzo cię kocham.

Przy naszym stole pozostali jedynie Osman i Berrin. Naburmuszeni, sprzeczekali się.

— Dobrze się czujesz? — spytała Berrin.

— Świetnie — odpowiedziałem, spoglądając na stół w nieładzie i puste krzesła.

— • Sibel nie chciała już tańczyć, pan Kenan zaprosił ją do ich stołu, w coś tam chyba grają.

— Dobrze, że zatańczyłeś z Fiisun — oświadczył Osman.  
— • Matka powinna wreszcie przestać się tak chłodno do niej odnosić. I ta dziewczyna, i wszyscy powinni wiedzieć, że rodzina się od niej nie odwraca i że dawno wybaczyliśmy jej udział w tym idiotycznym konkursie piękności. Jednak trochę niepokoję się o nią. *She thinks she is too beautiful*. Sukienkę ma zbyt wydekoltowaną. W pół roku z dziewczynki stała się kobietą, rozkwitła jak kwiat. Jeśli wkrótce nie wyjdzie za mąż za jakiegoś porządnego faceta, trafi na języki i **W** rezultacie źle skończy. Co mówiła?

— Jutro ma egzaminy wstępne na studia.

— I o tej porze jeszcze tu tańczy? Minęła już północ.

Ruszyłem w stronę tamtych.

— Ten twój Kenan bardzo mi przypadł do serca. Powinna wyjść za niego za mąż, ot co! — dodał Osman.

— Czy mam im o tym powiedzieć? — zawołałem do niego z daleka. Już w dzieciństwie miałem zwyczaj robić coś zupełnie innego niż to, czego ode mnie oczekiwał: gdy chciał mi o czymś opowiedzieć, nie zatrzymywałem się, by go wysłuchać, lecz powoli szedłem w przeciwny róg podwórka.

Przez te wszystkie lata często wspominałem, jak szczęśliwy byłem w tamtej chwili, późno w nocy, gdy szedłem w stronę stołu Fiisun i pracowników Satsat. Wszystko zdawało się układać po mojej myśli i za trzynaście godzin i czterdzieści pięć minut miałem się spotkać z Fiisun w kamienicy Zmiłowania. Przede mną, jak wspaniała noc nad Bosforem, rozciągało się cudowne, błogie życie. Uśmiechałem się i żartowałem ze zmęczonymi tańcem dziewczętami w kusząco podciągniętych

i rozpiętych sukienkach, z kolegami z dzieciństwa zdecydowanymi wytrwać do ostatniej minuty przyjęcia i sympatycznymi starszymi paniami, które znały mnie od trzydziestu lat. Jednocześnie myślałem sobie, że w razie czego ożenię się nie z Sibel, lecz z Fiisun.

Przy niemal pustym stole Sibel wraz z ludźmi z Satsat bawiła się w wywoływanie duchów, które miało w tym wypadku więcej wspólnego ze spirytualiami niż ze spirytyzmem. Przyzywane bez większego przekonania duchy nie zjawiały się i zabawa szybko się wszystkim znudziła. Sibel dosiadła się do Kenana i Fiisun, którzy siedzieli przy stole obok. Rozmawiali, więc natychmiast ruszyłem w ich stronę. Na mój widok Kenan poprosił Fiisun do tańca, lecz ta również mnie dostrzegła i odmówiła, tłumacząc, że uwierają buty. Kenan, jakby chodziło mu nie o Fiisun, lecz o sam taniec, poszedł znaleźć sobie inną partnerkę. W ten sposób przy opustoszałym stole krzesło między Sibel a Fiisun przypadło mnie. Usiadłem. Jaka szkoda, że nie zrobiono nam wtedy zdjęcia! Teraz, po latach, chętnie umieściłbym je w moim muzeum.

Ku mojemu zadowoleniu Fiisun i Sibel, jak dwie znające się od dawna i szanujące się, acz zachowujące dystans damy z Nišantaši, w niezwykle kurtuazyjny, na poły oficjalny sposób dyskutowały o wywoływaniu duchów. Fiisun, której nie podejrzewałem o specjalną wiedzę na temat religii, twierdziła, że duchy istnieją, „jak napisano w Koranie”, lecz próby komunikowania się z nimi podejmowane przez nas, mieszkańców tego świata, są niezgodne z naszą wiarą, są grzechem. Był to zapewne pogląd jej ojca, na którego ukradkiem zerkała.

— Trzy lata temu nie posłuchałam taty i poszłam z koleżanką na seans spirytystyczny — opowiadała. — Nie zastanawiając się, ot tak, napisałam na karteczce imię kolegi z dzieciństwa, którego bardzo lubiłam i z którym straciłam kontakt... I choć

zrobiłam to bez przekonania, po prostu dla żartu, jego duch rzeczywiście się pojawił i potem strasznie tego żałowałam.

— Dlaczego?

— Po drzeniu filiżanki poznałam, że Necdet, tak ten kolega miał na imię, musi strasznie cierpieć. Naczynie podskakiwało i dygotało, a ja wiedziałam, że Necdet chce mi coś powiedzieć. Nagle filiżanka znieruchomiała... Wszyscy powiedzieli, że ta osoba w tym momencie umarła... Skąd wiedzieli?

— No, skąd wiedzieli? — dopytywała się Sibel.

— Tego samego wieczoru nie mogłam znaleźć jednej rękawiczki od pary i szukając w szafie, na dnie szuflady znalazłam chusteczkę do nosa, którą kiedyś, dawno temu, podarował mi Necdet. Być może był to przypadek... Ale nie wydaje mi się. To była dla mnie nauczka. Gdy tracimy kogoś, kogo kochaliśmy, nie powinniśmy niepokoić go, przyzywając jego ducha... Jakiś związany z tą osobą przedmiot, bo ja wiem, na przykład kolczyk, może po latach stać się dla nas o wiele lepszym pocieszeniem.

— Fiisun, chodź, idziemy do domu! — zawołała ciocia Nesibe. — Masz jutro egzamin. Zobacz, ojcu już się oczy zamykają.

— Jeszcze chwila, mamusi! — odpowiedziała Fiisun ze stanowczością w głosie.

— Ja tam nie wierzę w żadne przywoływanie duchów — oświadczyła Sibel. — Ale jeśli ktoś mnie zaprosi, z chęcią biorę udział w takich zabawach, żeby zobaczyć, czego się ludzie boją.

— Jeśli tęskniłaby pani za kimś, kogo pani kocha, co by pani wolała? — zapytała Fiisun. — Zaprosić przyjaciół i wezwać jego ducha, czy też znaleźć coś, co do niego należało, na przykład papierosnicę?

Gdy Sibel zastanawiała się nad odpowiedzią, Fiisun szybkim ruchem wstała i sięgnęła po torebkę leżącą na stole obok.

— Ta torebka przypomina mi tamto przykre zdarzenie, wciąż się wstydzę, że sprzedawałam podróbkę na prezent dla pani.

Gdy zobaczyłem ją w ręku Fiisun, w pierwszej chwili nie poznałem, że to jest właśnie ta torebka. Czyż nie kupiłem jej w Champs Elysees, butiku pani Źenay, krótko przed najszczęśliwszą chwilą w moim życiu i po spotkaniu z Fiisun na ulicy nie zaniósłem jej do kamienicy Zmiłowanie? Torebka Jenny Colon jeszcze wczoraj tam była. Jak to się stało, że znalazła się teraz tutaj? Wydało mi się to jakąś magiczną sztuczką.

— Bardzo do pani pasuje, do stroju w odcieniach pomarańczy, kapelusza — powiedziała Sibel. — Aż poczułam ukłucie zazdrości i zaczęłam żałować, że ją odesłałam. Śliczna z pani dziewczyna.

Pomyślałem, że najwyraźniej pani Źenay musi mieć więcej fałszywych torebek Jenny Colon. Sprzedawszy mi jedną, na wystawie butiku Champs Elysees umieściła zapewne następną. Być może pozwoliła też Fiisun wypożyczyć na ten wieczór jeszcze inną.

— Po tym jak okazało się, że to podróbka, nie przysłała pani więcej do naszego sklepu — powiedziała Fiisun, uśmiechając się przyjaźnie do Sibel. — Było mi przykro, ale oczywiście miała pani absolutną rację. — Otworzyła torebkę i pokazała jej wnętrze. — Nasi rzemieślnicy potrafią perfekcyjnie podrobić europejskie wyroby, ale ktoś, kto tak jak pani zna się na tym, od razu rozpozna, że to nie jest oryginał. I powiem jeszcze coś... — zamilkła. Przełknęła ślinę i wydało mi się, że zaraz się rozpłacze. Opanowała się jednak i marszcząc brwi, zaczęła mówić. Byłem pewien, że przygotowała to sobie w domu. — Dla mnie nie ma żadnego znaczenia, czy coś pochodzi z Europy, czy nie... Czy jest oryginalne, czy podrobione, to też nieważne... Moim zdaniem ludziom nie przeszkadza, że

coś jest podrobione, ale boją się, że inni poznają, jak niewiele kosztowało. Nie ma nic gorszego niż ocenianie rzeczy nie po tym, jakie są, ale po ich marce. Tak samo jest z ludźmi, dla których ważne są nie własne uczucia, ale to, co inni powiedzą... — przez moment popatrzyła na mnie. — Ta torebka przez lata będzie mi przypominać o tym wieczorze. Serdecznie państwu gratuluję, to było naprawdę udane przyjęcie.

Wstała i ściskając nam ręce, ucałowała nas oboje w policzki. Na odchodnym dostrzegła Zaima zbliżającego się do stołu obok i zwracając się do Sibel, zapytała: — Pan Zaim jest bliskim przyjacielem pani narzeczonego, nieprawdaż?

— Owszem — odpowiedziała Sibel i gdy Fiisun, wzięwszy swego ojca pod rękę, skierowała się ku wyjściu, wyraziła zdziwienie: — Dlaczego zapytała mnie o to? — W jej głosie nie brzmiała jednak pogardliwa nuta, wręcz przeciwnie, przebijała zeń sympatia, wręcz zachwyt dla tej młodej dziewczyny.

Fiisun oddalała się powoli, a ja patrzyłem za nią z miłością i podziwem.

Zaim usiadł obok mnie. — Przy stole waszej firmy cały wieczór żartowano na twój i Sibel temat. Mówię ci o tym jako przyjaciel.

— Ach tak? Z czegoż tak żartowano?

— Kenan opowiedział Fiisun, ona z kolei mnie... Była załamana. Podobno wszyscy w Satsat wiedzą, że wieczorami, gdy pracownicy rozejdą się do domów, ty i Sibel uprawiacie seks na kanapie w gabinecie. Z tego właśnie stroili sobie żarty...

— Co się znów stało? — spytała Sibel, podchodząc do nas.  
— Co tym razem zepsuło ci humor?

## 25. UDREKA OCZEKIWANIA

Całą noc nie zmrużyłem oka. Bałem się, że stracę Fiisun. Co prawda przez ostatnie tygodnie spotykaliśmy się z Sibel w biurze bardzo rzadko, ale w tej chwili nie miało to żadnego znaczenia. Dopiero nad ranem udało mi się zasnąć. Gdy tylko wstałem, ogoliłem się i wyszedłem na długi spacer. Wracając, nadłożyłem nieco drogi i przeszedłem przed mieszczącym obecnie Politechnikę Stambulską, liczącym sto piętnaście lat budynkiem Taškişla\*, gdzie odbywały się egzaminy wstępne. Przed wielką bramą, przez którą maszerowali ongiś osmańscy żołnierze z sumiastymi wąsami, w fezach, przycupnął tłum czekających na przystępujące do egzaminów pociechy matek w chustkach i palących papierosy ojców. Wśród czytających gazety, rozmawiających lub wpatrujących się bezmyślnie w niebo rodziców na próżno szukałem cioci Nesibe. Na kamiennej elewacji budynku, między wysokimi oknami wciąż widoczne

\* **Taškişla** — dawne koszary armii osmańskiej, obecnie mieści się tu Wydział Architektury Politechniki Stambulskiej.

były ślady kul wystrzelonych przez żołnierzy Hareket Ordusu\*, którzy sześćdziesiąt sześć lat temu zrzucili z tronu Abdiihamita. Wbiwszy wzrok w jedno z tych okien, błagałem Boga, by pomógł Fiisun, która gdzieś w środku odpowiadała na pytania egzaminacyjne, a później radosną jak ptaszek przysłał do mnie.

Ale tego dnia Fiisun nie pojawiła się w kamienicy Zmiłowanie. Sądziłem, że złość na mnie szybko jej minie. Jednak gdy mieszkanie nagrzało się od wpadających przez firanki ostrych promieni czerwcowego słońca, była już dwie godziny spóźniona. Widok pustego łóżka sprawiał mi ból, wyszedłem więc na ulicę. Przyglądając się żołnierzom na przepustce, w niedzielne popołudnie zabijającym czas w parkach, radosnym rodzicom i dzieciom karmiącym gołębie, spacerowiczom, którzy przysiedli na ławkach na nabrzeżu i obserwowali statki albo czytali gazety, starałem się sam siebie przekonać, że następnego dnia Fiisun pojawi się o umówionej porze. Ale nie przyszła ani następnego dnia, ani przez kolejne cztery dni.

Codziennie szedłem do kamienicy Zmiłowanie i czekałem. Jeśli zjawiałem się tam przed czasem, wzmagało to tylko ból oczekiwania, dlatego postanowiłem nie przychodzić wcześniej niż za pięć drugą. Drżąc z niecierpliwości, wchodziłem do mieszkania; przez pierwsze dziesięć, piętnaście minut cierpienie mieszało się z nadzieją, a podniecenie pulsujące w głowie tłumiło tępy ból przeszywający pierś. Co chwilę spoglądałem zza firanek na ulicę i moje spojrzenie natrafiało na zardzewiałą uliczną latarnię tuż przed drzwiami; porządkowałem pokój, z uwagą nasłuchiwałem odgłosu kroków na ulicy, czasem ener-

\* **Hareket Ordusu** — Armia Czynu, zbuntowane oddziały II i III Armii Osmańskiej, których wkroczenie do Stambułu 24 kwietnia 1909 r., pod dowództwem Mahmuda Şevketa Paszy, doprowadziło do detronizacji sułtana Abdulhamita II i przejęcia władzy przez młodoturków.



giczny stukot damskich obcasów wydawał mi się podobny do stukotu bucików Fiisun. Ale kroki nie zatrzymywały się i stwierdzałem z przykrością, że to ktoś inny, kto wychodząc z kamienicy, zamknął drzwi w taki sam sposób, w jaki zwykła to robić ona — z lekkim trzaśnięciem.

Do zobrazowania tych dziesięciu, piętnastu minut, podczas których powoli zaczynałem zdawać sobie sprawę, że Fiisun już nie przyjdzie, najlepiej posłużą wyeksponowane tu zegarek i zapałki: cały kartonik i kilka już wypalonych. Krążyłem po mieszkaniu, wyglądałem przez okno, a czasem siedziałem nieruchomo w kącie, wsłuchując się w kolejne fale bólu przenikające moje ciało. Zegary w mieszkaniu tykały, a mój umysł próbował złagodzić udrękę, zabawiając się odliczaniem sekund i minut. W ciągu minut przybliżających umówioną porę spotkania nadzieja zakwitała we mnie jak polny kwiat: dziś, tak! przyjdzie, zaraz przyjdzie. Pragnąłem wtedy, aby czas mijał jak najszybciej, bym nie czekał zbyt długo na ukochaną. Ale tych pięć minut wlokło się w nieskończoność. W pewnej chwili stawało się dla mnie jasne, że oszukuję sam siebie, że w rzeczywistości nie chcę, by czas szybciej płynął, gdyż być może Fiisun w ogóle nie przyjdzie. Gdy wybijała druga, nie wiedziałem, czy się cieszyć, bo nadeszła pora naszego spotkania, czy też smucić, bo od tego momentu z każdą minutą malało prawdopodobieństwo, że Fiisun się zjawi. Jak podróżny na odbijającym od nabrzeża statku wiedziałem, że każda chwila zwiększa odległość między mną a moją ukochaną, lecz mimo to próbowałem wmówić sobie, że tych upływających minut wcale nie jest tak dużo. Zacząłem w umyśle układać je w serie. Nie wolno mi się smucić co chwila, co sekunda, ale na przykład co pięć minut! Dzięki tej metodzie udawało mi się przesunąć udrękę z czterech minut na piątą, ostatnią. Gdy nie można było już zaprzeczać, że pierwsze pięć minut upłynęło, to zna-

czy spóźnienie stało się faktem, ból przeszywał mnie, jakby gwóźdź wbijał się w ciało. Desperacko przekonywałem samego siebie, że Fiisun zawsze trochę się spóźniała na nasze randki (w takim momencie nie byłem w stanie stwierdzić, ile w tym było prawdy), a wtedy przez pierwsze chwile kolejnej pięciominutowej serii moje cierpienie słabło i zaczynałem z nadzieją wyobrazać sobie, że niedługo Fiisun zapuka do drzwi i tak jak przy naszym drugim spotkaniu, po prostu nagle stanie przede mną. A ja, gdy usłyszę pukanie, rozłoszczę się na nią, że od kilku dni się nie pokazywała, albo inaczej, gdy tylko ją ujrzę, wszystko jej wybaczę. Tym krótkim marzeniem towarzyszyły wspomnienia wywołane widokiem filiżanki, z której podczas naszego pierwszego spotkania piła herbatę, albo starego wazonika, który bezwiednie wzięła do ręki, niecierpliwie krążąc po mieszkaniu. I ponownie lekko się opierałem, nie chcąc przyznać, że z kolejnej serii minęły już czwarta i piąta minuta, w końcu jednak musiałem się pogodzić z tym, że Fiisun znowu mnie nie odwiedzi. Wtedy ból wybuchał we mnie z taką siłą, że aby go znieść, musiałem się położyć do łóżka, jak ktoś obłożnie chory.

## 26. ANATOMICZNE UMIEJSCOWIENIE MIŁOSNEGO BÓLU

Schemat przedstawiający ludzkie organy wewnętrzne pochodzi z reklamującego lek przeciwbólowy paradison plakatu, którym obwieszono były w owym czasie stambulskie apteki. Zaznaczyłem na nim kilka miejsc, żeby zwiedzającym moje muzeum pokazać, gdzie miłosny ból pojawia się, nasila i rozprzestrzeniał. Czytelnikom, którzy nie mogą obejrzeć mojej kolekcji, pragnę powiedzieć, że umiejscawiał się on w górnej części żołądka, po lewej stronie. Gdy się wzmagał, natychmiast wypełniał przestrzeń między żołądkiem a klatką piersiową — tak jak to zaznaczono na rysunku. Wtedy nie ograniczał się już do lewej strony ciała, lecz obejmował także prawą. Miałem wrażenie, jakby ktoś wbił we mnie śrubokręt lub rozżarzony żelazny pręt i grzebał nim w moich wnętrznościach. Albo jakby w żołądku, a potem w całym ciele, zbierał się żrący, kwaśny płyn. Albo malutkie, kolczaste jeże morskie wczepiały się we mnie od środka. Ból, który nasilając się, obejmował coraz większe obszary mojego ciała, atakował czoło, kark, plecy, a nawet wyobraźnię, ścisnął mnie, odbierał oddech. Czasem

na kształt gwiazdy napływał z różnych kierunków do pępka, gromadził się w zagłębieniu pośrodku brzucha i jak ostra, paląca ciecz podchodził aż do gardła, grożąc uduszeniem, wypełniał usta i stamtąd promieniował na całe ciało tak silnie, że zaczynałem jęczeć. Walenie dłonią w ścianę, wykonywanie ruchów podobnych do ćwiczeń gimnastycznych czy zmuszanie ciała do wysiłku, na przykład przez uprawianie jakiegoś sportu, pozwalało na moment o nim zapomnieć. Ale nawet w chwilach, gdy zmniejszał się do minimum, czułem, jak sączy się kropla po kropli, niczym woda z nie dokręconego kranu, i przenika do mego krwiobiegu. Niekiedy docierał aż do gardła, uniemożliwiając mi przełykanie śliny, innym razem usadawiał się w plecach, barkach, ramionach. Przede wszystkim jednak kumulował się w żołądku — tu miał swoją kwaterę główną.

Mimo ewidentnie somatycznych symptomów byłem pewien, że źródło bólu tkwi w umyśle, w duszy, nie potrafiłem się jednak zmobilizować, by w mojej głowie zrobić porządki konieczne do uwolnienia się od niego. A że nigdy dotąd nie przeżyłem niczego podobnego, zupełnie się pogubiłem, jak dowódca, który po raz pierwszy musi stawić czoło atakom wroga. W dodatku wciąż żywiłem nadzieję, że Fiisun następnego dnia jednak przyjdzie do kamienicy Zmiłowanie, stale wymyślałem powody, dla których miałyby to zrobić, i wyobrażałem sobie jej przyjście, a to tylko przedłużało ból i czyniło go nieznośnym.

W chwilach oprzytomnienia zaczynałem rozumieć, że Fiisun żywi do mnie urazę i chce mnie ukarać nie tylko za zaręczyny, lecz także za to, że ukrywałem przed nią swoje spotkania z Sibel w biurze, że podczas przyjęcia rozgrywałem z zazdrości różne gierki, byle tylko trzymać ją z dala od Kena, no i nie załatwiłem sprawy koleczyka. Jednocześnie jednak

czułem wyraźnie, że brak niezrównanej satysfakcji z seksu, jaką udawało nam się obojgu osiągnąć, jest karą nałożoną przez Fiisun tyleż na mnie, co na samą siebie, i że ona, podobnie jak ja, długo tego nie wytrzyma. Musiałem zaciskać zęby i znosić ból, cierpliwie przyjmować jego rozprzestrzenianie się po moim ciele, aby dzięki temu, kiedy wreszcie się spotkamy, Fiisun mogła mnie zrozumieć i zaakceptować naszą sytuację. Na myśl o tym ogarniało mnie poczucie winy i zaczynałem żałować, że z zazdrości o nią kazałem wysłać jej zaproszenie albo że nie odszukałem zagubionego kolczyka i nie zwróciłem go w porę, albo że nie poświęciłem więcej czasu i nie nauczyłem Fiisun porządnie matematyki, albo też że nie poszedłem do jej rodziców na kolację i nie odniosłem dzieciennego rowerka. Ból wywołany poczuciem winy promieniował bardziej do wewnątrz i trwał krócej, lecz gdy docierał do wnętrzości, w dziwny sposób pozbawiał mnie siły. Wtedy nie byłem w stanie utrzymać się na nogach, przepełniony skruchą, pragnąłem jak najszybciej paść na łóżko.

Czasem przychodziło mi na myśl, że być może problem tkwi w niepomysłnym wyniku egzaminu Fiisun. Wtedy czułem się winny i wyobrażałem sobie, że razem będziemy się uczyć matematyki. Ból wówczas malał, a ja zaczynałem marzyć, że po lekcji matematyki zaczynamy się kochać. Ożywającym w mojej głowie miłosnym scenom towarzyszyły wspomnienia wspólnie spędzonych cudownych godzin i właśnie wtedy przypominała mi się złożona przez Fiisun w trakcie tańca na przyjęciu obietnica, że spotka się ze mną zaraz po egzaminie. Nie dotrzymała jej, nie raczyła się nawet usprawiedliwić – zaczynałem się na nią złościć. Mój gniew podsycaly jej inne drobne przewinienia: próby wzbudzenia mojej zazdrości podczas zaręczyn, słuchanie żartów na mój temat opowiadanych

przez pracowników Satsat. Starałem się wykorzystać swoją złość, by móc wytrwać z dala od Fiisun i w milczeniu przyjąć jej chęć ukarania mnie.

Gdy mimo tych drobnych wybuchów gniewu, przypływów nadziei i zabiegów, jakie stosowałem, by oszukać samego siebie, Fiisun nie pojawiła się w piątek do godziny wpół do trzeciej, zostałem pokonany. Teraz ból stał się bezlitosny, morderczy, rozszarpywał mnie jak okrutna dzika bestia. Gdy tak leżałem na łóżku, nieruchomo jak trup, czułem jej zapach, którym przesiąknięta była pościel, wspominałem, jak ledwie przed sześcioma dniami w tym łóżku kochaliśmy się namiętnie, i zastanawiałem się, czy będę umiał żyć dalej bez niej, nieposkromione uczucie zazdrości wymieszało się z gniewem i wezbrało we mnie potężną falą. Na pewno Fiisun od razu znalazła sobie nowego kochanka. Rodzący się w moim umyśle ból wywołany zazdrością zderzał się z tym przesywającym żołądek, którego przyczyną była miłość, i tak połączone, doprowadzały mnie na skraj załamania. W mojej karmionej zazdrością wyobraźni ożywały obrazy bezwstydnie obnażające mą słabość. Owszem, zdarzało mi się to już wcześniej, ale teraz nie potrafiłem nad tym zapanować. Sądziłem, że moim rywalem mógł być Kenan, pan Turgay, a nawet Zaim, albo że spośród licznego grona wielbicieli wybrała jeszcze kogoś innego. Ktoś, kto tak lubi uprawiać seks, zechce zapewne robić to z kimś innym. A złość na mnie mogła skłonić ją do szukania zemsty. Jednak cząstka mojego umysłu, która jakimś cudem zachowała jeszcze zdolność logicznego myślenia, podpowiadała mi, że winna jest po prostu zwykła zazdrość, a ja dawałem się ponieść temu wszechogarniającemu i poniżającemu uczuciu. Poczułem, że jeśli natychmiast nie pójdę do butików Champs Elysees i nie zobaczę Fiisun, oszaleję z gniewu i żądy. Wybiegłem z mieszkania.

Przypominam sobie, jak pędziłem aleją Teşvikiye, z nadzieją, która przyprawiała mnie o szybsze bicie serca. Myśl, że wkrótce ją zobaczę, tak zawładnęła moim umysłem, że nie zastanowiłem się nawet, co jej powiem. Wiedziałem, że widok Fiisun choć na chwilę uśmierzy moje cierpienie. Musiała mnie wysłuchać, tyle jej miałem do powiedzenia, inaczej się umawialiśmy podczas tańca, teraz powinniśmy pójść do cukierni i porozmawiać!

Na brzęk dzwonka nad drzwiami moje serce przeszył nagły skurcz. W sklepie nie było kanarka. Od razu zorientowałem się, że Fiisun też tam nie ma, ale przerażony i bezradny, próbowałem jeszcze wierzyć, że może schowała się na zapleczu.

— Witam serdecznie, panie Kemal — pani Şenay przywitała mnie z diabolicznym uśmiechem.

— Chciałbym obejrzeć białą haftowaną torebkę wieczorową, która jest na wystawie — wyszeptalem.

— Ach, to wspomniała rzecz! — wykrzyknęła właścicielka butiku. — Wszystko pan wypatrzy! Ilekroć przyjdzie coś ładnego, zawsze pan pierwszy to zauważy i kupi. Dopiero co przywieziona z Paryża. W zapięcie ma wprawiony kamień szlachetny. Jest wyposażona w portmonetkę i lustro. To wszystko ręczna robota! — powoli podeszła do sklepowej wystawy i wychwalając zalety torebki, zdjęła ją z witryny i wręczyła mi.

Zerknąłem za zasłonę wiszącą w drzwiach prowadzących na zaplecze. Tam także nie było Fiisun. Udawałem, że z uwagą oglądam delikatną torebkę ozdobioną kwiatowym motywem, i nie zareagowałem, gdy pani Şenay podała mi nieprzyzwoicie wygórowaną cenę. Stara wiedźma, pakując nowy nabytek, oznajmiła, że wszyscy zachwycają się zaręczynowym przyjęciem. Z czystej chęci kupienia jeszcze czegoś równie drogiego powiedziałem, by zapakowała też spinki do mankietów, które wpadły mi w oko. Radość, jaka odmalowała się na twarzy ko-

biety, dodała mi odwagi. — A co z moją młodą kuzynką? Dziś nie pracuje? — spytałem.

— To pan nie wie? Fiisun niespodziewanie rzuciła pracę!

— Ach tak?

Od razu wyczuła, że szukam Fiisun, i wywnioskowała z tego, że już się nie widzimy. Starając się dociec, co się stało, obserwowała mnie uważnie.

Opanowałem się i o nic więcej już nie spytałem. Choć cierpiałem katusze, zdołałem zachować przytomność umysłu i wsunąłem prawą dłoń do kieszeni, by nie spostrzegła, że nie noszę zaręczynowej obrączki. Gdy płaciłem za torebkę, w jej spojrzeniu dostrzegłem współczucie — jakby fakt, że oboje utraciliśmy Fiisun, w jakiś sposób nas do siebie zbliżał. Wciąż nie do końca przekonany, że dziewczyny rzeczywiście nie ma, jeszcze raz rzuciłem okiem na zaplecze.

— Tak to teraz jest — westchnęła pani Źenay. — Dzisiejszej młodzieży nie chce się pracować, wolą w łatwiejszy sposób zdobywać pieniądze.

Ostatnia część zdania sprawiła, że zarówno ból wywołany miłością, jak i ten płynący z zazdrości stały się już nie do wytrzymania.

Ale udało mi się jakoś utrzymać wszystko w tajemnicy przed Sibel. Moja bystra narzeczona, która potrafiła zauważyć każdy grymas na mojej twarzy, każdy mój gest, przez pierwsze dni po zaręczynach o nic mnie nie pytała. Dopiero trzeciego dnia wieczorem, przy kolacji, gdy zwiјаłem się z wewnętrznego cierpienia, łagodnym głosem oświadczyła, że zbyt szybko piję alkohol, i zapytała: — Mój kochany, co się z tobą dzieje? — Odpowiedziałem, że wykańczają mnie kłótnie z bratem na temat interesów. Gdy dręczony ciekawością, co Fiisun robi w piątkowy wieczór, poczułem ból rozchodzący się w dwóch kierunkach, z brzucha ku górze i z karku do nóg, sprowoko-



wany pytaniem Sibel, w jednej chwili wymyśliłem mnóstwo szczegółów dotyczących mojego rzekomego sporu z bratem — po latach, cóż za ironia losu, wszystko to, co wtedy zełąłem, miało rzeczywiście się zdarzyć.

— Nie przejmuj się — powiedziała Sibel z uśmiechem.  
— Posłuchaj lepiej, jakie sztuczki stosują Zaim i Mehmet, by zbliżyć się do Nurcihan podczas pikniku.

## 27. NIE PRZECHYLAJ SIE, BO SPADNIESZ

Ten oto kosz piknikowy, przygotowany przez Sibel i Nurcihan i stanowiący syntezę tradycyjnych gustów oraz inspiracji zaczerpniętych z francuskich czasopism poświęconych wnętrzom i ogrodom, dwa termosy z herbatą, pojemnik z gołąbkami w liściach winogron, jajka na twardo, butelki oranżady Zefir i elegancki obrus po babci Zaima eksponują w tym miejscu jako pamiątki po owej niedzielnej wycieczce. Chciałbym z ich pomocą wyprowadzić zwiedzających moje muzeum z przepełnionej boleścią dusznej atmosfery w kamienicy Zmiłowanie na świeże powietrze. Ale niech nie myślą sobie (i czytelnicy także), że mogą choć na chwilę zapomnieć o moim cierpieniu!

W niedzielny poranek udaliśmy się najpierw do fabryki oranżady w Bogazdere nad Bosforem. Zaim oprowadzał nas po budynkach obwieszonych olbrzymimi portretami Inge, o ścianach pokrytych zamazanymi lewackimi hasłami. Pokazywał nam działy mycia i napełniania butelek, gdzie pod kierownictwem gadatliwych, pogodnych brygadzystów pracowały milczące robotnice w chustkach na głowach i niebie-

skich fartuchach (w fabryce oranżady Zefir, której plakatami oklejony był cały Sztambuł, pracowały zaledwie sześćdziesiąt dwie osoby). Nurcihan i Sibel, w nazbyt europejskich strojach, skórzanych kozaczkach, modnych pasach i dżinsach, ze swą przesadną swobodą i pewnością siebie odrobinę działały mi na nerwy. Podczas całej wycieczki próbowałem uspokoić moje rozkołatané serce, wciąż bezgłośnie powtarzające „Fiisun, Fiisun, Fiisun”.

Potem wsiedliśmy do dwóch samochodów i ruszyliśmy do Lasu Belgradzkiego, nad stawy, gdzie naśladować — tak jak to sobie wyobrażaliśmy — Europejczyków na pikniku, rozłożyliśmy się na łące, skąd roztaczał się widok, który sto siedemdziesiąt lat wcześniej uwiecznił europejski malarz Melling\*. Koło południa wyciągnąłem się na trawie i popatrzyłem w czyste, błękitne niebo; pamiętam, że w pewnej chwili z zachwytem i niejakim zaskoczeniem dostrzegłem urodę i grację ruchów Sibel, która nieco dalej usiłowała rozplatać sznury, by z pomocą Zaima zainstalować huśtawkę, jak w dawnych perskich ogrodach. Potem Nurcihan, Mehmet i ja graliśmy w dziewięć kamieni. Czułem zapach ziemi, woń sosen i róż, niesioną przez przyjemnie chłodne powiewy od pobliskich stawów. Pomyślałem, że czekające mnie cudowne życie to dar Boży, i głupotą, ba, wręcz grzechem jest zatruwać te otrzymane wspaniałości bólem miłosnych rozterek, który jak śmiertelna trucizna rozprzestrzenił się po całym moim ciele. Było mi wstyd, że poddałem mu się do tego stopnia. To z kolei osłabiało moją pewność siebie, a poczucie własnej niemocy prostą drogą wiodło do wybuchu zazdrości. Nagle zdałem sobie sprawę, że

\* **Antoine-Ignace Melling (1763-1831)** — pochodzący z Alzacji francuski malarz, architekt i podróżnik, przez osiemnaście lat nadworny architekt sułtana Selima III, autor rycin przedstawiających widoki Sztambułu, zwłaszcza wybrzeży Bosforu.

jestem zadowolony z obecności Zaima, choć ten akurat oddalił się dokądś z Nurcihan pod pretekstem zbierania jeżyn, podczas gdy Mehmet, wciąż w białej koszuli, krawacie i spodniach na szelkach, nakrywał do stołu. Uznałem to za dowód, że Zaim nie spotyka się z Fiisun. Ale oczywiście nie oznaczało to, że Fiisun nie spotyka się z Kenanem czy kimś innym. Odkryłem, że rozmowy z przyjaciółmi, gra w piłkę, bujanie Sibel jak dziecka na huśtawce czy głębokie skaleczenie się w palec podczas wypróbowywania nowego otwieracza do konserw pozwalają mi przestać myśleć o Fiisun. Krew z rozciętego palca, na którym nosiłem zaręczynową obrączkę, nie przestawała płynąć. Czy to z powodu trucizny sercowych rozterek, która przeniknęła do mych żył? Oszołomiony miłością, usiadłem na huśtawce i z całych sił zacząłem się bujać. Gdy szybko opadałem w dół, czułem, że ból w żołądku nieco się zmniejsza. Długie sznury huśtawki trzeszczały, a ja, zataczając w powietrzu wielki łuk, odchylałem, ile tylko mogłem, głowę do tyłu. Wtedy ból słabł jeszcze bardziej, oddalał się.

— Kemalu, co ty wyprawiasz?! Nie przechylaj się tak, bo spadniesz! — zawołała Sibel.

Południowe słońce rozgrzewało nawet zacienione miejsca pod drzewami. Powiedziałem Sibel, że rozcięty palec wciąż krwawi i nie czuję się dobrze, powinienem pojechać do amerykańskiego szpitala, by mi go zszyli. Spojrzała na mnie zaskoczona, szeroko otwierając oczy. Czy nie mógłbym poczekać do wieczora? Próbowała zatamować krew. Wyznam wam, czytelnicy, że gdy Sibel nie patrzyła, rozdrapywałem ranę, by ta nie przestawała krwawić.

— Ależ kochanie — powiedziałem — proszę, nie chcę zepsuć tego uroczego pikniku, nie byłoby ładnie wobec pozostałych, gdybyśmy oboje teraz pojechali. Niech wieczorem zawiozą cię do miasta.

Idąc w stronę samochodu, dostrzegłem w pełnym wyrozumiałości, łagodnym spojrzeniu mojej ślicznej narzeczonej znów to samo pytanie.

— Co ci jest? — szepnęła, wyczuwając, że skaleczony palec to jedynie pretekst. Jakże chciałbym ją objąć i zapomnieć o dręczących mnie bólu i namiętności, a przynajmniej móc wyznać jej, co czuję! Nie odpowiedziałwszy jednak ani słowem, z przyspieszonym biciem serca, zataczając się jak zamroczony, wsiałem do samochodu. Zbierający jeżyny Nurcihan i Zaim zauważyli, że coś się dzieje, i ruszyli w naszą stronę. Byłem pewien, że jeśli spojrzę Zaimowi w oczy, ten od razu domyśli się, dokąd się wybieram. Uruchamiając silnik, zerknąłem na Sibel. (Nie będę wam, drodzy czytelnicy, opisywał malujące się na jej twarzy wyrazu szczerzego niepokoju i cierpienia, byście nie pomyśleli sobie, że jestem bez serca).

Jadąc jak szalony w owo letnie, pogodne i gorące wczesne popołudnie, pokonałem drogę z Lasu Belgradzkiego do Nigantagi w czterdzieści siedem minut. Im mocniej naciskałem pedał gazu, tym silniej wierzyłem, że właśnie dziś Fiisun zjawi się w końcu w kamienicy Zmiłowanie. Czyż na nasze pierwsze spotkanie nie przyszła dopiero po kilku dniach? Gdy po zaparkowaniu samochodu pędziłem biegiem do mieszkania (zostało jeszcze czternaście minut — w samą porę rozciąłem sobie palec), drogę zagroziła mi kobieta w średnim wieku.

— Panie Kemal, panie Kemal, szczęście panu sprzyja!  
— zawołała do mnie.

Odwróciłem się i starając się przypomnieć sobie, kim jest ta kobieta, spytałem:

— Jak to?

— Na zaręczynach podszedł pan do naszego stołu i założyliśmy się, jaki będzie koniec *Ściganego*... Wygrał pan, panie

Kemalu! Doktorowi Kimble'owi udało się w końcu dowieść swojej niewinności!

— Ach, doprawdy?

— Kiedy odbierze pan swoją nagrodę?

— Później — rzuciłem, ruszając biegiem dalej.

Szczęśliwe zakończenie, o którym mówiła kobieta, uznałem oczywiście za dobry omen, znak, że Fiisun dzisiaj przyjdzie. Pełen radosnego podniecenia, przekonany, że za dziesięć, piętnaście minut znów będę się z nią kochać, drżącymi rękami wyjąłem klucze i wszedłem do mieszkania.

## 28. POCIESZAJĄC SIE PRZEDMIOTAMI

Minęło czterdzieści pięć minut, a Fiisun nadal nie było. Leżałem na łóżku nieruchomo jak trup, niczym umierające zwierzę, z uwagą i bezsilnością obserwowałem, jak ból rozprzestrzenia się po moim ciele. Dziś osiągnął niespotykaną dotąd siłę i głębię, zawładnął mną całym. Czułem, że muszę wstać, znaleźć jakieś zajęcie dla swych myśli, uciec od tej całej sytuacji, a przynajmniej od tego pokoju, prześcieradeł i poduszek, wciąż przesiąkniętych zapachem Fiisun. Brakowało mi jednak siły.

Teraz zaczynałem żałować, że nie zostałem na pikniku z przyjaciółmi. Od tygodnia nie kochaliśmy się z Sibel, dostrzegła zapewne moje dziwne zachowanie, lecz nie umiała ustalić jego przyczyny, nie potrafiła też mnie o to zapytać. Wyrozumiałość i czułość ze strony narzeczonej były mi potrzebne, wyobrażałem sobie, że koncentrując się na Sibel, zapomnę o Fiisun. Ale nie mogłem ruszyć się z miejsca, wsiąść do samochodu i wrócić na piknik. Nie byłem w stanie zrobić cokolwiek, co zmniejszyłoby ból, który z siłą odbierającą mi oddech promieniował w różnych kierunkach z żołądka, pleców, a nawet

nóg. Cokolwiek, co pozwoliłoby mi od niego uciec. Świadomość tego budziła we mnie poczucie przegranej, a ta z kolei uruchamiała poczucie winy, równie okrutne i dokuczliwe jak cierpienie wywołane miłością. Wiedziony dziwnym przecuciem, zrozumiałem, że jeśli zamknę się w nim (tak jak kwiat, składając płatki, zamyka się w sobie), jeśli odczuję go z całą intensywnością, choćby miał mi rozerwać serce, wtedy zdołam się zbliżyć do Fiisun. Gdzieś w głębi mego umysłu kołatała się myśl, że być może to tylko złudzenie, lecz nie potrafiłem przestać w to wierzyć. (I tak zresztą nie mogłem wyjść, bo a nuż przyjdzie, ale mnie nie zastanie, i co wtedy?).

Gdy ból na dobre się we mnie zadomowił, gdy w mej krwi i kościach wybuchały niczym fajerwerki wypełnione nim miniaturowe, żrące jak kwas bomby, każde z napływających licznych wspomnień przyciągało moją uwagę, pozwalając na chwilę, czasem na kilkanaście sekund, a czasem zaledwie na jedną lub dwie, zapomnieć o bólu. Ten jednak zaraz powracał ze zdwojoną siłą, przenosząc mnie z powrotem w pustkę teraźniejszości. W tej pustce kolejna niewiarygodnie intensywna fala cierpienia zalewała mi pierś, plecy, odbierała siłę w nogach. Aby się od niej uwolnić, instynktownie sięgałem po wywołujące wspomnienia rzeczy, które łączyły się z Fiisun, brałem je do ręki, smakowałem i odkrywałem, że to rzeczywiście pomaga. Na przykład sprzedawane wówczas niemal w każdej cukierni w Nişantaşı rogaliki z orzechami i rodzynkami, które Fiisun tak lubiła i którymi częstowałem ją podczas naszych spotkań — odgryzałem kęs i natychmiast przypominały mi się chwile, gdy jedząc je, śmialiśmy się na przykład z tego, że żona dozorczy, pani Hanife, wciąż uważała Fiisun za pacjentkę dentysty, który miał swój gabinet piętro wyżej. Rozchmurzałem się. Stare lusterko z rączką, które Fiisun wyszperała w jednej z szaf mojej matki — i trzymając je w ręku jak mikrofon, naśladowała



popularnego piosenkarza (i prezentera) Hakana Serinkana. Model pociągu Ankarski Ekspres, który moja matka dawała jej do zabawy kiedyś, gdy do nas przychodziła — teraz też bawiła się nim jak dziecko. Inna moja zabawka z dzieciństwa, kosmiczny pistolet wystrzeliwujący wirujące lotki — po każdym wystrzale w poszukiwaniu lotki przetrząsaliśmy ze śmiechem zagracony pokój. Wszystkie te przedmioty brałem po kolei do ręki i przypominając sobie związane z nimi historie, czułem ulgę. Kryształową bombonierkę, którą tu eksponuję, Fiisun trzymała w ręku, gdy pewnego razu, podczas jednego z tych momentów, gdy nagły smutek niespodziewanie rzucał cień na nasze szczęście, spytała: „Czy żałujesz, że nie spotkałeś mnie, zanim poznałeś Sibel?”. Wspomnienia te snułem, leżąc na łóżku, świadom, że kiedy ich kojące działanie minie, nastąpi atak bólu tak potężny, że nie będę w stanie utrzymać się na nogach. I gdy tak leżałem, wszystko dookoła nastrajało mnie do snucia wspomnień i podsuwało mi kolejne obrazy z przeszłości.

Tuż przy łóżku znajdował się stolik, na który Fiisun starannie odłożyła zdjęty z ręki zegarek, gdy po raz pierwszy mieliśmy się kochać. W stojącej na nim popielniczce tydzień temu dostrzegłem niedopałek papierosa zgaszonego przez Fiisun. Wyjąłem go, powąchałem, poczułem stęchłą woń nikotyny, włożyłem między wargi i już miałem zapalić (być może wyobrażając sobie, że jestem nią), gdy zdałem sobie sprawę, że jeśli to zrobię, stracę go bezpowrotnie, więc zrezygnowałem. Jak troskliwa pielęgniarka zakładająca z wielką delikatnością opatrunek, dotykałem ustnikiem, którego kiedyś dotykały jej wargi, swych policzków, czoła, szyi. Przed moimi oczami ożyły obrazy obiecujących szczęście odległych lądów, rajskie krajobrazy, wspomnienia czułości, jakimi obdarzała mnie matka, gdy byłem mały, Fatmy niosącej mnie na ręku do meczetu Teşvikiye. Już po chwili jednak ból znów ogarnął mnie jak fale wzburzonego morza.

Koło piątej, wciąż jeszcze leżąc na łóżku, przypomniałem sobie, jak babcia, by łatwiej znosić cierpienie po śmierci dziadka, zmieniła nie tylko łóżko, lecz także zaczęła sypiać w innym pokoju. Całą siłą woli skupiłem się na myśli, że ja tak samo powinienem uwolnić się od tego łóżka, pokoju, tych wszystkich wydających z siebie dziwne trzaski przedmiotów, wciąż pachnących przemijaniem i szczęśliwą miłością. Miałem przy tym jednak ochotę zrobić coś przeciwnego — objąć te wszystkie rzeczy, przytulić się do nich. Albo odkryłem ich kojącą moc, albo nie byłem tak silny jak moja babcia. Dobiegające z podwórka krzyki i przekleństwa chłopców grających w piłkę zatrzymały mnie w łóżku aż do zmroku. Wieczorem wróciłem do domu i wypiwszy trzy szklaneczki *raki*, postanowiłem zadzwonić do Sibel. Wtedy spostrzegłem, że rana na palcu dawno się już zasklepiła.

I tak aż do połowy lipca co dzień o godzinie drugiej szedłem do mieszkania w kamienicy Zmiłowanie. Obserwując, jak ból, który odczuwałem, gdy Fiisun nie przychodziła, słabnie z każdym dniem, zaczynałem sądzić, że powoli przyzwyczajam się do jej nieobecności. Tak naprawdę było to jedynie złudzenie, wywołane kojącym działaniem otaczających przedmiotów. Pod koniec pierwszego tygodnia po zaręczynach znaczna część mojego umysłu, czasem większa, czasem mniejsza, stale była zajęta Fiisun. Gdybym miał to określić w sposób matematyczny, powiedziałbym, że suma cierpienia bynajmniej nie malała, ba, wbrew moim oczekiwaniom nieustannie rosła. Do kamienicy chodziłem z przyzwyczajenia i aby wciąż podsycać nadzieję, że zobaczę Fiisun.

Podczas dwóch godzin spędzanych w mieszkaniu matki głównie leżałem na łóżku i oddawałem się marzeniom, próbując ukoić dręczący mnie ból przykładaniem do policzków, czoła, szyi jednego z magicznych przedmiotów rozświetlonych wspomnieniami chwil szczęścia, na przykład eksponowanego

tu dziadka do orzechów albo pozytywki z figurką baletnicy, którą Fiisun wielokrotnie próbowała uruchomić i która wciąż nosiła zapach jej dłoni. Po dwóch godzinach, czyli mniej więcej wtedy, kiedy budziliśmy się z miękkiej jak aksamit drzemki po seksie, wyczerpany smutkiem, starałem się wrócić do rzeczywistości.

Straciłem dawną radość życia. Sibel, z którą nadal się nie kochałem (znalazłem wymówkę, że pracownicy Satsat odkryli, iż uprawiamy seks w biurze), moją nienazwaną chorobę uznawała za rodzaj paniki, w jaką wpadają mężczyźni przed ślubem, za specyficzny rodzaj smutku nie zdiagnozowanego jeszcze przez lekarzy, i podchodziła do niej z powagą, która budziła mój podziw. Była dla mnie niezwykle dobra i wyrozumiała, jakby skrycie obwiniała siebie samą o to, że nie potrafiła mnie z tej choroby wyciągnąć. Ja też starałem się być dla niej miły, zabierałem ją i nowo poznawanych znajomych do restauracji, w których jeszcze nie byliśmy, odwiedzaliśmy lokale i kluby nad Bosforem, gdzie latem 1975 roku lubili się pojawiać przedstawiciele stambulskiej burżuazji, by pokazać, jak bardzo są szczęśliwi i bogaci, bywaliśmy na przyjęciach i oboje śmialiśmy się z Nurcihan, która nie potrafiła się zdecydować, kogo woli: Mehmeta czy Zaima. Szczęście nie wydawało mi się już darem otrzymanym od Boga w dzieciństwie, czymś, co mi się po prostu należało i co przywykłem uważać za swoje; stało się dobrem, które mądrzy, pracowici i uważni ludzie potrafią zdobyć i zachować.

Pewnego wieczoru wybraliśmy się do nowo otwartego klubu o nazwie Mehtap, do którego wejścia pilnowali bramkarze. Gdy w barze przy pomoście piłem samotnie czerwone wino (Sibel i inni bawili się przy stoliku), niespodziewanie ujrzałem tam pana Turgaya. Serce zaczęło mi bić szybciej, jakbym zobaczył samą Fiisun, i ogarnęła mnie wściekła, odbierająca rozum zazdrość.

## 29. NIE BYŁO MINUTY, BYM O NIEJ NIE MYŚLAŁ

Pan Turgay, zamiast jak zwykle uprzejmie się uśmiechnąć, odwrócił głowę, co niespodziewanie bardzo mocno mnie dotknęło. Starąłem się wytłumaczyć jego zachowanie logicznie, tym, że nie zaproszony na zaręczyny, miał prawo się obrazić, z drugiej jednak strony do szału doprowadzała mnie myśl, i to ona dominowała, że Fiisun wróciła do niego, by się na mnie odegrać. Miałem ochotę podejść do Turgaya i spytać o to wprost. Być może tego dnia po południu kochali się w jego garsonierze w ŹiŹli. Widział się z Fiisun, rozmawiał z nią — już to wystarczało, by wyprowadzić mnie z równowagi. To, że był w niej zakochany, zanim ją poznałem, że z jej powodu cierpiało te same katusze co ja teraz, nie tylko nie zmniejszało mojej złości na tego człowieka i dręczącego mnie uczucia poniżenia, wręcz przeciwnie, jeszcze bardziej je wzmacniało. Sporo wypiełem wtedy w barze. Tuląc do siebie Sibel, z upływem czasu coraz bardziej cierpliwą i czułą, zatańczyłem z nią do piosenki *Melancolia* Peppina di Capri.

Zazdrość, którą wieczorem udało mi się zagłuszyć alkoholem, powróciła do mnie następnego ranka wraz z bólem

głowy. Z przerażeniem stwierdziłem, że moje cierpienie nie zmniejszyło się ani trochę, za to nasiliło się poczucie bezradności. Poszedłem do pracy pieszo (Inge wciąż spoglądała na mnie prowokująco z billboardu reklamującego oranżadę). Przekładając w biurze dokumenty, próbowałem zająć się czymś, lecz ból wciąż narastał i w końcu byłem zmuszony przyznać, że zamiast zapominać o Fiisun, myślę o niej coraz bardziej obsesyjnie.

Na przekór oczekiwaniom wspomnienia nie słabły wraz z upływem czasu i nie sprawiały, że moje cierpienie stawało się łatwiejsze do zniesienia. Każdy kolejny dzień zaczynałem z nadzieją, że okaże się lepszy od poprzedniego, że uda mi się choć trochę zapomnieć o Fiisun, ale zaraz czułem, że ból się nie zmniejszył, że nadal jak kopcząca lampa naftowa pokrywa sadzą mój umysł i duszę. Jakże chciałem choć odrobinę mniej o niej myśleć, uwierzyć, że z czasem uda mi się całkowicie zapomnieć! Chwile, gdy o niej nie myślałem, zdarzały się niezmiernie rzadko, a właściwie niemal w ogóle ich nie było. Bywały co najwyżej momenty przejściowe, szczęśliwe, lecz bardzo krótkie, gdyż zaraz po jedno-, góra dwuminutowej chwili zapomnienia kopcząca lampa zapalała się znowu, jak automatyczne światło na klatce schodowej, i zatruwała swym czarnym dymem moje wnętrzości, tamowała mi oddech i zmieniała moją egzystencję w pasmo cierpień, których pokonywanie wymagało nieustannego wysiłku.

W najgorszych momentach pragnąłem rzucić wszystko, wyzalić się komuś, rozmówić się wreszcie z Fiisun albo wyładować swą złość na kimś, kto sprawił, że byłem tak wściekle zazdrosny. Za każdym razem, gdy spotykałem w biurze Kenana, z całych sił starałem się panować nad sobą, mimo to jednak natychmiast ogarniała mnie niepohamowana zazdrość. Choćbym przyjął, że nic nie łączyło go z Fiisun, już samo to,

że podczas przyjęcia zaręczynowego przystawiał się do niej, a ona, chcąc mnie sprowokować, również okazywała mu zainteresowanie, wystarczyło, bym go znienawidził. Koło południa przyłapywałem się na szukaniu pretekstu do zwolnienia go z pracy. Tak, był przebiegły, co do tego nie miałem wątpliwości. Myśl, że podczas przerwy obiadowej pójde do mieszkania w kamienicy Zmiłowanie i z nadzieją, niewielką co prawda, będę czekał na Fiisun, uspokajała mnie. Lecz po południu, gdy znowu się nie pojawiła, z przerażeniem uświadamiałem sobie, że dłużej nie wytrzymam tego oczekiwania, że Fiisun następnego dnia również nie przyjdzie i będzie znacznie gorzej niż dziś.

Jeszcze jedna myśl nie dawała mi wtedy spokoju: jak Fiisun znosi to cierpienie, które stało się moim udziałem? A może nie cierpiała tak mocno jak ja? Musiała kogoś sobie znaleźć, inaczej by tego nie wytrzymała. Radość z seksu, którą poznała siedemdziesiąt cztery dni wcześniej, na pewno dzieliła teraz z kimś innym... A ja, dręczony niewyobrażalnym bólem, leżałem na łóżku jak trup, jak ostatni głupek i czekałem na nią! Nie, nie byłem głupi. Po prostu zostałem oszukany. Byliśmy razem tacy szczęśliwi, łączyła nas miłość, zatańczyliśmy ze sobą na zaręczynach, wiele ryzykując, i wtedy obiecała mi, że następnego dnia po egzaminach przyjdzie do mnie. Jeżeli miała do mnie żal, że się zaręczyłem, jeżeli zdecydowała się na rozstanie — nie twierdę, że nie miała ku temu podstaw — dlaczego skłamała? Ból zmienił się w złość, chęć rzucenia jej w twarz, że się pomyliła. Wyobraziłem sobie, jak to już nieraz robiłem, że się kłócimy, lecz na wspomnienie spędzonych z nią pełnych szczęścia chwil, ożywających mi przed oczami jak obrazy utraconego raj, powoli zaczynałem mięknąć. Zrewidowałem więc w myślach jeszcze raz argumenty, których zamierzałem użyć. Musi powiedzieć mi prosto w oczy, że mnie

porzuciła. Jeśli egzaminy źle jej poszły, to nie moja wina. Jeśli zamierzała mnie porzucić, powinna była mi o tym powiedzieć. Czyż sama nie mówiła, że będzie się ze mną spotykała do końca życia? Powinna dać mi ostatnią szansę, znalazłbym jej kolczyk i przyniósł go na spotkanie. Czy sądzi, że inni mężczyźni będą ją kochać równie mocno jak ja? Czując, że koniecznie muszę z nią porozmawiać, zerwałem się z łóżka i wybiegłem z mieszkania.

## 30. NIE MA HİSUN

Niemal pędem ruszyłem do mieszkania rodziców Fiisun. Jeszcze zanim doszedłem do sklepu Alaaddina na rogu, na myśl, że wkrótce ją ujrzę, poczułem wzbierającą we mnie niepomowaną euforię. Uśmiechając się do kota, który w lipcowym upale ucinał sobie drzemkę w zacienionym kącie, zadawałem sobie w duchu pytanie, dlaczego wcześniej nie wpadłem na pomysł, by po prostu ich odwiedzić. Ból, który przed chwilą doskwierał mi w górnej części brzucha po lewej stronie, od razu złągodniał, a słabość nóg i uczucie ciężaru na plecach znikły. Lecz w miarę zbliżania się do ich domu narastała we mnie obawa, że nie zastanę Fiisun. Serce waliło mi jak oszalałe — co mam powiedzieć, jeśli drzwi otworzy jej matka, co powiedzieć? Przyszło mi na myśl, że może powinienem wrócić i zabrać dziecinny rowerek. Nie, to nie miało sensu, gdy się zobaczymy, od razu stanie się jasne dla nas obojga, że niepotrzebny nam żaden pretekst. Jak duch wślizgnąłem się w chłód klatki schodowej niewielkiego budynku przy ulicy Kuyulu Bostan, jak lunatyk wszedłem na drugie piętro i nacisnąłem dzwonek.



Co bardziej ciekawscy zwiedzający mogą nacisnąć ten oto przycisk i wyobrazić sobie, jak na dźwięk bardzo modnego w tamtych czasach w Turcji dzwonka imitującego ptasi świergot moje serce, trzepocąc się jak ptak, w jednej chwili podchodzi mi do gardła.

Drzwi otworzyła jej matka. Na widok stojącego w mrocznym korytarzu zziąjanego nieznajomego skrzywiła się, jakby stanął przed nią akwizytor. Zaraz jednak rozpoznała mnie i jej twarz pojaśniała. Dodało mi to otuchy, i ściskanie w żołądku lekko złagodniało.

— Ach, to pan, panie Kemal, proszę wejść!

— Przechodziłem obok i postanowiłem wstąpić, ciociu Nesibe — powiedziałem tonem dzielnego młodzieńca ze słuchowiska radiowego. — Dowiedziałem się, że Fiisun już nie pracuje w sklepie. Jestem ciekaw, jak poszły jej egzaminy wstępne. Nie zadzwoniła do mnie.

— Ach, mój drogi Kemal, wejdź, muszę ci się wyzalić.

Nie rozumiałem, co takiego ma na myśli. Przekroczyłem próg mrocznego mieszkania, którego moja matka, mimo zawsze podkreślanego pokrewieństwa i tylu lat korzystania z krawieckich usług matki Fiisun, nigdy nie odwiedziła. Fotele w pokrowcach, stół, bufet, a na nim bombonierka, zestaw kryształowych szklanek do herbaty, na telewizorze figurka śpiącego psa... Wszystkie te przedmioty wydały mi się piękne, bo miały swój udział w powstaniu tak cudownej istoty jak Fiisun. W kącie dostrzegłem nożyczki krawieckie, ścinki materiałów, różnobarwne nici, szpilki i skrojone części szytej właśnie sukienki. Najwyraźniej ciocia Nesibe nadal trudniła się krawiectwem. Czy Fiisun była w domu? Chyba nie, lecz wyczuwalne w zachowaniu jej matki oczekiwanie, połączone z wyrachowaniem, jakby na coś liczyła, pozwalało żywić pewną nadzieję.

— Proszę usiąść, panie Kemal — powiedziała. — Zaparzę kawę. Jesteś taki błądy. Odpocznij sobie. A może chcesz się napić zimnej wody?

— Fiisun nie ma w domu? — niecierpliwie rzuciłem skrzekliwym ptasim głosem; kompletnie zaschło mi w gardle.

— Niece, nie ma jej — odpowiedziała kobieta takim tonem, jakby mówiła: żebyś ty wiedział, co się tu wyprawia! — Jaka kawę pan sobie życzy? — spytała, przechodząc z „ty” na „pan”.

— Średnio słodką.

Teraz, po latach, jestem przekonany, że poszła do kuchni, by przygotować nie kawę, lecz odpowiedź na moje pytanie. Wtedy się tego nie domyśliłem, gdyż choć wszystkie moje zmysły były maksymalnie wyczulone, umysł jednak koncentrował się na zapachu Fiisun, którym przesiąknięte było mieszkanie, i na nadziei jej ujrzenia. Niecierpliwy trzepot dochodzący z klatki skrzydlatego znajomego z butiku Champs Elysees, kanarka Cytrynki, działał jak balsam na moje udręczone serce, ale nie pozwalał mi się skupić. Na stoliku przede mną leżała linijka, którą podarowałem Fiisun jako pomoc do nauki geometrii, trzydziestocentymetrowa, krajowej produkcji, drewniana, z pomalowaną na biało krawędzią. Najwyraźniej ciocia Nesibe posługiwała się nią przy szyciu. Wziąłem linijkę do ręki, przytknąłem do nosa. Przypomniła mi się zapach Fiisun i w jednej chwili ujrzałem ją przed sobą. Czyżbym miał się rozpłakać? Na odgłos kroków wracającej do pokoju ciotki wsunąłem linijkę do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Ciocia Nesibe postawiła na stoliku przede mną filiżankę z kawą i usiadła naprzeciwko. Ruchem, który przywodził na myśl jej córkę, zapaliła papierosa.

— Fiisun źle poszło na egzaminach, panie Kemal — powiedziała, zdecydowawszy się w końcu, jak ma się do mnie zwracać. — To bardzo przykre. Wyszła w połowie z płaczem,

nawet nie pytaliśmy o wyniki. Była kompletnie roztrzęsiona, biedactwo, nie będzie mogła studiować. Z tego wszystkiego rzuciła pracę w sklepie. Korepetycje z matematyki, których jej pan udzielał, były dla niej wyczerpujące, zbyt wiele pan od niej wymagał. Zaręczynowe przyjęcie też się na niej odbiło. Na pewno wie pan o tym... Oczywiście nie ma w tym żadnej pańskiej winy. Ale to jeszcze dziecko, jest taka wrażliwa. Ma dopiero osiemnaście lat. Jest załamana. Ojciec zabrał ją daleko, bardzo daleko stąd. Niech pan o niej zapomni. Ona też zapomni o panu...

Dwadzieścia minut później znów leżałem na łóżku w mieszkaniu w kamienicy Zmiłowanie i patrzyłem w sufit, czując, jak co jakiś czas spływają mi po policzku pojedyncze, gorące łzy. Przypomniałem sobie o linijce. Tak, w dzieciństwie miałem podobną i być może dlatego podarowałem ją Fiisun. (Ta szkolna linijka jest jednym z pierwszych oryginalnych eksponatów w moim muzeum). Powoli wsunąłem do ust jej koniec oznaczony liczbą trzydzieści. Smakowała gorzkawo, mimo to nie wyjmowałem jej przez dłuższą chwilę. Następne dwie godziny spędziłem w łóżku, bawiąc się linijką, żeby przypomnieć sobie chwilę, kiedy ona jej używała. Bardzo dobrze mi to zrobiło, poczułem się szczęśliwy, jakbym naprawdę spotkał się z Fiisun.

## 31. UUCE, KTÓRE MI O NIEJ PRZYPOMINAŁY

Zdałem sobie sprawę, że będę mógł powrócić do dawnego życia tylko wtedy, gdy ułożę sobie program zapominania o Fiisun. Nawet najmniej spostrzegawczy pracownicy firmy zauważyli już, że ich szef jest stale przygnębiony. Matka podejrzewała, że między mną a Sibel są jakieś nieporozumienia, brała mnie na spytki, by dowiedzieć się, o co poszło, a podczas rzadkich wspólnych kolacji zaczęła mnie napominać, tak samo jak ojca, żebym tak dużo nie pił. Wraz z moim cierpieniem rosła ciekawość Sibel i jej zatroskanie, wszystko wskazywało, że wkrótce, jak się tego obawiałem, może dojść do wybuchu. Bałem się, że stracę oparcie w Sibel, bez której nie wydobędę się z kryzysu, w jakim się znalazłem, i pogubię się do reszty.

Ostatkiem woli zabroniłem sobie chodzić do kamienicy Zmiłowanie, czekać na Fiisun i próbować ją sobie przypominać dzięki zgromadzonym tam przedmiotom. Próbowałem te zakazy stosować już wcześniej, stale je jednak łamałem pod różnymi pretekstami — na przykład postanowiłem kupić Sibel kwiaty, w gruncie rzeczy tylko po to, by móc przejść obok

butik Champs Elysees i zajrzeć przez szybę do środka. Ale razem z Sibel byłem zdecydowany podjąć bardziej radykalne kroki i usunąć z mapy mojego umysłu pewne miejsca i ulice, choć odegrały one tak ważną rolę w moim życiu.

Tutaj właśnie eksponuję nowy plan Nişantaşı, który wówczas starałem się wytworzyć w swojej głowie i zaakceptować. Zabroniłem sobie całkowicie wstępu na ulice oznaczone kolorem czerwonym. Na mojej mapie butik Champs Elysees, położony w pobliżu skrzyżowania alej Teşvikiye i Valikonagi, odcinek alei Teşvikiye, gdzie znajdowała się kamienica Zmiłowanie, posterunek policji i sklep Alaaddina były oznaczone na czerwono. Nakazałem sobie omijać także ulicę Emlak, przez mieszkańców Nişantaşı nazywaną potocznie ulicą, gdzie jest posterunek, która potem została przemianowana na ulicę Celala Salika, by w końcu zostać aleją Abdiego Ipekci, a także ulicę Kuyulu Bostan, przy której mieszkała Fiisun, i wychodzące na te dwie ulice wszystkie uliczki boczne. W miejscach oznaczonych kolorem pomarańczowym było mi wolno pojawić się jedynie w razie pilnej potrzeby i pod warunkiem, że nie byłem pijany; mogłem przejść przez nie, idąc na skróty, ale powinienem był zrobić to niemal biegiem, w czasie nie dłuższym niż jedna minuta, i opuścić je tak szybko, jak to tylko możliwe. W strefie pomarańczowej, gdzie w razie nieuwagi groził mi atak miłosnego bólu, znajdowały się nasz dom i meczet Teşvikiye. Powinienem był uważać również w miejscach oznaczonych kolorem żółtym. Trasa, którą codziennie pokonywałem, idąc z Satsat na schadzkę w kamienicy Zmiłowanie, ulice, którymi Fiisun wracała po pracy do domu (stałe wyobrażałem sobie, którą szła), pełne były pułapek, niebezpiecznych wspomnień, w każdej chwili gotowych wzmóc moje cierpienia. Mogłem się tamtędy poruszać, ale z zachowaniem dużej ostrożności. Oznaczyłem też inne miejsca, które odegrały jakąś

rolę w moim krótkim związku z Fiisun, na przykład pustą parcelę, na której zarzynano ofiarnego barana, czy miejsce na dziedzińcu meczetu, gdzie stała, gdy ją z daleka obserwowałem. Mapę tę miałem zawsze rozłożoną w głowie. Omijałem zakazane miejsca i wierzyłem, że dzięki tej ostrożności uda mi się powoli wyjść z choroby.

## 32. WIDMA FUSUN

Niestety, ograniczenie wstępu do miejsc, w których spędziłem całe życie, trzymanie się z dala od przedmiotów, które mogły mi przypominać o Fiisun, wcale nie sprawiły, że o niej zapomniałem. Teraz zaczęło mi się bowiem wydawać, że dostrzegam ją, jakbym widział ducha, w ulicznym tłumie, wśród gości na przyjęciach.

Pierwsze wstrząsające zdarzenie tego typu nastąpiło na promie samochodowym, gdy pod koniec lipca jechałem odwiedzić rodziców, którzy na lato przenieśli się do Suadiye. Płynący z Kabatas, prom przybijał do przystani w Uskiidar i właśnie uruchomiłem, tak jak pozostali niecierpliwi kierowcy, silnik samochodu, kiedy na przeznaczonym dla pieszych pasażerów bocznym trapie ujrzałem Fiisun. Gdybym natychmiast wysiadł z auta i pobiegł za nią, zdażyłbym ją dogonić, bo klapa umożliwiająca zjazd samochodów z promu jeszcze nie opadła, lecz wtedy zablokowałbym drogę innym kierowcom. Serce waliło mi jak młotem. Wyskoczyłem z samochodu. Już miałem ją zawołać najgłośniej, jak potrafiłem, gdy z rozczaro-

waniem spostrzegłem, że postać, która znalazła się w moim polu widzenia, ma od pasa w dół figurę znacznie masywniejszą niż moja ukochana, a jej twarz przybrała rysy zupełnie obcej kobiety. Przez następne dni wciąż na nowo, w zwolnionym tempie, odtwarzałem obraz tych paru sekund, podczas których przeszywający mnie ból zamienił się w radosne podniecenie, i zacząłem szczerze wierzyć, że kiedyś, w podobnych okolicznościach rzeczywiście ją spotkam.

Kilka dni później postanowiłem trochę się rozerwać i poszedłem do kina Konak. Wdrapując się powoli po szerokich schodach, spostrzegłem Fiisun parę stopni wyżej. Długie, ufarbowane na blond włosy, smukła sylwetka najpierw wprawiły w drżenie moje serce, a potem w ruch moje nogi. Jak we śnie podbiegłem do niej i chciałem zawołać, lecz zorientowawszy się w ostatniej chwili, że to jednak nie ona, nie wydobyłem z siebie głosu.

Na Beyoglu — dokąd zapuszczałem się częściej, ponieważ ryzyko, że wspomnienia powrócą, było tu mniejsze — wytrąciło mnie z równowagi odbicie Fiisun w szybie sklepowej galerii. Tam zobaczyłem ją też innym razem — szła swoim charakterystycznym, lekko podskakującym krokiem w tłumie ludzi udających się na zakupy albo do kina. Pobiegnąłem za nią, lecz zniknęła mi z oczu. Nie byłem pewien, czy rzeczywiście widziałem ją, czy była to tylko fatamorgana, którą podsunął mi udręczony umysł, dlatego przez kilka następnych dni o tej samej porze spacerowałem tam i z powrotem między meczetem Aga a kinem Saray — na próżno. Potem usiadłem w jakiejś piwiarni przy oknie i popijając piwo, gapiłem się na ulicę i przechodzących obok ludzi.

Te niezwykle spotkania były niekiedy bardzo krótkie. Na przykład fotografia, na której widać biały zarys postaci Fiisun



na placu Taksim, jest dowodem złudzenia trwającego nie dłużej niż dwie sekundy.

W tym czasie zacząłem dostrzegać, ile młodych kobiet fryzurą i sylwetką przypomina Fiisun, ile ciemnowłosych tureckich dziewcząt farbuję włosy na blond. Ulice Stambułu wypełniał tłum pojawiających się na kilka sekund i znikających zjaw o wyglądzie Fiisun. Lecz gdy przyjrzałem się którejś z nich z bliska, nie dostrzegałem już żadnego podobieństwa. Któregoś razu w Klubie Alpinisty grałem z Zaimem w tenisa i nagle zobaczyłem Fusun, jak siada przy stoliku z dwiema innymi dziewczynami, śmieje się, pije oranżadę Zefir. Zaskoczyło mnie nie to, że ją widzę, lecz to, że w ogóle przyszła do klubu. Kiedy indziej zjawą wraz z tłumem wysiadających z promu z Kadikoy przeszła mostem Galata, machając ręką, by zatrzymać któryś z przejeżdżających dolmuszy. Po pewnym czasie moje serce i umysł przyzwyczały się do tych miraży, kiedy więc ujrzałem ją w kinie Saray na balkonie, w przerwie między dwoma seansami, jak siedzi cztery rzędy ode mnie i z dwiema młodszymi siostrami ze smakiem liże lody czekoladowe, nie dopuściłem do głosu logiki, podpowiadającej, że Fusun nie ma przecież siostr, rozkoszowałem się ile mogłem kojącym cierpienie złudzeniem i starałem się nie myśleć, że ta dziewczyna to wcale nie Fusun i że nie jest nawet do niej podobna.

Widziałem ją również przed wieżą zegarową przy pałacu Dolmabahçe i na bazarze w Beşiktaşu — w rękach miała siatki z zakupami i wyglądała jak zwyczajna pani domu, najbardziej jednak zaskoczył mnie, wręcz mną wstrząsnął, widok Fusun wyglądającej z okna trzeciego piętra pewnej kamienicy w Gumugsuyu. Stałem na chodniku i wpatrywałem się w nią — zjawą Fusun wyczuła mój wzrok i również na mnie spojrzała. Wtedy pomachałem do niej ręką, a ona odpowiedziała

mi tym samym. Lecz po ruchach dłoni od razu poznałem, że to nie jest moja Fiisun, i zawstydzony, szybko się oddaliłem. Potem wyobrażałem sobie, że być może jej ojciec wydał ją za męża, aby o mnie zapomniała, i gdzieś tam zaczęła nowe życie, ale mimo to wciąż pragnie mnie zobaczyć.

Z wyjątkiem krótkiej chwili podczas pierwszego takiego zdarzenia, paru sekund, które rzeczywiście obudziły we mnie nadzieję, zawsze czułem gdzieś w głębi duszy, że te wszystkie zjawy nie są Fiisun, lecz jedynie wytworami mojego znękanego umysłu. Jednak ujrzeć ją niespodziewanie przed sobą było tak przyjemnie, że zacząłem specjalnie chodzić w zatłoczone miejsca, gdzie mógłbym znowu napotkać jej sobowtóra. Miejsca te również oznaczyłem na mapie Stambułu<sup>1</sup>, którą nosiłem w głowie. Nogi same prowadziły mnie tam, gdzie najczęściej widywałem postaci, które brałem za Fiisun. W ten sposób całe miasto wypełniły znaki przypominające mi o ukochanej.

Ponieważ zjawy dostrzegałem wtedy, gdy szedłem zamyślony, z wzrokiem utkwionym w dal, zacząłem poruszać się właśnie w ten sposób. Sobowtóry Fiisun, ubrane w rozmaite stroje, widywałem nawet w obecności Sibel, gdy bawiliśmy się w nocnych klubach i gdy piłem zbyt dużo *raki* na przyjęciach, ale zaraz przypominałem sobie, że przecież jestem zaręczony, i szybko brałem się w garść, z obawy, że jeśli zareaguję zbyt emocjonalnie, wszystko się wyda. Zresztą niemal natychmiast orientowałem się, że to nie ona. W tym miejscu eksponuję widoki plaż w Kilyos i Şile, gdzie ubrana w kostium kąpielowy lub bikini, ukazywała mi się w tłumie wstydliwych dziewcząt i młodych kobiet, gdy w letnie dni tuż przed południem z upału i zmęczenia nie potrafiłem już na niczym skupić uwagi ani logicznie myśleć. Dostrzegałem wzruszające podobieństwo między jej wrażliwością a nieśmiałością ludzi na plaży, którzy wciąż czuli się skrępowani widokiem siebie i innych

w strojach kąpielowych, choć od powstania Republiki i reform Atatiirka minęło już kilkadziesiąt lat.

Gdy tęsknota stawała się nie do zniesienia, zostawiałem Sibel i Zaima bawiących się plażową piłką, kładłem się gdzieś dalej na piasku i pozwalałem słońcu, by wypaliło moje stwardniałe z braku miłości, toporne ciało. I gdy zerkałem kątem oka na plażę i pomosty, nagle wydawało mi się, że biegnąca w moją stronę dziewczyna to Fiisun. Dlaczego ani razu nie pojechałem z nią na plażę do Kilyos, choć tak tego chciała?! Dlaczego nie poznałem się na wartości tego skarbu, którym obdarzył mnie Bóg? Kiedy znów ją zobaczę? Leżałem na piasku i chciało mi się płakać, ale nie mogłem, bo wiedziałem, że to wszystko moja wina, więc tylko z rozpaczyny wtulałem głowę w piasek.

### 33. POSPOLITE ROZRYWKI

Życie toczyło się gdzieś poza mną, straciło barwy i dawną siłę, przedmioty zostały pozbawione swej mocy i prawdziwości, którą w nich kiedyś wyczuwałem (nie zdając sobie, niestety, sprawy, co wyczuwam). Wiele lat później, gdy do reszty zagrzebałem się w książkach, w dziele francuskiego poety Gerarda de Nerval'a znalazłem słowa najlepiej oddające poczucie powszedniości, zwyczajności, którego wówczas doznawałem. W książce zatytułowanej *Aurelia* autor, uświadomiwszy sobie, że na zawsze już utracił swą miłość, zanim w końcu z rozpacz się powiesił, zanotował, że odtąd jego życie będzie się składało z „pospolitych rozrywek”. Ja czułem się dokładnie tak samo, nie mogłem się uwolnić od wrażenia, że każdy dzień bez Fiisun jest pospolity, zwyczajny, pozbawiony sensu, ogarniała mnie złość na ludzi i rzeczy, na wszystko, co wywoływało we mnie to poczucie. Mimo to nie traciłem wiary, że kiedyś odnajdę Fiisun, porozmawiam z nią, może nawet ją obejmę, i ta myśl trzymała mnie przy życiu, gotowego na dobre i złe, z drugiej jednak strony, czego później miałem żałować, przedłużała moje cierpienie.

W trakcie jednego z tych okropnych dni, w zbyt gorący lipcowy ranek, zadzwonił mój brat i najzupełniej słusznie rozgniewany, powiedział mi, że pan Turgay, z którym robiliśmy bardzo udane interesy, jest rozżalony, gdyż nie zaprosiłem go na moje zaręczyny (Osman dowiedział się od matki, że kazałem usunąć z listy gości niektóre nazwiska), i zamierza wycofać się z kontraktu na eksport bielizny pościelowej, naszego wspólnego przedsięwzięcia. Uspokoiłem go natychmiast, oświadczając, że porozmawiam z panem Turgayem i postaram się załagodzić sprawę.

Natychmiast zadzwoniłem i umówiłem się na spotkanie. Następnego dnia przed południem, w morderczym skwarze, jechałem samochodem do wielkiej fabryki pana Turgaya w Bahcelievler, mijając po drodze odrażające dzielnice wypełnione nowo wznoszonymi, coraz brzydszymi blokami, magazynami, fabrykami, hałdami odpadków, a ból wydawał mi się nie do zniesienia. Zapewne brał się z tego, że zaraz miałem się spotkać z kimś, kto, jak sądziłem, może mi coś powiedzieć o Fiisun. Lecz tak jak to robiłem w innych wypadkach (na przykład podczas rozmowy z Kenanem albo spotkania na ulicy z panią Şenay), starałem się ukryć radosne podniecenie i wmawiałem sobie, że jadę tam jedynie w sprawach służbowych. I gdybym siebie tak mocno o tym nie przekonywał, to „służbowe” spotkanie z panem Turgayem byłoby na pewno bardziej udane.

To, że fatygowałem się ze Stambułu, by go osobiście przeprosić, mile połechtало dumę pana Turgaya i nieco go udobruchało. Przyjął mnie bardzo uprzejmie i po przyjacielsku wprowadził po tkalniach, gdzie pracowały setki dziewcząt (widok stojącej przy maszynie tkackiej, odwróconej plecami kolejnej widmowej Fiisun przyprawił mnie o szybsze bicie serca i przygotował do zasadniczego tematu spotkania), po nowoczesnym budynku zarządu i higienicznie urządzonej kantynie. Chciał

się przy tym nie tyle pochwalić, ile dać do zrozumienia, że współpraca z nim może być dla nas bardzo korzystna. Zaproponował, byśmy na zgodę zjedli razem obiad w kantynie, jak to zwykle robił razem z robotnikami, ja uznałem jednak, że to za mało jak na przeprosiny, i powiedziałem, że powinniśmy razem wypić co nieco i szczegółowo omówić w cztery oczy ważne sprawy. Jego pospolita wąsata twarz nie okazywała, że rozumiał moją aluzję do Fiisun, a ponieważ nadal nie poruszyłem tematu niezaproszenia go na zaręczyny, oświadczył z godnością: „Nieuwaga ludzka rzecz, zapomnijmy o tym”. Tym razem ja udałem, że nie rozumiem, i zmusiłem tego porządne- go, całym sercem oddanego pracy człowieka do zaproszenia mnie na obiad do jednej z rybnych restauracji w Bakirkóy. Gdy tylko wsiedliśmy do jego mustanga, natychmiast przyszło mi na myśl, że to na tych fotelach tyle razy całował Fiisun, ich czułości odbijały się w lusterku i szybkach wskaźników, tu ja, niespełna osiemnastoletnią, miętosił, obmacywał. Zastanawiałem się, czy to możliwe, by Fiisun do niego wróciła. Wiedziałem, że powinienem się wstydzić tych myśli, siłą woli starałem się pamiętać, że ten człowiek najprawdopodobniej nie ma o niczym pojęcia, ale nie panowałem nad sobą.

W restauracji usiedliśmy, dwaj koszmarni faceci, naprzeciwko siebie i gdy spojrzałem z bliska na jego wielkie dziurki w nosie, zachłanne usta, owłosione dłonie, którymi rozkładał serwetkę na kolanach, poczułem, że sprawy przyjmują niepo- myślny obrót, gdyż ból oraz zazdrość zbyt mnie przytłaczają i nie zdołałem wziąć się w garść. Pan Turgay zwracał się do kelne- ra protekcjonalnie per „słuchaj no, chłopcze”, wystudionym ruchem hollywoodzkiego aktora przykładając do ust serwetkę, jakby nakładał opatrunek. Opanowałem się jednak i udało mi się zachować spokój do połowy obiadu. Niestety, *raki*, którą pi- łem, by zapanować nad szalejącym we mnie demonem, demo-

na tego uwolniła, i gdy pan Turgay w niezwykle uprzejmy sposób wyjaśniał, że przeszkody, jakie napotykał eksport pościeli, zostały usunięte, pomiędzy współnikami nie ma już nieporozumień i sprawy pójdą teraz gładko, przerwałem mu, mówiąc:

— Nieważne, czy interesy idą dobrze, ważne, byśmy my byli dobrymi ludźmi.

— Panie Kemal — powiedział, zerkając na szklaneczkę *raki*, którą trzymałem w ręku — ogromnie szanuję pana, pańskiego ojca, całą waszą rodzinę. Wszystkim nam zdarzały się trudne dni. W tym pięknym, lecz biednym kraju bycie bogatym to łaska, którą Bóg obdarza jedynie wybranych, i powinniśmy mu być za to nieskończenie wdzięczni. Nie wywyższajmy się, lecz módlmy. To jedyna droga ku byciu dobrym.

— Nie wiedziałem, że z pana taki pobożniś — zauważyłem z ironią.

— Miły panie Kemal, czymże wobec pana zawiniłem?

— Złamał pan serce młodej dziewczyny z mojej rodziny, panie Turgayu, potraktował ją pan podle, próbował zdobyć za pieniądze. Fiisun, która pracowała w butik Champs Elysees, to moja bardzo, bardzo bliska krewna ze strony matki.

Twarz mu poszarzała, spuścił wzrok. I w tym momencie zrozumiałem, że jestem zazdrosny nie o to, że był przede mną ukochanym Fiisun, lecz o to, że potrafił wygasić miłosny żar i wrócić jak gdyby nigdy nic do zwyczajnego mieszczańskiego życia.

— Nie wiedziałem, że to pańska krewna — oświadczył zdumiewająco pewnym głosem. — Wstyd mi za to. Jeżeli z tego powodu pańska rodzina nie chciała mnie widzieć i dlatego nie zostałem zaproszony na zaręczyny, w pełni to rozumiem. Pański ojciec i brat też są tego zdania? Co w związku z tym powinniśmy zrobić, zakończyć współpracę?

— Lepiej ją zakończmy — odpowiedziałem i natychmiast pożałowałem tych słów.

— W takim razie to wy jesteście stroną, która zrywa umowę  
— oświadczył, zapalając czerwone marlboro.

Do bólu dołączył wstyd z powodu popełnionego błędu. Byłem porządnie pijany, mimo to usiadłem za kierownicą, by wrócić do domu. Od czasu gdy skończyłem osiemnaście lat, jazda po Stambule, zwłaszcza drogą nadbrzeżną i wzdłuż Murów Teodozjusza, sprawiała mi ogromną przyjemność, lecz tym razem przecucie nadchodzącej katastrofy zamieniło ją w istną torturę. Miasto straciło swą urodę, a ja wciskałem gaz, by uciec od jego brzydoty. Gdy mijałem przejścia dla pieszych przy Nowym Meczece w Eminónu, niewiele brakowało, a potrąciłbym jednego z przechodniów.

Znalazłszy się z powrotem w biurze, uznałem, że najlepsze, co w tej sytuacji mogę zrobić, to przekonać Osmana i siebie samego, że zakończenie współpracy z panem Turgayem nie jest niczym strasznym. Wezwałem Kenana, który znał szczegóły przetargu wygranego wspólnie przez nasze firmy. Wyjaśniłem mu pokrótce, że pan Turgay z powodów osobistych zachowuje się wobec nas bardzo grubiańsko. Wysłuchał mnie z ostentacyjnym zainteresowaniem. Potem spytałem, czy damy radę sami wywiązać się ze zobowiązań. Stwierdził, że to niemożliwe, i zapytał, w czym jest problem. Powtórzyłem, że nasze drogi z panem Turgayem muszą się rozejść.

— Panie Kemal, tego powinniśmy unikać za wszelką cenę!  
— przekonywał.

— Czy rozmawiał pan na ten temat ze swoim bratem? —  
Tłumaczył, że zerwanie umowy będzie miało poważne skutki nie tylko dla Satsat, lecz także dla innych naszych spółek, jeżeli bowiem nie zapewnimy dostaw towaru w terminie, grozi nam sprawa przed sądem w Nowym Jorku i wysoka kara.  
— Czy pański brat wie o zaistniałym problemie? — spytał raz jeszcze. Wydaje mi się, że wyczuł woń *raki* walącą z moich



ust jak dym z komina, dlatego pozwolił sobie przyjąć pozę za troskania nie tylko sprawami spótki, lecz także moją osobą.

— Teraz nie mamy już odwrotu — oświadczyłem. — Musimy radzić sobie bez pana Turgaya, i tyle!

Kenan nie musiał mi mówić, sam wiedziałem, że to niemożliwe. Ale głos rozsądku w mojej głowie jakby zaniemógł, a mną zawładnął demon dążący do kłótni, konfrontacji, skandalu. Raz po raz Kenan powtarzał, że powinienem porozmawiać z bratem.

Tą popielniczką z logo Satsat i biurowym zszywaczem, które w tym miejscu eksponuję, nie wałęnałem Kenana w łeb, ale przyznaję, miałem na to dużą ochotę. Z zaskoczeniem stwierdziłem, że jego komiczny, moim zdaniem, krawat ma ten sam kolor i deseń co popielniczka.

— Panie Kenanie, niech pan nie zapomina, że pracuje pan u mnie, a nie u mojego brata! — krzyknąłem do niego.

— Panie Kemalü, bardzo proszę bez takich uwag, mam tego pełną świadomość — odparł z pewnością siebie. — Na przyjęciu zaręczynowym sam pan mnie przedstawił bratu i odtąd spotykam się z nim. Jeżeli nie powiadomimy go o tak ważnej sprawie, będzie miał do nas pretensje. Pański brat wie, że ostatnio coś niedobrego się z panem dzieje, i chce panu pomóc, tak samo zresztą jak my wszyscy.

„Tak jak my wszyscy” — te słowa doprowadziły mnie do szału. Chciałem natychmiast go zwolnić, ale zbijała mnie z tropu jego stanowczość. Jakaś wciąż sprawnie działająca część mojego umysłu podpowiadała mi, że zaślepiony miłością i zazdrością, nie potrafię prawidłowo ocenić sytuacji. Miotałem się z bólu jak schwyte w potrzask zwierzę i aż za dobrze zdawałem sobie sprawę, że jedyne, co może mnie uratować, to widok Fiisun. Nic poza tym mnie nie obchodziło, wszystko inne było pozbawione sensu, pospolite.

## 34. JAK ŁAJKA W KOSMOSIE

Ujrzałem jednak nie Fiisun, ale Sibel. Ból się nasilił i opanował mnie do tego stopnia, że gdybym został sam w biurze, podczas gdy wszyscy rozejdą się do domów, czułbym się jak pies Łajka wystrzelony w małej kapsule w bezkresny mrok kosmosu. Zapraszając Sibel do biura, miałem wrażenie, że wróciliśmy do przedzaręczynowych zwyczajów seksualnych. Moja narzeczona o dobrym sercu użyła perfum marki Sylvie, które tak lubiłem, włożyła rajstopy imitujące pończochy kabaretki i pantofle na wysokich obcasach — wiedziała, że to mnie podnieca. Sądząc, że przezwyciężyłem zły nastrój, pojawiła się, pełna radości. Nie mogłem jej powiedzieć, że jest wręcz przeciwnie, że wezwałem ją, chcąc przytulić się do niej jak dziecko do matki, by choć na chwilę uwolnić się od dręczących mnie ponurych myśli. Sibel, równie ochoczo jak kiedyś, posadziła mnie na kanapie i udając głupiutką sekretarkę, powoli się rozebrała, by w końcu z uśmiechem usiąść mi na kolanach. Nie będę opisywał, jakiej ulgi doznałem, czując zapach jej włosów i szyi, bliskość jej ciała, które wywoływało we mnie

swojskie wrażenie, że jestem w domu, bezpieczny. Nie będę tego czynił, gdyż czujni i dociekliwi czytelnicy mogliby pomyśleć, że zaraz potem uprawialiśmy seks, i byłiby rozczarowani, ponieważ tak się nie stało. Sibel też była rozczarowana. Ja zaś, przytuliwszy się do niej, poczułem się tak błogo, że uspokojony, zapadłem w głęboki sen, podczas którego przyśniła mi się Fiisun.

Obudziłem się zlany potem. Oboje z Sibel leżeliśmy przytuleni do siebie. Zamyśleni, milczący, ja z poczuciem winy, szybko ubraliśmy się w półmroku. Wnętrze biura jak dawniej, w szczęśliwych czasach, rozświetlały światła przejeżdżających samochodów i fioletowe rozbłyski iskier strzelających z pantografów trolejbusów.

Nie dyskutując, dokąd pójść, skierowaliśmy się do Foyer i gdy w gwarnej, rozświetlonej restauracji siadaliśmy przy naszym stoliku, jeszcze raz pomyślałem, jaka urocza jest Sibel, jaka piękna i jakże wyrozumiała. Przez godzinę rozmawialiśmy o tym i owym, żartowaliśmy z nieco już podchmielonymi znajomymi, dowiedzieliśmy się od kelnera, że byli tu Nurcihan i Mehmet, lecz niedawno wyszli. Chwile milczenia wskazywały jednak, że nasze myśli zaprzętał zasadniczy temat, przed którym nie mogliśmy uciec. Kazałem otworzyć drugą butelkę wina. Sibel również sporo dziś piła.

— Powiedz mi wreszcie — odezwała się w końcu — o co chodzi? No, dalej...

— Żebym ja to wiedziała... Jakby jakaś część mojego umysłu nie chciała nic o tym wiedzieć, niczego rozumieć.

— Czyli, jak twierdzisz, ty sam też nie wiesz?

— Tak.

— A mnie się wydaje, że wiesz lepiej ode mnie — powiedziała z uśmiechem.

— Na przykład co?

— Niepokoi cię, co ja myślę na temat twojego problemu?  
— spytała.

— • Boję się, że mogę nie poradzić sobie z tym problemem i przez to cię stracić.

— Nie bój się — oświadczyła. — Jestem cierpliwa i bardzo cię kocham. Jeśli wolisz o tym nie mówić, nie mów. Nie pomyślałam sobie nie wiadomo czego, więc bez obaw. Mamy czas.

— Jakież to „nie wiadomo co” miałybyś sobie pomyśleć?

— Na przykład, że jesteś homoseksualistą — odrzekła z uśmiechem, wyraźnie chcąc mnie uspokoić.

— Dziękuję uprzejmie. I co jeszcze?

— Nie sądzę też, by chodziło o chorobę weneryczną albo jakiś głęboki uraz z dzieciństwa czy coś podobnego. Myślę jednak, że przydałaby ci się pomoc psychologa. Szukać pomocy u specjalisty to żaden wstyd. W Europie, Stanach wszyscy to robią... Oczywiście musiałybyś mu wyznaczyć to, czego nie chcesz wyznaczyć mnie... No dalej, kochanie, powiedz, nie bój się, wybaczę ci wszystko.

— Boję się — powiedziałem. — Zatańczymy?

— W takim razie zgadzasz się, by istniało coś, o czym ty wiesz, a ja nie wiem.

— *Mademoiselle*, proszę nie odrzucać mojego zaproszenia do tańca!

— Ach, *monsieur*, z jakże trudnym człowiekiem jestem zaręczona — westchnęła i wstaliśmy, by zatańczyć.

Wspominam o tych szczegółach, ponieważ pokazują one specyficzny język, jakim się między sobą porozumiewaliśmy, dziwną więź, intensywne uczucie bliskości — nie wiem, czy używam właściwego słowa — jaka zrodziła się między nami, gdy w tamte gorące lipcowe wieczory bawiliśmy się i piliśmy na przyjęciach, w nocnych klubach i restauracjach, których menu i szklanki tutaj eksponuję. Bliskość ta, choć wpływają-

ca nie z miłości fizycznej, lecz z głębokiej sympatii i czułości, nie była kompletnie pozbawiona elementu cielesnego przyciągania, o czym mogą zaświadczyć ci, którzy z zazdrością obserwowali, jak porządnie już pijani tańczymy o północy. Gdy w wilgotne letnie noce przechadzaliśmy się wśród drzew, których liści nie poruszał najmniejszy powiew wiatru, a z oddali dobiegały dźwięki granego przez orkiestrę przeboju *Róże i usta* lub muzyki puszczanej przez didżeja (w owych czasach było to w Turcji nowe zjawisko), obejmowałem moją narzeczoną tak jak wtedy, gdy leżeliśmy na kanapie w biurze, i ogarniało mnie poczucie bezpieczeństwa, radość z posiadania kogoś bliskiego, z kim mogłem dzielić życie; wciągałem w płuca kojącą woń jej ciała i włosów i docierało do mnie, że nie mam podstaw, by czuć się samotny jak pies wystrzelony w rakiecie w kosmos, gdyż Sibel zawsze będzie ze mną, i zamroczony, przytulałem się do niej. Tańcząc po pijanemu na oczach innych romantycznych par, z trudem trzymaliśmy się na nogach, parę razy niewiele brakowało, a wyrócilibyśmy się na ziemię. Ten stan dziwnego upojenia, pozwalający oderwać się od realnego świata, bardzo przypadł Sibel do gustu. Miała wrażenie, że nasze życie nabiera pewnej głębi — gdy na ulicach Stambułu komuniści i nacjonaliści zabijają się nawzajem, mnożą się napady na banki, wybuchają bomby, kawiarnie są ostrzeliwane z broni maszynowej, my wskutek jakiegoś tajemniczego problemu zapominamy o całym świecie.

Gdy wróciliśmy do stolika, kompletnie pijana próbowała dalej drażnić temat, lecz im dłużej mówiła, tym mniej rozumiała, za to sytuacja stawała się dla niej coraz łatwiejsza do zaakceptowania. Zabiegi Sibel sprawiły, że moje dziwne zachowanie, smutek, niechęć do uprawiania z nią seksu zostały zamienione w coś w rodzaju przedmałżeńskiej próby przywiązania i czułości oraz zredukowane do drobnej tragedystyki, niewiele

znaczącego problemiku, który zostanie szybko zapomniany. Paradoksalnie, dzięki mojemu bólowi mogliśmy różnić się od naszych bogatych, lecz powierzchownych znajomych, z którymi pływaliśmy motorówkami po Bosforze. Nie musieliśmy dołączać do tych, którzy pod koniec przyjęcia skakali po pianemu z pomostu do wody, bo z powodu mojego dziwnego zachowania już byliśmy odmieńcami. Godność, z jaką Sibel podchodziła do mego bólu, napawała mnie szczęściem, a to jeszcze silniej nas ze sobą wiązało. Lecz gdy na mojej twarzy z niepokojem i przykrością dostrzegała dziwny wyraz, który pojawiał się jako reakcja na dobiegający z oddali rozdzierający dźwięk syreny jednego ze starych promów linii miejskich, albo gdy w tłumie dostrzegłem kogoś, kogo brałem za Fiisun, przeczuwała, że czające się w mroku niebezpieczeństwo jest większe, niż sądziła.

Przecucia te spowodowały, że psychoanaliza, która na początku była jedynie przyjacielską, wynikającą z troski propozycją, pod koniec lipca stała się warunkiem *sine qua non*, który przyjąłem, by nie stracić mej cudownej towarzyszkii i jej czułej opieki. Znany turecki psychiatra i psychoanalityk, którego wspomnianą wcześniej złotą myśl na temat miłości uważni czytelnicy zapewne zapamiętali, powrócił właśnie z Ameryki i za pomocą muszki i fajki starał się skłonić wąski krąg stambulskiej socjety do poważnego traktowania jego zawodu. Gdy wiele lat później zakładałem moje muzeum i odwiedziłem go, by poprosić o podarowanie mi do kolekcji owej muszki oraz fajki, a przy okazji zapytać, co pamięta z tamtych czasów, stwierdziłem, że doktor nie przypomina sobie żadnej z moich ówczesnych rozterek, a co więcej, nie ma pojęcia o bolesnych przeżyciach, które miały stać się moim udziałem, a o których głośno było w stambulskim towarzystwie. Wspominał mnie jako człowieka zdrowego, który podobnie jak wielu jego owcze-

snych pacjentów zapukał do drzwi gabinetu wiedziony czystą ciekawością. Mnie zaś utkwiły w pamięci nalegania Sibel, która chciała wybrać się tam ze mną, jak matka prowadząca syna do lekarza, i uparcie powtarzała: „Będę siedziała w poczekalni, kochanie”, lecz ja nie zgodziłem się, żeby mi towarzyszyła. Wykazując zdroworozsądkowe podejście, charakterystyczne dla burżuazji z krajów niezachodnich, a zwłaszcza muzulmańskich, Sibel uważała psychoanalizę za rytuał naukowego zwierzenia się, wynaleziony na potrzeby ludzi z Zachodu, którzy nie wiedzą, jaką uzdrawiającą moc ma wsparcie rodziny i dzielenie się własnymi sekretami z innymi. Gdy po krótkiej rozmowie o tym i owym oraz wypełnieniu niezbędnych formularzy doktor zapytał, jaki mam problem, przez moment miałem ochotę odpowiedzieć, że czuję się samotny jak pies wystrzelony w rakiecie w kosmos. Ale zamiast tego powiedziałem, że nie mogę się kochać z moją piękną i atrakcyjną narzeczoną. Wtedy zapytał mnie o przyczyny braku ochoty na seks (spodziewałem się, że on mi to wyjaśni). Nawet teraz, po latach, gdy przypomnę sobie swoją odpowiedź, pierwszą, jaka przyszła mi do głowy, chce mi się śmiać, choć znajduję w niej też ziarno prawdy: „Chyba boję się życia, panie doktorze”.

Psychiatra, do którego więcej nie poszedłem, żegnając się ze mną, rzucił na koniec: „Niech pan się nie boi życia, panie Kemal!”.

## 35. ZACZĄTEK MOJEJ KOLEKCJI

Słowa psychiatry dodały mi zwodniczej odwagi. Ze zbytnią pewnością siebie uznałem, że moja choroba odpuszcza, i nabrałem ochoty na spacer oznaczonymi na czerwono ulicami, na które wstępu tak długo sobie zabraniałem. Przez pierwsze minuty, gdy minąłem sklepik Alaaddina, wchłaniałem zapach miejsc, do których w dzieciństwie chodziłem z mamą na zakupy, i czułem się tak dobrze, że byłem pewien, iż rzeczywiście przestałem się bać życia, a moja choroba minęła. Wiedziony nadmiernym optymizmem, wmówiłem sobie, że jeśli przejdę obok butiku Champs **Elysées** i nie poczuję bólu, będzie to oznaczało, że wszystko wróciło do normy. To był błąd. Wystarczyło ujrzeć butik z daleka, bym znowu przestał nad sobą panować.

Ból tylko czekał, by przejść do ataku i zatruć mi duszę. Rozpaczliwie szukając jakiegoś sposobu na stłumienie go, pomyślałem natychmiast, że Fiisun może być w sklepie. Serce zaczęło mi szybciej bić. W jednej chwili opuściła mnie cała pewność siebie, zmieszany, przeszedłem na drugą stronę ulicy



i przez szybę wystawową zairzałem do środka: Fiisun tam była! Bliski omdlenia, ruszyłem w stronę drzwi i już miałem wejść do środka, gdy zorientowałem się, że znów zobaczyłem ducha; to nie była ona, lecz przyjęta do pracy inna dziewczyna! Nogi się pode mną ugięły. Życie, jakie wiodłem, bawiąc się i tańcząc w klubach i na przyjęciach, w jednej chwili wydało mi się niewiarygodnie zakłamane i pospolite. Na całym świecie była tylko jedna jedyna osoba, z którą powinienem teraz być i tulić ją do siebie, jeden punkt, wokół którego powinno się obracać moje życie, a wszelkie próby zajęcia myśli czym innym, skupianie się na pospolitych rozrywkach oznaczało brak szacunku zarówno dla siebie samego, jak i dla niej. Poczucie winy, wymieszane z żalem, jakie stało się moim udziałem po zaręczynach, osiągnęło niewiarygodne rozmiary. Zdradziłem Fiisun! Powinienem był myśleć wyłącznie o niej. Musiałem jak najszybciej znaleźć się w miejscu, gdzie byłbym najbliżej niej.

Dziesięć minut później leżałem na łóżku w mieszkaniu w kamienicy Zmiłowanie i starałem się odnaleźć jej zapach, który przeniknął do pościeli, poczuć ją w sobie, stać się nią. Zapach stracił intensywność, ulotnił się. Z całej siły wtuliłem się w łóżko. Gdy ból stał się nie do zniesienia, wziąłem do ręki stojącą na stoliku szklaną kulę — przycisk do papieru. Na jej powierzchni pozostał ten wyjątkowy zapach dłoni, skóry Fiisun; wąchałem go, czując, jak przyjemnie wnika przez nos i usta do płuc. Leżałem długo, wdychając tę woń i bawiąc się kulą. Potem obliczyłem, że podarowałem ją Fiisun podczas naszego spotkania drugiego czerwca. Nie zabrała jej, jak zresztą wielu innych upominków ode mnie, by nie budzić podejrzeń matki.

Sibel powiedziałem, że wizyta u psychiatry przedłużyła się, niczego mu nie wyznałem, lekarz nie jest w stanie w niczym mi pomóc i więcej do niego nie pójde, lecz mimo to teraz czuję się nieco lepiej.

Wizyta w kamienicy Zmiłowanie, leżenie na łożku i zabawa kulą przyniosły mi ulgę. Jednak już półtora dnia później dręczący ból powrócił. Po trzech dniach znowu poszedłem do mieszkania matki i leżąc na łożku, jak dziecko wkładające do buzi nową zabawkę, przykładałem sobie do ust, do skóry inny przedmiot, którego dotykała Fiisun: pędzelek ze śladami różnokolorowych farb. Ból ucichł na krótko. Uzależniłem się od tych przynoszących mi pocieszenie przedmiotów jak od narkotyku, jednocześnie jednak zdawałem sobie sprawę, że to uzależnienie wcale nie pomoże mi zapomnieć o Fiisun.

Wizyty w kamienicy Zmiłowanie trzymałem w tajemnicy przed Sibel, a także poniekąd przed samym sobą. Udawałem, że spędzane tam co dwa, trzy dni godzina, czasem dwie nie istniały, i czułem, że moja choroba powoli słabnie, staje się coraz łatwiejsza do zniesienia. Na początku nie patrzyłem na rozmaite przedmioty, jak pozostała po dziadku półka na turban, fez, który Fiisun dla żartu czasem wkładała na głowę, albo buty mojej matki, przymierzała okiem kolekcjonera (obie nosiły ten sam rozmiar, trzydzieści osiem), taksując je. Były dla mnie raczej tym, czym są lekarstwa dla chorego. Potrzebowałem rzeczy, które kojarzyły mi się z Fiisun, aby ukoić ból, lecz gdy przestawał mi dokuczać, pragnąłem uciec od nich, od tego mieszkania, gdzie wszystko przypominało mi o mojej chorobie. Bywały chwile, gdy pełen optymizmu stwierdzałem, że choroba mija. Dodawało mi to odwagi i nabierałem przekonania, że wrócę do dawnego życia. Z radością, ale i z bólem wyobrażałem sobie, że wkrótce znów będę w stanie kochać się z Sibel, potem pobierzemy się i rozpoczniemy normalne, szczęśliwe pożycie małżeńskie.

Te chwile optymizmu nie trwały jednak długo. Nie miają nawet jeden dzień, a tęsknota przeradzała się w ból, który dwa dni później zmieniał się w niewyobrażalne cierpienie,

i wtedy znowu musiałem iść do mieszkania matki w kamienicy Zmiłowanie. Gdy tylko przekraczałem jego próg, sięgałem po przedmioty, które przypominały mi szczęśliwe chwile, kiedy to ja i Fiisun siedzieliśmy obok siebie: filiżankę do herbaty, zapomnianą spinkę, linijkę, grzebień, gumkę myszkę, długopis, albo też wśród zgromadzonych tu przez matkę starych, nieprzydatnych rzeczy starałem się odszukać te, które Fiisun brała do ręki, którymi się bawiła, pozostawiając na nich ślad swojego zapachu. Związane z nimi wspomnienia ożywały kolejno przed moimi oczami i w ten sposób powiększałem swoją kolekcję.

## 36. W POSZUKIWANIU NADZIEI NA UKOJENIE

List, który tu eksponuję, napisałem w owych pamiętnych dniach, gdy zdobyłem pierwsze eksponaty do mej kolekcji. Powodem, dla którego pozostawiam go w zaklejonej kopercie, jest zarówno chęć skracania wydłużającej się opowieści, jak i wciąż odczuwany, także teraz, po dwudziestu latach, gdy tworzę swoje muzeum — wstyd. Gdyby bowiem czytelnik lub zwiedzający zapoznał się z jego treścią, dowiedziałby się, że ukorzyłem się przed Fiisun. Wyznawałem w nim, że źle wobec niej postąpiłem, że bardzo tego żałuję i straszliwie cierpię, że miłość to święte uczucie i jeżeli Fiisun zechce do mnie wrócić, jestem gotów rozstać się z Sibel. Natychmiast pożałowałem, że tak to ująłem — powinienem był oświadczyć, że bezwarunkowo zostawię Sibel. Nie mogłem się jednak na to zdobyć, bo przecież jeszcze tego samego wieczoru zalałem się w trupa i tylko u Sibel mogłem szukać pocieszenia! List, którego treść była mniej ważna niż sam fakt jego napisania, znalazłem dziesięć lat później w szafie Fiisun i nie mogłem się nadziwić, jak bardzo starałem się wtedy oszukać samego siebie. Z jednej

strony próbowałem ukryć przed samym sobą siłę miłości, jaką żywiłem do Fiisun, swoją bezradność, wynajdując idiotyczne poszlaki, wskazujące, że wkrótce się z nią połączę. Z drugiej — nie potrafiłem przestać wyobrażać sobie rodzinnej idylli, jaka czekała mnie w przyszłości u boku Sibel. Czy powinienem był zrobić tak, jak napisałem, to znaczy zerwać zaręczyny z Sibel i zaproponować małżeństwo Fiisun? Gdy spotkałem się z Ceydą, jej koleżanką z konkursu piękności, która zgodziła się przekazać mój list, pomyślałem ten, który przedtem — jak mi się wydawało — nawet nie powstał w mojej głowie, nabrał nagle wyrazistości.

Uwagę zwiedzających, znużonych opowieściami o mych miłosnych rozterkach, pragnę teraz skierować na ten oto efektowny wycinek z gazety. Jest to wywiad z Ceydą, opatrzony zrobionym specjalnie na konkurs jej zdjęciem. Ceyda opowiada w nim, że celem jej życia jest szczęśliwe małżeństwo z wymarzonym idealnym mężczyzną... Chcę w tym miejscu podziękować pani Ceydzie, która od samego początku znała szczegóły mojej bolesnej historii i zawsze ze zrozumieniem odnosiła się do moich uczuć, za przekazanie swego zdjęcia z młodości do mojego muzeum.

Z obawy, że list mógłby wpaść w ręce matki Fiisun, wolałem nie wysłać go pocztą, lecz przekazać ukochanej za pośrednictwem Ceydy. Moja sekretarka, pani Zeynep, pomogła mi ustalić jej numer telefonu. Gdy oświadczyłem, że chcę się z nią zobaczyć w pewnej ważnej sprawie, Ceyda nie wahała się ani chwili. Spotkaliśmy się w Macka. Poczułem, że mogę z nią rozmawiać o swoich przeżyciach bez najmniejszego skrupowania. Być może przyczyną tego była bijąca od niej dojrzałość, a może to, że wyglądała na niezwykle szczęśliwą. Zaszła w ciążę i jej chłopak o konserwatywnych poglądach, bogaty syn Sedircich, postanowił się z nią ożenić. Wkrótce miał się odbyć

ich ślub. Na pytania, czy mógłbym się spotkać z Fiisun i gdzie ona w ogóle się ukrywa, Ceyda udzielała wymijających odpowiedzi. Na pewno Fiisun zobowiązała ją do milczenia. Gdy spacerkiem szliśmy w stronę parku Taşlik, poważnym tonem rozprawiła o znaczeniu i sile miłości. Słuchałem jej, spoglądając na rysujący się w oddali meczet Dolmabahe, tak dobrze znany mi z dzieciństwa, a jednocześnie jakby wyjęty ze snu.

Nie odważyłem się wypytywać więcej o Fiisun. Ceyda miała chyba nadzieję, że rozstanę się z Sibel i ożenię z jej koleżanką, że będziemy się spotykać we czwórkę. I mnie te marzenia wydały się pociągające. W owo lipcowe popołudnie piękne widoki parku Taşlik, wspaniała panorama ujścia Bosforu, morwowe drzewa, zakochane pary pijące oranżadę Zefii<sup>1</sup> w kawiarni na świeżym powietrzu, matki z niemowlętami w wózkach, dzieci bawiące się w piaskownicy, roześmiani studenci pogryzający pestki dyni, słonecznika i prażoną ciecierzycę, gołąb i dwa wróble dziobiące wyrzucone przez nich łupinki przypominały mi o tym, o czym ostatnio zapomniałem — o zwyczajnym pięknie życia. Dlatego słowa Ceydy, że przekaże list Fiisun i że jest z całego serca przekonana, iż dostanę nań odpowiedź, wzbudziły we mnie olbrzymią nadzieję.

Ale żadna odpowiedź nie nadeszła.

Na początku sierpnia zmuszony byłem pogodzić się z tym, że mimo podjętych środków zapobiegawczych, mimo wypróbowanego systemu pocieszeń ból ani trochę się nie zmniejszył, wręcz przeciwnie, stale narastał. Gdy pracowałem w biurze, rozmawiałem przez telefon z kontrahentami, w mojej głowie nie kiełkowała żadna myśl o Fiisun, ale umiejscowiony gdzieś w brzuchu ból przybierał postać swego rodzaju myśli i jak prąd elektryczny błyskawicznie i zniemacka przesywał mi umysł. Różne zabiegi, które podejmowałem, by wzbudzić w sobie nadzieję zdolną ukoić miłosną udrękę, przynosiły z początku

ulgę, pozwalały skupić się na czymś innym, na dłuższą metę jednak okazywały się zupełnie bezskuteczne.

Zainteresowałem się przeznaczeniem, tajemniczymi znakami, horoskopami publikowanymi w prasie. Najbardziej ufałem tym zamieszczanym w rubryce „Twój zodiak, twój dzień” w gazecie „Son Posta” oraz wróżbom z czasopisma „Hayat”. „Otrzymasz dziś sygnał od ukochanej osoby” — wieszczyl czytelnikom, a zwłaszcza mnie, ich etatowy wróżbita. Podobna zapowiedź pojawiała się też w horoskopach dla innych znaków, mimo to brzmiała prawdziwie i przekonująco. Z uwagą czytałem horoskopy i wróżby, ale nie wierzyłem w gwiazdy i astrologię, nie rozmyślałem nad nimi godzinami, jak znużone panie domu. Mój problem wymagał pilnego rozwiązania. Na skrzygnięcie uchylanych drzwi natychmiast mówiłem sobie: jeżeli wejdzie kobieta, zejdziemy się z Fiisun, jeśli mężczyzna — sprawy przybiorą zły obrót.

Cały świat, ludzkie życie, wszystko aż kipiało od znaków zsyłanych nam przez Boga. Jeśli pierwszy czerwony samochód na ulicy nadjedzie z prawej strony, dostanę wiadomość od Fiisun, jeśli z lewej, będę musiał jeszcze poczekać — mówiłem sobie i siedząc w oknie Satsat, liczyłem przejeżdżające samochody. Jeśli pierwszy zejdę z promu, wkrótce zobacze Fiisun — wyskakiwałem na nabrzeże, nim jeszcze rzucono cumy, goniony okrzykami cumowniczych: „Co za osioł pcha się pierwszy!”. Słyszałem gwizd syreny i uznawałem to za dobry omen, starając się wyobrazić sobie statek. Jeśli schody na kładce dla pieszych mają nieparzystą liczbę stopni, wkrótce ujrze Fiisun — mój ból wzrastał, gdy okazywało się, że liczba stopni była parzysta, jeśli jednak wychodziło na moje, przez moment przynajmniej czułem ulgę.

Najgorzej było jednak obudzić się z bólu w środku nocy i nie móc potem zasnąć. Piłem wtedy *raki*, w poczuciu bez-

radności wychylałem jeden po drugim kilka kieliszków wódki albo wina — miałem ochotę wyłączyć swoją świadomość jak irytująco trzeszczący radioodbiornik. Nieraz o północy, trzymając w jednym ręku szklanekę *raki*, drugą stawiałem sobie pasjansa kartami z podniszczonej talii należącej do mojej matki. Kilka nocy spędziłem na rzucaniu po tysiącuroć kośćmi do gry, sporadycznie używanymi przez ojca; po każdym rzucie powtarzałem sobie, że to już ostatni. Gdy porządnie się upiłem, zaczynałem czerpać z bólu dziwną przyjemność, z idiotyczną dumą nabierałem przekonania, że moja historia to idealny temat dla książek, filmów, oper.

Pewnej nocy w letnim domu w Suadiye znowu obudziłem się kilka godzin po przyłożeniu głowy do poduszki i nie mogąc zasnąć, zszedłem po cichu na pogrążony w ciemności taras od strony morza. Położyłem się na leżaku i wdychając zapach sosen, podziwiając migocące światła Wysp Książęcych, starałem się zdrzemnąć.

— Ty też nie możesz spać? — usłyszałem szept ojca. W ciemności nie zauważyłem, że zajął leżak obok.

— Ostatnio zdarzają mi się bezsenne noce — odszepnąłem, jakbym się usprawiedliwiał.

— Nie przejmuj się, to minie — powiedział ojciec z czułością. — Jesteś młody. Nie obawiaj się, jeszcze za wcześnie na to, by strapienia nie dawały ci zasnąć. Ale gdy ma się tyle lat co ja i jest czego w życiu żałować, siedzi się i liczy gwiazdy do samego rana. Pamiętaj, nie rób niczego, czego miałbyś później żałować!

— Dobrze, tato — odpowiedziałem i poczułem, że zaraz zasnę, zapominając choć na chwilę o dręczącym mnie bólu.

W tym miejscu eksponuję kołnierz pizamy, którą mój ojciec miał na sobie owej nocy, oraz niezmiennie wzbudzający we mnie smutek jeden jego ranny pantofel.



Nie wspomniałem dotąd o pewnym moim ówczesnym przyzwyczajeniu — być może nie wydawało mi się ważne, albo też obawiałem się zbyt wiele stracić w oczach moich czytelników i zwiedzających muzeum. Teraz jednak krótko je zasygnalizuję, by opowieść stała się bardziej zrozumiała. Otóż podczas przerwy obiadowej moja sekretarka, pani Zeynep, wychodziła z innymi pracownikami firmy na lunch, a ja wtedy zazwyczaj wykręcałem numer telefonu Fiisun. Odbierał jednak ktoś inny, co oznaczało, że nadal nie wróciła, jej ojca też nie było w domu. Za każdym razem słuchawkę podnosiła ciocia Nesibe, najwidoczniej szyjąca w domu, mimo to wciąż żywiłem nadzieję, że pewnego dnia usłyszę Fiisun. Nie odzywałem się, czekałem cierpliwie, a nuż cioci wymsknie się coś na temat córki albo w tle rozlegnie się głos dziewczyny. Zadzwoić i milczeć przez kilka pierwszych chwil było łatwo, o wiele trudniej przychodziło mi panowanie nad sobą, gdy cisza się przeciągała i ciocia Nesibe zaczynała mówić. Wpadała bowiem w popłoch, natychmiast okazywała ogarniający ją strach, gniew, niepokój — jej reakcja zapewne przypadłaby do gustu telefonicznemu zбочeńcowi. Wyrzucała z siebie ciąg nie kończących się okrzyków: „Halo, halo, kto dzwoni, kto tam, z kim chcesz rozmawiać, na miłość boską, odezwij się, halo, halo, kto tam, po co dzwonisz?!”, i nie przychodziło jej do głowy, by od razu odłożyć słuchawkę albo przynajmniej nie czekać, aż ja to zrobię. Na moje telefony reagowała jak zahipnotyzowany oślepiającymi go reflektorami zając. Po pewnym czasie zacząłem odczuwać smutek i bezradność, aż w końcu wyzbyłem się nawyku telefonowania.

Po Fiisun wciąż nie było śladu.

## 37. PUSTE MIESZKANIE

Pod koniec sierpnia, gdy bociany niezliczonymi stadami ciągnęły ponad Bosforem, naszym domem w Suadiye i Wyspami Książęcymi na południowy wschód, do Afryki, pod wpływem usilnych prośb przyjaciół postanowiliśmy, jak co roku o tej porze, nim ojciec i matka wrócą z letniska, urządzić w naszym mieszkaniu przy alei Teşvikiye przyjęcie na pożegnanie lata. Gdy Sibel z zapałem robiła zakupy, przestawiała meble, rozkładała zwinięte na lato i posypane naftaliną dywany, ja, zamiast jej pomagać, znów wykreśliłem numer telefonu rodziców Fiisun. Niepokoiłem się, gdyż od kilku dni wydzwaniałem do nich często i długo, lecz nikt nie podnosił słuchawki. Tym razem rozległ się przerywany dźwięk oznaczający zawieszoną linię. Promieniujący z brzucha ból ogarnął całe moje ciało i umysł.

Po dwunastu minutach, przemierzywszy oznaczone pomarańczowym kolorem zakazane ulice, od których tak długo udawało mi się trzymać z daleka, zbliżałem się do domu Fiisun przy ulicy Kuyulu Bostan. Spojrzałem z dołu w okna — nie było w nich zasłon. Zadzwoiłem do drzwi — nikt nie

otwierał. Zacząłem walić w nie pięściami, ale nadal pozostały zamknięte. Wydawało mi się, że zaraz umrę.

— Kto tam? — z sutereny dobiegł głos starej dozorczydni.

— Aha, ci spod trójki, nie ma ich, wyprowadzili się.

Okłamałem ją, że jestem zainteresowany wynajmem. Weisnąwszy staruszce dwudziestolirowy banknot, dostałem zapasowy klucz i wszedłem do mieszkania. Mój Boże! Jak mam opisać bolesną samotność pustych pokoi, ślady zniszczenia widoczne na popękanych i rozbitych kafelkach w kuchni, na obtłuczonej wannie w łazience, w której moja zaginiona ukochana kąpała się przez całe swoje życie, napawający ją lękiem piecyk gazowy, wbite w ściany gwoździe i cienie pozostawione przez wiszące na nich przez dwadzieścia lat lustra i obrazki? Starałem się zachować w pamięci zapach pozostały po Fiisun w pokojach emanujących jej obecnością, rozkład tego mieszkania, gdzie spędziła wszystkie lata, które ją ukształtowały. Oderwałem wielki kawał tapety i zabrałem ze sobą. W małym pokoju, który, jak sądziłem, należał do Fiisun, odkręciłem klamkę i wyobrażając sobie, że dotykała jej przez osiemnaście lat, schowałem do kieszeni. W łazience wisząca na końcu łańcuszka od spłuczki porcelanowa rączka sama została mi w rękę, gdy ją chwyciłem.

Z usypanego w kącie stosu papierów i różnych szpargałów wygrzebałem rękę zepsutej lalki, dużą marmurkę\* oraz kilka szpilek do włosów, które bez wątpienia należały do Fiisun. Włożyłem je do kieszeni i poczuwszy ulgę na myśl, że gdy zostanę sam, przyniosą mi nieco pocieszenia, zapytałem dozorczynię, dlaczego po tylu latach lokatorzy się wyprowadzili. Odpowiedziała, że od dawna kłócili się z właścicielem mieszkania o wysokość czynszu.

\* Marmurka — kula z miki do gry w kulki.

— Albo to w innych dzielnicach czynsze są niższe?! — zachnąłem się i dodałem, że pieniądze tracą wartość, a ceny stale rosną. — Dokąd się wyprowadzili?

— Nie wiem — powiedziała dozorczyńni. — Byli źli na właściciela, na nas wszystkich, i wyprowadzili się bez słowa. Po dwudziestu latach!

Dławiło mnie poczucie bezradności. Zrozumiałem, że wciąż gdzieś w głębi duszy miałem nadzieję, iż pewnego dnia przyjdę tu, zapukam do drzwi, skruszony wejść do środka i ujrzeć Fiisun. Teraz to ostatnie pocieszenie — marzenie o spotkaniu jej, zostało mi odebrane. Trudno mi było się z tym pogodzić.

Osiemnaście minut później leżałem na łóżku w kamienicy Zmiłowanie i próbowałem ukoić ból przedmiotami zabranymi z opuszczonego mieszkania. Gdy trzymałem w dłoniach rzeczy, których Fiisun dotykała i dzięki którym stała się taka, jaka była, głaskałem je, oglądałem, przykładałem do szyi, ramion, nagiej piersi, brzucha, zebrane w nich wspomnienia z kojącą siłą ogarniały mą duszę.

## 38. PRZYJĘCIE NA POŻEGNANIE LATA

W jakiś czas potem, nie wstępując już do biura, wróciłem do domu przy alei Tešvikiye, prosto na przyjęcie.

— Chciałam się ciebie o coś zapytać w związku z szampanem — powitała mnie Sibel. — Dzwoniłam kilkakrotnie do firmy, za każdym razem odpowiadali mi, że cię nie ma.

Bez słowa przemknąłem do swojego pokoju. Leżałem na łóżku i przekonany, że wieczór okaże się okropny, ponuro rozmyślałem nad bezmiarem własnego nieszczęścia. Uważałem za poniżające wyobrażanie sobie Fiisun i szukanie pocieszenia w bawieniu się związanymi z nią przedmiotami, ale jednocześnie otwierało to przede mną wrota innego świata, w którym tak bardzo pragnąłem się znaleźć. Czułem, że nie będę w stanie odegrać na potrzeby przygotowywanego przez Sibel z taką starannością przyjęcia roli zdrowego, bogatego, inteligentnego, wesołego, umiejącego cieszyć się życiem mężczyzny. W dodatku zdawałem sobie sprawę, że goszcząc we własnym domu przyjaciół, nie mogę zachowywać się jak wiecznie naburmuszony, gniewny dwudziestolatek, mający w pogardzie wszystko

i wszystkich. Sibel, która wiedziała, że cierpię na nienazwaną chorobę, mogła tolerować moje humory, ale nie żądni rozrywki goście zaproszeni na pożegnalne letnie przyjęcie.

Gdy o siódmej pojawili się pierwsi z nich, jak przystało na dobrego gospodarza, pokazałem im bar zapełniony markowymi alkoholami z przemytu, sprzedawanymi spod lady w stambulskich knajpach, i zaproponowałem drinki. Puściłem kawałki z płyty *Sergeant Pepper*, której okładka bardzo mi się podobała, oraz piosenki Simona i Garfunkela. Roześmiany, zatańczyłem z Sibel i Nurcihan. Okazało się, że przyjaciółka Sibel ostatecznie wybrała Mehmeta, czym Zaim wydawał się wcale nie przejmować. Sibel wyznała mi, marszcząc brwi, że jej zdaniem Nurcihan przespała się z Zaimem, lecz ja, nie mogąc pojąć, dlaczego to tak irytuje moją narzeczoną, nawet nie starałem się jej zrozumieć. Świat był taki piękny, wiejący w letni wieczór od Bosforu *poiraz*\* szeleścił liśćmi platanów rosnących na dziedzińcu meczetu — ten przyjemny, łagodny dźwięk pamiętałem jeszcze z dzieciństwa. W zapadającym zmroku jaskółki, świergocąc, śmigały nad meczetem i dachami starych kamienic z lat trzydziestych. Ściemniało się i coraz wyraźniejszy stawał się odblask telewizorów w oknach tych mieszkańców Nişantaşı, którzy nie wyjechali na lotnisko; na jednym z balkonów stała znudzona młoda dziewczyna, na innym przygnębiony starszy mężczyzna w zamyśleniu obserwował przez chwilę ruch na głównej ulicy. A ja przyglądałem się temu widokowi, jakbym przyglądał się własnym uczuciom, pełen obaw, że nigdy nie zdołam zapomnieć o Fiisun. Siedziałem na balkonie w wieczornym chłodzie, z uśmiechem przysłuchując się opowieściom każdego, kto zdecydował się mi towarzyszyć, i piłem na umór.

\* *Poyraz* — suchy i chłodny wiatr wiejący z północnego wschodu.

Zaim przyszedł z miłą dziewczyną, wręcz promieniejącą szczęściem, gdyż udało jej się uzyskać znakomity wynik na egzaminie wstępnym na studia. Miała na imię Ayşe, rozmawiałem z nią. Potem napiłem się z chłopakiem jednej z koleżanek Sibel, nieśmiałym facetem, który zajmował się importem skór i miał mocną głowę.

— Jak ty się zachowujesz?! — powiedziała Sibel, gdy zapadła miękka jak aksamit ciemność. — Wejdz wreszcie do środka!

Obejmując się z całych sił, przytuleni, odtńczyliśmy nieszczęsny, lecz sprawiający niezwykle romantyczne wrażenie taniec. W pogrążonym w półmroku salonie, gdzie wyłączono część lamp, w mieszkaniu, w którym wyrosłem, atmosfera była inna, inne były kolory, wszystko zdawało się mówić, że mój świat wymyka mi się z rąk. W tańcu z całej siły przytulałem się do Sibel. Teraz, gdy lato dobiegało końca, mój letni smutek i postępujące uzależnienie od alkoholu udzieliły się po części mojej kochanej narzeczonej i Sibel, tak samo jak ja, z trudem utrzymywała się na nogach.

Jak by to określił redaktor plotkarskiej rubryki, „w późnych godzinach nocnych, pod wpływem alkoholu” impreza wymknęła się spod kontroli. Rozbijano szklanki i butelki, rysowano płyty gramofonowe, niektóre pary (zapewne pod wpływem przeczytanych w europejskich czasopismach opisów skandali z życia artystów i wyższych sfer) zaczęły ostentacyjnie się całować, a inne wręcz wymykały się do pokoju mojego lub brata, przypuszczalnie z zamiarem uprawiania tam seksu. W tym pragnieniu nieskrępowanej zabawy krył się żywiony przez członków naszej paczki, ludzi z bogatych rodzin, niepokój, że młodość się kończy, słabnie pęd do nowoczesności. Gdy osiem, dziesięć lat wcześniej zaczynałem organizować podobne przyjęcia pod nieobecność matki i ojca, były one wyrazem

gniewu, anarchistycznego buntu przeciwko rodzicom — moi koledzy psuli i niszczyli kosztowne urządzenia kuchenne, pijani, zaśmiewali się do rozpuku z wyciągniętych z szaf starych kapeluszy, rozpylaczy do perfum, elektrycznych łyżek do butów, muszek do wiązania pod szyją i garniturów, starając się wmówić sobie, że kieruje nimi polityczny impuls.

Z ówczesnych uczestników imprez tylko dwóch zaczęło się parać polityką na poważnie. Jeden z nich po wojskowym zamachu stanu w 1971 roku został aresztowany przez policję i, torturowany, przesiedział w więzieniu trzy lata, aż do amnestii. Potem obaj zerwali kontakty z resztą paczki, uważając nas zapewne za beztróskich, rozpuszczonych młodych burżujów.

Tym razem jednak Nurcihan, przeglądając nad ranem zawartość szaf mojej matki, robiła to nie z anarchistycznego gniewu, lecz z czysto kobiecej ciekawości, a przy tym z szacunkiem i dbałością.

— Jedziemy na plażę do Kilyos — oświadczyła poważnym tonem. — Chciałam sprawdzić, czy twoja mama nie ma jakiegoś kostiumu kąpielowego. — W jednej chwili ogarnęło mnie poczucie winy, że nie zabrałam Fiisun nad morze, choć bardzo tego chciała, i poczułem ból tak silny, że aby go wytrzymać, musiałem natychmiast położyć się na łóżku rodziców. Leżąc, patrzyłem, jak pijana Nurcihan pod pretekstem szukania kostiumu grzebie wśród przedmiotów z lat pięćdziesiątych: haftowanych pończoch mojej matki, eleganckich sznurowanych gorsetów w kolorze ziemi, nie skazanych jak dotąd na banicję do kamienicy Zmiłowanie kapeluszy i szali. W szufladzie z nylonowymi pończochami Nurcihan natrafiła na torebkę, w której moja matka, nie dowierając bankowym sejfom, schowała odpisy ksiąg wieczystych rodzinnych nieruchomości, pęki nieprzydatnych już kluczy do sprzedanych bądź wynajętych



mieszkań, wycinek z gazety sprzed trzydziestu lat, informujący o jej ślubie z ojcem, i drugi, z kolumny „Zycie towarzyskie” czasopisma „Hayat”, późniejszy o dwanaście lat, ze zdjęciem, na którym, elegancka i pewna siebie, stoi w grupie innych osób.

— Twoja matka musiała być wspaniałą, niezwykłą kobietą — stwierdziła Nurcihan.

— Ona żyje — powiedziałem, dalej leżąc na łóżku niczym kłoda. Jakże pięknie byłoby spędzić z Fiisun w tym pokoju całe życie! Nurcihan zaśmiała się dźwięcznie i zapewne ten magiczny śmiech zwabił do pokoju najpierw Sibel, a potem Mehmeta. Dziewczyny z pijacką powagą zaczęły razem grzebać w szafie. Mehmet przysiadł na łóżku, tam gdzie zwyczaj siadał ojciec, i zanim włożył ranne pantofle, w zamyśleniu wpatrywał się we własne palce u stóp. Teraz Mehmet z zachwytem i miłością obserwował Nurcihan. Po raz pierwszy zakochał się tak szybko i tak głęboko, był uszczęśliwiony, że po tylu latach znalazł wreszcie dziewczynę, z którą chciałby się ożenić. Czułem, że nie może się temu nadziwić, wręcz wstydzi się swego szczęścia. Nie zazdrościłem mu, bo wiedziałem, że jednocześnie boi się, iż zostanie zdradzony, miłość skończy się poniżeniem i pozostanie po niej tylko żal.

Sibel i Nurcihan pokazywały sobie, co znalazły w szafie — niektóre z tych rzeczy eksponuję w tym miejscu — i zaśmiewały się, by po chwili jednak upomnieć się nawzajem, że miały przecież szukać kostiumu kąpielowego.

Poszukiwania kostiumu i okrzyki „Jedziemy nad morze!” trwały do białego rana. W gruncie rzeczy nikt nie był dość trzeźwy, by prowadzić samochód. Ja i tak nie miałem zamiaru nigdzie jechać — wiedziałem, że na plaży w Kilyos ból, w dodatku połączony z alkoholem i brakiem snu, będzie zbyt morderczy, bym mógł go wytrzymać. Ociągając się, powiedziałem, że ja i Sibel dojedziemy później.

Świtało. Wyszedłem na balkon, na którym matka zwykle piła kawę i obserwowała pogrzeby, i machając ręką, zawołałem do przyjaciół na dole. Na ulicy Zaim i jego nowa dziewczyna Ayşe, Nurcihan, Mehmet oraz kilka innych osób przekrzykiwało się po pijanemu, bawiło jaskrawoczerwoną piłką plażową, która wypadała im z rąk, a wtedy wszyscy rzucali się za nią w pogoń, robiąc hałas zdolny wyrwać z najgłębszego snu całą aleję Teşvikiye. Gdy w końcu zapakowali się do samochodu Mehmeta i zamknęli drzwi, zauważyłem starszych ludzi zmierzających powoli do meczetu na poranną modlitwę. Był wśród nich dozorca z kamienicy naprzeciwko, który w okresie Nowego Roku w przebraniu Świętego Mikołaja sprzedawał bilety na loterię. Nagle samochód Mehmeta z piskiem opon gwałtownie zahamował i ruszył na wstecznym biegu, drzwi się otworzyły i z samochodu wysiadła Nurcihan. Zawołała do nas, ile sił w płucach, tak byśmy na szóstym piętrze ją usłyszeli, że zapomniała swojego jedwabnego szala. Sibel wbiegła do mieszkania, przyniosła szal i rzuciła go z balkonu. Nie zapomnę widoku fioletowej tkaniny spływającej powoli w dół, zawisającej w powietrzu jak latawiec, zwijającej się i napinającej w niemal niewyczuwalnych powiewach wiatru. Oboje obserwowaliśmy jej lot z balkonu mieszkania rodziców. To moje ostatnie miłe wspomnienie z okresu naszego narzeczeństwa.

## 39. WYZNANIE

Doszliśmy do sceny wyznania. Instynktownie cłiciałem, by wszystko w tej części mego muzeum: ramy, tła, było w chłodnym odcieniu żółci, choć owego dnia, gdy nasi przyjaciele pojechali nad morze, a ja z powrotem ległem na łóżku moich rodziców, wschodzące za wzgórzami Uskiidaru olbrzymie słońce zabarwiło sypialnię na soczyście pomarańczowy kolor. Z oddali dobiegło zwielokrotnione echem buczenie syreny przepływającego przez Bosfor pasażerskiego liniowca.

— Dalej — powiedziała Sibel, wyczuwając brak chęci z mojej strony — jedźmy za nimi, inaczej ich nie dogonimy.

Na widok mojego bezruchu, zrozumiała nie tylko, że nie pojedę nad morze (bynajmniej nie dlatego, że byłem pijany i nie mogłem w tym stanie prowadzić — to jej przez myśl nie przeszło), lecz również to, że przez moją tajemniczą chorobę znaleźliśmy się w punkcie krytycznym. Po sposobie, w jaki odwracała ode mnie wzrok, poznałem, że wolałaby raczej nie poruszać tego tematu. Ale jak zazwyczaj bywa z tymi, którzy się czegoś boją (niektórzy nazywają to odwagą), pierwsza zaczęła rozmowę.

— Gdzie się podziewałeś wczoraj po południu? — spytała nagle. I natychmiast tego pożałowała. — Jeżeli uważasz, że potem będzie ci przykro, bo mi powiedziałaś, to nie mów — dodała łagodnie.

Położyła się obok mnie na łóżku. Przytuliła się przymilnie jak kot, objęła mnie z taką czułością i bojaźliwością, że zrobiło mi się wstyd, iż za chwilę powiem coś, co ją zrani. Ale dżin miłosnego bólu wyszedł już z lampy Aladyna i wstrząsając całym moim ciałem, dawał znak, że nie zamierza pozostać moją tajemnicą.

— Pamiętasz, jak wczesną wiosną poszliśmy wieczorem do Foyer? — spytałem, ostrożnie rozpoczynając opowieść. — Zobaczyłaś na wystawie torebkę Jenny Colon, spodobała ci się, zatrzymaliśmy się na chwilę, aby ją obejrzeć.

Moja kochana narzeczona od razu zrozumiała, że nie chodzi o podrobioną torebkę, lecz o coś rzeczywistego, a przez to znacznie poważniejszego, i ze strachem otworzyła szeroko oczy, a ja kontynuowałem swą opowieść, którą czytelnicy i zwiedzający muzeum znają od pierwszego eksponatu. Aby pomóc im przypomnieć sobie moją historię, prezentuję w tym miejscu małe fotografie kilku najważniejszych przedmiotów z mojej ekspozycji.

Starałem się opowiedzieć Sibel wszystko dokładnie i po kolei. Nagle uświadomiłem sobie, że z mojej bolesnej opowieści o spotkaniu z Fiisun i późniejszych wydarzeniach bije pragnienie skruchy i pokuty, podobne do tego, które odczuwa ktoś, kto wiele lat temu spowodował straszny wypadek drogowy albo dopuścił się jakiegoś wielkiego występku. Być może jednak to odczucie wywoływałem ja sam, by zmniejszyć własną winę i dać do zrozumienia, że ta historia to już odległa przeszłość. Nie wspomniałem przecież o tak istotnym elemencie mych przeżyć, jakim była radość czerpana z seksu, starając się przed-

stawić związek z Fiisun jako przedmałżeński wyskok tureckiego mężczyzny. Na widok łez Sibel pożałowałem nie tylko tego, że zrezygnowałem z zamiaru opowiedzenia jej wszystkiego, jak było, lecz że w ogóle podjąłem ten temat.

— Jesteś wstrętny — odezwała się Sibel. Rzuciła we mnie starą, haftowaną w różę torebką, w której moja matka trzymała drobniaki, potem jednym z czarno-białych butów ojca. W obu wypadkach nie trafiła. Drobne monety rozsypały się dookoła jak odłamki rozbitej szyby. Z oczu Sibel płynęły łzy.

— Z tamtą dziewczyną dawno już zerwałem — oświadczyłem. — Ale to wszystko mnie wyczerpało... Nie chodzi zresztą o nią ani o żadną inną...

— To ta dziewczyna, która na przyjęciu zaręczynowym usiadła przy naszym stole, prawda? — Sibel nie odważyła się wymienić jej imienia.

— Tak.

— Sprzedawczyni, wstrętne, pospolite dziewuszysko! Nadał się z nią widujesz?

— Oczywiście, że nie! Zostawiłem ją, gdy zaręczyłem się z tobą. Przepadła gdzieś bez śladu. Podobno wyszła za męża (do dziś się dziwię, jak udało mi się, ot tak, rzucić to kłamstwo). Z tego właśnie powodu byłem taki nieswój po zaręczynach, ale to już minęło.

Sibel popłakała trochę, potem poszła, umyła twarz, wzięła się w garść i znowu zaczęła zadawać pytania.

— To znaczy, że nie możesz o niej zapomnieć? — moja mądra narzeczona jednym pytaniem wyraziła całą prawdę o moim położeniu.

Który mężczyzna mógłby bezlitosnym „tak” odpowiedzieć na to pytanie?

— Nie — zaprzeczyłem z wahaniem. — Żle mnie zrozumiałś. To, jak obszedłem się z tą dziewczyną, to, że zdradzałem

ciebie, kładąc tyrn samym cień na naszym związku, cała ta sytuacja mnie wyczerpała, odebrała mi radość życia.

Żadne z nas w to nie uwierzyło.

— Gdzie byłeś wczoraj po południu?

Brałem do ust przedmioty, które przypominały mi o Fiisun, przykładałem je do swojego ciała, wyobrażałem ją sobie wtedy i łzy ciekły mi z oczu — chciałbym móc o tym komuś opowiedzieć, niekoniecznie Sibel, ale komukolwiek, kto okazałby mi zrozumienie. Czułem jednocześnie, że jeśli Sibel mnie rzuci, odejdzie, nie będę w stanie dalej żyć, oszaleję. „Natychmiast się pobierzmy” — to powinienem jej powiedzieć. Wiele zgodnych małżeństw, tworzących solidne podstawy naszego społeczeństwa, zostało zawartych po to, by zapomnieć o innych, nieszczęśliwych i burzliwych związkach.

— Przed ślubem chciałem pobawić się zabawkami z dzieciństwa. Miałem na przykład kosmiczny pistolet... Okazało się, że nadal działa... Taka mnie dziwna nostalgia ogarnęła... Dlatego tam poszedłem.

— Nie powinieneś tam w ogóle chodzić! — zawołała Sibel.

— Często się tam z nią spotykałeś?

Nie czekając na odpowiedź, wybuchnęła płaczem. Objąłem ją, lecz to tylko wzmogło jej szloch. Ogarnięty silną potrzebą wspólnoty, silniejszą niż miłość, przytuliłem moją narzeczoną, do której czułem głęboką wdzięczność. Sibel, znużona długim płaczem, usnęła w końcu w moich objęciach. Po chwili zasnąłem i ja.

Gdy obudziłem się koło południa, Sibel dawno już wstała, wykapała się, umalowała, a nawet przygotowała śniadanie.

— Możesz przynieść świeży chleb ze sklepu naprzeciwko — powiedziała chłodnym tonem. — Ale jeśli ci się nie chce, zrobię tosty z wczorajszego.

— Nie, nie, już idę.

Śniadanie zjedliśmy w salonie, który po nocnej imprezie przypominał pole bitwy, przy stole, przy którym od trzydziestu lat jadali moi rodzice, siedząc naprzeciwko siebie. Z zapałem dokumentalisty eksponuję w tym miejscu bochenek chleba, dokładnie taki sam jak ten, który kupiłem wtedy w sklepie po drugiej stronie ulicy. Chciałbym przy okazji zaznaczyć, że taki chleb, czasem trochę lżejszy, czasem cięższy, od pół wieku stanowi podstawowe pożywienie milionów ludzi w Stambule. Życie składa się z nieustannych powtórzeń, ale w końcu wszystko i tak zostaje zapomniane.

Sibel wydawała się niezwykle silna i opanowana, co do dziś mnie zadziwia.

— To, co bierzesz za miłość, jest jedynie przelotnym zauroczeniem — oświadczyła stanowczo. — Wkrótce minie. Zajmę się tobą, wyciągnę cię z tego szaleństwa...

Nałożyła obficie puder, by zamaskować worki pod opuchniętymi od płaczu oczami. Jej czułość, dbałość, by nie wypowiedzieć przykrych słów, choć tak głęboko ją przecież zraniłem, sprawiły, że poczułem do niej bezgraniczną ufność. Wiedziałem, że jedynie zdecydowanie Sibel może mnie uwolnić od bólu, i postanowiłem robić potulnie wszystko, co mi każe. Przy śniadaniu, złożonym ze świeżego chleba, białego sera, oliwek i dżemu truskawkowego, oboje jednomyślnie doszliśmy do wniosku, że powinienem się wyprowadzić z tego domu i przez jakiś czas nie pojawiać się w Nişantaşı. Ogłosiliśmy całkowity zakaz wstępu na ulice oznaczone kolorem czerwonym i pomarańczowym...

Rodzice Sibel powrócili na zimę do swojego mieszkania w Ankarze. *Yah* w Anadoluhisan stał pusty. Sibel oświadczyła, że możemy w nim razem zamieszkać — jesteśmy przecież zaręczeni, więc rodzice na pewno będą na to patrzeć przez palce. Powinienem się tam natychmiast przenieść, wyzbyć

się przyzwyczajęń, które tylko wpędzają mnie w szaleństwo. Gdy pakowałem swoje rzeczy jak rozmarzone młode dziewczyny, wysyłane do Europy, by wyleczyły się z miłości, z bólem, a jednocześnie z nadzieją na wyzdrowienie, Sibel włożyła mi do walizki grube zimowe skarpetki. — Weź je ze sobą — powiedziała, co nasunęło mi myśl, że moja terapia może potrwać bardzo długo.



## 40. POCIESZENIE W WILLI NAD BOSFOREM

Ogarnięty entuzjazmem, jakbym rozpoczynał wszystko od nowa, szybko przywykłem do życia w *yah* i już w pierwszych dniach nabrałem przekonania, że pobyt tam wkrótce uwolni mnie od choroby. Choćbym nie wiem jak pijany wracał, nie wiem jak późno, nie wiem z jakiego przyjęcia, następnego ranka, gdy tylko na suficie zaczynały igrać smugi dziwnego światła, które odbite od wód Bosforu, przenikało przez okiennice, wstawałem z łóżka, czubkami palców popychałem skrzydła okiennic i z niezmiennym zachwytem podziwiałem piękno roztaczającego się z okna widoku, który wdzierał się do wnętrza i wypełniał je całe. W moim zachwycie kryła się radość z ponownego odkrywania urody życia, o której, jak sądziłem, zapomniałem. A może tylko tak sobie wmawiałem. Czasem Sibel czuła to samo co ja i podchodziła do mnie ubrana w jedwabną koszulę nocną, a każdy krok jej bosych stóp wywoływał lekkie skrzywienie drewnianej podłogi. Wtedy oboje napawaliśmy się pięknem Bosforu, pełni optymizmu patrzyliśmy na kołyszącą się na falach czerwoną rybacką łódź, na

mgłą nad mrocznymi lasami na przeciwległym, oświetlonym słońcem brzegu, na pierwszy prom do miasta, który prze-rywał niesamowitą poranną ciszę szumem rozbryzgiwanej wody, gdy płynąc na ukos przez cieśninę, walczył z silnym nurtem.

Sibel, tak samo zresztą jak ja, ze zbytnim entuzjazmem doszukiwała się w urokach życia w willi nad Bosforem skutecznego leku na moją chorobę. Gdy wieczorem, jak kochająca się, szczęśliwa para, jedliśmy tylko we dwoje kolację w wystającym nad wodę wykuszu, tuż obok, niemal ocierając się o willę, przepływał kursujący z przystani w Anadoluhisari prom linii miejskich o nazwie „Kalender”, a jego wąsaty kapitan, w czapce na głowie, który z mostka bez trudu mógł dostrzec na naszych talerzach chrupiące krewetki, bakłażany na zimno i z rusztu, biały ser, melona i *raki*, wołał do nas: „Smacznego!”. Takie zdarzenia Sibel uważała za drobne przyjemności, które miały mnie uzdrowić i uszczęśliwić. Gdy w nocy przytulała swoje cudowne, pachnące ciało do mojego, stawało się dla mnie jasne, że wypełnia ją optymistyczna wiara w terapeutyczną moc wspólnej kąpieli w Bosforze zaraz po przebudzeniu, gazety przeczytanej przy porannej herbacie i *simicie*\* w kawiarni Przyszań, doglądania rosnących w ogródku pomidorów i papryki, witania rybaków powracających koło południa z połowu i wybierania prosto z łodzi świeżych ryb, *kefala* albo *karagóza*, pluskania się w morzu w zbyt upalne wrześnieowe noce, gdy światło księżyca odbija się na falach i nawet listek nie drgnie od wiatru, a zapalone lampy ściągają w pułapkę roje ciem. Lecz miłosny ból, wciąż przesywający lewą stronę mego brzucha, drażący jak wieczny niepokój, nie pozwalał mi się kochać z Sibel.

\* *Simit* — rodzaj obwarzanka posypanego sezamem.

— Ależ kochanie, nie przed ślubem! — próbowałem obracać sprawę w żart, a moja urocza narzeczona nie dawała niczego po sobie poznać.

Tylko czasem, gdy w nocy niemal zasnąłem na pomoście, leżąc samotnie na leżaku, albo łapczywie pożerałem gotowaną kukurydzę kupioną od sprzedawcy na łodzi, czy też gdy jak młody, szczęśliwy małżonek pocałowałem ją w policzek, nim wsiadłem do samochodu, by pojechać do pracy, w oczach Sibel mogłem wyczytać kiełkującą niechęć i pogardę dla mnie. Z pewnością przyczyną było to, że nie uprawialiśmy seksu. Ale jeszcze bardziej przerażająca mogła być dla niej myśl, że jej czynione z taką miłością i wytrwałością wysiłki zmierzające do mego uzdrowienia na nic się nie zdadzą lub, co gorsza, nawet jeśli zostaną wyleczony, mogę w przyszłości utrzymywać stosunki jednocześnie z nią i z Fiisun. W tę ostatnią możliwość sam pragnąłem uwierzyć — w szczególnie trudnych momentach wyobrażałem sobie, że pewnego dnia otrzymam wreszcie wiadomość od Fiisun i znów, jak dawniej, będziemy się co dzień spotykać w kamienicy Zmiłowanie, a wtedy uwolnię się od bólu i będę mógł znowu kochać się z Sibel, z którą oczywiście się ożenię, przyjdą na świat nasze dzieci i zaczną normalne, szczęśliwe rodzinne życie.

Szczerze uwierzyć w spełnienie się tych marzeń potrafiłem, niestety, nader rzadko — gdy upiłem się na wesoło albo w momentach optymizmu wywołanego pięknem poranka. I choć przez większość czasu nie udawało mi się zapomnieć o Fiisun, tym, co doskwierało mi najmocniej, nie była jej nieobecność, lecz brak widoków na uwolnienie się od bólu.

## 41. PŁYWANIE STYLEM GRZBIETOWYM

Odkryłem przy okazji coś ważnego, co czyniło znośnymi bolesne, choć pełne mrocznego piękna wrześnie dni: pływanie stylem grzbietowym zmniejszało ból, jaki czułem w brzuchu. Wymagało to jednak odchylenia głowy do tyłu i zanurzenia jej w wodzie na tyle głęboko, by ujrzeć morskie dno, po czym wykonania kilku wyrzutów ramion bez zaczerpnięcia powietrza. Gdy w ten sposób pływałem na plecach, przecinając nurt i fale, otwierałem oczy, a wtedy widok zmieniających kolor, ciemniejących wód Bosforu budził we mnie uczucie bezkresu, tak kojąco odmienne od dręczącego miłosnego cierpienia.

Woda przy brzegu była raz głębsza, raz płytsza, dlatego nie zawsze mogłem dostrzec dno, ale oglądane z pozycji głową w dół barwy wodnej toni tworzyły jakąś tajemniczą, harmonijną jedność, która przepełniała moje serce zarówno radością życia, jak i pokorą, poczuciem, że jestem częścią jakiejś olbrzymiej całości. Czasem zauważałem zardzewiałe puszki, kapsle od oranżady, rozchylone muszle małży, a nawet wydawało mi się, że widzę duchy starodawnych wraków, i rozmyślałem

O rozległości czasu i historii, wobec których ja sam byłem nic nie znaczącym drobiazgiem. W takich chwilach dostrzegałem, ile w moim sposobie przeżywania miłości było ostentacji i pychy, pojmowałem wtedy, że ta słabość pogłębia ból zwany przeze mnie miłością, i uwalniałem się od niego. To nie on był ważny, lecz bycie częścią kipiącego gdzieś pode mną nieograniczonego, tajemniczego świata. Czułem, że wody Bosforu, wypełniające mi usta, gardło, nos, uszy, sprawiają radość także skrytym w mojej duszy dżinom harmonii i szczęścia. Gdy upojony morzem, zamaszystymi ruchami wyrzucałem za siebie ramiona, ból w brzuchu niemal zniknął, a wtedy czułem, że ogarnia mnie całego głęboka czułość dla Fiisun, i docierało do mnie, ile w moim cierpieniu było urazy i gniewu.

Gdy tak pływałem na plecach najszybciej jak mogłem, Sibel, widząc, że zbliżam się do wysyłającego ostrzegawcze sygnały radzieckiego tankowca albo jednego z promów linii miejskich, podskakiwała na pomoście i wołała do mnie ile sił w płucach, lecz jej krzyki nie docierały do mych uszu. Do kursujących między brzegami Bosforu licznych promów, międzynarodowych tankowców, frachtowców wypełnionych węglem, płaskodennych łodzi dostarczających piwo i oranżadę Zefir do nadbrzeżnych restauracji, pasażerskich motorówek podpływałem tak niebezpiecznie blisko, jakbym rzucał im wyzwanie, dlatego Sibel może i chciała zabronić mi pływania przedyah stylem grzbietowym, z głową zanurzoną pod wodą, ale nie upierała się przy tym, wiedząc, że pływanie pomaga mi ukoić ból. Za jej namową w bezwietrzne dni, gdy Morze Czarne było spokojne, jeździłem samotnie na ciche plaże Şile albo wybieraliśmy się we dwoje do którejś z odludnych zatoczek za Beykozem i tam, z głową zanurzoną w wodzie, pływałem tak daleko, jak daleko zaniósł mnie myśli. Gdy po wyjściu z wody wyciągałem się w słońcu na piasku i zamykałem oczy,

zaczynałem rozmyślać nad własnymi przeżyciami i dochodziłem do optymistycznego wniosku, że były to rzeczy mogące się przydarzyć każdemu poważnemu, uczciwemu facetowi, który namiętnie się zakochał.

Dziwne było jedynie to, że w moim przypadku, inaczej niż u innych, czas wcale nie łagodził cierpień. Wbrew temu, co Sibel mówiła mi na pocieszenie w środku nocy, w ciszy przerywanej warkotem silnika przepływającej gdzieś w oddali łodzi, mój ból nie mijał powolutku, pomalutku i to przerażało nas oboje. Czasem wydawało mi się, że gdybym uznał ten stan rzeczy za konsekwencję takiej a nie innej konstrukcji mojego umysłu albo jakiejś skazy psychicznej, byłbym w stanie się od niego uwolnić, ale ponieważ tego rodzaju myśli obnażyłyby moją słabość człowieka uzależnionego od czułości ze strony matki-anielicy-ukochanej, nie doprowadzałem swych rozmyślań do końca. Aby nie pozwolić bezsilności zapanować nade mną, starałem się uwierzyć, że zdołam pokonać ból pływaniem stylem grzbietowym. Nie miałem jednak wątpliwości, że w ten sposób tylko się oszukuję.

We wrześniu, w tajemnicy nie tylko przed Sibel, lecz także przed samym sobą, poszedłem jeszcze trzy razy do kamienicy Zmiłowanie i leżąc na łóżku, próbowałem pocieszać się znaną już czytelnikowi metodą — biorąc do ręki przedmioty, których dotykała Fiisun. Nie potrafiłem o niej zapomnieć.

## 42. JESIENNY SMUTEK

Po sztormie w początkach października woda w Bosforze tak się ochłodziła, że o pływaniu nie było już mowy, i wkrótce nie byłem w stanie dłużej ukrywać narastającego we mnie smutku. Coraz wcześniej zapadający zmrok, opadłe liście zaścielające ogród za domem i pomost, opustoszałe domy letniskowe, wyciągnięte na brzeg łodzie i rowery porzucone na ulicach, z których następnego dnia po pierwszym jesiennym deszczu zniknęli przechodnie, ściągnęły na nas głęboką melancholię, trudną do wytrzymania i dla mnie, i dla Sibel. Z niepokojem obserwowałem, jak moja narzeczona coraz gorzej znosi moją apatię, nieskrywany smutek i picie na umór każdego wieczoru.

Pod koniec października Sibel miała dość płynącej z zepsutych kranów czerwonej od rdzy wody, zaniedbanej kuchni, która zamieniła się w chłodne i mroczne pomieszczenie, przeszywającego nasze ciała zimnego jak lód wiatru, przenikającego przez niezliczone szpary i pęknięcia w ścianach. Nasi przyjaciele, którzy w ciepłe wrześnieowe noce wśród śmiechu skakali pijani z poddasza do wody, przestali nas odwiedzać, da-

jąc nam w ten sposób do zrozumienia, że w mieście zaczął się już obfitujący w liczne rozrywki sezon jesienny. Aby pozwolić zwiedzającym moje muzeum odczuć smutek tej pory roku, a jednocześnie zasygnalizować, że jesienią i zimą młodzież z bogatych rodzin uciekała od letniego trybu życia, eksponuję w tym miejscu ślimaki wypełzające na popękane wilgotne kamienie w ogródku za domem, samotną jaszczurkę, naszą czujną przyjaciółkę, która kryła się gdzieś, gdy tylko nastały deszcze.

W owe dni z całą wyrazistością pojąłem, że jeśli marzy mi się spędzenie w willi zimy tylko we dwoje, muszę poprzez seks udowodnić Sibel, że zapomniałem o Fiisun. Przymus ten sprawił, że nasze życie w sypialni o wysokim suficie, którą w chłodne dni staraliśmy się ogrzać elektrycznym piecykiem, stało się jeszcze bardziej krępujące i beznadziejne. Noce, gdy zasypialiśmy jak dawniej, obejmując się czule i serdecznie jak przyjaciele, stawały się coraz rzadsze. Oboje z Sibel potępialiśmy lekkomyślnych nieuków, którzy używając piecyków, narażali zabytkowe drewniane budowle na niebezpieczeństwo pożaru, ale gdy przyszło nam co noc dygotać z zimna, nie widzieliśmy innego wyjścia, jak podłączyć potencjalnie śmiertelne urządzenie do kontaktu. Na początku listopada, gdy wszędzie grzały już kaloryfery, a my nie mogliśmy uwolnić się od wrażenia, że coś tracimy, zaczęliśmy jeździć do miasta na jesiennie przyjęcia, uczestniczyliśmy w otwarciach nowych klubów i podziwialiśmy nowości, jakie w znanych nam miejscach wprowadzano na sezon zimowy. Pod różnymi pretekstami wybieraliśmy się do Beyoglu, by znaleźć się blisko zebranych przed kinami tłumów, a nawet odwiedzaliśmy Nişantaşi, zapuszczając się na zakazane dla mnie ulice.

Pewnego wieczoru, gdy wybraliśmy się tam z jakiegoś wymyślnego powodu, postanowiliśmy wstąpić do Foyer. Przywitaliśmy się ze starszymi kelnerami, Sadim i Haydarem, po



czym wychyliwszy na pusty żołądek po szklaneczce *raki* z lodem, zaczęliśmy, jak wszyscy w owych czasach, narzekać na bojówkarzy ze skrajnej prawicy i lewicowych ekstremistów, którzy strzelali do siebie na ulicach i rzucali bombami na prawo i lewo, popychając kraj ku katastrofie. Przy poruszaniu politycznych tematów starzy kelnerzy wykazywali jednak dużo więcej powściągliwości niż my. Gdy mimo zapraszających spojrzeń, jakie rzucaliśmy na widok znajomych twarzy wchodzących do restauracji gości, nikt nie podchodził do naszego stolika, Sibel spytała kpiąco, czemuż to straciłem humor. A ja, nie wdając się w szczegóły, powiedziałem jej, że mój brat i pan Turgay porozumieli się za moimi plecami i założywszy nową spółkę, zajęli się, już beze mnie, bardzo zyskownym eksportem pościeli, a co gorsza, zaprosili do współpracy Kenana, którego zamierzałem zwolnić, i teraz żałuję, że tego nie zrobiłem.

— Kenan... czy to nie ten Kenan, co tak ładnie tańczył na przyjęciu? — spytała Sibel. Wyrażenia „ładnie tańczył” użyła z pewnością po to, by wspomnieć o Fiisun, nie wymieniając jednak jej imienia. Wspomnienie zaręczyn obojgu nam sprawiało ból. Nie mogąc znaleźć pretekstu do zmiany tematu, milczeliśmy przez dłuższą chwilę. A przecież w dniach, gdy po raz pierwszy ujawniły się symptomy mojej choroby, w najgorszych nawet chwilach Sibel zawsze potrafiła mówić z ożywieniem o czymś innym.

— I teraz Kenan zostanie nowym, prężnym dyrektorem spółki — powiedziała Sibel drwiącym tonem, który ostatnio coraz częściej dźwięczał w jej głosie. Ze smutkiem spojrzałem na jej lekko drżące dłonie i zbyt mocny makijaż. Pomyślałem, że z nowoczesnej, beztroskiej dziewczyny po studiach we Francji stała się sfrustrowaną i zgryźliwą niepracującą turecką kobietą, która zaręczyła się z facetem z bogatej rodziny i nauczyła pić alkohol.

Czyżby wiedziała, że byłem zazdrosny o Kenana, i w ten sposób chciała mi dopiec? Jeszcze miesiąc temu takie podejrzenie nawet nie przyszłoby mi do głowy.

— Wdają się w podłe gierki, żeby zarobić parę groszy więcej. Nie warto o tym mówić!

— Wiesz, że nie chodzi tu o jakieś marne grosze, ale o potężne zyski. Nie możesz pozwolić, by cię wymanewrowali, sprzątnęli ci taki kąsek sprzed nosa! Musisz się postawić, walczyć z nimi!

— Nie obchodzi mnie to.

— Nie lubię, gdy tak mówisz. Oddajesz wszystko bez walki, wycofujesz się, jakbyś lubił przegrywać. Musisz być bardziej stanowczy.

— Wypijemy jeszcze? — spytałem, podnosząc z uśmiechem szklaneczkę.

Zamówiwszy dwie *raki*, czekaliśmy w milczeniu, aż kelner przyniesie je do stolika. Gdy Sibel się złościła czy gniewała, na jej czole między brwiami pojawiała się przypominająca znak zapytania zmarszczka. Tak stało się i tym razem.

— Zadzwoń do Nurcihan — zaproponowałem. — Może przyjdą?

— Już kiedyś próbowałam stąd dzwonić, telefon na zapleczu nie łączy, chyba jest zepsuty — powiedziała z irytacją w głosie.

— No, już dobrze. Co dziś robiłaś? — zmieniłem temat. — Pokaż, co kupiłaś.

Ale Sibel zupełnie nie była w nastroju do oglądania zakupów.

— To niemożliwe, byś nadal był w niej aż tak zakochany, jestem tego pewna — oświadczyła zaskakująco sucho. — Problem nie leży w tym, że kochasz inną, lecz w tym, że nie potrafisz kochać mnie.

— Czemu więc tak kurczowo się cię trzymam? — spytałem, chwytając ją za rękę. — Dlaczego muszę cię stale mieć przy sobie?

Nie pierwszy raz poruszaliśmy ten temat, tym razem jednak dostrzegłem w oczach Sibel dziwny błysk i przestraszyłem się, że mi odpowie: „Bo wiesz, że jeśli zostaniesz sam, nie zniesiesz bólu po utracie Fiisun, że on cię wtedy może zabić”. Na szczęście Sibel nie zorientowała się jeszcze, że jestem w aż tak kiepskim stanie.

— Nie z miłości. Trzymasz się mnie, bo chcesz wierzyć, że wydarzy się coś strasznego.

— Dlaczego miałbym pragnąć jakiegoś nieszczęścia?

— Bo lubisz zgrywać zbolałego faceta, który kręci nosem na wszystko. Ale najwyższa pora wziąć się w garść, mój drogi!

Zapewniłem ją, że złe dni miną, że oprócz dwóch synów chciałbym mieć z nią także trzy córki, które byłyby do niej podobne. Założymy liczną, szczęśliwą, wesołą rodzinę, będziemy śmiać się i cieszyć życiem. Mówiłem, że możliwość patrzenia na jej jasną twarz, słuchania jej mądrych słów, nadsłuchiwanie, jak krząta się w kuchni, będzie dla mnie źródłem nieustającej radości.

— Nie płacz, kochanie — powiedziałem.

— Czuję, że nic z tego się nie ziści — westchnęła i łzy zaczęły jej jeszcze szybciej spływać po policzkach. Puściła moją rękę i wytarła nos chusteczką. Potem wyjęła puderniczkę i starannie upudrowała twarz, a zwłaszcza podkrążone oczy.

— Dlaczego przestajesz mi ufać? — spytałem.

— Bo być może straciłam pewność siebie. Czasem wydaje mi się, że zbrzydłam.

Chwyciłem ją mocno za rękę i właśnie zacząłem mówić, jaka jest piękna, gdy nad naszymi głowami rozległ się głos Tayfuna:

— Hej, romantyczni kochankowie! Czy wiecie, że wszyscy o was mówią? Och, co się stało?!

— Cóż takiego o nas mówią?

We wrześniu Tayfun często odwiedzał nas w *yah*. Gdy spostrzegł, że Sibel płacze, od razu stracił rezon. Najchętniej czym prędzej by odszedł, ale zatrzymał go wyraz twarzy mojej narzeczonej.

— Ktoś z naszych bliskich zginął w wypadku samochodowym — powiedziała.

— Co wszyscy o nas mówią? — dopytywałem się.

— Wyrazy współczucia — odrzekł, rozglądając się na prawo i lewo w poszukiwaniu drogi ucieczki. W końcu przesadnie głośno zawołał po imieniu kogoś, kto właśnie wchodził do restauracji, i oddalając się w jego stronę, rzucił: — Podobno jesteście w sobie tak mocno zakochani, że jak niektórzy Europejczycy, boicie się, że małżeństwo zabije waszą miłość, i dlatego nie bierzecie ślubu. Moim zdaniem powinniście się jak najszybciej pobrać, bo wszyscy wam zazdroszczą. Są nawet tacy, co twierdzą, że to *yah* jest pechowe...

Gdy tylko odszedł, zamówiliśmy u młodego, sympatycznego kelnera jeszcze po szklaneczce *raki*. Sibel udawało się przez całe lato jakoś kamuflować mój żałosny stan i znajdować dla niego przekonujące wytłumaczenia, mieliśmy jednak świadomość, że krąży na nasz temat wiele plotek, których źródłem przede wszystkim był fakt, że zamieszkaliśmy ze sobą bez ślubu. Wiedzieliśmy, że żartowano z moich napadów złego humoru, zwyczaju pływania całymi godzinami na plecach, uwagi znajomych nie uchodziły też kpiące komentarze i uszczypliwości Sibel pod moim adresem.

— Zadzwońmy do Nurcihan i Mehmeta, by przyszli, czy zjemy kolację sami? — zapytała Sibel niemal w panice. — Poszukaj automatu i zadzwoń do nich. Masz żeton?

Nie chciałem, by pięćdziesiąt lat po opisywanych tu wydarzeniach szczęśliwcy, którym przyjdzie żyć w nowym, lepszym świecie, pogardliwie patrzyli na Stambuł z roku 1975, gdzie

często wyłączano wodę (do bogatszych dzielnic dowożono ją wtedy cysternami) i nie działały telefony. Dlatego eksponuję w tym miejscu żeton telefoniczny o ząbkowanych brzegach, jaki wówczas sprzedawano w sklepach tytoniowych. W latach, w których rozpoczyna się moja opowieść, większość automatów rozmieszczonych w ograniczonej liczbie na ulicach miasta była albo zdemolowana przez wandalów, albo zepsuta. Nie przypominam sobie, bym w owym czasie choć raz zatelefonował do kogokolwiek z budki telefonicznej należącej do PTT\* (sztuka ta udawała się wyłącznie bohaterom krajowych filmów wzorowanych na zachodnich). Za to z powodzeniem korzystałem z telefonów na żetony, które pomysłowi przedsiębiorcy instalowali w sklepach i kawiarniach. Opowiadam o tym, by wytłumaczyć, dlaczego krążyłem po ulicach Nişantaşı od sklepu do sklepu. Wolny telefon znalazłem w kolekturze totolotka. Numer Nurchihan był zajęty, a sprzedawca nie zgodził się, bym spróbował ponownie, więc dopiero po pewnym czasie z jakiejś kwiaciarni udało mi się dodzwonić do Mehmeta. Powiedział, że są z Nurchihan w domu i za pół godziny zjawią się w Foyer.

Chodząc tak i pytając o telefon, znalazłem się w sercu Nişantaşı. „Skoro jestem w pobliżu, może dobrze byłoby zajść do mieszkania w kamienicy Zmılowanie i zobaczyć znajdujące się tam przedmioty?“, pomyślałem. Klucz miałem przy sobie.

Gdy tylko wszedłem do środka, jak chirurg szykujący się do operacji umyłem twarz i ręce, zdjąłem starannie marynarkę i koszulę, po czym przysiadłem na brzegu łóżka, na którym czterdzieści cztery razy kochałem się z Fiisun, i wybrawszy trzy spośród otaczających mnie przedmiotów pełnych wspomnień, spędziłem z nimi urocze pół godziny, pieszcząc je i tuląc.

\* PTT —Turecka Organizacja Poczty i Telegrafu (TC. Posta ve Telgraf Teskilati).

Gdy wróciłem do Foyer, zastałem tam już nie tylko Mehmeta z Nurcihan, ale i Zaima. Przypominam sobie, że na widok stołu zastawionego butelkami, popielniczkami, talerzami, gwarne go tłumu stambulskiej socjety pomyślałem, że jestem szczęśliwy i kocham życie.

— Wybaczcie, moi drodzy, spóźnienie, ale nie uwierzycie, co mi się przydarzyło — powiedziałem, zamierzając wymyślić jakieś kłamstwo.

— Daj spokój — powiedział Zaim łagodnie. — Siadź i zapomnij o wszystkim. Baw się razem z nami, poczujesz się lepiej.

— Ależ ja się świetnie czuję.

Mój wzrok napotkał spojrzenie Sibel i od razu poznałem, że moja narzeczona, która za dużo wypła, wie, co robiłem, gdy zniknąłem na tak długo, i ma już pewność, że nigdy mi to nie przejdzie. Była na mnie wściekła, a jednocześnie zbyt pijana, by urządzić mi awanturę. A ponieważ bardzo mnie kochała albo uważała, że utrata mnie i zerwanie zaręczyn byłoby dla niej straszną porażką, chciałem wierzyć, że nie będzie robiła mi wymówek także potem, gdy wytrzeźwieje, ja zaś z tych lub innych powodów, których nadal nie rozumiałem, pragnąłem poczuć się z nią jeszcze silniej związany, a to z kolei dodałoby jej nadziei i znów mogłaby wierzyć, że pewnego dnia moja choroba minie. Tego wieczoru jednak stało się jasne, że optymizm nas obojga osiągnął swój kres.

Zatańczyłem z Nurcihan.

— Sprawileś przykrość Sibel, zirytowałaś ją — powiedziała. — Nie powinienes być zostawiać jej samej w restauracji. Ona bardzo cię kocha. I jest taka wrażliwa.

— Gdy róża miłości nie ma kolców, nie pachnie mocno. A wy, kiedy się pobieracie?

— Mehmet chciałby jak najszybciej. Ale ja wolałabym, byśmy się tylko zaręczyli, a potem zrobili tak jak wy, zamieszkali razem, wypróbowali miłość przed ślubem.

— Nie wzorujcie się za bardzo na nas...

— Czy jest coś, o czym nie wiemy? — spytała, skrywając ciekawość pod sztucznym uśmiechem.

Jej słowa nie wzbudziły we mnie żadnego niepokoju. Z dręczącego mnie nieustająco silnego bólu alkohol czynił pojawiającą się i znikającą fatamorganę. Przypominam sobie, że gdy późno w nocy tańczyliśmy z Sibel, jak zakochany licealista kazałem jej przysięgać, że nigdy mnie nie opuści, a nalegania te musiały zrobić na niej wrażenie, bo w końcu szczerze starała się ukoić me lęki. Do naszego stolika co chwila dosiadali się inni znajomi i proponowali zmianę lokalu — ostrożniejsi chcieli pojechać nad Bosfor i wypić herbatę podawaną do samochodów, inni zachwalali flaczki w szemranej dzielnicy Kasimpaşa, jeszcze inni orientalną muzykę w nocnych klubach. W pewnym momencie Mehmet i Nurcihan rozśmieszyli wszystkich, dziwacznie się obejmując i przedrzeźniając nasz chwiejny taniec przy romantycznej muzyce. Gdy wyszliśmy z Foyer, już świtało. Mimo ostrzeżeń przyjaciół siadłem za kierownicą. Sibel, widząc, że jadę zygzakiem od krawężnika do krawężnika, zaczęła krzyczeć z przerażenia, postanowiliśmy więc dostać się na azjatycki brzeg promem samochodowym. Gdy o świcie statek dobijał do przystani w Uskiidarze, oboje usnęliśmy w aucie. Obudził nas dopiero stukający w okno miczman, zirytowany, że zablokowaliśmy zjazd z promu autobusom i ciężarówkom wiozącym produkty spożywcze. Ruszyliśmy zygzakiem nadbrzeżną drogą, pod majaczącymi jak duchy platanami, z których opadały czerwone liście, i bez przeszkód, cali i zdrowi, dotarliśmy do naszego *yali*, gdzie, jak to nieraz bywało po pełnych przygód nocach, zasnęliśmy mocno przytuleni do siebie.

## 43. CHŁODNY I SAMOTNY LISTOPAD

W ciągu następných dni Sibel ani razu nie spytała, co robiłem, gdy na półtorej godziny zniknąłem w Nigantagi. Owego wieczoru oboje straciliśmy ostatnie złudzenia, że kiedykolwiek uda mi się uwolnić od mojej obsesji. Okazało się, że wszelkie moje starania nic nie dały. Z drugiej strony, oboje byliśmy zadowoleni z naszego wspólnego życia w starym *yah*, którego świetność dawno przeminęła. Choć znaleźliśmy się w beznadziejnej sytuacji, w tym rozpadającym się domu było coś, co wiązało nas ze sobą, dodawało uroku naszemu cierpieniu, czyniąc je bardziej znośnym. Życie w *yah* nadawało głębię naszej bezsprzecznie martwej już miłości, przyprawiając ją nutą przegranej, wspólnego dzielenia nieuchronnego losu; ten relikwyt zanikłej kultury osmańskiej zdawał się dopełniać to, czego nam, nowo zaręczonym dawnym kochankom, brakowało, a nawet chronić nas przed udręką wypływającą z niezdolności do uprawiania seksu.

Wieczorami siadywaliśmy na tarasie od strony Bosforu i opierając łokcie o poręcz balkonu, popijaliśmy *yeni*



*raki*\*. Czasem udawało nam się wpaść w dobry humor i w takich momentach spojrzenia Sibel mówiły mi, że jedyną rzeczą, jaka pozwoli nam pozostać razem mimo braku współżycia, jest ślub. Przecież wiele małżeńskich par — nie tylko w pokoleniu naszych rodziców, także wśród naszych rówieśników — nie współżyje z sobą, a mimo to prowadzi szczęśliwe wspólne życie, udając, że wszystko jest normalnie. Po wypiciu trzeciej, czwartej szklaneczki zaczynaliśmy pół żartem, pół serio analizować życie znanych nam par, zarówno starszych, jak i młodszych, zaprzyjaźnionych i całkiem obcych, zadając sobie nawzajem pytania: „A ci, czy twoim zdaniem jeszcze ze sobą sypiają?”. Zdolność do żartowania w takiej sytuacji zawdzięczaliśmy zapewne temu, że jeszcze do niedawna prowadziliśmy udane życie seksualne. Ukrytym celem tych rozmów, które dając nam poczucie współudziału w przestępstwie, dzielenia czegoś zakazanego, jeszcze mocniej wiązały nas ze sobą, było wywołanie w nas samych przekonania, że mimo sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy, wciąż możemy wziąć ślub, a wtedy wspaniały seks, z którego byliśmy tacy dumni, pewnego dnia znów stanie się naszym udziałem. A przynajmniej Sibel, w najbardziej nawet przygnębiających chwilach, pod wpływem moich żartów, wygłupów, a także okazywanej jej czułości, zaczynała w to wierzyć, nabierała nadziei i gotowa przejść do czynów, siadała mi na kolanach. W tych momentach przyptywu optymizmu czułem to samo — jak mi się wydawało — co ona, zastanawiałem się, czy nie zaproponować jej, byśmy natychmiast się pobrali, ale obawiałem się, że wiedziona jakimś nagłym impulsem, odrzuci tę propozycję i mnie zostawi. Wyczuwałem bowiem, że w akcie zemsty, który miałby przywrócić jej utracony szacunek dla samej siebie, czeka tylko na

\* *Yeni raki* — popularna marka tureckiej anyżówki.

sposobność, by zakończyć nasz związek. Nie mogąc się jednak pogodzić z tym, że perspektywa szczęśliwego małżeństwa, dzieci, spotkań z przyjaciółmi, rozrywek, idealnego życia, którego wszyscy by nam zazdrościli, jeszcze cztery miesiące temu wydawała się tak bliska, a teraz rozwiąła się jak dym, Sibel nie potrafiła podjąć sama żadnych działań w tym kierunku. Nieznośny ciężar tej sytuacji staraliśmy się rozładować za pomocą dziwnej czułości i przywiązania, jakie do siebie wzajemnie odczuwaliśmy; obudzwszy się, nieszczęśliwi, w środku nocy ze snu, w który udawało się nam zapaść wyłącznie dzięki alkoholowi, próbowaliśmy zapomnieć o bólu, tuląc się do siebie.

Od połowy listopada w bezwietrzne noce, gdy budził nas nagły dreszcz niepokoju albo wywołane kacem pragnienie, słychać było, jak na Bosforze, tuż za zamkniętymi okiennicami, kołysze się rybacka łódź. Pod oknami naszej sypialni doświadczony rybak i jego syn, posłusznie wykonujący polecenia ojca chłopak o cienkim, ale miłym głosie, zarzucali sieci. Wpadające przez szpary okiennic światło ich lampy efektownie rozświetlało sufit, w nocnej ciszy do naszych uszu dobiegał plusk uderzających o wodę wiosł i kropli skapujących z wyciąganej sieci, pokastywania pracujących w milczeniu ojca i syna. Gdy podpływali, budziliśmy się oboje z Sibel i objąwszy się, wsłuchiwalismy w oddechy i skąpe rozmowy rybaków, którzy w odległości kilku metrów od naszego łóżka, nie zdając sobie sprawy z naszej obecności, wiosłowali, wrzucali do wody kamienie, by pobudzić do ruchu ryby, wyciągali sieci. „Trzymaj mocno” — mówił czasem ojciec, „podnieś kosz” albo „wiosłuj wstecz”. Dużo później, w najgłębszej ciszy, rozlegał się dźwięczny głos syna: „Tato, tutaj coś jeszcze jest!”. Ja i Sibel, leżąc przytuleni, zastanawialiśmy się, co też chłopak pokazywał ojcu: rybę, niebezpieczny kolec czy jakieś stworzenie, którego wygląd staraliśmy się sobie w ciemności wyobrazić. Rozmyś-

łając między jawą a snem o rybaku i jego synu, zasypialiśmy ponownie albo zauważaliśmy w końcu, że ich łódź bezgłośnie odpłynęła. Nie przypominam sobie, byśmy kiedykolwiek za dnia rozmawiali o nocnych gościach. Ale gdy nocą łódź znowu podpływała, poznawałem po sposobie, w jaki Sibel się do mnie tuliła, że wsłuchiwanie się w półśnie w głosy rybaków napełnia ją głębokim spokojem, że nawet gdy śpi, czeka tak samo jak ja na ich pojawienie się. Jakbyśmy mieli pozostać razem tak długo, jak długo będziemy słyszeć głosy rybaka i jego syna.

Jednocześnie z każdym dniem Sibel była na mnie coraz bardziej zła, z coraz szerszym bólem powątpiewała we własną urodę, częściej miała łzy w oczach, oboje wdawaliśmy się w coraz mniej przyjemne sprzeczki, drobne kłótnie i dąsy. Najczęściej zdarzało się tak, że Sibel podejmowała starania, które miały nas uszczęśliwić, upiekła na przykład ciasto albo po wielu trudach zdobyła jakiś stolik do naszego przyszłego domu, natomiast ja, oddający się ze szklaneczką *raki* w rękę marzeniom o Fiisun, nie okazywałem wystarczająco szczerego entuzjazmu. Sibel wychodziła więc, trzaskając drzwiami, i zamykała się w swoim pokoju, a ja, ogarnięty jakimś dziwnym, paraliżującym wstydem, nie potrafiłem pójść za nią i jej przeprosić, a gdy w końcu szedłem, widziałem, jak zamknęła się w sobie, zasklepiona w swoim bólu.

Gdyby nasze zaręczyny zostały zerwane, ludzie z towarzystwa jeszcze przez długi czas traktowałiby Sibel z pogardą, jako tę, która „żyła z narzeczonym przed ślubem”. Sibel doskonale zdawała sobie sprawę, iż choćby udawała, że nic się nie stało, choćby jej przyjaciółki były nie wiem jak „europejskie”, jeśli nie weźmiemy ślubu, będą o niej mówić nie jak o bohaterce miłosnej historii, lecz jak o kobiecie, której splamiono honor. Rzecz jasna, nie rozmawialiśmy na ten temat, ale każdy upływający dzień działał na niekorzyść Sibel.

Od czasu do czasu zachodziłem do kamienicy Zmiłowania i leżąc na łóżku, obcowałem z przedmiotami związanymi z Fiisun, co sprawiało, że nieco lepiej się czułem. Nabierałem mylnego przekonania, że ból ustępuje, a to z kolei dodawało nadziei Sibel. Widziałem, że wieczorne miejskie rozrywki, spotkania z przyjaciółmi, przyjęcia przynoszą jej pewną ulgę, ale nie były one w stanie ukryć beznadziei naszego położenia, faktu, że poza chwilami, gdy byliśmy porządnie pijani lub gdy podsłuchiwaliśmy rybaka i jego syna, oboje czuliśmy się bardzo nieszczęśliwi. W tym czasie błagałem Ceydę, która lada moment miała urodzić dziecko, ba, nawet zaproponowałem jej łapówkę, by zdradziła mi, co dzieje się z Fiisun, ale zdołałem jedynie dowiedzieć się, że przebywa ona gdzieś w Stambule. Co miałem robić? Schodzić na piechotę całe miasto, ulica po ulicy?

Tuż przed nadejściem zimy, jednego z zimnych i ponurych dni *wyah*, Sibel powiedziała, że zastanawia się nad wyjazdem z Nurcihan do Francji. Przed zaręczynami i ślubem z Mehmetem Nurcihan chciała wybrać się na Boże Narodzenie do Paryża, zrobić zakupy, a przy okazji doprowadzić do końca wszystkie swoje tamtejsze sprawy. Gdy Sibel wyznała, że wybrałaby się tam razem z nią, zachęcałem ją do wyjazdu. Pomyślałem, że kiedy pojedzie do Paryża, ja bez przeszkód będę mógł się oddać poszukiwaniom Fiisun, to znaczy przewrócić Stambuł do góry nogami. Sądziłem, że nawet jeśli nic z tego nie wyjdzie, uwolnię się od obezładniającego mnie bólu i poczucia winy, a gdy Sibel wróci, ożenię się z nią. Wyjaśniłem Sibel, która moje zachęty traktowała z podejrzliwością, że zmiana przez nią miejsca i powietrza dobrze zrobi nam obojgu, a po jej powrocie zaczniemy wszystko od momentu, w którym przerwaliśmy. Użyłem przy tym kilkakrotnie, choć z niewielkim naciskiem, słowa „małżeństwo”.

Naprawdę szczerze myślałem o ślubie z Sibel, która zaczęła mieć nadzieję, że rozłąka będzie dla nas korzystna, a po powrocie znajdzie mnie w lepszym stanie i sama też poczuje się lepiej. Na lotnisko przyjechaliśmy z Mehmetem i Nurcihan nieco za wcześnie, usiedliśmy więc przy małym stoliku w nowym terminalu i zachęceni przez Inge z wiszącego na ścianie plakatu, wypiliśmy po oranżadzie Zefir. Gdy obejmując na pożegnanie Sibel, dostrzegłem w jej oczach łzy, przestraszyłem się, że po długiej rozłące nigdy już nie wrócimy do naszego dawnego życia, potem jednak pomyślałem, że zawsze postrzegam wszystko w ciemnych barwach. W drodze powrotnej z lotniska Mehmet, który po raz pierwszy od wielu miesięcy rozstał się na dłużej z Nurcihan, powiedział, przerywając panującą w samochodzie ciszę:

— Brachu, nie idzie już żyć bez naszych dziewczyn!

W nocy *yah* wydało mi się nie do wytrzymania, puste i smutne. Dopiero teraz, gdy zostałem w nim sam, zauważyłem, że oprócz skrzypienia desek stary budynek wypełniają odgłosy morza, jęklivé zawodzące, nieustannie zmieniające się melodie. Inaczej pobrzmiwały fale uderzające o betonowe nabrzeże, inaczej te rozbijające się o skały, a szum wartkiego nurtu zmieniał się przed *kayikhane*\* w rodzaj szelestu. Pewnej nocy, gdy cały budynek skrzypiał i trzeszczał pod naporem zimowego sztormu wywołanego przez *poiraz*, położywszy się kompletnie pijany do łóżka, nad ranem zorientowałem się, że od dłuższego czasu rybak i jego syn nie przypływali łodzią na połów. Jakaś część mego umysłu, która zachowała realizm i trzeźwość myślenia, podpowiadała mi, że oto dobiegł końca pewien etap mego życia. Ale inna część, panicznie bojąca się samotności, nie pozwoliła mi do końca się z tym pogodzić.

\* *Kayikhane* — rodzaj hangaru do cumowania łodzi.

## 44. HOTEL FATIH

Następnego dnia spotkałem się z Ceydą. Znosiła moje listy do Fiisun, ja zaś przyjąłem do pracy w dziale księgowości w Satsat jednego z jej krewnych. Uznałem, że jeśli ją trochę przycisnę i stanowczo zażądam adresu, w końcu go dostanę. Na moje nalegania Ceyda zrobiła bardzo tajemniczą minę i dała mi do zrozumienia, że widok Fiisun wcale mnie nie uszczęśliwi; że życie, miłość, szczęście to skomplikowane sprawy, każdy chce chronić siebie, robi wszystko, by w doczesnym świecie być szczęśliwym. Mówiąc to, raz po raz pełnym zadowolenia ruchem obejmowała rękami swój potężnie już zaokrąglony brzuch — miała męża, który gotów był spełnić każde jej życzenie.

Nie potrafiłem przycisnąć jej, postraszyć. Nie mogłem, jak w amerykańskim filmie, wynająć prywatnego detektywa, bo w owych czasach kogoś takiego w Stambule po prostu nie było (agencje detektywistyczne miały powstać dopiero trzydzięści lat później!). Nawet Ramiz, zaufany człowiek mojego ojca i przez pewien czas jego ochroniarz, który załatwiał dla niego rozmaite (nie zawsze legalne) sprawy, wysłany na poszukiwa-

nia Fiisun, jej ojca i cioci Nesibe, pod pretekstem prowadzenia śledztwa w sprawie rzekomej kradzieży, wrócił z pustymi rękami. Emerytowany komisarz policji, pan Selami, zwany przez nas wujkiem, który spędził życie na ściganiu przestępców, a teraz służył pomocą, gdy firma napotykała trudności w urzędzie celnym czy podatkowym, sprawdził urzędy ewidencji ludności, komendy policji i starostwa, po czym stwierdził, że gdy poszukiwana osoba — jak ojciec Fiisun — nie figuruje w kartotece skazanych, to najtrudniej ją znaleźć. Niepowodzeniem skończyły się też odwiedziny, w charakterze rzekomego niegdysiejszego ucznia, który przyszedł złożyć uszanowanie dawnym profesorom, w dwóch liceach — w Vefa i w Haydarpaşa, w których uczył ojciec Fiisun, nim przeszedł na emeryturę. Sposobem na dotarcie do jej matki było ustalenie, do których pań z Nişantaşı i Şişli chodzi szyć. Oczywiście nie mogłem zapytać o to mojej matki, za to Zaim dowiedział się od swojej, że obecnie mało kto korzysta z tego rodzaju usług. Zatrudnił znajomych jako pośredników, by dotrzeć do krawcowej Nesibe, ale bez rezultatu. Te niepowodzenia wzmagały jedynie mój ból. Całe ranki pracowałem w biurze, podczas przerwy obiadowej szedłem do kamienicy Zmiłowanie, gdzie usiłowałem się pocieszyć, leżąc na łóżku i tuląc do siebie przedmioty związane z Fiisun, potem czasem wracałem do biura, a czasem od razu wskakiwałem do samochodu i krążyłem bez celu po ulicach Stambułu, w nadziei, że może ją spotkam.

Wówczas nawet przez myśl mi nie przeszło, że po latach będę wspominał te wycieczki, godziny spędzone na przeczesywaniu miasta dzielnicą po dzielnicę, ulica po ulicy, jako niezwykle szczęśliwe chwile. Widmo Fiisun zaczęło się ukazywać moim oczom w odległych ubogich okolicach, takich jak Vefa, Zeyrek, Fatih czy Kocamustafapaga, dlatego rozszerzyłem teren poszukiwań na drugi brzeg Złotego Rogu i wyruszałem

do dzielnic starego Stambułu. Gdy trzymając w jednej ręce papierosa, drugą prowadziłem kołyszący się na nierównym bruku wąskich uliczek samochód i nagle dostrzegałem gdzieś zjawę Fiisun, natychmiast zatrzymywałem auto i w tym samym momencie zaczynałem odczuwać głęboki sentyment do tej pięknej, lecz ubogiej dzielnicy. Moja miłość uświęcała ulicę pachnącą dymem z węglowych piecyków, zmęczone stare kobiety w chustkach, młodocianych chuliganów nie spuszczaających z oka obcych, którzy trafili tu w pogoni za duchami, starszków i bezrobotnych, przesiadujących beczynnym po kawiarniach i czytających gazety. Gdy po jakimś czasie przekonywałem się, że cień, który śledziłem z większej odległości, nie przypomina jednak Fiisun, nie opuszczałem dzielnicy od razu. Dochodziłem bowiem do wniosku, że skoro zjawka ukazała mi się właśnie tutaj, gdzieś w pobliżu powinna się znajdować również prawdziwa Fiisun, wałęsałem się więc dalej po okolicy. Nie przerażało mnie, że mury i wszelkie gładkie powierzchnie w zasięgu wzroku, łącznie z liczącymi sobie dwieście dwadzieścia lat marmurowymi płytami otaczającymi nieczynną studnię, przy której wylizywały się bezpańskie koty, pokrywały pełne gróźb hasła rozmaitych prawicowych i lewicowych partii, ugrupowań zwanych wówczas frakcjami. Żywiona przeze mnie niewzruszona wiara, że Fiisun gdzieś tu jest, otaczała te miejsca nimbem baśniowej szczęśliwości. Uważałem, że powinienem chodzić po ulicach, po których przechadzała się jej zjawka, napić się herbaty w miejscowej kawiarni, wyglądając przez okno na zewnątrz i czekając, aż ona sama tamtędy przemknie. Przyszło mi do głowy, że aby móc znaleźć się blisko niej i jej rodziny, powinienem zacząć prowadzić takie samo życie jak oni.

Wkrótce przestałem bywać na przyjęciach, na które chodziliśmy co wieczór, nie odwiedzałem nowych restauracji w Bebeku



i Nigantagi. Miałem dość ciągnących się godzinami opowieści Mehmeta — który w poczuciu wspólnoty losu najwyraźniej nabrał zwyczaju codziennego spotkania się ze mną — o tym, co nasze dziewczyny kupiły sobie w Paryżu. Nawet gdy udało mi się w pojedynkę wyskoczyć do jakiegoś klubu, zawsze potrafił mnie tam odnaleźć i z błyszczącymi oczami zaczynał relacjonować rozmowę, jaką odbył przez telefon z Nurcihan. Tymczasem ja za każdym razem, gdy dzwoniłem do Sibel, nie wiedziałem, o czym z nią rozmawiać, i wpadałem w panikę. Czasem miałem ochotę przytulić się do niej, szukać u niej pocieszenia, lecz byłem tak zmęczony poczuciem winy, wyrzutami sumienia spowodowanymi własną dwulicowością, że nieobecność Sibel przynosiła mi spokój. Wierzyłem, że gdy nie będę musiał niczego udawać, wrócę do dawnego, normalnego stanu. Dodało mi to nadziei podczas poszukiwań Fiisun w odległych rejonach miasta, złościłem się nawet na siebie, że wcześniej nie wybrałem się do tych starych dzielnic, na te bliskie sercu ulice. Przypominam sobie, jak krążąc po nich, często żałowałem, iż w ostatniej chwili nie wycofałem się z zaręczyn albo nie potrafiłem ich zerwać, że zawsze działałem z opóźnieniem.

W połowie stycznia, dwa tygodnie przed powrotem Sibel z Paryża, spakowałem walizki i opuściwszy *yah*, przeniósłem się do hotelu położonego między dzielnicami Fatih a Karagiimriik — w tym miejscu eksponuję klucz do pokoju z breloczkiem ozdobionym godłem, papier listowy z firmowym nagłówkiem oraz zdobytą po latach tabliczkę z nazwą. Wszedłem doń przypadkowo owego styczniowego dnia, gdy ulica po ulicy, sklep po sklepie przeszukiwałem okolice od Fatihu w dół do Złotego Rogu i wieczorem złapał mnie ulewny deszcz. Całe popołudnie spędziłem na podglądaniu przez okna życia rodzin zamieszkujących pozostałe po Grekach zaniedbane murowane kamienice i drewniane domy z surowych desek,

sprawiające wrażenie, że zaraz się rozpadną; wykończyły mnie bieda tych ludzi, stada dzieci, rozgardiasz, ich szczęścia i nieszczęścia. Wcześniej zapadł zmierzch, zacząłem wdrapywać się na wzgórze, by nie wracając na drugi brzeg Złotego Rogu, jak najszybciej móc zacząć pić, i wszedłem do nowo otwartej piwiarni przy głównej ulicy. Znalazłem się w tłumie mężczyzn popijających o tej wczesnej porze — nie było jeszcze dziewiątej — piwo wymieszane z wódką oraz gapiących się w telewizor, i kompletnie się upiłem. Gdy wyszedłem na dwór, nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie zostawiłem samochód. Długo szedłem w deszczu ulicami, rozmyślając nie tyle o aucie, ile o Fiisun i o swoim życiu; wyobrażanie jej sobie, choćby z bólem, na tych mrocznych, pełnych kałuż ulicach sprawiało, że czułem się szczęśliwy. Koło północy natknąłem się na hotel Fatih, wszedłem do środka i poprosiłem o pokój.

Po raz pierwszy od wielu miesięcy przespałem całą noc. Także następne noce w tym hotelu minęły mi równie spokojnie. Zaskoczyło mnie to. Czasem nad ranem śniły mi się jakieś pogodne obrazki z dzieciństwa bądź młodości, wtedy budził mnie nagły dreszcz, zupełnie jak w chwilach gdy słyszałem głosy rybaka i jego syna, ale natychmiast byłem gotów znowu zasnąć i dalej śnić o szczęśliwych czasach.

Pojechałem do *yah*, zabrałem wełniane zimowe skarpetki, ubrania i by uniknąć zaciekawionych spojrzeń rodziców, zawiozłem walizki nie do domu, lecz do hotelu. Jak zawsze rano udawałem się do firmy, wcześniej wychodziłem z pracy i zaczynałem przemierzać ulice Stambułu. Wieczorami, by zapomnieć o zmęczonych nogach, przesiadywałem w piwiarni. Podobnie jak w przypadku innych okresów mego życia również dni spędzone w hotelu Fatih, które wtedy zdawały się przysparzać mi ogromnie dużo bólu, miałem po latach uznać w gruncie rzeczy za bardzo szczęśliwe. Co dzień po przerwie

obiadowej zachodziłem do kamienicy Zmiłowanie i obcując z wciąż wyszukiwanymi, coraz liczniejszymi i z coraz większą pieczołowitością przechowywanymi przedmiotami, starałem się ukoić ból. Wieczorem zaś piłem i wyruszałem na długi spacer. Zamroczony alkoholem, godzinami krążyłem po bocznych uliczkach Fatihu, Karagumruku, Balatu, przez uchylone zasłony zaglądałem do wnętrz mieszkań, podpatrywałem rodziny zasiadające do kolacji i często miałem wrażenie, że Fiisun jest gdzieś tutaj, w pobliżu. Czułem się wtedy dobrze.

Niekiedy wydawało mi się, że powodem mojego dobrego samopoczucia nie jest bliskość Fiisun, lecz coś innego. Tu, w peryferyjnych dzielnicach, na zabłoconych, brukowanych kostką ulicach, wśród samochodów, pojemników na śmieci i krawężników, w świetle ulicznych latarni, obok chłopców bawiących się wytartą piłką, mogłem dostrzec prawdziwe życie. Rozwijające się interesy mojego ojca, jego fabryki, bogacenie się i związana z osiągniętym statusem majątkowym konieczność zachowywania się na sposób europejski jakby oddaliły mnie od prostej, zwyczajnej rzeczywistości, i teraz na tych bocznych uliczkach szukałem punktu zaczepienia, utraconego sensu życia. Chwiejnym od wypitej *raki* krokiem szedłem, dokąd niosły mnie nogi, wąskimi uliczkami, przez błotniste zbocza, kręte dróżki przerywane sekwencjami schodów, i czasem tylko, gdy poczułem, że oprócz psów nie ma wokół żywej duszy, przeszywał mnie dreszcz, wtedy z zachwytem podziwiałem żółte światło lamp sączące się zza zaciągniętych zasłon, błękitnawe strużki dymu wydobywające się z kominów, odbłask telewizorów w szybach okien i wystaw. Następnego wieczoru, jedząc w towarzystwie Zaima rybę i popijając *raki* na bazarze w Beşiktaşu, nagle w wyobraźni ujrzałem jeden z takich pogrążonych w mroku bocznych zaułków i obraz ten ochronił mnie przed siłą przyciągania świata, o którym opowiadał mi Zaim.

Zaim, na moją prośbę zresztą, opisywał ostatnie przyjęcia, nowe tańce, plotki z klubów i sukces swojej oranżady, odnotowując każde zasługujące na to wydarzenie z życia wyższych sfer, lecz nie rozwodząc się specjalnie nad żadnym. Wiedział, że wyprowadziłem się *zyah*, ale nie przeniosłem z powrotem do rodziców, nie pytał jednak ani o Fiisun, ani o moje miłosne rozterki, być może nie chciał mi sprawiać przykrości. Czasem podpytywałem go ostrożnie, chcąc z niego wyciągnąć, czy wie coś na temat przeszłości Fiisun. Innym znów razem przybierałem pozę pewnego siebie faceta, wiedzącego, do czego zmierza, i dawałem mu do zrozumienia, że co dzień ciężko pracuję w firmie.

Pewnego śnieżnego dnia pod koniec stycznia Sibel zadzwoniła z Paryża do biura i, przerażona, oświadczyła, że sąsiedzi i ogrodnik powiedzieli jej o mojej wyprowadzce z *yah*. Od dłuższego czasu nie rozmawiałem z nią, bez wątpienia była to oznaka postępującego ochłodzenia naszych uczuć i oddalania się od siebie, ale trzeba też przyznać, że w owych czasach międzynarodowe rozmowy telefoniczne nie były najłatwiejsze. Musiało się bowiem z całej siły przekrzykiwać dobywające się ze słuchawki szumy i trzaski. Na myśl, że wszyscy pracownicy Satsatu będą słyszeć czułe słowa, jakie powinienem był powiedzieć, a w gruncie rzeczy wykrzyczeć, i w dodatku sam w nie chyba nie wierząc, stale odkładałem naszą rozmowę.

— Wyprowadziłeś się z *yah*, ale na noc nie wracasz do rodziców! — rzuciła.

— Tak!

Nie przypomniałem jej, że stronienie od domu, unikanie Nişantaşi, by nie zaognić mojej choroby, było naszą wspólną decyzją. Nie spytałem też, skąd wie, że nie nocuję u rodziców. Moja sekretarka, pani Zeynep, natychmiast zerwała się z miejsca i wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi, bym

mógł swobodnie rozmawiać z narzeczoną, ale i tak musiałem podnieść głos, aby Sibel zrozumiała, co do niej mówię.

— Co robisz? Gdzie mieszkasz?

W tym momencie przypomniałem sobie, że nikt oprócz Zaima nie wie, że zatrzymałem się w hotelu. Nie chciałem o tym mówić głośno, zwłaszcza teraz, gdy pracownicy słyszeli każde moje słowo.

— Wróciłeś do niej? — spytała Sibel. — Powiedz mi szczerze, Kemal.

— Nie! — odpowiedziałem, ale nie dość głośno.

— Nie usłyszałam, Kemal, powiedz raz jeszcze.

— Nie — powtórzyłem, ale znów zbyt cicho. W owych latach zawsze podczas połączenia międzynarodowego ze słuchawki dochodził silny szum, podobny do tego, jaki słyszymy, gdy przyłożymy do ucha muszlę.

— Kemal, Kemal... Nic nie słyszę, proszę...

— Słucham! — wrzasnąłem z całej siły.

— Powiedz mi szczerze!

— Nic nowego się nie dzieje — powiedziałem specjalnie głośno.

— Rozumiem! — usłyszałem jeszcze i głos Sibel jakby odpłynął, rozległy się trzaski, po czym połączenie zostało przerwane. W tej samej chwili rozległ się głos dziewczyny z centrali telefonicznej:

— Połączenie z Paryżem zostało przerwane. Czy życzy pan sobie, by go ponownie połączyć?

— Nie, córeczko, dziękuję — odpowiedziałem. Zwracanie się do telefonistki per „córeczko”, bez względu na jej wiek, było przyzwyczajeniem mojego ojca. Zaskoczyło mnie, że je od niego przejąłem. Zaskoczyła mnie też stanowczość Sibel... Ale nie chciałem dalej kłamać. Sibel więcej nie zadzwoniła do mnie z Paryża.

## 45. FERIE W ULUDAFI

O tym, że wróciła do Stambułu, dowiedziałem się w lutym, na początku ferii szkolnych, gdy okazało się, że zamierza pojechać na narty do Uludag. Zaim też się tam wybierał ze swoimi siostrzeńcami. Przed wyjazdem zadzwonił do mnie do biura, umówiliśmy się na lunch w Foyer. Gdy siedząc naprzeciwko siebie, jedliśmy zupę z soczewicy, pełnym sympatii wzrokiem spojrzał mi prosto w oczy.

— Uciekasz od życia, widzę, że z każdym dniem stajesz się smutniejszy, bardziej przygnębiony, i to mnie martwi.

— Nie martw się — odpowiedziałem. — Wszystko jest w porządku.

— Nie wyglądasz na szczęśliwego — oświadczył.

— Dla mnie celem życia nie jest osiągnięcie szczęścia. Dlatego wydaje ci się, że od niego uciekam, że jestem nieszczęśliwy... Znalazłem się na progu nowego życia, które przyniesie mi spokój...

— To dobrze... Opowiedz nam więc o tym nowym życiu... Naprawdę jesteśmy go ciekawi.

- „My”, to znaczy kto?
- Daj spokój, Kemal! — zachnął się. — Co ja ci zrobiłem? Czy nie jestem twoim najlepszym przyjacielem?
- Jesteś.
- My... Ja, Mehmet, Nurcihan i Sibel... Za trzy dni jedziemy do Uludag... Pojedź z nami... Nurcihan jedzie, by zaopiekować się swoim bratankiem, a my postanowiliśmy do niej dołączyć...
- To znaczy, że Sibel wróciła?
- Jakies dziesięć dni temu, przyleciała w tamten poniedziałek. Też chciałyby, żebyś pojechał do Uludag — Zaim uśmiechnął się dobrotliwie. — Ale nie chce, żebyś o tym wiedział. Mówię ci o tym w tajemnicy przed nią. Tylko mnie tam na miejscu nie wydaj!
- Nie ma sprawy. I tak nie zamierzam jechać do Uludag.
- Pojedź, dobrze ci to zrobi... Zapomnicie, co było, wszystko się ułoży.
- Kto o tym wie? Nurcihan i Mehmet wiedzą?
- Sibel wie, oczywiście — odpowiedział Zaim. — Rozmawiałem z nią na ten temat. Ona bardzo cię kocha, Kemal. Rozumie, że to zwykłe ludzkie słabości wpędziły cię w tę sytuację, i chce ci pomóc się z niej wydostać.
- Doprawdy?
- Źle robisz, Kemal... Bywa, że ktoś się zadurzy w kimś zupełnie dla niego nieodpowiednim. Każdy może się zakochać... Ale w końcu udaje mu się wyjść z tego, nie rujnując sobie życia.
- Skąd się w takim razie biorą te wszystkie powieści, filmy...?
- Lubię filmy o miłości — oświadczył Zaim. — Ale w żadnym nie widziałem, żeby ktoś taki jak ty dobrze skończył... Pół roku temu na oczach wszystkich z wielką pompą zarę-

czyłeś się z Sibel. To byt wspaniały wieczór! Zamieszkaliście razem przed ślubem, wspólnie wydawaliście przyjęcia *wyah*. Powszechnie uznano to za przejaw nowoczesności, nikt was nie ganił, bo wszyscy sądzili, że wkrótce się pobierzecie. Słyszałem nawet, że niektórzy chcieli brać z was przykład. A ty nagle się wyprowadzasz! Porzucasz Sibel? Dlaczego od niej uciekasz? Zachowujesz się jak dziecko, nawet nie próbujesz się wytłumaczyć.

— Sibel wie...

— Nie wie — zaprzeczył Zaim. — Jak ma wyjaśnić ludziom, co się dzieje, skoro nie wie? Co ma im mówić, jak ma im spojrzeć w twarz? Może powinna powiedzieć: „Mój narzeczony zakochał się w ekspedientce, więc się rozstaliśmy”? Bardzo głęboko ją zraniłeś, ma do ciebie żal... Musicie ze sobą porozmawiać. W Uludag zapomnicie o wszystkim. Mogę ręczyć, że Sibel jest gotowa zachowywać się tak, jakby nic się nie stało. W Grand Hotelu będą mieszkały z Nurcihan w jednym pokoju. My z Mehmetem zarezerwowaliśmy dla siebie narożny pokój na drugim piętrze, wiesz, widać z niego zamglony szczyt. Jest tam trzecie łóżko. Pojedź z nami, będziemy szaleć aż do rana jak za młodych lat. Mehmet jest strasznie napalony na Nurcihan... Na pewno nadarzy się okazja, by sobie z niego pożartować...

— Lepszym tematem do żartów byłbym ja — oświadczyłem. — Mehmet i Nurcihan są przynajmniej razem.

— Wierz mi, nigdy bym sobie nie pozwolił na żarty z ciebie i innym też nie pozwalam — obruszył się Zaim z naiwną gorliwością. Poznałem po tym, że moje dziwactwa stały się już przedmiotem drwin, jeśli nie w całym towarzystwie, to przynajmniej w naszej paczce. Zresztą przeczuwałem to już od jakiegoś czasu.

Zdumiała mnie subtelność Zaima, który chcąc mi pomóc, wymyślił wypad do Uludag. W czasach mego dzieciństwa



i młodości ojciec, jak wielu jego kolegów z branży czy klubu i jak to było w zwyczaju w bogatych rodzinach z Nişantaşı, zabierał nas na ferie do Uludağ na narty. Uwielbiałem te wyjazdy, podczas których wszyscy się znali, zawierało się też nowe przyjaźnie, aranżowano małżeństwa i nawet najbardziej nieśmiałe dziewczyny tańczyły roześmiane przez całą noc. Gdy po latach natrafiałem na dnie szafy na rękawice narciarskie ojca albo gogle, których używał najpierw brat, a potem ja, przesywał mnie przyjemny dreszcz. Za każdym razem, gdy spoglądałem na pocztówkę z widokiem Grand Hotelu, którą matka przysłała mi do Stanów, czułem wzbierającą falę zadowolenia i tęsknoty. Podziękowałem Zaimowi.

— Nie pojedę — oświadczyłem jednak. — To mogłoby być dla mnie zbyt bolesne. Ale masz rację, muszę porozmawiać z Sibel.

— Nie ma jej *w yah*. Zatrzymała się u Nurcihan — powiedział i odwróciwszy głowę ku wypełniającemu Foyer gwarne-  
mu tłumowi, uśmiechnął się, nie zaprzatając już sobie głowy moimi problemami.

## 46. CZY TO NORMALNE ZOSTAWIĆ NA LODZIE NARZECZONA?

Zadzwoiłem do Sibel dopiero pod koniec lutego, po jej powrocie z Uludag. Obawiając się nieprzyjemnych scen, gniewu, łez, poczucia winy, nie miałem specjalnej ochoty na rozmowę z nią, czekałem, by pod jakimś pretekstem odesłała mi zaręczynową obrączkę. Pewnego dnia nie wytrzymałem jednak napięcia i zadzwoniłem. Umówiliśmy się na kolację w Foyer.

Sądziłem, że w restauracji, gdzie zawsze można było spotkać kogoś znajomego, oboje będziemy się pilnować, by się przesadnie nie wzruszać ani też nie wpadać w gniew. I na początku rzeczywiście tak było. Niedaleko nas siedzieli Hilmi Bękart z Neslihan, swą nowo poślubioną żoną, Giiven Zatapiacz Statków z rodziną, Tayfun oraz liczna grupa krewnych i znajomych Yeşim. Hilmi i jego żona podeszli nawet do naszego stolika, by powiedzieć, jak bardzo się cieszą, mogąc znów widzieć nas razem.

Jedliśmy przekąski, popijając czerwone wino marki Yakut, a Sibel opowiadała o swoim pobycie w Paryżu, o francuskich znajomych Nurcihan i świątecznie udekorowanym mieście.

- Jak się miewają twoi rodzice? — spytałem.
- Dobrze — odpowiedziała. — O niczym jeszcze nie wiedz.
- Daj spokój. Lepiej nikomu nic nie mówmy.
- Nikomu nic nie mówię... — szepnęła Sibel i rzuciła mi spojrzenie, które mówiło: „I co teraz będzie?”.

Aby zmienić temat, opowiedziałem jej o moim ojcu, który powoli wycofywał się z czynnego życia. Sibel z kolei podzieliła się nowinami o swojej matce, która niedawno nabrała zwyczaju gromadzenia starych ubrań i różnych przedmiotów. Na to ja wspomniałem o mojej, która postępowała dokładnie odwrotnie, wysyłając niepotrzebne rzeczy na wygnanie do drugiego mieszkania. Tak oto niepostrzeżenie wkroczyliśmy w niebezpieczne rejony, zamknięliśmy więc oboje. Swymi spojrzeniami Sibel dawała mi odczuć, że przejrzała moje zabiegi czynione dla podtrzymania rozmowy, co więcej, zdaje sobie sprawę, że próbuję uciec od zasadniczego tematu, bo nie mam jej nic nowego do powiedzenia.

— Widzę, że przywykłeś już do swej choroby — oświadczyła, przechodząc do sedna sprawy.

— To znaczy?

— Tyle miesięcy czekaliśmy, że może ci przejdzie. Okazałam tyle cierpliwości, Kemal, przykro jest mi więc teraz widzieć, że nie tylko nie uwolniłeś się od swojej choroby, ale wręcz ją zaakceptowałeś. Modliłam się w Paryżu o twoje zdrowie.

— Nie jestem chory — oświadczyłem. Wskazałem wypełniający Foyer wesoły, hałaśliwy tłum. — Być może ci ludzie tutaj uznaliby mój stan za chorobę... Ale nie chcę, żebyś ty tak to postrzegała.

— Czyż nie uznaliśmy tego wspólnie za chorobę?

— Uznaliśmy.

— Więc o co ci teraz chodzi? Czy to normalne zaręczyć się, a potem zostawić narzeczoną na lodzie?

— Że co?

— Z ekspedientką...

— Nie mieszaj zupełnie różnych spraw! To nie ma żadnego związku ze sprzedawczynią, bogactwem czy ubóstwem.

— A właśnie, że o to chodzi! — zawołała Sibel ze stanowczością, która wskazywała, że doszła do tego bolesnego wniosku po długich przemyśleniach. — Ta dziewczyna tak łatwo się z tobą związała, bo wyszła z biedy i pragnęła bogactwa... Gdyby nie była ekspedientką, może nie byłoby ci wstyd przed ludźmi i ożeniłbyś się z nią... To właśnie wpędziło cię w chorobę! To, że nie mogłeś się z nią ożenić, że zabrakło ci odwagi!

Wściekłem się na Sibel, bo byłem przekonany, że powiedziała to specjalnie, by mnie rozzłościć. Wściekłem się, bo jakaś część mego umysłu podszeptowała mi, że to, co powiedziała, jest prawdą.

— Mój drogi, to nie jest normalne, by ktoś taki jak ty zachowywał się tak dziwnie z powodu jakiejś dziewczyny pracującej w sklepie, by mieszkał po hotelach w Fatihu. Jeśli chcesz wyzdrowieć, musisz przyjąć to do wiadomości.

— Oczywiście twoim zdaniem wcale nie byłem w tej dziewczynie zakochany... Ale jestem gotów spierać się na temat, czy człowiek nie może się zakochać w kimś, kto stoi niżej od niego. Czy miłość między bogatym a biednym jest niemożliwa?

— W związku takim jak nasz miłość opiera się na równowadze, na równorzędności partnerów. Czy widziałeś gdziekolwiek, poza tureckimi filmami, by bogata dziewczyna wyszła za mąż za jakiegoś dozorcę Ahmeda czy majstra budowlanego Hasana, bo zakochała się w nim tylko dlatego, że był przystojny?

Sadi, kierownik sali, zbliżał się do nas z wyrazem twarzy mającym świadczyć, jak wielkim szczęściem jest dla niego znowu nas widzieć, dostrzegł jednak, że wdaliśmy się w ożywioną

dyskusję, i zatrzymał się w pół drogi. Dałem mu ręką znak, by zaczekał chwilę, i zwracając się do Sibel, rzuciłem:

— Ja tam wierzę tureckim filmom.

— Kemal, przez tyle lat ani razu nie widziałam, żebyś poszedł na turecki film. Nawet dla zabawy nie chciałeś chodzić z nami do letniego kina.

— Życie w hotelu Fatih przypomina tureckie filmy, uwierz mi. Wieczorami, przed snem, spaceruję po tych pustych, zaniedbanych uliczkach. Dobrze mi to robi.

— Na początku sądziłam, że za tą sprawą z ekspedientką kryje się Zaim — stwierdziła Sibel stanowczo. — Myślałam, że wzorujesz się na nim, że pozazdrościłeś mu tej jego imitacji *dolce vita* z tancerkami brzucha, panienkami do towarzystwa, niemieckimi modelkami. Rozmawiałam z nim i nabrałam przekonania, że twoim problemem jest kompleks (modne w owych czasach słowo) bycia bogatym w biednym kraju. A to już poważniejsza sprawa niż przelotna przygoda z jakąś tam sprzedawczynią.

— Być może tak rzeczywiście jest... — wtrąciłem.

— Bogaci ludzie w Europie zachowują się tak, jakby wcale nie byli bogaci. To jest oznaka cywilizacji. Moim zdaniem kulturalne zachowanie nie polega na tym, by wszyscy byli wolni i sobie równi, ale na traktowaniu wszystkich jednakowo uprzejmie, jakby wszyscy byli wolni i sobie równi. Wtedy nikt nie będzie czuł się winny.

— Hm, nie na darmo przebywałaś na Sorbonie... Zamówimy rybę?

Zbliżającego się do naszego stolika Sadiego spytaliśmy najpierw o zdrowie („Nie narzekam, Bogu niech będą dzięki!”), pracę („Jesteśmy jak jedna rodzina, panie Kemal, co dzień przychodzą ci sami goście...”) i sytuację polityczną („Przez ten prawicowo-lewicowy terror strach wyjść na ulicę!”). Znałem

Sadiego od dawna, jeszcze z restauracji Abdullaha Efendiego w Beyoglu, dokąd mój ojciec często zachodził, zanim otwarto Foyer. Sadi zobaczył morze po raz pierwszy w życiu dopiero jako dziewiętnastolatek, gdy trzydzieści lat temu przyjechał do Stambułu, ale szybko nauczył się od właścicieli starych greckich winiarni i słynnych kelnerów Greków sztuki wybierania i przyrządzania ryb. Pokazał nam ułożone na tacy barweny, dużego i tłustego *lufera\**, morskie okonie, które tego ranka osobiście wybrał na rybnym targu. Powąchaliśmy je, oceniliśmy świeżość po błyszczących oczach i jaskrawej czerwieni skrzeli. Potem poskarżyliśmy się na rosnące zanieczyszczenie morza Marmara. Sadi powiedział, że często wyłączają wodę, dlatego prywatna firma dowozi ją co dzień do Foyer cysterną. Nie kupili jeszcze generatora, aby zaradzić wyłączeniom prądu, ale trzeba przyznać, że klienci lubią w niektóre wieczory zjeść kolację w świetle świec i lamp gazowych. Sadi dolał nam wina do kieliszków i dyskretnie się oddalił.

— Pamiętasz tego rybaka i jego syna, których głosy słyszeliśmy w nocy w *yahl* — spytałem. — Niedługo po tym, jak wyjechałaś do Paryża, przestali się pojawiać. Zrobiło się jeszcze zimniej, byłem sam, nie mogłem tam wytrzymać...

Uwagę Sibel zwrócił przepraszający ton mych słów. Aby skierować rozmowę na inne tory, wspomniałem, że często myślę o tych rybakach (przypomniały mi się kolczyki z perłami, które dał mi ojciec).

— Pewno wyruszyli śladem ławic *lufarów* i *palamutów\*\** — orzekłem i dodałem, że w tym roku połowy obu tych gatunków były udane, nawet w Fatihi widziałem ulicznych

\* *Lii/er* — tasergal, ryba okoniokształtna.

\*\* *Palamut* — pelamida, ryba z rodziny makrełowatych.

handlarzy z wózkami sprzedających *palamuty*, za którymi gromadnie ciągnęły koty. Serwując nam dania, Sadi stwierdził, że ceny turbotów bardzo wzrosły, bo Bułgarzy aresztowali tureckich rybaków, którzy w pogoni za tymi rybami zapuszczają się na ich wody przybrzeżne. Gdy tak gawędziłem z Sadim, dostrzegłem, że Sibel wpada w coraz gorszy nastrój. Wiedziała, że nie mam jej nic nowego do powiedzenia, nic, co przywróciłoby jej nadzieję, a wdaję się w te pogawędki, żeby nie rozmawiać o naszej sytuacji. Chciałbym móc rzucić coś swobodnie na ten temat, ale nic mi nie przychodziło do głowy. Na widok pełnego bólu wyrazu jej twarzy zdałem sobie sprawę, że nie będę w stanie dłużej jej okłamywać, i zaniepokoiłem się.

— Patrz, Hilmi i jego żona wychodzą — powiedziałem. — Może zaprosimy ich na chwilkę do naszego stolika? Byli wobec nas tacy mili. — Sibel nie odezwała się. Pomachałem do wychodzących ręką, ale mnie nie zauważyli.

— Nie wołaj ich — poprosiła Sibel.

— Dlaczego? Hilmi to dobry chłopak. A ty lubisz tę, jakże to ona ma na imię, jego żonę, czyż nie?

— Co z nami będzie?

— Nie wiem.

— W Paryżu rozmawiałam z Leclerą (profesor ekonomii, którego Sibel darzyła wielkim szacunkiem). Uważa, że powinnam zająć się doktoratem.

— Wyjedziesz do Paryża?

— Tu nie jestem szczęśliwa.

— Pojechać z tobą? — spytałem. — Mam teraz dużo roboty. Nie odpowiedziała. Czułem, że już podjęła decyzję co do naszej przyszłości, ale jakaś kwestia nie daje jej jeszcze spokoju.

— Jedź do Paryża — powiedziałem, czując się jednak nieswojo. — Uporządkuję sprawy i dołączę do ciebie.

/

— Jest jeszcze coś, Kemalu... Przepraszam, że poruszam ten temat. Ale dziewictwo... nie jest tak ważne, by usprawiedliwiało twoje zachowanie.

— To znaczy?

— Jeśli jesteśmy nowocześni, zeuropeizowani, nie jest niczym ważnym... Lecz jeśli przywiązujemy wagę do tradycji, a dla ciebie fakt, że dziewczyna jest dziewicą, ma znaczenie i uważasz, że dziewictwo należy szanować... to w tej kwestii powinieneś każdą traktować jednakowo!

Z początku nie rozumiałem, co ma na myśli. Potem przypomniałem sobie, że ona także poszła na całość wyłącznie ze mną. Miałem ochotę powiedzieć jej: „Ale dla ciebie to nie jest to samo co dla niej, ty jesteś bogata i nowoczesna!”, ale tylko spuściłem głowę i milczałem, zakłopotany.

— Kemalu, jest jeszcze jedna rzecz, której nigdy ci nie wybaczę... Skoro nie mogłeś się z nią rozstać, czemu w ogóle zaręczyłeś się ze mną, czemu jak najszybciej nie zerwałeś zaręczyn?! — Jej głos wręcz drżał z wściekłości. — Skoro tak się to miało skończyć, dlaczego przeprowadziliśmy się do *yah* i razem, jak małżeństwo, przyjmowaliśmy gości, dlaczego żyliśmy tam ze sobą bez ślubu, na oczach wszystkich, w takim kraju jak ten?

— Takiej intymności, bliskości, przyjaźni, jaka połączyła nas w *yah*, nie przeżyłem z nikim innym...

Te słowa jeszcze bardziej wzburzyły Sibel. Z gniewu i żalu była bliska płaczu.

— Przepraszam — powiedziałem. — Bardzo przepraszam...

Zapadła złowroga cisza. Aby ją jakoś przerwać, nie pozwolić, by Sibel się rozpłakała, energicznie pomachałem ręką w stronę Tayfuna i jego żony, którzy czekali, aż kelner zaprowadzi ich do stolika. Ucieszyli się na nasz widok i na moje nalegania dosiedli się do nas.



— Wiecie co? Stęskniłem się już za waszymy*ah* — oświadczył Tayfun.

Latem często nas odwiedzał. Czuł się jak u siebie w domu, zaglądał do lodówki, przygotowywał przekąski i napoje dla gości, czasem ogarniała go kulinarna pasja i spędzał całe godziny w kuchni na gotowaniu, jednocześnie rozwodząc się nad szczegółami budowy przepływających przez Bosfor radzieckich i rumuńskich tankowców.

— Pamiętacie, jak któregoś wieczoru przysnąłem w ogrodzie, a wszyscy w panice mnie szukali... — zaczął wspominać minione lato. Poczułem graniczący z podziwem szacunek dla Sibel, która nie dając nic po sobie poznać, słuchała opowieści Tayfuna, uśmiechała się, a nawet wtrącała żarciki.

— No to kiedy się pobieracie? — spytała Figen, żona Tayfuna.

Czyżby nie słyszeli plotek na nasz temat?

— W maju — odpowiedziała Sibel. — Wesele będzie także w Hiltonie... Musicie obiecać, że wszyscy ubierzecie się na biało, jak w *Wielkim Gatsbym*. Widzieliście ten film? — nagle spojrzała na zegarek. — Ach, za pięć minut mam się spotkać z mamą! — wykrzyknęła, choć jej rodzice byli przecież w Ankarze.

Wybiegła, pospiesznie ucałowała najpierw Tayfuna i Figen, a potem mnie w oba policzki. Posiedziawszy jeszcze chwilę, ja również opuściłem Foyer i poszedłem do kamienicy Zmiłowanie, gdzie znów próbowałem szukać pocieszenia wśród pamiątek po Fiisun. Tydzień później Sibel, za pośrednictwem Zaima, odesłała mi zaręczynową obrączkę. Choć dochodziły mnie czasami wieści o niej, nie spotkaliśmy się przez następnych trzydzieści jeden lat.

## 47. ŚMIERĆ OJCA

Wieść o zerwaniu zaręczyn szybko się rozeszła. Któregoś dnia Osman przyszedł do firmy i zbesztawszy mnie, oświadczył, że jest gotów pośredniczyć między mną a Sibel i jakoś ją ułagodzić. Krążyły plotki, że zwariowałem, prowadzę nocne życie, przyłączyłem się do tajnej sekty w Fatihu, ba! nawet zostałem komunistą i jak bojówkarze żyję w *gecekond*\*. Nie przejmowałem się jednak nimi zbytnio. Co więcej, uroiłem sobie, że gdy Fiisun dowie się o zerwanych zaręczynach, wyjdzie z ukrycia i skontaktuje się ze mną. Pożegnałem się też z nadzieją, że kiedykolwiek uwolnię się od mojej choroby, i zamiast próbować wyzdrowieć, wolałem rozkoszować się moim bólem, śmiało zapuszczałem się na oznaczone pomarańczowym kolorem zakazane ulice Nişantaşı, cztery razy w tygodniu odwiedzałem kamienicę Zmiłowanie i za pomocą pamiątek po Fiisun odzyskiwałem spokój. Mogłem mieszkać razem z ro-

\* *Gecekond* — zbudowane nocą. Są to slumsy, bieda-domki wzniesione w ciągu jednej nocy (zadaszonych policja nie miała prawa zburzyć).

dzicami w naszym domu, w swoim pokoju, matka jednak nie potrafiła się pogodzić z zerwaniem zaręczyn i ukrywając tę złą wiadomość przed ojcem, który, jak to określała, „źle się czuł i zupełnie opadł z sił”, uczyniła z zaręczyn temat tabu — nie chciała o tym w ogóle rozmawiać, więc gdy odwiedzałem rodziców, a robiłem to często, zjadałem z nimi kolację, siedząc w milczeniu przy stole, ale nie zostawałem na noc. W mieszkaniu w Nişantaşı było poza tym coś, co wznagało odczuwany przeze mnie ból brzucha, dlatego wolałem tam nie nocować.

Gdy na początku marca zmarł mój ojciec, przeprowadziłem się z powrotem do domu. Smutną wiadomość przyniósł mi Osman, który chevroletem ojca przyjechał do mnie aż na Fatih. Nie chciałem, by wszedł na górę i zobaczył panujący w moim małym pokoju nieład, dziwne przedmioty, które kupiłem podczas pieszych wypraw od handlarzy starzyzną, w sklepach spożywczych i antykwariatach. Ale on tylko popatrzył na mnie smutno, tym razem bez cienia pogardy, po czym serdecznie mnie uściskał. W pół godziny spakowałem się, zapłaciłem za pokój i opuściłem hotel. Na widok zrozpaczonego, zapłakanego szofera przypomniałem sobie, że w swej ostatniej woli ojciec polecił mi, bym zaopiekował się **Cetinem** i autem. Był ponury, ołowianoszary zimowy dzień. Gdy prowadzony przez **Cetina** samochód jechał mostem Atatiirka, patrzyłem na wody Złotego Rogu, których kolor zmieniał się od seledynu po metalicznie burą barwę błota, a bijący od nich chłód wywoływał we mnie uczucie osamotnienia.

Ojciec zmarł na niewydolność krążenia, w półśnie, tuż po siódmej, podczas *eżanu*\*. Kiedy matka się zbudziła, sądziła, że jeszcze śpi. Doznała wstrząsu, gdy pojęła, co się stało, trzeba

\* *Ezan* — wezwanie wiernych do modlitwy, śpiewane z minaretu przez muezina.

jej było podać środek uspokajający. Teraz siedziała w salonie, tam gdzie zawsze, w swoim fotelu, naprzeciwko fotela ojca, i roniąc łzy, co jakiś czas wskazywała na pusty fotel. Na mój widok się ożywiła. Bez słowa objęliśmy się i przytuliliśmy do siebie z całej siły.

Poszedłem do sypialni zobaczyć ojca. Leżał, jakby spał, w piżamie, na wielkim orzechowym łożu, które przez prawie czterdzieści lat dzielił z matką, lecz w jego sztywnej pozycji, bladej cery i wyrazie twarzy było coś, co sprawiało, że nie wyglądał na śpiącego, lecz przestraszonego. Śmierć zaskoczyła go we śnie, z przerażeniem otworzył oczy i na jego twarzy zastygł wyraz zdziwienia i strachu, jak u uczestnika wypadku drogowego, który usiłuje zasłonić się przed nieuchronnym zderzeniem. Rozpoznałem te pomarszczone dłonie kurczowo ściskające brzeg kołdry, pokrywające je plamy, włosy, linie, zapach wody kolońskiej. To były znajome dłonie, które tysiące razy głaskały mnie po głowie, klepały po plecach i ramionach, dłonie, których dotyk uszczęśliwiał mnie w dzieciństwie. Lecz teraz skóra na nich tak zbielała, że pełen lęku, nie byłem w stanie ich ucałować.

Chciałem zobaczyć jego ciało w tej samej co zawsze jedwabnej piżamie w niebieskie pasy, ale kołdra o coś się zaczepiła i nie mogłem jej odsunąć. Gdy mocowałem się z nią, zsunęła się, odsłaniając lewą stopę. Wiedziony impulsem, spojrzałem na duże paluch. Miał dokładnie taki sam jak mój — co widać na tej czarno-białej fotografii, którą kazałem powiększyć — dość niezwykły kształt. Kolega ojca, Ciineyt, odkrył owo zadziwiające podobieństwo ojca i syna dwanaście lat temu, gdy w kąpielówkach siedzieliśmy na pomoście w Suadiye, a potem ilekroć nas widział, zawsze przypominał sobie o tym i ze śmiechem pytał: „Jak się macie, Paluchy?”.

Zamknąłem drzwi i myśląc o ojcu, szykowałem się, by zapłakać nad Fiisun, ale nie mogłem. Nagle zupełnie innym wzrokiem popatrzyłem na pokój, w którym rodzice spędzili tyle lat, na centralny punkt mojego dzieciństwa, wciąż pachnący wodą kolońską, zakurzonymi dywanami, pastą do podłóg, drewnem i perfumami mojej matki; na zasłony, barometr, który ojciec pokazywał mi, kiedy brał mnie na ręce. Jakby oś, wokół której krążyło moje życie, rozwiąła się, rozproszyła, przeszłość została pogrzebana. Otworzyłem szafę i po kolei brałem do ręki niemodne już krawaty ojca, paski, buty, które kazał co jakiś czas pastować i polerować, choć już od lat ich nie nosił. Na odgłos kroków w korytarzu ogarnęło mnie poczucie winy, takie samo, jak to, które odczuwałem, gdy w dzieciństwie grzebałem w ojcowej szafie. Szybko zamknąłem skrzypiące drzwi. Na szafce przy łóżku leżały pudełka lekarstw, krzyżówki, poskładane gazety, okulary do czytania, stały tam też ulubiona fotografia z wojska, przedstawiająca ojca popijającego *raki* z oficerami, i szklanka z protezą. Wyjąłem ją i zawinawszy w chusteczkę, włożyłem do kieszeni. Poszedłem do salonu i usiadłem na fotelu ojca naprzeciwko matki.

— Mamusiu, zabrałem protezę ojca, mówię ci o tym, żebyś jej nie szukała.

Skinęła głową, jakby mówiła: rób, co uważasz. — Koło południa zjawili się liczni krewni, znajomi, przyjaciele, sąsiedzi. Składali matce wyrazy współczucia, obejmowali ją. Drzwi były otwarte, winda jeździła w dół i w górę. Wkrótce zebrał się tłum, przywodzący mi na myśl dawne spotkania z okazji Święta Ofiar, wspólne obiady. Zauważyłem, że czuję się naprawdę dobrze w otoczeniu tylu krewnych, stryjecznych braci o szerokich czołach i nosach jak kartofle, tak podobnych jeden do drugiego, w hałaśliwej i serdecznej atmosferze rodzinnego spotkania. Usiedliśmy z Berrin na kanapie i obgadywaliśmy po

kolei kuzynów. Bawiło mnie, że Berrin tak bacznie wszystkich obserwuje i wie o rodzinie więcej niż ja. Razem z innymi wymieniałem szeptem uwagi, pozwoliłem sobie nawet na drobne żarty, wspomniałem o obejrzanym w telewizji w holu hotelu Fatih ostatnim meczu piłki nożnej (Fenerbahçe wygrało z Boluspor dwa do zera). Zasiadłem do stołu, by zjeść *sigara bóregi*\*, które kucharz Bekri usmażył mimo żałoby. Często zachodziłem do sypialni i spoglądałem na wciąż leżące na łóżku ciało ojca w piżamie. Tak, nie poruszał się. Otwierałem szafy, wysuwałem szuflady i dotykałem znajdujących się tam przedmiotów. Wiele z nich budziło we mnie wspomnienia z dzieciństwa. Śmierć ojca zmieniła te tak dobrze znane mi od dawna rzeczy w cenne relikty utraconej przeszłości. Otworzyłem szufladkę szafki nocnej i wdychając rozchodzący się z niej zapach syropu na kaszel i drewna, długo przyglądałem się starym rachunkom za telefon, telegramom, pudełkom aspiryny i innych lekarstw, jakbym patrzył na fotografię.

Przypominam sobie, że zanim pojechałem z **Cetinem** załatwiać formalności pogrzebowe, przez dłuższą chwilę wyglądałem przez okno na aleję Teşvikiye, wspominając dzieciństwo. Wraz z odejściem ojca nie tylko codzienne przedmioty, ale także zwyczajne widoki ulic stawały się pamiątkami po minionym świecie, niezbędnymi, by utworzyć pełną znaczeń całość. Powrót do domu oznaczał powrót do centrum tego świata i z tego powodu ogarniała mnie nieskrywana radość, a jednocześnie pojawiło się poczucie winy, silniejsze niż u każdego innego mężczyzny, któremu umarł ojciec. W lodówce znalazłem małą butelkę *yeni raki*, opróżnioną przez ojca poprzedniego wieczora.

\* *Sigara bóregi* — ruloniki z ciasta nadziewane białym serem, smażone na tłuszczu i podawane na gorąco.

ru do połowy. Gdy wszyscy goście wyszli, usiadłem z matką i bratem i wypiliśmy ją do dna.

— Widzicie, jak ojciec mnie potraktował? — poskarżyła się matka. — Nawet gdy umierał, nic mi nie powiedział.

Po południu ciało ojca zostało zabrane do kostnicy przy meczecie Sinana Paszy w Beşiktaşu. Matka nie pozwoliła zmienić prześcieradła ani poszewek — chciała zasnąć, wciąż czując zapach ojca. Razem z bratem położyliśmy ją do łóżka i podaliśmy jej środek nasenny. Powąchała pościel, popłakała trochę i zasnęła. Gdy Osman poszedł do siebie, położyłem się i pomyślałem, że wreszcie spełniło się moje marzenie z dzieciństwa — w końcu zostałem w tym domu sam z mamą.

Ale nie to napełniało mnie radością, której nie byłem w stanie ukryć przed samym sobą, lecz szansa, że Fiisun pojawi się na pogrzebie. Tylko z tego powodu w zamieszczonych w gazetach nekrologach wymieniłem imiona także dalekich krewnych\*. Cały czas wyobrażałem sobie, że gdzieś w Stambule Fiisun i jej rodzice przeczytają jeden z nich i wybiorą się na pogrzeb. Ciekawe, którą gazetę czytują? Oczywiście wiadomość o śmierci ojca mogła dotrzeć do nich również za pośrednictwem innych krewnych, których wspominałem w nekrologach. Następnego dnia przy śniadaniu matka przeczytała wszystkie ogłoszenia i zaczęła narzekać:

— Sidika i Saffet są krewnymi zarówno ze strony waszego ojca, niech Allah ma jego duszę w swojej opiece, jak i mojej, dlatego należało ich wymienić po Perran i jej mężu. Córki Şiikru Paszy, Nigan, Tiirkan i Şiikran, też są umieszczone w złej kolejności... Po co było wspominać o pierwszej żonie szwagra Zekeriyi, Melike Arabce? Byli małżeństwem niecałe trzy mie-

\* W Turcji w nekrologach wymienia się krewnych i powinowatych zmarłego.

siące. A zmarła jako dwumiesięczne niemowlę córeczka waszej ciotecznej babki Nesime miała na imię nie Gul, lecz AyŞegiil... Trzeba się było zapytać, zanim żeście to napisali!

— Ależ mamusiu, to wszystko błędy w druku, wiesz, jakie są gazety... — tłumaczył Osman. Staraliśmy się przekonać matkę, która co chwila wyglądając przez okno na dziedziniec meczetu Teşvikiye, rozważała, w co się ubrać, że w taki zimny, śnieżny dzień nie powinna wychodzić z domu: — Nie wypada wkładać futra, będzie wyglądało, jakbyś szła na przyjęcie do Hiltona.

— Choćbym miała umrzeć, podczas pogrzebu waszego ojca nie będę siedziała w domu! — oświadczyła matka.

Ale gdy przywieziona z kostnicy karawanem trumna z ciałem ojca została ustawiona na *musalla taşi*\*, matka zaniósła się takim płaczem, że było jasne, iż w tym stanie nie może wziąć udziału w ceremonii. Potem, gdy na wypełnionym ludźmi dziedzińcu meczetu odprawiano żałobne modły, podtrzymywana przez Fatmę i Bekriego, ubrana w karakułowe futro, zdołała mimo potężnej dawki środków uspokajających wyjść na balkon i tam na widok trumny przenoszonej na ramionach do karawanu zasłabła. Wiał silny *poyraz*, ciskając ludziom w oczy drobinki zlodowaciałego śniegu. Mało kto ze zgromadzonego przy meczecie tłumu dostrzegł matkę. Gdy Bekri i Fatma wprowadzili ją z balkonu z powrotem do mieszkania, zacząłem rozglądać się dookoła. Na pogrzeb przyszli ci sami ludzie, którzy bawili się na moich zaręczynach z Sibel w hotelu Hilton.

Zimą zawsze miałem wrażenie, że ładne dziewczyny, których pełno było latem na ulicach Stambułu, gdzieś znikły, ko-

\* *Musalla taşi* — kamienna płyta, kształtem przypominająca stół, na której ustawia się trumnę podczas ceremonii pogrzebowej na dziedzińcu meczetu.



biety zbrzydły, a mężczyźni mieli bardziej ponure i złowrogie miny. Tak samo jak podczas zaręczyn, setkom ludzi podawałem dłonie, z wieloma się uściskałem i za każdym razem, gdy dostrzegałem w tłumie kolejne widmo Fiisun, czułem ukłucie bólu wywołane w równym stopniu utratą ojca, jak rozczarowaniem, że to nie była ona. Zrozumiałem, że ani Fiisun, ani jej rodzice nie przyszli na żałobne nabożeństwo, nie pojawili się też na cmentarzu i już się nie pojawią. Poczuję się tak, jakby wraz z trumną ojca składano w lodowatej ziemi także mnie samego.

Rodzina, która podczas pogrzebu nie tylko z powodu zimna zbliżyła się do siebie, po uroczystości nie chciała się rozstawać. Ja jednak uciekłem od nich, pojechałem taksówką do kamienicy Zmiłowanie. Zaciągając się głęboko atmosferą mieszkania, która napawała mnie spokojem, sięgnąłem po przedmioty, o których z doświadczenia wiedziałem, że mają największą moc pocieszania mnie: należący do Fiisun ołówek oraz filiżankę, nigdy nie umyłą po jej zniknięciu. Położyłem się na łóżku. Dotykanie tych przedmiotów szybko zmniejszyło ból i niepokój, jaki odczuwałem.

Czytelnikom książki i zwiedzającym muzeum, ciekawym, czy cierpiałem dlatego, że zmarł mój ojciec, czy dlatego, że Fiisun nie przyszła na pogrzeb, chcę powiedzieć, że dręczący mnie ból stanowił jedność. Prawdziwy miłosny ból zagnieżdża się w podstawach naszego bytu, opanowuje nasze najsłabsze punkty i ściśle łącząc się z innymi, niepowstrzymanie rozlewa się po całym ciele, ogarnia całe życie. Jeśli jesteśmy nieszczęśliwie zakochani, każde przykre zdarzenie, od śmierci ojca po zwyczajnego pecha, jakim jest na przykład zgubienie kluczy, każde zmartwienie, rozterka, niepokój działają jak zapalnik bomby, budząc zasadniczy ból, gotowy w każdej chwili rozdać się jak balon. Ktoś taki jak ja, czyje życie za sprawą miłości

wywróciło się do góry nogami, sądzi, że uwolnienie się od miłosnego bólu rozwiąże wszystkie jego problemy, i przez to mimo woli jeszcze bardziej rozdrapuje rany swej duszy.

Niestety, w żadnej mierze nie postępowałem zgodnie z tymi zasadami, które z całą jasnością pojąłem, jadąc taksówką w dniu, gdy pochowałem ojca. Spowodowana miłością udręka bowiem z jednej strony hartowała mego ducha i czyniła ze mnie człowieka bardziej dojrzałego, z drugiej jednak całkowicie zawładnęła moim umysłem i nie pozwalała, bym szerzej korzystał z daru logicznego myślenia, który zsyłała mi dojrzałość. Ktoś, kto tak jak ja przez długi czas był zakochany w wyjątkowo destrukcyjny sposób, będzie nadal posługiwał się logiką, o której dobrze wie, że jest fałszywa, będzie dokonywał posunięć, co do których ma świadomość, że przyniosą mu wyłącznie rozczarowanie. I z upływem czasu coraz wyraźniej będzie dostrzegał, że wszystko, co zrobił, było niewłaściwe. Najdziwniejszą rzeczą, nad którą człowiek wcale się nie zastanawia, jest to, że nasza zdolność do logicznego myślenia nawet w najgorszych momentach nie przestaje działać i choć nie potrafi przeciwstawić się sile uczuć, z bezlitosną szczerością wciąż nam podszeptuje, że większość naszych poczynań nie przyniesie żadnego rezultatu oprócz spotęgowania miłości i zwiększenia bólu. Przez dziewięć miesięcy po utracie Fiisun ten szept rozsądku stale przybierał na sile, stawał się coraz donośniejszy, pozwalając mi żywić nadzieję, że pewnego dnia zawładnie całym moim umysłem i uwolni mnie od bólu. Ale miłość połączona z nadzieją (choćby była to nadzieja na wyleczenie z miłosnej choroby) nie tylko przynosiła mi ból, lecz dawała także siłę do życia, dlatego jedynym tego skutkiem było dalsze przedłużanie cierpienia.

Gdy leżałem na łóżku w kamienicy Zmiłowanie i starałem się złagodzić żalność (utrata ojca oraz utrata ukochanej zlały się

teraz w jeden ból bycia samotnym i niekochanym) za pomocą związanych z Fiisun przedmiotów, zaczynałem pojmować, dlaczego ani ona, ani jej rodzice, a zwłaszcza ciocia Nesibe, która zawsze dbała o dobre relacje z moją matką, nie przyszli na pogrzeb. Nie potrafiłem jednak przyznać, że winę za to ponosiłem ja sam. Oznaczałoby to bowiem, że zawsze będą przede mną uciekać i do końca życia już nigdy nie ujrzę Fiisun. Myśl ta była tak nieznośna, że musiałem jak najszybciej wyrzucić ją z głowy. Zacząłem szukać czegoś, co dałoby mi nadzieję na rychłe spotkanie z Fiisun.

## 48. NAJWAŻNIEJSZE W ŻYCIU TO BYĆ SZCZĘŚLIWYM

— Rozpowiadasz podobno, że Kenan jest odpowiedzialny za nieprawidłowości w rachunkach firmy — powiedział mi na ucho pewnego wieczoru Osman. Czasem z Berrin i dziećmi, częściej sam, odwiedzał matkę i wtedy we trójkę jedliśmy kolację.

— Skąd wiesz?

— Słyszałem — powiedział Osman, rzucając spojrzenie w głąb mieszkania, gdzie przed chwilą zniknęła matka. — Skompromitowałeś się w towarzystwie, więc choć oszczędź sobie wstydu w firmie — oświadczył z całą bezwzględnością (choć sam nie przepadał za słowem „towarzystwo”). — Kontrakt na pościel straciliśmy wyłącznie z twojej winy! — dodał.

— O co chodzi, o czym rozmawiacie? — spytała matka.  
— Tylko się nie kłóćcie.

— Nie kłóćmy się — uspokoił ją Osman. — Mówiłem, jak to dobrze, że Kemal wrócił do domu. Prawda, mamo?

— Ach, synku, to bardzo dobrze. Niech ludzie mówią, co chcą, najważniejsze w życiu to być szczęśliwym. Wasz ojciec

nieboszczyk też tak mówił. W tym mieście nie brak ładnych dziewczyn, znajdziemy jeszcze piękniejszą, miłszą, bardziej wyrozumiałą. Zresztą kobieta, która nie lubi kotów, nie jest w stanie uszczęśliwić mężczyzny. Więc nie ma się co smucić. Obiecay mi, że już nigdy więcej nie będziesz mieszkał po hotelach.

— Pod jednym warunkiem — jak dziecko powtórzyłem wypowiedziane dziewięć miesięcy wcześniej słowa Fiisun.

— Ze będę mógł zatrzymać samochód ojca i **Cetina**...

— Dobrze — zgodził się Osman. — Jeśli **Cetin** się zgadza, ja nie mam nic przeciwko temu. Ale za to ty trzymaj się z dala od Kenana i nowej spółki i nie obrzucaj nikogo błotem!

— I nie kłóćcie się, zwłaszcza przy ludziach! — dodała matka.

Rozstanie z Sibel sprawiło, że rozluźniły się moje kontakty z Nurcihan, a to z kolei spowodowało, że coraz rzadziej widywałem zakochanego w niej po uszy Mehmeta. A ponieważ i Zaim coraz więcej czasu spędzał z nimi, zacząłem powoli oddalać się od całej paczki. Kilka razy — w nadziei nie na rozrywkę, lecz na wyleczenie się z choroby — wybrałem się wieczorem do miasta w towarzystwie kolegów, Hilmiego Bękartta czy Tayfunu, którzy choć mieli dziewczyny, byli żonaci lub zaręczeni, nie zamierzali rezygnować z uroków nocnego życia i doskonale znali najdroższe przybytki cielesnych uciech oraz hotelowe bary, gdzie przesiadywały nieco bardziej wykształcone i obyte prostytutki, zwane studentkami. Ponieważ jednak miłość do Fiisun rozlała się z głębokiego zakątka mej duszy i ogarnęła mnie całego, ograniczyłem się jedynie do pogawędek z kolegami i nie posunąłem dość daleko, by móc zapomnieć o mojej udreće. Wieczorami rzadko zresztą wychodziłem z domu, siedziałem z matką przed telewizorem, ze szklaneczką

*raki*, i oglądałem to, co akurat pokazywali na jedynym kanale państwowej telewizji.

Matka, tak samo jak to robiła za życia ojca, bezlitośnie krytykowała wszystko, co widziała na ekranie, i napomniawszy mnie, tak samo jak przedtem ojca, bym tyle nie pił, zasypiała w fotelu. Wtedy z Fatmą zaczynaliśmy wymieniać szeptem uwagi o programie. Fatma nie miała, jak służące w zagranicznych filmach, osobnego telewizora w swoim pokoju. Gdy cztery lata temu rozpoczęto nadawanie programu, kupiliśmy telewizor i od tej pory co wieczór Fatma przysiadła w najdalszym kącie salonu, na krześle, które stało się „jej” krzesłem, wpatrując się stamtąd w ekran telewizora; w co bardziej poruszających momentach nerwowo poprawiała węzeł zawiązanej pod brodą chustki, czasem włączała się do rozmowy. Teraz odzywała się częściej, gdyż po śmierci ojca to właśnie jej przypadło w udziale odpowiadanie na nie kończące się monologi matki.

Któregoś wieczoru, gdy matka zasnęła w fotelu, ja i Fatma, nie mając pojęcia o łyżwiarstwie, podziwialiśmy wraz z całą Turcją ewolucje na lodzie długonogich norweskich i radzieckich piękności, gawędząc przy tym o matce, coraz cieplejszych dniach, zamachach na ulicach i szkodach, jakie wyrządza wszelkiego rodzaju polityka, o synu Fatmy, który najpierw pracował u mojego ojca, a potem wyjechał do Niemiec i otworzył tam bar z kebabem, i stwierdziliśmy oboje, że w gruncie rzeczy życie jest piękne. W pewnym momencie rozmowa zeszała na mój temat.

— Wiercipazurze, już nie dziurawisz skarpetek, brawo... Paznokcie równiutko przycinasz. Dam ci za to, Kemalku, coś w prezencie...

— Nożyczki do paznokci?

— Nie, masz przecież już dwie pary. I jeszcze te po ojcu, to razem trzy. Coś innego.

- Co takiego?
- Chodź, pokażę ci.

Poszedłem za nią, wyczuwając z tonu, jakim mówiła, że chodzi o coś ważnego. Weszła na chwilę do swojego pokoiku, potem zapaliła światło w mojej sypialni i uśmiechając się, jakby chciała sprawić niespodziankę dziecku, wyciągnęła w moją stronę otwartą dłoń.

— Co to? — spytałem i serce zaczęło mi walić jak młotem.

— Pojedynczy kolczyk. Należy do ciebie, prawda? — powiedziała. — Motylek i jakaś litera czy co? Dziwny jakiś.

— Tak, to mój...

— Znalazłam go w kieszeni twojej marynarki, będzie już pewno z parę miesięcy temu. Odłożyłam, by ci go zwrócić. Ale twoja matka go zabrała. Pewnie myślała, że ojciec nieboszczyk chciał go komuś dać, nie spodobało jej się to. Ona ma taki aksamitny woreczek, do którego w tajemnicy przed ojcem — Fatma uśmiechnęła się — wkładała różne rzeczy, podkładała je i chowała. Tam go trzymała. Po śmierci ojca rozłożyła wszystko na jego biurku. Jak zobaczyłam ten kolczyk, od razu przypomniałam sobie, że to twój, i go zabrałam. I jeszcze ta fotografia z kieszeni marynarki ojca, weź ją, żeby matka nie widziała. Dobrze zrobiłam?

— Bardzo, bardzo dobrze, Fatmo! — zawołałem. — Jesteś taka mądra, taka dyskretna, jesteś po prostu cudowna!

Uradowana, podała mi kolczyk i zdjęcie. Przedstawiało mojego ojca i jego zmarłą kochankę jedzących razem obiad u Abdullaha. W tej smutnej dziewczynie, widocznych za nią statkach i morzu było coś, co przypominało mi Fiisun.

Nazajutrz zadzwoniłem do Ceydy. Dwa dni później spotkaliśmy się w Macce i poszliśmy na spacer do parku Taşhk. Elegancko ubrana, włosy miała uczesane w kok. Biła od niej promienna radość właściwa kobietom, które niedawno zostały

matkami, i wypływająca z osiągniętej dojrzałości pewność siebie. W ciągu tych dwóch dni napisałem bez większego wysiłku kilka listów do Fiisun, jeden z nich, ten brzmiący najbardziej racjonalnie i chłodno, włożyłem do żółtej koperty z nadrukiem firmowym Satsat i tak jak to sobie wcześniej zaplanowałem, wręczyłem go Ceydzie, mówiąc ze zmarszczonym czołem, że nastąpiły pewne ważne wydarzenia i musi tę wiadomość koniecznie przekazać Fiisun. Spodziewałem się, że jeśli nie wspomnę o treści listu i nadam sprawie aurę tajemniczości, Ceyda zrozumie, że sprawa jest naprawdę poważna i doręczy list przyjaciółce. Lecz na twarzy dziewczyny malował się wyraz tak obojętny, moje słowa przyjęła tak spokojnie, że nie wytrzymałem. Z radosnym podnieceniem wyjaśniłem jej, że problem, który poróżnił mnie z Fiisun, został rozwiązany, a wiadomość o tym na pewno ucieszy jej przyjaciółkę, tak samo, jak ucieszyła mnie, i odtąd jedyne, czego będziemy żałować, to stracony czas. Żegnając się z Ceydą, która spieczyła się, by nakarmić dziecko, oświadczyłem, że gdy tylko się z Fiisun pobierzemy, zaraz zafundujemy sobie dziecko, by synek Ceydy miał się z kim bawić, i będziemy cieszyć się miłością, a te wszystkie smutne chwile staną się jedynie odległym wspomnieniem. Zapytałem Ceydę, jak maluch ma na imię.

— Ómer — odpowiedziała, patrząc z dumą na synka. — Ale wie pan, panie Kemal, życie nie zawsze układa się po naszej myśli...

Przez wiele tygodni, gdy nie nadchodziła odpowiedź na list, miałem nieraz wspominać te słowa. Byłem jednak pewny, że kiedyś Fiisun się do mnie odezwie. Ceyda potwierdziła, że Fiisun wie o zerwaniu zaręczyn. W liście napisałem, że w szkatułce należącej do mojego ojca odnalazłem zagubiony kolczyk i chciałbym oddać go jej wraz z parą pozostałych kolczyków



i trójkołowym rowerkiem. Nadeszła pora, byśmy wreszcie wszyscy, ja, ona i jej rodzice, zjedli razem kolację.

W połowie maja, pewnego wypełnionego intensywną pracą dnia, przeglądałem w biurze pocztę i wśród pism od przedstawicieli regionalnych oraz pisanych głównie odręcznie i trudnych do odczytania listów, pełnych zapewnień o przyjaźni, podziękowań, skarg, pochlebstw i gróźb, znalazłem króciutki liścik, który z biciem serca natychmiast przeczytałem:

*Kuzynie Kemalü,*

*My też z chęcią się z tobą spotkamy. Zapraszamy do nas na kolację 19 maja.*

*Nie mamy jeszcze podłączonego telefonu. Jeśli nie będziesz mógł przyjść, daj znać przez Cetina.*

*Z pozdrowieniami*

*Fiisun*

*Adres: Dalgic Cikmazi numer 24, dzielnica Cukurcuma.*

W liście nie było daty, ale ze stempla odczytałem, że nadano go 10 maja z poczty w Galatasaray. Do spotkania zostały jeszcze dwa dni. Miałem ochotę od razu pojechać pod wskazany adres, ale się powstrzymałem. Uznałem, że jeśli chcę ożenić się z Fiisun i nierozdzielnie związać ją z sobą, nie powinienem okazywać nadmiernych emocji.

## 49. ZAMIERZAŁEM SIE OŚWIADCZYĆ

Dziewiętnastego maja 1976 roku, w środę, o godzinie siódmej trzydzieści wieczorem, wyruszyłem do domu Fiisun i jej rodziców w **Cukurcumie**. Powiedziałem **Cetinowi**, że jadę zwrócić ciotce Nesibe dziecinny rowerek, podałem **mu** adres i rozparłszy się na tylnym siedzeniu, przyglądałem się ulicom, skąpanym w lejącym jak z cebra deszczu. Tylekroć w ciągu minionego roku wyobrażałem sobie na wszystkie sposoby scenę ponownego spotkania, lecz ani razu nie pomyślałem przy tym o deszczu — ani o takiej ulewie, ani nawet o siąpiącym drobno kapuśniaczką.

Zanim wbiegłem do kamienicy Zmiłowanie, by zabrać rowerek i otrzymane od ojca kolczyki z perłami, przemokłem do suchej nitki. Jedyłą właściwie rzeczą, która nie wyglądała tak, jak się spodziewałem, był wypełniający mnie głęboki spokój. Jakbym w jednej chwili zapomniał o bólu i udręce, które z takim trudem znosiłem przez trzysta trzydzieści dziewięć dni od tamtego wieczoru w hotelu Hilton, gdy widziałem Fiisun po raz ostatni. Niczego i nikogo nie obwiniałem, czułem wręcz

wdzięczność dla bólu, że doprowadził mnie do szczęśliwego zakończenia.

Wydawało mi się, tak samo jak na początku tej historii, że mam przed sobą idealne, wspaniałe życie, kazałem więc **Cetinowi** zatrzymać się przed kwaciarnią na ulicy Siraselviler i kupiłem piękny — jak czekające mnie nowe życie — wielki bukiet czerwonych róż. Przed wyjściem wypięłem dla uspokojenia pół szklaneczki *raki*. Może by tak w winiarni przy którejś z bocznych uliczek na Beyoglu wypić jeszcze jedną? Ale niecierpliwość owładnęła mną równie mocno jak przedtem miłosny ból. Uważaj! — odezwał się głos rozsądku — nie zrób tym razem jakiegoś głupstwa! W strugach deszczu mignął mi przed oczami zarys budynku *hamamu* w **Cukurcumie**. Zrozumiałem, że to, co musiałem cierpieć przez trzysta trzydzieści dziewięć dni, było bolesną lekcją daną mi przez Fiisun — jej było na wierzchu. Byłem gotów zrobić wszystko, co zechce, byle tylko nie zostać ponownie ukaranym. Zamierzałem, oczywiście gdy już ją zobaczę i się uspokoję, upewniwszy się przedtem, że to Fiisun rzeczywiście stoi przede mną, poprosić ją o rękę.

**Cetin** starał się dostrzec w deszczu numer domu, a ja wyobrażałem sobie scenę oświadczyn, której obraz już wcześniej wytworzyłem gdzieś w zakamarkach mojego umysłu, lecz dotąd starałem się go ukryć przed samym sobą: wchodzę do mieszkania, wśród żartów oddaję rowerek, siadam, uspokajam się (czy będę w stanie to zrobić?), a po chwili, gdy pijemy podaną przez Fiisun kawę, odważnie spoglądam prosto w oczy jej ojcu i mówię, że przyszedłem prosić o rękę jego córki. Rowerek to tylko pretekst. Wśród śmiechu i żartów nie będziemy wspominać o bólu, roztrząsać przykrych spraw. Usiądziemy do stołu, ojciec postawi butelkę *yeni raki*, Fiisun będzie patrzeć mi w oczy, szczęśliwa z podjętej decyzji, a ja będę sycił wzrok jej widokiem. (Szczegóły zaręczyn i ślubu omówimy przy następnej wizycie).

Samochód zatrzymał się przed starym domem, któremu z powodu deszczu nie mogłem dobrze się przyjrzeć. Z bijącym sercem zapukałem do drzwi. Otworzyła mi ciocia Nesibe. Zaskoczył ją widok **Cetina** trzymającego nad moją głową parasol, podczas gdy ja niosłem rowerek i bukiet róż. Na jej twarzy malował się niepokój, nie zwróciłem jednak na to uwagi, idąc po schodach stopień za stopniem na spotkanie Fiisun.

— Prosimy, panie Kemal! — wujek Tarik, ojciec Fiisun, wyszedł przed drzwi, by mnie powitać. Zapomniałem, że ostatni raz spotkałem go przed rokiem, na zaręczynach, i wydało mi się, że nie widziałem go od czasów świątecznych obiadów w rodzinnym gronie. Starość, jak to często bywa, uczyniła go nie tyle brzydkim, ile jakby wyblakłym.

Za jego plecami, w drzwiach, ujrzałem podobną do Fiisun ładną ciemnowłosą dziewczynę i uznałem, że to chyba jej starsza siostra. Lecz już w momencie gdy to pomyślałem, zorientowałem się, że ową brunetką jest właśnie Fiisun. Jej wygląd mnie zaskoczył. Oczywiście, to jej naturalny kolor włosów! — powiedziałem sobie w duchu, starając się zachować spokój. Wszedłem do mieszkania. Już miałem, jak to było moim zamiarem, wręczyć jej bukiet i nie zwracając uwagi na obecność rodziców, objąć ją i przytulić, gdy po jej spojrzeniach, niespokojnych ruchach i postawie poznałem, że nie ma ochoty na żadne uściski.

Podaliśmy sobie ręce.

— Ach, jakie śliczne kwiaty! — powiedziała, ale nie wzięła bukietu.

Wyglądała pięknie. Wyczuła, że jestem zdenerwowany, bo scena spotkania nie przebiegała tak, jak sobie wyobrażałem.

— Prawda? — wzrokiem wskazała bukiet komuś, kto również znajdował się w pokoju. Spojrzałem na tego, do którego się zwracała. Natychmiast przez głowę przebiegła mi myśl: że też

nie mogli w inny dzień zaprosić na kolację tego sympatycznego grubaska z sąsiedztwa. I od razu się zorientowałem, że znowu byłem w błędzie.

— Kuzynie Kemal, pozwól, że ci przedstawię Feriduna, mojego męża — powiedziała Fiisun, starając się, by zabrzmiało to swobodnie, jakby przekazywała mi jakiś mało istotny szczegół.

Spojrzałem na tego kogoś, kogo nazwała Feridunem, nie jak na rzeczywistą osobę, lecz na jakieś mgliste wspomnienie.

— Pobraliśmy się pięć miesięcy temu — oświadczyła Fiisun, unosząc brwi, jakby spodziewała się zrozumienia.

Ze spojrzeń grubasa, z którym uścisnęliśmy sobie dłonie, wywnioskowałem, że o niczym nie wie.

— Bardzo mi miło pana poznać — powiedziałem i uśmiechając się do starającej się skryć za plecami męża Fiisun, dodałem: — Ale z pana szczęściarz, Feridunie. Nie tylko ożenił się pan z cudowną dziewczyną, ale ma ona cudowny dziecienny rowerek!

— Chcieliśmy zaprosić pana na wesele — wtrąciła matka Fiisun. — Ale usłyszeliśmy o chorobie pańskiego ojca. Córeczko, przestań się chować za mężem, odbierz od kuzyna Kemal te wspaniałe róże!

Moja najdroższa, o której przez cały rok bez przerwy marzyłem, pełnym gracji ruchem wzięła bukiet, przybliżając do mnie (a potem oddalając) swe różane policzki, spragnione usta, aksamitnie gładką skórę, pachnącą szyję i piersi, które, jak w jednej chwili z bólem sobie uświadomiłem, chciałbym przez całe życie czuć blisko siebie i byłem gotów za to oddać wszystko. Patrzyłem na nią z zachwytem, nie mogąc uwierzyć, że naprawdę stoi przede mną.

— Włóż kwiaty do wazonu, kochanie — odezwała się jej matka.

— Napije się pan *raki*, Kemal? — spytał ojciec.

— Tiut-tiut-tiut — zaszczebiotał kanarek.

— Ach, *raki*, oczywiście, że się napiję, napiję się *raki*...

Z miejsca wychyliłem na pusty żołądek dwie szklaneczki anyżówki z lodem, aby jak najszybciej się upić. Przypominam sobie, że zanim usiedliśmy do stołu, rozmawialiśmy przez chwilę, wspominając dzieciństwo; niestety, mój umysł był jeszcze dość przytomny, by pojąć, że ona wyszła za mąż i że to niezwykle przyjemne poczucie bratersko-siostrzanego związku, które symbolizował rowerek, przestało istnieć.

Przy stole Fiisun usiadła naprzeciwko mnie, nadając temu jednak pozór zupełnego przypadku (spytała matkę, gdzie ma usiąść). Unikała mego wzroku. W pierwszej chwili byłem tak zaskoczony, iż uznałem, że jej zupełnie nie obchodzę. Ja też starałem się nie okazywać zainteresowania, zgrywając się na życzliwego bogatego krewnego, który przyszedł wręczyć ubogiej kuzynce prezent z okazji ślubu, lecz jego uwagę wciąż zaprzatają dużo ważniejsze sprawy.

— No to kiedy dziecko? — spytałem, wczuwając się w rolę i patrząc prosto w oczy mężowi Fiisun, choć na nią samą nie byłem w stanie spojrzeć w ten sposób.

— Na razie nie planujemy — odpowiedział Feridun. — Może gdy zamieszkamy na swoim...

— Feridun to jeszcze młody chłopak, ale już jest jednym z najbardziej wziętych scenarzystów w Stambule — oświadczyła ciocia Nesibe. — To on napisał scenariusz do *Sprzedawczyni obwarzanków*.

Cały wieczór mój umysł daremnie zмагаł się z tym, co potocznie określa się jako „zaakceptowanie rzeczywistości”. Z nadzieją wyobrażałem sobie, że cały ten ślub to jakiś żart, że aby mnie zaskoczyć i nabrać, namówili syna sąsiadów, by udawał męża Fiisun, i zaraz ze śmiechem przyznają się do zrobienia

mi kawału. Poznając szczegóły z ich życia, zaczynałem sobie jednak uświadamiać, że to małżeństwo rzeczywiście istnieje, a wtedy wszystko, czego się dowiadywałem, stawało się dla mnie wstrząsające i nie do przyjęcia: Feridun, który wprowadził się do teściów, miał dwadzieścia dwa lata, interesował się literaturą i kinem, nie zarabiał jeszcze dużo, ale oprócz scenariuszy dla Yeşilcam\* pisał także wiersze. Był krewnym Fiisun ze strony ojca, w dzieciństwie bawili się razem, a nawet do spółki jeździli na rowerku, który właśnie przyniosłem. Pod wpływem *raki*, którą ze szczerą serdecznością nalewał mi wujek Tank, moja dusza jakby kurczyła się w sobie. Mój umysł, jak zwykle niespokojny, gdy wchodziłem do nieznanego mieszkania, dopóki nie uzyskałem odpowiedzi na pytania w rodzaju: ile jest pokoi, na którą ulicę wychodzi balkon z tyłu, dlaczego w tym miejscu stoi stół, teraz jakby niepokoił się, że tych pytań wcale nie zadałem.

Jedyną pociechą było móc siedzieć naprzeciwko mojej Fiisun i wpatrywać się w nią niczym w obraz. Jej dłonie były równie ruchliwe jak dawniej. Nawet po ślubie krępowała się palić w obecności ojca, nie ujrzałem więc, niestety, tego gestu, który tak lubiłem obserwować, gdy zapalała papierosa. Ale dwukrotnie przygładziła włosy tak, jak to robiła dawniej, a trzy razy, chcąc wtrącić do rozmowy parę słów, nabrała powietrza i lekko uniosła w górę ramiona — dokładnie tak samo jak podczas naszych dyskusji. Ilekroć się roześmiała, nieopanowany optymizm i radość z dawną siłą rozkwitały we mnie jak słonecznik. Blask, jakim emanowała jej uroda, jej ciało, tak znajome ruchy przypominały mi, że centrum świata, do którego

\* Yeşilcam — dzielnica Stambułu, gdzie ma siedzibę turecka telewizja i gdzie mieszczą się studia filmowe; jednocześnie potoczne określenie kinematografii tureckiej.

powiniennem zmierzać, znajduje się u jej boku. Wszystkie pozostałe miejsca, ludzie, czynności to tylko „pospolite rozrywki”. Wiedział o tym nie tylko mój umysł, lecz także ciało, dlatego chciałem wstać, ująć jej dłonie w swoje, objąć ją i przytulić. Ale gdy tylko pomyślałem o moim położeniu, zaczynałem się zastanawiać, co będzie dalej, a moje serce przeszywał ból tak nieznośny, że nie mogłem zebrać myśli i nie tylko przed siedzącymi za stołem, lecz także przed samym sobą przybierałem pozę bogatego kuzyna gratulującego nowożeńcom. Choć zaledwie kilka razy spotkaliśmy się wzrokiem, Fiisun od razu rozszyfrowała moją bufonadę i zachowywała się dokładnie tak, jak zachowuje się szczęśliwa młoda mężatka podczas wizyty bogatego dalekiego krewnego, którego szofer wozi limuzyną: przekomarzała się z mężem, podawała mu łyżeczką bakławę wprost do ust. Wszystko to jedynie pogłębiało dziwną ciszę panującą w mej głowie.

Deszcz, który nasilił się, gdy **wchodziłem** do budynku, lał teraz strumieniami. Wujek Tank jeszcze przed kolacją zdążył mi opowiedzieć, że dzielnica **Cukurcuma** — *nomen omen*\* — leży nisko, a **dom, który** kupili tu latem ubiegłego roku, był w przeszłości niejednokrotnie zalewany przez powódź. Kiedy wstaliśmy od stołu, podeszliśmy obaj do okien w wykuszu, by wyrzucić na ulicę. Mężczyźni z okolicy, bosy, z podwiniętymi nogawkami spodni, blaszanymi wiadrami i plastikowymi miednicami starali się wylewać wdzierającą się do domów wodę, a tamami z kamieni i szmat zmienić kierunek spływających w dół wzgórza potoków. Jeden z nich trzymany w obu rękach prętem starał się udrożnić studzienkę kanalizacyjną, a dwie kobiety w chustkach, jedna w zielonej, druga we fioletowej, nawołując się, uparcie wskazywały mu coś w mętnej wodzie.

\* *Cukur* — dół, zagłębienie w ziemi, *cuma* — piątek; dzielnica Dół-piątek.



Wujek Tarik z wszystkowiedzącą miną rozvodził się nad niewydolnością systemu kanalizacji, będącego reliktem czasów osmańskich. Za każdym razem, gdy szum deszczu się nasilał, ktoś wykrzykiwał: „Chmura się oberwała!”, „Istny potop!” albo „Allahu, miej nas w opiece!” — po czym wszyscy zrywali się od stołu i przez okno wykuszu obserwowali z niepokojem wodę wzbierającą na ulicy, która w mdłym świetle latarni wyglądała dziwnie i tajemniczo. Powinienem był podejść do nich, dzielić z nimi lęk przed powodzią, ale bałem się, że, pijany, nie będę w stanie utrzymać się na nogach i jeszcze przewrócę jakiś mebel.

— Ciekawe, co robi szofer w taką ulewę? — zainteresowała się ciocia Nesibe.

— Może powinniśmy dać mu coś do jedzenia? — zaproponował jej zięć.

— Ja zaniosę — ofiarowała się Fiisun.

Ciocia Nesibe musiała chyba wyczuć, że ta propozycja może nie przypaść mi do gustu, bo szybko zmieniła temat. Poczuję nagle, że jestem samotnym, pijanym mężczyzną, którego cała rodzina podejrzliwie obserwuje z wykuszu. Odwróciłem się i posłałem im uśmiech. W tej samej chwili z ulicy dobiegł rumor przewróconej beczki i rozległo się głośne „ach!” — spojrzeń moje i Fiisun na moment się spotkały. Ona jednak natychmiast odwróciła wzrok.

Jak udawało się jej pozostać aż tak obojętną? Chciałem ją o to zapytać. Nie zadałem jednak tego pytania tak, jak robią to porzuceni kochankowie, którzy głupieją do tego stopnia, że dzwonią do swych byłych ukochanych, proszą, by podeszły do telefonu: „Ale ja chciałem ją tylko o coś zapytać!”... No dobrze, przyznaję, dokładnie w ten sposób je zadałem.

Widząc, że siedzę samotnie, czemu nie podeszła do mnie, czemu nie skorzystała z okazji, by mi wszystko wytłumaczyć?

Nasze spojrzenia znowu się spotkały i ona znowu odwróciła wzrok.

Teraz Fiisun podejdzie do stołu — odezwał się mój wewnętrzny głos, pełen nadziei. — I jeśli tak zrobi, będzie to znak, że pewnego dnia wyrwie się z tego nieodpowiedniego małżeństwa, zostawi męża i będzie moja.

Rozległ się grzmot. Fiisun odsunęła się od okna i zrobiwszy kilka lekkich kroków, bezszelestnie zajęła miejsce naprzeciwko mnie.

— Mam nadzieję, że mi wybaczysz — powiedziała ściszym głosem, który wprawiał moje serce w drzenie. — Nie mogłam przyjść na pogrzeb twojego ojca.

Kolejna błyskawica zalała pokój błękitnym światłem.

— Czekałem na ciebie.

— Tak myślałam, ale nie mogłam przyjść.

— Wiatr porwał daszek, który sklepikarz zamontował bez zezwolenia nad sklepem, widzieliście? — Feridun podszedł do stołu.

— Widzieliśmy i jest nam bardzo przykro — powiedziałem.

— Nie ma czego żałować — odezwał się ojciec Fiisun, odchodząc od okna.

Zauważył, że jego córka siedzi z twarzą ukrytą w dłoniach, i rzucił niespokojne spojrzenie najpierw zięciowi, a potem mnie.

— Wciąż żałuję, że nie poszłam na pogrzeb wujka Miim-taza — powiedziała Fiisun, starając się opanować drzenie głosu. — Bardzo go lubiłam i tak mi teraz smutno.

— Twój ojciec też bardzo lubił Fiisun — powiedział wujek Tank. Wracając na swoje miejsce, pocałował córkę we włosy, usiadł i z uśmiechem, unosząc lekko jedną brew, nalał mi szklaneczkę *raki*, po czym zapraszającym gestem wskazał czerwień na stole.

Po pijanemu wyobrażałem sobie, że wyjmuję z kieszeni wyściełane aksamitem pudełeczko z kolczykami od ojca oraz tamten pojedynczy kolczyk i oddaję je Fiisun, ale nie byłem w stanie przejść do działania. W końcu nie wytrzymałem i wstałem. Lecz aby móc wręczyć kolczyki, nie powinienem był wstawać, wręcz przeciwnie, powinienem był siedzieć. Po spojrzeniach ojca i córki zrozumiałem, że oni również na coś czekają. Może chcieliby, bym już sobie poszedł? Nie, to było jakieś głębsze oczekiwanie. Mimo to nie mogłem wyjąć kolczyków z kieszeni, choć tyle razy to sobie wyobrażałem. Tylko że w moich marzeniach Fiisun była wciąż panną, nie mężatką, a ja przed wręczeniem jej upominku miałem poprosić rodziców o jej rękę... W tej nowej sytuacji, i do tego zupełnie pijany, nie potrafiłem się zdecydować, co zrobić z kolczykami.

Pomyślałem, że nie wyjmę z kieszeni pudełeczka, skoro mam dłonie zabrudzone sokiem z czereśni. — Czy mogę umyć ręce? — spytałem. Fiisun nie mogła już udawać, że nie widzi targających mną uczuć. Na spojrzenia ojca, mówiące: „Córko, pokaż gościowi drogę”, zerwała się na równe nogi. W tym samym momencie z wielką siłą odżyły we mnie wspomnienia naszych spotkań przed rokiem. Miałem ogromną chęć objąć ją i przytulić.

Pod wpływem alkoholu umysł pracuje dwutorowo. Z jednej strony, w wyobraźni obejmowałem Fiisun, jakbyśmy się znaleźli w jakimś miejscu poza czasem i przestrzenią, jednocześnie jednak siedzieliśmy za stołem w domu jej rodziców w **Cukurcumie** i wewnętrzny głos mówił mi, że nie wolno mi jej przytulać, gdyż skończy się to skandalem i kompromitacją. Pod wpływem *raki* głos ten odzywał się jednak rzadziej i rozbrzmiewał dopiero po pięciu, sześciu sekundach od wyobrażenia sobie Fiisun w moich objęciach. I przez tych pięć, sześć sekund byłem wolny, odyskiwałem spokój i dla-

tego mogłem po prostu iść obok niej, a potem za nią schodami na górę.

Bliskość jej ciała, nasza wędrówka po schodach wydały mi się nierzeczywiste jak sen i to wrażenie zapadło mi w pamięć na całe lata. W jej spojrzeniach dostrzegałem zrozumienie i niepokój i byłem jej wdzięczny, że chociaż spojrzeniami wyraża swe uczucia: oto kolejny raz stało się jasne, że jesteśmy dla siebie stworzeni, wiedziałem o tym od początku, dlatego tak cierpiałem; nieważne, że wyszła za męża, dla szczęścia wspólnego wchodzenia po schodach gotów byłem wycierpieć jeszcze więcej. Odwiedzającym moje muzeum tak zwanym realistom, którzy z uśmiechem zwróca mi uwagę, że dom w Cukurcumie był mały i stół w jadalni od łazienki na piętrze dzieliło najwyżej cztery i pół kroku oraz siedemnaście stopni, powiem od razu, że za uczucie szczęścia, jakiego doznałem w tej krótkiej chwili, byłem gotów oddać całe życie.

Wszedłem do niewielkiej toalety na piętrze, zamknąłem za sobą drzwi i zrozumiałem, że nie panuję już nad własnym życiem, które wskutek mojego uzależnienia od Fiisun zmieniło się w coś pozostającego całkowicie poza moją wolą. I tylko uwierzywszy w to, mogę być szczęśliwy i dalej je znosić. Wśród szczoteczek do zębów Fiisun, wujka Tanka, cioci Nesi-be, mydła i maszynek do golenia dostrzegłem szminkę Fiisun. Powąchałem ją, po czym włożyłem do kieszeni. Starając się przypomnieć sobie zapach Fiisun, pospiesznie obwąchałem też wiszące w łazience ręczniki, ale niczego nie wyczułem — z okazji mojej wizyty powieszono świeże. Rozejrzałem się za innymi przedmiotami, które mogłyby stać się dla mnie pociechą w trudnych dniach po opuszczeniu tego domu. Omiotłem spojrzeniem niewielką ubikację i wtedy dostrzegłem w lustrze własne odbicie. Wyraz mej twarzy uświadomił mi olbrzymią różnicę między moim ciałem a duchem. Wyglądałem na zdzi-

wionego i zmęczonego przegraną, w głowie natomiast panowała euforia: wreszcie zrozumiałem prawdziwy sens życia, tego, że jestem tutaj, że w moim ciele jest serce i są jakieś głębsze uczucia, że wszystko składa się z pragnień, wzruszeń i miłości i że dlatego właśnie cierpiałem. Wśród szumu deszczu i bulgotania dobywającego się z rur usłyszałem jedną ze starych tureckich piosenek, które dawno temu śpiewała mi babcia. Gdzieś w pobliżu było włączone radio. Zza uchylonego okienka łazienki płynął znużony, lecz mimo to pełen nadziei głos kobiety, któremu towarzyszyły rzewne zawrodożenie udu\* i wesoły brzęk *kanuna*\*\*:

„To z miłości, z miłości bierze się wszystko na tym świecie”. Pod wpływem tej smutnej piosenki, stojąc przed lustrem w łazience, przeżyłem jeden z najgłębiej poruszających momentów, gdy zrozumiałem, że świat, wszystkie rzeczy na nim tworzą jedność. Nie tylko wszystkie przedmioty, od stojących na półce przede mną szczoteczki do zębów po talerz pełen czereśni na stole, od należącej do Fiisun spinki do włosów, którą w tym momencie dostrzegłem i schowałem do kieszeni, po wyeksponowany tu zamek z zasuwką do drzwi łazienkowych, ale także ludzie. Siła miłości pozwala poczuć tę jedność, i na tym właśnie polega sens życia.

Pełen wiary w przyszłość, wyjąłem najpierw pojedynczy kolczyk i położyłem w miejsce pomadki. Nim sięgnąłem po otrzymane od ojca pudełeczko, pozwoliłem, by ta sama piosenka przypomniała mi ulice dawnego Stambułu, miłosne perypetie nieustraszonych kochanków, zdolnych dla miłości wyrzucić całe swoje życie do góry nogami, o których opowiadali spędzający dni na słuchaniu radia starzy małżonkowie. Natchniony dobiegającym z odbiornika melancholijnym gło-

\* *Ud* — rodzaj lutni.

\*\* *Kanun* — instrument podobny do cytry.

sem pieśniarki, zrozumiałem, że Fiisun miała rację — skoro ja zamierzałem ożenić się z inną, jej nie pozostało nic innego, jak wyjść za mąż, by chronić siebie samą. Rozmyślając nad tym, przyłapałem się w pewnym momencie na rozmowie z lustrem. Miało to w sobie coś z naiwności moich dziecięcych prób zabawy z własnym odbiciem. Ze zdumieniem stwierdziłem, że naśladowując teraz Fiisun, mogę przestać być sobą, dzięki sile mej miłości do niej poczuć i zrozumieć wszystko, co dzieje się w jej sercu i głowie, mówić przez jej usta, doznawać tego, czego ona w danym momencie doznaje — być nią.

Zaskoczony tym odkryciem, musiałem spędzić w łazience dużo czasu, bo w końcu ktoś zakasłał znacząco pod drzwiami. Albo zapukał, nie pamiętam dokładnie, bo urwał mi się film. W mojej młodości używaliśmy tego określenia, gdy wypiliśmy za dużo i nie mogliśmy sobie przypomnieć, co się potem z nami działo. Nie wiem, jak wyszedłem z łazienki i usiadłem przy stole, pod jakim pretekstem **Cetin** przyszedł na górę ani jak (absolutnie nie byłem w stanie zejść samodzielnie po schodach) sprowadził mnie na dół, wsadził do samochodu i zawiózł do domu. Przy stole panowała cisza — to pamiętam. Wszyscy zamilkli, nie wiem, czy to dlatego, że deszcz ustał, czy też nie mogli już dłużej udawać, że nie widzą mej nieskrywanej hańby, zżerającego mnie poczucia klęski, bólu, który stał się wręcz namacalny.

Feridun, zamiast zaniepokoić się tym podejrzanym milczeniem, dał się ponieść swej filmowej pasji (wyjątkowo *a propos* użytego przeze mnie wyżej wyrażenia „film się urwał”) i zaczął na pół z miłością, na pół z nienawiścią mówić o kinie tureckim, o byle jakich, a tak uwielbianych przez przeciętnych Turków obrazach produkowanych w Yeşilcam — w owych czasach takie opinie nie były niczym szczególnym. Zapewne wtedy właśnie powiedział mi, że gdyby znalazł poważnego inwestora,

któremu nie zależałoby wyłącznie na szybkim zarobieniu pieniędzy, nakręciłby świetne filmy, już napisał scenariusz jednego, w którym główną rolę mogłaby zagrać Fiisun, ale niestety, nie znalazł funduszy na jego realizację. Ze słów Feriduna mój zamroczony umysł wyłowił i zapamiętał nie to, że mąż Fiisun potrzebował pieniędzy i otwarcie o tym mówił, lecz to, że Fiisun zostanie być może kiedyś turecką gwiazdą filmową.

Przypominam też sobie, że w drodze powrotnej, siedząc półprzytomny na tylnym siedzeniu, wyobrażałem sobie Fiisun jako znaną artystkę. I jak to się często zdarza, choć byłem mocno pijany, ołowiana chmura bólu i beztadnych myśli nagle się rozproszyła i w jednej chwili przejrzałem na oczy. Siedząc w samochodzie prowadzonym przez **Cetina** zalanymi wodą ulicami miasta, w nagłym przebłytku świadomości ujrzałem to, co, jak sądziłem, a może tylko przeczuwałem, inni doskonale wiedzieli: Fiisun i jej mąż zaprosili mnie na kolację tylko dlatego, że widzieli we mnie bogatego krewnego, który pomoże im urzeczywistnić marzenia o nakręceniu filmu. Ale dzięki kojącemu wpływowi *raki* myśl ta nie budziła we mnie gniewu. Wręcz przeciwnie, z przyjemnością wyobrażałem sobie, że Fiisun zostanie słynną aktorką, czczoną i wielbioną w całej Turcji, widziałem ją jako zmysłową gwiazdę tureckiego kina: na zorganizowanej w kinie Saray uroczystej gali z okazji premiery jej pierwszego filmu Fiisun wśród oklasków wchodzi na scenę, prowadzona przeze mnie pod rękę... I właśnie w tym samym momencie samochód minął kino Saray w Beyoglu!

## 50. TO MOJE OSTATNIE Z NIA SPOTKANIE

Rano zrozumiałem, co się stało poprzedniego wieczoru. Zostałem upokorzony, wydrwiony, wręcz znieważony! Doszedłem jednocześnie do wniosku, że upijając się do nieprzytomności, poszedłem gospodarzom poniekąd na rękę i sam siebie poniżyłem. Choć wiedzieli, jak bardzo jestem zakochany w ich córce, rodzice Fiisun przymknęli oko na całą sytuację i zgodzili się zaprosić mnie do swego domu, by zaspokoić głupie i dziecinne marzenia zięcia o nakręceniu filmu. Nie chciałem widzieć ich więcej na oczy! Ucieszyłem się, gdy w kieszeni marynarki znalazłem pudełko z kolczykami od ojca. Oddałem Fiisun jej pojedynczy kolczyk, ale udało mi się ocalić te dwa — cenną pamiątkę po ojcu — przed ludźmi, którzy zaprosili mnie jedynie dla pieniędzy. Po całym roku wypełnionym bólem dobrze było zobaczyć Fiisun ten jeden, ostatni raz. Miłość, jaką do niej żywiłem, nie zrodziła się z jej urody czy osobowości, lecz była jedynie podświadomą reakcją na perspektywę małżeństwa z Sibel. Choć nigdy nie czytałem Freuda, w owych czasach dla opisania tego, co mi się przydarzyło,



chętnie używałem zasłyszanego gdzieś terminu podświadomość. Nasi przodkowie mieli swoje dziny, które w nich wstępowały i skłaniały ich do robienia niechcianych rzeczy. Ja zaś miałem podświadomość, która oprócz tego, że kazała mi tak cierpieć przez Fiisun, zmuszała mnie do przynoszącego wstyd postępowania, o co sam bym nawet siebie nie podejrzewał. Nie wolno mi było jej ulec, powinienem otworzyć nową, czystą stronę mego życia, zapomnieć o wszystkim, co wiązało się z Fiisun.

Pierwszą rzeczą, jaką w tym celu zrobiłem, było wyjęcie z kieszeni na piersi liściku z zaproszeniem od niej i podarcie go na drobne kawałeczki. Cały poranek i przedpołudnie spędziłem w łóżku i uznałem, że najwyższa pora trzymać się z dala od mojej *idée fixe*, choć podświadomość stale popychała mnie w jej stronę. Nowe słowo na wyjaśnienie bólu i poniżenia dodało mi siły, by z nimi walczyć. Matka, która zorientowała się, że mam kaca i nie jestem w stanie nawet wstać z łóżka, wysłała Fatmę do Pangalti po świeże krewetki i kazała przygotować je tak, jak lubiłem, zapiekane w glinianym naczyniu z czosnkiem, a do tego karczochy polane oliwą i sokiem z cytryny. Z ulgą i spokojem, jakie poczułem, postanowiwszy nigdy więcej nie zobaczyć się z Fiisun i jej rodziną, rozkoszując się smakiem ulubionych dań, zjadłem obiad, do którego wypiliśmy z matką po kieliszku białego wina. Matka zaczęła opowiadać, że Billur, najmłodsza córka Dagdelenów, słynnych bogaczy z branży kolejowej, skończyła liceum w Szwajcarii i w zeszłym miesiącu obchodziła osiemnaste urodziny. Dodała, że rodzice dziewczyny, nie będąc w stanie spłacać kredytów zaciągniętych dzięki niejasnym koneksjom i łapówkom, znaleźli się w trudnej sytuacji, dlatego chcieli wydać córkę jak najszybciej za męża, zanim zrobi się głośno o ich problemach — oczekiwano bowiem ogłoszenia bankructwa.

— Dziewczyna jest podobno bardzo ładna! — podkreśliła matka. — Jeśli chcesz, pójdę ją obejrzeć, może nada się dla ciebie. Nie mogę już patrzeć, jak co wieczór upijasz się z kolegami, jak oficer z garnizonu w jakiejś dziurze na prowincji.

— Idź, mamusiu, i zobacz ją — odparłem bez uśmiechu. — Z nowoczesną dziewczyną, którą sam znalazłem, nic nie wyszło. Wypróbujmy więc tradycyjne metody.

— Ach, synku, nawet nie wiesz, jak się cieszę, że się zgadzasz! Oczywiście poznacie się przed ślubem, będziecie się spotykać... Macie przed sobą lato, jesteście młodzi. Ale bądź dla niej dobry... Powiedzieć ci, dlaczego nie wyszło z Sibel?

W tej chwili zrozumiałem, że matka wie o sprawie z Fiisun, woli jednak — zupełnie jakby kierowały nią dżiny naszych przodków — przedstawić inne wytłumaczenie tego bolesnego zdarzenia, i poczułem dla niej głęboką wdzięczność.

— To była bardzo ambitna dziewczyna, wyniosła, dumna — powiedziała matka, patrząc mi w oczy, i dodała tajemniczym tonem, jakby zdradzała mi jakiś sekret: — Nabrałam jednak co do niej wątpliwości, gdy dowiedziałam się, że nie lubi kotów.

Nie przypominałem sobie, by Sibel wrogo odnosiła się do tych zwierząt, tymczasem matka drugi już raz użyła tego argumentu, by ją skrytykować, wolałem więc zmienić temat.

Kawę wypiliśmy na balkonie, obserwując niezbyt licznie zgromadzonych uczestników jakiegoś pogrzebu. Matka, choć uroniła parę łez, wzdychając przy tym: „Ach, twój biedny ojciec”, była w dobrej formie, zarówno fizycznej, jak i psychicznej. Wyjaśniła mi, że w trumnie złożonej na *musalla tasi* spoczywa jeden z właścicieli słynnej kamienicy Dostatek w Beyoglu. Opisując, gdzie znajduje się ten budynek, powiedziała, że przylega do kina Atlas, a ja z zaskoczeniem stwierdziłem, że wyobrażam sobie odbywającą się w tym kinie premierę filmu z Fiisun w roli głównej. Po obiedzie poszedłem

do firmy i starając się przekonać samego siebie, że moje życie wróciło do normalnego stanu sprzed Fiisun i Sibel, rzuciłem się w wir pracy.

Ujrzenie Fiisun sprawiło, że dręczący mnie tyle miesięcy ból w znacznej mierze zniknął. Gdy pracowałem w swoim gabinecie, w jakimś zakątku mego umysłu pojawiała się uspokajająca, przynosząca ulgę myśl, że uwolniłem się od miłosnej choroby. Co pewien czas sprawdzałem samego siebie i z radością konstatowałem, że nie mam już najmniejszej ochoty zobaczyć Fiisun. Nie było mowy, bym jeszcze raz poszedł do jej dziadowskiego domu w Cukurcumie, do tej zalewanej wodą, pełnej błota szcurzej nory! To, że nadal w ogóle ten temat mnie poruszał, wynikało nie z miłości do Fiisun, lecz z wściekłości na całą jej rodzinę i tego smarkacza, jej męża. Ale to był przecież jeszcze dzieciak, więc miałem samemu sobie za złe, że się tak na niego złościę, irytowała mnie moja własna głupota, która kazała mi przez cały rok cierpieć z powodu tej miłości! Jednak to, co czułem do siebie, też nie było prawdziwym gniewem. Po prostu chciałem sam siebie przekonać, że skończyły się miłosne udreki i zaczynam nowe życie, a targające mną nowe, silne uczucia miały być dowodem, że wszystko się zmieniło. Z tego względu postanowiłem odnowić kontakty z przyjaciółmi, częściej się z nimi widywać, wspólnie wesoło spędzać czas (na początku wolałem się jednak trzymać z dala od Mehmeta i Zaima, w obawie, że spotkanie z nimi obudzi związane z Fiisun i Sibel wspomnienia, które chciałbym wymazać z pamięci). Czasem tylko, późno w nocy lub w środku jakiegoś przyjęcia czy zabawy, gdy sporo już wypilem, zaczynałem rozumieć, że buzujący we mnie gniew nie był w gruncie rzeczy skierowany ani przeciwko powierzchowności i nudzie życia wyższych sfer, ani przeciwko mnie samemu za moje urojenia, ani przeciwko komukolwiek innemu, lecz tylko i wyłącznie przeciwko Fiisun;

z lękiem uświadamiałem sobie, że cały czas się z nią spieram; przyłapywałem się na myśli, że sama jest sobie winna, iż nie bawi się tu teraz ze mną, że życie w zalewanej wodą ruderze w Cukurcumie było jej własnym wyborem i nie można poważnie traktować kogoś, kto zawierając tak bezsensowne małżeństwo, popełnia w zasadzie samobójstwo.

Abdulkerim, syn bogatego posiadacza ziemskiego z Kayseri, mój kolega z wojska, który po wyjściu do cywila regularnie przysyłał mi starannie wykaligrafowane kartki z życzeniami na Nowy Rok i święta, był przedstawicielem Satsat na Kayseri. Czułem, że Sibel uważa go za zbyt „tureckiego”, dlatego w ostatnich latach nie spędzałem z nim wiele czasu, gdy przyjeżdżał do centrali. Cztery dni po wizycie w domu Fiisun zabrałem Abdulkerima do Garażu, nowego lokalu, który szybko zyskał uznanie stambulskiej socjety, i starając się patrzeć na swoje życie jego oczami, opowiadałem mu różne ciekawostki o dobrze sytuowanych ludziach przy sąsiednich stolikach, osobach wchodzących do restauracji i z niej wychodzących, niekiedy podchodzących do nas i uprzejmie, po przyjacielsku ściskających nam dłonie. Wkrótce jednak przestało mi się podobać, że kolega był zainteresowany nie czysto ludzkimi słabościami i problemami tych osób, lecz wyłącznie pikantnymi szczegółami z życia stambulskiej burżuazji, o którym niewiele wiedział, skandalami, wystrojem domów, a zwłaszcza dziewczynami, które bez ślubu — a nawet bez zaręczyn — sypiały z mężczyznami, i o każdej kazał sobie opowiadać. Być może dlatego pod koniec wieczoru, wiedziony dziwnym impulsem, opowiedziałem mu o swojej miłości do Fiisun, jakbym opowiedał historię jakiegoś bogacza, któremu odbiło. Żeby nie zaczął podejrzewać, że chodzi o mnie, opisując związek znanego, lubianego w wyższych sferach chłopaka z dziewczyną zza ludy, która w końcu wyszła za innego, wskazałem Abdulkerimowi

jakiegoś młodego faceta, który siedział przy jednym z dalszych stolików.

— Na szczęście zainteresowana forszą panienka wyszła za innego i ten biedak uratował skórę — stwierdził Abdulkerim.

— W gruncie rzeczy podziwiam go za to, co zrobił w imię tej miłości — oświadczyłem. — Zerwał nawet swoje zaręczyny...

Na twarzy Abdiilkerima na moment pojawił się łagodny wyraz zrozumienia, ale niemal natychmiast ustąpił miejsca zainteresowaniu rodziną pana Hicriego, handlarza tytoniem, jego żoną i dwiema ładnymi córkami, które powoli zmierzały ku drzwiom.

— Kto to? — zapytał, nie odrywając od nich wzroku. Młodsza z córek pana Hicriego, wysoka brunetka, o imieniu chyba Neslişah, ufarbowała sobie włosy i stała się blondynką. Nie spodobały mi się na wpół kpiące, na wpół pełne podziwu spojrzenia, jakimi obrzucał ją Abdulkerim.

— Zrobiło się późno, wychodzimy? — spytałem.

Poprosiłem o rachunek. Wyszliśmy na ulicę i do momentu pożegnania nie odezwaliśmy się do siebie ani słowem.

Nie poszedłem do Nişantaşı, do domu, lecz ruszyłem w stronę Taksimu. Oddałem koleczyk Fiisun, ale nie zrobiłem tego otwarcie, zostawiłem go po pijanemu w łazience. To było upokarzające zarówno dla mnie, jak i dla nich. By odzyskać honor, powinienem dać im do zrozumienia, że zrobiłem to celowo, nie przez pomyłkę. Potem przeproszę i ze swobodą, jaką da mi pewność, że nigdy więcej nie zobaczę Fiisun, powiem z uśmiechem: „Żegnaj!”. Gdy będę wychodził, być może przestraszy się, że więcej mnie nie ujrzy, a ja wtedy skryję się za zasłoną milczenia, dokładnie tak samo, jak ona przez cały rok skrywała się przede mną. Albo nic nie wspominając o tym, że widzimy się po raz ostatni, będę życzył jej szczęścia w dalszym życiu w taki sposób, by zrozumiała, że to nasze ostatnie spotkanie.

Schodząc bocznymi uliczkami ku Cukurcumie, pomyślałem, że Fiisun może się tym zupełnie nie przejąć, bo jest szczęśliwa w małżeństwie. Jeśli tak jest, jeśli kocha tego zwyczajnego chłopaka tak bardzo, że godzi się na życie w takich warunkach, w tym zrujnowanym domu, to po tamtym wieczorze nie było sensu spotykać się z nią jeszcze raz. Przemierzając w wiosenny wieczór oświetlone bladym światłem latarni wąskie uliczki, pokonując krzywe chodniki i koślawe schody, za niedokładnie zaciągniętymi zasłonami widziałem rodziny, które wyłączwszy telewizory, szykowały się do nocnego spoczynku, pary ubogich staruszków, wypalających przed pójściem spać ostatniego papierosa, i byłem przekonany, że ludzie mieszkający w takich cichych, ustronnych dzielnicach są szczęśliwi.

Zadzwoiłem do drzwi. Otworzyło się okno w wykuszu na piętrze.

— Kto tam? — zawołał w mrok ojciec Fiisun.

— To ja.

— Co za ja?

Stałem na dole, zastanawiając się, czy nie uciec, gdy matka Fiisun otworzyła drzwi.

— Ciociu Nesibe, przepraszam, że niepokoję o tej porze.

— Ależ proszę, Kemal, niech pan wejdzie!

Tak jak podczas pierwszej wizyty, szliśmy po schodach, ciotka pierwsza, ja za nią. Śmiało, nie certuj się! — mówiłem sobie w duchu. — To twoje ostatnie spotkanie z Fiisun. Z pewnością siebie, jaką dawało mi podjęte postanowienie, że nie dam się więcej poniżyć, przekroczyłem próg, ale gdy tylko ją ujrzałem, serce zaczęło mi bić jak oszalałe. Siedziała z ojcem przed telewizorem. Oboje wstali, zaskoczeni i zakłopotani, a widząc moją poważną minę i wyczuwając zapach alkoholu, zaczęli się zachowywać tak, jakby chcieli mnie za coś przepro-

się. W ciągu kilku pierwszych minut, o których wolałbym zapomnieć, zdołałem wybąkać, że wstąpiłem, bo przechodziłem w pobliżu, przepraszałem, jeśli im przeszkodziłem, ale coś mi się przypomniało i chciałem o tym porozmawiać. Dowiedziałem się, że jej męża nie ma w domu („Feridun wyszedł z kolegami filmowcami”), ale nie mogłem jakoś przejść do rzeczy. Matka poszła do kuchni zrobić herbatę, ojciec również pod jakimś pretekstem wyszedł z pokoju i zostaliśmy sami.

— Bardzo przepraszam — powtórzyłem. Oboje wpatrywaliśmy się w ekran telewizora. — Nie miałem nic złego na myśli, gdy wtedy po pijanemu zostawiłem twój kolczyk na półeczce, tam gdzie stoją szczoteczki do zębów. Powinienem być oddać ci go do rąk własnych.

— Przy szczoteczkach nie było żadnego kolczyka — odpowiedziała, marszcząc brwi.

Spojrzeliliśmy na siebie, usiłując zrozumieć, o co tu chodzi. W tym momencie do pokoju wszedł ojciec i mówiąc, że ma dla mnie coś pysznego, podał mi w miseczce chałwę z kaszy manny z owocami. Przełknąłem jeden kęs i pochwaliłem smak deseru. Na moment wszyscy zamilkliśmy, jakbym zjawił się tu o północy tylko po to, by zjeść chałwę. I choć pijany, pojąłem wtedy z całą wyrazistością, że kolczyk był tylko pretekstem, a ja przyszedłem tu tylko po to, by zobaczyć Fiisun. Stwierdzenie, że nie znalazła kolczyka, było dla mnie ciosem. W owej chwili ciszy natychmiast sobie przypomniałem, że ból wywołany nie-  
możnością ujrzenia Fiisun był jeszcze bardziej niszczący niż wstyd, który musiałem znieść, by móc ją zobaczyć. Wiedziałem już, że zgodzę się na najbardziej nawet poniżające sytuacje, byle tylko nie cierpieć i móc ją zobaczyć. Ale również wobec wstydu byłem bezbronny. Z jednej strony czaił się lęk przed poniżeniem, z drugiej — ból z powodu braku Fiisun. Zupełnie nie wiedziałem, co robić. Wstałem.

Zobaczyłem przed sobą klatkę z kanarkiem, moim dawnym druhem. Zrobiłem kilka kroków w jego stronę. Spojrzenia moje i ptaka spotkały się. Fiisun i jej rodzice także wstali — zapewne z ulgą, że zbieram się do wyjścia. Nie miałem już złudzeń, że zdołam przekonać do siebie Fiisun, która wyszła za męża, a mną interesowała się wyłącznie dla pieniędzy. To moja ostatnia wizyta tutaj! — powiedziałem sobie. Moja noga więcej tu nie postanie!

W tym momencie rozległ się dzwonek do drzwi. Olejny obraz przedstawiający tę scenę, gdy ja z kanarkiem patrzemy na siebie, a Fiisun i jej rodzice przyglądają się nam, by na dźwięk dzwonka wszyscy jak jeden mąż odwrócić głowy w stronę drzwi, kazałem namalować wiele lat pó opisanych tu wydarzeniach. Widok został ujęty z perspektywy kanarka Cytrynki, z którym w dziwny sposób w tym momencie się utożsamiałem, dlatego nie było widać twarzy żadnego z nas. Muszę wyznać z satysfakcją, że autor tego obrazu, na widok którego łązy zawsze napływają mi do oczu, namalował **moją** ukochaną od tyłu dokładnie tak, jak ją zapamiętałem, uwiecznił też widoczną zza lekko uchylonych zasłon pogrążoną w nocnych **ciemnościach** dzielnicę **Cukurcuma** i wewnątrz pokoju, **tak jak** mu je opisałem, co do słowa.

Ojciec Fiisun wychylił się przez okno wykuszu, by spojrzeć w umieszczone na froncie budynku lustro i oznajmiwszy, że to któreś dziecko sąsiadów dzwoni do drzwi, zszedł na dół otworzyć.

Zapadła cisza. Skierowałem się w stronę wyjścia. W milczeniu, ze wzrokiem wbitym w podłogę, włożyłem płaszcz. Otworzyłem drzwi i wydało mi się, że nadszedł odpowiedni moment na scenę zemsty, do której w wyobraźni tyle razy się przygotowywałem.

— Pójdę już — powiedziałem.



— Kemalu — odezwała się ciocia Nesibe — nawet pan sobie nie wyobraża, jak się ucieszyliśmy, gdy zapukał pan do naszych drzwi! — Rzuciła spojrzenie w stronę Fiisun. — Proszę się nie przejmować jej ponurą miną. To dlatego, że boi się ojca, a przecież tak samo jak ja, jeśli nie bardziej, cieszy się z pańskich odwiedzin.

— Mamo, daj spokój, proszę... — odezwała się moja śliczna.

Przez głowę przemknęła mi myśl, że ceremonię pożegnania mógłbym zacząć od słów: „Nie mogę znieść tego, że jest brunetką”, wiedziałem jednak, że to nieprawda, że dla niej jestem w stanie znieść wszelkie cierpienia.

— Och, skądże, Fiisun wywarła na mnie jak najlepsze wrażenie — odpowiedziałem, patrząc jej uważnie w oczy. — Widzieć cię szczęśliwą to dla mnie szczęście, którego zawsze pragnąłem.

— My też się cieszymy, że mogliśmy pana gościć — oświadczyła ciocia Nesibe. — Teraz, gdy już zna pan drogę, prosimy nas odwiedzać.

— Ciociu Nesibe, to moja ostatnia wizyta tutaj!

— Jak to?! Nie spodobało się panu miejsce, gdzie teraz mieszkamy?

— Teraz kolej na was! — żartobliwy ton w moim głosie zabrzmiał sztucznie. — Porozmawiam z mamą, żeby was zaprosiła. — Nie odwracając się za siebie, niby beztrąsko zbiegłem po schodach w dół.

— Do widzenia, chłopcze! — pożegnał mnie wuj Tank, którego spotkałem przy drzwiach. Syn sąsiadów wręczał mu właśnie jakąś paczuszkę, mówiąc: „Mama kazała to panu oddać”.

Poczułem na twarzy miły chłód świeżego powietrza. Pomyślałem, że już nigdy w życiu nie zobaczę się z Fiisun, i przez moment byłem pewien, że czeka mnie spokojne, pozbawione zmartwień i trosk życie. Wyobraziłem sobie, że Billur, córka

Dagdelenów, którą matka dla mnie wypatrzyła, na pewno jest miłą dziewczyną. Lecz zaraz poczułem, że z każdym krokiem, który oddalał mnie od Fiisun, kolejny kawałek mojego serca kruszy się i rozpada. Gdy wspinałem się na szczyt wzgórza Cukurcuma, miałem wrażenie, że od chęci, by zawrócić, aż łapia mnie dreszcze. Ale postanowiłem wytrzymać i definitywnie zakończyć tę sprawę.

Uszedłem spory kawałek drogi. Teraz powinienem być silny, znaleźć sobie coś, czym mógłbym zająć uwagę. Wszedłem do jednej z winiarni, które powoli już zamykano, i wśród gęstego, błękitnego dymu z papierosów wypięłem, zagryzając melonem, dwie szklaneczki *raki*. Gdy wyszedłem, poczułem, że ani ciałem, ani duszą nawet o krok nie oddaliłem się od domu Fiisun. Musiałem pomylić drogę. W wąskiej uliczce ujrzałem przed sobą zarys znajomej postaci i poczułem się, jakby przebiegł przeze mnie elektryczny impuls.

— Och, witam! — zawołał ów mężczyzna. To był Feridun, mąż Fiisun.

— Co za przypadek! — zdziwiłem się. — Właśnie od was wracam.

— Ach tak?

Znów zadziwił mnie młodzieńczy — by nie powiedzieć dziecinny — wygląd młodego małżonka.

— Od tamtego spotkania stale zastanawiam się nad sprawą filmu — powiedziałem. — Ma pan rację. W Turcji powinno się, tak jak w Europie, robić filmy artystyczne... Nie zastałem dziś pana, więc nie poruszałem tego tematu z Fiisun. Może któregoś wieczoru spotkamy się i porozmawiamy?

Dostrzegłem, że jest nie mniej pijany niż ja i nie wie, co myśleć o mojej propozycji.

— Podjadę po pana we wtorek wieczorem, o siódmej, dobrze?

— Fiisun może pójść z nami, prawda?

— Oczywiście, skoro naszym celem jest nie tylko nakręcić film artystyczny na modłę europejską, lecz także obsadzić Fiisun w głównej roli.

W tym samym momencie uśmiechnęliśmy się do siebie, jak dwaj starzy przyjaciele ze szkolnej ławy albo z wojska, którzy po wielu trudach wreszcie dostrzegli przed sobą perspektywę zdobycia majątku. W świetle ulicznej latarni popatrzyłem uważnie w dziecinne oczy Feriduna i rozstaliśmy się bez słowa.

# SI. SZCZĘŚCIE TO PO PROSTU BYĆ BUSKÓ UKOCHANEJ OSOBY

Gdy dotarłem do Beyoglu, zachwyciły mnie rozświetlone witryny, z przyjemnością szedłem wśród tłumu widzów opuszczających kina. Ogarnęła mnie radość życia, której nie potrafiłem ukryć przed samym sobą. Choć cała sytuacja była dla mnie poniżająca i właściwie powinienem być zażenowany, bo przecież Fiisun i jej mąż zaprosili mnie do siebie wyłącznie po to, bym wpakował swoje pieniądze w ich idiotyczne marzenia o filmie, uczucie szczęścia było tak potężne, że przestałem przejmować się wstydem. Oczyma wyobraźni widziałem wciąż obraz: gala premierowa filmu, Fiisun z mikrofonem w rękę przemawia ze sceny w kinie Saray — a może lepsze byłoby Yeni Melek? — do tłumu wielbicieli, dziękując przede wszystkim mnie. Ja zaś, bogaty producent filmów artystycznych, zajmuję miejsce obok niej, i wtedy co lepiej poinformowane osoby na widowni zaczynają szeptać, że podczas zdjęć młoda gwiazda zakochała się w producencie i rzuciła dla niego męża, a następnego dnia wszystkie gazety zamieszczają nasze zdjęcie, gdy na scenie całuję Fiisun w policzek...

Nie ma potrzeby, bym dalej opisywał marzenia, które rozkwitały w moim umyśle niczym wydzielające narkotyczne opary kwiaty, gdyż jak większość tureckich mężczyzn, żyjących w moim świecie i znajdujących się w sytuacji podobnej do mojej, zamiast starać się dowiedzieć, co myśli kobieta, którą kochałem do szaleństwa, poznać jej marzenia, ograniczałem się jedynie do snucia własnych marzeń na jej temat.

Dwa dni później podjechałem prowadzonym przez **Cetina** chevroletem pod drzwi ich domu i gdy tylko mój wzrok napotkał spojrzenie Fiisun, natychmiast zrozumiałem, że sprawy nie potoczą się wcale tak, jak to sobie wyobrażałem w nieustannie produkowanych przez mój umysł marzeniach, lecz widok ukochanej był dla mnie źródłem takiego szczęścia, że nic nie było w stanie go zmącić.

Zaproponowałem młodemu małżonkom zajęcie miejsc z tyłu, sam zaś usiadłem obok kierowcy i gdy jechaliśmy przez pogrążone w cieniu ulice miasta, przez jego zakurzone, chaotycznie rozrzucone place, odwracałem się do nich co jakiś czas i dźwiękami starałem się nieco ocieplić atmosferę. Fiisun miała na sobie sukienkę w odcieniach krwistej pomarańczy i płomiennej czerwieni. Trzy górne guziki pozostawiła niezapięte, by móc czuć na skórze pachnącą świeżością bryzę od Bosforu. Samochód podskakiwał na brukowanej kostką jezdni i za każdym razem, gdy odwracałem się, by coś powiedzieć, szczęście wybuchało we mnie z nową siłą. Tego wieczoru wybraliśmy się do restauracji Andon w Biiyiikdere. Szybko przekonałem się, że to ja przejawiałem największy zapał — dotyczyło to zresztą także innych wieczorów, gdy spotykaliśmy się, by dyskutować nad projektem filmu.

— Kino jest dla mnie wszystkim, panie Kemalu — z pewnością siebie, której trochę mu zazdrościłem, oświadczył Feridun,

gdy tylko wybraliśmy przekąski z tacy przyniesionej przez starych kelnerów Greków. — Proszę nie sugerować się moim wiekiem. Od trzech lat pracuję dla Yegilcam, miałem naprawdę szczęście, znam tam wszystkich. Pracowałem na planie przy oświetleniu i dekoracjach, byłem asystentem reżysera. Napisałem też jedenaście scenariuszy.

— Wszystkie zostały zrealizowane, a filmy odniosły sukces — wtrąciła Fiisun.

— Z chęcią obejrzałbym te filmy, panie Feridunie.

— To się da załatwić, panie Kemal. Większość z nich pokazuje jeszcze w kinach letnich, niektóre na Beyoglu. Ale nie jestem z nich zadowolony. Ci w wytwórni Konak mówią, że gdybym zgodził się robić takie filmy jak oni, mógłbym już zacząć sam reżyserować. Ale ja nie chcę kręcić takich filmów.

— Jakie to filmy?

— Komercyjne, melodramaty, takie, jakie się dobrze sprzedają. Czy chodzi pan na tureckie filmy?

— Bardzo rzadko.

— Bogaci ludzie w tym kraju chodzą na filmy krajowej produkcji tylko po to, by się z nich wyśmiewać. Ja też tak robiłem, gdy miałem dwadzieścia lat. Ale teraz już nie pogardzam kinem tureckim tak jak dawniej. Fiisun też polubiła te filmy.

— Błagam, niech mnie pan nauczy je cenić i lubić! — zawołałem.

— Chętnie — odpowiedział mąż Fiisun, uśmiechając się szczerze. — Ale film, który z pańską pomocą nakręcimy, będzie inny niż tamte, proszę się nie martwić. Nie zrobimy filmu, w którym Fiisun dzięki francuskiej guwernantce w trzy dni z wieśniaczki stanie się damą.

— Od razu pokłóciłabym się z guwernantką — wtrąciła Fiisun.

— Ani też kolejnej wersji Kopciuszka, ubogiej sieroty pogardzanej przez bogatych krewnych — kontynuował temat Feridun.

— Nie miałabym nic przeciwko temu, by zagrać rolę ubogiej dziewczyny, którą gardzą bogaci krewni — wyznała Fiisun.

W jej słowach nie wyczułem skierowanej pod moim adresem drwiny, lecz jakąś lekkość i szczęście, które w pewien sposób mnie dotknęły. Atmosfera rozluźniła się, zaczęliśmy z Fiisun wspominać naszą dawną wycieczkę chevroletem mojego ojca prowadzoną przez **Cetina**, krewnych mieszkających w odległych dzielnicach, tych zmarłych i tych stojących nad grobem. Rozmawialiśmy o różnych rzeczach — nasza dyskusja na temat przygotowywania faszerowanych omułków skończyła się tym, że z kuchni wyszedł grecki kucharz o niezwykle jasnej cerze i z uśmiechem oznajmił, że do tego dania dodaje się również cynamon. Mąż Fiisun, którego zaczynałem lubić za naiwność i gorący optymizm, nie zanudzał mnie opowieściami o swych przyszłych filmach i scenariuszach. Gdy odwoziłem ich do domu, postanowiliśmy umówić się znowu za cztery dni.

Przez całe lato 1976 roku wielokrotnie spotykaliśmy się w różnych restauracjach nad Bosforem, by zjeść kolację i porozmawiać o filmie. Nawet teraz, po tylu latach, za każdym razem gdy w którymś z tych lokali patrzę przez okno na Bosfor, czuję tamto zmieszanie, wahanie, kiedy przychodziło mi wybierać między odbierającym rozum szczęściem bycia blisko Fiisun a zachowaniem zimnej krwi, niezbędnej, by odzyskać ukochaną. Cierpliwie i z szacunkiem służyłem rozważań jej męża na temat filmów i jego marzeń, analiz stanu tureckiej kinematografii i tureckiej widowni, zachowując przy tym wszelkie wątpliwości dla siebie. W gruncie rzeczy nie byłem zainteresowany ofiarowaniem tureckiemu widzowi filmu artystycznego na modłę europejską, dlatego nie spieszyłem

się z przejściem do realizacji naszego projektu. Prosiłem na przykład, by pokazał mi napisany scenariusz, lecz nim zdążył położyć przede mną egzemplarz, zaczynałem zajmować się czymś zupełnie innym.

Po którejś z kolei rozmowie z Feridunem odkryłem, że jest inteligentniejszy i zdolniejszy od większości pracowników Satsat, a jeśli chodzi o budżet „porządnego” filmu tureckiego, oszacowałem, że uczynienie z Fiisun gwiazdy będzie kosztowało mniej więcej połowę tego, ile trzeba by zapłacić za niewielkie mieszkanie w kamienicy przy bocznej uliczce w Nişantaşı. Powodem jednak, dla którego zwlekałem z przystąpieniem do działania, nie była wysokość tej kwoty, bez względu na to, czy uznać ją za dużą czy małą, lecz świadomość, iż spotkanie się z Fiisun dwa razy w tygodniu pod pretekstem przygotowań do nakręcenia filmu znakomicie koi mój ból. Po tylu cierpieniach uznałem, że to musi mi wystarczyć. Obawiałem się pragnąć więcej. Ale bądź co bądź należało mi się trochę wytchnienia po dotychczasowych miłosnych torturach.

Kazać się Cetinowi po kolacji zawieźć do Istinye, by spróbować tamtejszego *tavukgögsü*\* z cynamonem, albo w Emirgan spacerować nad Bosforem i patrząc na mroczne wody cieśniny, wśród śmiechów i żartów zajadając lody lub *kagit helva*\*\* , wydawało mi się największym szczęściem, jakie może człowieka spotkać na tym świecie. Pewnego razu, gdy w knajpie U Yaniego usiadłem naprzeciwko Fiisun i płynący z jej bliskości spokój uciszył miłosne demony, odkryłem bardzo prostą receptę na szczęście, którą powinien znać każdy, i zacząłem ją sobie mrużyć pod nosem: do szczęścia wystarczy jedynie

\* *Tavukgögsil* — rodzaj budyniopodobnego deseru z drobiu gotowanego w mleku.

\*\* *Kagit helva* — wafle z białym nugatem.



bliskość ukochanej osoby (i wcale nie trzeba od razu jej posiadać). Tuż przedtem, nim ten magiczny przepis przyszedł mi do głowy, spojrzałem przez okno na przeciwny brzeg Bosforu i dostrzegłszy drżące światła *yah*, w którym spędziłem z Sibel zeszłą jesień, poczułem, że straszliwy ból w brzuchu znikł bez śladu.

Gdy tylko zasiadłem z Fiisun przy tym samym stole, nie tylko uwolniłem się od nieznośnego bólu, lecz także błyskawicznie zapomniałem, że jeszcze do niedawna z jego powodu rozważałem popełnienie samobójstwa. Gdy Fiisun była przy mnie, nie pamiętałem już, jak bardzo niszczyło mnie cierpienie, i wydawało mi się, że powróciłem do dawnych, „normalnych” czasów, łudziłem się, że jestem silny, zdecydowany, a nawet wolny.

Po pierwszych trzech spotkaniach zorientowałem się, że po chwilach euforii regularnie napływają fale smutku, i wtedy właśnie, przygotowując się na ból, który mógł powrócić w następnych dniach, gdy będę tęsknił za Fiisun, zacząłem zabierać z restauracji nad Bosforem, gdzie siedzieliśmy naprzeciwko siebie, różne przedmioty. Miały one przypominać mi o szczęściu i dodawać siły w chwilach samotności. Na przykład ta mała blaszana łyżeczka, którą bawiła się z nudów, gdy u Aleka w Yenikóy ja i Feridun wdaliśmy się w dyskusję na temat piłki nożnej (na szczęście obaj kibicowaliśmy Fenerbahę, co pozwalało uniknąć ewentualnego konfliktu). A tę solniczkę długo trzymała w ręku, gdy bowiem zamierzała jej użyć, uwagę wszystkich przyciągnął przepływający bardzo blisko radziecki statek, a od obrotów jego śruby drżały szklanki i talerze na stole. Podczas naszego czwartego spotkania, po zjedzeniu lodów kupionych u Zeynela w Istinye, Fiisun wyrzuciła nadgryziony wafelek — szedłem za nią i błyskawicznie go podniosłem, po czym niepostrzeżenie schowałem do kieszeni. Po powrocie

do domu, wciąż zamroczony alkoholem, oglądałem w swoim pokoju te zdobycze i aby nie zauważyła ich matka, dzień, dwa później zanośliem do kamienicy Zmiłowanie. Dodawałem je do pozostałych cennych pamiątek i z ich pomocą starałem się ukoić znów narastający we mnie powoli ból.

W owe wiosenne i letnie dni powstało między mną a matką coś w rodzaju koleżeńskiej więzi, czego nigdy przedtem nie odczuwaliśmy. U matki wynikała ona zapewne z utraty ojca, a jeśli chodzi o mnie, z utraty Fiisun. Te straty uczyniły nas dojrzałszymi i bardziej wyrozumiałymi. Ale w jakim stopniu matka orientowała się, przez co przeszedłem? Co by sobie pomyślała, gdyby znalazła przyniesione przeze mnie do domu łyżeczki czy nadgryzione wafelki? Ile dowiedziałyby się, wpytując **Cetina**, dokąd mnie wozi? Zastanawiałem się nad tym w chwilach, gdy czułem się nieszczęśliwy; nie chciałem, by zamartwiała się o mnie czy myślała, że z powodu jakiejś fascynacji nie do zaakceptowania zrobiłem coś niewłaściwego, a mówiąc jej słowami, popełniłem „błąd, którego do końca życia będę żałował”.

Czasem starałem się udawać weselszego i szczęśliwszego, niż byłem w rzeczywistości, nie mówiłem jej — nawet w żartach — że szukanie dla mnie żony to idiotyzm, słuchołem uważnie, z poważną miną, gdy opisywała mi dziewczyny, które dla mnie wypatryła. Poszła obejrzeć Billur, młodszą córkę Dagdelenów; stwierdziła, że choć bankruci, utrzymują kucharza, służbę, słowem: „wiodą życie utracjuszy”, przyznała, że dziewczyna ma ładną buzię, ale jest bardzo niska, i oświadczywszy, że nie ożeni mnie z karlicą (już wtedy, gdy ja i mój brat wchodziliśmy w wiek dojrzewania, powtarzała nam: „Nie życzę sobie synowej, która ma mniej niż metr sześćdziesiąt pięć wzrostu, nie sprowadzajcie mi do domu pigmejek”), skreśliła tę kandydaturę. Średnią córkę Mengerlich, którą razem

z Zaimem i Sibel poznaliśmy zeszłego lata w klubie Cercie d'Orient na Wyspach Książęcych, też uznała za nieodpowiednią partię. Właśnie bowiem się dowiedziała, że całkiem niedawno dziewczyna była do szaleństwa zakochana w najstarszym synu Avundukow i chciała za niego wyjść za mąż, ten jednak porzucił ją w nader przykrych okolicznościach, co stało się tematem licznych plotek. Popierałem prowadzone przez matkę całe lato poszukiwania, gdyż niekiedy sądziłem, że naprawdę mogą się pomyślnie zakończyć, miałem też nadzieję, że wyrwą ją z samotności, w której zamknęła się po śmierci ojca. Czasem pod wieczór dzwoniła do mnie do biura z letniego domu w Suadiye i mówiła, że chciałaby, abym zobaczył pewną dziewczynę. Szczegółowo, niczym wieśniak wskazujący myśliwemu miejsce, gdzie kryją się kuropatwy, tłumaczyła mi, że ostatnio często podpływa ona do pomostu sąsiada, pana Esata, motorówką należącą do rodziny Igikçi, więc jeśli przed zmrokiem przeprawię się przez Bosfor i przyjdę na pomost, na pewno ją zobaczę, a nuż warto byłoby ją poznać.

Dzwoniła do biura pod różnymi pretekstami przynajmniej dwa razy dziennie. Opowiadała mi, jak płakała, znalazłszy w domu w Suadiye, na dnie szafy, jakąś należącą do ojca rzecz, na przykład czarno-białe letnie buty, z których jeden eksponuje w tym miejscu. — Synu, nie zostawiaj mnie samej! — prosiła i przekonywała, że nie powinienem zostawać w mieszkaniu w Nigantagi, bo samotność źle na mnie wpływa, i wobec tego muszę koniecznie przyjechać do niej, do Suadiye, na kolację.

Niekiedy przyjeżdżał także mój brat z żoną i z dziećmi. Po kolacji matka i Berrin gawędziły o dzieciach, krewnych, dawnych przyzwyczajeniach, stale rosnących cenach, nowo otwartych sklepach, strojach i najświeższych plotkach, Osman i ja rozkładaliśmy się zaś pod palmą — tam gdzie ongiś ojciec, marząc o swych sekretnych kochankach, leżał w samotności

na leżaku i patrzył na gwiazdy oraz widoczne w oddali światła Wysp — i rozmawialiśmy o odziedziczonych po nim spółkach i interesach. Brat opowiadał mi o nowej firmie założonej razem z panem Turgayem, proponując, co prawda bez specjalnego nalegania, bym dołączył do nich jako wspólnik. Kenan świetnie sobie radził jako dyrektor i źle zrobiłem, nie dbając o dobre stosunki z tym chłopakiem — również wycofanie się z tego interesu było błędem z mojej strony. Półgębkiem napomykał, że to moja ostatnia szansa, jeśli z niej nie skorzystam, będę żałował. Zauważył, że nie tylko w życiu zawodowym, ale także w prywatnym stronie od niego, wspólnych przyjaciół, nie dbam o sukcesy, szczęście. — Co z tobą? — pytał, marszcząc brwi.

Odpowiadałem mu, że to przez zerwanie zaręczyn z Sibel i śmierć ojca trochę zamknąłem się w sobie. Gdy pewnego wyjątkowo upalnego lipcowego wieczoru wyznałem mu, że czuję się już tym wszystkim zmęczony i chciałbym być sam, poznałem po jego minie, że uważa to za oznakę szaleństwa. Był gotów zaakceptować moją chorobę psychiczną na obecnym stopniu jej zaawansowania, wyczuwałem jednak, że jeśli dziwactwa miałyby się u mnie pogłębić, być może nie oparłby się pokusie wykorzystania ich przeciwko mnie w interesach, obawiając się zarazem, że może to przynieść wstyd naszej rodzinie. Takie pełne niepokoju rozważania snułem jednak tylko wtedy, gdy czułem się wspaniale po spotkaniu z Fiisun. W dni, gdy cierpiałem z tęsknoty za nią, i tak nie mogłem myśleć o niczym innym. Matka wprawdzie wyczuwała mój mroczny sekret i była go ciekawa, jednak wcale nie chciała go poznać. Tak samo ja byłem ciekaw, co ona wie, a jednocześnie wolałbym nie usłyszeć, że o mojej miłości do Fiisun wie więcej, niż sądziłem, jeśli rzeczywiście tak było. Dlatego tak samo naiwnie, jak próbowałem wmówić sobie po każdym spo-

tkaniu z Fiisun, że moja miłość do niej nie jest już tak mocna, starałem się przekonać matkę, że ze mną wszystko w porządku i nie ma potrzeby nawet rozmawiać na ten temat. Na dowód, iż jestem wolny od wszelkich „kompleksów”, powiedziałem matce, że zaprosiłem córkę i zięcia cioci Nesibe na kolację nad Bosforem, wspominając przy tym, niby mimochodem, że mąż Fiisun nalegał, bym obejrzał jeden z filmów, do których napisał scenariusz.

— Ach, niech im to wyjdzie na zdrowie! — westchnęła matka. — Słyszałam, że ten chłopak nie tylko zadaje się z filmowcami z Yeşilcam, jaka szkoda! ale czegoż to się spodziewać po dziewczynie, która bierze udział w konkursach piękności? Skoro jednak mówisz, że są w porządku...

— Chłopak wydaje się rozsądny...

— Idziesz z nimi do kina? Mimo wszystko uważaj, Nesibe może i ma dobre serce, ale to straszna intrygantka. Posłuchaj, co ci powiem. Dziś wieczorem na pomoście u pana Esata jest przyjęcie, przysłali nam zaproszenie. Wybierz się tam, a mnie ustaw fotel pod figowcem, będę się wam przyglądać z daleka.

## 52. FILM O ŻYCIU I CIERPIENIU MUSI BYĆ SZCZERY

Od połowy czerwca do początku października 1976 roku obejrzelśmy w letnich kinach około pięćdziesięciu filmów — eksponując w tym miejscu bilety oraz wyszukane po latach u stambulskich kolekcjonerów zdjęcia kin i ulotki reklamowe. Tak samo jak w owe wieczory, gdy wybieraliśmy się na kolację do restauracji, prowadzonym przez **Cetina** samochodem zabierałem o zmroku Fiisun i jej męża spod domu i według wskazówek Feriduna, który od znajomych dystrybutorów i kinarzy dowiadywał się, w jakiej okolicy ma być wyświetlany film, staraliśmy się tam trafić. Stambuł przez ostatnich dziesięć lat tak się rozrósł, tak zmienił wskutek pożarów, ulice do tego stopnia wypełniły się tłumami przybyszów z prowincji, że nierzadko się gubiliśmy i co chwila musieliśmy pytać o drogę, toteż dopiero w ostatnim momencie docieraliśmy do celu; czasami zajmowaliśmy miejsca już po ciemku i dopiero podczas pięciominutowej przerwy, gdy zapalano latarnie, mogliśmy się zorientować, gdzie jesteśmy.

Zawsze zadziwiały mnie tłumy widzów wypełniających te tchnące smutkiem miejsca, wielkie ogródki kinowe, otoczone pobielonymi wapnem murami, warsztatami, wałącymi się drewnianymi domami, dwu-, trzypiętrowymi kamienicami, niezliczonymi balkonami i oknami, na których miejscu wzniesiono po latach, wycinając rosnące tam morwy i platany, bloki mieszkalne lub które zamieniono w parkingi czy pokryte zieloną plastikową wykładziną miniboiska do piłki nożnej. Setki ludzi siedziały na krzesłach, gryząc pestki słonecznika i żywiołowo reagując na rozgrywający się przed ich oczami melodramat (głównie na ten rodzaj filmów chodziliśmy), a w mojej głowie obrazy wielodzietnych rodzin, matek w chustkach, palących papierosy ojców i popijających oranżadę dzieci, grup niezonatych mężczyzn mieszały się ze scenami oglądanymi na ekranie.

Orhana Gencebaya\*, króla krajowych filmów i muzyki, którego piosenki, filmy, płyty i plakaty stanowiły w owych latach część życia każdego Turka, zobaczyłem po raz pierwszy właśnie na ekranie takiego olbrzymiego kina letniego. Znajdowało się ono na wzgórzu, za dzielnicami bieda-domków powstałymi między Pendikiem a Kartalem, skąd roztaczał się widok na morze Marmara, rozjarzone od świateł Wyspy Książęce oraz upstrzone lewicowymi sloganami mury fabryk i warsztatów. Na tle nocnego nieba kłęby przypominającego watę dymu, wydobywającego się z kominów cementowni Yunus, która pobieliała wapnem całą okolicę, wydawały się jeszcze bielsze, a drobiny pyłu spadały na widzów z nieba jak bajkowy śnieg.

\* **Orhan Gencebay (ur. 1944) — turecki piosenkarz, kompozytor, wirtuoz gry na instrumencie strunowym *baglama*. Zagrał w ponad trzydziestu filmach, wystąpił także w dokumentalnym obrazie Fatiha Akina *Zycie jest muzyką* [*Crossing the Bridge: The Sound of Istanbul*, 2005].**

Orhan Gencebay grał rolę ubogiego młodego rybaka, którego protektorem był zły bogacz. Gdy zepsuty syn bogacza, jeszcze gorszy od ojca, wraz z kolegami długo i bezlitośnie gwałcił debiutującą na ekranie Miijde Ar\* (zdzierając z niej oczywiście odzież, byśmy mogli podziwiać jej wdzięki), na widowni zaległa cisza. Rybak, czując się zobowiązany do posłuszeństwa wobec swego protektora, na rozkaz bogacza, który chciał zatuszować sprawę, ożenił się z dziewczyną. W tym momencie Gencebay wypowiadał słowa: „Niech szczęście ten świat!”, po czym pełen bólu i gniewu zaczynał śpiewać piosenkę, która rozślawiła go na całą Turcję.

W najbardziej poruszających momentach słyszałem chrzęst gryzionych przez widzów pestek słonecznika (w pierwszej chwili sądziłem, że to zgrzyt maszyn dochodzący z pobliskiej fabryki) i nagle zostawałem sam na sam ze wzbierającym we mnie od dawna bólem. Lecz atmosfera filmu, falowanie tłumu, który przyszedł tu dla rozrywki, żartobliwe komentarze rzucające przez chłopaków z pierwszych rzędów — części przeznaczonej dla samotnych mężczyzn\*\* — i oczywiście niedorzeczności opowiadanej w filmie historii powstrzymywały mnie przed poddaniem się bólowi i rozkoszowaniem stłumionym lękiem. Gdy więc na ekranie Orhan Gencebay pytał gniewnie: „Ciemność dookoła, gdzie podziało się człowieczeństwo?!”, ja byłem szczęśliwy, że siedzę obok Fiisun, pod gwiazdami, wśród drzew. Patrząc na ekran, kątem oka obserwowałem jednocześnie, jak Fiisun wierci się na wąskim drewnianym

\* Miijde Ar — aktorka turecka, w latach 70. ubiegłego wieku gwiazda filmów klasy B. W 1984 r. zdobyła uznanie za główną rolę w filmie pt. *FahriyeAbla*, zrealizowanym na podstawie wiersza Ahmeta Muhipa Dranasa pod tym samym tytułem.

\*\* Tureckie kina i restauracje są często podzielone na części dla par, samotnych kobiet i samotnych mężczyzn.



krzeselku, a jej pierś porusza się w rytm oddechu, jak zakłada nogę na nogę i zapala papierosa w momencie, gdy Orhan Gencebay śpiewa: „Niech będzie przeklęty ten podły los”. Zastanawiałem się, w jakim stopniu udzieliła się jej sentymentalna atmosfera filmu. Gdy w gniewnej pieśni Orhana zmuszonego do małżeństwa z Mijde zaczęły pobrzmiwać buntownicze tony, odwróciłem się do Fiisun z uśmiechem na wpół czułym, na wpół żartobliwym. Ale tak była pochłonięta oglądaniem filmu, że nawet nie spojrzała w moją stronę.

Ożeniony ze zgwałconą dziewczyną, rybak Orhan nie sypiał z żoną, nawet nie tknął Mijde, która rozumiała, że małżeństwo nigdy nie ukoi jej bólu, i usiłowała odebrać sobie życie. Orhan natychmiast zawiózł ją do szpitala, gdzie została odratowana. Gdy mieli już wracać do domu, zaproponował Mijde, by wzięła go pod rękę, a ona w tej kulminacyjnej scenie filmu spytała go: „Nie wstydzisz się mnie?”. Dopiero wtedy poczułem drgnienie czającego się we mnie bólu. Wypełniający kino gwar zupełnie ucichł, widzowie od razu pojęli, że chodzi jej o hańbę, jaką było poślubienie zgwałconej dziewczyny, która nie była dziewicą, i o chodzenie z nią pod rękę.

Ja też poczułem wstyd, a nawet irytację. Czy było to zakłopotanie wynikające z tak otwartego mówienia o dziewictwie i honorze, a może dlatego, że oglądałem tę scenę wspólnie z Fiisun? Zastanawiałem się nad tym, czując jednocześnie, że Fiisun poruszyła się niespokojnie na krześle. Gdy dzieci oglądające film w objęciach matek wreszcie posnęły, a młodzieńcy z pierwszych rzędów przestali głośno dogadywać bohaterom filmu, poczułem ogromną chęć wzięcia Fiisun za rękę, która spoczywała tuż obok mnie, na oparciu jej krzesła.

Drugi film zmienił mój wstyd w prawdziwą miłosną udrękę, taką, jaka poruszała cały kraj i gwiazdy na niebie. Tym razem Orhanowi Gencebayowi partnerowała urocza brunetka, Peri-

han Savaş\*. Gencebay mimo niebywałych cierpień nie złorzeczył losowi, w pełen godności sposób, który głęboko mnie poruszył, znosił ból z pokorą. Jego postawę i cały film najlepiej opisują słowa tej piosenki — zwiedzający wysłuchają jej, jak sądzę, z przyjemnością:

*Kiedyś byłaś mą ukochaną, tęskniłem za tobą, nawet gdy byłaś przy mnie. Teraz znalazłaś sobie inną miłość, więc niech szczęście ci towarzyszy, ja wezmę ból i cierpienie, tobie zostawiam radosne życie.*

Na widowni zrobiło się ciszej, być może z powodu późnej pory albo dlatego, że maluchy zasnęły w ramionach matek, pijące oranżadę i strzelające do siebie prażonym grochem dzieci zmęczyły się, a rozrabiaki z pierwszych rzędów przycichły. A może dlatego, że widzowie czuli szacunek dla sposobu, w jaki Orhan Gencebay potrafił przemienić swe miłosne cierpienia w gotowość do poświęceń? Czy ja umiałbym postąpić tak jak on, zamiast dalej się poniżać i unieszczęśliwiać — żyć, pragnąc wyłącznie szczęścia Fiisun? Czy gdybym pomógł jej dostać rolę w tureckim filmie, poczułbym ulgę?

Ręka Fiisun nie znajdowała się już blisko mnie. Gdy Orhan Gencebay mówił do swej ukochanej: „Szczęście jest twoje, mnie zostaną wspomnienia!”, ktoś z pierwszych rzędów wrzasnął: „Dureń!”, lecz mało kto roześmiał się na znak, że się z tym zgadza. Wszyscy milczeliśmy. Przyjmować porażkę z godnością — oto co nasz naród potrafi najlepiej, co ceni najwyżej. Poczułem, że ze wzruszenia ściska mnie w gardle — zdjęcia do filmu nakręcono *wyah* nad Bosforem i zapewne to obudziło we mnie wspomnienia minionego lata i jesieni. Na wysokości Dragos rżęsiście oświetlony biały stateczek po-

\* **Perihan Savaş** — aktorka turecka znana z filmów i seriali, szczyt popularności osiągnęła na przełomie lat 70. i 80. ubiegłego wieku.

woli sunął w stronę jasnych światłał Wysp, gdzie szczęśliwi ludzie spędzali lato. Zapaliłem papierosa i założywszy nogę na nogę, z zachwytem patrzyłem w gwiazdy. Wokół było pełno ludzi, mimo to film zdołał chwycić mnie za serce, być może właśnie dlatego, że czułem obecność innych, w miarę upływu czasu coraz bardziej milczących ludzi. Gdybym oglądał ten film w samotności, w domu, na ekranie telewizora, na pewno bym się tak nie wzruszył, a gdybym jeszcze oglądał go w towarzystwie matki, nawet nie wytrzymałbym do końca. Jednak gdy obok siedziała Fiisun, między mną a widzami nawiązywało się poczucie braterstwa.

Seans dobiegł końca, rozbłysły światła, a my w milczeniu dołączyliśmy do niosących śpiące dzieci matek i ojców. Na tylnym siedzeniu Fiisun zasnęła, złożywszy głowę na ramieniu męża. Paliłem papierosa i patrzyłem przez okno na pogrążone w ciemnościach ulice, warsztaty, rudery biedoty, młodych ludzi wypisujących na murach lewicowe hasła, drzewa, które w mroku wydawały się starsze i potężniejsze, hordy bezpieczeństwa psów i zamykane już herbaciarnie. Nie odwróciłem się do Feriduna, kiedy pełen dobrych chęci, ściszoną głosem objaśniał najważniejsze momenty obejrzanego właśnie przez nas filmu.

Pewnej upalnej nocy w kinie letnim Yeni Ipek, urządzonym we wciśniętym między *gecekondu* długim, wąskim ogrodzie, przy jednej z bocznych uliczek Nigantagi, w okolicy pałacyku Ihlamur, zasiadłszy pod drzewami morwowymi, obejrzeliliśmy melodramaty: *Tylko śmierć zakończy miłosną udrękę* oraz *Usłysz krzyk mego serca* z udziałem Stokrotki, dziecięcej gwiazdy kina. Gdy w przerwie pomiędzy filmami piliśmy oranżadę wprost z butelek, Feridun powiedział, że aktor grający rolę księgowego, zblazowany typ z długimi wąsami, jest jego kolegą i wstępnie zgodził się wystąpić w podobnej roli w naszym filmie. Pomyślałem sobie wtedy, że wejście w filmowy

świataek Yeşilcam — choćby tylko po to, by być blisko Fiisun — nie będzie wcale takie trudne. W tym samym momencie zauważyłem, że drzwi balkonowe jednego z budynków, z oknami wychodzącymi na kino letnie, są zasłonięte czarnymi zasłonami, i zorientowałem się, że w tym starym drewnianym domu znajduje się jeden z dwóch luksusowych burdeli Nişantaşi. Pracujące w nim dziewczyny nieraz śmiały się do rozpuku, gdy w gorące letnie noce jęki uprawiających seks bogatych klientów mieszały się z dochodzącym z kina zgrzytem mieczy albo okrzykami: „Widzę, widzę!”, rozlegającymi się, gdy w jakimś melodramacie jedna z postaci nagle odzyskiwała wzrok. Czasem, gdy znudziło się im przesiadywanie na dole, w dawnym salonie znanego żydowskiego kupca, wesołe panienki w minispódniczkach szły na górę i z okien jednego z wolnych pokoi oglądały film.

Wypełnione ludźmi balkony, otaczające niewielkie kino letnie Yildiz w Şehzadebaşı z trzech stron, jak łoże w La Scali, były tak blisko widowni, że gdy tuż po scenie z filmu *Miłość i duma*, w której bogaty ojciec beszta syna („Jeśli ożenisz się z tym sklepowym popychadłem, wydziedziczę cię i wyrzeknę się ciebie!”), dało się słyszeć z jednego z mieszkań odgłosy kłótni, sądziliśmy, że to dalszy ciąg awantury na ekranie. W ogródku kinowym Yaz Cicek, położonym tuż obok całorocznego kina Cicek, obejrzelśmy nakręconą na podstawie scenariusza Feriduna *Sprzedawczynię obwarzków*, która według słów scenarzysty była nową adaptacją powieści Ksawerego de Montespina *Roznosicielka chleba*. W roli tytułowej nie wystąpiła tym razem Tiirkan Şoray\*, lecz Fatma

\* Tiirkan Şoray — aktorka uchodząca za wzór klasycznej tureckiej urody, jedna z czterech (obok Hiilyi Kocyigit, Filiz Akm i Fatmy Girik) najpopularniejszych w latach 60. i 70. ubiegłego stulecia gwiazd tureckiego kina.

Girik\*, co wzbudziło niezadowolenie grubego jegomościa w podkoszulku, zasiadającego w gronie rodziny na balkonie, popijającego *raki* i co chwila wyrażającego swą dezaprobatę okrzykami: „Ttirkan by to lepiej zagrała, dajcie spokój, wszystko do bani!”. Ponieważ widział już ten film poprzedniego wieczoru, opowiadał dalszy przebieg akcji, wrzeszcząc na całe kino i rzucając wyzwiskami; gdy widzowie zaczęli go uciszać („Psst, siedź cicho i pozwól nam oglądać”), ochoczo wdał się w pyskówkę, nie pozostawiając przy tym na filmie suchej nitki. Ftisun, czując, że Feridunowi może być przykro, przytuliła się do niego. Poczułem ukłucie bólu.

W drodze powrotnej nie oglądałem się do tyłu, by nie widzieć, jak Ftisun, drzemiąc lub rzucając jakieś uwagi, opiera głowę na ramieniu i piersi męża, chwytając go za rękę. W tę wypełnioną śpiewem świerszczy, gorącą, wilgotną noc samochód, jak zawsze uważnie i powoli prowadzony przez **Cetina**, jechał przez miasto, a ja wdychałem wpadający przez uchylone okna zapach bijący z bocznych ulic, woń kapryfolium, rdzy oraz kurzu, i wpatrywałem się w ciemność. Gdy tylko podczas seansu zauważyłem, że małżonkowie przytulają się do siebie, tak jak to było na przykład w kinie Incirli w Bakirkóy, gdzie obejrzelśmy dwa tureckie filmy sensacyjne zainspirowane kinem amerykańskim i ulicami Stambułu, w jednej chwili ogarniał mnie smutek. Czasem bez słowa zaciskałem zęby, tak jak bohater *Wziętego w dwa ognie*, twardy facet, który nigdy nie okazywał, że cierpi. Kiedy indziej znów zaczynałem podejrzewać, że Ftisun kładzie głowę na ramieniu męża, by wzbudzić we mnie zazdrość, i wyobrażałem sobie, że wyzywam go na

\* **Fatma Girik** — turecka gwiazda filmowa, której znakiem firmowym były błękitne oczy. Po zakończeniu kariery aktorskiej zajęła się polityką, została wybrana burmistrzem w jednej z dzielnic Stambułu.

pojedynek. W takich momentach starałem się udawać, że nie słyszę szeptów i chichotów tej pary, skupiałem się wyłącznie na filmie i aby pokazać, że świetnie się przy nim bawię, wybuchalem śmiechem w momentach, które mogłyby rozśmieszyć jedynie kompletnego idiotę. Albo jak inteligenci, którzy idą do kina na turecki film, a jednocześnie czują się nieswojo, że go oglądają, dostrzegałem jakiś dziwny szczegół, który umknął uwagi innych, i zaczynałem złośliwie chichotać, jakbym nie mógł powstrzymać się od śmiechu nad jego bezsens. Nie znosiłem jednak tej udawanej wesołości. Pozostawałem obojętny, gdy w jakimś poruszającym momencie — rzadko się to zresztą zdarzało — Feridun obejmował Fiisun ramieniem, ale gdy to ona pochylała głowę w jego stronę, przesywał mnie ból. Mimo woli zaczynałem sądzić, że robi to specjalnie, by mi dokuczyć, że jest okrutna, i ogarniał mnie gniew.

W jeden z chłodnych, deszczowych dni, które nadeszły wraz z przelatującymi nad Stambułem pierwszymi stadami bocianów, ciągnących pod koniec sierpnia z Bałkanów na południe, do Afryki (nie zauważyłem nawet, że od przyjęcia na pożegnanie lata, które urządziliśmy z Sibel, mijał właśnie rok), na terenie bazaru w Beşiktaşu, w sporym ogródku zwanym U Garbusa, dokąd na lato przenosiło się kino Yumurcak, oglądaliśmy właśnie *Pokochałem córkę biedaka*, gdy zacząłem podejrzewać, że pod swetrem, który siedząca obok mnie Fiisun położyła sobie na kolanach, ona i jej mąż trzymają się za ręce. Odczekałem chwilę, by minął krótki atak zazdrości, który zdarzał mi się już zresztą wcześniej, w innych kinach, i założywszy nogę na nogę, zerknąłem pod pretekstem przypalania papierosa w ich stronę, starając się dostrzec, czy rzeczywiście czule się pieszcza pod osłoną swetra. Czemu będąc małżeństwem, dzieląc z sobą łóżko i mając tyle okazji, by się nawzajem dotykać, muszą to robić akurat w mojej obecności?

Zazdrość zepsuła mi humor i wszystkie filmy, które obejrzałem w ostatnich tygodniach, wydały mi się beznadziejnie głupie, płytkie i żałośnie pozbawione jakiegokolwiek związku z rzeczywistością. Miałem powyżej uszu durnych kochanków, którzy wciąż zaczęli śpiewać piosenki, wiejskich dziewczyn w chustach, ale za to ze szminką na wargach, które w jeden dzień ze służących stawały się gwiazdami estrady. Nie mogłem już patrzeć na filmy o zuchwałych wojakach, które według słów Fiisun były „podróbkami francuskiej adaptacji” *Trzech muszkieterów* Dumasa, ani na opowieści o chuliganach bezwstydnie zaczepiających dziewczyny. *Trójkę z Kasimpaša* i noszących czarne koszule *Trzech nieustraszonych wojowników* obejrzałem w Ferikóy, w kinie Arzu, które wobec rosnącej konkurencji oferowało podczas jednego pokazu aż trzy filmy — tak przycięte, że trudno było się zorientować, o co w nich chodzi. Obrzydli mi zakochani poświęcający się w imię miłości („Zatrzymajcie się, zatrzymajcie, Tanju jest niewinny, to ja jestem przestępcą, którego szukacie!” — mówiła Hiilya Kocyigit w filmie *Pod akacjami*, którego projekcję przerwano w połowie z powodu deszczu), matki gotowe zrobić wszystko, byle zdobyć pieniądze na operację swego niewidomego dziecka (*Złamane serce* obejrzałem w Ludowym Ogródku Kinowym w Uskiidarze, gdzie podczas przerwy widzów zabawiali linoskoczkowie), wierni druhowie (krzyczący: „Uciekaj, przyjacielu, ja ich zatrzymam!” Erol Tag, który, jak twierdził Feridun, obiecał zagrać w naszym filmie), uczciwi kumple z dzielnicy rezygnujący z własnego szczęścia („Jesteś przecież ukochaną mego przyjaciela”). W takich bolesnych momentach nie robiły na mnie wrażenia dziewczyny szepczące na ekranie: „Ja jestem tylko ubogą dziewczyną pracującą w sklepie, ty zaś synem bogatego fabrykanta”, ani nawet ukrywający swe uczucia zbolali mężczyźni, którzy podjeżdżali limuzyną z szoferem, by pod pretekstem odwiedzenia dalekich krewnych ujrzeć ukochaną.

Przemijające szczęście, jakie odczuwałem, siedząc obok Fiisun, obejmujące także film na ekranie i widzów na widowni, wraz z jednym ukłuciem zazdrości mogło błyskawicznie zmienić się w głęboką rozpacz, czarną zasłoną zakrywającą cały świat. Zdarzały się jednak magiczne chwile, w których wszystko wokół nabierało blasku — czasem, gdy mą duszę wzruszył ponury los niewidomych bohaterów, moja ręka lekko dotykała jej ręki i by rozkoszować się wypływającym z tego zetknięcia wspaniałym uczuciem, zastygałem w bezruchu, bezmyślnie wpatrywałem się w ekran i traciłem zmysły ze szczęścia, czując, że ona się nie odsuwa, lecz pozwala, by jej skóra dotykała mojej. W kinie Campark w Arnavutköy, gdy śledziliśmy na ekranie przygody rozkapryszonej dziewczyny z bogatej rodziny i sprowadzającego ją na ziemię szofera w filmie *Jaśniepanienka*, nasze ręce złączyły się w ten sposób, co wywołało nieoczekiwaną reakcję mojego ciała. Nie przejmując się jego nieobyczajnym zachowaniem, właśnie oddałem się smakowaniu tej przyprawiającej o zawrót głowy przyjemności, gdy zapaliły się światła — ogłoszono pięciominutową przerwę. By ukryć wstydlive podniecenie, położyłem sobie na brzuchu granatowy sweter.

— Napijemy się oranżady? — spytała Fiisun. Podczas przerwy szła na ogół z mężem kupić pestki słonecznika i coś do picia.

— Za chwileczkę — odpowiedziałem. — Muszę się nad czymś zastanowić.

W liceum, gdy chciałem pozbyć się oznak podniecenia, zanim spostrzegą je koledzy, zaczynałem myśleć o śmierci babci, o prawdziwych i wymyślonych pogrzebach, burach od ojca, moim własnym pogrzebie, mrocznym grobie i ziemi wypełniającej mi oczodoły. Teraz też tak zrobiłem. Pół minuty później mogłem już wstać.

— Dobrze, chodźmy — powiedziałem.



Gdy szliśmy, zachwyciły mnie jej wysoka, smukła sylwetka i harmonijne ruchy, jakbym dostrzegł je po raz pierwszy dopiero teraz. Jak wspaniale było, nie zwracając uwagi na cudze spojrzenia, iść z nią wśród krzesełek i rozbieganych dzieci... Podobało mi się, że ludzie się jej przyglądają, sprawiało mi przyjemność wyobrażanie sobie, że zapewne uważają nas za parę, małżeństwo. W owym szczęśliwym momencie natychmiast uznałem, że ten króciutki wspólny spacer stanowił jedną z najpiękniejszych chwil w moim życiu i wart był tych wszystkich cierpień, które musiałem znieść.

Przed sprzedawcą oranżady nie było karnie ustawionej kolejki, lecz tłum wrzeszczących, domagających się napoju dzieci i dorosłych. Stanęliśmy za nimi.

— Nad czym to tak głęboko przed chwilą rozmyślałeś?  
— spytała po chwili Fiisun.

— Bardzo mi się podoba ten film — odpowiedziałem. — Zastanawiałem się, dlaczego teraz z taką przyjemnością oglądam filmy, które dawniej wydawały mi się głupie i śmieszne. Jeśli tylko uda mi się zebrać myśli, na pewno dojdę do jakiegoś konkretnego wniosku.

— Naprawdę podobają ci się te filmy? A może mówisz tak, bo chcesz chodzić z nami do kina?

— Nie, to nie o to chodzi. Po prostu podobają mi się. W większości filmów, które obejrzałem tego lata, było coś, co mnie poruszało, co podtrzymywało mnie na duchu.

— Życie nie jest takie proste i jednoznaczne jak te filmy — odparła Fiisun z nutą politowania w głosie. — Ale ja też się dobrze bawię. Cieszę się, że chodzisz z nami do kina.

Zamilkliśmy. „Wystarczy mi, że siedzisz obok mnie” — chciałem jej powiedzieć. Czy to był tylko przypadek, że nasze ramiona stykały się ze sobą przez tak długie chwile? Z przykrością uświadomiłem sobie, że na usta ciśnie mi się tak wiele słów,

lecz otaczający nas tłum, świat, w jakim przyszło nam żyć, nie pozwalają, bym je wypowiedział. Z zawieszonych na drzewach głośników rozległy się tony piosenki Orhana Gencebaya z filmu, który obejrzelśmy przed dwoma miesiącami w letnim kinie w Pendiku, skąd roztaczał się widok na morze. Słowa: „Byłaś kiedyś moją ukochaną...” i muzyka sprawiły, że przed moimi oczami zaczęły ożywać wspomnienia tego lata, wspaniałych chwil, gdy siedziałem nad Bosforem i upojony, z zachwytem patrzyłem na Fiisun i refleksy księżycowego światła na falach.

— Tego lata byłem bardzo szczęśliwy — oznajmiłem. — Filmy wiele mnie nauczyły. W życiu nie ma znaczenia, czy jest się bogatym... Liczą się, niestety, ból, cierpienie... Czyż nie tak?

— Film o życiu i cierpieniu — odpowiedziała moja ukochana — musi być szczery. — Wydało mi się, że przez jej twarz przemknął jakby cień.

Jeden z przepychających się i pryskających oranżadą dzieciaków omal nie wpadł na Fiisun. Złapałem ją w pół i przyciągnąłem do siebie. Nieco oranżady trysnęło w jej stronę.

— A to gówniarze! — krzyknął jakiś dziadek i trzepnął jednego z chłopaków po głowie. Zerknął na nas, oczekując aprobaty, a wtedy jego wzrok zawisł na mej ręce obejmującej talię Fiisun.

Jak blisko siebie, tak fizycznie, jak i psychicznie, byliśmy w owe wieczory w kinowych ogródkach! Lecz wystarczyło, że teraz Fiisun odsunęła się, unikając mych spojrzeń, i wmieszawszy się w grupę dzieci, sięgnęła po włożone do balii dla schłodzenia butelki lemoniady, by znowu złamać mi serce.

— Weźmy jedną dla pana Cetina — zaproponowała i kazała otworzyć dwie butelki.

Zapłaciłem i zaniósłem napój kierowcy, który nie siedział razem z nami w miejscu dla rodzin, lecz w części widowni wydzielonej dla samotnych mężczyzn.

— Ależ po co się pan fatygował, panie Kemal — powiedział z uśmiechem.

Gdy wróciłem do Fiisun, zauważyłem, że jeden z chłopców przygląda się jej z podziwem. W końcu zebrał się na odwagę i podszedł do nas:

— Czy jest pani aktorką? — zapytał.

— Nie.

Pozwolę sobie w tym miejscu przypomnieć, że niegdysiejsi podrywacze zadawali to pytanie (współcześni zdaje się zupełnie zarzucili tę metodę), by nawiązać rozmowę z zadbaną, umalowaną i dość swobodnie ubraną, choć nie pochodzącą z wyższych sfer dziewczyną, i powiedzieć jej: „Podobasz mi się”. Ale niespełna dziesięcioletniemu chłopcu nie o to chodziło. Nie ustępował:

— Ale ja widziałem panią w jednym filmie!

— W którym? — spytała Fiisun.

— W *Jesiennych motylach*, miała pani tę samą sukienkę...

— A jaką rolę grałam? — uśmiechnęła się rozbawiona Fiisun.

Chłopiec zrozumiał, że się pomylił, i nie odpowiedział.

— Zapytam męża, on zna wszystkie filmy.

Jak można się domyślić, zabołały mnie słowa „zapytam męża” i szukanie go wzrokiem w tłumie widzów, ujawnienie przed chłopcem, że to nie ja jestem jej mężem. Ale zapanowałem nad smutkiem i szczęśliwy, że mogę być tak blisko niej, że możemy razem pić oranżadę, stwierdziłem: — Chyba przeczuł, że wkrótce powstanie nasz film, a ty zostaniesz gwiazdą...

— Naprawdę dasz wreszcie pieniądze na nakręcenie filmu? Wybacz, kuzynie Kemal, Feridun krępuje się poruszać ten temat, ale tak długo nas zwodzisz, że zaczynamy mieć tego dosyć.

Zastygłem.

— Naprawdę?

## 53. ZŁAMANE SERCE IDASY NA NIC SIE ZDADZA

Do końca wieczoru milczałem jak zakłęty. W wielu językach to, co w owej chwili przeżywałem, nazywa się „złamanym sercem”. Dlatego uznałem, że pęknięte porcelanowe serduszko najlepiej zobrazuje zwiedzającym muzeum mój ból. Nie przeżywałem już miłosnego zawodu tak jak w zeszłym roku, nie targał mną niepokój, brak nadziei, gniew. Ból jakby wolniej przepływał przez moje żyły, gdyż to, że widywałem Fiisun codziennie lub co drugi dzień, zmniejszało jego intensywność, wyrobiłem też w sobie nowe nawyki, które pozwalały mi z nim żyć i przez lato tak głęboko wrosły w mą duszę, że uczyniły ze mnie innego człowieka. Większość czasu spędzałem nie na stawianiu oporu bólowi, ale na tłumieniu go, maskowaniu, udawaniu, że nie istnieje.

Gdy ból wywołany zawodem miłosnym zelżał, jego miejsce zajął ból poniżenia. Miałem wrażenie, że Fiisun stara się, bym nie cierpiał z jej powodu, unika tematów, sytuacji, które mogłyby uwłaczać mojej dumie. Ale po jej ostatnich brutalnych słowach zrozumiałem, że nie mogę dłużej samego siebie oszukiwać, iż nic się nie stało.

Na początku udawało mi się zachowywać tak, jakby Fiisun tych słów, powtarzających się w mojej głowie jak refren („Naprawdę dasz wreszcie pieniądze... Zaczynamy mieć tego dosyć...”), wcale nie wypowiedziała albo jakbym był głuchy i ich nie usłyszał. Ale rzucona od niechcienia odpowiedź („Naprawdę?”) dowodziła czegoś wręcz przeciwnego. Nie mogłem wobec tego przejść do porządku dziennego nad despektem, jakiego doznałem. Z wyrazu mej twarzy łatwo było wyczytać, że straciłem humor — świadczyło to dobitnie, że zdaję sobie sprawę z własnego poniżenia. Powtarzając w myślach słowa, które tak mnie dotknęły, jak gdyby nigdy nic usiadłem na swoim miejscu z butelką oranżady w ręku. Każdy ruch sprawiał mi ból. Gdyby Fiisun zorientowała się, że zrozumiałem uwłaczający mi sens jej słów i poczułem się dotknięty, byłoby to dla mnie jeszcze większym poniżeniem.

Resztkami sił i maksymalnym wysiłkiem woli starałem się nie dać niczego po sobie poznać, zmuszałem się do myślenia o czymś obojętnym. Jak wtedy w dzieciństwie i wczesnej młodości, gdy z nudów zajmowałem się metafizycznymi rozważaniami i stale zadawałem sobie w duchu pytania: „O czym teraz myślę? Myślę o tym, o czym myślę!”. Powtórzywszy je sobie kilkakrotnie, zdecydowanym ruchem odwróciłem się do Fiisun. — Prosimi, by odnieść — oświadczyłem, wyjmując jej z ręki pustą butelkę. Wstałem i ruszyłem w stronę stoiska. Swojej oranżady nie dopiłem jeszcze do końca. Po drodze, gdy nikt nie patrzył, szybko przelałem resztki napoju z mojej butelki do butelki Fiisun i oddałem sprzedawcy opróżnione naczynie. Trzymając w ręku butelkę Fiisun, którą tu ekspozuję, usiadłem z powrotem na swoim krzesełku. Fiisun i jej mąż, zajęci rozmową, niczego nie zauważyli. Ja zaś do końca filmu nie zwracałem uwagi na to, co się działo na ekranie, gdyż butelka, której dotykały jej wargi, teraz znajdowała się

w moich drżących dłoniach. Postawiłem ją później przy łóżku w mieszkaniu w kamienicy Zmiłowanie i długie lata pieczołowicie przechowywałem. Spostrzegawczy zwiedzający zwróca zapewne uwagę na jej kształt i przypomną sobie butelki oranżady Zefir, której pojawienie się na rynku zbiegło się w czasie z początkiem tej historii. Nie był to jednak oryginalny napój, którego smakiem Zaim tak się szczylił. W międzyczasie pojawiły się już bowiem podróbki tej sprzedawanej niemal w całej Turcji pierwszej ogólnokrajowej marki oranżady. Działający nielegalnie drobni lokalni producenci zbierali po sklepach puste butelki po zefirze i napełniali je tanim, barwionym napojem własnej produkcji.

— Bardzo dobra ta oranżada Zefir, prawda? — rzucił Feridun. Nieświadomy niesmacznej sytuacji, jaka zdarzyła się między mną a Fiisun, zauważył, że wracając na miejsce, co chwila przytykałem butelkę do ust. Wyjaśniłem mu, że nie jest to „prawdziwy” Zefir. Od razu pojął, o co chodzi.

— W Bakirkóy jest nielegalna rozlewnia gazu. Napełniają puste butle Aygazu. My też raz tam kupiliśmy. Kemalu, wierz mi albo nie, gaz palił się lepiej niż z oryginalnej.

Ostrożnie przytknąłem butelkę do ust.

— Ta też dużo lepiej smakuje.

Samochód, kołyszac się na nierównym bruku, jechał przez słabo oświetlone boczne uliczki, a po jego przedniej szybie powoli, jak we śnie, przesuwwały się cienie drzew i liści. Siedziałem na przednim fotelu obok kierowcy, a ból złamanego serca stał się tak dotkliwy, że przestałem odwracać się do tyłu. **Cetin**, który na ogół nie uczestniczył w rozmowach podczas drogi powrotnej, tym razem, nie mogąc chyba znieść ciszy, poruszył temat dopiero co obejrzanego filmu i oświadczył, że niektóre sceny były kompletnie nieprzekonujące. Na przykład żaden stambulski szofer nie ośmieliłby się, nawet w bardzo

grzeczny sposób, zwracać uwagi swojej pani, tak jak to robił szofer w filmie.

— Ale to nie był szofer, tylko słynny aktor Ayhan Işik! — zauważył Feridun.

— Zgadza się, proszę pana — przytaknął Cetin. — Dlatego z przyjemnością ten film oglądałem. Bo był również pouczający... Wszystkie filmy, jakie obejrzałem tego lata, bardzo mi się podobały, bo nie tylko bawiły, lecz także dawały lekcję życia.

Fiisun i ja nie odzywaliśmy się. Tym, co zwiększyło mój ból, było określenie „tego lata”, użyte przez Cetina. Przypomniało mi, że letnie wieczory dobiegają końca i już nie będę oglądał z Fiisun filmów w kinowych ogródkach, skończy się dające mi tyle szczęścia przesiadywanie obok niej pod gwiazdami. Chciałem coś powiedzieć, by nie okazać Fiisun swego smutku, ale nie byłem w stanie wydobyć głosu, poczułem też, że przez długi czas będę żywił wobec niej urazę.

Nie chciałem jej więcej widzieć. Nie miałem ochoty przebywać z osobą, która przyjaźni się ze mną tylko dlatego, że mogę wesprzeć finansowo filmowy projekt jej męża, czyli, krótko mówiąc, dla pieniędzy. W dodatku nawet nie starała się ukryć, że spotyka się ze mną wyłącznie z tego powodu. Ktoś taki tracił w moich oczach cały urok i czułem, że zerwanie znajomości przyjdzie mi łatwo.

Tamtego wieczoru odwiozłem ich do domu, nie umawiając się na wspólne pójście do kina następnego dnia. Nie zadzwoniłem do nich przez kolejne trzy dni. W tym czasie najpierw jakby nieświadomie, potem coraz intensywniej zaczynałem wykazywać zupełnie inny rodzaj urazy. Nazwałbym to urazą dyplomatyczną — u jej podstaw nie leżało złamane serce, lecz poczucie obowiązku: trzeba chronić swoją godność i dlatego osobę, która źle wobec nas postąpiła, należy ukarać, by nie robiła tego ponownie. Najlepszą karą dla Fiisun było oczywiście

nie dać pieniędzy na film jej męża i w ten sposób zniweczyć jej marzenia o zostaniu gwiazdą filmową. Niech pomyśli, co z nią będzie, jeżeli nie nakręcimy filmu — mówiłem sobie w duchu. Moja uraza z początku była urazą spontaniczną, lecz począwszy od drugiego dnia, zacząłem szczegółowo wyobrażać sobie, jak ta kara dopiecze Fiisun. I choć z łatwością mogłem sobie przedstawić materialne skutki zerwania przeze mnie znajomości, wciąż wydawało mi się, że w gruncie rzeczy Fiisun będzie przykro nie dlatego, że film nie powstanie, lecz dlatego, że mnie nie zobaczy. Być może nie było to tylko złudzenie, lecz prawda.

Jednocześnie przyjemność wyobrażania sobie, jak Fiisun żałuje tego, co zrobiła, zaczęła dominować nad poczuciem zranienia. Wieczorem drugiego dnia, gdy w letnim domu w Suadiye jadłem z matką kolację, uświadomiłem sobie, że tęsknię za Fiisun, a moja spontaniczna uraza właściwie już minęła, mogę więc teraz podtrzymywać jedynie tę, która dokuczy dziewczynie i ją ukarze. Próbowałem spojrzeć na wszystko oczami dawnej kochanki i naśladować jej materialistyczny i bezwzględny tok myślenia, określić, jak bardzo byłoby mi przykro, gdybym tak jak ona był młodą i piękną kobietą i już, już miał zagrać w filmie nakręconym przez męża oraz stać się gwiazdą, lecz jednym nieopatrzonym słowem zraniłbym serce bogatego producenta, w wyniku czego wszystkie marzenia o zdobyciu sławy rozwiałyby się jak dym. Niestety, grad pytań matki („Czemu nie zjadłeś mięsa do końca? Wychodzisz gdzieś wieczorem? Lato straciło urok, może nie czekajmy do końca miesiąca i już jutro wrócemy do Nişantaşı? Który to już kieliszek?”) uniemożliwił mi postawienie się na miejscu Fiisun.

Lekko pijany, próbując ustalić, co takiego może ona myśleć, dokonałem innego odkrycia: moja uraza już od samego początku, od chwili gdy usłyszałem te paskudne słowa („Naprawdę dasz wreszcie pieniądze...”), była urazą dyplomatyczną. Chcia-



łem zemścić się na Fiisun za to, co mi zrobiła, ale to pragnienie budziło we mnie strach, wstydziłem się go, dlatego wmówiłem sobie, że nie chcę jej więcej widzieć. To był bardziej honorowy pretekst, by mszcząc się, pozostać jednocześnie czystym. Moja spontaniczna uraza nie była w gruncie rzeczy ani szczerą, ani prawdziwą, wyolbrzymiałem doznany zawód, by nadać niewinność i wyższy sens pragnieniu zemsty. Uświadomiwszy to sobie, postanowiłem wybaczyć Fiisun i spotkać się z nią. I natychmiast zacząłem patrzeć na wszystko z większym optymizmem. Musiałem jednak sporo przemyśleć, by się przemóc i znów do nich pójść.

Po kolacji poszedłem na spacer aleją Bagdadzką, po której w młodości, dziesięć lat temu, chodziłem z kolegami poszpianować, paradując tam i z powrotem. Idąc szerokimi chodnikami, z całych sił znowu próbowałem postawić się na miejscu Fiisun, by dokładnie zrozumieć, jak może tłumaczyć sobie to, że odstąpiłem od wymierzenia jej kary. Nagła myśl oświeciła mnie jak błyskawica: taka mądra, ładna, wiedząca, czego chce, dziewczyna szybko znajdzie innego producenta, który wesprze filmowy projekt jej męża, wystarczy, że trochę się wokół tego zakręci. Poczułem piekący ból zazdrości i żalu.

Następnego dnia kazałem **Cetinowi** dowiedzieć się, co grają w letnich kinach w Besiktasu i wybrawszy „poważny film wart obejrzenia”, zadzwoniłem z biura do Fiisun i Feriduna. Gdy tylko przytknąłem słuchawkę do ucha i usłyszałem w niej sygnał nieodbieranego połączenia, serce zaczęło mi bić szybciej i zrozumiałem, że ktokolwiek odbierze, nie będę w stanie normalnie rozmawiać.

Moje słowa zabrzmiałyby sztucznie, gdyż nadal miotałem się pomiędzy ukrytą gdzieś w zakamarkach mego umysłu urazą spontaniczną a jej dyplomatyczną odmianą, do której żywienia czułem się zobowiązany, dopóki Fiisun mnie nie przeprosi.

Ostatnie letnie wieczory spędziłem bez satysfakcji, oglądając z Fiisun i jej mężem filmy w kinowych ogródkach i udając, że jestem obrażony. Moje naburmuszenie udzieliło się Fiisun. Czasem złościłem się, że zmusza mnie do udawania dąsów nawet wtedy, gdy wcale nie miałem na to ochoty, i wtedy naprawdę byłem na nią obrażony. Po pewnym czasie to zachowanie wobec Fiisun, stało się moim prawdziwym ja. I zapewne w tym właśnie czasie zacząłem rozumieć, że dla większości ludzi życie nie jest szczęściem, którym trzeba się szczerze cieszyć, lecz sprowadza się do nieustannego odgrywania pełnej fałszu roli na wąskiej scenie zbudowanej z nacisków, kar i kłamstw.

Wszystkie tureckie filmy sugerowały, że dzięki byciu prawdziwym wyjście z tego fałszywego świata jest możliwe, lecz ja, oglądając je w opustoszałych ogródkach kinowych, przestałem im wierzyć, nie dawałem się już porwać ich czułościowości. Pod koniec lata kino Yildiz w Beşiktaşu świeciło pustkami, uznałem więc, że zajmowanie miejsca obok Fiisun byłoby w tej sytuacji dziwne, dlatego usiadłem nieco dalej, pozostawiając między nami wolne krzeselko; wraz z podmuchami chłodnego wiatru moja udawana uraza zamieniła się w mrozące mnie od środka lodowate uczucie żalu. Cztery dni później wybraliśmy się do kina Kuliip w Ferikóy, gdzie ujrzawszy leżących w łóżeczkach chłopców ze smutnymi minami i babcie w chustkach, z rozbażeniem stwierdziliśmy, że zamiast na seans trafiliśmy na przyjęcie z okazji obrzezania, zorganizowane przez urząd dzielnicowy dla dzieci z ubogich rodzin, z pokazami linoskoczków, żonglerów i tancerek. Mimo zaproszenia ze strony korpulentnego burmistrza o sterzcących jak szczotka wąsach, nie wzięliśmy w nim udziału, i to tylko dlatego, że oboje z Fiisun nie potrafiliśmy przestać udawać, że jesteśmy obrażeni. W odpowiedzi na moje naburmuszenie ona też pokazywała dąsy, ale robiła to tak, by jej mąż niczego nie zauważył, co doprowadzało mnie do szału.

Sześć dni udało mi się wytrzymać i nie zatelefonować do nich. Zabolało mnie jednak, że oni też do mnie nie zadzwonili — przecież jeśli nie Fiisun, to jej mąż mógłby choć raz to zrobić. A jeśli filmu nie będzie, to pod jakim pretekstem miałbym się z nimi kontaktować? Nie miałem już wątpliwości, że jeśli chcę się z obojgiem dalej widywać, muszę wyłożyć pieniądze na film. Trzeba się było z tym pogodzić.

Do kina po raz ostatni poszliśmy na początku października, do Majestiku w Pangalti. Było ciepło, więc widownia się zapełniła. Miałem nadzieję, że chociaż ten ostatni wieczór upłynie nam miło i przestaniemy się na siebie dąsać. Lecz zanim zajęliśmy miejsca, zdarzyło się coś nieoczekiwanego: spotkałem panią Cemile, koleżankę z dzieciństwa i partnerkę od bezika mojej matki. Postarzała się, jakby zbiedniała. Niczym niegdyśiejsi bogacze, dręczeni wstydem i poczuciem winy z powodu utraty majątku, wymieniliśmy się nieufnymi spojrzeniami, które mówiły: „A ty czego tu szukasz?”.

— Przyszłam tu, bo byłam ciekawa, jak wygląda dom Miikerrem — szepnęła, jakby zdradzała mi jakąś tajemnicę.

Nie miałem pojęcia, o kim mówi. Uznałem, że jakaś niezwykle osoba o imieniu Miikerrem mieszka zapewne w którymś z domów przylegających do ogródka, i aby mu się również przyjrzeć, zająłem miejsce obok pani Cemile. Fiisun i jej mąż usiedli kilka rzędów przed nami. Gdy zaczął się seans, zrozumiałem, że dom Miikerrem to dom z filmu. Był to należący do potomków osmańskiego paszy słynny pałacyk w Erenkóy — w dzieciństwie często przejeżdżałem koło niego na rowerze. Zubożałych właścicieli zabytkowego drewnianego budynku nie stać było na jego utrzymanie, dlatego, tak jak inni arystokratyczni znajomi mojej matki, wynajmowali go ekipom z Yeşilcam. Zamiarem pani Cemile nie było więc wzruszenie się filmem *Bardziej gorzki niż miłość*, lecz pooglądanie intarsjo-

wanych boazerii starego pałacyku, który na potrzeby filmu stał się siedzibą nowobogackiego drania. Powinienem być wstać i przesiąść się na miejsce obok Fiisun. Ale nie mogłem się na to zdobyć, ogarnięty dziwnym zażenowaniem. I jak młody chłopak, który krępuje się siedzieć w kinie blisko rodziców, nie chciałem wcale wiedzieć, dlaczego się wstydzę.

Zażenowanie to, którego przyczyn nawet po latach nie chcę znać, nierozdzielnie łączyło się z uczuciem urazy. Po filmie podszedłem do Fiisun i jej męża, których pani Cemile obrzuciła uważnym spojrzeniem. Fiisun była naburmuszona jeszcze bardziej niż zwykle, a mnie nie pozostało nic innego, jak dalej udawać, że jestem o coś obrażony. Pragnąłem wyjść z roli, do której odgrywania czułem się zmuszony, przerwać nieznośną ciszę panującą w samochodzie podczas drogi powrotnej, wyobrażałem sobie, że rzucam jakiś nonsensowny żart, wybucham szalonym śmiechem, upijam się, lecz żadnej z tych rzeczy nie byłem w stanie zrobić.

Przez następnych pięć dni nie rozmawiałem z kuzynką. Po-wstrzymywałem się, wyobrażając sobie, że Fiisun gorzko żałuje i lada moment będzie błagać mnie o wybaczenie. W marzeniach na jej słowa skruchy, błagania odpowiadałem, że to ona zawiniła, i wymieniałem jeden po drugim wszystkie jej błędy, w które szczerze wierzyłem, do tego stopnia, że ogarniał mnie gniew, jakbym rzeczywiście stale doznawał krzywd.

Dni, gdy jej nie widywałem, stawały się coraz trudniejsze do wytrzymania. Czułem, że mroczny, gęsty opar piekącego bólu, znoszonego przez ostatnie półtora roku, znowu przenika do mej duszy. Sama myśl, że kolejny raz mógłbym zostać ukarany niewidzeniem jej, była przerażająca. Już z tego względu nie powinienem był otwarcie okazywać urazy, ponieważ to zmieniłoby ją w torturę dręczącą tylko mnie, w karę, którą nałożyłbym sam na siebie. Złamane serce i dąsy na nic się zdadzą. Gdy tak

sobie o tym myślałem, spacerując pewnej nocy samotnie po Nişantaşı wśród opadających liści, doszedłem do wniosku, że najszczęśliwszym i dającym największą nadzieję rozwiązaniem byłoby widywać Fiisun trzy, cztery (albo przynajmniej dwa) razy w tygodniu. Tylko w ten sposób mógłbym wrócić do zwykłego, codziennego życia bez podsycania zżerającego mnie bólu nie odwzajemnionego uczucia. Wiedziałem już bowiem dobrze, że niewidywanie Fiisun — wszystko jedno czy wskutek jej chęci ukarania mnie, czy też moich prób ukarania jej — bardzo szybko zamieniłoby moje życie w koszmar. Jeżeli nie chcę, by zeszłoroczne tortury się powtórzyły, muszę dostarczyć Fiisun, jak jej zresztą obiecałem w liście przekazanym za pośrednictwem Ceydy, kolczyki z perłami od mojego ojca.

Gdy następnego dnia poszedłem na Beyoğlu zjeść lunch, w kieszeni miałem pudełko z kolczykami. Wtorek 12 października 1976 roku był słonecznym, przyjemnym dniem babiego lata. Błyszczały kolorowe witryny sklepów. Jedząc obiad u Hacı Saliha, starałem się być wobec siebie szczerzy. Nie było sensu ukrywać, że przyszedłem tu, bo mogę stąd w ciągu półgodziny znaleźć się — jeśli mi coś takiego strzeli do łba — u cioci Nesibe. Stolik, przy którym siedziałem, dzielił od Cukurcumy kilkuminutowy spacer. Przechodząc przed kinem Saray, sprawdziłem program: o trzynastej czterdzieści pięć zaczynał się seans. Gdybym poszedł do kina, usiadł w jego chłodnym, pachnącym wilgocią i pleśnią wnętrzu, zapomniałbym o wszystkim, a przynajmniej choć na chwilę znalazłbym się w innym świecie i nieco się odprężył. Ale o godzinie trzynastej czterdzieści zapłaciłem rachunek, wyszedłem z restauracji i zacząłem schodzić w dół wzgórza Cukurcuma. W żołądku miałem obiad, na karku czułem ciepło słońca, w duszy niepokój, a w sercu leciutkie ukłucie bólu.

Drzwi otworzyła ciocia Nesibe.

— Nie, nie będę wchodził na górę — powiedziałem. Wyjąłem z kieszeni pudełko z kolczykami. — To dla Fiisun... Prezent od mojego ojca... Pomyślałem, że przyniosę jej to po drodze.

— Zaraz zaparzę ci kawę, Kemal. Chcę ci o czymś powiedzieć, zanim wróci Fiisun.

Zabrzmiało to tak tajemniczo, że nie oponując, poszedłem za nią na górę. Wnętrze domu było pełne światła, w słońcu kanarek radośnie podskakiwał i świergotał w swojej klatce. Wszędzie walały się przybory krawieckie, nożyczki, ścinki materiałów.

— Już nie chodzę szyć, ale tak bardzo prosili, muszę zdążyć z sukienką na wieczór. Fiisun mi pomaga, wyszła tylko na chwilę.

Podawała mi kawę i od razu przeszła do tematu.

— Złamane serce, głęboka uraza, wiem, jak to jest—oświadczyła. — Kemal, moja córka bardzo cierpiała. Musisz wytrzymać jej dąsy, doprowadzić do zgody pomiędzy wami...

— Oczywiście — przytaknąłem z wszystkowiedzącą miną.

— Wiesz lepiej ode mnie, jak to osiągnąć... Ułagodź Fiisun, zrób to, czego ona chce, i zawróć ją ze złej drogi...

Unosząc brwi, spojrzałem na nią pytająco, ciekaw, co to za zła droga, na której znalazła się Fiisun.

— Przed twoimi zaręczynami, w dniu uroczystości, a zwłaszcza potem strasznie cierpiała, przepłakała całe miesiące. Nie chciała jeść ani pić, nie wychodziła z domu. A ten chłopak co dzień przychodził i ją pocieszał.

— Feridun?

— Tak, ale nie martw się, on o tobie nie wie.

Ciocia Nesibe opowiadała mi, że jej córka z bólu i smutku nie wiedziała, co zrobić, pomysł wydania jej za mąż rzucił wujek Tarik, w końcu Fiisun zgodziła się wyjść za „tego chłopaka”. Gdy Fiisun miała czternaście lat, strasznie się w niej zakochał,

ale ona go ignorowała, a nawet dręczyła, okazując mu obojętność. Teraz Feridun już nie był taki zakochany (ciocia Nesibe uśmiechnęła się, lekko unosząc brwi, jakby chciała mi powiedzieć: „To dla ciebie dobra wiadomość!”). Wieczorami często wychodził, w głowie były mu tylko filmy, cały czas spędzał z kolegami filmowcami. Jakby wyprowadził się z akademika w Kadirga nie po to, aby zamieszkać z Fiisun, lecz aby mieć bliżej do knajp w Beyoglu, gdzie przesiadywali. Oczywiście, jak to zazwyczaj bywa w aranżowanych małżeństwach, z czasem młodzi poczuli do siebie sympatię, ale nie powinienem traktować tego poważnie. Po tym, co się stało, ciocia i wujek uznali, że najlepiej będzie, jak Fiisun szybko wyjdzie za mąż, i okazało się to dobrym pomysłem...

Z wyraźną satysfakcją i w sposób nie pozostawiający żadnych wątpliwości — pragnąc mnie przy tym też chyba trochę ukarać — dała mi do zrozumienia, że mówiąc „to, co się stało”, ma na myśli miłość Fiisun do mnie, pójście ze mną do łóżka i oblanie egzaminów wstępnych. Tylko zamążpójście mogło zmyć tę plamę na honorze, a wszystkiemu winny byłem oczywiście ja!

— Zdajemy sobie doskonale sprawę, że Feridun jest niewiele wart, nie zapewni Fiisun życia na dobrym poziomie, ale jest teraz jej mężem! — oświadczyła ciocia Nesibe. — Chce, by jego żona została gwiazdą filmową, ma dobre intencje. Jeśli kochasz moją córkę, powinienes wesprzeć ich oboje. Pomyśleliśmy, że lepiej wydać ją za Feriduna niż za jakiegoś bogatego starucha, który będzie nią pogardzał ze względu na jej przeszłość. Ten chłopak wprowadzi ją w krąg ludzi związanych z filmem. A ty na nią uważaj, Kemal!

— Oczywiście, ciociu Nesibe.

Z ledwo dostrzegalnym uśmiechem dodała, że jeśli Fiisun dowie się, iż zdradziła mi rodzinne tajemnice, oboje nas „okrutnie ukarze”.

— Fiisun bardzo przeżyła zerwanie zaręczyn z Sibel, to, że tak cierpiełaś, Kemal. Ten znikowany na punkcie kina chłopak ma złote serce, ale wkrótce Fiisun zrozumie, że to nieudacznik, i zostawi go... A jeśli ty zawsze będziesz przy niej, jeśli będzie mogła na ciebie liczyć...

— Chciałbym jej wynagrodzić przykrości, naprawić to, co zepsułem — odpowiedziałem. — Proszę, ciociu Nesibe, pomóż mi odzyskać jej serce! — wyjąłem pudełeczko z kolczykami i podałem jej. — To dla Fiisun.

— Dziękuję! — wzięła pudełeczko.

— Ciociu Nesibe... Gdy byłem u was pierwszy raz, tamtego wieczoru, odniosłem Fiisun pojedynczy kolczyk... Ale go nie otrzymała... Czy ciocia wie, gdzie się podział?

— Nic o tym nie wiem. Ten prezent też lepiej sam jej wręcz.

— Nie, nie. Zresztą tamten kolczyk to nie był prezent, należał do niej.

— Jaki kolczyk? — spytała ciocia Nesibe, a widząc moje wahanie, dodała: — Gdyby wszystko udało się załatwić jedną parą kolczyków... Kiedy Fiisun się rozchorowała, Feridun zaczął nas odwiedzać. Ze smutku tak opadła z sił, że ledwie chodziła, ale on brał ją pod rękę i zabierał do kina. Co wieczór, nim poszedł spotkać się z kolegami, jadł z nami kolację, posiedział trochę, obejrzał telewizję, zajął się Fiisun...

— Ja mogę zrobić o wiele więcej, ciociu Nesibe.

— Niech Allah ma nas w swej opiece, Kemal. Zachodź do nas wieczorami, zapraszamy. Pozdrów mamę, ale staraj się nie przysparzać jej zmartwień...

Rzucając szybkie spojrzenie w stronę drzwi, dała mi do zrozumienia, że Fiisun nie powinna mnie tu zastać. Natychmiast wyszedłem i, uspokojony, ruszyłem w stronę Beyoğlu. Z zadowoleniem stwierdziłem, że uraza do Fiisun znikła bez śladu.



## 54. CZAS

Dokładnie siedemnaście lat i dziesięć miesięcy temu poszedłem na kolację do wujostwa, żeby ujrzeć Fiisun. Było to w sobotę 23 października 1976 roku, jedenaście dni po tym, jak ciocia Nesibe zaprosiła mnie, mówiąc: „Zachodź do nas wieczorami!”, a ostatni raz kolację w **Cukurcumie** w towarzystwie Fiisun i cioci zjadłem w niedzielę 26 sierpnia 1984 roku, z czego wynika, że pierwszą wizytę dzielią od ostatniej dwa tysiące osiemset sześćdziesiąt cztery dni. W ciągu tych czterystu dziewięciu tygodni, o których teraz będę opowiadał, byłem u nich na kolacji, według moich notatek, tysiąc pięćset dziewięćdziesiąt trzy razy, czyli średnio cztery razy w tygodniu. Ale proszę nie sądzić, że regularnie w każde cztery dni z siedmiu pukałem do drzwi domu w **Cukurcumie**.

Przez pewien czas odwiedzałem ich codziennie, potem znów ogarniało mnie rozżalenie, złość na Fiisun albo łudziłem się, że jestem w stanie o niej zapomnieć, i zachodziłem do nich rzadziej. Lecz bez Fiisun (to znaczy nie widując jej) nie wytrzymawałem dłużej niż dziesięć dni. Jeżeli rozłąka

się przeciągała, nasilenie bólu osiągało poziom z jesieni 1975 i stawał się on nie do zniesienia. Dlatego mogę powiedzieć, że przez tych ponad siedem lat widywałem regularnie ją i jej rodzinę (czyli Keskinów). Nie zapraszali mnie na konkretny dzień, ale za każdym razem trafnie przewidywali, kiedy się zjawię. Przyzwyczaili się do moich wizyt w porze posiłku, a ja do tego, że zawsze się mnie spodziewali. Każdego wieczoru czekało w pogotowiu dodatkowe nakrycie. Z tego też powodu stale byłem w rozterce, czy wypada mi tak często ich odwiedzać — z jednej strony obawiałem się narzucać, z drugiej — martwiłem się, że moja nieobecność nie tylko pozbawi mnie kojącego widoku Fiisun, lecz może zostać uznana za niegrzeczność i oznakę lekceważenia.

Pierwsze wizyty upłynęły mi na tego rodzaju rozterkach, przyzwyczajaniu się do nowego miejsca i do wzroku Fiisun oraz na próbach dostrojenia się do atmosfery panującej w domu kuzynki. Spojrzeniami chciałem powiedzieć Fiisun: „Patrz, przyszedłem i oto jestem!”, gratulowałem sobie, że pokonałem wstyd i niepokój. Skoro przebywanie w pobliżu Fiisun jest dla mnie takim ogromnym szczęściem, czemu tak się zadręczam? I wtedy Fiisun uśmiechała się do mnie jak gdyby nigdy nic, jakby cieszyła się z mojej wizyty.

Niestety, podczas pierwszych wizyt rzadko udawało nam się zostać sam na sam. Ale zawsze znajdowałem okazję, by szepnąć jej: „Brakuje mi ciebie!” albo „Strasznie się za tobą stęskniłem”, a jej spojrzenia mówiły mi, że te słowa sprawiają jej przyjemność. Sytuacja nie pozwalała na nic więcej.

Tym, którzy się dziwią, że przez prawie osiem lat chodziłem wieczorami z wizytą do Fiisun (jakoś z trudem przychodzi mi mówienie „do Keskinów”) i z taką swobodą wspominam ten tak długi okres, te niemal trzy tysiące dni, chciałbym przypomnieć, jak zwodniczy jest czas, uświadomić im, że oprócz cza-

su „oficjalnego”, który dzielimy z innymi, każdy z nas ma swój własny, osobisty czas. Muszę to zrobić, by odzyskać szacunek czytelników, którzy inaczej uznaliby mnie za owładniętego obsesjami, przerażającego dziwaka, a jednocześnie aby móc lepiej zrozumieć życie Fiisun i jej rodziny.

Zacznijmy od wiszącego tuż przy drzwiach ściennego zegara niemieckiej produkcji, z wahadłem i kurantem, umieszczonego w eleganckiej drewnianej obudowie z oszklonymi drzwiczkami. Jego zadaniem nie było odmierzanie czasu, lecz dawanie rodzinie poczucia trwałości domu i życia, przypomnienie o istnieniu świata zewnętrznego. Ponieważ telewizja i radio wskazywały czas w bardziej zabawny sposób, zegar ten, tak jak i tysiące innych zegarów w całym mieście, tracił znaczenie.

Wielkie, bogato zdobione, nakręcane czasomierze z wahadłem i ciężarkami stały się popularne pod koniec dziewiętnastego wieku wśród zeuropeizowanych urzędników osmańskich i bogatych niemuzułmanów, którzy chętnie wieszali je na ścianach swych pałaców. W początkach wieku dwudziestego i w pierwszych latach Republiki moda na nie dotarła do domów klasy średniej, spragnionej nowoczesności na wzór zachodni. W czasach mojego dzieciństwa w naszym domu i w wielu domach osób zaprzyjaźnionych z nami były podobne albo jeszcze większe zegary wiszące w rzeźbionych szafkach w holu lub korytarzu. Rzadko spełniały swoją funkcję i powoli popadały w zapomnienie — w latach pięćdziesiątych wszyscy, nawet dzieci, mieli już zegarki, a w domach stale było włączone radio. Do czasu gdy telewizory odmieniły obyczaje związane z posiłkami i spędzaniem czasu, a dochodzące z nich dźwięki zdominowały domowe odgłosy, to znaczy do początków lat siedemdziesiątych, gdy zaczyna się ta historia, zegary zawieszane na ścianach z przyzwyczajenia wciąż odmierzały

czas, choć spoglądano na nie bardzo rzadko. W naszym domu tykanie zegara i dźwięki kuranta co pół godziny nie docierały do salonu i sypialni, dlatego nikomu nie wadziły. Ale też nikomu nie przyszło do głowy, by zatrzymać mechanizm, i przez całe lata ktoś codziennie wdrapywał się na krzesło i go nakręcał! W niektóre wieczory, gdy z miłości do Fiisun wypiełem za dużo i obudziwszy się w środku nocy, szedłem do salonu wypalić papierosa, słyszałem w korytarzu wybijający godziny zegar. Jego dźwięk napawał mnie spokojem.

Już w pierwszym miesiącu składania wizyt w domu Fiisun zorientowałem się, że duży zegar czasem chodzi, a czasem stoi, ale szybko do tego przywykłem. Późnym wieczorem, gdy w telewizji nadawano jakiś turecki melodramat, występ piosenkarki, która mizdrząc się, śpiewała stare przeboje, czy też film historyczny z rzymskimi gladiatorami i lwami, z którego i tak niewiele rozumieliśmy, bo tłumaczenie i dubbing były fatalne, a do tego nie oglądaliśmy go od początku i nieustannie rozmawialiśmy, czasami zamyślałem się głęboko i nagle w magiczny sposób telewizor milkł, a w tym samym momencie rozlegało się bicie zegara. Któreś z nas, na ogół ciocia Nesibe, czasem Fiisun, spoglądało ze znaczącą miną na zegar, a wujek Tank pytał: „Kto, u licha, go znowu nakręcił?”.

Zegar czasem nakręcano, czasem nie. Ale nawet jeśli robiono to regularnie, jego kurant milczał niekiedy całymi miesiącami albo pojedynczym uderzeniem wybijał jedynie połówki godzin. Zdarzało się, że tykanie nie przerywało panującej ciszy. Na myśl, jak wszystko musiało się wydawać przerażające, gdy w domu nikogo nie było, przesywał mnie dreszcz. Niezależnie od tego, czy zegar chodził, czy wybijał wyłącznie kwadrans, i tak nikt na niego nie patrzył, aby zrozumieć, czym jest czas, często jednak dyskutowano, czy został nakręcony i dlaczego go wahadło dawało się uruchomić jednym dotknięciem.

— A niech sobie tyka, komu to przeszkadza — mówił czasem wujek do żony. — Przypomina, że dom to dom. — Wydaje mi się, że ja, Fiisun, Feridun i przychodzący niekiedy z wizytą inni goście — wszyscy byliśmy tego samego zdania. Wiszący na ścianie zegar nie przypominał o upływie czasu, nie skłaniał do refleksji nad przemijaniem, wręcz przeciwnie, przekonywał, że nic się nie zmienia.

W pierwszych miesiącach nawet w najśmielszych marzeniach nie przypuszczałem, że nic się nie zmieni, że przez osiem lat będę przychodził do tego domu w **Cukurcumie**, jadł kolację, gawędził, oglądał telewizję. Podczas pierwszych wizyt każde słowo Fiisun, każda zmiana wyrazu jej twarzy, każdy krok wydawały mi się nowe i inne. Nie zwracałem uwagi, czy zegar tyka, czy nie. Liczyło się tylko to, że siedziałem z nią przy tym samym stole i patrzyłem na nią; czułem się szczęśliwy, wyobrażając sobie, że-ją całuję.

Miarowe tykanie zegara, z czego nie zawsze zdawaliśmy sobie sprawę, napełniało nas spokojem, dawało poczucie, że dom, przedmioty, my, siedzący przy kolacji, nie zmieniamy się, pozostajemy wciąż tacy sami. Zegar wraz ze swymi dwiema funkcjami: przynoszeniem zapomnienia o upływie czasu oraz przypominaniem o terażniejszości i związkach łączących nas z innymi, był zarzewiem zimnej wojny, jaka przez tych osiem lat wybuchała od czasu do czasu między ciocią Nesibe a wujkiem Tankiem.

— Ktoś go znów nakręcił, chyba po to, by nas budził w środku nocy! — irytowała się ciocia, gdy w ciszy zauważyła, że zegar idzie.

— Gdy nie tyka, to jakby czegoś w domu brakowało, jakaś pustka się tworzy... — powiedział wujek pewnego wietrznego wieczoru w grudniu 1979 roku. — W tamtym domu też wybijał godziny....

— Oho, wciąż nie polubił pan **Cukurcumy**, panie Tanku — droczyła się ciocia z całym, nieco zbyt całym uśmiechem (czasem zwracała się do męża per pan).

Gdy do naszych uszu niespodziewanie docierało tykanie zegara lub rozlegał się dźwięk jego kuranta, wymieniane między małżonkami od lat kąśliwe uwagi, docinki i uszczypliwości przybierały na sile.

— To pan go nastawił, panie Tanku, żebym nie mogła zmrużyć oka — rzucała oskarżycielskim tonem ciocia Nesibe.  
— Fiisun, córeczko, weź to, zatrzymaj!

Wystarczyło palcem przytrzymać wahadło, by zegar stanął, bez względu na to, czy był nakręcony, czy nie, ale Fiisun z uśmiechem patrzyła najpierw na ojca. Wujek czasem rzucał jej spojrzenie mówiące: „Zgadzam się, zatrzymaj go!”, czasem jednak stawiał opór:

— Ja go nawet nie dotknąłem. Sam z siebie zaczął chodzić, więc niech teraz sam z siebie stanie!

Niekiedy, zorientowawszy się, że rozlegające się nagle tykanie zegara zrobiło wrażenie na gościach czy dzieciach sąsiadów, zaczynali tajemnicze pogawędki:

— Złe duchy są w tym zegarze, to one go uruchomiły — twierdziła ciocia Nesibe.

— Tylko broń Boże nie dotykaj, bo jeszcze w ciebie wstąpią! — przestrzegała ją wujek, marszcząc przy tym brwi.

— A niech tam sobie poruszają trybami, byle tylko w środku nocy nie waliły w dzwony jak pijany dzwonnik — odpowiadała ciocia.

— Ach, wystarczy zapomnieć o czasie, a od razu człowiek lepiej się czuje — słowa „czas” wujek Tank używał w znaczeniu „dzisiejsze czasy”, „nasza epoka”. Ten „czas” podlegał stałym zmianom, lecz my dzięki tykaniu starego zegara mogliśmy się od nich trzymać z daleka.

Urządzeniem, którym Keskinowie posługiwali się dla orientacji w czasie, był przede wszystkim telewizor, nieustannie włączony, jak u nas w domu radio w latach pięćdziesiątych czy sześćdziesiątych. W tamtych czasach w trakcie audycji radiowych — wszystko jedno, co akurat nadawano, muzykę, program publicystyczny czy kurs matematyki — o każdej pełnej godzinie i półgodzinie rozlegał się cichy dźwięk „tyk”. W telewizji, którą oglądaliśmy co wieczór, taki sygnał nie był potrzebny, gdyż i bez niego każdy wiedział, która jest godzina — wystarczyło zorientować się, co akurat pokazują.

Fiisun na ten oto zegarek na rękę, wujek Tank zaś na jeden z kilku kieszonkowych zegarków z dewizką, jakie widziałem u niego przez osiem lat, spoglądali tylko raz dziennie, by je nastawić lub sprawdzić, czy dobrze chodzą. Robili to zawsze minutę przed wieczornymi „Wiadomościami” o siódmej na jedynym kanale tureckiej telewizji, gdy na ekranie pojawiał się wielki czasomierz. Uwielbiałem patrzeć na Fiisun, jak z dziecinną powagą, naśladując ojca, ze zmarszczonymi brwiami i wysuniętym w kąciку ust czubkiem języka nastawiała wskazówki. Już podczas pierwszych wizyt zorientowała się, że się jej przyglądam. Gdy skończyła, uśmiechała się do mnie.

— Nastawiłaś dokładnie? — pytałem.

— Tak, co do sekundy! — odpowiadała z jeszcze cieplejszym uśmiechem.

W ciągu tych ośmiu lat powoli zaczynałem rozumieć, że przychodzę co wieczór do Keskinów nie tylko po to, by zobaczyć Fiisun, ale by pobyć przez jakiś czas w jej świetle, pooddychać tą samą atmosferą co ona. Podstawową cechą tego świata była jego pozaczasowość. To właśnie miał na myśli wujek Tank, gdy mówił do żony: „Zapomnij o czasie”. Chciałbym, by turyści, którzy będą odwiedzać moje muzeum i oglądać rzeczy należące do Keskinów — zepsute, zardzewiałe, od lat nie

działające budziki, zegarki na rękę — dostrzegli niezwykłość tej pozaczasowości, tworzone przez te przedmioty osobny czas, atmosferę, którą przez lata oddychałem w domu Fiisun i jej rodziny.

Poza tą atmosferą płynął gdzieś czas zewnętrzny, o którym wieści przekazywały nam radio, telewizja, a także wzywający na modlitwę muezzini. Sprawdzanie, która godzina, oznaczało nawiązanie kontaktu ze światem zewnętrznym — tak to odczuwałem.

Wydawało mi się, że Fiisun reguluje zegarek nie dlatego, iż wiedzie życie wymagające punktualności co do minuty, że musi zdążyć na spotkania, załatwić różne sprawy na czas, lecz z powodu szacunku, jaki żywi, tak samb jak jej ojciec, emerytowany urzędnik państwowy, dla sygnału jakby specjalnie do niej wysłanego przez władze z Ankary. Na zegar na ekranie patrzyliśmy jak na flagę państwową powiewającą na zakończenie programu do wtóru hymnu narodowego — oto za chwilę mieliśmy zasiąść do kolacji albo wyłączyć telewizor i pójść spać, i to samo miały zrobić miliony innych rodzin. W takich momentach czuliśmy, jak ogromne jest to, co nazywa się narodem, i jak małą jego część stanowimy. Dopiero w tych „narodowych” momentach („Komunikat o aktualnym czasie z Narodowego Obserwatorium Astronomicznego” — mówił głos z radia), patrząc na flagę państwową czy oglądając programy o Atatiirku, zaczynaliśmy czuć, że chaotyczne, pozbawione reguł życie domowe pozostaje poza ładem i porządkiem państwa.

Arystoteles w swej *Fizyce* rozróżnia pojedyncze momenty, określane jako „teraz”, i Czas. Pojedyncze momenty „teraz” są jak niepodzielne atomy, Czas zaś stanowi linię, która je łączy. Mimo wezwań wujka Tanka do zapominania o Czasie nikt, z wyjątkiem upośledzonych umysłowo i tych, którzy stracili



pamięć, nie jest w stanie tego zrobić, choćby się nie wiem jak wysiłał. Człowiek może jedynie próbować być szczęśliwym i zapomnieć o Czasie. Czytelników, którzy z lekceważeniem będą wydymać wargi, czytając moje spostrzeżenia, wywodzące się z tego, czego nauczyła mnie miłość do Fiisun i co przeżyłem podczas ośmiu lat bywania w domu w Cukurcumie, chciałbym prosić, by nie mylili zapominania o Czasie z zapominaniem dat i terminów. Kalendarze i zegary zostały wynalezione i są używane nie po to, by przypominać nam o Czasie na wypadek, gdybyśmy o nim nie pamiętali, lecz po to, by porządkować nasze związki z innymi ludźmi i w rezultacie organizować całe społeczeństwo. Patrząc na pojawiający się wieczorem na ekranie telewizora czarno-biały zegar, przypominamy sobie o innych rodzinach, innych ludziach, naszych spotkaniach z nimi i wyznaczających im czas naszych zegarkach, nie o Czasie. Fiisun patrzyła na swój zegarek i uśmiechała się z zadowoleniem, bo chodził idealnie co do sekundy lub udało się go jej dokładnie co do sekundy nastawić, albo ponieważ wiedziała, że patrzę na nią z miłością — ale bynajmniej nie dlatego, że przypominał jej o Czasie.

Moje przeżycia nauczyły mnie, że przypominanie o Czasie jest dla większości z nas bardzo bolesne. Próba wyobrażenia sobie linii łączącej chwilę zwane przez Arystotelesa „teraz”, albo, tak jak w moim muzeum, przedmioty noszące w sobie te momenty, napawa nas smutkiem, ponieważ uświadamia nam nieunikniony kres tej linii — śmierć, a także dlatego, że starzejąc się, nabieramy przekonania, iż — jak już wcześniej przeczuwaliśmy — sama linia nie ma żadnego znaczenia. A przecież te „teraz” mogą dawać nam radość, której wystarczyłoby i na sto lat, jak na przykład mnie uśmiech Fiisun w tamte dni, gdy zacząłem przychodzić na kolacje do domu Keskinów w Cukurcumie. Od samego początku wiedziałem,

że idę tam po zapas szczęścia na resztę życia, i aby zachować te cudowne chwile, zabierałem stamtąd drobne przedmioty, których dotknęła Fiisun.

W drugim roku, pewnego wieczoru, gdy zasiedziałem się do późna i program telewizyjny dobiegł końca, wysłuchałem wspomnień wujka z czasów jego młodości i pracy, gdy był nauczycielem w liceum w Karsie. Mimo niskiej nauczycielskiej pensji i różnych niegodziwości, z którymi nieustannie przyszło mu walczyć, wspominał ten nieprzyjemny okres z wielkim sentymentem, a powodem nie było to, że z upływem lat, jak się powszechnie sądzi, nawet najgorsze wspomnienia zaczynają się wydawać wcale nie takie złe, lecz to, że ze złych czasów (linia Czasu) zapamiętał jedynie dobre chwile (momenty „teraz”) i tylko o nich lubił opowiadać. Zwróciwszy moją uwagę na ten dualizm, pokazał mi przywieziony z Karsu zegar o podwójnym cyferblacie, z arabskimi napisami po jednej i łacińskimi po drugiej stronie.

Dodam jeden przykład od siebie: ilekroć widzę ten delikatny zegareczek na rękę marki Buren, który Fiisun zaczęła nosić w kwietniu 1982 roku, przed moimi oczyma natychmiast ożywają takie oto sceny: jak podarowałem go jej z okazji dwudziestych piątych urodzin, jak wyjęła go z zaginionego już dziś pudełka i kryjąc się za otwartymi drzwiami do kuchni, tak by mama i ojciec (Feriduna nie było w domu) nie widzieli, ucałowała mnie w policzki, i jak potem, gdy wszyscy usiedliśmy do stołu, pokazywała go z radością rodzicom, którzy dawno już uznawszy mnie za nieco dziwnego członka rodziny, kolejno mi dziękowali. Dla mnie szczęście oznacza możliwość ponownego przeżywania takich właśnie niezapomnianych chwil. Jeżeli nauczymy się postrzegać nasze życie nie linearnie, lecz jako zbiór oddzielnych intensywnych przeżyć, przez osiem lat oczekiwania zasiadanie do kolacji z ukochaną nie będzie się nam

wydawało śmiesznym dziwactwem czy zboczeniem, lecz tak jak mnie teraz, po latach, tysiąc pięćset dziewięćdziesięcioma trzema pełnymi radości wieczorami spędzonymi przy stole w domu Fiisun i jej rodziny. Każdą wizytę u nich na kolacji, każdy wieczór — nawet ten najtrudniejszy, najsmutniejszy, najbardziej dla mnie upokarzający — wspominam dzisiaj jako chwile niezwykłego szczęścia.

## 55. PRZYJDŹ JUTRO, POSIEDZIMY SOBIE RAZEM

Do domu Fiisun zawsze zawoził mnie **Cetin** chevroletem mojego ojca. Przez osiem lat nie złamałem tej zasady prawie nigdy, z wyjątkiem kilku sytuacji, gdy jazdę uniemożliwiły blokujące ulice zasypane śnieżem, powódź, choroba szofera, jego urlop, awaria samochodu. Po kilku miesiącach **Cetin** zapoznał się z bywalcami okolicznych kawiarni i herbaciarni. Samochód zostawiał nie przed domem, ale kawałek dalej, w pobliżu Kawiarni Czarnomorskiej i herbaciarni Wieczór, zasiadał w jednej z nich i oglądał ten sam program telewizyjny co my w domu Fiisun, przeglądał gazety, prowadził pogawędki, czasami grywał w *tavle*\* albo kibicował karciarzom. Mieszkańcy dzielnicy wkrótce wywieźli się, kim obaj jesteśmy, i jeśli **Cetin** nie koloryzował, obdarzyli mnie sympatią, widząc we mnie skromnego i porządnego człowieka, który nie wstydzi się tak często odwiedzać swych ubogich dalekich krewnych.

\* *Tavla* — popularna gra, tryktrak.

Oczywiście w ciągu tych ośmiu lat znaleźli się też i tacy, którzy przypisywali mi złe intencje. Ponoć zamierzałem wykupić za bezcen rozwalające się stare domy i na ich miejscu wybudować kamienice albo poszukiwałem taniej siły roboczej do swej fabryki, ukrywałem się jako dezertor, miałem też być nieślubnym synem pana Tanka (czyli starszym bratem Fiisun) — trudno było jednak brać te plotki na poważnie. Większość rozsądnych ludzi w dzielnicy dowiedziała się z rozpowszechnianych skrupulatnie na prawo i lewo przez ciocię Nesibe informacji, że jestem dalekim krewnym Fiisun i z jej mężem filmowcem przymierzamy się do nakręcenia filmu, który robi z niej gwiazdę. Zostało to dobrze przyjęte. Nie byłem jakoś szczególnie lubiany, ale po latach, również na podstawie tego, co mówił mi Cetin, doszedłem do wniosku, że odczucia mieszkańców Cukurcumy wobec mojej osoby były raczej pozytywne. Zresztą w trzecim roku wizyt byłem już uważany prawie za swojego.

Robotnicy z doków w Galacie, właściciele małych sklepików i kelnerzy z restauracji przy bocznych uliczkach w Beyoğlu, Cyganie, którzy sprowadzili się tu z okolic Tophane, Kurdowie alewici\* z Tunceli\*\*, zubożali potomkowie urzędników z alei Bankowej\*\*\*, Włochów i Lewantyńczyków oraz, tak jak oni, wciąż nie mogące się zdecydować na opuszczenie Stambułu ostatnie greckie rodziny, tragarze w magazynach, piekarscy czeladnicy, taksówkarze, listonosze i ubodzy studenci — rejon ten zamieszkiwała mieszanka osób różnych zawodów i narodowości. W przeciwieństwie do mieszkańców tradycyjnych muźmańskich dzielnic, takich jak Fatih, Veba

\* Alewici — szyici anatolijscy.

\*\* Tunceli — miasto we wschodniej Turcji.

\*\*\* Aleja Bankowa (Bankalar Caddesi) — ulica, przy której swe siedziby miały banki, niegdyś centrum tureckiej finansjery.

czy Kocamustafa paşa, **ludzi** z Cukurcummy nie łączyły ożywione kontakty ani silne poczucie wspólnoty. Ale z wykazywanego wobec mnie życzliwego zainteresowania, wsparcia oraz z szybkiego rozprzestrzeniania się wieści i plotek mogłem wnioskować, że istnieje wśród nich pewna solidarność, a przynajmniej jakieś formy życia społecznego.

Dom rodziców Fiisun (Keskinów) znajdował się na **skrzyżowaniu** alei **Cukurcuma** (biegnącej po **pochyłości**) i waziutkiej ulicy **Dalgic**. Na planie miasta widać wyraźnie, że idąc krętymi, stromymi uliczkami można stąd w ciągu dziesięciu minut dotrzeć do Beyoğlu, do alei Niepodległości\*. Niekiedy w drodze powrotnej do domu Cetin prowadził samochód przez labirynt zaułków, a ja, rozparty na tylnym siedzeniu, paliłem papierosa i przyglądałem się przechodniom. W **nocy** opuszczone **przez** Greków wyjeżdżających z Turcji budynki i sterczące z ich okien, zamontowane **przez** zasiedlającą je teraz nielegalnie kurdyjską biedotę, rury od piecyków nadawały brukowanym kocimi łbami uliczkom złowieszczy wygląd. O północy wciąż były otwarte małe nocne kluby, knajpy, lokale rozrywkowe działające pod szyldem „kawiarni z wyszynkiem”, bary, budki z kanapkami, punkty totolotka, sklepy z tytoniem, gdzie można było także znaleźć narkotyki, amerykańskie papierosy albo whisky z przemytu, a nawet sklepy z płytami i kasetami. Wszystkie te ponure w gruncie rzeczy miejsca wydawały mi się gwarne i pełne życia — oczywiście jeśli z domu Fiisun wyszedłem spokojny i w dobrym humorze. Bywały bowiem wieczory, gdy przekraczałem próg, myśląc, że więcej już tam nie przyjdę, i na wpół omdlały z bólu zwałałem się na tylne siedzenie samochodu. Zdarzało się to głównie w pierwszych latach moich wizyt.

\* **Aleja Niepodległości (Istiklal Caddesi)** — główna ulica dzielnicy Beyoğlu.

Cetin odbierał mnie z Nişantaşı około siódmej — droga przez Harbiye, Taksim i Siraselviler zabierała nieco czasu z powodu korków — i przejechawszy przez płataninę uliczek Cihangiru i Firuzaga, przy zabytkowej **Cukurcuma** Hamami zjeżdżał w dół wzgórza. Kazałem mu zatrzymać się po drodze przed jakimś sklepem i kupowałem coś do jedzenia lub kwiaty. Nie za każdym razem, średnio co drugą wizytę, przynosiłem Fiisun jakiś drobny upominek, a to dla żartu gumę do żucia, a to broszkę w kształcie motylka czy inną ozdobę, która wpadła mi w oko na Wielkim Bazarze\* czy gdzieś w Beyoglu.

Jeżeli ruch uliczny był bardzo nasilony i tworzyły się korki, wybieraliśmy trasę przez Dolmabahçe, potem dalej na prawo od Tophane i podjeżdżaliśmy od strony alei Bogazkesen. W ciągu tych ośmiu lat, nieodmiennie, za każdym razem gdy samochód skręcał w ulicę, przy której mieszkali Keskinowie, moje serce zaczynało bić szybciej i ogarniało mnie radosne podniecenie zmieszane z niepokojem, takie samo jak w dzieciństwie, gdy idąc rano do szkoły, skręcałem w ulicę, przy której się mieściła.

Dom w **Cukurcumie** wujek Tank kupił za oszczędności, mając dość płacenia czynszu za mieszkanie. Zajęli pierwsze piętro, parter zaś wynajmowali kolejnym lokatorom, którzy w ciągu tych ośmiu lat pojawiali się i znikali niczym duchy, nie uczestnicząc w żaden sposób w opowiadanej tu historii. Ponieważ to małe mieszkanie na dole, które w przyszłości miało stać się częścią Muzeum Niewinności, miało osobne wyjście z boku budynku, prowadzące na uliczkę Dalgic, niezwykle rzadko spotykałem jego mieszkańców. Słyszałem tyl-

\* **Wielki Bazar (Kapali Cargi)** — największy na świecie kryty bazar (30 ha powierzchni), wzniesiony przez Mehmeta Zdobywcę tuż po zdobyciu Konstantynopola w 1453 r. i do XIX w. sukcesywnie rozbudowywany.

ko, że przez pewien czas zajmowała je wdowa z córką, Aylą (jej narzeczony odbywał służbę wojskową), z którą Fiisun się przyjaźniła, podobno razem chodziły do kina. Ale Fiisun nie przedstawiła mi ani jej, ani innych znajomych z sąsiedztwa.

Gdy dzwoniłem do drzwi, przez pierwsze miesiące otwierała mi ciocia Nesibe, która za każdym razem musiała zejść po schodach. Ale w innych podobnych wypadkach, nawet późno wieczorem, wysyłano na dół Fiisun. Ten drobny fakt świadczył, że wszyscy dobrze wiedzą, po co do nich przychodzę. Niekiedy jednak wydawało mi się, że mąż Fiisun, Feridun, nie ma o niczym pojęcia. Wujek Tank żył we własnym świecie, nim więc najmniej musiałem się martwić.

Otworzywszy mi drzwi, ciocia Nesibe, która zawsze wydawała się o wszystkim wiedzieć, starała się przerwać niezręczną ciszę, jaka niezmiennie zapadała w tym momencie. Najczęściej nawiązywała do czegoś, o czym mówiono w telewizji: „Słyszał pan, że porwali samolot?“, „Pokazują wypadek autobusu“, „Oglądamy wizytę premiera w Egipcie“. Jeżeli przyszedłem przed wieczornymi „Wiadomościami“, powtarzała zawsze to samo zdanie z zawsze tym samym przekonaniem: „Ach, zjawił się pan w samą porę, właśnie zaczynają się «Wiadomości!»“. Czasem rzucała uwagi w rodzaju: „Dziś są pańskie ulubione *sigara bóregi*“ albo „Całe rano zwiżyaliśmy z Fiisun gołąbki w liściach winogron, wyszły pyszne, palce lizać!“. Jeśli wyczułem, że mówi cokolwiek, by zatuszować niezręczną sytuację, milczałem zakłopotany. Na ogół jednak odpowiadałem krótko: „Poważnie?“ albo „Rzeczywiście, wstrzeliłem się we właściwą porę“, i gdy znalazłem się na górze, na widok Fiisun raz jeszcze powtarzałem z przesadną emfazą to samo, by ukryć ogarniające mnie w tym momencie radość i zażenowanie.

— Ach, niech i ja zobaczę ten wypadek samolotu! — powiedziałem któregoś razu.



— Kuzynie Kemalü, samolot rozbił się wczoraj — odpowiedziała Fiisun.

Zimą, zdejmując palto, mogłem jeszcze dorzucić: „Brr, ale ziąb na dworze!” albo: „Gorąca zupa z soczewicy, och, jak do-brze!”. W lutym 1977 roku zainstalowano na górze przycisk otwierający drzwi wejściowe i odtąd powitalne frazy musiałem wygłaszać w progu mieszkania, to zaś było znacznie trudniejsze. Gdy ciocia Nesibe wyczuła, że nie umiem powiedzieć czegoś, co wprowadziłoby mnie w codzienne życie tego domu, wykazując większą delikatność i kurtuazję, niż można było sądzić z jej wyglądu, natychmiast spieszyła mi z pomocą: „Ach, Kemalü, niech pan siada, zanim panu *borek*\* wystygnie!” albo: „Facet ostrzelał kawiarnię i teraz opowiada o tym jak gdyby nigdy nie!”.

Przebrnąć przez nieprzyjemny moment wejścia do mieszkania pomagała mi również paczuska z czymś do jedzenia. W pierwszych latach przynosiłem bakławę z orzeszkami pistacjowymi — ulubiony przysmak Fiisun, su *bóregi*\*\* od słynnego Latifa, przekąskę z solonej ryby. Niby mimochodem, ale rzucając kilka słów na temat zawartości paczki, podawałem ją cioci Nesibe, która mówiła: „Ach, nie trzeba było!”. Wtedy, również jakby mimochodem, wręczałem upominek Fiisun albo spojrzawszy jej znacząco w oczy, kładłem go gdzieś z boku, tłumacząc się jednocześnie przed ciocią: „Przechodziłem obok sklepu, tak ładnie pachniało, że nie mogłem się oprzeć”. Po czym dodawałem jeszcze zdanie czy dwa na temat tego *bóreki*\*\*\* w Nigantagi i starając się być niewidocznym jak uczeń, który spóźniony wchodzi do klasy, szybko siadałem za stołem

\* *Borek* — wypieki z płatów ciasta przekładanych różnym farszem.

\*\* *Su bóregi* — rodzaj wypieku z ułożonych warstwami cienko rozwałkowanych i krótko obgotowanych płatów ciasta przekładanych serem.

\*\*\* *Bóreki* — wytwórca *bóreków*, sklep z wyrobami tego rodzaju.

i przez moment czułem się znakomicie. Mój wzrok napotykał spojrzenie Fiisun i ogarniało mnie uczucie nadzwyczajnego szczęścia.

Spotkanie się naszych oczu — to, gdy usiedliśmy przy stole, nie to pierwsze, przy drzwiach — było dla mnie najpiękniejszym momentem, zwiastowało jednocześnie, jak potoczy się wieczór. Jeśli w spojrzeniu Fiisun, rzucanym mi choćby i ze zmarszczonymi brwiami, dostrzegłem radość i odprężenie, wieczór zapowiadał się radosny i spokojny. Jeśli zaś były w nim niepokój i napięcie, nie gościł w nim uśmiech, ja też się nie uśmiechałem, nie próbowałem, jak to robiłem podczas pierwszych wizyt, rozbawić jej, po prostu sobie siedziałem, starając się nie rzucać w oczy.

Zajmowałem miejsce przy dłuższym boku stołu, naprzeciwko telewizora, pomiędzy wujkiem Tankiem a Fiisun. Gdy przypadkiem Feridun był w domu, siadał obok mnie, podobnie jak każdy inny gość, jeśli taki się pojawił, co zdarzało się rzadko. Po drugiej stronie, plecami do telewizora, siadała ciocia Nesibe, by mieć bliżej do kuchni. Potem, gdy nie musiała już chodzić tam i z powrotem, przesiadała się do nas, pomiędzy mnie a Fiisun — stąd mogła swobodnie widzieć ekran. Druga strona stołu pozostawała wtedy pusta. Sadowił się tam dopiero Feridun, wróciwszy późno wieczorem do domu. Wówczas Fiisun dosiadała się do męża. W takiej sytuacji trudno byłoby oglądać telewizję, na szczęście program już się kończył i można było wyłączyć odbiornik.

Gdy w telewizji pokazywali coś interesującego, a w kuchni trzeba było doglądać gotujących się dań, ciocia Nesibe posyłała tam Fiisun, która krążyła tam i z powrotem z talerzami i garnkami, raz po raz wchodząc w moje pole widzenia. Gdy jej rodzice z uwagą oglądali film, quiz tematyczny, prognozę pogody, gniewne przemówienie generała, który właśnie

dokonał wojskowego zamachu stanu, mistrzostwa Bałkanów w zapasach, festiwal *mesirmacunu*\* w Manisie czy uroczyste obchody sześćdziesiątej rocznicy wyzwolenia Akgehir spod wrogiej okupacji, ja z przyjemnością spoglądałem na przechodzącą przed ekranem moją śliczną ukochaną, która, inaczej niż dla wujka i cioci, nie była dla mnie czymś rozpraszającym uwagę, lecz zasadniczym obiektem obserwacji.

Większość z tysiąca pięciuset dziewięćdziesięciu trzech wieczorów spędzonych u Keskinów upłynęła mi na siedzeniu przy dłuższym boku stołu i oglądaniu telewizji. Ale choć z łatwością mogę podać, ile razy ich odwiedziłem, nie jestem w stanie określić, jak długo trwała każda wizyta ani też ile czasu łącznie spędziłem w ich domu. Była to dla mnie kłopotliwa kwestia, gdyż zawsze byłem przekonany, że wróciłem do siebie wcześniej, niż w rzeczywistości opuściłem dom Fiisun. O późnej porze przypominało nam oczywiście uroczyste zakończenie emisji programu telewizji państwowej, trwające cztery minuty, oglądane we wszystkich kawiarniach i szulerniach w całej Turcji: maszerujący żołnierze, flaga państwowa ściągana z masztu, honory wojskowe, a wszystko przy dźwiękach hymnu narodowego. Zakładając, że przychodziłem do Keskinów o siódmej, a program kończył się o dwunastej, spędzałem w domu Fiisun co wieczór pięć godzin, ale zdarzało się, że przesiadywałem dłużej.

Po czterech latach wizyt, we wrześniu 1980 roku, doszło do kolejnego przewrotu wojskowego, ogłoszono stan wyjątkowy i godzinę policyjną. Zakaz wychodzenia na ulice obowiązywał od dziesiątej wieczór, dlatego przez długi czas musiałem wychodzić z domu Keskinów kwadrans przed dziesiątą, nie

\* *Mesir macunu* — rodzaj lepkich cukierków o leczniczym działaniu, z których produkcji słynie Manisa, miasto w zachodniej Turcji.

nasyciwszy się dostatecznie widokiem Fiisun. Gdy w drodze powrotnej Cetin pędził przez szybko pustoszejące mroczne ulice, niedosyt ten wywoływał we mnie znajome uczucie bólu. Gdy teraz, po latach, czytam w gazetach, że wojskowi nie są zadowoleni z sytuacji w kraju i być może znów dojdzie do zamachu stanu, jako fatalne skutki puczu przychodzą mi na myśl tamte pospieszne powroty do domu, zanim zdążyłem napatrzeć się na Fiisun.

Moje stosunki z Keskinami przez te wszystkie lata przechodziły oczywiście różne fazy; w naszych umysłach znaczenie rozmów i chwil milczenia, oczekiwań i gestów nieustannie się zmieniało. Jedyną niezmienną rzeczą był cel moich wizyt — ujrzenie Fiisun. Zakładałem, że ona i inni nie mają nic przeciwko temu, ale nie mogli otwarcie przyznać, że bywam u nich tylko dla Fiisun, dlatego wymyślili inny powód, do zaakceptowania dla wszystkich: przychodziłem „w gości”. Określenie to nie było jednak dość przekonujące, instynktownie woleliśmy więc używać innego, mniej niepokojącego: cztery razy w tygodniu przychodziłem wieczorem do Keskinów, aby „posiedzieć sobie”.

Wyrażenia „posiedzieć sobie”, w dobrze znanym tureckim czytelnikom znaczeniu „wpaść z wizytą”, „wstąpić po drodze” czy „pobyć razem”, które jednak może nie od razu zostać zrozumiane przez zwiedzających muzeum cudzoziemców, używała często ciocia Nesibe. Gdy wychodziłem, zwracała się do mnie uprzejmie:

— Kemalu, jutro też niech pan przyjdzie, posiedzimy sobie razem.

Słowa te nie oznaczały, że będziemy wyłącznie siedzieć razem za stołem. Oglądaliśmy telewizję, czasem długo milczeliśmy, czasem bardzo miło rozmawialiśmy i oczywiście jedliśmy kolację i popijali *raki*. W pierwszych latach ciocia Nesibe,

zapraszając mnie ponownie, wspominała też, choć niezbyt często, i o tych czynnościach: „Kemalu, zapraszamy jutro do nas, zjemy pańskie ulubione danie, faszerowane kabaczki” albo „Obejrzymy zawody w łyżwiarstwie, będzie transmisja”. Zerkałem wtedy na Fiisun, chcąc ujrzeć na jej twarzy uśmiech, wyraz akceptacji, przyzwolenia. Wydawało mi się, że jeśli ciocia powie: „Przyjdź, posiedzimy sobie”, a Fiisun jej przytaknie, będzie to oznaczać, że słowa nie kłamią i rzeczywiście będziemy przebywać w jednym pomieszczeniu, po prostu siedzieć sobie razem. Wyrażenie „posiedzieć sobie” było najbardziej adekwatne, gdyż w całkowicie niewinny sposób wiązało się z zasadniczą przyczyną moich wizyt — pragnieniem znajdowania się w tym samym miejscu co Fiisun. W przeciwieństwie do niektórych intelektualistów, mających w zwyczaju pogardliwie odnosić się do prostego ludu, nigdy nie uważałem, że miliony ludzi, którzy w Turcji co wieczór „siedzą sobie razem”, oddają się nicnierobieniu. Czasem przychodziło mi na myśl, że ludzie silnie ze sobą związani — miłością, przyjaźnią, jakimiś głębokimi potrzebami, których nie potrafią nawet nazwać — odczuwają chęć „posiedzenia sobie razem”.

W **charakterze** wstępu do tych ośmiu lat i na znak szacunku dla tego etapu mojego życia eksponuję tutaj makietę parteru oraz pierwszego piętra domu w **Cukurcumie**. Na drugim piętrze, pomiędzy sypialnią cioci i wujka a sypialnią Fiisun i jej męża, znajdowała się łazienka. Jeśli zwiedzający przyjrzą się temu modelowi z uwagą, z pewnością dostrzegą przy dłuższym boku stołu w jadalni moje miejsce. Tym, którzy są ciekawi, lecz nie mogą zwiedzić muzeum, wyjaśniam, że telewizor znajdował się naprzeciwko mnie, nieco na lewo, drzwi do kuchni zaś nieco dalej na prawo. Za mną stał wypełniony zastawą bufet — czasem, odchyliwszy się zbyt mocno do tyłu, uderzałem oparciem krzesła w jego drzwiczki. Brzęczały wtedy

wyeksponowane na szklanych półeczkach kryształowe kieliszki, srebrne i porcelanowe bomboniere, zestawy do likieru, nie używane filiżanki do kawy, spotykany w owych czasach w każdym domu klasy średniej w Stambule wazon ze szkła *ceşm-i bulbul*\*, stary zegar, nie działająca srebrna zapalniczka i inne bibeloty.

Przez lata co wieczór siedziałem przy stole i jak wszyscy oglądałem telewizję, lecz gdy skierowałem wzrok nieco bardziej w lewo, mogłem z łatwością widzieć Fiisun. Nie musiałem przy tym odwracać w jej stronę głowy, ani też wykonywać żadnych innych ruchów. Dawało mi to możliwość przyglądania się ukochanej do woli bez zwracania czyjejkolwiek uwagi. Robiłem to tak często, że stałem się prawdziwym mistrzem w tej dziedzinie.

Najbardziej lubiłem obserwować wyraz jej twarzy w szczególnie wzruszających momentach oglądanego filmu lub gdy podawano jakąś wstrząsającą wiadomość. Podczas następnych dni i miesięcy wielokrotnie przypominałem sobie ten moment. Czasem przed moimi oczyma ożywał najpierw obraz twarzy Fiisun (był to oczywisty znak, że tęsknię za nią i powinienem iść do domu jej rodziców na kolację), a dopiero potem wspominałem konkretną scenę. W moją pamięć głęboko wryły się najbardziej poruszające i najdziwniejsze fragmenty filmów, które w ciągu ośmiu lat obejrzałem u Keskinów, i towarzyszące im odczucia malujące się na twarzy ukochanej. Tak dobrze nauczyłem się je interpretować, że nie patrząc na ekran, z samego wyrazu twarzy Fiisun byłem w stanie wywnioskować, o czym opowiada dana scena. Zwłaszcza wtedy gdy zbyt du-

\* *Ceşm-i bulbul* — „oko słowika”, technika wytwarzania naczyń ze szkła w spiralnie skręcone kolorowe paski, zapożyczona z Wenecji do Stambułu pod koniec XVIII w. i tam udoskonalona przez miejscowych mistrzów.

zo wypiłem lub byłem zmęczony i nie mogłem skupić się na programie.

Obok miejsca, gdzie w dalszej części wieczoru siadywała ciocia Nesibe, stała lampa z wiecznie przekrzywionym abażurem oraz kanapa w kształcie litery L. Niekiedy, gdy znużyliśmy się jedzeniem, piciem, żartami i rozmowami, ciocia mawiała: „Chodźcie, posiedzimy trochę na kanapie!” albo „Kawę podam, gdy wstaniemy od stołu”. Wtedy ja zajmowałem miejsce na jednym końcu kanapy, przy bufecie, ciocia Nesibe na drugim, wujek Tank zaś sadowił się na fotelu w pobliżu wykuszu. By z naszych nowych miejsc móc dobrze widzieć ekran, trzeba było nieco obrócić odbiornik — robiła to Fiisun, która pozostawała przy stole. Czasem, ustawivszy odpowiednio telewizor, przysiadła na drugim końcu kanapy, obok ciotki Nesibe — matka i córka, obejmując się, razem oglądały telewizję. Ciocia gładziła Fiisun po włosach, a mnie, zerkającemu na nie kątem oka tak samo jak Cytrynka ze swej klatki, widok ich promieniującej szczęściem bliskości sprawiał nieopisaną przyjemność.

Późno wieczorem, błogo rozparty na poduszkach kanapy, pod wpływem wypitej z wujkiem *raki* zaczynałem niekiedy odczuwać senność. Jednym okiem spoglądałem jeszcze na ekran, drugim zaś zagłębiałem się w głąb własnej duszy. Wstydzilem się, że życie zawiodło mnie w to dziwne miejsce, pełen gniewu chciałem wstać i wyjść z tego domu. Odczucia takie pojawiały się w ponure, mroczne noce, gdy Fiisun mało się do mnie uśmiechała, nie dawała mi nadziei, chłodno reagowała na przypadkowe zetknięcia się naszych rąk, ramion, ciał.

W takich momentach wstawałem z kanapy, podchodziłem do wykuszu i uchylivszy lekko zasłone w oknie pośrodku lub po prawej stronie, obserwowałem aleję **Cukurcuma**. W deszczowe dni bruk lśnił w świetle ulicznych latarni. Czasem bawiłem się z Cytrynką, kanarkiem starzejącym się powoli w swojej

klatce pośrodku wykuszu. Wujek Tank i ciocia Nesibe, nie odrywając wzroku od ekranu telewizora, wymieniali wtedy uwagi o kanarku: „Zjadł ziarenka?“, „Może trzeba mu zmienić wodę?“, „Coś dzisiaj markotny!“.

Na pierwszym piętrze, w głębi mieszkania, znajdował się jeszcze jeden pokój, z wąskim balkonem, częściej używany za dnia. Tu ciocia Nesibe szyła, a wujek Tank czytał gazetę. Po sześciu miesiącach od pierwszej wizyty, gdy przy stole ogarniał mnie niepokój i czułem potrzebę chodzenia tam i z powrotem, a światło w tym pokoju było zapalone, często wchodziłem do środka i wyglądałem przez okno albo po prostu stałem przy maszynie do szycia, wśród przyborów krawieckich, starych gazet i czasopism, otwartych szaf; lubiłem też przy okazji niepostrzeżenie schować do kieszeni jakiś przedmiot, przydatny potem przy uśmierzaniu bolesnej tęsknoty za Fiisun.

Wyglądając z tego pokoju przez okno balkonowe, mogłem dostrzec zarówno odbijające się w szybie wnętrze salonu, gdzie jedliśmy kolację, jak i wnętrza ubogich domów stojących rzędem wzdłuż wąskiej uliczki. Kilkakrotnie widziałem w jednym z nich grubą kobietę w koszuli nocnej, która przed pójściem spać wyjmowała pudełko z lekarstwem, z uwagą czytała dołączoną do niego ulotkę i połykała jedną tabletkę. Pewnego razu, gdy ją obserwowałem, podeszła do mnie Fiisun i z jej słów wywnioskowałem, że musi to być wdowa po jednorękim panu Rahmim, który wiele lat przepracował w fabryce mojego ojca.

Fiisun szepnęła mi wtedy, że przyszła sprawdzić, co robię. Staliśmy oboje w ciemności, patrząc przez okno. Rozterka, w jakiej się w tej chwili znalazłem, leżała u podstaw moich ciągnących się przez osiem lat wieczornych wizyt u Keskinów, a jednocześnie stanowiła w tej części świata, jak sądzę, nieodłączną część relacji między kobietą a mężczyzną. Spróbuję to teraz wyjaśnić.



Moim zdaniem Fiisun wstała od stołu i podeszła do mnie, bo chciała okazać mi serdeczność. Na dowód tego w milczeniu przyglądała się wraz ze mną zupełnie zwyczajnemu widokowi. Jej obecność nadawała poetycki urok dachom krytym blachą lub dachówkami, kominom, z których wydobywała się smużka dymu, ludziom poruszającym się w rozświetlonych oknach. Miałem ochotę dotknąć Fiisun, położyć rękę na jej ramieniu, objąć ją.

Lecz doświadczenie zdobyte podczas pierwszych tygodni wizyt w **domu w Cukurcumie** podpowiadało mi, że jeśli to zrobię, Fiisun zachowa się wobec mnie chłodno i obcesowo (jakby była molestowana), odepchnie mnie albo odwróci się i odejdzie, sprawiając mi w ten sposób ogromny ból, po czym zaczniemy znowu zgrywać obrażonych (mieliśmy w tej grze całkiem sporą wprawę), może nawet przez pewien **czas** nie będę mógł przychodzić do Keskinów na kolację. Miałem świadomość tego wszystkiego, mimo to jakiś głos płynący z głębi mej duszy namawiał mnie, bym ją objął i pocałował albo przynajmniej przysunął się do niej bliżej. Niewątpliwie tak działała wypita *raki*, ale nawet gdybym nic nie wypił — i tak dręczyłoby mnie to pragnienie.

Jeśli zapanuję nad sobą i jej nie dotknę — szybko się tego nauczyłem — być może Fiisun jeszcze bardziej się do mnie zbliży, może leciutko, „przypadkowo” sama mnie dotknie, może wyszepta parę miłych słów. Albo zapyta, jak zrobiła to kilka dni wcześniej: „Czy coś cię dręczy?”. W tym momencie jednak Fiisun oświadczyła: „Uwielbiam panującą tu w nocy ciszę, koty łożące po dachach”, i znów z bólem popadłem w rozterkę. Czy mógłbym ją teraz objąć, pocałować, dotknąć jej? Bardzo tego pragnąłem. Być może jednak — jak miałem uznać po latach — w pierwszych tygodniach, miesiącach wcale mnie do tego nie zachęcała; po prostu uprzejmie wypowiadała słowa, któ-

re powinna wypowiedzieć dobrze wychowana, inteligentna dziewczyna z maturą do swego bogatego, zakochanego dalekiego krewnego.

Przez osiem lat nieraz się nad tym zastanawiałem. Staliśmy wówczas w ciemności przez nie więcej niż dwie, dwie i pół minuty. Niech zwiedzający muzeum, patrząc na wyeksponowany tu obraz przedstawiający widok z okna, spróbują wyobrazić sobie moją rozterkę, nie zapominając przy tym, jak grzecznie i miło Fiisun się wobec mnie zachowała.

— Ten widok wydaje mi się ładny tylko dlatego, że ty jesteś obok mnie — powiedziałem.

— Chodź, rodzice się niepokoją, co z tobą.

— Gdy jesteś przy mnie, mógłbym tak patrzeć długie lata.

— Kolacja stygnie — oświadczyła Fiisun i wróciła do stołu.

Zdawała sobie sprawę, jak chłodno to zabrzmiało. Chwilę po tym, jak znalazłem się z powrotem przy stole, przestała gniewnie marszczyć brwi. W dodatku dwa razy roześmiała się uroczo i całkiem szczerze, a następnie, podając mi solniczkę, którą później włączyłem do swej kolekcji, pozwoliła, by jej palce całkiem ściśle dotknęły mojej ręki. Wszystko znów było dobrze.

## 56. WYTWÓRNIĄ FILMOWĄ „CYTRYNKA” SA

Trzy lata wcześniej, gdy wujek Tank dowiedział się, że Fiisun za aprobatą i przy wsparciu matki chce wziąć udział w konkursie piękności, wpadł w gniew, lecz w końcu uległ płaczom i błaganiom ukochanej córki. Potem jednak doszły do niego echa, jakie wzbudziło to wydarzenie, i pożałował, że zgodził się na taką kompromitację. Jego zdaniem, organizowane w pierwszych latach Republiki, jeszcze za życia Atatiirka, konkursy, których uczestniczki prezentowały się w czarnych strojach kąpielowych, były pożyteczne, gdyż dziewczęta mogły zarówno wykazać się szacunkiem dla tureckiej historii i kultury, jak też pokazać całemu światu, jak bardzo są nowoczesne. Lecz konkursy z lat siedemdziesiątych, w których brały udział pozbawione kultury i ogłady pospolite dziewczuchy, kandydatki na piosenkarki i modelki, to co innego. W dawnych konkursach prezydentery, pytając z kurtuazją uczestniczki, jak wyobrażają sobie mężczyznę, którego w przyszłości poślubią, w dyskretny sposób dawali do zrozumienia, że dziewczęta są dziewicami. Teraz z obleśnym uśmieszkiem, jak Hakan Serinkan, pytali:

„Co jest dla ciebie ważne u mężczyzny?” (prawidłowa odpowiedź: charakter). Wujek Tank kilkakrotnie jasno i wyraźnie dał do zrozumienia zięciowi filmowcowi, że absolutnie nie życzy sobie, by jego córka brała udział w tego typu przedsięwzięciach.

Fiisun obawiała się, że ojciec będzie przeciwny jej planom aktorskim, jawnie lub skrycie postara się je pokrzyżować, wołała więc na temat „filmu artystycznego”, który miał nakręcić jej mąż, rozmawiać tak, by ojciec nie słyszał. A przynajmniej udawaliśmy, że tak robimy, szepecząc między sobą. Moim zdaniem wujek też udawał, że nie słyszy naszych szeptów, gdyż cenił zainteresowanie, jakim obdarzałem jego rodzinę, a poza tym lubił napić się ze mną wieczorem i pogadać. W pierwszych latach sprawa nakręcenia „filmu artystycznego” stanowiła doskonały pretekst dla moich wizyt, pozwalając ukryć ich zasadniczy cel, o którym wiedziała jedynie ciocia Nesibe. Spoglądając na sympatyczną, dobroduszną twarz Feriduna, sądziłem początkowo, że o niczym nie wie, po pewnym czasie jednak doszedłem do przekonania, że zdaje on sobie sprawę z tego, co było między mną a Fiisun, lecz ma do żony zaufanie, a może nie traktuje tego poważnie i wyśmiewa się ze mnie — oczywiście za moimi plecami, bo potrzebuje mojego wsparcia, by nakręcić film.

Pod koniec listopada Feridun ukończył prowadzone zgodnie ze wskazówkami Fiisun prace nad scenariuszem, którego tekst pewnego wieczoru po kolacji, na podeście schodów, pod rzucanymi spod zmarszczonych brwi czujnymi spojrzeniami Fiisun, został uroczyście, niemal w oficjalny sposób, przekazany mnie, przyszłemu producentowi.

— Kemalu, chciałabym, żebyś przeczytał go dokładnie i ze zrozumieniem — oświadczyła. — Wierzę w sukces tego scenariusza i mam do ciebie zaufanie. Nie zawieź mnie.

— Możesz mi ufać, moja droga. Czy to — wskazałem trzymaną w ręku teczkę — jest tak ważne, bo ty zagrasz główną rolę, czy dlatego, że ma to być „film artystyczny” (specyficzne określenie wymyślone w Turcji w latach siedemdziesiątych)?

— Z obu względów.

W scenariuszu, noszącym tytuł *Błękitny deszcz*, nie było niczego, co rzuciłoby nowe światło na mój związek z Fiisun, naszą miłość i całą naszą historię. Dlatego Feridun, do którego tego lata zacząłem nabierać szacunku za jego inteligencję i mądre wywody, wyliczywszy mi wszystkie błędy (wtórność, sztuczność, nachalne moralizatorstwo, wulgarność, melodramatyzm, merkantylizm i populizm), tureckich filmowców, którzy osiągnęli pewien poziom i usilnie pragną nakręcić „film artystyczny” wzorem swych kolegów z Zachodu, sam je teraz popełnił? Czytając jego nudny scenariusz, doszedłem do wniosku, że pragnienie sztuki jest taką samą chorobą jak miłość, tak jak ona trawi i spopiela umysł, każe nam zapomnieć o tym, co znamy, i nie pozwala dostrzec rzeczywistości. Rozbierane sceny z udziałem Fiisun, które Feridun ze względów komercyjnych umieścił w scenariuszu (jedna podczas uprawiania seksu, druga w stylu francuskiej Nowej Fali, gdy w pełnej piany wannie zamyślona pali papierosa, i trzecia, gdy we śnie przechadza się po rajskim ogrodzie), były niesmaczne i niepotrzebne!

Z powodu tych scen nie chciałem zatwierdzić projektu, w którego sukces od początku zresztą powątpiewałem. Pod tym względem byłem bardziej zirytowany i stanowczy niż ongiś wujek Tank w sprawie konkursu piękności. Postanowiwszy sobie bezwzględnie odwlec realizację filmu na tak długo, jak tylko się da, pogratulowałem tymczasem Fiisun i jej mężowi znakomitego scenariusza i oświadczyłem, że jako producent (przybrałem w tym miejscu odpowiednią pozę) jestem gotowy

do działania i — zgodnie z sugestiami Feriduna — mogę rozpocząć przesłuchania aktorów oraz personelu technicznego.

Na początku zimy cała nasza trójka zaczęła odwiedzać „lokale” w bocznych uliczkach Beyoglu — biura producentów, kawiarnie, gdzie przesiadywali podrzędni aktorzy, zabijając czas grą w domino, marzące o karierze początkujące artystki, statyści i członkowie ekip filmowych, bary, w których do późnej nocy bawili się producenci, reżyserzy i nieco bardziej znani aktorzy. Z domu Keskinów do wszystkich tych miejsc można było dojść w dziesięć minut — to przypominało mi słowa ciotki Nesibe, że Feridun ożenił się z Fiisun, by móc chodzić tam spacerkiem. Czasem zabierałem ich od razu spod domu, kiedy indziej jedliśmy kolację z rodzicami i dopiero potem wyruszyliśmy — ja, Feridun i trzymająca go pod rękę Fiisun.

Najczęściej chodziliśmy do baru Pergamin, w którym bywali stambulscy nowobogaccy i synowie bogatych posiadaczy ziemskich z prowincji, mający nadzieję spotkać tu gwiazdy filmowe lub chociaż dziewczyny marzące o zostaniu gwiazdami, a także krytycy filmowi, zdobywający sławę dziennikarzy i redaktorzy plotkarskich gazet. W ciągu zimy poznaliśmy całe mnóstwo drugoplanowych aktorów z obejrzanych latem filmów (był wśród nich długowąsy kolega Feriduna, odtwórca roli nieuczciwego księgowego) i stawaliśmy się pomału częścią tej społeczności, złożonej z sympatycznych w gruncie rzeczy, nigdy nie tracących nadziei i niezmordowanie snujących projekty nowych filmów ludzi, którzy opowiadali każdemu, kto się nawinął, historię swego życia i nie byli w stanie wytrzymać bez pozostałych ani jednego dnia, jednocześnie jednak stale się bezlitośnie obgadywali.

Powszechnie lubiany Feridun dosiadał się do ludzi z branży — niektórych podziwiał, z innymi pracował, a ze wszystkimi chciał dobrze żyć. Przesiadywał z nimi całymi godzinami,

a wtedy ja zostawałem sam na sam z Fiisun. Nie były to jednak te wyjątkowe, emanujące szczęściem chwile. Fiisun rzadko kiedy rezygnowała z pozy młodszej siostrzyczki, z na wpół niewinnie, na wpół fałszywie brzmiącego tonu, jaki dźwięczał w jej głosie w obecności Feriduna, gdy zwracała się do mnie *per* „kuzynie Kemalü”. Jeśli nawet rozmawiała ze mną szczerze, ograniczała się do uwag o dosiadających się do naszego stolika ludziach i swym przyszłym życiu związanym z filmem.

Pewnego wieczoru, gdy znów zostaliśmy sami, a ja zbyt dużo wypięłem, nagle poczułem, że mam już dość snutyh przez Fiisun marzeń i szczegółowych planów kariery, że muszę pokazać jej, jak wygląda rzeczywistość, i tylko teraz moje słowa są w stanie ją przekonać.

— Kochanie, weź mnie pod rękę, opuśćmy natychmiast to ponure miejsce — powiedziałem. — Pojedźmy do Paryża albo na drugi koniec świata, do Patagonii. Zapomnijmy o tych wszystkich ludziach i bądźmy szczęśliwi po wsze czasy!

— Kuzynie Kemalü, ależ to nie wypada! Nasze drogi już się rozeszły — odpowiedziała mi na to Fiisun.

Pijane towarzystwo, które przychodziło do baru co wieczór i nazywało siebie samych „stałą ekipą”, po kilku miesiącach zaakceptowało Fiisun jako młodą i ładną żonę jednego z kumpli. Mnie zaś jako „pocziwego durnia milionera”, któremu zachciało się nakręcić „artystyczny” film, traktowało nieco podejrzliwie i kpiąco, lecz tolerowało moją obecność. Niestety, ci, którzy nas nie znali (albo znali, ale mimo wszystko próbowali swych szans) i starali się poderwać Fiisun, ci, którzy przyglądali się jej z daleka, i ci, którzy odczuwali perwersyjną potrzebę opowiedzenia innym historii swego życia (była to wyjątkowo liczna grupa), nie pozwalali nam zostać długo sam na sam. Podobało mi się, że obcy ludzie, którzy ze szklaneczką *raki* w rękę dosiadali się do naszego stolika i natychmiast zaczęli

mówić, biorą mnie za męża Fiisun. Ona jednak z łamiącą mi serce szczerością za każdym razem wyprowadzała ich z błędu, mówiąc z uśmiechem, że jej mężem jest „grubas siedzący tam dalej”, a wtedy gość przy naszym stoliku zupełnie przestawał się ze mną liczyć i zaczynał bez skrępowania ją podrywać.

Każdy robił to w inny sposób. Jeden opowiadał, że właśnie poszukuje do fotopowieści dziewczyny takiej jak ona, „niewinnej brunetki o tureckim typie urody”, inny od razu proponował jej główną rolę kobiecą w filmie o proroku Ibrahimie, do którego zdjęcia lada dzień miały się rozpocząć, jeszcze inny nie mówił nic, tylko patrzył jej głęboko w oczy. Niektórzy wspominali o urodzie i niuansach życia, których nikt już nie dostrzega w naszym rządzonej przez mamonę materialistycznym świecie, albo recytowali pełne bólu wiersze uwiecznionych poetów o miłości, tęsknocie i ojczyźnie. Ci, którzy tylko przyglądali się Fiisun z daleka, zazwyczaj płacili nasz rachunek albo posyłali nam do stolika półmisek z owocami. We wszystkich lokalach w Beyoglu, do których pod koniec zimy z powodu mej niechęci do projektu i gry na zwłokę zaglądaliśmy rzadziej, stale natykaliśmy się na kobietę potężnej postury, grywiącą zazwyczaj okrutne strażniczki więzienne albo popleczniczki szwarccharakterów — zapraszała nas do siebie na prywatki, na które przychodziło, jak twierdziła, „wiele podobnych do Fiisun, wykształconych, kulturalnych młodych dziewcząt”. Pewien starszy wiekiem krytyk, niski i gruby człowieczek w spodniach na szelkach, położył pewnego razu swą ruchliwą jak skorpion, brzydką dłoń na ramieniu Fiisun i oświadczył, że czeka ją „wielka, wielka sława”, być może zostanie pierwszą turecką gwiazdą, która zdobędzie międzynarodowe uznanie, musi jedynie bardzo rozważnie planować swoją karierę.

Fiisun z uwagą wysłuchiwała tych wszystkich prawdziwych i fałszywych, poważnych i niepoważnych propozycji



zagrania w filmie, pozowania do fotopowieści czy zostania modelką, obsypywała bezwstydnie afektowanymi pochwałami — jak mi się wydaje, przyswoiła sobie tę przesadną maniery w czasach, gdy pracowała za ladą — wszelkich aktorów, zarówno tych cieszących się sławą, jak i zupełnie nie znanych. Z jednej strony starała się być miła dla każdego, z drugiej zaś wręcz przeciwnie, chciała wydawać się chłodna i tajemnicza. I upierała się, byśmy jak najczęściej chodzili do tych lokali. Pewnego razu upomniałem ją, żeby nie dawała numeru telefonu każdemu, kto mówi, że ma dla niej propozycję, bo ojciec będzie zły, gdy się o tym dowie. Odpowiedziała mi wtedy, że wie, co robi, i dodała z irytacją, że jeśli będą problemy z realizacją filmu Feriduna albo jego film w ogóle nie powstanie, zamierza zagrać w innym. Spochmurniałem i przesiadłem się do innego stolika, a wtedy zaraz przyprowadziła Feriduna i zaproponowała, byśmy, tak jak latem, wybrali się w trójkę na kolację.

W filmowo-knajpianym światku, którego częścią stopniowo i z zażenowaniem mimo wszystko się stawałem, zaprzyjaźniłem się z dwiema osobami, które dostarczały mi najświeższych plotek. Jedną z nich była Siihendan Yildiz, aktorka w średnim wieku, której nos został potwornie zniekształcony wskutek pierwszych w Turcji doświadczeń z chirurgią plastyczną, jednak dzięki jego dziwnemu kształtowi wyspecjalizowała się w rolach „złych kobiet” i zyskała w tym *emploi* pewną sławę. Drugim źródłem informacji stał się dla mnie Salih Sarih, aktor charakterystyczny, przez wiele lat odtwórca ról autorytarnych oficerów i policjantów, obecnie utrzymujący się z podkładania głosu do półlegalnych krajowych filmów porno — chrypiąc i kaszląc, ze śmiechem opowiadał związane z tym zajęciem zabawne przygody.

Z czasem dowiedziałem się, że nie tylko Salih Sanh, lecz także przeważająca większość poznanych w barze Pergamin

aktorów pracowała w tej branży. Byłem tym zaskoczony, jak ktoś, kto nagle zdał sobie sprawę, że większość jego znajomych należy do jakiejś tajnej organizacji. Aktorki w średnim wieku, o nienagannych manierach, aktorzy o wyrazistym *emploi*, tacy jak Salih, zarabiali na życie, podkładając głosy do sprowadzanych z zagranicy i częstokroć nie takich znów wulgarnych filmów, dysząc i jęcząc w scenach erotycznych, by dobitnie podkreślić to, czego na ekranie nie można było pokazać. Żonaci, posiadający dzieci, cieszący się szacunkiem w środowisku artyści tłumaczyli się przed kolegami, że trudnią się tym, by w czasach kryzysu gospodarczego „nie tracić kontaktu z branżą filmową”, starali się jednak swoje zajęcie utrzymać w tajemnicy, zwłaszcza przed rodzinami. Mimo to ich zapaleni wielbiciele, szczególnie na prowincji, rozpoznawali aktorów po głosach i przysyłałi do nich listy — albo zionące nienawiścią, albo pełne komplementów. Co odważniejsi i bardziej żądni zarobku aktorzy, do spółki ze stanowiącymi stałą klientelę baru Pergamin niektórymi producentami, właśnie w owym czasie nakręcili filmy mające szansę przejść do historii jako pierwsze mużułmańskie pornosy. W filmach tych, stanowiących na ogół mieszankę seksu i humoru, podczas scen erotycznych rozlegały się te same, standardowo wyolbrzymione jęki i okrzyki, naśladowano kolejno jedne po drugich pozycje podczas stosunku, podpatrzone w przemycanych z Europy poradnikach życia seksualnego, lecz aktorzy, czy to kobiety, czy mężczyźni, jak cnotliwe dziewice, nie zdejmowali nigdy majtek.

Gdy bywaliśmy w trójkę w knajpach w Beyoglu, głównie w Pergaminie, Feridun i Fiisun krążyli od stolika do stolika, próbując „badać rynek”, ja zaś z uwagą wysłuchiwałem ostrzeżeń moich nowych, doświadczonych przyjaciół, zwłaszcza dystygowanej Siihendan. Na przykład nie powinienem pozwalać, by Fiisun choćby tylko rozmawiała ze sprawiającym

wrażenie dżentelmena gościem z czaplinowskim wąsikiem, w żółtym krawacie i idealnie wyprasowanej koszuli, gdyż ten znany producent gdy tylko znajdzie się w swoim osławionym biurze mieszczącym się nad kinem Atlas sam na sam z jakąkolwiek kobietą poniżej trzydziestki, zamyka drzwi na klucz i zmusza ją do seksu, po czym zapłakanej ofercie proponuje główną rolę w filmie, a kiedy zaczynają się zdjęcia, okazuje się, że główna rola jest w rzeczywistości najwyżej trzecioplanowa (jak na przykład rola niemieckiej niańki w domu bogatego Turka o dobrym sercu, której intrygi doprowadzają do kłótni w rodzinie). Należało też uważać na innego producenta, Muzaffera. Feridun kiedyś u niego pracował i teraz wciąż przesiadywał przy jego stoliku, zaśmiewając się z każdego dowcipu dawnego szefa, w nadziei, że ten pomoże mu w realizacji filmu od strony technicznej. Powiniennem ostrzec przed nim Feriduna, gdyż ten bezwstydnny typ, w tym samym barze Pergamin, przy tym samym stoliku, tyle że nie z Feridunem, ale ze swoim stałym rywalem w interesach, właścicielem dwóch średniej wielkości firm producenckich, założył się o butelkę francuskiego szampana z przemytu (w filmach z tego okresu szampan, jako luksusowy towar z Zachodu, produkt chrześcijańskiego świata, był swojego rodzaju fetyszem), że do końca następnego miesiąca przeleci Fiisun. Opowiadając mi o tym, aktorka znana z ról zwykłych (nie demonicznych) złych kobiet, nazywana przez kolorową prasę Wredną Siihendan, dziergała na drutach według wzoru z „Burdy” sweterek z wełny w trzech kolorach dla swego trzyletniego wnuczka. Tym, którzy śmiali się z niej, że siedzi w barze z kłębkami czerwonej, zielonej i granatowej wełny na kolanach, odpowiadała: „Ja, czekając na propozycję pracy, nie siedzę przynajmniej z założonymi rękami jak wy, pijacy!”, i porzuciwszy na moment maniery damy, ciskała soczyste przekleństwo.

Pewnego razu mój doświadczony kolega Salih Sarih, widząc moje poirytowanie tłumem porządnie już pijanych intelektualistów, filmowców i zarozumiałych gwiazd, których obecność była nieunikniona po godzinie ósmej wieczorem w lokalach takich jak bar Pergamin, romantycznym gestem — świetnie wyćwiczonym, wszak całe lata grał uczciwych policjantów idealistów — odwrócił ode mnie wzrok i utkwivszy go w dali, w siedzącej przy jednym ze stolików w głębi lokalu roześmianej Fiisun, powiedział, że gdyby był tak jak ja bogatym przedsiębiorcą, nigdy nie przyprowadziłby swojej ślicznej krewnej marzącej o karierze artystki w takie miejsce — miał na myśli oczywiście bar Pergamin. Jego słowa mnie ubodły i dlatego dodałem nazwisko mojego przyjaciela, specjalisty od dubbingu, do prowadzonej w myślach listy „facetów łakomie patrzących na Fiisun”. Innym znów razem Wredna Siihendan powiedziała coś, co pamiętam do dziś: moja krewna, Fiisun, to ładna, miła i dobra dziewczyna, jest w tym wieku, że mogłaby być matką, bardzo dobrą matką, tak jak jej własna córka, dla której dziecka robi na drutach ten czerwono-zielono-granatowy sweterek. Więc czego my tu szukamy?

Z upływem czasu tego rodzaju obawy dręczyły mnie coraz częściej, dlatego na początku 1977 roku dałem Feridunowi do zrozumienia, że pora podjąć konkretne decyzje w kwestii ekipy technicznej. Tydzień po tygodniu Fiisun w knajpach Beyoglu, w lokalach odwiedzanych przez filmowców zawierała nowe znajomości, nowi przyjaciele zachwycali się nią, otrzymywała propozycje udziału w sesjach zdjęciowych do fotopowieści i reklam. A ja każdego dnia coraz wyraźniej czułem, że Fiisun wkrótce porzuci Feriduna. Słodki, przyjazny uśmiech, jakim mnie obdarzała, delikatne dotknięcia mojego ramienia, szepoty wprost do mego ucha mówiły mi, że ten dzień jest bardzo bliski. Planowałem ożenić się z Fiisun, jak tylko rozstanie się

z Feridunem, dlatego mówiłem sobie, że lepiej pilnować, by za nadto nie zbliżała się do tego świata. I bez znajomości z tymi ludźmi można było zrobić z niej aktorkę. Wspólnie z Fiisun i Feridunem doszliśmy do wniosku, że lepiej pokierujemy jej karierą z biura, a nie z baru Pergamin. Rozmowy wstępne były zaawansowane, więc by zacząć realizację filmów Feriduna, powinniśmy teraz założyć spółkę.

Fiisun zaproponowała, by nazwać ją imieniem jej kanarka: Cytrynka, na co wszyscy z rozbawieniem przystaliśmy. Jak podano na tej oto wizytówce, opatrzonej podobizną sympatycznego ptaszka, siedziba firmy mieściła się tuż przy kinie Melek.

Z prywatnego konta w Banku Rolnym kazałem co miesiąc przekazywać na prowadzony w oddziale w Beyoglu rachunek Wytwórni Filmowej „Cytrynka” kwotę tysiąca dwustu lir. Było to nieco więcej niż łączne uposażenie dwóch najwyżej opłacanych dyrektorów w Satsat. Połowę miał otrzymywać Feridun jako dyrektor spółki, reszta przeznaczona była na czynsz za biuro i na realizację filmu.

## 57. NIE MÓC WSTAĆ I WYJŚĆ

Poczułem ulgę, gdy poprzez Wytwórnę Filmową „Cytrynka” Feridunowi przekazałem pieniądze, zanim jeszcze rozpoczęły się zdjęcia do filmu, z którego realizacją, o czym z każdym mijającym dniem byłem coraz bardziej przekonany, wcale nie należało się spieszyć. Mniej krępowałem się iść do Keskinów, gdy wieczorami ogarniało mnie nieprzezwyciężone pragnienie ujrzenia Fiisun, a jednocześnie dorównujące mu siłą zażenowanie, mogłem sobie wtedy jednak powiedzieć, że nie mam powodów do wstydu, bo przecież dałem im w końcu pieniądze. Chęć spotkania Fiisun tak mnie zaślepiła, że nawet nie zastanawiałem się, w jaki sposób przekazanie pieniędzy miało zmniejszyć mój wstyd. Przypominam sobie, że pewnego wieczoru wiosną 1977 roku, w Nişantaşı, w porze kolacji, oglądając z matką telewizję, poczułem się nagle tak rozdarty między pragnieniem a wstydem, że jak skamieniały przesiedziałem (w fotelu ojca) w kompletnym bezruchu pół godziny.

— Zostań wieczorem w domu, zjemy razem kolację — proponowała matka, jak zawsze, gdy widziała, że zaczynam zbierać się do wyjścia.

- Nie, mamusiu, zaraz wychodzę...
- Dobry Boże, ileż to musi być rozrywek w tym mieście, codziennie dokądś pędzisz...
- Koledzy tak usilnie zapraszali, mammo...
- Szkoda, że jestem twoją matką, a nie koleżanką. Samiuteńka zostałam na tym świecie... Posłuchaj, zaraz pošle Bekriego, niech idzie i kupi u Kazima z dołu połędwicę na befsztyk... Zostań na kolacji. Zjesz befsztyk, potem pójdziesz do kolegów.
- Zaraz idę do rzeźnika — zawołał z kuchni Bekri, usłyszawszy, co mówiła matka.
- Nie, mammo, idę na przyjęcie do syna Karahanów — wymyśliłem na poczekaniu.
- Czemu ja nic nie wiem o tym przyjęciu? — spytała matka podejrzliwie. Co matka, Osman i kto tam jeszcze wiedzieli o moich częstych wizytach u Fiisun? Wolałem o tym nie myśleć. Gdy wieczorem wybierałem się do Cukurcumy, dla niepoznaki jadałem czasami kolację z matką, a potem drugą u Fiisun. Ciocia Nesibe od razu się orientowała, że byłem po kolacji, mawiała wtedy: „Kemalu, coś nie ma pan dziś apetytu, nie smakuje panu?”.
- Niekiedy wydawało mi się, że jeśli zostanę na kolacji z matką i jakoś przetrzymam porę, gdy chęć ujrzenia Fiisun stawała się najsilniejsza, uda mi się zapanować nad sobą i spędzę wieczór w domu, lecz godzinę po posiłku i po dwóch szklaneczkach *raki* tęsknota tak przybierała na sile, że nawet matka zauważała, iż coś się ze mną dzieje.
- Oho, znów zaczynasz przebierać nogami, idź, przejdź się trochę — mówiła. — Ale nie oddalaj się zbyt, ulice nie są już tak bezpieczne jak kiedyś.
- Nie mam zamiaru przedłużać swej opowieści opisami pokłosa zimnej wojny, zażartych starć między zagorzałymi nacjo-

nalistami a fanatycznymi komunistami, do jakich dochodziło na ulicach Stambułu. W owych latach trup ścielił się gęsto, o północy ostrzeliwano z broni maszynowej kawiarnie, na uniwersytetach stale ogłaszano bojkoty i okupacje budynków, wybuchały bomby, bojówkarze rabowali banki. Ściany domów upstrzone były różnokolorowymi sloganami. Jak większość stambulczyków nie interesowałem się polityką, byłem zdania, że zabijanie się na ulicach niczemu nie służy, a do zwalczających się ugrupowań należą ludzie pozbawieni serca i sumienia, którzy nie mają nic wspólnego z **nami**. Z czekającym na **mnie** na dole **Cetinem**, którego **napominałem**, by uważał po drodze, rozmawiałem o polityce jak o klęsce żywiołowej, takiej jak powódź czy trzęsienie ziemi, od której my, zwykli obywatele, mogliśmy jedynie starać się trzymać z daleka.

Gdy spędzałem wieczór poza domem — czyli w zasadzie niemal codziennie — niekoniecznie odwiedzałem Keskinów. Czasem rzeczywiście szedłem na jakieś przyjęcie, mając nadzieję, że spotkam tam miłą dziewczynę, która pozwoli mi zapomnieć o Fiisun, czasem po prostu chciałem pogadać ze znajomymi, wypić co nieco, zabawić się. Na przykład Zaim zabrał mnie z Mehmetem i Nurcihan na imprezę zorganizowaną w domu pewnego dalekiego krewnego, bywającego w towarzystwie od niedawna, albo z Tayfunem w nocnym klubie, w rytm kawałków tureckiego popu, będących na ogół plagiatem francuskich czy włoskich piosenek, opróżniałem butelkę whisky i dawałem się zwieść złudzeniu, że powoli wracam do dawnego, normalnego życia.

Jak poważny i głęboki był dręczący mnie problem, poznawałem nie po niezdecydowaniu i zakłopotaniu, jakie odczuwałem przed pójściem do domu Fiisun, lecz po niemocy, która ogarniała mnie, gdy po kolacji i wspólnym obejrzeniu telewizji nadchodziła pora powrotu do domu. Oprócz ogólnego uczucia



zażenowania, którego doznawanie w mojej sytuacji nie było czymś niezwykłym, w ciągu tych prawie ośmiu lat zmagalem się dodatkowo ze specjalnym rodzajem wstydu. Jego źródłem była niemożność opuszczenia w niektóre wieczory domu w Cukurcumie.

Program telewizyjny kończył się około wpół do dwunastej widokiem flagi, Mauzoleum Atatiirka i szeregów żołnierzy, lecz jeszcze przez jakiś czas potem obserwowaliśmy śnieżący obraz na ekranie, jakby z nadzieją, że może przez pomyłkę coś pokażą, aż w końcu wujek Tank mówił do córki: „Pora wyłączyć to pudło” albo Fiisun sama jednym dotknięciem wyłączała odbiornik. I wtedy zaczynała się moja męka, czułem, że jeżeli natychmiast nie wyjdę, uznają mnie za natręta. Nie zastanawiałem się, czy rzeczywiście tak by się stało. Za chwilę pójdę — powtarzałem sobie w duchu. Ale tak od razu wstać i wyjść byłoby niegrzecznie — nieraz słyszałem kąśliwe uwagi o gościach, którzy nie mówiąc nawet „dobranoc”, wychodzili, gdy tylko wyłączono telewizor, albo o sąsiadach, którzy wpadali „na telewizję”, bo sami nie mieli odbiornika, i z końcem programu natychmiast wracali do siebie. Nie chciałem się zachowywać w ten sposób.

Keskinowie z pewnością wiedzieli, że odwiedzam ich nie po to, by oglądać telewizję, lecz by pobyc blisko Fiisun, ale czasami, chcąc nadać mojej wizycie charakter nieco bardziej oficjalny, dzwoniłem wcześniej do cioci i zapowiadałem się: „Wpadnę wieczorem, może razem obejrzymy «Z kart historii»?”. W takiej sytuacji powinienem był się pożegnać i wyjść, gdy tylko program się skończył. Siedziałem więc jeszcze chwilę po wyłączeniu telewizora, po czym zaczynałem coraz intensywniej powtarzać sobie w duchu, że zaraz muszę wyjść, nie byłem jednak w stanie tego zrobić. Jak przybity gwoździami tkwiłem nieruchomo na krześle albo na brzegu kanapy, lekko

spocony z zażenowania, chwile upływały jedna po drugiej, tykanie zegara zamieniało się w niepokojący stukot, setny raz powtarzałem sobie w duchu: teraz wstaję, ale ani drgnąłem, wciąż siedziałem nieruchomo na swoim miejscu.

Tego paraliżu — tak samo jak całej mojej miłosnej historii — nie potrafię wyjaśnić w satysfakcjonujący sposób nawet po latach. Do głowy przychodzi mi kilka możliwych powodów słabości mej woli, które wymieniam kolejno poniżej:

1. Za każdym razem, gdy oświadczałem: „Pójdę już”, ciocia i wujek zatrzymywali mnie, mówiąc: „Ach, poczekaj, Kemal, tak miło nam się siedziało!”.

2. Jeśli oni tego nie mówili, Fiisun ze słodkim uśmiechem patrzyła na mnie tak tajemniczo, że mieszało mi się w głowie.

3. Na pewno ktoś zaczynał o czymś opowiadać, poruszał nowy temat. Nie wypadało mi wstać i wyjść, zanim skończy opowieść, dlatego siedziałem jeszcze dwadzieścia minut.

4. Spoglądałem wtedy w oczy Fiisun i zapomniałem o upływającym czasie, aż w końcu zerkałem dyskretnie na zegarek i z przerażeniem spostrzegłem, że upłynęło nie dwadzieścia, ale czterdzieści minut! Znów mówiłem: „Za pozwoleniem, pójdę już”, i znów nie mogłem się ruszyć. Byłem wściekły na siebie za tę słabość, czułem wstyd tak potężny, że każda chwila stawała się nieznośna.

5. W takich chwilach mój umysł szukał nowego pretekstu, by posiedzieć dłużej, a ja przyznawałem sobie dodatkowy czas na zabranie się i wyjście.

6. Wujek Tank nalewał sobie jeszcze jedną szklaneczkę *raki*, moim obowiązkiem było dotrzymać mu towarzystwa.

7. Musiałem odczekać, aż wybije dokładnie północ. Wymówienie słów: „Oho, już dwunasta, pora na mnie!” ułatwiało mi wyjście.

8. Być może **Cetin** był właśnie zajęty rozmową ze znajomymi w kawiarni, nie musiałem się więc spieszyć.

9. Miejscowe chłopaki siedzą na dole na ulicy i palą papierosy — jeśli teraz wyjdę, zaczną o mnie gadać (w pierwszych latach milki na mój widok, co budziło pewne moje obawy, ale zorientowawszy się, że między mną a Feridunem panują dobre stosunki, uznali najwyraźniej, że nie zagrażam „honorowi i przyzwoitości dzielnicy”).

Mój wewnętrzny niepokój narastał niezależnie od tego, czy Feridun był w domu, czy nie. Spojrzenia Fiisun uświadamiały mi trudność mojego położenia, a co gorsza, budząc we mnie nadzieję, jednocześnie wzmagają mój ból. Z kolei konsekwencją myśli, że Feridun ma do żony zaufanie, był wniosek, że ich małżeństwo jest szczęśliwe, to zaś przysparzało mi jeszcze większych cierpień.

Brak reakcji ze strony męża Fiisun najprościej było wytłumaczyć zwyczajami i tabu. W kraju, gdzie na prowincji i wśród biedoty już samo patrzenie na cudzą żonę, nie mówiąc o jej podrywaniu, i to jeszcze w obecności jej rodziców, wystarczało, by zostać zabitym, Feridun miał prawo uznać, że nawet przez myśl mi nie przejdzie flirtować z jego żoną podczas miłych rodzinnych wieczorów przed telewizorem. Moją miłość do niej, wspólne zasiadanie do stołu w gronie rodziny otaczało tyle nakazów i zakazów, że choćby na pierwszy rzut oka widać było, iż jestem w Fiisun szalenie zakochany, wszyscy zobowiązani byliśmy zachowywać się tak, jakby ta miłość nie istniała. I jakbyśmy byli pewni, że nigdy nie uchybimy temu obowiązkowi. Gdy to spostrzegłem, zrozumiałem, że to nie wbrew zakazom, ale właśnie dzięki nim mogę tak często widywać Fiisun.

Wyjaśnię to na innym przykładzie: gdybyśmy żyli w nowoczesnym, zachodnim społeczeństwie, gdzie mężczyźni i kobiety mogą się swobodnie ze sobą kontaktować, i odwiedzałbym

Keskinów, tak jak to robiłem, trzy, cztery razy w tygodniu, w końcu każdy nabrałby przekonania, że robię to, by zobaczyć Fiisun, a wtedy jej zazdrosny mąż musiałby mi tego zabronić. Dlatego w innym kraju ani nie mógłbym widywać Fiisun, ani moja miłość do niej nie przybrałaby takiej formy jak w Turcji.

Jeżeli Feridun nie ruszał się nigdzie wieczorem, opuszczenie domu Keskinów nie nastęczało specjalnych trudności. Jeżeli zaś spotykał się z kolegami filmowcami, nie zważając na późną porę i wyłączony telewizor, planowałem zgrać swoje wyjście z jego przyjściem i nawet mi przez myśl nie przeszło, że zachęty w rodzaju „Może napijesz się herbaty?” albo „Posiedź z nami jeszcze chwilę, kuzynie Kemalü” mogły wynikać wyłącznie z grzeczności. Przez osiem lat nie mogłem się jedynie zdecydować, czy powinienem wyjść przed powrotem czy po powrocie Feriduna. W pierwszych latach wydawało mi się, że będzie znacznie lepiej, jeśli wyjdę, zanim wróci, gdy bowiem przekraczał próg domu, zaczynałem czuć, że zawadzam. W takie wieczory, żeby móc zasnąć, musiałem u siebie w Nigantagi wypić co najmniej trzy szklaneczki *raki*. W dodatku nie mogłem tak od razu wstać i wyjść, gdyż byłoby to równoznaczne z przyznaniem się, że przyszedłem tylko po to, by zobaczyć Fiisun. Musiałem więc po powrocie Feriduna odsiedzieć około pół godziny, a to jeszcze bardziej zwiększało mój wstyd i paraliżowało mi ruchy. Wyjście przed jego powrotem oznaczałoby przyznanie się do winy, ucieczkę. To poniżej mojej godności. Nie mogłem się zachowywać jak bezwstydný uwodziciel z zachodnich romansów, który chyłkiem wymyka się od hrabiny tuż przed powrotem jej męża do zamku! Aby mógł wyjść, zanim Feridun wróci, moje wyjście od jego przyjścia powinien dzielić odpowiednio długi odstępczasu. Oznaczało to, że musiałbym opuścić dom Keskinów o dużo wcześniejszej porze.

Tego jednak nie byłem w stanie zrobić. Skoro nie mogłem wstać i wyjść później, to tym bardziej w żadnym razie wcześniej.

Siedziałem na krześle jak statek, który osiadł na mieliźnie, jak kupa wstydu i nieszczęścia. Starałem się pochwycić spojrzenie Fiisun, aby poczuć się lepiej. A gdy w momencie nagłego oświecenia docierało do mnie, że nie potrafię wstać i wyjść albo że nie będę w stanie tego zrobić tak szybko, jak sądziłem, szukałem jeszcze jednego pretekstu do pozostania:

10. Poczekam na Feriduna, omówimy tę czy tamtą kwestię związaną ze scenariuszem — mówiłem sobie. Gdy mąż Fiisun w końcu się zjawiał, parę razy rzeczywiście próbowałem z nim pogadać.

— Podobno jest sposób, by wcześniej dostać decyzję Urzędu Cenzury, słyszałeś coś o tym? — spytałem pewnego razu. Być może nie brzmiało to dokładnie tak, ale jakoś podobnie. W tej samej chwili przy stole zapadło lodowate milczenie.

— U Panayota zebrali się ludzie z wytwórni Erler — odpowiedział Feridun i pocałował Fiisun jak wracający do domu mążowie w amerykańskich filmach: na wpół szczerym, na wpół wyuczonym gestem. Czasem ze sposobu, w jaki Fiisun się do niego przytulała, mogłem poznać, że pocałunek był prawdziwy — to mnie dobijało.

Feridun spędzał na ogół wieczory w towarzystwie ludzi ze świata filmu, scenarzystów, rysowników, operatorów, personelu technicznego, przesiadywał z nimi po kawiarniach, uczestniczył w spotkaniach po domach, prowadził ożywione życie towarzyskie w tym wiecznie skłóconym, pełnym plotek, hałaśliwym świątku. Spędzał z nimi tyle czasu, jadł, pił i bawił się, że problemy i marzenia tych ludzi stały się jego problemami i marzeniami, ich ulotne sukcesy jemu też dodawały skrzydeł, ich niepowodzenia również jego wtrącały w rozpacz. Będąc tego świadkiem podczas moich wizyt, przestawałem

mieć wyrzuty sumienia, że przeze mnie Fiisun nie może pójść z mężem się zabawić. Zresztą w dni, gdy nie przychodziłem, raz czy dwa w tygodniu, Fiisun wkładała jedną ze swych eleganckich bluzek, przypinała którąś z podarowanych jej przeze mnie broszek w kształcie motyla i szła z mężem do Pergaminu, Kurtyny czy innej knajpy w Beyoglu. Spędzali tam długie godziny. Potem od Feriduna dowiadywałem się — ze szczegółami — co robili przez cały wieczór.

I Feridun, i ja, i ciocia Nesibe doskonale wiedzieliśmy, że Fiisun marzy o zagranju w filmie — wszystko jedno jakim, złym czy dobrym. Z drugiej strony zdawaliśmy sobie sprawę, że lepiej nie poruszać tego tematu w obecności wujka Tarika. Jego milczenie można było uznać za aprobatę, ale wyraźnie wolał nie być o niczym informowany. Mimo to chciałem, by miał świadomość, że wspieram materialnie plany jego zięcia. Lecz jak się później dowiedziałem, wieść o tym dotarła do wujka dopiero w cały rok po założeniu Wytwórni Filmowej „Cytrynka”.

Przez ten rok nawiązałem z Feridunem poza domem Keskinów koleżeńskie, wręcz przyjacielskie stosunki. Był serdecznym, inteligentnym człowiekiem, dla którego przyjaźń wiele znaczyła. Spotykaliśmy się w siedzibie naszej spółki i rozmawialiśmy o scenariuszu, utrudnieniach ze strony Urzędu Cenzury, a także o obsadzie filmu i wyborze aktora, który u boku Fiisun miałby zagrać główną rolę męską.

Dwaj bardzo znani i przystojni artyści wyrazili chęć zagrania w „artystycznym” filmie Feriduna, ale zarówno on, jak i ja mieliśmy wobec nich duże wątpliwości. Tym pyszałkowatym kobieciarzom, którzy w historycznych filmach jednym ruchem powalali czterdziestu zbójów, a bizantyjskich mnichów tłukli jak muchy, nie można było ufać — na pewno zaraz zaczęliby przystawiać się do Fiisun. Nieustanne niedwuznaczne aluzje,

przechwałki, że zawsze idą do łóżka z koleżankami z planu, nawet z młodziotkami gwiazdkami, które nie skończyły jeszcze osiemnastu lat, były elementem i'mage'u tych zblazowanych gwiazdorów z czarnymi wąsikami. „Pocałunki w filmie nie były udawane” czy „Romans na planie” — takie nagłówki w gazetach dawały aktorom rozgłos i ściągały publiczność do kin, były więc w tej branży rzeczą wręcz pożądaną, dlatego obaj postanowiliśmy trzymać Fiisun od tego z daleka. Ustaliwszy z Feridunem wspólną strategię jej ochrony, poleciłem przekazać mu z Satsat jeszcze trochę pieniędzy, by zrekompensować ewentualne straty z tego tytułu.

Zachowanie Fiisun w owym czasie bardzo mnie niepokoiło. Gdy pewnego razu przyszedłem do domu w **Cukurcumie**, ciocia Nesibe przepraszającym tonem wyjaśniła, że Fiisun poszła z Feridunem do Beyoglu. Nie dając niczego po sobie poznać, zdusiłem ból i spędziłem ten wieczór, oglądając telewizję w towarzystwie wujka i cioci. Dwa tygodnie później znów okazało się, że wyszli. Umówiłem się wtedy z Feridunem na lunch i oświadczyłem, że zbyt częste przebywanie Fiisun wśród tej pijackiej zgrai może zaszkodzić naszemu „artystycznemu” filmowi, dlatego powinien przekonać swą żonę, by pod pretekstem moich wizyt zostawała wieczorem w domu. Tak będzie z **pożytkiem** i dla rodziny, i dla naszego **projektu**.

Zaniepokoiło mnie, że wyraźnie nie brał moich ostrzeżeń poważnie. Być może nie tak często jak kiedyś, ale nadal chodzili wieczorami do Pergaminu i podobnych miejsc. Przekonałem się o tym, gdy któregoś razu znów nie zastałem ich w domu. W milczeniu spędziłem z wujkiem i ciocią wieczór przed telewizorem, a potem aż do powrotu Fiisun i Feriduna, koło drugiej w nocy, nie zważając zupełnie na późną porę, opowiadałem im o Stanach Zjednoczonych, gdzie studiowałem: Amerykanie są bardzo pracowici, ale jednocześnie naiwni i prostoduszni,

wcześnie kładą się spać, nawet najbogatsi uczą dzieci szacunku dla pieniądza, każąc im co dzień rano rozwozić na rowerze gazety albo roznosić mleko. Słuchali mnie z uśmiechem niedowierzania, ale i z zainteresowaniem. W pewnym momencie wujek Tarik zapytał o coś, co go od dawna intrygowało: w amerykańskich filmach dźwięk dzwonka telefonu brzmiał zupełnie inaczej niż u nas — czy wszystkie telefony w Ameryce tak mają, czy tylko te w filmach? Z zaskoczeniem stwierdziłem, że nie pamiętam, jak dzwonią telefony w Stanach. To pytanie wzbudziło we mnie wtedy, dobrze już po północy, tęsknotę za młodością, za poczuciem wolności, jakie dawała mi Ameryka. Wujek naśladował dźwięk dzwonka z amerykańskich filmów — w filmach sensacyjnych brzmiał on jeszcze ostrzej. Mijała druga, a my wesoło rozmawialiśmy, popijając herbatę i paląc papierosy.

Nie wiem, dlaczego zasiedziałem się do tak późna — **by** pokazać, że Fiisun nie powinna wychodzić, gdy ja przychodzę z wizytą, **czy może** dlatego, że **byłbym głęboko** nieszczęśliwy, **gdybym** jej owego wieczoru nie **zobaczył**. W **każdym** razie **odkąd** jeszcze raz porozmawiałem z Feridunem i z naciskiem wyjaśniłem mu, że musimy wspólnie chronić jego żonę przed pijacką zgrają z przemysłu filmowego, Fiisun **nigdy** więcej nie wyszła z mężem w wieczory, **gdy** odwiedzałem dom w **Cukurcumie**.

Mniej więcej w tym właśnie czasie doszliśmy z Feridunem do wniosku, że warto byłoby nakręcić film komercyjny, który stanowiłby finansowe wsparcie dla naszego artystycznego projektu. Nie przewidywaliśmy w nim roli dla Fiisun i być może to skłoniło ją do pozostawania wieczorami w domu. Chcąc się zemścić, w niektóre dni szła do swojej sypialni i kładła się spać, jeszcze zanim wyszedłem. Domyślałem się, że jest na mnie zła. Ale nie traciła nadziei na zostanie gwiazdą filmową, więc



podczas następnego spotkania odnosiła się do mnie cieplej niż zwykle, stale pytała, co słyhać u mojej matki, albo dokładała mi pilawu\* na talerz, a ja znowu nie potrafiłem wstać i wyjść.

Rozwijająca się przyjaźń z Feridunem nie stanowiła, niestety, zapory dla ataków niezdolności do ruszenia się z miejsca, jakim ulegałem przed jego powrotem do domu. Gdy tylko przestępował próg, znów zaczynałem się czuć jak piąte koło u wozu. Jak to bywa w snach, nie byłem częścią ich świata, a jednocześnie z uporem chciałem do niego należeć. Do końca życia nie zapomnę miny Feriduna, gdy pewnego marcowego wieczoru 1977 roku, w „Wiadomościach” pokazywano polityczne wiece, podczas których wybuchły bomby, ostrzelane kawiarnie i zamordowanych działaczy opozycji — wróciwszy późno do domu, bardzo późno (ze wstydu nie mogłem nawet spojrzeć na zegarek), zobaczyłem, że wciąż tam jestem. Patrzył na mnie jak ktoś, kto z dobroci serca szczerze się o mnie martwi, lecz jednocześnie na jego twarzy malował się pogodny, bez troski wyraz, jak u kogoś, kto niczym się nie przejmuje. Ten młody człowiek był dla mnie zagadką.

Po zamachu stanu z 12 września 1980 roku wprowadzono godzinę policyjną, która obowiązywała od dziesiątej, wobec czego moje paroksyzmy niemocy zostały ograniczone czasowo. Stan wyjątkowy nie położył jednak kresu mojej udręce. Została jakby skomasowana w krótszym czasie, przez co zyskała na intensywności. Atak zaczynał się po wpół do dziesiątej — mimo wielokrotnego powtarzania sobie w duchu nalegającym, gniewnym tonem: „Teraz wstaniesz i wyjdiesz!”, nadal nie byłem zdolny ruszyć się z miejsca. Szybko zbliżająca się godzina policyjna nie zostawiała mi czasu na wahania. Za dwadzieścia dziesiąta mój niepokój sięgał zenitu.

\* **Pilaw** — danie z ryżu lub kaszy ugotowanych na sypko.

Gdy w końcu udawało mi się wyjść na ulicę i wsiąść do chevroleta, w panikę wpadał z kolei **Cetin**, pełen obaw, że nie zdążymy przed godziną policyjną. Za każdym razem spóźnialiśmy się kilka minut. Na szczęście żołnierze nie zatrzymywali punktualnie z wybiciem dziesiątej pędzących ulicami ostatnich samochodów. Wracając do domu przez plac Taksim, Harbiye i Dolmabahçe, nieraz byliśmy świadkami wypadków, których sprawcy gnali na złamanie karku. Kierowcy wyskakowali z samochodów i spoliczkowawszy jeden drugiego, zaczęli okładać się pięściami. Któregoś razu z tyłu, za pałacem Dolmabahçe, widzieliśmy zasnutego błękitnym dymem plymoutha, z którego wytoczył się kompletnie pijany jegomość z psem. Na placu Taksim po zderzeniu z innym samochodem taksówka straciła chłodnicę, a kłęby wydobywającej się z niej jak w *hamamie* pary zasnuły wszystko dookoła. Widok pograżonych w mroku bocznych ulic, przerażające czeluście na wpół oświetlonych głównych arterii przyprawiały o dreszcz. Gdy w końcu udawało mi się dotrzeć do domu, piłem przed snem szklaneczkę *raki* i błagałem Boga, by pozwolił mi wrócić do dawnego, normalnego życia. Ale nawet teraz, po latach, nie jestem pewien, czy rzeczywiście chciałem się uwolnić od obsesji na punkcie Fiisun.

Usłyszane przed wyjściem jedno miłe słowo, parę nie do końca jasnych, lecz przyjaźnie i ciepło brzmiących zdań wypowiedzianych przez Fiisun lub któregoś z pozostałych domowników budziły we mnie nadzieję na odzyskanie ukochanej, czułem, że moje wizyty nie są na próżno. Dzięki temu byłem w stanie, nie zmuszając się zbytnio, opuścić ich dom.

Moje serce zalewała fala szczęścia, gdy przy stole Fiisun nieoczekiwanie rzucała, na przykład: „Byłeś u fryzjera, dobrze ci w krótszych włosach” (16 maja 1977 roku), lub z czułością mówiła o mnie do swej matki: „Ależ on pałaszuje te

*kófte*\*, zupełnie jak mały chłopiec" (17 lutego 1980 roku), albo witała mnie, tak jak w pewien śnieżny zimowy wieczór: „Czekaliśmy na ciebie z kolacją, pomyśleliśmy: a nuż Kemal dziś przyjdzie”. Choćbym przyszedł w nie wiem jak ponurym nastroju, choćbym oglądając telewizję, dostrzegał wszędzie złowróżbne znaki, po takich słowach mogłem, gdy przyszła pora, zdecydowanie wstać, jednym ruchem zdjąć płaszcz z wieszaka przy drzwiach i nie ociągając się, opuścić ich dom. W ogóle łatwiej mi było się pożegnać, gdy szedłem prosto do drzwi, zakładałem płaszcz i rzucałem „Za pozwoleniem, pójdę już, do widzenia!”. Jeśli udało mi się w ten sposób wyjść od nich o dość wczesnej jeszcze godzinie, w drodze powrotnej miałem znakomite samopoczucie i myślałem nie o Fiisun, lecz o tym, jakie sprawy mam załatwić następnego dnia.

Przekraczając ponownie próg ich domu dzień, dwa po takim spektakularnym sukcesie, na widok Fiisun uświadamiałem sobie, że przyciągają mnie tu dwie rzeczy:

1. Gdy przebywałem z dala od Fiisun, świat wydawał mi się stosem bezładnie rozrzuconych elementów jakiejś układanki. Lecz gdy tylko ją ujrzałem, czułem, jak puzzle wskakują na swoje miejsca, świat staje się piękny i uporządkowany, a ja przestaję odczuwać niepokój.

2. Gdy wieczorami przychodziłem do nich i patrzyłem Fiisun prosto w oczy, w mej duszy wzbierało poczucie tryumfu. To, że zdołałem przyjść mimo wszelkich przeszkód, urojeń napawających mnie wstydem i odbierających nadzieję, już samo w sobie było zwycięstwem. W oczach Fiisun też dostrzegałem błysk radości, choć być może tylko mi się tak wydawało, czułem jednak, że mój upór i wytrwałość robią swoje, i świat wydawał mi się jeszcze piękniejszy.

\* *Kófte* — rodzaj kotleczków z mielonego mięsa.

## 58. LOTERYJKA

Noc sylwestrową z 1976 na 1977 rok spędziłem u Keskinów, grając w loteryjkę\*. Wspominam o tym, bo dopiero co była mowa o pięknie świata, a spędzenie sylwestra u Keskinów było istotną oznaką zmian, jakie niezaprzeczalnie zaszły w moim życiu. Rozstałem się z Sibel, oddaliłem od dawnych przyjaciół, zrezygnowałem z wielu wcześniejszych przyzwyczajzeń, by cztery, pięć razy w tygodniu móc odwiedzać Fiisun, lecz do owej nocy wciąż wmawiałem sobie i bliskim, że nadal mogę prowadzić dawne życie, że powrót do niego jest w każdej chwili możliwy.

Zerwałem kontakty ze znajomymi, by nie natknąć się na Sibel i nie sprawiać nikomu przykrości złymi wspomnieniami, a także aby unikać kłopotliwych pytań, gdzie się podziewam i dlaczego się nie pokazuję. Wieści, co u nich słychać, przekazywał mi Zaim, z którym spotykałem się od czasu do czasu

\* **Loteryjka (tur. *tombala*) — gra losowa podobna do bingo. Zwyczajowo jej partie rozgrywa się w Turcji w sylwestra i w Nowy Rok, bywa także uprawiana hazardowo.**

w Foyer, Garażu albo jakimś nowo otwartym lokalu, by jak dwóch biznesmenów z zapałem omawiających interesy długo i szczerze porozmawiać o tym, co kto robi i w ogóle o życiu.

Zaim miał już dość swojej obecnej dziewczyny, Ayşe, która była w wieku Fiisun. Twierdził, że jest zbyt dziecinna, nie potrafi dzielić z nim problemów i obaw, nie dogaduje się też z jego znajomymi. Na moje dociekliwe pytania odpowiadał jednak, że nie ma żadnej nowej kochanki, ani nawet nie myślał, żeby sobie jakąś znaleźć. Z Ayşe nie wyszli poza pocałunki, dziewczyna zachowywała ostrożność i było jasne, że dopóki nie zyska pewności co do Zaima, nie pozwoli na nic więcej.

— Z czego się śmiejesz? — spytał Zaim.

— Nie śmieję się.

— Śmiejesz — odpowiedział. — Ale nie przejmuję się tym. Powiem ci coś, z czego będziesz jeszcze bardziej się śmiać: Nurcihan i Mehmet spotykają się siedem dni w tygodniu, włączają się od knajpy do knajpy, od klubu do klubu. Mehmet zabiera Nurcihan do lokali, gdzie można posłuchać dawnej tureckiej muzyki, odszukują starych pieśniarzy po siedemdziesiątce czy osiemdziesiątce, których kiedyś słyszeli w radiu.

— Coś takiego... Nie wiedziałem, że Nurcihan się tym interesuje.

— To pod wpływem miłości do Mehmeta. Choć on właściwie nie znał tych starych piosenek, dopiero gdy Nurcihan się nimi zafascynowała, zaczął ich słuchać. Przeszukują antykiariaty, jarmarki staroci w poszukiwaniu starych książek i płyt. Wieczorami chodzą do Maksima, do Bebek Gazino, na koncerty Miizeyyen Senar\*... Tylko płyt nie słuchają razem...

— A to dlaczego?

\* Miizeyyen Senar (ur. 1919) — piosenkarka, wykonawczyni klasycznej muzyki tureckiej. Wystąpiła w filmie dokumentalnym *Życie jest muzyką* Fatiha Akina (*Crossing the Bridge: The Sound of Istanbul*, 2005).

— Wieczorami chodzą do klubów — odpowiedział Zaim ostrożnie. — Nigdy nie zostają sam na sam... Nie śpią z sobą.

— Skąd wiesz?

— Gdzie mogliby się spotykać? Mehmet nadal mieszka z rodzicami.

— Ma przecież mieszkanie w Macka, zawsze tam sprowadzał panienki.

— Raz pojechaliśmy napić się tam whisky... — przypomniał sobie Zaim. — Istna garsoniera. Jeśli Nurcihan ma choć trochę rozumu w głowie, jej noga tam nie postanie; chyba wie, że jeśli zgodzi się na to, Mehmet się z nią nie ożeni. Ja sam się tam dziwnie czułem, sąsiedzi podglądali przez dziurkę od klucza, sprawdzali, czy znowu nie przyprowadził jakichś dziwek.

— Co Mehmet ma robić? A bo to łatwo kawalerowi znaleźć w tym mieście mieszkanie do wynajęcia?

— Niech wynajmie pokój w Hiltonie albo kupi mieszkanie w lepszej dzielnicy.

— On uwielbia życie rodzinne, z mamą i tatą.

— Ty, zdaje się, też — zauważył Zaim. — Powiem ci coś szczerze, jako twój przyjaciel, nie obraż się.

— Powiedz.

— Gdybyś zaprowadził Sibel tam, gdzie spotykałeś się z Fiisun, do kamienicy Zmiłowanie, zamiast ukradkiem kochać się z nią w biurze, wierz mi, dziś nadal byłibyście razem.

— Sibel ci o tym powiedziała?

— Skądże, ona z nikim na ten temat nie rozmawia, nie obawiaj się.

Zamilkliśmy. Gdy z zabawnych plotek rozmowa zesłała na moje problemy i o tym, co mi się przydarzyło, zaczęliśmy mówić jak o tragedii, straciłem humor. Zaim spostrzegł to i zmienił temat. Opowiedział mi, jak raz w środku nocy wstąpił do

słynącej z dobrych flaczków knajpy w Beyoglu i spotkał tam Mehmeta, Nurcihan, Tayfuna oraz Faruka Szczura i potem w dwa samochody pojechali na przejażdżkę nad Bosfor. Kiedy indziej znów w Emirgan słuchali z Ayşe muzyki w samochodzie i pili herbatę, gdy podjechał Hilmi Bękart z kolegami; dołączyli do nich i tym razem w cztery samochody pojechali najpierw do nowo otwartego klubu Parisien w Bebeku, a potem do Lalezara, gdzie występował zespół Srebrne Liście.

Zaim szczegółowo opisywał mi nocne rozrywki, być może po to, by wzbudzić moje zainteresowanie i skłonić mnie do powrotu do dawnego życia, a może po prostu dał się ponieść wspomnieniom wesołych chwil. Słuchałem jego relacji, nie zastanawiając się nad nimi zbyt, lecz później, gdy jak zwykle spędzałem wieczór u Fiisun, przytapałem się na wyobrażaniu sobie tych zabaw. Ale proszę nie myśleć, że rozpaczałem, iż nie mogę bawić się jak dawniej z przyjaciółmi. Po prostu gdy siedziałem przy stole u Keskinów, miałem wrażenie, że na świecie już nic się nie dzieje, a przynajmniej my jesteśmy od tego bardzo daleko. I tyle.

Tej nocy, gdy miał nadejść nowy, 1977 rok, musiałem myśleć podobnie, gdyż nagle zacząłem sobie wyobrażać, co w tej chwili robią Zaim, Sibel, Mehmet, Tayfun, Faruk Szczur i inni (Zaim zainstalował w letnim domu piecyki elektryczne, kazał dozorecy napalić w kominku i urządził huczną imprezę dla wszystkich).

— Kemalu, wypadło dwadzieścia siedem, masz przecież ten numer! — zawołała Fiisun. Zorientowała się, że nie zwracam uwagi na grę, i sama położyła na mojej karcie ziarenko fasoli. — Wróć na ziemię! — dodała, przez moment spoglądając mi w oczy z uwagą, obawą, a może i z czułością.

Właśnie w tym celu, by dostrzec w jej oczach owo zainteresowanie, odwiedzałem Keskinów. Byłem niezwykle szczęśliwy.

Ale nie przyszło mi łatwo osiągnąć ten stan. Aby nie sprawić przykrości matce i bratu, a także ukryć przed nimi, że zamierzam spędzić sylwestra w **Cukurcumie**, najpierw zjadłem z nimi kolację w domu. Potem moi bratankowie, synowie Osmana, zaczęli nalegać: „Chodź, zagrajmy w loteryjkę!”, zagrałem więc z nimi jedną kolejkę. Podczas wspólnej partii loteryjki uchwyciłem spojrzenie Berrin, która podejrzewając fałsz tej rodzinnej idylli, patrzyła na mnie, znacząco unosząc brwi, jakby mówiła: „No proszę, proszę, któż by pomyślał?”.

— Nic, po prostu sobie gramy — szepnąłem do niej.

Zaraz potem powiedziałem, że muszę iść na przyjęcie do Zaima. Nim wybiegłem z domu, napotkałem znowu spojrzenie Berrin — jej wzrok mówił tym razem: „mnie nie nabierzesz”, lecz nie dałem nic po sobie poznać.

Gdy **Cetin** szybko wiozł mnie do Keskinów, byłem podniecony i szczęśliwy. Z pewnością spodziewają się mnie na kolacji. To ja pierwszy wspomniałem o wspólnym spędzeniu sylwestra — zostawszy kiedyś sam na sam z ciocią Nesibe, powiedziałem, że na pewno przyjdę. Miało to oznaczać: „niech Fiisun tego wieczoru nie idzie z mężem bawić się z przyjaciółmi”. Zdaniem cioci bowiem, skoro ja z takim oddaniem wspieram ich marzenia o filmie, czuję tak silną więź z ich rodziną, wychodzenie Fiisun z domu w wieczory, gdy przychodziłem z wizytą, było zachowaniem bardzo nieładnym, a do tego dziecinnym. To, że Feridun wychodził, ciocia również uważała za dziecinadę, ale skoro nikt nie protestował, zbywała milczeniem jego nieobecność, był dla niej zresztą po prostu dzieciakiem — tak o nim mówiła.

Wychodząc z domu, zabrałem kilka upominków, które moja matka jak co roku przygotowała jako fanty dla zwycięzców noworocznej loteryjki. Gdy tylko wbiegłem do Keskinów na górę, wyjąłem je z plastikowej torby — oczywiście najpierw



przeżywszy jak zawsze radość ze spojrzenia w oczy Fiisun — i wołając „Nagrody dla zwycięzców!”, położyłem paczuski na brzegu stołu. Ciocia Nesibe też przygotowała różne drobiazgi. Wymieszaliśmy wszystkie razem. Tego wieczoru bawiliśmy się tak wspaniale, że gra w loteryjkę stała się naszym stałym sylwestrowym zwyczajem.

Oto zestaw do gry, którego używaliśmy u Fiisun każdego z ośmiu kolejnych sylwestrowych wieczorów... (W naszym domu również był taki zestaw — od końca lat pięćdziesiątych do końca dziewięćdziesiątych mama w noc poprzedzającą Nowy Rok zabawiała nim najpierw mnie, brata i naszych kuzynów, a potem wnuki). Gdy wieczór dobiegł końca i gra się skończyła, fanty zostały rozdane, a senne dzieci zaczynały ziewać, ciocia Nesibe składała zestaw do gry. Robiła to dokładnie tak samo jak moja matka: przeliczała losowane z welurowego woreczka drewniane cyferki (dziewięćdziesiąt sztuk), zbierała karty z numerkami w plik i przewiązywała wstążeczką, do innego woreczka wrzucała fasolki, których używaliśmy do oznaczania wylosowanych cyfr, po czym chowała wszystko aż do następnego sylwestra.

Gdy po latach staram się z całą szczerością opowiedzieć o mojej miłości, pokazać każdy szczegół mych przeżyć, dochodzę do przekonania, że noworoczna gra w loteryjkę wiele mówi o atmosferze tamtych niezwykłych, magicznych lat. W tę grę, zwaną we Włoszech tombolą, mieszkańcy Neapolu grywali w wieczór wigilijny. Po reformie kalendarza dokonanej przez Atatiirka, za pośrednictwem Lewantyńczyków i Włochów, stała się, podobnie jak wiele innych noworocznych zwyczajów, popularna w całym Stambule, a wkrótce zyskała status tradycyjnej sylwestrowej rozrywki. W latach osiemdziesiątych do gazet dołączano jako prezent dla czytelników zrobione z kartonu tanie zestawy do gry z plastikowymi cyferkami. Niemal na

każdym rogu ulicy stał człowiek z czarnym workiem w rękę, oferując nielegalną grę, w której można było wygrać amerykańskie papierosy lub whisky z przemytu. Za pomocą specjalnie spreparowanych zestawów oszuści wyciągali pieniądze od zawsze gotowych spróbować szczęścia przechodniów. Właśnie w okresie, gdy zacząłem regularnie odwiedzać Fiisun, słowo „*tombala*”, czyli loteryjka, nabrało w języku tureckim znaczenia „losowanie, zdawanie się na ślepy los”.

Wybrałem tu kilka przykładów rozmaitych fantów, jakie moja matka i ciocia Nesibe przygotowywały na sylwestrowy wieczór na nagrody dla zwycięzców. Opiszę je teraz szczegółowo, jak przystało na zapalonego muzealnika, ciesząc się, że mogę moją własną historię przedstawić jako dzieje przedmiotów.

Obie, i ciocia Nesibe, i moja matka, co roku umieszczały wśród fantów do wygrania chusteczkę do nosa dla dziewczynki. Czy miało to oznaczać, że gra w loteryjkę jest zabawą dla małych dziewczynek, lecz w sylwestra także my, dorośli, mamy prawo cieszyć się jak dzieci? Jeśli ta przeznaczona dla dziecka nagroda przypadła komuś starszemu, mówił: „Ach, właśnie takiej chusteczki potrzebowałem!”. Tak było w naszym domu, gdy byłem mały. Wypowiadając te słowa, ojciec i jego koledzy mrugali do siebie porozumiewawczo, tak jak wtedy gdy w obecności dzieci użyli jakiegoś dwuznacznego wyrażenia. Dostrzegałem ich znaki i złościło mnie, że dorośli grają w loteryjkę nie całkiem na poważnie. Podczas partii rozgrywanej w sylwestra roku 1982 jako pierwszy zapełniłem kartę i radośnie jak dziecko zawołałem „*tombalal!*”<sup>\*</sup>.

— Gratulacje, Kemal — powiedziała ciocia i wręczyła mi tę oto chusteczkę. — Miała ją Fiisun, gdy była mała — dodała

<sup>\*</sup> W grze w loteryjkę okrzyk „*tombala!*” wznosi osoba, która pierwsza zapełni kartę do gry wylosowanymi numerami.

zupełnie poważnie. Owego wieczoru zrozumiałem, że w domu Keskinów gra się na serio, bez ironicznego dystansu, z taką samą niewinnością i zaangażowaniem jak uczestniczące w grze dzieciaki z sąsiedztwa. Być może Fiisun, ciocia Nesibe i wujek Tank odrobinę tę powagę udawali, ja jednak byłem absolutnie szczerzy. Proszę, by czytelnicy i zwiedzający muzeum, którym wydaje się, że o swej miłości do Fiisun i o tym, co ona ze mną zrobiła, opowiadają nieco żartobliwie, z lekką drwiną, nie zapominając, że tamte wydarzenia przeżywałem szczerze, bez ukrytych intencji, niewinnie jak dziecko.

Wśród fantów matka zawsze umieszczała kilka par dzieciennych skarpetek, my jednak uważaliśmy, że nie są to prezenty, tylko przydatne rzeczy, które i tak trzeba było kupić. Odbierało to fantom upominkowy charakter, ale po pewnym czasie zaczynaliśmy patrzeć na skarpetki, chustki, moździerz, w którym w kuchni tłukło się orzechy, czy kupione u Alaaddina plastikowe grzebienie jak na cenne wygrane. U Keskinów wszyscy, nawet dzieci, cieszyli się nie ze zdobytych skarpetek, lecz z samego zwycięstwa. Teraz, po latach, sądzę, że działa się tak dlatego, iż przedmioty w tym domu nie należały do poszczególnych członków rodziny, lecz jakby do niej całej, do wszystkich domowników, choć być może nie do końca tak było. Zawsze przecież czułem, że tam na górze jest sypialnia, którą Fiisun dzieli z mężem, jej szafa, jej osobiste rzeczy; często wyobrażałem sobie ten pokój, sprzęty w nim, ubrania Fiisun. Aby o tym nie myśleć, w wieczór sylwestrowy grałem razem z wszystkimi w loteryjkę. Czasami, gdy wypiuwszy dwie szklaneczki *raki*, siedziałem z Keskinami przy stole, miałem wrażenie, że oglądamy telewizję po to, by poczuć się niewinni, tak samo jak wtedy, gdy graliśmy w loteryjkę.

Jeśli podczas gry lub oglądania telewizji w zwykły, spokojny wieczór chowałem do kieszeni jakąś rzecz należącą do Kęski-

nów (na przykład jedną z licznie gromadzonych przeze mnie łyżeczek, noszących zapach dłoni Fiisun), poczucie dziecięcej niewinności zanikało we mnie na jakiś czas. Czułem się wtedy wolny i wiedziałem, że mogę wyjść, kiedy zechcę.

W sylwestra 1980 roku jako fant na loterię nieoczekiwanie przyniosłem starodawną szklanekę, pamiątkę po dziadku Ethemie, z której piliśmy z Fiisun whisky podczas naszego ostatniego spotkania przed moimi zaręczynami. Wszyscy wiedzieli, że chowam do kieszeni i zabieram różne drobiazgi, a na ich miejsce przynoszę inne, ładniejsze i kosztowniejsze, godzili się z tym, lecz zbywali tę sprawę, tak jak moją miłość do Fiisun, kompletnym milczeniem. Wtedy też nikt nie zareagował, gdy wśród skarpetek, długopisów, mydełek i innych drobiazgów znalazł się cenny przedmiot, jeden z tych, które można było znaleźć u słynnego handlarza antykami, Rafiego Portakala. Szklanekę wygrał wujek Tank i zaraz podarował ją cioci, ja zaś poczułem się głęboko rozczarowany, że Fiisun zupełnie nie zwróciła uwagi na tę pamiątkę najbardziej bolesnych dni naszej miłości. Nie pamiętała jej, a może, zirytowana moją śmiałością (tego sylwestra Feridun spędził z nami), udawała, że jej nie dostrzega?

Przez kolejne trzy i pół roku, ilekroć wujek brał szklanekę do ręki, by napić się z niej *raki*, usilnie pragnąłem przypomnieć sobie ten ostatni raz, gdy kochałem się z Fiisun, lecz siedząc przy stole u Keskinów, nie byłem w stanie tego zrobić, zupełnie jak dziecko, które nie śmie nawet pomyśleć o zakazanych rzeczach.

To, jak silnie przedmioty na nas oddziałują, zależy nie tylko od ilości wiążących się z nimi wspomnień, lecz także od naszej wyobraźni i zdolności przypominania sobie. Te mydełka z Edirne, w kształcie winogron, jabłek, moreli i truskawek, na które w innych okolicznościach nie zwróciłbym uwagi, uzna-

jąc je za tandetne i kiczowate, były fantami na loterię i jako takie stanowiły cenną pamiątkę magicznych chwil spędzonych u Keskinów, być może najpiękniejszych momentów w moim życiu. Jestem szczerze przekonany, że te odczucia nie należą tylko do mnie, że dzięki tym przedmiotom także odwiedzający moje muzeum będą mogli poczuć to samo.

Jako jeszcze jeden dowód eksponuję w tym miejscu bilety Noworocznej Loterii Państwowej z tamtych lat. Ciocia Nesibe, dokładnie tak samo jak moja matka, zawsze kupowała jeden bilet na noworoczne losowanie i umieszczała wśród fantów. I u nas, i u Keskinów do tego, komu się trafił, pozostali gracze wołali jednocześnie, niemal chórem: — Och, ale szczęściarz z ciebie... Zobaczysz, jeszcze wygrasz główną nagrodę!

Pomiędzy 1977 a 1984 rokiem bilet na loterię dziwnym zrządzeniem losu sześciokrotnie przypadał Fiisun. Lecz w losowaniach, których wyniki podawano jeszcze tego samego wieczoru w radiu i telewizji, nie wygrała nigdy żadnej nagrody ani nawet zwrotu kosztów. Zarówno u nas, jak i u Keskinów (zwłaszcza gdy wujek Tank grał z gośćmi w karty) temu, kto przegrywał, przytaczano na pocieszenie, jednocześnie lekko z niego drwiąc, pewne powiedzenie na temat hazardu, fortuny i życia: kto nie ma szczęścia w kartach, ten ma szczęście w miłości. Powtórzyłem je po pijanemu i kompletnie bezmyślnie w Nowy Rok 1982, gdy podczas losowania, przeprowadzanego w obecności notariusza z Ankary i transmitowanego na żywo przez telewizję, okazało się, że Fiisun znów nic nie wygrała.

— Skoro ma pani pecha na loterii, pani Fiisun — powiedziałem, naśladując dystyngowanych bohaterów angielskich filmów — dopisze pani szczęście w miłości!

— Jestem tego całkowicie pewna! — odparowała bez namysłu.

Pod koniec 1981 roku byłem przekonany, że pokonałem prawie połowę przeszkód stojących przed naszą miłością, dlatego uznałem jej słowa za żart, lecz już następnego ranka, w pierwszy dzień 1982 roku, gdy w towarzystwie matki jadłem śniadanie, z przerażeniem pomyślałem, że słowa Fiisun mogły mieć zupełnie inny sens. Kpiący ton w jej głosie wskazywał, że „szczęście” nie oznacza w jej ustach bynajmniej rozstania z mężem i powrotu do mnie.

Potem jednak doszedłem do wniosku, że dałem się ponieść zbyt wybujałej fantazji. Tym, co skłoniło Fiisun (i mnie także) do bezsensownej, dwuznacznej potyczki słownej, było z pewnością stale powtarzane powiedzenie, wskazujące na związek między miłością a hazardem. Losowania Loterii Państwowej, noworoczne partie loteryjne i gier w karty, wielkie ogłoszenia o balach w restauracjach i nocnych lokalach sprawiały, że noc sylwestrowa nabierała charakteru masowej hulanki, podczas której alkohol lał się strumieniami i powszechnie oddawano się hazardowi, co ostro krytykowały konserwatywne gazety, takie jak „Milli Gazetę”, „Terciiman” czy „Hergiin”. Nawet moją matkę raziło, że niektóre bogate muzułmańskie rodziny z Şişli, Nişantaşı oraz Bebeku przystrajają przed Nowym Rokiem choinki, tak jak w filmach robią to chrześcijanie na Boże Narodzenie, choć postępujących w ten sposób naszych znajomych nie określała — w przeciwieństwie do konserwatywnej prasy — mianem „bezwstydných” czy „niewierných”, mówiła o nich raczej: „bezmyślni”. — Mamy tak niewiele lasów... Szkoda niszczyć nasze sosny! — powiedziała pewnego razu przy stole do młodszego z synów Osmana, który domagał się choinki.

Niektórzy ze sprzedawców biletów na loterię, tysiącami krążących po ulicach przed Nowym Rokiem, przebierali się za Mikołajów i zapuszczali do bogatych dzielnic. Któregoś grudniowego dnia 1980 roku, pod wieczór, wyszedłem z domu,

by poszukać fantów na sylwestrową partię loteryjki w domu Fiisun i po drugiej stronie ulicy ujrzałem grupę licealistów wyśmiewających się ze sprzedającego bilety Świętego Mikołaja, poszturchujących go i ciągnących za brodę z waty. Gdy podszedłem bliżej, zorientowałem się, że pod przebraniem kryje się dozorca z domu naprzeciwko — dręczony przez łobuzów pan Haydar stał w milczeniu, z wachlarzem biletów w rękę i wzrokiem wbitym w ziemię. Kilka lat później w cukierni hotelu Marmara w Taksimie, gdzie wystawiono wielką choinkę, islamiści podłożyli bombę, co było aż nazbyt widocznym dowodem nienawiści, jaką konserwatywne kręgi żywiły wobec połączonych z hazardem i alkoholem noworocznych rozrywek. W domu Keskinów sprawa eksplozji wywołała nie mniejsze poruszenie niż tancerka brzucha z sylwestrowego programu telewizji państwowej. Owego wieczoru wszyscy przy stole z wielką ciekawością oczekiwaliśmy na występ słynnej Sertap i gdy pojawiła się na ekranie, przeżyliśmy, podobnie jak większość widzów w całym kraju, ogromny zawód. Kierownictwo telewizji nakazało bowiem tancerce zasłonić zgrabne i giętkie ciało ciężkim, wielowarstwowym strojem, spod którego nie było widać nawet nóg, nie mówiąc już o brzuchu — jej znaku firmowym — czy piersiach.

— Powinni byli jeszcze owinąć dziewczynę czarną płachtą, pajace! — oburzył się wujek Tank, który na ogół rzadko irytował się przed telewizorem i w przeciwieństwie do nas nie rzucał złośliwych uwag pod adresem tego, co się działo na ekranie, nawet jeśli sporo wypił.

W niektóre lata jako fant na loterię przynosiłem cioci Nesibe kalendarz z kartkami do zrywania, kupiony w sklepiku Alaadina. W roku 1981 kalendarz wygrała Fiisun i na moją prośbę zawieszono go na ścianie między telewizorem a drzwiami do kuchni, lecz gdy mnie nie było, nikt nie fatygował się, by zry-

wać z niego kartki, choć na każdej widniały: wiersz dnia, kalendarium historyczne, godziny modlitwy (dla nie umiejących czytać i pisać oznaczone również rysunkami zegara), a także jadłospis na dany dzień, z przepisami na różnego rodzaju dania, dowcip lub anegdota oraz jakaś sentencja.

— Ciociu Nesibe, znów ciocia zapomniała zerwać kartkę z kalendarza — mówiłem, gdy na zakończenie programu żołnierze szli gęsiego spuścić flagę z masztu, *raki* została wypita i zbliżała się pora powrotu do domu.

— Kolejny dzień minął — zamyślał się wujek Tank. — Bogu dzięki, nie cierpimy głodu, mamy dach nad głową... Czegóż człowiekowi więcej w życiu trzeba?!

Te słowa wujka, wypowiedane zawsze na koniec wieczoru, tak mi jakoś przypadły do gustu, że choć niezerwane kartki zauważałem od razu po przyjeździe, mówiłem o tym głośno dopiero pod koniec wizyty.

— A ponadto jesteśmy z tymi, których kochamy — dodawała ciocia i całowała Fiisun, a jeżeli tej nie było w pobliżu, wołała: — Chodź, moja ty niesforna córeczko, chodź, mamusia cię przytuli.

Czasami Fiisun udawała wtedy małą dziewczynkę, siadała matce na kolanach, a ta głaskała ją po głowie, ramionach, policzkach, tuliła i całowała. Niezmiennie wzruszał mnie ten pokaz miłości, prezentowany niezależnie od tego, czy żyły w zgodzie, czy też akurat o coś się pokłóciły. Gdy okazywały sobie czułość, Fiisun nawet nie zerknęła w moją stronę, choć dobrze wiedziała, że nie odrywam od niej wzroku. Lecz sam widok matki i córki nastrajał mnie tak pogodnie, że bez trudu mogłem wstać i wyjść.

Bywało też tak, że na dźwięk słowa „kochany” nie Fiisun siadała na kolanach u matki, lecz Ali, mały synek sąsiadów, wdrapywał się na kolana Fiisun, która przytulała go i pieściła,



aż w końcu mówiła: — Idź już, twoi rodzice są potem źli na nas, że cię tak długo zatrzymujemy!

Czasem Fiisun pokłóciła się rano z matką i gdy ta wołała ją, odpowiadała zirytowana: — Oj, maaamo, daj spokój! — Wtedy ciocia Nesibe prosiła: — Zerwij kartkę z kalendarza, żeby się nam daty nie myliły! — Fiisun odzyskiwała wtedy dobry humor i zerwawszy kartkę, z uśmiechem odczytywała z niej na głos wiersz dnia lub przepis na potrawę. Ciocia Nesibe mówiła wtedy: — Tak, prawda, zrobimy *hoşaf*\* z rodzynkami i pigwą, tak dawno tego nie jedliśmy! — Albo: — Tak, pojawiły się już karczochy, są jednak jeszcze za małe, by wyszło z nich to danie. — Czasem zadawała pytanie, które budziło we mnie niepokój: — Zjedlibyście *borek* ze szpinakiem, gdybym go zrobiła?

Jeśli wujek Tank nie odpowiadał, bo nie dostyszał pytania albo był właśnie pogrążony w melancholijnych rozmyśleniach, Fiisun też się nie odzywała i obserwowała mnie uważnie. Wiedziałem, że robi tak z rozmysłem, gdyż jest pewna, że nie będę w stanie powiedzieć cioci, co ma zrobić na kolację, jakbym był członkiem rodziny Keskinów.

— Fiisun uwielbia *borek*, na pewno chętnie go zje! — udało mi się wybrnąć z trudnej sytuacji.

Niekiedy o zerwanie kartki prosił Fiisun wujek, chcąc jednocześnie, by przeczytała mu, jakie ważne wydarzenia zaszły danego dnia w przeszłości.

— 3 września 1658 roku armia osmańska przystąpiła do oblężenia twierdzy Doppio — czytała Fiisun. Albo: — 26 sierpnia 1071 roku po bitwie pod Manzikertem wrota Anatolii stanęły przed Turkami otworem.

— Daj no mi tę kartkę — mówił wujek. — Nieprawidłowo napisali Doppio. Masz, przeczytaj motto na dziś...

\* *Hosaf*— deser przypominający kompot z suszonych owoców i rodzynków.

— Dom człowieka jest tam, gdzie ma pełny brzuch i gdzie bije jego serce — w głosie Fiisun pobrzmiwał żartobliwy ton, lecz gdy nagle spotkaliśmy się wzrokiem, natychmiast spoważniała.

Na moment wszyscy zamilkli, jakby rozmyślali nad głębszym znaczeniem tych słów. Nieraz u Keskinów było mi dane przeżyć chwile takiej magicznej ciszy, gdy zaczynałem zastanawiać się nad sensem życia, celem naszej egzystencji na tym świecie, zadawać sobie pytania, które w innym miejscu nawet przez myśl by mi nie przeszły, a jednocześnie siedziałem przy stole i w zamyśleniu patrzyłem w ekran telewizora lub gawędząc o tym i owym z wujkiem, zerkałem kątem oka na Fiisun. Uwielbiałem te niezwykle momenty, pozwalające mi poznawać tajemnicę życia, i z upływem miesięcy czy lat coraz wyraźniej dostrzegałem, że to miłość do Fiisun czyni je tak głębokimi i wyjątkowymi. Dlatego skrupulatnie gromadziłem przedmioty, które przypominały mi o tych chwilach. Tamtego dnia, gdy Fiisun po przeczytaniu odłożyła kartkę z kalendarza, sięgnąłem po ten kawałek papieru pod pretekstem rzucenia nań jeszcze raz okiem i udało mi się niepostrzeżenie schować go do kieszeni.

Oczywiście nie zawsze miałem tyle szczęścia. Nie będę wydłużał mej opowieści i czynił jej komiczną, rozwodząc się nad trudnościami, jakie napotykałem, przywłaszczając sobie różne drobiazgi ze stołu i domu Keskinów. Wspomnę tylko o sytuacji, która zdarzyła się w pierwszy dzień 1982 roku: już miałem wyjść, zabierając ze sobą chusteczkę, wygraną jako fant, gdy podszedł do mnie Ali, syn sąsiadów, którego uwielbienie dla Fiisun rosło z każdym dniem, i powiedział jakby nieco mniej buńczucznie, niż to miał w zwyczaju:

— Panie Kemal, ta chusteczka, co ją pan wygrał...

— Tak?

— Ta chusteczka Fiisun z dzieciństwa... Mógłbym ją jeszcze raz zobaczyć?

— Aliku, nie pamiętam, gdzie ją położyłem...

— Ja wiem! — zawołał chłopiec. — Ma ją pan w kieszeni. Musi tam być!

I już zamierzał po nią sięgnąć. Zrobiłem szybko krok do tyłu. Właśnie lunął deszcz i wszyscy zebrali się przy oknie, nikt więc nie usłyszał pytania chłopca.

— Mój mały, już późno, a ty jeszcze tu siedzisz. Mama i tata będą się gniewać.

— Już sobie idę, panie Kemal. Da mi pan chusteczkę Fiisun?

— Nie — odpowiedziałem, marszcząc gniewnie brwi. — Jest mi potrzebna.

## 59. POTYCZKI Z CENZURA

Wiele trudu i zabiegów kosztowało nas uzyskanie zgody Rady Cenzury na nakręcenie filmu. Ze wzmianek w prasie i zasłyszanych opowieści wiedziałem, że każdy pokazywany w kinach film, krajowy czy zagraniczny, musiał uzyskać jej aprobatę, ale jak wielką część wysiłku wkładanego w realizację filmu pochłaniały formalności związane z cenzurą, miałem się przekonać dopiero po założeniu Wytwórni „Cytrynka”. Gazety pisały na ten temat jedynie wtedy, gdy zakazywano rozpowszechniania jakiegoś filmu cenionego na Zachodzie i szeroko komentowanego w kraju. Tak było na przykład z *Lawrence'em z Arabii*, który za „szkalowanie tureckości” w ogóle nie trafił na ekrany, z *Ostatniego tanga w Paryżu* wycięto zaś wszystkie sceny erotyczne, czyniąc z niego iście „artystyczny”, nudny obraz.

Były wieloletni członek Rady, a jednocześnie współwłaściciel baru Pergamin i stały gość przy naszym stoliku, Hayati Marzyciel, oświadczył pewnego razu, że osobiście jeszcze bardziej niż Europejczycy wierzy w demokrację i wolność słowa, lecz nie godzi się (i nigdy nie zgodzi) na wykorzystywanie

sztuki filmowej i kina tureckiego, by oszukiwać nasz naiwny i łatwowierny naród. Hayati Marzyciel był też reżyserem i producentem, a w cenzurze pracował, jak sam twierdził, by „doprowadzać innych do szału” (podobnie zresztą jak wielu z bywalców baru). Przy tych słowach zawsze puszczał oko do Fiisun — było to dobrotliwe mrugnięcie krotochwilnego wujaszka, miało w sobie jednak coś prowokującego. Hayati Marzyciel wiedział, że jestem dalekim kuzynem, i nadskakiwał Fiisun dyskretnie, tak że mogłem to zaakceptować. Przydomek nadali mu bywalcy Pergaminu, bo nieustannie snuł plany nakręcenia różnych filmów (zajmował się właśnie tym oraz zbieraniem plotek, gdy krążył od stolika do stolika). Zawsze dosiadał się do Fiisun i patrząc jej głęboko w oczy, opowiadał ze szczegółami, o czym będzie jego kolejny wymarzony film, oraz prosił, by „bez zastanowienia i szczerze” powiedziała mu, „nie biorąc pod uwagę kwestii handlowych”, czy projekt się jej podoba.

— Bardzo interesujący temat — odpowiadała za każdym razem Fiisun.

— Gdy już przystąpimy do realizacji, musi pani koniecznie w nim zagrać — mówił po wielokroć Hayati, niezmiennie przybierając pozę człowieka, który we wszystkich sprawach kieruje się instynktem, głosem serca. — W gruncie rzeczy jestem twarde stąpającym po ziemi realistą — dodawał po chwili. Od czasu do czasu zwracał się też do mnie, lecz wyczuwałem, że robi tak dlatego, iż patrzenie wyłącznie na Fiisun i rozmawianie tylko z nią byłoby niegrzeczne. W odpowiedzi uśmiechałem się do niego przyjaźnie. Oboje z Fiisun zaczynaliśmy zdawać sobie sprawę, że upłynie jeszcze sporo czasu, nim będziemy mogli przystąpić do realizacji naszego filmu.

Zdaniem Hayatiego Marzyciela kino tureckie w zasadzie cieszyło się pełnią swobody, jeśli tylko nie pokazywało nieprzyzwoitych scen miłosnych i nie przedstawiało w niesto-

sownym ujęciu islamu, Ataturka, armii, duchownych, prezydenta, Kurdów, Ormian, Żydów i Greków. Czasem jednak sam przyznawał ze śmiechem, że to nieprawda. Albowiem od pół wieku pracownicy Rady Cenzury przywykli zakazywać rozpowszechniania nie tylko filmów godzących w interesy państwa i grupy trzymającej władzę, lecz także wszystkich innych, które z jakiegoś względu nie przypadły im do gustu, i podobnie jak Hayati Marzyciel, kierując się własnym widzi-misję i złośliwością, nadużywali swych uprawnień.

Pękaliśmy ze śmiechu, gdy Hayati Marzyciel, będący jednocześnie człowiekiem z poczuciem humoru, z lubością myśliwego, który zagonił niedźwiedzia do pułapki, opowiadał nam, pod jakimi pretekstami filmy trafiały na półkę. Na przykład komedia, której bohaterem był pewien stróż w fabryce, została zakazana, gdyż „w pogardliwy sposób pokazuje tureckich pracowników ochrony”, film o miłości kobiety posiadającej męża i dzieci do innego mężczyzny — „nie wykazuje szacunku należnego instytucji macierzyństwa”, wesołe przygody urwisa wagarowicza — „zniechęcają dzieci do nauki w szkole”. Jeżeli chcieliśmy nakręcić film i zależało nam na dotarciu do niewinnego tureckiego widza, musieliśmy zaprzyjaźnić się z członkami Rady Cenzury, którzy zaglądali do baru Pergamin i wszyscy bez wyjątku byli bliskimi znajomymi pana Hayatego. Wspominał o tym nieustannie, za każdym razem spoglądając na mnie, z czego wywnioskowałem, że chce zrobić wrażenie na Fiisun.

Nie byliśmy jednak w stanie stwierdzić, czy w kwestii uzyskania zgody Rady możemy zdać się na jego znajomości, gdyż pierwszy film, jaki nakręcił po upływie swojej kadencji, również trafił na półkę „z powodu pewnych osobistych animozji”. Na samo wspomnienie o tym Hayati wpadał w złość. Przez jedną scenę, gdy podczas kolacji ojciec rodziny, wypiwszy co

nieco, piekli się na żonę i dzieci, bo zabrakło octu do sałatki, nakręcony wielkim nakładem kosztów obraz nie trafił na ekrany pod pretekstem „ochrony rodziny — podstawowej komórki społecznej”.

Hayati Marzyciel tonem niewinnie skrzywdzonego tłumaczył nam, że tę i jeszcze dwie inne sceny kłótni, które też wzbudziły zastrzeżenia Rady Cenzury, wziął prosto z życia. Najbardziej złościło go to, że rozpowszechniania filmu zakazali jego dawni koledzy. Jeśli krążące opowieści były prawdziwe, pewnej nocy pił z nimi na umór, by w końcu z jednym z nich, tym, z którym znał się najdłużej, stoczyć nad ranem w bocznej uliczce bójkę na pięści. Rzekomo poszło o dziewczynę. Zgarnęła ich policja z posterunku w Beyoglu, ale żaden nie złożył skargi, bo policjanci przekonali ich, żeby się pogodzili. Hayati Marzyciel, by wprowadzić film do kin i uwolnić się od widma bankructwa, starannie wyciął wszelkie sceny mogące godzić w obraz rodziny, z wyjątkiem jednej, w której potężnie zbudowany starszy brat za namową matki-bigotki spuszcza łanie młodszemu — ta jedna scena za zgodą Rady Cenzury pozostała.

Hayati Marzyciel wyjaśnił nam, że pocięcie filmu przez cenzurę nie jest jeszcze najgorszą rzeczą, jaka może spotkać film — jeżeli pozwolą go pokazywać, a akcja da się zrozumieć, jest szansa przynajmniej na odzyskanie włożonych w jego realizację pieniędzy. Najstraszliwszą z możliwych katastrof byłby całkowity zakaz rozpowszechniania. By zapobiec tego rodzaju przypadkom, za radą mądrych tureckich producentów, do których się zaliczałem i już zaczynałem z tego powodu odczuwać dumę, mające dobre intencje państwo podzieliło działania cenzorskie na dwa etapy.

Najpierw należało przesłać Radzie scenariusz filmu, by zaakceptowała temat i poszczególne sceny. Oczywiście, podobnie jak we wszystkich dziedzinach, w których w Turcji

wymagane było uzyskanie przez obywatela od państwa jakiegoś pozwolenia, tak i tu wytworzyło się szerokie pole działania dla biurokracji i łapownictwa. W ślad za trudnościami mnożyły się zastępy pośredników, osób i całych spółek, którzy pomagali obywatelom pokonać labirynty urzędniczych formalności i uzyskać upragnione zezwolenie. Wiosną 1977 roku spędziliśmy z Feridunem długie godziny w biurze Wytwórni „Cytrynka”, siedząc, paląc papierosy i rozważając, kto mógłby najskuteczniej pomóc nam przeprowadzić przez cenzurę nasz *Błękitny deszcz*.

Był pewien bardzo lubiany, obrotny Grek o imieniu Demir i przyzwisku Maszyna do Pisania. Stosował technikę przygotowywania scenariusza, do którego cenzura nie mogłaby się przyczepić, polegającą na przepisaniu tekstu w swoim własnym stylu na swojej słynnej maszynie do pisania. Ten osobnik potężnej postury, były bokser (występował niegdyś w barwach Klubu Sportowego „Kurtuluş”), był jednocześnie bardzo wrażliwym, subtelnym człowiekiem. Jak nikt inny potrafił wygładzić wszelkie ostre kandy scenariusza, złagodzić konflikty między dobrym a złym, bogatym a biednym, robotnikiem a jego szefem, gwałcicielem a ofiarą, usunąć wszelkie mocne słowa, tak lubiane przez widzów, budzące jednak zastrzeżenia cenzury, i okrasić tekst cenionymi przez nią zwrotami o godle, ojczyźnie, Atatiirku i Bogu. Miał niesamowity talent do przeistaczania za pomocą humoru, lekkości i wdzięku najbardziej nawet wulgarnych, brutalnych momentów w niemal bajkowe obrazy. Wielkie wytwórnie, regularnie płacące członkom Rady za przychylność, podsyłały mu scenariusze, także te nie budzące żadnych zastrzeżeń, tylko po to, by Demir Maszyna do Pisania nadał im swój pełen magii i niewinnego, dziecięcego wdzięku rys.

Dowiedziawszy się, że obejrzone latem tureckie filmy zawdzięczają swój niezrównany poetycki klimat Demirowi



Maszynie do Pisania, pewnego dnia udaliśmy się we trójkę, zabierając ze sobą, zgodnie z sugestią Feriduna, także Fiisun, do domu „doktora od scenariuszy” w Kurtulug. Ujrawszy tam wiszący na ścianie i głośno tykający wielki zegar oraz dwie maszyny do pisania marki Remington, którym gospodarz zawdzięczał swój przydomek, poczuliśmy wyjątkową, wręcz magiczną atmosferę znaną z filmów. Pan Demir przyjął nas bardzo uprzejmie, powiedział, byśmy zostawili scenariusz — jeżeli przypadnie mu do gustu, przepisze go, doprowadzając do stanu akceptowanego przez cenzurę. Dodał jednak, że może to trochę potrwać, gdyż jest po prostu zavalony robotą — w tym miejscu wskazał najpierw na stopy teczek piętrzących się między półmiskami z kebabem i owocami, a potem na siedzące na drugim końcu wielkiego stołu swe mniej więcej dwudziestoletnie córki bliźniaczki o widocznych zza okularów sowych oczach krótkowidzów. „Są w tym lepsze ode mnie!” — pochwalił dziewczyny, które pomagały mu w przerabianiu scenariuszy. Jedna z nich, ta o nieco bardziej zaokrąglonych kształtach, rozpoznała Fiisun jako finalistkę konkursu piękności sprzed czterech lat, czym sprawiła jej wielką przyjemność, mało kto bowiem już o tym pamiętał.

Minęły jednak aż trzy miesiące, nim ta sama dziewczyna zwróciła przepisany i specjalnie dla Fiisun wygładzony scenariusz, nie szczędząc przy tym słów uznania i podziwu („Tata powiedział, że to prawdziwy artystyczny, europejski film”). Z naburmuszonej miny Fiisun i rzucanych przez nią od czasu do czasu gniewnych uwag łatwo wywnioskowałem, że ta zwłoka zupełnie jej się nie spodobała, co wykorzystałem, by **jej** uzmysłować, że Feridun nie należy do najszybszych w działaniu.

Podczas moich wizyt w **Cukurcumie** mieliśmy niewiele okazji, by porozmawiać na osobności, nie przy stole. Gdy wieczór

miał się ku końcowi, podchodziliśmy do klatki Cytrynki sprawdzić, czy ma pokarm, wodę i pokruszoną muszlę mątwy, którą tak chętnie dziobał (kupowałem mu ją na Bazarze Egipskim). Ale klatka była zbyt blisko stołu i trudno było tam nawiązać jakiś intymniejszy kontakt. Musielibyśmy szeptać albo przestać się przejmować, że inni słyszą.

Z czasem pojawiła się jeszcze jedna możliwość: gdy Fiisun nie szła do kina z koleżankami (większość z nich stanowiły panny lub młode mężatki), nie przesiadywała z Feridunem po lokalach lubianych przez filmowców, nie zajmowała się domem i pomaganiem matce przy wciąż przyjmowanych przez nią pracach krawieckich, w wolnych chwilach malowała „tak sobie” obrazki ptaków. „Tak sobie” to było jej określenie, ale za tym amatorskim z pozoru zajęciem wyczuwałem prawdziwą pasję i za to jeszcze mocniej ją kochałem.

Zaczęło się od wrony, która tak samo jak w kamienicy Zmiłowanie usiadła na balustradzie balkonu i nie odleciała, choć Fiisun podeszła do niej całkiem blisko. Ptak przylatywał jeszcze kilka razy i nie uciekał, zerkał jedynie czarnym, błyszczącym, świdrującym okiem. Wcale się nie bał, to Fiisun się go przestraszyła. Pewnego dnia Feridun zrobił wronie zdjęcie, które tu eksponuję. Fiisun kazała je wykadrować i powiększyć, po czym opierając się na pierwowzorze, namalowała akwarelami mój ulubiony obrazek. Następnie sportretowała gołębia, który także przyfrunął na balkon, oraz wróbla.

W dni, gdy Feriduna nie było w domu, przed kolacją lub w czasie dłuższej przerwy na reklamy, pytałem Fiisun: — Jak tam obrazki?

Jeżeli była w dobrym humorze, odpowiadała: — Chodź, pokażę ci. — Szliśmy wtedy do pokoju obok i wśród przyborów krawieckich cioci, nożyczek i rozrzuconych ścinków materiałów, które sprawiały wrażenie, że we wnętrzu panuje

bałagan, w mdłym świetle małego żyrandola razem oglądaliśmy najnowszy obrazek.

— Piękny, naprawdę piękny, Fiisun — chwaliłem szczerze jej dzieła i w tym samym momencie czułem nieprzepartą chęć dotknięcia jej, jej pleców, ręki. W sklepach papieżniczych z towarami z importu w Sirkeci kupowałem Fiisun ładne zagraniczne szkicowniki, papier i farby.

— Namaluję wszystkie gatunki ptaków w Stambule — mówiła. — Feridun sfotografował wróbla. On będzie następny. Lubię tak sobie malować. Myślisz, że na balkon mogłaby przylecieć sowa?

— Powinnaś zrobić wystawę — namawiałem ją.

— Chciałabym pojechać do Paryża i obejrzeć obrazy w muzeach.

Czasem jednak bywała zdenerwowana, bez humoru. Mówiła wtedy: — Ostatnio niczego nie namalowałam, Kemal.

Zdawałem sobie oczywiście sprawę, że jej rozdrażnienie bierze się stąd, iż nie zdołaliśmy nawet doprowadzić do końca sprawy scenariusza, nie mówiąc już o rozpoczęciu zdjęć. Niekiedy prowadziła mnie do pokoju obok, choć nie miała mi nic do pokazania, chciała po prostu poruszyć temat filmu.

— Feridunowi nie spodobały się poprawki Demira Maszyny do Pisania i zaczął pisać wszystko od nowa... — powiedziała któregoś razu. — Mówiłam mu, że szkoda czasu, powiedz mu, Kemal, by się pospieszył, zaczniemy wreszcie robić ten film!

— Powiem mu.

Trzy tygodnie później znów poszliśmy do pokoju obok. Fiisun skończyła portret wrony, teraz wzięła się do malowania wróbla.

— Naprawdę śliczny! — oświadczyłem, popatrzawszy przez dłuższą chwilę na jej dzieło.

— Kemal, jestem pewna, że miną jeszcze całe miesiące, zanim wreszcie zacniemy robić ten artystyczny film Feridu-

na — odezwała się niespodziewanie. — Cenzura nie wyda łatwo pozwolenia na coś takiego. Są podejrzliwi. A tymczasem przedwczoraj w Pergaminie dosiadł się do nas pan Muzaffer i zaproponował mi rolę. Feridun wspomniał ci o tym?

— Nie. Poszłicie do Pergaminu? Uważaj, Fiisun, te typy tam to istne głodne wilki.

— Nie martw się, i Feridun, i ja jesteśmy bardzo ostrożni. Masz rację, ale to naprawdę poważna propozycja.

— Czytałaś scenariusz? Chciałabyś zagrać?

— Scenariusza oczywiście nie czytałam, dopiero kiedy się zgodzę, każą go napisać. Chcą to ze mną omówić.

— Jaki ma być temat?

— Czy to ważne? Po prostu film o miłości, jakiś melodramat w stylu Muzaffera. Myślę, że powinnam się zgodzić.

— Nie spiesz się. To źli ludzie. Lepiej niech Feridun rozmawia z nimi w twoim imieniu. Kto wie, jakie mają intencje?

— Co masz na myśli, mówiąc „źli”?

Nie chciałem na ten temat dłużej rozmawiać, przygnębiony wróciłem szybko do stołu. Bez trudu mogłem sobie wyobrazić, że rola w komercyjnym melodramacie, nakręconym przez tak sprawnego reżysera jak Muzaffer, uczyniłaby Fiisun sławną na całą Turcję, od Edirne po Diayrbakir. Stłoczone w ogrzewanych węglowymi piecykami, dusznych salach kinowych tłumy, bezrobotni, wagarowicze, głodne miłości panie domu i wściekli samotni mężczyźni spragnieni kobiet byłiby z pewnością oczarowani urodą i wdziękiem Fiisun. Przyłapywałem się na myśli, że kiedy stanie się już, tak jak zawsze chciała, wielką gwiazdą, może traktować z góry nie tylko mnie, lecz także Feriduna, a być może porzuci nas obu. Nie uważałem jej bynajmniej za jedną z tych osób, które dla sławy i pieniędzy zrobią wszystko, nawet przehandlują brukowcom intymne szczegóły ze swego życia. Bywalcy baru Pergamin patrzyli na

nią jednak w taki sposób, że nie miałem wątpliwości, iż wielu z nich nasze zerwanie — użyłem tego słowa, bo pierwsze przyszło mi do głowy — nie tylko powitałoby z radością, ale wręcz chętnie by się do niego przyczyniło. Gdyby Fiisun stała się słynną gwiazdą, moja miłość do niej, niestety, jeszcze by wzrosła, tak samo zresztą jak i mój lęk przed jej utratą.

Do końca kolacji dostrzegałem w oczach Fiisun gniewne zniecierpliwienie, znów przekonując się, że zależy jej wyłącznie na karierze, nie na mnie czy na mężu, i to napawało mnie obawą, wręcz strachem. Już od dawna bowiem wiedziałem, że jeśli Fiisun ucieknie z poznanym w knajpie producentem czy sławnym aktorem i na oczach wszystkich zostawi mnie (i swojego męża również), poczuję ból wielokrotnie silniejszy niż ten, którego doznawałem latem 1975 roku.

Czy Feridun był świadom niebezpieczeństwa, jakie groziło nam obu? W pewnym stopniu zdawał sobie sprawę, że producenci kina komercyjnego chcą wciągnąć jego żonę w obcy mu, paskudny świat, dlatego przy każdej okazji ostrzegałem go w zawołany sposób i dawałem mu do zrozumienia, że jeśli Fiisun zacznie grywać w tych beznadziejnych melodramatach, artystyczny film, który planował nakręcić, straci wszelkie znaczenie. A potem, w domu, gdy zasiadałem w fotelu ojca i w samotności popijałem *raki*, zaczynałem się zamartwiać, czy aby nie za bardzo się otworzyłem przed Feridunem.

Na początku maja, gdy zbliżał się sezon kręcenia filmów, do Wytwórni „Cytrynka” przyszedł Hayati Marzyciel i zaczął opowiadać, że pewna młoda gwiazdka wylądowała w szpitalu po tym, jak pobił ją narzeczony, i dobrze by było, gdyby rolę po niej dostała Fiisun, gdyż dla takiej ładnej, dobrze ułożonej dziewczyny jak ona to niepowtarzalna okazja. Lecz Feridun, który doskonale znał moje obawy, grzecznie mu podziękował i propozycję odrzucił. Jak sądzę, nawet nie wspomniał o niej Fiisun...

## 61. WIECZORY W RESTAURACJI IDYLLA NAD BOSFOREM

Nasze starania, by trzymać Fiisun z dala od mężczyzn, którzy ilekroć pojawiała się w barze Pergamin, zbierali się wokół niej jak stado głodnych wilków i szakali, niekiedy nas wręcz bawiły. Redaktor plotkarskiej rubryki „Biały goździk”, którego czytelnicy pamiętają zapewne z zaręczynowego przyjęcia w Hiltonie, zamierzał napisać o Fiisun coś w stylu: „rodzi się nowa gwiazda”, natychmiast zareagowałem, wyjaśniając mojej ukochanej, że w żadnym razie nie można mu ufać, i odtąd bawiliśmy się z nim w ciuciubabkę, uciekając, gdy tylko próbował do nas podejść. Pełen czułych słów i górnolotnych wyrażań miłosny wiersz, dzieło dziennikarza-poety, powstałe na papierowej serwetce w chwili nagłego natchnienia, nigdy nie trafiło do rąk czytelnika, ponieważ za moją sprawą i pośrednictwem starego kelnera Tayyara wylądowało w koszu na śmieci. Gdy zostawaliśmy tylko we trójkę, opowiadaliśmy sobie te przygody (niektóre, nie wszystkie) i zaśmiewaliśmy się do łez.

W przeciwieństwie do większości spotykanych w Pergaminie i podobnych lokalach filmowców, dziennikarzy, aktorów,

którzy po alkoholu zaczęli uważać się nad sobą, Fiisun po drugim kieliszku ożywała się, weselała i dokazywała jak mała dziewczynka. Czasem miałem wrażenie, że cieszy się, bo znów wszyscy troje jesteśmy razem, jak latem, gdy chodziliśmy do letniego kina i restauracji nad Bosforem. Zmęczony plotkarską atmosferą panującą w Pergaminie, coraz rzadziej tam zaglądałem, a jeśli już, to starałem się chronić Fiisun przed bywałcami baru i przekonawszy ją i jej męża, zabierałem ich, nim zabawa dobiegła końca, prowadzonym przez **Cetina** chevroletem na kolację do którejś z restauracji nad Bosforem. Fiisun czasem była zła, że tak wcześnie wychodzimy z Pergaminu, ale potem, gawędząc w samochodzie z Cetinem, odzyskiwała dobry humor i była tak radosna, że nabierałem przekonania, iż najlepiej będzie, jeśli znów zaczniemy razem chodzić do restauracji — tak jak to robiliśmy latem 1976 roku. Musiałem jednak najpierw przekonać do tego Feriduna, ponieważ oczywiście nie mogliśmy nigdzie pójść tylko we dwoje z Fiisun, jak para zakochanych. A że nader trudno było go oderwać od filmowego towarzystwa, zaprosiłem któregoś razu ciocię Nesibe i pojechaliśmy do Sariyer zjeść *liifera* u Urcana.

Wujek Tarik bez oporów, a wręcz z wyraźną ochotą dołączył do nas i latem 1977 roku w tym samym składzie, w którym zimą oglądaliśmy telewizję w domu Keskinów, zaczęliśmy — zapakowawszy się wszyscy razem do samochodu prowadzonego przez **Cetina** — jeździć nad Bosfor do różnych restauracji. Chciałbym szczegółowo opisać te wyprawy, by dla zwiedzających muzeum stały się równie szczęśliwym wspomnieniem, jakim są dla mnie. Czyż celem tej powieści i muzeum nie jest opowiedzenie wspomnień najszczerzej jak to możliwe, tak aby również inni mogli odczuć nasze szczęście? Tamtego lata wspólna kolacja w jednej z winiarni nad Bosforem w krótkim czasie stała się dla nas przyjemnym rytuałem. W następnych

latach, bez względu na to, czy było lato, czy zima, często — przynajmniej raz w miesiącu — wsiadaliśmy do samochodu i jechaliśmy jak na wesele, wśród śmiechu i wesołych okrzyków, do restauracji albo do jednego z renomowanych nocnych klubów, by posłuchać dawnych ulubionych piosenek wujka Tanka. Kiedy indziej napięcia między mną a Fiisun, niepewne sytuacje, problemy z naszym nadal nie nakręconym filmem sprawiały, że na jakiś czas zapominaliśmy o przyjemności płynącej z tych wypraw, lecz gdy w końcu znów wszyscy razem pakowaliśmy się do samochodu, dostrzegałem, jak dobrze się razem bawimy, jak przywykliśmy do swojego towarzystwa i jak bardzo się lubimy.

W owych czasach najbardziej popularnym miejscem stambulczyków na podobne wypadki była Tarabya, gdzie tłumy ludzi przewalały się chodnikami wzdłuż położonych jedna obok drugiej winiarni, między ustawionymi na ulicy stolikami krążyli sprzedawcy biletów na loterię, małży i migdałów, lodziarze, uliczni fotografowie dostarczający zdjęcia w ciągu godziny, a w większości lokali grały niewielkie zespoły muzyczne i piosenkarze śpiewali tradycyjne tureckie piosenki (wówczas nie spotykało się tam jeszcze ani jednego turysty). Ciocia Nesibe z podziwem patrzyła na kelnerów, którzy z tacami pełnymi półmisków meze\* zręcznie lawirowali między samochodami jadącymi wąskim pasem jezdni dzielącym lokale i stoliki.

Chodziliśmy do względnie skromnej restauracji o nazwie Idylla. Lokal ten, który odwiedziliśmy już podczas naszego pierwszego wspólnego wypadu nad Bosfor, bo tylko tam były wolne miejsca, bardzo spodobał się wujkowi Tankowi, gdyż można w nim było posłuchać „za darmo i z daleka” piosenek,

\* *Meze* — przekąski.



których dźwięki dochodziły ze znajdującego się tuż obok eleganckiego nocnego klubu Klejnot. Podczas następnej wizyty zaproponowałem, byśmy poszli do Klejnotu, żeby lepiej widzieć występy piosenkarek.

— W żadnym razie, Kemal, szkoda pieniędzy na tę beznadziejną orkiestrę i baby skrzeczące jak sroki! — obruszył się wujek, lecz podczas kolacji z uwagą — czasem z przyjemnością, czasem z irytacją — wsłuchiwał się w dochodzącą z sąsiedztwa muzykę, głośno poprawiał fałszywe tony „artystek, co ani głosu, ani słuchu nie mają”, pokazywał, że lepiej zna teksty, wyśpiewując je do końca, nim zdążyła to zrobić piosenkarka, po trzeciej zaś szklaneczce *raki* ogarnęło go głębokie wzruszenie i z zamkniętymi oczami melancholijnie kiwał głową w takt muzyki.

Gdy wyruszyliśmy nad Bosfor, nasze rytuały, role, jakie zazwyczaj odgrywaliśmy podczas wieczorów spędzanych w domu, jakby pozostawały w Cukurcumie, choć oczywiście tylko do pewnego stopnia. Ale mogłem na przykład siedzieć tuż obok Fiisun, co w domu nie było możliwe, i właśnie z tego względu tak lubiłem wypadły do restauracji. W tłumie nikt nie widział, że moje ramię stale dotyka jej ramienia; gdy ojciec Fiisun słuchał muzyki, a matka wpatrywała się w światła migocące w mglistym mroku, my w otaczającym nas zgiełku szeptaaliśmy sobie na ucho, wymienialiśmy uwagi o tym i owym, o smaku potraw, pięknym widoku, o tym, jaki jej ojciec jest sympatyczny — zupełnie jak dwoje nieśmiałych młodych ludzi, którzy dopiero co się poznali i próbują ze sobą flirtować. Fiisun, która zawsze krępowała się palić w obecności ojca, nad Bosforem wypalała jednego papierosa za drugim, wydmuchując ostentacyjnie kłęby dymu, jak pewna siebie, niezależna Europejka. Próbowaliśmy szczęścia, kupując losy od sprzedawców w ciemnych okularach, a gdy okazywały się

puste, patrzyliśmy na siebie porozumiewawczo, mówiąc: „Kto nie ma szczęścia w kartach...”, po czym najpierw robiło nam się głupio, a potem czuliśmy się szczęśliwi.

Źródłem tego szczęścia było nie tylko wyrwanie się z czterech ścian domu, wino jak w strofach klasycznej poezji, przebywanie u boku ukochanej osoby, lecz także znajdowanie się wśród gwarne go tłumu wypełniającego ulice. Gdy korkowała się droga nad Bosforem i przeciskające się między knajpami a stolikami samochody stawały, ich kierowcy i klienci restauracji wdawali się w gwałtowne sprzeczki: „Co się gapisz na moją dziewczynę?”, „Rzuciłeś na mnie niedopałek przez okno!”. Późno w nocy pijacy zaczęli śpiewać, przy stołach rozbrzmiewały oklaski, padały słowne zaczepki. Gdy reflektory samochodów oświetliły połyskujący od cekinów strój i opalone ciało tancerki brzucha, która biegła na występ z jednej knajpy do drugiej, powietrze przeszywał ogłuszający ryk klaksonów, porównywalny jedynie z wyciem okrętowych syren 10 listopada, w rocznicę śmierci Atatürka. Aż nagle w gorącą letnią noc wiatr zmieniał kierunek, podrywał tumany kurzu i drobnego piasku pokrywającego rzucone na kamienne nabrzeże łupinki od pestek słonecznika i orzechów, ogryzione kaczany kukurydzy, skórki melonów i arbuźów, strzępy gazet, kapsle od butelek, ptasie guano, plastikowe torebki, dawał się słyszeć gwałtowny szelest liści drzew po drugiej stronie drogi, i ciocia Nesibe, starając się zakryć dłońmi talerz, wołała: — Uważajcie, dzieci, żeby wam piasku nie nasypało do jedzenia! — A potem wiatr znowu zmieniał kierunek i podmuchy *poyrazu* przynosiły pachnące jodem chłodne powietrze znad Morza Czarnego.

Gdy wieczór miał się ku końcowi, od niektórych stolików dochodziły odgłosy kłótni o zbyt wysoki rachunek, od innych piosenki, a moje i Fiisun ręce, ramiona, nogi coraz częściej

i silniej przywierały do siebie, splątywały się ze sobą, tak że ze szczęścia niemal traciłem zmysły. Zatrzymałem wtedy ulicznego fotografa i prosiłem, by zrobił nam zdjęcie, albo kazałem Cygance wróżyć nam wszystkim z ręki. Czasem wydawało mi się, że dopiero co poznałem Fiisun. Siedziała tuż obok mnie, dotykałem jej ręki i patrząc na świetlisty księżyc w pełni, pogrążałem się w marzeniach o naszym ślubie, aż nagle, wypiwszy jeszcze jedną szklaneczkę **raki** z lodem, czułem seksualne podniecenie, lecz nie wpadałem w zakłopotanie, wręcz przeciwnie, zdawałem się sam sobie niewinny, wolny od winy i grzechu jak nasi praojcowie w raju — i nie tylko ja, wszyscy byliśmy niewinni — oddawałem się wtedy marzeniom i pozwalałem, by ogarnęła mnie błogość, szczęście bycia blisko Fiisun.

Sam nie wiem, dlaczego tu, wśród tłumu, pod **okiem** jej rodziców, mogliśmy się do siebie zbliżyć bardziej niż kiedykolwiek w **domu** w **Cukurcumie**. Wiedziałem wtedy z całą pewnością, że stanowilibyśmy zgraną parę, jak to określała kolorowa prasa, że byliśmy dla siebie stworzeni. Obydwoje to czuliśmy. Wciąż pamiętam, **jakim** szczęściem przepełniały mnie chwile, gdy w trakcie uroczej pogawędki o tym i owym Fiisun pytała mnie: „Może spróbujesz tego?“, i nadziawszy na swój widelec kawałek kotlecika czy jedną z oliwek, których pestki eksponują w tym miejscu, podawała mi wprost do ust smakołyk ze swojego talerza. Innym razem, odwracając się do tyłu na swoich krzesłach, wdaliśmy się w długą, przyjacielską rozmowę z podobną do nas parą (szatyn koło trzydziestki i dwudziestoletnia dziewczyna, brunetka o jasnej cerze) przy sąsiednim stoliku.

Tego samego wieczoru natknąłem się na Mehmeta i Nurcihan, którzy właśnie wychodzili z klubu Klejnot, i nie wspominając słowem o wspólnych znajomych, przeprowadziliśmy

na stojąco poważną dyskusję na temat, która z otwartych o tej porze lodziarni nad Bosforem jest najlepsza. Żegnając się, wskazałem z daleka na Fiisun i jej rodziców wsiadających do chervoleta, którego drzwi otwierał im **Cetin**, i oświadczyłem, że zabrałem dalekich krewnych na przejażdżkę. Tym, którzy będą zwiedzać moje muzeum, muszę wyjaśnić, że w latach pięćdziesiątych, sześćdziesiątych w Stambule nie było zbyt wielu prywatnych samochodów, a bogaci, których stać było na sprowadzenie auta z Europy czy Ameryki, zabierali na przejażdżki nad Bosfor krewnych i znajomych. Nieraz w dzieciństwie słyszałem, jak matka mówiła do ojca: — Pani Saadet chciałaby przejechać się z mężem i dziećmi samochodem. Wybierzesz się z nimi, czy też ja mam to zrobić z Oetinem (czasem mówiła po prostu „z kierowcą”)? — na co ojciec odpowiadał: — Na litość boską, pojedź z nimi, ja jestem zajęty!

W drodze powrotnej zawsze śpiewaliśmy. Zaczynał wujek Tank, mrużąc pod nosem, by przypomnieć sobie słowa i melodię, potem nakazywał włączyć radio i poszukać stacji nadającej stare piosenki, i gdy my przeszukiwaliśmy skalę, zaczynał śpiewać jeden z dawnych szlagierów, którego dźwięki tego wieczoru dochodziły z Klejnotu. Czasem udawało nam się złapać jakąś zagraniczną rozgłośnię i milkliśmy, wsłuchując się w dziwne dźwięki obcego języka. — Radio Moskwa — mówił wujek z tajemniczym wyrazem twarzy. Potem powoli nabierał rozpędu i zaczynał śpiewać pierwsze takty, wtedy dołączały do niego ciocia Nesibe i Fiisun. Jadąc ocienioną wielkimi plantanami drogą nad Bosforem, słuchałem koncertu starych piosenek, odwracałem się do siedzących z tyłu i wstydząc się, że nie znam dobrze słów, próbowałem śpiewać z nimi *Dawnych przyjaciół* Giiltekiną Ceki.

Gdy śmiejąc się i żartując, jedliśmy kolację w restauracji i gdy ze śpiewem na ustach wracaliśmy do domu, najszczęś-

liwszą osobą wśród nas wydawała się Fiisun. Mimo **to** i tak najchętniej spędzałyby czas z filmowcami w barze Pergamin. Dlatego zawsze starałem się na wypad nad Bosfor namówić najpierw ciocię Nesibe, która nie przepuściłaby żadnej okazji, by umożliwić mi przebywanie z Fiisun. Innym sposobem było przekonanie do tego pomysłu Feriduna. Dlatego pewnego razu zabraliśmy ze sobą jego kolegę, operatora Yaniego. Feridun, korzystając ze sprzętu Wytwórni „Cytrynka”, kręcił wspólnie z nim filmy reklamowe. Nie miałem nic przeciwko temu, by trochę zarobił, choć czasem zadawałem sobie w duchu pytanie, jak zdołam widywać Fiisun, gdy Feridun będzie miał dość pieniędzy, by wyprowadzić się od teściów i zamieszkać z żoną w osobnym mieszkaniu. Z pewnym zakłopotaniem stwierdzałem niekiedy, że tylko z tego powodu utrzymuję z Feridunem dobre stosunki.

Tamtego wieczoru wujek i ciocia nie wybrali się z nami, nie pojechaliby więc do Tarabyi, nie słuchaliśmy muzyki dochodzącej z sąsiedniego lokalu ani nie śpiewaliśmy piosenek w drodze powrotnej. Fiisun nie usiadła obok mnie, tylko obok męża, i cały czas plotkowali o filmowym światku.

Wieczór z Yanim nie przypadł mi do gustu, dlatego gdy inny znajomy Feriduna z Pergaminu chciał się z nami wybrać, odpowiedziałem, że nie ma miejsca, bo zabieramy rodziców Fiisun. Musiałem powiedzieć to niezbyt grzecznie, gdyż w ciemnozielonych oczach mężczyzny o ładnym szerokim czole dostrzegłem zaskoczenie i gniew, ale **szybko** wypadło mi to z pamięci. Pojechaliliśmy do **Cukurcumy**, zabraliśmy ciocię i wujka, po czym jak **zwykle** ruszyliśmy do Tarabyi, do restauracji Idylla.

Usiedliśmy przy stoliku i w pewnym momencie zauważyłem, że Fiisun jest spięta, małomówna, z niepokojem pomyślałem, że niezbyt dobrze się bawi. Odwróciłem się, by poszukać

sprzedawcy losów na loterię albo młodych orzechów i wtedy dwa stoliki dalej spostrzegłem faceta o zielonych oczach. Przyglądał się nam. Feridun zorientował się, że zobaczyłem jego znajomego.

— Twój kolega pojechał za nami — powiedziałem.

— Tahir Tan nie jest moim kolegą — odrzekł Feridun.

— Czy to nie on chciał się zabrać z nami, gdy wychodziliśmy z Pergaminu?

— Tak, ale to żaden mój kolega. Grywa w fotopowieściach, filmach łubu-dubu. Nie lubię go.

— Czemu się za nami włóczy?

Zamilkliśmy. Siedząca obok Feriduna Fiisun usłyszała, o czym mówimy, i zaniepokoiła się. Wujek wsłuchiwał się w dźwięki muzyki, za to ciocia nie uroniła ani słowa. Po spojrzeniach Fiisun i Feriduna poznałem, że facet zmierza w naszym kierunku, i odwróciłem się.

— Pan wybacz, panie Kemalu — zwrócił się do mnie Tahir Tan — nie zamierzam państwu przeszkadzać, chciałbym jedynie zamienić kilka słów z rodzicami Fiisun. — Przybrał pozę przystojnego, grzecznego młodzieńca, który na oficerskim weselu, nim poprosi dziewczynę do tańca, zgodnie ze wskazówkami z podręcznika *savoir-vivre'u* pyta o pozwolenie jej ojca i matkę.

— Przepraszam pana, chciałbym omówić z panem jedną sprawę — powiedział, podchodząc do wujka Tanka. — Film z Fiisun...

— Tank, ten człowiek coś do ciebie mówi — ciocia szturchnęła męża.

— Zwracam się również do pani. Jest pani mamą Fiisun, nieprawdaż? A pan jest jej ojcem. Czy państwo wiedzą, że dwaj wybitni tureccy produceni, pan Muzaffer oraz pan Hayati, zaproponowali państwa córce poważne role? Lecz podobno

państwo nie wyrazili zgody na jej występ w filmie ze względu na sceny pocałunku.

— To nieprawda — zaprzeczył Feridun chłodno.

Wokół panował szum i zgiełk, jak zwykle w Tarabyi. Wujek Tank nie usłyszał albo, tak jak wielu tureckich ojców w podobnych sytuacjach, udawał, że nie słyszy.

— Co nieprawda? — spytał Tahir, strojąc chojraka.

Było jasne, że popił i teraz szuka zwady.

— Panie Tahirze — powiedziała Feridun spokojnie — spędzamy wieczór w rodzinnym gronie i nie mamy ochoty rozmawiać o filmie.

— Ale ja mam ochotę! Pani Fiisun, czego się pani boi, niech pani powie, że nie chce pani zagrać w filmie...

Fiisun odwróciła wzrok. Powoli, bez emocji paliła papierosa. Podniosłem się. W tym samym momencie wstał też Feridun. Stanęliśmy między stolikami. Wszystkie głowy zwróciły się w naszą stronę. Najwidoczniej przyjęliśmy pozy walczących kogutów, właściwie Turkom, gdy zamierzają się bić, bo otoczyli nas zaciekawieni gapie, nie chcąc przepuścić okazji do obejrzenia starcia. Drugi facet, który był z Tahirem, też wstał i podszedł do nas.

Kelner, starszy człowiek, doświadczony już w tego rodzaju awanturach, natychmiast stanął pomiędzy nami.

— Panowie, nie róbcie zbiegowiska, wracajcie na miejsca — powiedział. — Wszyscy trochę wypili, nieporozumienia mogą się zdarzyć. Panie Kemalü, smażone omułki i suszona makrela, już przynoszę do stolika!

Żeby szczęśliwi przedstawiciele przyszłych pokoleń, którzy będą zwiedzać moje muzeum, nie zrozumieli mnie źle, pragnę wyjaśnić, że w owych czasach tureccy mężczyźni gotowi byli do bitki z byle powodu i w każdym miejscu — w kawiarni czy w kolejce na izbie przyjęć w szpitalu, w ulicznych korkach i na

meczach piłki nożnej, a unikanie bójkі uważano za największy dyshonor.

Kolega Tahira, który stał za nim, położył mu rękę na ramieniu i odciągnął go gestem mającym świadczyć, że wdanie się w bójkę byłoby poniżej godności, Feridun zaś, z miną mówiącą „daj spokój, nie warto” posadził mnie z powrotem przy stoliku.

Nocne ciemności przecinał snop światła z okrętowego szperacza, ślizgający się po wzburzonych przez poryaz wodach cieśniny. Fiisun siedziała jak gdyby nigdy nic i paliła papierosa. Przez dłuższą chwilę patrzyłem jej prosto w oczy, ale nie odwróciła wzroku. Jej harde, wręcz wyzywające spojrzenie mówiło mi, że to, co przeżyła przez ostatnie dwa lata i czego teraz oczekiwała od życia, było o wiele poważniejsze i bardziej niebezpieczne niż ta drobna scysja z pijanym aktorem.

Powoli kołysząc głową i trzymaną w rękę szklaneczką z *raki*, wujek Tank śpiewał do wtóru dochodzących z nocnego klubu Klejnot dźwięków *Czemu pokochałem tę okrutną kobietę* Selahattina Pmara. Dołączyliśmy do niego, czując potrzebę dzielenia smutku płynącego z tej piosenki. Po północy, gdy w drodze powrotnej do domu jak zwykle śpiewaliśmy w samochodzie, wydawało się, że wszyscy zapomnieli o nieprzyjemnym incydencie, jaki zdarzył się na początku wieczoru.



## 61.PATRZEC

Ale ja nie zapomniałem zdrady Fiisun. Oczywiście było, że Tahir Tan zadurzył się w Fiisun, którą widywał w Pergaminie, i postarał się, by Muzaffer i Hayati Marzyciel zaproponowali jej role w filmach. Albo, co jeszcze bardziej prawdopodobne, to oni dostrzegli jego zainteresowanie Fiisun i dlatego wystąpili z propozycją. Ona zaś zapewne sama ich do tego zachęcała, bo gdy Tahir Tan odszedł, siedziała smętnie jak kot nad rozlanym mlekiem.

Gdy pierwszy raz po tamtym wieczorze w restauracji Idylla, latem 1977 roku poszedłem odwiedzić Keskinów, z urażonych i gniewnych spojrzeń Fiisun domyśliłem się, że zabroniono jej chodzić do lokali, gdzie przesiadywali filmowcy, a zwłaszcza do Pergaminu. Feridun, z którym spotkałem się w biurze Wytwórni „Cytrynka”, powiedział, że po tamtym incydencie wujek i ciocia wpadli w panikę. Fiisun nie wolno było przesiadywać w Pergaminie, ograniczono także jej wypady do kina z koleżankami. Przed każdym wyjściem z domu musiała prosić matkę o pozwolenie, zupełnie jakby była niezamężna. Te ograniczeń-

nia, choć nie trwały długo, bardzo złościły Fiisun. Feridun starał się ją pocieszyć, obiecując, że nie będzie chodzić do Pergaminu bez niej. Obaj doskonale zdawaliśmy sobie sprawę, że musimy zacząć zdjęcia do naszego filmu, gdyż tylko w ten sposób będziemy mogli uszczęśliwić Fiisun.

Ale scenariusz nie był jeszcze na tyle gotowy, by przedstawić go Radzie Cenzury, nie wydawało mi się też, by Feridun był w stanie w krótkim czasie go ukończyć. Z naszych rozmów przy obrazku mającym przedstawiać mewę, który właśnie zaczęła malować, wywnioskowałem, że Fiisun dobrze o tym wie i że sprawia jej to ból. Było mi przykro z tego powodu. Nie lubiłem być świadkiem jej wybuchów gniewu, rzadziej więc pytałem: — Jak tam nowy obrazek? — Robiłem to tylko wtedy, gdy miała dobry humor i byłem pewien, że w pokoju obok będziemy rozmawiali wyłącznie o jej najnowszym dziele.

Niestety, na ogół bywała w złym nastroju. Wolałem więc nie pytać o postępy w malowaniu, siedziałem i czułem na sobie jej pełne złości spojrzenia. Gdy zorientowała się, że spojrzeniami może nawiązać ze mną głębszy kontakt, patrzyła na mnie w specjalny sposób. I nawet jeśli udało nam się pójść na kilka minut do sąsiedniego pokoju, by obejrzeć obrazek, większą część wieczoru spędzałem na usiłowaniach nadania jakiegoś znaczenia spojrzeniom. Podczas kolacji w **Cukurcumie** starałem się wyczytać z nich, co Fiisun myśli o mnie, o swoim życiu, jakich doznaje uczuć. I jak niegdyś uważałem za bzdurę komunikowanie się poprzez spojrzenia, tak teraz poświęcałem się z zapałem temu zajęciu i szybko osiągnąłem w nim mistrzostwo.

Gdy w młodości szliśmy z kolegami do kina albo siedzieliśmy w knajpie czy na górnym pokładzie promu podczas wiosennej wycieczki na Wyspy Książęce i jeden z chłopaków

zawołał: „Panowie, tamte dziewczyny na nas patrzą!”, niektórzy z nas zaraz się podniecali, mnie zaś zawsze ogarniały wątpliwości. Bardzo rzadko bowiem zdarzało się, że w publicznych miejscach dziewczyny patrzyły na mężczyzn, a jeśli przypadkiem napotkało się spojrzenie którejś, ta natychmiast odwracała w popłochu wzrok i więcej nie spoglądała w tę stronę. W pierwszych miesiącach, gdy zacząłem regularnie bywać u Keskinów, jeśli podczas kolacji czy oglądania telewizji spojrzenia moje i Fiisun nieoczekiwanie się spotkały, odwracała wzrok jak oparzona. Wiedziałem, że tak powinna się zachowywać turecka dziewczyna, gdy spotka na ulicy nieznanego mężczyznę, i bardzo mi się to nie podobało. Ale potem przyszło mi do głowy, że Fiisun zachowuje się tak, by mnie sprowokować. W sztuce rozumienia spojrzeń stawiałem dopiero pierwsze kroki.

Dawniej, gdy chodziłem ulicami Stambułu i odwiedzałem bazy, niezmiernie rzadko — nawet na Beyoglu — byłem świadkiem, by kobieta, czy to w chuście, czy z odkrytą głową, patrzyła na mężczyznę, próbowała spojrzeć mu w oczy. Z drugiej strony od osób, które zawarły niezaaranżowane małżeństwa, czyli same wybrały swych partnerów, słyszałem nieraz: — Popatrzyliśmy na siebie i już oboje wiedzieliśmy, że to jest to. — Nawet moja matka, którą wyswatano za ojca, twierdziła, że na jakimś balu, w którym uczestniczył sam Atatiirk, zobaczyli się nawzajem z daleka, spodobali się sobie i porozumieli bez słów, wymieniając jedynie spojrzenia. Ojciec nigdy się z nią na ten temat nie spierał, wyznał mi jednak kiedyś, że rzeczywiście byli oboje na tym samym balu z Atatiirkiem, ale zupełnie nie przypomina sobie matki, podówczas szesnastoletniej, w eleganckiej sukni i białych rękawiczkach.

Znaczenie kontaktu wzrokowego w społeczeństwie takim jak nasze, gdzie kobieta i mężczyzna nie mogą spotykać się

i poznać poza kręgiem rodzinnym, pojąłem — być może dlatego, że znaczną część młodości spędziłem w Ameryce — bardzo późno, dopiero po trzydziestce, i właściwie dzięki Fiisun. Lecz odtąd umiałem go cenić i zawsze odczuwałem jego głęboki sens. Fiisun patrzyła na mnie jak kobiety na perskich miniaturach albo jak bohaterki ówczesnych fotopowieści czy postacie z filmów. Gdy siedziałem po przekątnej stołu, zamiast gapić się tępo w telewizor, starałem się czytać w spojrzeniach ukochanej. Po pewnym czasie jednak, gdy tylko nasze oczy się spotkały, zaczęła, jak wstydlive dziewczęta, odwracać wzrok; być może odkryła, jaką przyjemność z tego czerpię, i chciała mnie w ten sposób ukarać.

Doszedłem do wniosku, że przy stole w domu rodziców nie chce, by jej przypominano, ani też sama pamiętać, że współżyliśmy z sobą, a w dodatku jest rozgoryczona, że nie zrobiliśmy z niej gwiazdy filmowej. Z początku przyznawałem jej rację. Ale po pewnym czasie zaczęło mnie irytować, że unika ze mną kontaktu nawet wzrokiem, że po tak wspnianym seksie zachowuje się jak wstydliva dziewczica, która ot tak spojrziała w oczy nieznanemu mężczyźnie. Jakże byłem uradowany, gdy udało mi się przypadkowo pochwycić jej spojrzenie, kiedy nikt nie zwracał na nas uwagi, bo wszyscy zajęci byli jedzeniem i bezmyślnym gapieniem się w telewizor albo właśnie wzruszali się do łez podczas dramatycznej sceny rozstania bohaterów serialu! Było dla mnie jasne, że przyszedłem tam wyłącznie dla tego właśnie spotkania się naszych oczu. Lecz Fiisun zachowywała się tak, jakby nie dostrzegała szczęścia płynącego z tych chwil, odwracała wzrok, sprawiając mi ogromny ból.

Czyżby nie wiedziała, że przychodzę, bo wciąż nie mogę zapomnieć, jak szczęśliwi byliśmy niegdyś razem? Czułem, że poznaje po mych spojrzeniach, jak głęboko mnie rani. Ale może tylko mi się zdawało.

Niewyraźny, nieokreślony obszar między „czuć” a „wyobrażać sobie” był moim drugim wielkim odkryciem, gdy dzięki Fiisun poznawałem niuanse sztuki wymiany spojrzeń. Staraliśmy się bez słów opowiedzieć jedno drugiemu o sobie, ale zarówno wysyłane w ten sposób, jak i odbierane sygnały były dość mgliste i niejednoznaczne, co w gruncie rzeczy też miało swój urok. Nie byłem w stanie w pełni zrozumieć, co Fiisun chce wyrazić, i dopiero po pewnym czasie pojąłem, że chodzi o samo patrzenie. W tym gwałtownym, intensywnym — na początku widziałem je u Fiisun raczej rzadko — dostrzegałem jej wściekłość, zdecydowanie, burze, które targały nią od środka, i nagle traciłem orientację, jakbym cofał się przed nią w panice. Potem, gdy oglądaliśmy telewizję i na ekranie pojawiał się obraz związany jakoś ze wspomnieniami naszego szczęścia, na przykład przedstawiający parę całującą się jak my niegdyś, próbowałem spojrzeć jej w oczy, lecz ona niezmiennie unikała mego wzroku, czasem wręcz odwracała się ode mnie. Wtedy właśnie nabrałem zwyczaju uporczywego wpatrywania się w nią bez jednego mrugnięcia.

Wbijałem w nią wzrok i długo przyglądałem się jej z uwagą. Oczywiście, przy kolacji, przy wspólnym stole, moje spojrzenia na ogół nie trwały dłużej niż dziesięć, dwanaście sekund, a najdłuższe i najbardziej bezlitosne z nich dochodziło do pół minuty. Nowocześni, wolni ludzie mogą w przyszłości uznać to za molestowanie, i słusznie, gdyż swymi upartymi spojrzeniami ujawniałem przed całą rodziną to, co Fiisun chciała ukryć, a może i o czym zapomnieć: łączącą nas w przeszłości intymność, naszą miłość. I fakt, że kolacja była zakrapiana, że się upiłem, nie był żadnym usprawiedliwieniem. Lecz na swą obronę mogę powiedzieć, że inaczej bym oszalał, nie znalazłbym w sobie dość sił, by pójść do Keskinów.

Na ogół Fiisun po pierwszym napotkaniu mojego bezczelnego, nalegającego spojrzenia orientowała się, że jestem w gniewnie obsesyjnym nastroju i zamierzam się w nią uparcie gapić, toteż jak wszystkie tureckie kobiety, które opanowały do perfekcji umiejętność niedostrzegania natarczywych spojrzeń mężczyzn, siedziała naprzeciwko mnie, lecz ani razu nie spojrzała w moją stronę. Doprowadzało mnie to do szaleństwa, wpadałem we wściekłość i jeszcze intensywniej się w nią wpatrywałem. Znany felietonista Celal Salik nieraz napominał w gazecie „Milliyet” tureckich mężczyzn, by „napotkanym na ulicy pięknym kobietom nie patrzyli prosto w oczy, tak jakby chcieli je zabić”. To, że Fiisun uważa mnie za jednego z tych, których opisywał dziennikarz, wyprowadzało mnie z równowagi.

O problemie, że często ładne, umalowane, nie zakrywające głowy kobiety są w Stambule obiektem natarczywych spojrzeń przybyszów z prowincji, opowiadała mi Sibel. Nieraz zdarzało się, że śledzili oni swe ofiary, jedni posuwali się do nachalnego zaznaczania swej obecności, inni natomiast ograniczali się do przyglądania się z pewnej odległości, w milczeniu.

Pewnego wieczoru w październiku 1977 roku wujek Tarik, oznajmiwszy, że „coś niewyraźnie się czuje”, wcześniej poszedł na górę się położyć, a ja gawędziłem z Fiisun i cicią, patrząc na nie, jak mi się wydawało, w zamyśleniu, gdy nagle Fiisun spojrzała mi prosto w oczy. Jak to wówczas często robiłem, przyjrzałem się jej z uwagą.

— Nie rób tak! — powiedziała.

Wzdrygnąłem się. Doskonale naśladowała sposób, w jaki się w nią wpatrywałem. W pierwszej chwili ze wstydu nie chciałem się przyznać.

— O co ci chodzi?

— O to, żebyś tak nie robił — odpowiedziała i przedrzeźniając mnie jeszcze bardziej, znów zademonstrowała, jak na

nią patrzę. Uświadomiłem sobie, że przypominam wtedy bohaterów fotopowieści.

Rozśmieszyło to nawet ciocię. Po chwili jednak przestraszyła się i szybko wtrąciła:

— Przestań go przedrzeźniać, córeczko, nie jesteś już dzieckiem!

— Nie szkodzi, ciociu — z trudem zebrałem siły, by coś powiedzieć. — Bardzo dobrze ją rozumiem.

Czy rzeczywiście rozumiałem Fiisun? Powinno się rozumieć osobę, którą się kocha. Ale jeśli nawet tak nie jest, można przynajmniej sądzić, że się rozumie. Muszę jednak wyznać, że w ciągu tych ośmiu lat nie zaznałem nawet cienia satysfakcji, jaką daje ta druga możliwość.

Czułem, że zaraz zacznę się kryzys i nie będę w stanie podnieść się ze swojego fotela. Zebrawszy resztki sił, wstałem i mrużąc pod nosem, że już późna godzina, pospiesznie wyszedłem. W domu postanowiłem, że więcej do Keskinów nie pójdę, i piłem, aż zasnąłem, zamroczony. W pokoju obok matka zdrowo chrapała, choć wydawane przez nią dźwięki przypominały raczej jęki z bólu.

Jak czytelnik może się z łatwością domyślić, obraziłem się. Nie na długo jednak. Dziesięć dni później jak gdyby nigdy nic znów zapukałem do drzwi Keskinów. Gdy tylko spojrzałem na Fiisun, w jej oczach dostrzegłem radosny błysk: ucieszyła się, że przyszedłem. W tej samej chwili stałem się najszcześliwszym człowiekiem na świecie. Usiedliśmy przy stole i patrzyliśmy na siebie.

Z upływem miesięcy i lat siedzenie przy stole, oglądanie telewizji do kończącej program ceremonii opuszczenia flagi, rozmowy z wujkiem i ciocią — czasami włączała się do nich Fiisun — sprawiały mi przyjemność, jakiej wcześniej nie znałem. Jakbym znalazł sobie nową rodzinę. W takie wieczory

czułem się lekko i optymistycznie podchodziłem do życia, nie tylko dlatego, że mogłem siedzieć naprzeciwko Fiisun, lecz także dlatego, że uczestniczyłem w pogawędkach Keskinów. Zapominałem wtedy, w jakim celu tam przyszedłem. Ogarnięty tymi uczuciami, nagle, w którymś całkiem zwyczajnym momencie, przez przypadek napotykałem spojrzenie Fiisun i przypominałem sobie, że tym, co mnie sprowadziło do ich domu, była moja wciąż niegasnąca miłość do niej. Ożywałem jak obudzony ze snu, czułem radosne podniecenie i pragnąłem, by Fiisun czuła to samo. Jeśli zbudziłaby się, tak jak ja, z tego niewinnego snu, przypomniawszy sobie głębszy i prawdziwszy świat, w którym kiedyś żyliśmy we dwoje, wkrótce rozwiodłaby się z mężem i wyszła za mnie. Ale nie mogłem dostrzec w jej spojrzeniu tego „przypomnienia sobie”, „przebudzenia” i czułem głębokie rozczarowanie, którego następstwem była moja nagła niemoc, niezdolność do pożegnania się i wyjścia.

W okresie, gdy nie udawało się nam posunąć sprawy filmu do przodu, Fiisun niemal wcale nie patrzyła na mnie w sposób, który wskazywałby, że pamięta, jak szczęśliwi byliśmy kiedyś razem. Jej spojrzenie traciło głębię i intensywność, zachowywała się tak, jakby najbardziej interesował ją program w telewizji albo plotki o którymś z sąsiadów, a jedynym sensem i celem jej życia było siedzieć z rodzicami przy stole, gawędzić i śmiać się. Nabierałem wtedy przekonania, że przede mną i Fiisun nie ma wspólnej przyszłości, że ona nigdy nie opuści męża, żeby być ze mną, i czułem wtedy ogromną pustkę, bezsens wszystkiego.

Po wielu latach zachmurzone, wiele mówiące spojrzenia Fiisun wydały mi się podobne do mimiki aktorek w tureckich filmach. Ale nie było to żadne naśladownictwo. Fiisun bowiem, tak samo jak bohaterki owych filmów, nie mogła w obecności ojca, matki, mężczyzn wyrazić spojrzeniami swych uczuć, pragnień, gniewu.



## 62. DLA ZABICIA CZASU

Możliwość regularnego spotkania się z Fiisun pozwoliła mi uporządkować także moje życie zawodowe. Wysypiałem się, mogłem więc wcześniej rano iść do biura (popijająca oranżadę Zefir Inge wciąż uśmiechała się uroczo z bocznej ściany kamienicy w Harbiye, lecz jak twierdził Zaim, nie miało to już większego wpływu na sprzedaż). Fiisun już nie zaprzętała nieustannie moich myśli, mogłem więc skupić się na pracy i przeciwdziałać intrygom, jakie były przeciwko mnie prowadzone.

Jak można się było spodziewać, spółka Tekyay, której kierownictwo Osman powierzył Kenanowi, w krótkim czasie stała się konkurentem dla Satsat. Nie było to jednak zasługą ani Kenana, ani mojego brata. Pan Turgay, na którego wspomnienie, podobnie jak na wspomnienie jego mustanga i miłości do Fiisun, nadal robiło mi się ciężko na sercu, choć w zasadzie niemal zupełnie przestałem być o niego zazdrosny, zlecił tej firmie dystrybucję części wyrobów swojej fabryki. Zaprzyjaźnił się z Osmanem i jego rodziną, razem jeździli zimą na

narty do Uludag, wyprawiali się na zakupy do Paryża czy Londynu, wykupili nawet prenumeratę na te same czasopisma o podróżach.

Niewiele mogłem poradzić na bezwzględną konkurencję ze strony stale rozrastającej się spółki Tekyay. Oferując lepsze warunki, Kenan ściągnął do niej młodych i ambitnych handlowców, a także dwóch doświadczonych pracowników w średnim wieku, którzy stanowili trzon załogi Satsat. Kilka razy poskarżyłem się podczas kolacji matce, że opanowany żądzą zysku, mój brat chce zarobić moim kosztem i działa na szkodę firmy, założonej przecież przez naszego ojca. Lecz ona uważała, że to sprawy między nami, i nie chciała się mieszać. Zapewne pod wpływem Osmana uznała, że rozstanie z Sibel, moje dziwne i tajemnicze zachowanie oraz częste wizyty u Keskinów, o których na pewno już wiedziała, dowodzą, że nie jestem w stanie właściwie prowadzić pozostawionych przez ojca interesów.

W ciągu dwóch i pół roku moje wizyty u Keskinów, wymiana spojrzeń z Fiisun, kolacje, rozmowy, wypadki do restauracji nad Bosforem, dokąd zaczęliśmy jeździć także zimą, wszystko to stało się ponadczasową rutyną (i przez to nabrało urody), ciągiem powtarzających się rytuałów. Nadal nie przystąpiliśmy do produkcji filmu, ale wciąż robiliśmy przygotowania, jakby zdjęcia miały się rozpocząć w ciągu najbliższych miesięcy.

Fiisun pogodziła się albo zachowywała się tak, jakby się pogodziła z myślą, że zrobienie filmu artystycznego wymaga więcej czasu, a udział w filmach komercyjnych byłby zapuszczeniem się w pojedynek na bardzo niebezpieczny teren. Gniew, który widać było w jej oczach, nie zniknął jednak całkowicie. Czasem, gdy przy stole w *Cukurcumie* nasze spojrzenia się spotkały, nie odwracała już wzroku jak zawstydzona nastolatka, lecz patrzyła na mnie z pretensją, jakby wypominała

mi wszystkie popełnione błędy. Z bólem patrzyłem, jak uzewnętrzniła tłumioną w sobie dotąd złość, jednocześnie jednak byłem szczęśliwy, bo czułem, że w pewien sposób staję się jej bliższy.

Znów pod koniec kolacji zacząłem ją pytać: — Fiisun, jak ci idzie malowanie? — Zadawałem to pytanie także wtedy, gdy Feridun był w domu i siedział z nami przy stole (po incydencie w restauracji Idylla rzadziej wychodził wieczorami, zresztą przemysł filmowy znalazł się w kryzysie). Pewnego razu wszyscy troje poszliśmy obejrzeć przedstawiający gołębia obrazek, który Fiisun właśnie malowała.

— Podoba mi się, że tak systematycznie, cierpliwie nad nim pracujesz, Fiisun — powiedziałem niemal szeptem.

— Mówiłem jej, że powinna zrobić wystawę — wymamrotał Feridun. — Ale ona się wstydzi...

— Maluję dla zabicia czasu — powiedziała Fiisun. — Najtrudniej jest namalować błyszczące piórka na głowie ptaka. Widzicie?

— Tak, widzimy — odpowiedziałem.

Milczeliśmy przez dłuższą chwilę. Feridun został tego wieczoru w domu, jak sądzę, żeby obejrzeć program sportowy. Gdy z salonu dobiegły okrzyki: „Gol, goool!”, pobiegł do telewizora. Oboje z Fiisun nie przerywaliśmy ciszy. Mój Boże, jak cudownie było patrzeć razem, w milczeniu na namalowany przez nią obrazek!

— Fiisun, musimy kiedyś pojechać do Paryża, zwiedzić muzea, obejrzeć obrazy...

Ta śmiałość mogła skończyć się dla mnie bolesną karą, zmarszczeniem brwi, ponurą miną podczas kilku następnych wizyt, a nawet obrażeniem się i nieodzywaniem do mnie, tym razem jednak Fiisun przyjęła moje słowa bardzo spokojnie.

— Ja też, Kemal, bardzo bym chciała tam pojechać.

W szkole, jak większość dzieci, z zapałem malowałem; jako gimnazjalista, a potem licealista miałem nawet coś w rodzaju pracowni w mieszkaniu w kamienicy Zmiłowanie i wyobrażałem sobie, że w przyszłości zostanę malarzem. Snułem naiwne plany wyprawy do Paryża i obejrzenia wszystkich tamtejszych kolekcji. W latach pięćdziesiątych, sześćdziesiątych nie było w Turcji muzeum malarstwa z prawdziwego zdarzenia, reprodukcji ani albumów, które można byłoby przeglądać z dziecięcą radością. Zresztą najnowsze tendencje w sztuce mało mnie i Fiisun interesowały, wystarczała nam przyjemność płynąca z kolorowania powiększonej czarno-białej fotografii ptaka.

Im częściej bywałem w domu Keskinów, im większą przyjemność czerpałem z tej niewinnej radości, tym bardziej świat poza ich domem, na ulicach Stambułu, wydawał mi się złowieszczy i nieprzyjazny. Oglądanie namalowanych przez Fiisun obrazków, obserwowanie, jak ptasie sylwetki powoli nabierają kształtów, rozmowy półgłosem raz czy dwa w tygodniu przez kilka minut o tym, który ze sfotografowanych przez Feriduna ptaków zamieszkujących miasto zostanie sportretowany jako następny: synogarlica, kania czy może jaskółka — wszystko to napełniało mnie niewysłowionym szczęściem.

Słowo „szczęście” jest tu niewystarczające. To, co przeżywałem w pokoju obok, to była czysta poezja, uczucie głębokiego spełnienia. Mógłbym to opisać jako wrażenie, że czas się zatrzymał, że wszystko będzie trwać w niezmiennym kształcie przez całą wieczność. Towarzyszyły mu poczucie bezpieczeństwa, trwałości, błogość przebywania w domu, z drugiej strony zaś przynosząca ulgę wiara, że cały świat jest prosty i dobry. Spokój ten wypływał bez wątpienia z widoku Fiisun, jej delikatnej urody, z miłości, jaką do niej żywiłem. Już to, że przez kilka minut mogłem z nią porozmawiać, samo w sobie było wielkim szczęściem, udział w tym miał jednak również pokój, w którym

się znajdowaliśmy (gdybym mógł z nią zjeść kolację w Foyer, też byłbym ogromnie szczęśliwy, byłoby to jednak zupełnie inne odczucie). W mym umyśle uczucie głębokiego spokoju, nierozzerwalnie łączące się z tym miejscem i stanem ducha, mieszało się z wszystkim, co tam widziałem: malowanymi powoli przez Fiisun portretami ptaków, ceglastą barwą leżącego na podłodze dywanu z Uşak, ścinkami materiałów, guzikami, starymi gazetami, okularami do czytania wujka Tanka i robótką na drutach ciotki Nesibe. Wdychałem zapach tego pokoju i przed wyjściem wrzucałem do kieszeni napałek, guzik czy szpulkę, by potem w kamienicy Zmiłowanie przypominały mi tamto miejsce i przedłużały moje szczęście.

Ciocia Nesibe, gdy po kolacji wyniosła garnki i półmiski do kuchni, a niezjedzone potrawy schowała do lodówki (uwadze zwiedzających muzeum polecam lodówkę Keskinów, która miała w sobie coś magicznego), przynosiła wielką, sfatygowaną plastikową torbę z zestawem robótkowym. Czasem prosiła Fiisun, by ją przyniosła — była to bowiem pora naszego pójścia do pokoju obok.

— Córeczko, jak będziesz wracać, przynieś mi moją robótkę! — mówiła ciocia, która uwielbiała robić na drutach i gawędzić przed telewizorem. Nie miała nic przeciwko temu, byśmy w pokoju zostali z Fiisun sam na sam, ale chyba obawiała się wujka, bo po jakimś czasie przychodziła do nas, oznajmiając głośno: — Wezmę robótkę, bo zaraz zaczną się *Jesienne wichry*. A wy co, nie chcecie obejrzeć?

Oglądaliśmy. Lecz choć doskonale przypominam sobie każdy szczegół dotyczący Fiisun i domu jej rodziców, każdą, najbardziej nawet nieistotną rzecz, obejrzone w ciągu ośmiu lat filmy, seriale, telewizyjne debaty emitowane w święta narodowe („Miejsce podboju Konstantynopola w dziejach świata”, „Co to znaczy być Turkiem”, „Jak lepiej zrozumieć Atatiirka”

i tym podobne) i setki, jeśli nie tysiące innych programów błyskawicznie zniknęły z mej pamięci.

Po pewnym czasie z tego, co oglądałem, zapamiętywałem na ogół pojedyncze „chwile” (zainteresowałoby to z pewnością Arystotelesa, jako teoretyka czasu), połączone z konkretnym obrazem na ekranie albo tylko z częścią tego obrazu, jak na przykład widok biegnącego po schodach detektywa z jakiegoś amerykańskiego kryminału, a właściwie jego butów i poruszających się nogawek spodni, albo komin starego budynku, który w zasadzie nie był obiektem zainteresowania operatora, ale przypadkiem znalazł się w kadrze, włosy i ucho kobiety podczas sceny pocałunku (przy stole zapadła wtedy cisza), przestraszona dziewczynka tuląca się do ojca w tłumie wąsatych kibiców na meczu (widać nie było jej z kim zostawić w domu), obleczone w skarpetkę stopa pierwszego w rzędzie modlących się w meczecie w noc Kandil\*, prom na Bosforze w tle sceny z tureckiego filmu, puszka z gołąbkami w liściach winogron, które zajadał szwarczarakter. Obrazy te stanowiły tylko część wrytej w mej pamięci „chwili”. Do tego dochodziły szczegóły widzianej z boku twarzy Fiisun, na przykład kącik jej ust czy unosząca się brew, a także zaciskająca się dłoń albo ruch, jakim nieświadomie oparła sztucce o brzeg talerza, nagle zmarszczyła brwi czy niecierpliwie zdusiła niedopałek papierosa. Wyobrażenia pozostawały niekiedy w mej pamięci jak odtwarzane po jakimś czasie sny. Próbowałem je opisywać malarzom, by ich obrazy umieścić potem w Muzeum Niewinności, lecz oni także nie byli w stanie udzielić mi odpowiedzi na moje pytania. Dlaczego akurat ta scena tak poruszyła Fiisun?

\* **Kandil Gecesi** — w islamie jedna z pięciu świętych nocy, noc poczęcia Mahometa. W Turcji z tej okazji zostawia się na noc w meczetach zapalone lampy.

Co sprawiło, że pokazane na ekranie wypadki tak ją wciągnęły? Chętnie sam bym ją o to zapytał, ale u Keskinów po obejrzeniu filmu rozmawiano nie o tym, jakie na kim zrobił wrażenie, lecz o jego moralnym wydźwięku.

— Ten podlec dostał, co mu się należało, ale żal mi dzieciaka — stwierdzała na przykład ciocia Nesibe.

— Co chcesz, nikogo nie obchodził jego los — dodawał wujek. — Dla tych typów ważna jest tylko mamona! Wyłącz to, Fiisun!

Te typy — dziwaczne postacie z europejskich filmów, amerykańscy gangsterzy, zdemoralizowane rodziny, a także godni pogardy scenarzyści i reżyserzy, którzy to wszystko wymyślili i zrealizowali — za jednym naciśnięciem przez Fiisun guzika znikwały z ekranu jak wessana odpływem brudna woda z wanny.

— Och, co za ulga, wreszcie się od nich uwolniliśmy! — wzdychał wujek, gdy tylko gasł telewizor.

„Nimi” mogli być nie tylko bohaterowie krajowego czy zagranicznego filmu, lecz także goście telewizyjnej debaty czy przemądrzały prowadzący i głupi uczestnicy teleturnieju. Słowa wujka napełniały mnie głębokim spokojem, wynikało z nich bowiem, że najważniejsze to być razem, we własnym gronie, do którego i ja się zaliczam. Chciałem wtedy pozostać tam jak najdłużej, i to nie tylko dla przyjemności przebywania w tym samym pokoju, przy tym samym stole z Fiisun, lecz z całą rodziną Keskinów w tym samym mieszkaniu i budynku (w tym magicznym miejscu zwiedzający muzeum odbywają jednocześnie jakby podróż w czasie). Moja miłość do Fiisun obejmowała powoli cały jej świat, wszystko, co było z nią związane, wszelkie wspomnienia i przedmioty — chciałbym, by odwiedzający muzeum zawsze mieli to na uwadze.

Wrażenie przebywania poza czasem, jakiego doznawałem przed telewizorem, głęboki spokój, który czynił możliwymi

moje ciągnące się przez osiem lat wizyty u Keskinów i miłość do Fiisun, znikwały jedynie wtedy, gdy oglądałem wiadomości. Kraj stopniowo pogrążał się w chaosie, zmierzając do wojny domowej.

W roku 1978 bomby wybuchały nocami także w naszej dzielnicy. Ulice biegnące w stronę Tophane i Karakóy znajdowały się pod kontrolą nacjonalistycznych bojówek, a gazety pisały, że w tamtejszych kawiarniach planowano akcje zbrojne. Z kolei tereny powyżej wzgórza Cukurcuma, brukowane kocimi łbami kręte uliczki prowadzące do Cihangiru, obrali sobie za siedzibę Kurdowie, alewici oraz lewicujący drobni urzędnicy, robotnicy i studenci. Ci również lubili robić użytek z broni. Bojówkarze z obu stron staczali od czasu do czasu potyczki o panowanie nad poszczególnymi ulicami, kawiarniami, skwerami, a wybuchy bomb podkładanych przez sterowanych przez tajne służby zamachowców prowokowały nierzadko wybuch prawdziwej ulicznej wojny. Biedny Cetin nieraz się głowił, gdzie ma bezpiecznie zaparkować chevroleta, w której kawiarni na mnie czekać, lecz gdy zaproponowałem, że pojedę sam, odpowiedział, że nigdy na to nie pozwoli. W porze, gdy wychodziłem od Keskinów, ulice Cukurcumy, Tophane, Cihangiru bynajmniej nie były opustoszałe. Wracając do domu, wciąż widywaliśmy ludzi rozwieszających plakaty i wypisujących hasła na murach. Cetin i ja patrzyliśmy tylko po sobie ze strachem.

W wieczornych „Wiadomościach” stale podawano informacje o eksplozjach, strzelaninach i zabójstwach. Keskinowie z jednej strony czuli się bezpieczni, bo „dzięki Bogu” byli w domu, z drugiej jednak niepokoił ich przyszłość. „Wiadomości” napawały taką grozą, że zamiast na nich, skupialiśmy uwagę na podającej je urodziwej spikerce, Aytac Kardiiz. W przeciwieństwie do swych zachowujących się z naturalną swobodą



europijskich koleżanek po fachu Aytac siedziała kompletnie nieruchomo, niczym woskowa lalka, nie uśmiechała się nawet przez moment i czytała z trzymanej w ręku kartki, wyrzucając z siebie słowa jak pociski z karabinu maszynowego.

— Powoli, dziewczyno, powoli, weź oddech, bo się udusisz — wołał co chwila wujek Tank.

Za każdym razem śmialiśmy się z tych stale powtarzanych słów jak z nowo usłyszanego żartu, gdyż gołym okiem widać było, że niezwykle zdyscyplinowana, oddana swej pracy spikerka boi się popełnienia błędu jak ognia; czasem nie robiła nawet przerwy, by zaczerpnąć powietrza, i jeśli zdanie było długie, zaczynała mówić coraz szybciej, a jej twarz purpurowiała.

— Patrzcie, znowu zrobiła się czerwona — zauważał wujek.

— Dziecko, zatrzymaj się, przełknij choć ślinę... — powiedziała kiedyś ciocia z troską w głosie.

Aytac Kardiiz jakby usłyszała słowa cioci, bo w tym momencie oderwała wzrok od kartki i rzuciła nam, siedzącym przy stole, na wpół zirytowanym, na wpół rozbawionym, szybkie spojrzenie, po czym, jak dziecko, któremu dopiero co usunięto migdałki, z wielkim trudem zmusiła się do przełknięcia śliny.

Z ust tej właśnie spikerki usłyszeliśmy, że Elvis Presley zmarł w swoim domu w Memphis, Czerwone Brygady porwały i zabiły byłego premiera Włoch, Aldo Moro, a dziennikarz Celäl Salik i jego siostra zostali zastrzeleni na ulicy w Nişantaşı, tuż przed sklepem Alaaddina.

Innym sposobem stosowanym przez Keskinów, by zachować napawający mnie spokojem dystans do pokazywanego w telewizji okrutnego świata, było doszukiwanie się podobieństwa widzianych na ekranie twarzy do osób z naszego otoczenia. Stawało się to przedmiotem długich dyskusji podczas kolacji, w których oboje z Fusun ochoczo braliśmy udział.

Oglądając na przykład wiadomości o wkroczeniu pod koniec 1979 roku wojsk radzieckich do Afganistanu, zaczęliśmy się zastanawiać, czy nowy afgański premier, Babrak Karmal, nie wygląda jak brat bliźniak jednego z pracowników pobliskiej piekarni. Z takim twierdzeniem wystąpiła ciocia, która tak samo jak wujek lubiła doszukiwać się podobieństw. Z początku nie mogliśmy zrozumieć, którego z piekarzy ma na myśli. Ponieważ w niektóre wieczory kazałem Cetinowi zatrzymywać się przed piekarnią, by kupić świeży, jeszcze gorący chleb na kolację, twarze pracujących tam Kurdów były mi znajome. Dlatego przyznałem cioci rację, choć Fiisun i wujek uparcie twierdzili, że stojący przy kasie człowiek zupełnie nie przypomina afgańskiego premiera.

Niekiedy wydawało mi się, że Fiisun specjalnie się ze mną nie zgadza, by robić mi na przekór. Na przykład tylko dlatego, że mnie wydał się podobny, nie doszukała się podobieństwa sprzedawcy gazet na rogu alei Cukurcuma i Bogazkesen do premiera Egiptu, Anwara Sadata, zamordowanego przez islamistów, gdy na stadionie oglądał z trybuny wojskową defiladę. Ponieważ sprawa zamachu na Sadata przez kilka tygodni była głównym tematem telewizyjnych „Wiadomości”, spór na temat podobieństwa przybrał formę czegoś w rodzaju wojny nerwów między nami, co zupełnie nie przypadło mi do gustu.

Jeżeli przy stole u Keskinów uznano, że podobieństwo jest wystarczające, o pojawiającej się na ekranie znanej osobistości nie mówiono na przykład Anwar Sadat, tylko sklepikarz Bahri. W piątym roku moich wizyt w Cukurcumie słynny francuski aktor charakterystyczny Jean Gabin (obejrzeliśmy wiele filmów z jego udziałem) stał się kołodrzarzem Nazifem; nieśmiała prezenterka prognozy pogody — Aylą, koleżanką Fiisun, wynajmującą z matką mieszkanie na parterze; wygłaszający co dzień ostre oświadczenia przewodniczący partii islamistycznej

— nieboszczykiem jednorękim panem Rahmim; dziennikarz sportowy komentujący w niedzielne wieczory gole tygodnia — elektrykiem Efe. Prezydent Stanów Zjednoczonych Ronald Reagan został zaś przeze mnie porównany do szofera Cetina (głównie ze względu na kształt brwi).

Gdy jedna z tych znanych postaci pojawiała się na ekranie telewizora, wszystkich nas ogarniał żartobliwy nastrój. — Chodźcie, dzieci! Zobaczcie, jaką ładną amerykańską żonę ma nasz Bahri! — wołała na przykład ciocia Nesibe.

Niekiedy wspólnymi siłami próbowaliśmy doszukać się podobieństwa. — A ten kogo wam przypomina? — pytała ciocia, wskazując na sekretarza ONZ, Kurta Waldheima, którego często pokazywano ze względu na prowadzone właśnie negocjacje w sprawie konfliktu na Bliskim Wschodzie. Wszyscy szukali odpowiedzi i przy stole na dłuższy czas zapadało milczenie. Trwało ono także wtedy, gdy znany polityk zniknął już z ekranu, na którym pojawiły się następne wiadomości, reklamy i dalszy ciąg programu.

I gdy nagle do mych uszu dobiegło wycie syren okrętowych z okolic Tophane czy Karakóy, przypominał mi się uliczny zgiełk, tłumy ludzi, myślałem o przybijających do nabrzeży promach i chcąc nie chcąc zauważałem, jak bardzo wrosłem w życie Keskinów, ile czasu spędziłem przy ich stole. Gwizdki parowców uświadamiały mi, że nawet nie spostrzegłem, jak upłynęły całe miesiące i lata.

## 63. RUBRYKA „ŻYCIE TOWARZYSKIE”

Groźba wybuchu wojny domowej, zamachy bombowe, uliczne strzelaniny sprawiły, że ludzie nie chodzili już do kina tak często jak kiedyś, co wstrząsnęło przemysłem filmowym. Wieczory spędzano w domach, więc choć w barze Pergamin i innych lokalach odwiedzanych przez filmowców wciąż kłębiły się tłumy, większość bywalców tych miejsc musiała teraz szukać zajęcia w reklamie albo w kręconych naprędce filmach pełnych scen erotycznych i walk. Wielcy producenci nie byli już skłonni inwestować w takie „dzieła” jak te, które z przyjemnością oglądaliśmy dwa lata wcześniej w kinach letnich, dlatego wyczuwałem, że w filmowym świecie moja pozycja wspierającego Wytwórnę „Cytrynka” bogatego miłośnika kina znacznie się umocniła. Któregoś dnia pod wieczór za namową Feriduna zaszedłem do Pergaminu, dokąd dawno już nie zaglądałem, i zauważyłem, że jest tłumniej odwiedzany niż przedtem; dowiedziałem się od stałych bywalców, iż bezrobocie bardzo służy knajpom, bo „całe Yesilcam chła na umór”.

Tamtego wieczoru i ja piłem do rana ze sfrustrowanymi filmowcami. Przypominam sobie, że nawet z Tahirem Tanem, który w restauracji Idylla w Tarabyi pokazał, że jest zainteresowany Fiisun, uciałem sobie długą, sympatyczną pogawędkę. Poznałem wtedy Stokrotkę, młodziutką aktorkę, z którą, jak to ona określała, „zakolegowaliśmy się”. Kilka lat wcześniej, żeby zarobić na utrzymanie siebie i swej niewidomej matki, grywała w filmach familijnych role małych dziewczynek sprzedających obwarzanki albo dręczonych przez złą macochę — w którą wcielała się oczywiście Wredna Siihendan — i popłakujących w ukryciu. Dziś, jak wszyscy, narzekała, że nie może realizować swych marzeń, nie ma pracy i musi podkładać głos w krajowych filmach porno. Potrzebowała mojego wsparcia, by nakręcić film według pewnego scenariusza, który podobał się również Feridunowi. Choć byłem już porządnie pijany, zauważyłem, że dziewczyna nie jest mu obojętna, że pomiędzy nimi coś iskrzy, jak to określała kolorowa prasa, a co więcej, z zaskoczeniem stwierdziłem, że Feridun jest nawet o mnie zazdrosny. Nad ranem we trójkę wyszliśmy z baru i pogrążonymi w mroku uliczkami, wzdłuż murów obszczywanych przez pijaków i pokrytych radykalnymi hasłami, śledzeni przez stada bezpańskich psów, ruszyliśmy w stronę Cihangiru, gdzie Stokrotka mieszkała ze swoją matką, piosenkarką występującą w lokalach rozrywkowych gorszej kategorii. W końcu, pozostawiwszy Feridunowi zadanie odprowadzenia dziewczyny, skierowałem się do mojego wygodnego i spokojnego domu w Nişantaşı, który dzieliłem z matką.

W noce takie jak tamta, pijany, często z goryczą rozmyślałem, że moja młodość już przeminęła, że dzielę los tureckich mężczyzn, których życie, zanim skończyli trzydzieści pięć lat, przybrało ostateczny kształt i już żadne wielkie szczęście nie miało ich spotkać. Choć tak bardzo pragnąłem kochać i być ko-

chanym, przyszłość rysowała się przede mną z każdym dniem coraz mroczniejsza, coraz bardziej beznadziejna. Próbowałem się jednak pocieszać myślą, że może to być tylko złudne przekonanie, wywołane przez napływające zewsząd informacje o politycznych morderstwach, nieustannych ulicznych starciach, drożyźnie, bankructwach.

Niekiedy, gdy poszedłem do domu Keskinów, gdy ujrzałem Fiisun, popatrzyłem jej w oczy, podkradłem jakieś drobne przedmioty, które mi o niej przypominały, i zaniósłem je do Nişantaşı, po czym pobawiłem się nimi, zaczynało mi się wręcz wydawać, że nigdy więcej nie będę nieszczęśliwy. Na zabrane ze stołu łyżeczki i widelce, których używała Fiisun, patrzyłem już tylko jak na fotografie albo pamiątki.

Innym znów razem przychodziło mi na myśl, że gdzie indziej na świecie mógłbym prowadzić o wiele lepsze życie. Żeby nie cierpieć, próbowałem wtedy usilnie myśleć o czymś innym. Gdy Zaim przynosił mi najnowsze plotki z towarzystwa, dochodziłem do wniosku, że niewiele straciłem, trzymając się na uboczu, z dala od nudnego życia moich dawnych bogatych przyjaciół.

Jak twierdził Zaim, Nurcihan i Mehmet jeszcze ani razu się ze sobą nie przespalili, choć mijał właśnie trzeci rok ich znajomości. Ale ogłosili, że zamierzają się pobrać. To była najbardziej sensacyjna wiadomość! Postanowili nie kochać się przed ślubem, choć zdaniem Zaima wszyscy, z Mehmetem włącznie, wiedzieli, że Nurcihan miała w Paryżu kochanków Francuzów. Nurcihan żartowała nawet, że w muzułmańskim kraju pierwszym warunkiem zawarcia szczęśliwego małżeństwa nie jest posiadanie majątku, lecz wstrzemięźliwość seksualna przed ślubem. Żartom tym, przyjmowanym przez jej narzeczonego z zadowoleniem, towarzyszyły opowieści o mądrości naszych przodków, pięknie klasycznej tureckiej muzyki czy skromności

dawnych mistrzów, wiodących żywot derwiszy. To uwielbienie Mehmeta i Nurcihan dla czasów osmańskich nie było na szczęście na tyle głębokie, by przypięto im w towarzystwie łątkę bigotów i reakcjonistów. Oboje lubili na przyjęciach sporo wypić. Zaim z podziwem opowiadał, że nawet kompletnie pijani nie tracili dobrych manier i potrafili toczyć niezwykle wyrafinowane dyskusje. Mehmet im więcej wypił, tym mocniej upierał się przy twierdzeniu, iż w klasycznej poezji słowa „wino” czy „trunek” nie są przenośnią, lecz rzeczywiście oznaczają wino, i recytował wiersze Nedima\* bądź Fuzulego\*\*, choć nikt z obecnych nie wiedział, czy rzeczywiście tak one brzmią, po czym patrząc w oczy Nurcihan, kieliszkiem wina wznosił toast za boską opatrność. Zdaniem Zaima, jednym z powodów, dla których konserwatywna postawa tej pary nie spotkała się z krytyką ze strony pozującej na zeuropeizowaną socjety lat siedemdziesiątych, ba! podchodzono do niej wręcz z szacunkiem, była panika, jaką wzbudziło zerwanie moich zaręczyn z Sibel. Nasz *casus* stał się najwidoczniej poważnym ostrzeżeniem dla młodych dziewczyn, żeby nie ufały zbyt łatwo mężczyznom. Jeśli to, co mi opowiadano, było prawdą, matki panien na wydaniu przestrzegały swe córki, by zachowywały ostrożność, jeśli nie chcą podzielić losu mojej narzeczonej. Ale być może przeceniam znaczenie swojej osoby. Stambul-ska socjeta była kręgiem tak małym, że człowiek żył w niej

\* Nedim, właśc. Ahmet (ok. 1681-1730) — poeta zaliczany do grona najwybitniejszych twórców epoki osmańskiej. Wprowadził do klasycznej literatury dywanowej elementy zaczerpnięte z poezji ludowej, zastąpił pieśniami i gazelami, w których opiewał uroki Stambułu.

\*\* Fuzuli, właśc. Mehmet bin Siileyman (1483-1556) — poeta tworzący w językach tureckim, perskim i arabskim, autor trzech dywanów (zbiórów poezji) oraz poematów, m.in. *Beng ii Bade* (*Haszysz i wino*, tłum. S. Płaskowicka-Rymkiewicz, Wrocław 1973).

jak w rodzinie i trudno mu było odczuwać jakiś szczególnie głęboki wstyd z powodu niegodnych postępów.

W dodatku w roku 1979 na dobre już przywykłem do mojego nowego życia, które toczyło się między domem, Keskinami, biurem oraz mieszkaniem w kamienicy Zmiłowanie. W kamienicy, wspominając szczęśliwe godziny spędzone z Fiisun, oddawałem się marzeniom i ze zdziwieniem pomieszanych z podziwem przyglądałem się swej nieustannie powiększanej kolekcji. Ciągłe dodawane do niej przedmioty stawały się powoli wskaźnikami intensywności mojego uczucia do Fiisun. Coraz częściej postrzegałem je nie jako „pocieszacze”, przypominające mi o pięknych chwilach, lecz jako namacalne dowody na istnienie huraganów targających moją duszą. Niekiedy zaczynałem się wstydzić, że w ogóle je zbieram, nie chciałem, żeby ktokolwiek je zobaczył — i nagle ogarniał mnie lęk na myśl, że jak tak dalej pójdzie, w ciągu kilku lat wypełnią wszystkie pokoje. Przynosiłem te przedmioty z domu Keskinów, by przypominały mi przeszłość, nie zastanawiając się zupełnie, co z nimi zrobię w przyszłości. Nie brałem pod uwagę tego, że mogą w końcu wypełnić nie tylko pokój, lecz całe mieszkanie, gdyż przez osiem lat wciąż marzyłem, że za kilka miesięcy, najdalej za pół roku, Fiisun wyjdzie za mnie za męża.

Ósmego listopada 1979 roku w gazecie „Akşam”, w poświęconej plotkom z życia „wyższych sfer” rubryce zatytułowanej „Życie towarzyskie”, ukazał się pewien artykuł. Jego treść przytaczam w tym oto miejscu:

#### WYŻSZE SFERY I FILM — PRÓŻNE RADY

*Szczycimy się tym, że pod względem liczby produkowanych filmów Turcja zajmuje na świecie trzecie miejsce, tuż za Hollywood i Indiami. Niestety, zaczynamy tracić tę pozycję. Lewicowy i prawicowy terror, z obawy przed którym ludzie przestali*



wychodzić wieczorami z domu, pełne seksu i przemocy filmy odstraszą tureckie rodziny od kin. Kinematografia turecka nie może znaleźć ani sponsorów, ani widzów. Dlatego właśnie teraz, bardziej niż kiedykolwiek przedtem, potrzebuje bogatych przedsiębiorców skłonnych zainwestować w Yeşilcam i kręcić „artystyczne” filmy. Niegdyś miłośnicy kina wywodzili się głównie spośród nowobogackich z prowincji, którzy pragnęli zawrzeć znajomości z urodziwymi młodymi aktorkami. Wbrew temu, co się sądzi, większość tych „artystycznych obrazów”, nad którymi piali z zachwytem nasi krytycy, nie dostała nawet nagrody pocieszenia na festiwalu organizowanym w jakiejś zapadłej miejscinie w Europie, ba!, nie została kiedykolwiek pokazana poza Turcją. Za to wielu nuworyszy przeżyło całkiem miłe przygody z „artystkami”. Tak było dawniej. Teraz panuje inna moda... Majętni miłośnicy kina przybywają do Yeşilcam nie po to, by kochać się z ładnymi aktorkami, ale by z dziewczyny, którą kochają, zrobić aktorkę. Dołączył do nich syn bardzo bogatej rodziny, jeden z najbardziej pożądanых kawalerów ze stambulskiej socjety, pan K. (imię jego niech pozostanie tajemnicą), który zakochał się w pewnej młodej mężatce — przedstawia ją jako swą „ubogą krewną” — i tak był o nią zazdrosny, że nie przystąpił do realizacji filmu, którego scenariusz zlecił dla niej napisać. Miał jakoby nawet powiedzieć: „Nie pozwolę, by całowała się z innym!”. Ani na chwilę nie odstępował młodej kobiecie i jej męża reżysera, szwenda się po barach w Yeşilcam i knajpach nad Bosforem z nieodłączną szklaneczką raki w ręku, a swej ładnej zameżnej ukochanej, początkującej aktorce, nie pozwala nawet wychodzić z domu. Kilka lat temu, podczas wspaniałej uroczystości w hotelu Hilton, którą relacjonowaliśmy na naszych łamach, w obecności śmietanki towarzyskiej Stambułu nasz młody bogacz zaręczył się z uroczą córką emerytowanego dyplomaty, lecz zerwał zaręczyny dla swej pięknej

*krewniej, z której obiecał zrobić gwiazdę. Ten lekkomyślny paniczek zniszczył reputację wykształconej, dystygowanej córki dyplomaty, dlatego nie wolno dopuścić, by zrobił to samo z E, śliczną młodą artystką, na której widok wszystkim rozpustnikom aż ślinka cieknie z ust. Nie chcemy zanudzać czytelników dydaktycznym smrodkiem, musimy jednak udzielić panu K. kilku rad: szanowny panie, w nowoczesnym świecie, po tym jak Amerykanie wylądowali na Księżycu, nie ma już mowy o „artystycznym filmie” bez sceny pocałunku. Niech pan weźmie sobie za żonę wiejską dziewczynę w chustce i zapomni o zachodniej sztuce filmowej. Albo niech daruje pan sobie plany zrobienia aktorki z dziewczyny, o którą jest pan tak zazdrosny, iż nie może znieść nawet tego, że inni na nią patrzą. Oczywiście jeśli zamiary pańskie ograniczają się jedynie do „zrobienia z niej artystki”...*

Artykuł przeczytałem rano tego samego dnia, gdy się ukazał, podczas śniadania z matką. Matka codziennie czytała od deski do deski dwie gazety, nie przepuściłaby zwłaszcza kolumny towarzyskiej. Gdy wyszła do kuchni, szybko wyrwałem stronę z artykułem i wepchnąłem do kieszeni.

— Znów coś ci jest — zawołała do mnie, gdy wychodziłem z domu. — Znowu masz humory.

W biurze starałem się być weselszy niż zwykle. Opowiedziałem dowcip pani Zeynep, chodziłem po korytarzu, gwizdząc gwizdkiem, pożartowałem ze starymi pracownikami, którzy siedzieli markotni i z braku zajęcia rozwiązywali krzyżówki w gazecie „Akgam”.

Ale po przerwie obiadowej z wyrazu ich twarzy, z przesadnie troskliwych i bojaźliwych spojrzeń pani Zeynep domyśliłem się, że wszyscy w firmie przeczytali już artykuł. Może się myślę — pocieszałem się jednak w duchu.

Zadzwoiła matka, powiedziała, że czekała na mnie z obiadem, szkoda, że nie przyszedłem. — Jak się masz, mój kochany? — spytała tym samym co zawsze głosem, ale jakby z większą troską. Od razu zorientowałem się, że dowiedziała się o artykule, przeczytała go i płakała (po płaczu jej głos jakby nabierał głębi), a widząc, że wyrwałem tę stronę, poznała, że ja też już o tym wiem.

— Na świecie nie brakuje podłych ludzi — stwierdziła.  
— Niczym się nie przejmuj.

— Co masz na myśli, mamusiu, nie rozumiem? — odpowiedziałem.

— Nic, synku.

Byłem pewien, że gdybym wtedy zaczął się jej wyżalać, na co miałem ochotę, najpierw oczywiście okazałyby mi miłość i zrozumienie, ale zaraz potem zaczęłyby mi wymawiać, że to moja wina, i próbowałyby poznać szczegóły mojego związku z Fiisun. Może rozpłakałyby się i stwierdziła, że ktoś rzucił na mnie urok: „Gdzieś w kącie domu, do pojemników z ryżem albo mąką, lub do szuflady w biurze ktoś podrzucił *muskę\**, nad którą przeczytano modlitwę i pochuchano, żeby sprawiła, byś się zakochał, poszukaj i jeśli znajdziesz, spal natychmiast!“. Ale z tego, że nie dzieliła mojego smutku, a co ważniejsze, nie poruszyła w ogóle drażliwego tematu, wywnioskowałem, że bardzo ją to wszystko, czego się dowiedziała, przygnębiło. Starła się jednak wczuć w moją sytuację. Czy dawała mi w ten sposób do zrozumienia, w jak poważnych kłopotach się znajdowałem?

Jak bardzo pogardzali mną ci, którzy czytali w tym momencie „Akşam“, jak śmiali się ze mnie, namiętnego kochanka

\* *Muska* — wypisane atramentem na skrawku papieru cytaty z Koranu lub modlitwy, mające przede wszystkim zapewniać zdrowie i chronić przed złymi duchami, lecz mogące także służyć do rzucania uroku.

i głupka, jak dalece wierzyli szczegółom podanym przez gazetę? Stale się nad tym zastanawiałem, niepokojąc się jednocześnie. Po rozmowie z matką przyszło mi na myśl, żeby zadzwonić do Feriduna i poprosić go o ukrycie przed żoną i teściami tego numeru gazety. Zrezygnowałem jednak z tego pomysłu. Po pierwsze, obawiałem się, że nie zdołam go do tego namówić. Drugim, znacznie poważniejszym powodem było to, że choć narażałem się na pogardę i nader lekceważące traktowanie, byłem nawet zadowolony z ukazania się tego artykułu. Starałem się ukryć przed samym sobą tę satysfakcję, lecz dziś, po latach, widzę ją bardzo wyraźnie: mój związek z Fiisun, nasza zażyłość zostały opisane w gazecie, a więc w pewnym sensie zaakceptowane przez społeczeństwo! Wszystko, o czym pisano w rubryce towarzyskiej, a już szczególnie złośliwe komentowanie kompromitujących sytuacji stawało się na długie miesiące tematem rozmów. Starałem się wmówić sobie albo po prostu wyobrazić, że te plotki to początek pewnego procesu, w którego rezultacie z poślubioną Fiisun u boku wrócę do towarzystwa.

Były to jednak tylko marzenia, próby znalezienia pociechy w nieszczęściu. Czułem, że przez te plotki, kłamliwe opowieści na mój temat staję się innym człowiekiem. Jakbym nie był już facetem, który przez swój temperament, własne decyzje doprowadził do tego, że jego życie przybrało tak dziwny kształt, lecz kimś, kto z powodu artykułu w gazecie został wykluczony ze środowiska.

Widniejące pod tekstem inicjały „B.G.” bez wątplenia oznaczały Białego Goździka. Byłem zły na matkę, że zaprosiła go na zaręczyny, przepełniała mnie wściekłość na Tahira Tana, uważałem bowiem, że był on źródłem niektórych informacji („Nie pozwolę, by całowała się z innym”). Jakże chciałem znaleźć się z Fiisun sam na sam i porozmawiać, wraz z nią obrzucić

przekleństwami naszych wrogów, pocieszyć ją i wysłuchać jej słów pociechy! Powinniśmy pójść do Pergaminu i ostentacyjnie pokazać się razem. I Feridun też powinien z nami pójść! Tylko w ten sposób mogliśmy zaświadczyć, że artykuł jest podłym kłamstwem, i zamknąć usta nie tylko pijanym filmowcom, lecz także znajomym z towarzystwa, którzy na pewno czytali go z satysfakcją.

Ale choć wyteżałem całą wolę, tamtego wieczoru nie byłem w stanie wybrać się do Keskinów. Ciocia Nesibe z pewnością zachowywałaby się tak, by mnie nie urazić, a wujek Tank udawałby, że o niczym nie wie, nie miałem jednak pojęcia, co się stanie, gdy spojrzę w oczy Fiisun. Być może zdamy sobie sprawę, że artykuł dotknął nas oboje. A to z jakiegoś powodu wydało mi się przerażające. W tej samej chwili uświadomiłem sobie jeszcze jedno: jeżeli spojrzymy sobie w oczy, zrozumieemy, że insynuacje zawarte w artykule są w gruncie rzeczy prawdą!

Tak, niektóre podane w artykule informacje były jednak, jak czytelnik na pewno zauważył, błędne — nie zerwałem przecież zaręczyn z Sibel po to, by zrobić z Fiisun gwiazdę filmową, nie zleciłem też Feridunowi napisania scenariusza. Ale to jedynie szczegóły. Zainteresowani plotkami czytelnicy gazety od razu domyśla się prawdy, ta zaś bynajmniej nie była skomplikowana: powodem mojej kompromitacji była miłość, jaką żywiłem do Fiisun, i to, co z tej miłości zrobiłem! Stałem się pośmiewiskiem, obiektem kpin, w najlepszym razie patrzono na mnie z politowaniem. I to, że w wąskim kręgu stambulskiej socjety wszyscy się znali, że jej członkowie nie byli ani szczególnie bogaci, ani nie mieli niepodważalnych zasad i ideałów, w niczym nie umniejszało mojego wstydu, wręcz przeciwnie, jeszcze mocniej uwidaczniało moją głupotę i nieporadność. Miałem szczęście urodzić się w bogatej rodzinie w biednym

kraju, lecz przez swą bezmyślność straciłem szansę na wygodne, beztroskie życie na przyzwoitym poziomie, dar, który Bóg rzadko zsyła mieszkańcom tej części świata. Zdawałem sobie sprawę, że jedynym wyjściem z tej sytuacji jest poślubienie Fiisun, uporządkowanie życia zawodowego i po zarobieniu dużych pieniędzy tryumfalny powrót w szeregi socjety, nie znajdowałem jednak w sobie dość sił na realizację tego planu, a poza tym już na dobre znienawidziłem to środowisko. Wiedziałem też, że atmosfera w domu Keskinów po ukazaniu się artykułu nie będzie dla mnie zbyt sprzyjająca.

W położeniu, do którego zaprowadziły mnie miłość i wstyd, nie pozostawało mi nic innego, jak zamknąć się w sobie i siedzieć cicho. Przez tydzień chodziłem co wieczór samotnie do kin Konak, Site oraz Kent i oglądałem amerykańskie filmy. Zwłaszcza w tak pozbawionych nadziei czasach jak nasze, kino zamiast realistycznego obrazu smutnej rzeczywistości, nieustannie wydarzających się nieszczęść powinno pokazywać widzowi inny, szczęśliwszy świat. Ilekroć podczas seansu zdołałem się utożsamić z którymś z bohaterów filmu, moje własne problemy wydawały mi się mocno wyolbrzymione. Dochodziłem do wniosku, że przeceniam wagę tego nędznego artykułu, że mało kto rozpozna mnie w owym wyśmiewanym człowieku, i to mnie uspokajało. Trudniej było mi zapanować nad pragnieniem sprostowania licznych kłamstw, które znalazły się w gazecie. Mój umysł zupełnie sobie z tym nie radził. Z bólem wciąż sobie wyobrażałem, że wszyscy z rozbawieniem rozmawiają o mojej historii, że niektórzy z udawanym smutkiem opowiadają ją tym, którzy jeszcze jej nie poznali, ubarwiając opowieść wymyślonymi, przejawskrawionymi szczegółami. I byłem pewien, że wszyscy ochoczo wierzą w te kłamstwa, na przykład w to, że zerwałem zaręczyny z Sibel, bo obiecałem Fiisun zrobić z niej artystkę. W takich chwilach miałem żal do

siebie, że byłem na tyle głupi, by stać się obiektem szyderstw redaktora rubryki towarzyskiej, a co gorsza, sam zaczynałem wierzyć w niektóre wymyślone przez niego bzdury.

W mojej głowie szczególnie mocno tkwiło zdanie: „Nie pozwolę, byś całowała się z innym!”. W chwilach rozpacz nabierałem przekonania, że z tego właśnie najbardziej będą się śmiać, i to najmocniej pragnąłem sprostować. Irytowało mnie, że zostałem przedstawiony jako rozpuszczony złoty młodzian z bogatej rodziny. Ci, którzy mnie znają, powinni uznać to za kłamstwo, ale w słowa: „Nie pozwolę, byś całowała się z innym!”, będą skłonni uwierzyć, gdyż mimo usilnych starań, by nadać za europejskim stylem, było w moim zachowaniu coś, co czyniło wypowiedzenie tych słów prawdopodobnym; czasami zastanawiałem się nawet, czy po pijanemu albo w żartach nie powiedziałem Fiisun czegoś w tym rodzaju. Bo nawet gdyby wymagały tego względy wyłącznie artystyczne, nie chciałem, by całowała się z innym.

## 64. POŻAR NA BOSFORZE

Nad ranem 15 listopada 1979 roku w naszym domu w Nişantaşı matkę i mnie obudził odgłos bardzo głośnej eksplozji. W panice wyskoczyliśmy z łóżek i w przedpokoju chwyciliśmy się w ramiona. Cały budynek zadrżał jak podczas trzęsienia ziemi. Sądziliśmy, że gdzieś w pobliżu alei Teşvikiye wybuchła jedna z bomb, które w tamtych czasach często podkładano w kawiarniach, księgarniach czy na placach, ale po drugiej stronie Bosforu, gdzieś w okolicach Uskudaru, dostrzegliśmy wzbijające się w niebo płomienie. Przez chwilę obserwowaliśmy pożar, różowiejące od ognia niebo, po czym położyliśmy się z powrotem spać, wszak przyzwyczajeni byliśmy już do bomb i politycznego terroru.

Pożar wybuchł, gdy na wysokości Haydarpaşa rumuński tankowiec zderzył się z niewielkim statkiem greckim i eksplodowała wylewająca się z niego ropa. Następnego dnia ukazały się specjalne wydania gazet i wszyscy mówili tylko o katastrofie. Pokazywano sobie chmury gęstego dymu wiszące nad miastem jak czarny parasol i powtarzano, że Bosfor płonie. Podob-



nie jak pracownicy i zrezygnowana kadra kierownicza spółki Satsat głęboko przeżywałem wypadek i starałem się przekonać samego siebie, że to doskonały pretekst, by pójść wieczorem na kolację do Keskinów. Moglibyśmy siedzieć przy stole i nie wspominając słowem o artykule, rozmawiać wyłącznie o pożarze. Ale jak w głowach większości mieszkańców Stambułu, tak i w mojej ogień na Bosforze zlał się w jedno z zamachami politycznymi, galopującą inflacją, kolejkami w sklepach, nędzą i zacofaniem kraju, stając się jednocześnie ich obrazem i symbolem. Czytając w specjalnych wydaniach gazet informacje o wypadku, myślałem w gruncie rzeczy o katastrofie, jaka nastąpiła w moim własnym życiu, a nawet czułem, że jedynie ze względu na nią sprawa pożaru tak szczerze mnie zajmuje.

Wieczorem wybrałem się do Beyoglu. Szedłem aleją Niepodległości, dziwiąc się pustce, jaka panowała dookoła. Oprócz kilku mężczyzn niespokojnie spacerujących przed kinami Saray i Fitaş, gdzie pokazywano tanie filmy erotyczne, na ulicy nie było żywej duszy. Na placu Galatasaray przez głowę przemknęła mi myśl, że jestem bardzo blisko domu Fiisun. Być może oni też wybrali się na przechadzkę po Beyoglu, jak to mieli w zwyczaju latem, gdy całą rodziną szli na lody. Mógłbym ich tu spotkać. Ale nigdzie nie widziałem ani jednej rodziny, ani jednej kobiety. Dotarwszy do Tunelu, przestraszyłem się, że mogę wpaść w sferę przyciągania ich domu, skierowałem się więc w przeciwną stronę. Minąwszy wieżę Galata, ruszyłem w dół schodami Yiiksekkaldinm. Na rogu ulicy, przy której znajdowały się burdele, jak zawsze kręciło się wielu mężczyzn. Jak wszyscy w mieście oni też patrzyli w górę, na czarne chmury i pomarańczową łunę na niebie.

W tłumie ludzi obserwujących z daleka pożar ruszyłem przez most Galata. Łowiący ryby wędkarze również wpatrywali się w płomień. Nogi same zanosły mnie do parku Giilhane.

Latarnie albo zostały porozbijane kamieniami przez wandali, albo nie paliły się z braku prądu, mimo to było jasno jak w dzień — rozległy park, pałac Topkapi, wejście do cieśniny, Uskiidar, przystań Salacak, wieżę Leandra oświetlał ogień z płonącego tankowca. Jasność biła nie tylko bezpośrednio od pożaru, lecz także odbijała się od chmur i zalewała wszystko dookoła łagodną poświatą, jak przenikające przez abażur światło lampy w salonie umeblowanym w europejskim stylu. Nawet tłum wydawał się w niej spokojniejszy i mniej przynębiony. Albo gapienie się na pożar uszczęśliwiało wszystkich. Bogaci, biedni, ciekawscy, ogarnięci obsesją ściągnęli tu samochodami, autobusami, na piechotę ze wszystkich dzielnic miasta. Spotykałem staruszki w chustkach, młode matki przytulone do mężów kołyszących w ramionach dzieci, bezrobotnych wpatrujących się w ogień jak urzeczeni, rozdokazywane dzieci, ludzi podziwiających widowisko, słuchających muzyki w samochodach, krążących z tacami sprzedawców obwarzanków, chałwy, faszerowanych omułków, wątróbki po albańsku, *lahmacunów*\* i herbaty. Z rozstawionych wokół pomnika Atatiirka przenośnych piecyków na kółkach, gdzie smażyły się *kófte* i kiełbaski, unosił się apetycznie pachnący dym. Dzieciaki sprzedające *ayran* czy lemoniadę (zefira nie mieli) głośno zachęcały do kupna napojów, zamieniając park w istny bazar. Kupiłem herbatę i gdy zwolniło się miejsce na jednej z ławek, usiadłem, po czym wraz z bezzębnym starym kloszardem patrzyłem z zadowoleniem na ogień.

Co wieczór przez tydzień, dopóki pożar nie stracił na sile, przychodziłem do parku. Płomienie, które wydawały się już przygasać, niekiedy strzelały nagle w górę z wielką siłą, jak pierwszego dnia, a wtedy pomarańczowe cienie przesuwwały się

\* *Lahmacun* — rodzaj placka posmarowanego pikantnym sosem.

po twarzach gapiów, na których malowały się strach i podziw. Czasami pomarańczowy, czasami purpurowy blask oświetlał nie tylko wejście do cieśniny, lecz także stację kolejową Haydarpaşa, koszary Selimie, zatokę Kadıköy. Na ten widok wraz z innymi zastygałem w niemym zachwycie. Po chwili dawał się słyszeć huk eksplozji, spadał deszcz żarzących się odłamków lub płomienie przygasały bezgłośnie. Obserwujący widowisko wzdychali z ulgą i zaczęli rozmawiać, jeść i pić.

Pewnego razu w tłumie wypełniającym park Gulhane natknąłem się na Mehmeta i Nurcihan, ale uciekłem, zanim mnie dostrzegli. Pragnąłem zobaczyć Fiisun i jej rodziców, zapewne dlatego przychodziłem tam co wieczór — uświadomiłem to sobie, gdy wziąłem za nich jakąś rodzinę złożoną z trzech osób, których sylwetki wydały mi się znajome. Tak jak wtedy, latem 1975 roku — od tamtej pory minęły już cztery lata — widok kobiety podobnej do Fiisun przyprawiał mnie o szybsze bicie serca. Keskinowie wydawali mi się rodziną, która głęboko wierzy, że katastrofy tylko jeszcze mocniej wiążą ze sobą ludzi. Powiniennem pójść do nich, zanim ogień na rumuńskim tankowcu „Independenta” wygaśnie, powiniennem łączyć się z nimi w nieszczęściu i zapomnieć o wszelkich złych rzeczach z przeszłości. Czy pożar mógłby stać się dla mnie początkiem nowego życia?

Innego wieczoru, pogrążony w rozmyślaniach, szukałem właśnie wolnego miejsca, by usiąść, gdy spotkałem Tayfuna i Figen. Dosłownie wpadliśmy na siebie, więc o ucieczce nie było mowy. Nie wspomnieli słowem o artykule w „Akşam” ani o tym, co mówiono w towarzystwie, ważniejsze jednak, zachowywali się tak, jakby nie słyszeli żadnych plotek, i to wprawiło mnie w tak dobry humor, że razem z nimi opuściłem park i w jednym z nowo otwartych barów wokół placu Taksim piliśmy do rana.

Nazajutrz, w niedzielę, przeleżałem cały dzień w łóżku, obiad zjadłem w domu z matką. Byłem w świetnym humorze, wesoły, pełen nadziei, wręcz szczęśliwy. Wieczorem poszedłem do Keskinów. Moja radość prysła jednak, gdy tylko przestąpiłem próg i spojrzałem w oczy Fiisun — dostrzegłem w nich smutek, zniechęcenie, ból.

— Co słyhać, Kemalu? — spytała tonem szczęśliwej, pewnej siebie kobiety, za jaką chciała uchodzić. Ale udawanie nie wypadło przekonująco, widać było, że sama nie czuje się z tym dobrze.

— Nic takiego — odparłem nie zrażony. — Fabryka, firma, mam tyle roboty, że nie mogłem przyjść wcześniej.

W tureckich filmach, gdy bohater i bohaterka zaczynają darzyć się sympatią, jakaś starsza kobieta rzuca na nich znaczące, promieniejące szczęściem spojrzenie, żeby nawet najmniej uważny widz zrozumiał sytuację i się wzruszył. I właśnie w ten sposób ciocia Nesibe spojrzała na mnie i Fiisun. Lecz zaraz potem odwróciła wzrok, z czego wywnioskowałem, że artykuł, podobnie jak wcześniej zaręczyny, sprawił im przykrość, a Fiisun płakała przez niego całymi dniami.

— Córeczko, podaj gościowi *raki* — powiedział wujek Tank.

Zawsze darzyłem go głębokim szacunkiem za to, że od trzech lat udawał, iż o niczym nie wie, że przyjmował mnie serdecznie jak krewnego, który po prostu przychodzi wieczorami z wizytą. Teraz jednak irytowało mnie i dziwiło, że potrafił pozostać tak obojętny wobec głębokiego bólu własnej córki, mojej bezradności i całej sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy. Powiem otwarcie to, co przychodziło mi do głowy już wcześniej, lecz nie chciałem się do tego przyznać nawet przed samym sobą: według wszelkiego prawdopodobieństwa wujek Tank domyślał się, po co do nich przychodzę, lecz pod wpływem

nacisków żony uznał udawanie, iż się niczego nie widzi, za korzystniejsze z punktu widzenia dobra rodziny.

— Tak, pani Fiisun — oświadczyłem ze sztucznością w głosie podobnie jak jej ojciec. — Proszę podać mi jak zwykle moją *raki*, bym poczuł radość ze znalezienia się z powrotem w domu.

Nawet dziś nie potrafię wyjaśnić, skąd wzięły się te słowa, co miałem na myśli, w jakim celu je wypowiedziałem. Przyjmijmy, że dałem wyraz temu, jak bardzo czuję się nie-szczęśliwy. Ale Fiisun zrozumiała, jakie uczucia kryły się za tymi słowami, i przez moment wydawało się, że wybuchnie płaczem. Mój wzrok padł na kanarka w klatce. Przypomniałem sobie przeszłość, moje życie, upływ czasu, mijające lata.

Ten okres wspominam najgorzej. Fiisun nie zdołała zostać gwiazdą, a ja nie mogłem się do niej zbliżyć. W dodatku, tkwiąc w impasie, zostaliśmy poniżeni, skompromitowani. Tak jak kiedyś ogarniała mnie niemoc, gdy trzeba było „wstać i wyjść”, tak i teraz czułem, że nie zdołamy „wstać i wyjść” z tej sytuacji. I oboje przeczuwaliśmy, że dopóki będę widywał Fiisun cztery, pięć razy w tygodniu, ani ja, ani ona nie będziemy w stanie zbudować innego życia.

Tamtego wieczoru, pod koniec kolacji, jak zawsze szczerze odezwałem się do Fiisun:

— Minęło sporo czasu, ciekaw jestem, jak tam portret turkawki?

— Już dawno go skończyłam — odpowiedziała. — Feridun znalazł bardzo ładne zdjęcie jaskółki, teraz zabrałam się do niej.

— Jaskółka wychodzi ci najładniej — wtrąciła ciocia.

Przeszliśmy do drugiego pokoju. Podobnie jak pozostałe stambulskie ptaki, przedstawione przez Fiisun na balustradzie balkonu, parapecie czy kominie, delikatna jaskółka na obrazku

została umiejscowiona tuż za oknem wykuszu w jadalni. W tle, w dziwnej, jakby dziecięcej perspektywie, widać było wspinającą się na szczyt wzgórza brukowaną aleję Cukurcuma.

— Jestem z ciebie dumny — oświadczyłem. Choć powiedziałem to szczerze, w moim głosie brzmiała nuta przegranej. — Cały Paryż powinien kiedyś zobaczyć twoje obrazki! — W rzeczywistości miałem jak zawsze ochotę powiedzieć coś w rodzaju: „Moja najdroższa, bardzo cię kocham, stęskniłem się za tobą, przebywanie daleko od ciebie sprawia mi ogromny ból, jestem taki szczęśliwy, że cię widzę!”. Lecz niepełność świata na obrazku stała się niepełnością świata rzeczywistego i z przykrością dostrzegłem banalność, naiwność dzieła Fiisun.

— Bardzo ładnie ci wyszło — powiedziałem powoli, jednocześnie czując gdzieś głęboko w sobie ból.

Powiedziałbym, że w portrecie jaskółki było coś, co przypominało miniatury indyjskie powstałe pod wpływem malarstwa angielskiego, japońskie lub chińskie drzeworyty, naturalistyczne ryciny Audubona\*, a nawet obrazki z serii poświęconej ptakom, dołączane do sprzedawanych w Stambule czekoladowych wafelków. Proszę jednak mieć przy tym na uwadze fakt, że byłem zakochany.

Przyjrzałem się widokom miasta stanowiącym tło dla malowanych przez Fiisun ptaków. Budziły we mnie nie radość, lecz smutek. Kochałem te miejsca, byłem ich częścią, i być może dlatego naiwność obrazków tak mnie krępowała.

— Choć raz namalowałabyś miasto, domy nieco żywszymi kolorami...

— Co za różnica, mój drogi? Tak tylko zabijam czas... — odpowiedziała Fiisun.

\* **John James Audubon (1785-1851)** — amerykański ornitolog i malarz, autor niezwykle dokładnych wizerunków ptaków.

Odłożyła obrazek na bok. Pożądliwie popatrzyłem na pudeł-  
ka z farbami, pędzle, buteleczki, upstrzone różnokolorowymi  
plamami szmatki. Wszystko było starannie ułożone, tak samo  
jak obrazki. Dalej leżały materiały i przybory krawieckie cioci  
Nesibe. Wsunąłem do kieszeni porcelanowy naporstek i po-  
marańczową pastelową kredkę, którą chwilę wcześniej Fiisun  
nerwowo obracała w rękę.

Właśnie wtedy, w te najgorsze, mroczne miesiące końca  
1979 roku, podkradłem u Keskinów najwięcej rzeczy. Stały  
się one dla mnie nie tyle przypomnieniem pięknych chwil,  
ile symbolem przeżytych momentów, stanowiły ich część. Tak  
jak te oto pudełka zapalek, które eksponuję w Muzeum Nie-  
winności... Każdego z nich dotknęła dłoń Fiisun, przesiąkły  
zapachem jej ręki i ledwo wyczuwalnym aromatem wody róża-  
nej. Potem, gdy w mieszkaniu matki w kamienicy Zmiłowanie  
brałem do ręki jedno z tych z pudełek bądź inne eksponaty  
wystawione w moim muzeum, przeżywałem ponownie przy-  
jemność siedzenia z Fiisun przy jednym stole, patrzenia jej  
w oczy. Ale ze szczęściem, jakiego doznawałem w chwili, gdy  
niby nieświadomie wsuwałem do kieszeni zabrane ze stołu za-  
pałki, wiązało się coś jeszcze — radość z uszczknięcia jakiejś,  
choćby najmniejszej, części osoby, którą obsesyjnie kochałem,  
lecz której nie mogłem „zdobyć”.

„Uszczknięcie” odnosiło się oczywiście do wielbionego  
ciała ukochanej, lecz w ciągu trzech lat jej matka, ojciec, stół,  
przy którym jedliśmy kolację, piec, wiadro na węgiel, figurki  
śpiących psów na telewizorze, flakony wody kolońskiej, pa-  
pierosy, szklaneczki do *raki*, cukiernice, wszystko w domu  
w Cukurcumie powoli stawało się w moim umyśle częścią  
pojęcia „Fiisun”. Tak szczęśliwy byłem, widząc ją, mogąc ją  
widzieć trzy, cztery razy w tygodniu. Doznawałem uczucia  
tryumfu, g d y zabierałem (słowo „przywłaszczać” nie jest tu na

miejscu) z domu Keskinów — to znaczy z życia Fiisun — kilka, czasami trzy, cztery, czasami sześć, siedem, a w najgorszych dla mnie momentach przygnębienia nawet dziesięć, piętnaście drobnych przedmiotów, i zanosilem je do kamienicy Zmiłowanie. Jednym ruchem wrzucić w mgnieniu oka do kieszeni jakąś rzecz należąca do Fiisun, na przykład solniczkę, którą delikatnie trzymała w dłoni, gdy w zamyśleniu wpatrywała się w ekran telewizora, i potem rozmawiając, pijąc powoli *raki*, mieć świadomość, że solniczka jest w mojej kieszeni, że „jest już moja”, było dla mnie takim szczęściem, iż bez większego trudu mogłem podnieść się z fotela i wyjść. Z końcem lata 1979 roku zabieranie rzeczy w znacznym stopniu złagodziło nękające mnie ataki niezdolności do opuszczenia ich domu.

Był to najgorszy czas zarówno dla Fiisun, jak i dla mnie. Po latach, gdy los zetknął mnie z dziwnymi, dręczonymi obsesjami, nieszczęśliwymi stambulskimi kolekcjonerami, gdy bywałem w ich domach wypełnionych po sufit szpargałami, papierami, pudełkami, fotografiami i próbowałem wyobrazić sobie, co ci moi bracia czują, zbierając kapsle od butelek czy zdjęcia aktorów, czym jest dla nich każdy nowy okaz do kolekcji, przypominałem sobie, jak ja się czułem, zabierając przedmioty z domu Keskinów.



## 65. PSY

Wiele lat po opisywanych tu wypadkach odbyłem kilka podróży, by zwiedzić muzea na świecie. Całymi dniami oglądałem liczące dziesiątki tysięcy dziwnych przedmiotów kolekcje zgromadzone w Peru, Indiach, Niemczech, Egipcie i innych krajach, wieczorami zaś wychylałem kieliszek czy dwa i wyruszałem na długie, samotne spacery. W Limie, Kalkucie, Hamburgu, Kairze i innych miastach podglądałem przez otwarte okna, rozchylone zasłony, jak rodziny jedzą kolację, wpatrując się w telewizor, jak rozmawiają, śmieją się, wstępowałem do ich domów pod byle pretekstem, a nawet robiłem sobie z gospodarzami wspólne zdjęcia. Dzięki temu zauważyłem, że w większości domów na telewizorze, przed którym ludzie zasiadają wieczorami, ustawione są figurki psów. Dlaczego miliony rodzin w każdym niemal zakątku świata odczuwają potrzebę ustawienia na odbiorniku takiego właśnie bibelotu?

Pytanie to zadałem sobie po raz pierwszy w domu Keskinów. Porcelanowy piesek, którego spostrzegłem od razu podczas pierwszej wizyty jeszcze w mieszkaniu przy ulicy Kuyulu

Bostan w Nişantaşı, jak się później dowiedziałem, w epoce przed pojawieniem się telewizji stał na odborniku radiowym, przy którym rodzina Keskinów zbierała się wieczorami. Wszędzie pod pieskiem, tak jak to widziałem w Tebrizie, Teheranie, na Bałkanach, w miastach na Wschodzie, w Lahore, a nawet w Bombaju, leżała ręcznie haftowana serwetka. Obok figurki stawiano czasami wazon lub muszlę (pewnego razu Fiisun z uśmiechem przytknęła mi ją do ucha, bym posłuchał szumu oceanu) albo opierano pieska o pudełko z papierosami, niby że go pilnuje.

Sądziłem, że w domu Keskinów te tajemnicze kompozycje, sprawiające wrażenie, iż zwierzę zaraz ożyje i skoczy, są dziełem cioci Nesibe, lecz pewnego wieczoru w grudniu 1979 roku byłem świadkiem, jak Fiisun, w którą wpatrywałem się z zachwytem, przestawiła figurkę stojącą na telewizorze. Zrobiła to gestem zniecierpliwienia, gdy wszyscy czekaliśmy przy stole na kolację, choć ani w telewizji, ani w samej figurce nie było niczego, co mogłoby przyciągnąć jej uwagę. I nie wyjaśniało to wcale, dlaczego pies został tam umieszczony. W późniejszych latach ustawiła w tym miejscu jeszcze jednego psa, jako podporę dla pudełka z papierosami. W pewnym momencie pojawiły się dwa plastikowe psy kiwające głowami, takie jakie często kładziono na tylnej półce w taksówkach i dolmuszach, lecz wkrótce potem znikły. Ta niespodziewana ruchliwość psów, na których temat nie rozmawiano niemal wcale, była wynikiem mojego, coraz jawniej okazywanego zainteresowania przedmiotami w domu Keskinów. Gdy na telewizorze pojawiały się coraz to nowe pieski, ciocia Nesibe i Fiisun wiedziały albo domyślały się, że to ja zabrałem poprzednie, tak jak inne rzeczy.

Tak naprawdę nie chciałem, by ktoś wiedział o mojej „kolekcji” czy o nawyku zabierania i gromadzenia, wstydziałem się tego, co robiłem. Po pierwszych, niepozornych przedmiotach,

takich jak pudełka zapałek, niedopałki papierosów Fiisun, solniczki, szpilki i spinki do włosów, przysłała kolej na rzeczy poważniejsze — popielniczki, filiżanki, kapie. Zacząłem wtedy przynosić w ich miejsce inne rzeczy.

— Poprzednim razem rozmawialiśmy o psie stojącym na telewizorze. Był u mnie. Nasza Fatma chciała go odstawić, ale upuściła i stłukła! W zamian przyniosłem tego, ciociu, zobaczyłem go w sklepie na Bazarze Egipskim, gdy kupowałem dla Cytrynki karmę i nasiona rzepy...

— Ach, jaki ładny z tymi czarnymi uszami! — zachwyciła się ciocia. — Prawdziwy podwórzowy burek... Ty, czarnouchy, ty... Siądź tu sobie, pilnuj nas, biedaku...

Wzięła ode mnie psa i postawiła na odbiorniku. Niektóre figurki napawały nas spokojem, jak tykanie zegara wiszącego na ścianie. Czasami wyglądały groźnie, czasami były brzydkie i niesympatyczne, ale gdy stały na straży, czuliśmy się bezpiecznie. Nocami słychać było odgłosy wystrzałów i świat poza domem wydawał się coraz bardziej niebezpieczny. Czarnouchy był najmiłym z psów, jakie w ciągu ośmiu lat pojawiły się u Keskinów na telewizorze.

Dwunastego września 1980 roku dokonano w Turcji kolejnego przewrotu. Wiedziony przecuciem, wstałem tego dnia wcześniej niż wszyscy i ujrzałem, że aleja Teşvikiye i inne ulice są kompletnie puste — jak przystało na kogoś, kto od dzieciństwa co dziesięć lat był świadkiem zamachu stanu, od razu wiedziałem, co się wydarzyło. Co chwila przejeżdżały ciężarówki wypełnione śpiewającymi bojowe pieśni żołnierzami. Włączyłem telewizor, popatrzyłem na flagę i zmianę warty, posłuchałem przemówień generałów, którzy przejęli władzę, i wyszedłem na balkon. Opustoszała aleja Teşvikiye, pogrążone w ciszy miasto, szelest poruszanych lekkim wiatrem liści kasztanowców rosnących na dziedzińcu meczetu miały

swój urok. Dokładnie pięć lat temu, po przyjęciu (na koniec lata), o tej samej porze, z tego samego balkonu, podziwialiśmy z Sibel podobny widok.

— Dobrze się stało, kraj znajdował się na krawędzi przepaści — oświadczyła matka, słuchając płynących z telewizora patriotycznych pieśni w wykonaniu wąsatego pieśniarza. — Tylko czemu wpuścili na wizję tego paskudnego wsiowego wyjca?! Bekri dziś już nie przyjdzie, Fatmo, ty coś ugotujesz. Co tam mamy w lodówce?

Zakaz opuszczania domów obowiązywał cały dzień. Ulicami pędziły wojskowe samochody — domyślaliśmy się, że wiele osób, polityków, dziennikarzy, zostało aresztowanych, i dziękowaliśmy Bogu, że nie byliśmy w nic zamieszani. Ukazały się nowe wydania gazet, w których wyrażano radość z zamachu. Cały dzień, aż do wieczora, przesiadziałem z matką, oglądając w telewizji wciąż powtarzane przemówienia generałów i archiwalne materiały o Atatiirku, czytając gazety i podziwiając z okna urodę opustoszałych ulic. Byłem ciekaw, co słyhać u Fiisun, jaki nastrój panuje w domu w Cukurcumie. Krążyły pogłoski, że podczas wojskowego zamachu stanu w 1971 roku w niektórych dzielnicach dokonywano przeszukań domów.

— Wreszcie będzie można spokojnie chodzić po ulicach — ucieszyła się matka.

W związku z zamachem i zakazem wychodzenia z domu po dziesiątej wieczór kolacje w domu Fiisun straciły urok. Na jedynym oglądanym przez cały kraj kanale telewizyjnym w porze „Wiadomości” generałowie strofowali nie tylko polityków, lecz także naród. Wiele osób zamieszanych w terroryzm zostało dla przestrogi osądzonych w trybie przyspieszonym i skazanych na śmierć. Gdy podawano wiadomości o wykonaniu wyroków, przy stole u Keskinów zapadała cisza. W takich momentach czułem, że jestem bliżej Fiisun, że stanowią część

jej rodziny. Wtrącano do więzienia nie tylko polityków i przedstawicieli postępowej inteligencji, lecz także oszustów, osoby, które naruszyły przepisy ruchu drogowego, oraz te, które wypisywały hasła na murach, właściciele burdeli, producentów i dystrybutorów filmów porno, ludzie oferujących nielegalną grę w loteryjkę i sprzedawców papierosów z przemytu. Nie wyłączano wprawdzie długowłosych młodzieńców o wyglądzie hippisów i nie golono im głów, jak po ostatnim przewrocie, ale wielu wykładowców uniwersyteckich wyrzucono z pracy. Bar Pergamin opustoszała. Ja też postanowiłem uporządkować swoje życie, mniej pić, mniej się kompromitować z powodu miłości, a przynajmniej poskromić nieco swoją obsesję gromadzenia przedmiotów.

Nie minęły dwa miesiące od zamachu, gdy któregoś wieczoru znalazłem się w kuchni sam na sam z ciocią Nesibe. Aby móc dłużej widzieć Fiisun, zacząłem przychodzić do Keskinów o wcześniejszej porze.

— Mój kochany Kemal, ten czarnouchy piesek z telewizora, ten, którego przyniosłeś, zniknął... Przyzwyczailiśmy się do niego, od razu dało się zauważyć jego brak. Nie mam pojęcia, co się z nim stało, może sam gdzieś poleciał... — zaśmiała się wesoło, lecz zaraz spoważniała, widząc moją ponurą minę. — Co zrobimy? — spytała. — Pan Tarik stale się dopytuje, gdzie jest ten pies.

— Coś wymyślę — odpowiedziałem.

Przez cały wieczór nie odezwałem się ani słowem. Lecz mimo milczenia — albo właśnie z jego powodu — znowu nie mogłem wstać i wyjść. Zbliżała się godzina policyjna, a ja przeżywałem właśnie atak „niemocy”. Wydaje mi się, że Fiisun i jej matka zauważyły, jak poważny jest mój stan. Ciocia kilkakrotnie napomniała mnie: — Tylko się nie spóźnij! — Udało mi się wyjść dopiero pięć po dziesiątej.

Choć obowiązywała już godzina policyjna, w drodze powrotnej nikt nas z *Cetinem* nie zatrzymał. Długo zastanawiałem się nad znaczeniem psów w tym domu i tego, że najpierw je przynosiłem, a potem zabierałem. Cioci Nesibe tylko się wydawało, że od razu zauważyli brak figurki. Spostrzegli to dopiero po jedenastu miesiącach, co miało, jak sądzę, związek z wywołaną przez zamach chęcią wprowadzenia ładu i porządku.

Pieski siedzące lub śpiące na serwetce na telewizorze były prawdopodobnie pozostałością po epoce radia. Gdy wspólnie słuchano audycji, twarze wszystkich mimowolnie zwracały się w stronę odbiornika, a oczy szukały czegoś uspokajającego, pozwalającego oprzeć na czymś wzrok. I gdy radio ustąpiło miejsca telewizorowi, który stał się *mihraham*\* życia rodzinnego, psy zostały przeniesione z jednego sprzętu na drugi, a nasze wpatrzone w ekran oczy przestały dostrzegać ich obecność. Mogłem zabrać je stamtąd, kiedy tylko chciałem.

Dwa dni później przyniosłem Keskinom dwie porcelanowe figurki psów.

— Szedłem dziś przez Beyoglu i zobaczyłem je na wystawie japońskiego sklepu — powiedziałem. — Wydały mi się jakby stworzone, by siedzieć na naszym telewizorze.

— Ach, jakie one milutkie! — zawołała ciocia. — Nie trzeba było, Kemalu!

— Zmartwiłem się zniknięciem czarnouchego — odpowiedziałem. — Choć właściwie było mi przykro, że siedział tam taki samotny. Jak zobaczyłem tę wesołą parę, od razu pomyślałem, że dobrze by było mieć na telewizorze radosne, szczęśliwe psy.

\* *Mihrab* — nisza w meczecie wskazująca kierunek, w którym znajduje się Mekka.

— Naprawdę współczułeś temu psu? — spytała ciocia Nesibe. — Kemalu, jesteś takim dobrym, wrażliwym człowiekiem. I za to cię kochamy.

Fiisun uśmiechała się do mnie z sympatią.

— Żal mi odrzuconych, zapomnianych przedmiotów. Chińczycy podobno wierzą, iż rzeczy mają dusze.

— My, Turcy, nim przybyliśmy tu z Azji Środkowej, mieliśmy wiele wspólnego z Chińczykami, mówili o tym niedawno w telewizji — stwierdziła ciocia Nesibe. — Nie było cię tego wieczoru u nas. Fiisun, jak nazywał się ten program? Och, jak ładnie ustawiłeś psy! Ale nie wiem, czy powinny być zwrócone pyskami do siebie, czy też do nas.

— Ten z lewej może patrzeć w naszą stronę, a ten drugi na niego — zaproponował wujek.

Zdarzało się, że nieoczekiwanie, gdy wydawało się nam, że w ogóle nie słucha, wujek włączał się do rozmowy i wypowiadał uwagi świadczące, że zna temat lepiej niż my.

— W ten sposób dotrzymają sobie towarzystwa, nie będą się nudzić, a zwrócone w naszą stronę, staną się częścią rodziny — dodał.

Mimo wielkiej ochoty nie ruszyłem tych psów przez ponad rok. Gdy je w końcu zabrałem w 1982 roku, miałem już zwyczaj zostawiać gdzieś na boku pieniądze albo następnego dnia przynosić w zamian nowy, bardzo drogi przedmiot. W ten sposób w ostatnim okresie moich wizyt na serwetce na telewizorze pojawiły się różne dziwne rzeczy, jak na przykład poduszka do igieł w kształcie psa albo pies-miara krawiecka.

## 66. CO TO JEST, KOLEGO?

Cztery miesiące po przewrocie, gdy kwadrans przed godziną policyjną wracaliśmy z Cetinem od Keskinów, w alei Siraselviler zatrzymał nas wojskowy patrol kontrolujący dokumenty. Siedziałem wygodnie rozparty na tylnym siedzeniu, spokojny, przekonany, że nie mam się czego obawiać. Ale gdy wzrok żołnierza sięgającego po mój dowód tożsamości padł na leżącą obok mnie tarkę do pigwy, poczułem się nieswojo.

Tarkę tuż przed wyjściem udało mi się zabrać niepostrzeżenie z domu Keskinów. Tak mnie to uszczęśliwiło, że bez trudu wyszedłem od nich i jak myśliwy, który właśnie ustrzelił słonkę i chce nacieszyć oczy widokiem zdobyczy, wyjąłem ją z kieszeni płaszcza i położyłem obok siebie na siedzeniu.

Gdy wieczorem zjawiłem się u nich, od razu rozpoznałem przyjemną woń konfitur z pigwy. Ciocia Nesibe powiedziała, że od popołudnia razem z Fiisun smażą je na wolnym ogniu. Matka i córka gawędziły wesoło, a ja pod wpływem ich słów wyobrażałem sobie Fiisun, jak drewnianą łyżką miesza powoli konfitury, podczas gdy ciocia zajmuje się czymś innym.



Żołnierze po sprawdzeniu dokumentów pozwalali niektórym samochodom odjechać. Czasami kazali wszystkim wysiąść i uważnie obszukiwali pojazd. To właśnie nas spotkało.

Wysiedliśmy z auta. Zajrzeli do naszych dokumentów. Na polecenie żołnierzy stanęliśmy, jak podejrzani na filmach, z szeroko rozłożonymi rękami, dłonie opierając o maskę chevroleta. Dwaj żołnierze zajrzeli do schowka, pod fotele, przeszukali wnętrze samochodu.

Chodniki wciśniętej między wysokie budynki alei Siraselviler były mokre, kilku przechodniów zerknęło na kontrolujący pojazdy patrol i na nas, poddawanych kontroli. Zbliżała się godzina policyjna, ulice pustoszały. Nie paliło się światło w żadnym z okien słynnego burdelu Sześćdziesiąt Sześć (nazwa pochodziła od numeru budynku), który niegdyś odwiedzała niemal cała nasza trzecia klasa licealna i w którym Mehmet znał większość dziewczyn.

— Do kogo należy ten przyrząd? — spytał jeden z żołnierzy.

— Do mnie...

— Co to jest?

Nie mogłem odpowiedzieć, że to tarka do pigwy. Nagle wydało mi się, że gdybym powiedział, od razu dowiedzieliby się o mojej obsesji na punkcie Fiisun, o wizytach kilka razy w tygodniu w domu kobiety od kilku lat zamężnej, o całej tej beznadziejnej sytuacji, i zrozumieliby, że dziwak ze mnie i w gruncie rzeczy zły człowiek. Co prawda w głowie wciąż mi szumiało od *raki*, którą wypilem, stukając się szklaneczkami z wujkiem, ale nawet teraz, po latach, nie wydaje mi się, że z tego właśnie powodu źle oceniłem sytuację. Drażniło mnie, że przedmiot, który jeszcze chwilę wcześniej leżał w kuchni w rodzinnym domu Fiisun, znajduje się teraz w ręku niczego nie podejrzewającego podoficera, pochodzącego, jak wносиłem

po akcencie, z Trabzonu. Problem jednak był dużo głębszy, dotyczył świata, w jakim przyszło nam żyć, dotyczył ludzkiej egzystencji.

— Proszę pana, czy ten przedmiot jest pański?

— Tak.

— Co to jest, kolego?

Znów się nie odezwałem. W tym momencie bowiem całe moje ciało zostało porażone przez powoli napływające uczucie bezsilności i rezygnacji, podobne do niemożności wstania i wyjścia. Chciałem, by żołnierz zrozumiał mnie bez słowa, żebym nie musiał przyznawać się do winy, ale na nic takiego się nie zносиło.

W szkole podstawowej mieliśmy bardzo dziwnego, lekko niedorozwiniętego kolegę. Gdy nauczyciel wywoływał go do tablicy i pytał, czy odrobił lekcje, ten uparcie milczał, zupełnie jak ja w tym momencie, nie mówił ani „tak”, ani „nie”, ogarnięty poczuciem winy i bezsilności przestępował tylko z nogi na nogę i sterczał tak, doprowadzając nauczyciela do szału. Przyglądając się koledze ze zdziwieniem, nie rozumiałem, że gdy człowiek raz naprawdę zamilknie, nie ma możliwości, by otworzył usta, może się nie odzywać nawet przez całe lata, stulecia. W dzieciństwie byłem wolny i szczęśliwy. I dopiero wtedy, tam, w alei Siraselviler, zrozumiałem, co to znaczy nie móc mówić. Przeczuałem, że miłość do Fiisun doprowadzi mnie w końcu do tego rodzaju upartego zamknięcia się w sobie. Moje uczucia do niej, moja obsesja czy cokolwiek to było, nie zmierzały, niestety, do swobodnego dzielenia się tym światem z innymi. W głębi duszy już od początku wiedziałem, że nie jest to możliwe w warunkach, o których opowiadam, dlatego zacząłem poszukiwać Fiisun w sobie samym. Wydaje mi się, że ona także rozumiała, iż będę mógł ją znaleźć wyłącznie tam. I w końcu wszystko będzie dobrze.

— Panie komendancie, to tarka... — odezwał się Cetin.  
— Wie pan, taka do pigwy.

Jak Cetin zdołał tak szybko rozpoznać, co to jest?

— To dlaczego mi tego nie powiedział? — wojskowy zwrócił się do mnie. — Słuchaj, jest stan wyjątkowy... Głuchy jesteś?!

— Panie dowódcu, pan Kemal jest teraz bardzo przygnębiony.

— A to czemu? — spytał wojskowy, lecz jego funkcja nie pozwalała mu okazywać troskliwości, dlatego dodał szorstko: — Proszę poczekać w samochodzie! — Oddalił się z tarką do pigwy i naszymi dokumentami w rękę.

Widziałem, jak tarka zaślniła na moment w świetle reflektorów samochodu, który zatrzymał się za naszym, a następnie została ciśnięta do środka wojskowego pojazdu, stojącej nieco dalej niewielkiej ciężarówce.

Czekaliśmy z Cetinem w chevroletach. W miarę zbliżania się godziny policyjnej samochody przejeżdżały obok nas coraz szybciej. Widzieliśmy w oddali, jak skręcają na placu Taksim. Milczeliśmy obaj, pełni poczucia winy i strachu, który zawsze daje się wyczuć u zwykłych obywateli przy spotkaniach z policją, podczas sprawdzania dokumentów, kontroli osobistej. W samochodzie słychać było jedynie tykanie zegara, siedzieliśmy nieruchomo, bojąc się przerwać ciszę jakimkolwiek dźwiękiem.

Myśl, że tarka do pigwy znajduje się teraz w wojskowej ciężarówce, w rękach jakiegoś porucznika, nie dawała mi spokoju. Z coraz większym niepokojem stwierdzałem, że jeśli żołnierze zarekwirują tarkę, będę bardzo cierpieć. Nawet teraz, po latach, wciąż pamiętam to uczucie. Cetin włączył radio. Odczytywano różne obwieszczenia dowództwa stanu wyjątkowego. Listy osób poszukiwanych, aresztowanych, zakazy... Poprosiłem Cetina, by wyszukał inną stację. Po serii szumów i trzasków usłyszałem wreszcie nadawane w jakimś odległym

kraju coś, co pasowało do mojego stanu ducha. Słuchałem z przyjemnością, a drobny deszcz zostawiał ślady kropli na przedniej szybie.

Dwadzieścia minut po tym, jak zaczął obowiązywać zakaz wychodzenia z domów, pojawił się jeden z szeregowców. Oddał nam dokumenty.

— W porządku, możecie jechać.

— A nie zatrzymają nas znowu, bo poruszamy się po ulicach podczas godziny policyjnej? — spytał Cetin.

— Powiecie, że już byliście zatrzymani.

Cetin włączył silnik, szeregowiec odsunął się na bok, byśmy mogli przejechać. Lecz ja wysiadłem z auta i podszedłem do wojskowego pojazdu.

— Panie dowódcu, została chyba tarka do pigwy mojej matki...

— O, nie jesteś jednak głuchoniemy, proszę, jak ładnie umiesz mówić.

— Obywatelu, to ostre narzędzie, posiadanie czegoś takiego jest zabronione — odezwał się drugi z wojskowych. Miał wyższą szarżę. — Weź to, ale więcej nie noś z sobą. Czym się zajmujesz?

— Jestem przedsiębiorcą.

— Podatki płacisz uczciwie?

— Płacę.

Nic więcej nie powiedzieli. Czułem się nieco upokorzony, ale byłem rad, że odzyskałem tarkę. Gdy samochód jechał powoli ulicami, prowadzony uważnie przez Cetina, zrozumiałem, że jestem szczęśliwy. Porzucone na pastwę hord bezpańskich psów puste i mroczne uliczki, aleje z szeregiem betonowych budynków, których brzydota i widoczne w świetle dziennym zaniedbanie działały przynębiająco, teraz wydawały mi się pełne poetyckiego, tajemniczego uroku.

## 67. WODA K O L O M

W styczniu 1981 roku zjadłem z Feridunem obiad w restauracji Regence; przy rybie i *raki* omówiliśmy sprawy związane z filmem. Feridun wraz z poznanym w Pergaminie operatorem Yanim kręcił teraz reklamy. Nie miałem nic przeciwko temu, lecz on twierdził, że nie czuje się z tym dobrze, i stale powtarzał: „Robimy to tylko dla pieniędzy!”. Być może nie byłbym w stanie zrozumieć tego rodzaju moralnych rozterek u luzaka pokroju Feriduna, który już w młodym wieku był mistrzem w korzystaniu z wszelkich przyjemności bez żadnych zobowiązań, gdybym wskutek tego, co mi się przydarzyło, nie musiał dojrzeć i zrozumieć, że ludzie w większości nie są wcale tacy, na jakich wyglądają.

— Jest pewien gotowy scenariusz — oświadczył Feridun.  
— Jeśli mam coś zrobić dla pieniędzy, to najlepiej będzie go zrealizować. Nieco banalny, ale to dobra okazja.

Określenia „gotowy” albo „gotowy ze wszystkim” nieraz słyszałem w barze Pergamin; oznaczały, że scenariusz został zaaprobowany przez cenzurę i otrzymał wszelkie niezbędne

ne zezwolenia. W tamtych czasach, gdy niewiele scenariuszy mogących przypaść do gustu widzom przechodziło z powodzeniem przez cenzurę, producenci, którzy powinni zrealizować choć jeden film rocznie, by nie stać z założonymi rękami, przyjmowali do nakręcenia scenariusze, o których nie mieli najmniejszego pojęcia. Ponieważ Rada Cenzury od lat „heblowała” każdy scenariusz, wygładzając wszelkie ostrzejsze punkty i niwelując jakąkolwiek oryginalną myśl, wszystkie filmy były podobne do siebie jak dwie krople wody, więc i dla reżyserów nieznanomość tematu nie stanowiła przeszkody.

— Czy jest odpowiedni dla Fiisun? — spytałem.

— Raczej dla Stokrotki, bardzo lekka rola. Aktorka musi pokazać troszeczkę ciała. Główną rolę męską powinien zagrać Tahir Tan.

— Tylko nie Tahir Tan!

W ten sposób, zamiast rozmawiać na właściwy temat, czyli o obsadzeniu w naszym pierwszym filmie w głównej roli nie Fiisun, ale Stokrotki, wdaliśmy się w długą dyskusję na temat Tahira Tana.

Feridun oświadczył, że powinniśmy zapomnieć o zajściu z jego udziałem w restauracji Idylla. Jak się wyraził: „Nie reagujmy zbyt emocjonalnie!”. Przez moment popatrzyliśmy sobie w oczy. Czy miał na myśli Fiisun? Spytałem o temat filmu.

— Bogaty facet gwałci swą daleką krewną, ładną dziewczynę, po czym ją porzuca. Aby pomścić utratę dziewictwa, ona zostaje piosenkarką... Piosenki napisano specjalnie dla Stokrotki... Miał to nakręcić Hayati Marzyciel, ale zrezygnował, bo wściekł się, że Stokrotka nie chce zostać jego niewolnicą. I tak oto scenariusz jest do wzięcia. To dla nas świetna okazja!

Scenariusz, piosenki, cały film był tak kiepski, że nie nadał się nie tylko dla Fiisun, lecz także dla Feriduna. Uznałem,

że choć moja śliczna będzie podczas kolacji rzucać na mnie spojrzzeniami gromy, naburmuszy się, dobrze by było zadowolnić jej męża, dlatego podochocony i ośmielony wypitą do obiadu *raki*, zgodziłem się zainwestować w ten film.

W maju 1981 roku Feridun przystąpił do jego realizacji na podstawie gotowego scenariusza. Obraz, którego akcja toczyła się w latach siedemdziesiątych na pełnych błota bocznych uliczkach i w nocnych klubach, otrzymał tytuł znanego dzieła Halita Zii\* *Złamane życia*, lecz z powieścią sprzed osiemdziesięciu lat, opowiadającą o życiu osmańskiej arystokracji i zeuropeizowanej burżuazji u schyłku imperium, nie miał kompletnie nic wspólnego. Grana przez Stokrotkę z wielką pasją bohaterka, pełna nienawiści, wytrwale przygotowuje przez lata zemstę za swą hańbę, śpiewa piosenki o miłości i zdobywa w końcu sławę — w przeciwieństwie do swego literackiego pierwowzoru.

Plan zdjęciowy urządzono w starym kinie Peri, gdzie niegdyś kręcono te fragmenty filmów, których miejscem akcji były lokale rozrywkowe. Usunięto z widowni fotele, a na ich miejsce wstawiono stoliki, zamieniając kino w nocny klub. Szeroka scena, choć nie dorównywała wielkością scenom w największych ówczesnych klubach, takich jak Maksim czy Cakil, mieszczący się w wielkim namiocie w Yenikapi, była wystarczająco duża. W podobnych lokalach, urządzonych na modłę francuskich kabaretów, gdzie klienci mogli zjeść i wy-

\* Halit Ziya Ugakligil (1867-1945) — pisarz uznawany za ojca tureckiego powieściopisarstwa na wzór zachodni. Bohaterem powieści *Kink Hayatlar (Złamane życia)*, opublikowanej w 1924 r., jest Ómer Behic, wykształcony w Europie lekarz, który zostaje uwiedziony przez zblazowaną mężatkę Neyyir. Porzuca dla niej rodzinę, lecz pod wpływem choroby i śmierci córeczki, postrzeganych jako ostrzeżenie, decyduje się wrócić do żony.

pić, a jednocześnie podziwiać występy piosenkarzy, komików, akrobatów, żonglerów i iluzjonistów, od lat pięćdziesiątych do końca siedemdziesiątych kręcono filmy muzyczne (z muzyką zarówno orientalną, jak i europejską). W tureckich filmach bohaterowie najpierw w kwiecistym stylu opowiadali o sobie i swoim nieszczęściu, po czym — jak można było wywnioskować z rzęsytych oklasków i łez w oczach widzów — scena stawała się także miejscem ich życiowego triumfu.

Feridun zdradził mi różne sposoby, do których uciekali się producenci z Yeşilcam, by tanio pozyskać statystów do ról bogatych klientów tych lokali. Dawniej podczas realizacji filmów muzycznych, w których takie gwiazdy estrady, jak Zeki Muren\* czy Emel Sayin\*\*, grały same siebie, wpuszczano na plan filmowy każdego, kto nosił krawat i potrafił kulturalnie zachowywać się przy stole. Sala zapełniała się chętnymi do obejrzenia występu gwiazdy za darmo, co pozwalało zredukować do zera koszt zatrudnienia statystów. W ostatnich latach jednak w filmach występowali mniej znani wykonawcy, tacy jak na przykład Stokrotka. (Gwiazdki tego typu, wcielając się w postaci cieszące się większą sławą niż one same w danym momencie, po kilku rolach były w stanie zniwelować różnicę między swą rzeczywistą pozycją a tą na ekranie i wtedy zaczynały grywać role mniej znanych niż one, biednych, początkujących artystek. Pan Muzaffer powiedział mi kiedyś, że tureccy widzowie znużiliby się kimś, kto i w życiu, i na ekranie jest sławny i bogaty. Magiczna siła filmu polega na różnicy między statusem gwiazdy w życiu a pozycją postaci w scenariuszu, ak-

\* Zeki Muren (1931-1996) — znany turecki piosenkarz, aktor i kompozytor, jeden z najwyższej cenionych wykonawców klasycznej muzyki tureckiej (zwany *Sanat Güneşi* — Słońcem Sztuki).

\*\* Emel Sayin (ur. 1945) — piosenkarka, wykonawczyni klasycznej muzyki tureckiej.



cja zaś powinna sprowadzać się do wyrównania obu w finale). Ponieważ nikt nie miał ochoty przyjść w szykownym stroju do zakurzonego kina Peri, by posłuchać nie znanej piosenkar-ki, mężczyznom w krawatach i kobietom bez chustek, którzy zdecydowali się zasiąść przy stolikach, podawano darmowy kebab. Tayfun, który w gronie znajomych podczas spotkań towarzyskich lubił podśmiewać się z tureckich filmów obejrza-nych w letnich kinach, przedrzeźniał sztuczne, pretensjonalne gesty przystrojonych w krawaty biedaków, którzy w zamian za możliwość napełnienia brzucha udawali bogaczy, po czym, z irytacją kogoś głęboko urażonego wyrządzoną mu niespra-wiedliwością, zawsze powtarzał, że turecka burżuazja wcale taka nie jest.

Z tego, co Feridun powiedział mi przed rozpoczęciem zdjęć, podając przykłady zaczerpnięte z własnego doświadczenia, zdobytego, gdy pracował jako asystent reżysera, wywnioskowa-łem, że zatrudnienie tanich statystów może przysporzyć kłopotów większych niż przedstawienie nieprawdziwego ob-razu burżuazji. Wystarczyło bowiem, że niektórzy z nich zjedli kebab, a już byli gotowi opuścić plan filmowy, nie czekając na koniec zdjęć. Inni czytali przy stoliku gazety, a jeszcze inni w najbardziej wzruszających momentach zaczynali się śmiać i żartować z kolegami albo po prostu zasypiali.

Gdy po raz pierwszy poszedłem na plan filmu *Złamane życie*, ujrzałem kierownika planu, który czerwony ze złości, wrzeszczał na gapiących się prosto do kamery statystów. Jak przystało na prawdziwego producenta, ograniczyłem się do obserwowania tej sceny z daleka. Nagle dało się słyszeć głos Feriduna. W jednej chwili zapanowała na wpół magiczna, na wpół pospolita atmosfera właściwa tureckim filmom i poja-wiła się Stokrotka z mikrofonem w ręku, idąca wśród widzów pomostem prowadzącym na scenę.

Stokrotka, która w filmie obejrzanym przeze mnie z Fiisun i Feridunem w letnim kinie nieopodal pałacyku Ihlamur grała pewną siebie, sprytną, lecz obdarzoną złotym sercem dziewczynkę, godzącą poróżnionych wskutek nieporozumienia rodziców, przeistoczyła się (w tempie symbolizującym los wszystkich tureckich dzieci) w zmęczoną życiem, gniewną, udręczoną ofiarę. Właściwa tureckim filmom tragiczna postać nieszczęśliwej kobiety, która utraciła niewinność, przez co została naznaczona piętnem nieuchronnej śmierci, pasowała do Stokrotki jak szyta na miarę sukienka. Mając w pamięci jej dziecięcy wdzięk z poprzednich filmów, doskonale rozumiałem jej obecny stan, w gniewie i znużeniu wciąż potrafiłem dostrzec niewinność dzieciństwa. W rytm jakiejś melodii — Feridun miał potem wmontować piosenki wzięte od innych filmowców — szła po podeście jak modelka, w swym beznadziejnym proteście zbliżając się niemal do wypowiedzenia posłuszeństwa Bogu, a jej pragnienie zemsty przejmowało wszystkich, przypominając, ile wycierpiała. Podczas kręcenia tej sceny stało się dla nas jasne, że Stokrotka to diament, nieoszlifowany, ale diament. Przysypiający statyści ożywili się, kelnerzy roznoszący kebab nie spuszczały z niej oczu.

Stokrotka trzymała mikrofon dwoma palcami, jak pęsetą. Każda z wielkich gwiazd robiła to innym, odzwierciedlającym jej osobowość gestem, a sposób zaprezentowany przez Stokrotkę był nowy i oryginalny, co skłoniło pewnego poznane go w Pergaminie dziennikarza do uznania tego za znak, iż wkrótce czeka ją wielka kariera. W owych czasach mikrofony umieszczone na stałe na trójnogim statywie ustąpiły miejsca mikrofonom na długim kablu, co pozwalało piosenkarzom schodzić ze sceny i wmieszać się między widzów. Z tymi nowymi możliwościami wiązał się jednak pewien kłopot, a mianowicie artyści, wykonując pełne emocji utwory i podkreślając

ich treść gniewnymi lub zrezygnowanymi gestami albo wręcz płaczem, musieli jednocześnie, niczym zdesperowane panie domu, nieustannie walczyć z zaczepiającym o nogi stołów przewodem, długim niczym kabel od odkurzacza. Stokrotka śpiewała piosenkę z playbacku, a kabel mikrofonu nie był do niczego umocowany, udawała jednak, że się stara, by nigdzie się nie zaczepił, i robiła to wyjątkowo zgrabnie. Wyżej wspomniany znajomy dziennikarz porównywał to potem, pełen podziwu, do ruchów małej dziewczynki kręcącej sznurem, przez który skaczą jej koleżanki.

Prace na planie postępowały szybko i gdy wkrótce ogłoszono przerwę, pogratulowałem Feridunowi i Stokrotce. Powiedziałem, że wszystko idzie jak należy. Nim zdążyłem do końca zdanie, poczułem się jak opisywani na łamach gazet i tygodników prawdziwi producenci. Być może dlatego, że kilku dziennikarzy rzeczywiście notowało moje słowa. Feridun zaś wyglądał zupełnie jak znani z gazet reżyserzy: tempo pracy przy filmie przygasiło jego dziecięcą radość, w ciągu dwóch miesięcy jakby się postarzał o dziesięć lat. Zachowywał się jak zdecydowany, silny i nieco bezwzględny szef, który zamierza doprowadzić do końca to, co zaczął.

Tego właśnie dnia poczułem, że Feriduna i Stokrotkę łączy jakieś głębsze uczucie, może nawet miłość. Nie byłem jednak tego do końca pewny. Być może, jak znane filmowe gwiazdy i gwiazdeczki, w obecności dziennikarzy stwarzali pozory, że pomiędzy nimi coś jest. Często w spojrzeniach dziennikarzy z branży filmowej widać było tak silne pragnienie czegoś tracącego zakazaną miłością, grzechem, winą, że aktorzy i filmowcy w końcu się temu poddawali.

Gdy robiono zdjęcia, starałem się trzymać na uboczu. Fiisun regularnie czytała czasopisma, takie jak „Ses” czy „Hafta Sonu”, w których sporo miejsca poświęcano wiadomościom ze

świata filmu, i przeczuwałem, że dowie się z nich o Feridunie i Stokrotce. Stokrotka mogła też dać do zrozumienia, że ma romans z odtwórcą głównej roli, Tahirem Tanem, czy nawet ze mną — bądź co bądź producentem! W gruncie rzeczy niepotrzebne były jakiegokolwiek aluzje, bo redaktorzy kolumn poświęconych kinu i plotkom sami wymyślali historie, które ich zdaniem najłatwiej „kupuja” czytelnicy, i pisali o nich z upodobaniem, ubarwiając je coraz to nowymi szczegółami. Niekiedy dzielili się swymi pomysłami z aktorami, którzy niby przypadkiem pozwalali się sfotografować w bardziej intymnych sytuacjach.

Z jednej strony cieszyło mnie, że udało mi się trzymać Fiisun z dala od tego życia i tych ludzi, z drugiej jednak — żałowałem, że nie może dzielić z nami radosnego podniecenia, uczestniczyć w naszych rozrywkach.

Oczywiście było możliwe, że bardzo znana aktorka odgrywająca na ekranie i w życiu — te dwie rzeczy w oczach widzów były nierozłączne — role upadłych kobiet, przeżywszy swoje, nagle przybierze pozę przyzwoitej kobiety żony i matki oraz zacznie wybierać role wyłącznie godnych szacunku dam. Czy tak to sobie wyobrażała Fiisun? W tym celu musiałaby znaleźć opiekuna ze świata przestępczego lub jakiegoś bogatego i beczelnego awanturnika mającego w tych kręgach znajomości. Tego typu mężczyźni zabraniali aktorkom, które się z nimi związały, całowania się na ekranie i występowania w scenach rozbieranych. Czytelnikom i tym, którzy będą za kilka stuleci zwiedzać moje muzeum, wyjaśniam, że pod określeniem „rozbierany” nie kryje się nic więcej, jak tylko pokazanie odsłoniętych nóg poniżej kolan i nagich ramion. Na temat słynnej gwiazdy wziętej pod opiekę przez patrona nie wolno było odtąd publikować obraźliwych, szyderskich, nieprzyzwoitych informacji. Młodemu dziennikarzowi, który,

nieświadomy tego zakazu, napisał o pewnej obdarzonej obfitym biustem gwieździe, podopiecznej gangstera, że w wieku licealnym pracowała jako tancerka i jednocześnie była utrzymanką znanego przemysłowca, przestrelono nogę.

Przyglądając się kręceniu filmu, świetnie się bawiłem, równocześnie jednak z bólem myślałem o Fiisun siedzącej beczynnie w domu w Cukurcumie, dziesięć minut spacerem od kina Peri. Zdjęcia trwały do wieczora, do godziny policyjnej. Przychodziła mi do głowy myśl, że jeżeli podczas kolacji moje miejsce przy stole u Keskinów pozostanie puste, Fiisun może pomyśleć, że wolę zajmować się filmem, niż przebywać z nią, i myśl ta budziła we mnie strach. Zbiegałem brukowaną ulicą w dół zbrocza, do domu jej rodziców, pełen poczucia winy, a jednocześnie uradowany obietnicą szczęścia. Fiisun będzie kiedyś moja. Dobrze zrobiłem, trzymając ją z dala od filmu.

Czułem teraz, że wiąże mnie z nią wspólnota losu oraz poczucie klęski, i to uszczęśliwiało mnie niekiedy bardziej niż miłość. W takich momentach wszystko dodawało mi skrzydeł: zachodzące słońce oświetlające ulice miasta, zapach wilgoci i starzyzny dobywający się z należących niegdyś do Greków starych kamienic, sprzedawcy pilawu z cieciorką i wątróbki po albańsku, podskakująca na bruku piłka, którą bawiły się dzieciaki, i lekko kpiący aplauz, jaki wzbudziło podanie jej przeze mnie jednym mocnym kopnięciem.

W owych dniach wszędzie, od planu filmowego po korytarnie w siedzibie Satsat, od kawiarni po dom Keskinów, mówiło się tylko o wysokim oprocentowaniu oferowanym przez podejrzanych prywatnych bankierów. Inflacja sięgała setek procent, dlatego każdy chciał w coś zainwestować swoje pieniądze.

Temat ten był poruszany co wieczór przed kolacją. Wujek Tank opowiadał, że znajomi z pobliskiej kawiarni, w której bywał od czasu do czasu, kupowali na Wielkim Bazarze złoto,

by zachować wartość zarobionych pieniędzy, albo powierzali walutę bankierom oferującym nawet sto pięćdziesiąt procent zysku, jeszcze inni zaś wręcz przeciwnie — sprzedawali złoto albo wypłacali oszczędności z kont bankowych. Chciał się mnie poradzić, jako człowieka interesu, i nieśmiało próbował podpytywać, co robić w tej sytuacji.

Feridun, pod pretekstem pracy przy filmie i godziny policyjnej, rzadko bywał w domu, nie przekazywał też Fiisun ani grosza z tego, co otrzymywał ode mnie na działalność Wytwórni „Cytrynka”. Właśnie wtedy, zamiast za podkradane rzeczy przynosić w zamian po jakimś czasie inne, zacząłem zostawiać pieniądze. Stało się tak miesiąc po tym, jak wcale się nie kryjąc, zabrałem starą talię kart należącą do wujka. Wiedziałem, że Fiisun używa jej, by dla zabicia czasu powrócić sobie, stawiając pasjansa. Do gry w bezika wujek i ciocia używali innej, tak samo jak wtedy, gdy ciocia chciała zagrać, co zdarzało się niezmiernie rzadko, z którymś z gości w karty (w pokera, gdzie zamiast pieniędzy stawką były fasolki, czy w siedem waletów). W tej talii karty miały zniszczone rogi, były poplamione, niektóre nosiły ślady zgięcia i nadłamania. Fiisun wyznała kiedyś ze śmiechem, że rozpoznaje je po tych charakterystycznych śladach, dzięki czemu pasjansę zawsze jej wychodzą. Obwąchałem dokładnie talię, wdychając, oprócz właściwego kartom zapachu perfum, wilgoci i kurzu, także woń dłoni Fiisun. Zakręciło mi się od tego w głowie, a ponieważ ciocia Nesibe zauważyła moje zainteresowanie, całkiem jawnie i bez zażenowania schowałem talię do kieszeni.

— Moja matka też stawia pasjansę, ale nigdy jej nie wychodzą — powiedziałem. — Podobno ta talia przynosi szczęście, więc może gdy matka nauczy się rozpoznawać karty po plamach i zagnieceniach, wróżba się jej spełni. Bardzo się ostatnio nudzi.

— Pozdrów od nas kuzynkę Vecihe — poprosiła ciocia.

Obiecałem odkupić nową talię w sklepiku Alaaddina w Ni-Santaşi, lecz ciocia zaczęła mnie usilnie prosić, bym się nie trudził. Nalegałem jednak. Wtedy opowiedziała mi o nowych wzorach kart, które widziała w Beyoglu.

Fiisun była w pokoju obok. Wyjąłem z kieszeni plik banknotów i z zakłopotaniem położyłem na brzegu stołu.

— Ciociu, czy ciocia mogłaby kupić dwie takie talie, jedną dla siebie, drugą dla mojej matki? Na pewno ją ucieszy talia pochodząca z tego domu.

— Oczywiście — odpowiedziała ciocia.

Dziesięć dni później w miejscu, gdzie stała butelka wody kolońskiej Pe-Re-Ja, którą zabrałem, położyłem — znów z dziwnym uczuciem zażenowania — kolejny plik banknotów. Jestem pewien, że z początku Fiisun nie miała pojęcia o tej wymianie przedmiotów na pieniądze.

Od lat wynosiłem z domu Keskinów butelki wody kolońskiej i gromadziłem je w mieszkaniu w kamienicy Zmiłowanie. Ale były to butelki puste albo z niewielką zawartością, które i tak wkrótce zostałyby wyrzucone. Takie butelki nie interesowały nikogo poza bawiącymi się na ulicy dziećmi.

Po kolacji nacierałem wodą kolońską dłonie, czoło i policzki tak ochoczo, z taką nadzieją, jakby to była jakaś święta woda. Jak zaczarowany obserwowałem ruchy Fiisun, jej matki i ojca, gdy podawali ją gościowi. Wujek Tank, wpatrując się w ekran telewizora, ze zgrzytem odkręcał nakrętkę ciężkiej butli Pe-Re-Ja i już wiedzieliśmy, że podczas pierwszej przerwy na reklamę poda ją Fiisun, mówiąc: „Zapytaj, może ktoś chce się odświeżyć wodą kolońską”. Fiisun polewała nią dłonie najpierw ojcu, a ten nacierał nadgarstki, jakby to był element jakiejś terapii, następnie głęboko, jak ktoś, kto właśnie pokonał duszność, wciągał w płuca jej zapach, a potem jeszcze co jakiś

czas obwąchiwał czubki swoich palców. Ciocia nabierała tylko odrobinę i rozcierała ją w dłoniach, jakby namydłała je kawałkiem niewidzialnego mydła. Feridun, jeśli tylko był w domu, najobficiej korzystał z podanej przez żonę wody, nadstawiał obie dłonie jak ktoś umierający z pragnienia i szybko podnosił je do twarzy, jakby chciał wypić duszkiem ich zawartość. Wyczuwałem, że za tymi ruchami kryje się coś więcej niż sama chęć rozkoszowania się przyjemnym zapachem i orzeźwiającym chłodem (ceremonia odświeżania odbywała się w takiej samej formie również w chłodne miesiące zimowe). Jak rytuał częstowania wodą kolońską kolejno wszystkich pasażerów przez pomocnika kierowcy międzymiastowego autobusu, tak i nasz rytuał, dokonywany co wieczór przed telewizorem, pozwalała nam poczuć się wspólnotą, uświadamiał, że dzielimy ten sam los (poczucie to wzmacniały jeszcze płynące z odbornika wiadomości), przypominał, że choć co wieczór zasiadamy w tym samym miejscu i gapimy się w ekran, to życie jest jednak przygodą i wspaniale jest robić coś wspólnie.

W końcu nadchodziła moja kolej. Niecierpliwie nadstawiałem dłonie i gdy czekałem, aż Fiisun poleje je wodą, nasze spojrzenia na moment się spotykały. Patrzyliśmy sobie głęboko w oczy, jak para, która zakochała się w sobie od pierwszego wejrzenia. Nie spoglądałem na dłonie, nie chcąc odrywać wzroku od oczu Fiisun, wdychałem tylko zapach. Czasami intensywność moich spojrzeń, widoczne w nich zdecydowanie i miłość wywoływały na jej wargach uśmiech. Ledwo dostrzegalny ślad tego uśmiechu długo jeszcze czaił się gdzieś w kącikach jej ust. Dostrzegałem w nim lekką drwinę z mojego zakochania, z moich cowieczornych wizyt, lecz nie sprawiała mi ona przykrości. Wręcz przeciwnie, jeszcze silniej się w Fiisun zakochiwałem i ogarniała mnie chęć zabrania butelki wody Złota Kropla. Podczas jednej z następnych wizyt w mgnieniu



oka porywałem niemal całkiem już pusty flakon i pakowałem go do kieszeni wiszącego na wieszaku palta.

W dniach, gdy kręciliśmy *Złamane życia*, wyruszałem z kina Peri w stronę Çukurcummy gdzieś koło godziny siódmej, nim zapadł zmrok. Niekiedy doznawałem wtedy dziwnego wrażenia, *déjà vu*. I w tym etapie mojego życia, który miałem teraz ponownie przeżyć, nie czekało mnie ani wielkie szczęście, ani wielkie nieszczęście. Lecz tamto pierwsze życie pozostawiło smutek, który kładł się na moim sercu nieznośnym ciężarem, odbierał mi radość... Działo się tak chyba dlatego, że zacząłem dostrzegać koniec tej historii i wiedziałem, że wielkie zwycięstwo, wielkie spełnienie nie przypadnie mi już w udziale. Pod koniec szóstego roku mojej miłości do Fiisun miałem się zmienić z kogoś, kto uważa życie za zabawną przygodę, w zgorzkniałego, zbolałego, zamkniętego w sobie człowieka. Powoli nabierałem przekonania, że już nic mi się w życiu nie przydarzy.

— Fiisun, obejrzymy bociana? — pytałem w tamte letnie wieczory.

— Nie, nic nowego nie zrobiłam — odpowiadała niechętnie.

Pewnego razu wtrąciła się ciocia Nesibe:

— Ach, dlaczego tak mówisz... Bocian wzniosł się nad naszym kominem tak wysoko, Kemal, że na pewno mógł zobaczyć cały Stambuł!

— Nie mam dziś wieczorem ochoty — szczerze wyznawała czasami Fiisun.

Dostrzegałem wtedy, że na te słowa żal ścisnął wujkowi serce, tak bardzo chciał oszczędzić córce zmartwień. Czułem, że Fiisun ma na myśli nie tylko ten wieczór, ale całe życie, i to mnie martwiło. Postanowiłem odtąd przestać chodzić na plan filmu. (Postanowienie to niebawem wprowadziłem w życie). Jakaś część mego umysłu przypominała mi jednak, że ta odpo-

wiedź może być częścią wojny, jaką Fiisun od lat prowadziła przeciwko mnie. Ze spojrzeń cioci wyczuwałem, że ją z kolei martwi zachowanie zarówno moje, jak i Fiisun. Gdy tylko poczuliśmy, że trudy życia, problemy zaciemniają nasze dusze jak ciężkie burzowe chmury gromadzące się nad Tophane, milkiśmy na chwilę, po czym robiliśmy trzy te same co zawsze rzeczy: 1. oglądaliśmy telewizję, 2. nalewaliśmy do szklanek kolejną porcję *raki*, 3. wypalaliśmy po papierosie.

## 68. CZTERY TYSIĄCE DWIEŚCIE TRZYNAŚCIE NIEDOPAŁKÓW

Przez osiem lat, podczas których zasiadałem przy stole u Keskinów, zebrałem cztery tysiące dwieście trzynaście niedopałków papierosów Fiisun. Jeden koniec każdego z nich muskał jej delikatne jak płatki róży wargi, zagłębiał się w jej usta, stykał się z jej językiem, co niekiedy mogłem wyczuć, dotykając lekko wilgotnego filtra, na którym jej szminka pozostawiała czasami uroczy czerwony ślad. I każdy z nich był dla mnie magicznym, niezwykle intymnym obiektem, noszącym w sobie wspomnienia głębokiego bólu i momentów szczęścia. Przez dziewięć lat Fiisun niezmiennie paliła papierosy marki Samsun. Niedługo przedtem, nim zacząłem regularnie odwiedzać wieczorami Keskinów, pod wpływem Fiisun zarzuciłem palenie marlboro i przestawiłem się na samsuny. Marlboro light kupowałem wcześniej w zaułkach bocznych ulic od sprzedawców papierosów z przemytu. Przypominam sobie, że któregoś wieczoru rozmawialiśmy o tym, iż w gruncie rzeczy samsuny i marlboro smakują podobnie. Fiisun stwierdziła, że po samsunach bardziej się kaszle, ja zaś odradzałem palenie marlboro, bo nie

wiadomo, jakimi truciznami i chemikaliami faszerują tytoń Amerykanie. Wujek nie zasiadł jeszcze przy stole, więc patrząc sobie w oczy, częstowaliśmy się nawzajem papierosami. Przez osiem lat, tak jak Fiisun, paliłem samsuny jednego za drugim, lecz by nie dawać złego przykładu przyszłym pokoleniom, nie będę się w mej opowieści szczegółowo rozwodził nad tym nałogiem, tak lubianym w dawnych filmach i powieściach.

Produkowane w Ludowej Republice Bułgarii i przemycane do Turcji na statkach i łodziach rybackich fałszywe marlboro, tak samo jak oryginalne, raz zapalone paliło się do końca. Samsuny natomiast co chwila gasły, a tytoń w nich był grubo krojony i wilgotny. Czasami znajdowały się w nich drewnienka, grube żyłki, mokre liście, dlatego Fiisun przed zapaleniem ugniatała papierosa, by go nieco zmiękczyć. Gestu tego nauczyłem się od niej i tak samo jak ona obracałem papieros w palcach. Zdarzało się, że oboje robiliśmy to jednocześnie. Uwielbiałem wtedy spoglądać jej w oczy.

W pierwszych latach moich wizyt w domu Keskinów Fiisun udawała, że boi się palić w obecności ojca. Kryła papieros we wnętrzu dłoni, popiół strząsała nie do fajansowej popielniczki z Kutahyi, której używaliśmy jej ojciec i ja, lecz ukradkiem na podstawkę filiżanki do kawy. Wujek, ciocia i ja wydmuchiwaaliśmy dym w dowolnym kierunku, jak nam pasowało, Fiisun zaś odwracała głowę na bok, jakby chciała coś szepnąć na ucho koleżance siedzącej obok niej w szkolnej ławce, i pospiesznie wypuszczała z płuc obłoczek błękitnego dymu jak najdalej od siebie. Lubiłem ten jej gest, przywodzący mi na myśl nasze lekcje matematyki, lubiłem pojawiający się na jej twarzy wyraz udawanego zażenowania, niepokoju, winy i myślałem sobie wtedy, że będę ją kochał do końca życia.

Wszystkie te nacechowane szacunkiem gesty, wynikające z dbałości o zachowanie tradycyjnych zasad dobrego wycho-

wania, takie jak niespożywanie w obecności ojca alkoholu, niepalenie papierosów, niezakładanie nogi na nogę, z upływem lat powoli zanikły. Wujek Tank z pewnością widział, że córka pali, lecz jako tradycyjny ojciec nie reagował, zresztą podobało mu się, że Fiisun próbuje to przed nim ukrywać. Byłem przeschęśliwy, mogąc obserwować te rytuały „udawajmy, że...” i związane z nimi skomplikowane niuanse, których antropolodzy nie są na ogół w stanie zrozumieć. Nigdy nie uważałem zasady „udawajmy, że...” za dwulicową. Obserwując sympatyczne, urocze gesty Fiisun, uświadamiałem sobie, iż tylko dzięki temu, że wszyscy postępujemy zgodnie z nią, mogę co wieczór odwiedzać Keskinów. Nie mógłbym być u nich jako zakochany, którym byłem w rzeczywistości. Ale skoro „udawałem, że...” i przychodziłem z wizytą jako daleki krewny, mogłem widywać Fiisun.

Gdy nie było mnie w pobliżu, Fiisun wypalała papierosy do samego końca. Wskazywały na to leżące w popielniczce niedopałki, wrzucone tu przed moim przyjściem. Potrafiłem odróżnić te, które wypaliła Fiisun, od pozostałych. Nie tyle po marce, ile po sposobie, w jaki je zgasiła, sposobie odzwierciedlającym stan jej uczuć.

W wieczory, gdy przychodziłem z wizytą, Fiisun wypalała samsuny w taki sam sposób jak Sibel i jej koleżanki cienkie amerykańskie papierosy ultra light: nie do samego filtra, lecz zaledwie do połowy. Niekiedy pełnym irytacji ruchem zgniatała niedopałek w popielniczce. Czasami nie był to gest irytacji, lecz raczej zniecierpliwienia. Wielokrotnie widziałem, jak niemal ze złością gasi papierosa, i od razu budziło to we mnie niepokój. W niektóre dni drobnymi, upartymi ruchami uderzała kilkakrotnie o dno popielniczki. Kiedy indziej znów, gdy nikt nie widział, mocno i powoli zduszała niedopałek, jakby metodycznie miażdżyła głowę węża. Myślałem sobie

wtedy, że odreagowuje na nim cały swój gniew. Bywało też i tak, że oglądając telewizję, przysłuchując się rozmowom przy stole, jakby bezwiednie gasiła papierosa w popielniczce, nie patrząc nawet w tamtą stronę. Najczęściej jednak robiła to w pośpiechu, jednym ruchem, by wolną ręką chwycić za łyżkę czy karafkę. Gdy była wesoła, w dobrym nastroju, przyciskała niedopałek palcem wskazującym, jakby chciała szybko i bezboleśnie pozbawić życia jakiegoś robaka. A jeżeli paliła w kuchni, tak samo jak ciocia Nesibe na moment podstawiła papieros pod strumień wody płynącej z kranu i od razu wyrzucała do kosza.

Wszystkie te (i wiele jeszcze innych) metody gaszenia nadały każdemu z pozostawionych przez FiisUn niedopałków nowy, wyjątkowy kształt i nawet pewien wymiar duchowy. W mieszkaniu w kamienicy Zmiłowanie wyjmowałem je z kieszeni i dokładnie oglądałem. Wydawały mi się wtedy podobne na przykład do małych ludzików o czarnych twarzach, skrzywdzonych, z przetrąconymi karkami, rozbitymi głowami, garbem na plecach, albo do dziwnych, przerażających znaków zapytania. Czasem odkrywałem w nich podobieństwo do kominów promów linii miejskich albo do morskich żyłatek. Kiedy indziej znowu stawały się ostrzegawczymi wykrzyknikami, pierwszymi zwiastunami nadchodzącego nieszczęścia, cuchnącymi śmieciami, wyrazami stanu ducha Fiisun lub nawet częściami jej osobowości. Delikatnie lizałem ślady szminki na ustniku i pogrążałem się w rozmyślaniach o życiu i mojej ukochanej.

Czytelnicy, którzy będą zwiedzać muzeum, nie powinni sądzić, że opatrując każdy z zebranych w ciągu ośmiu lat czterech tysięcy dwustu trzynastu niedopałków karteczką z datą i umieszczając go w gablocie, podają zbyt wiele niepotrzebnych danych. Przecież kształt każdego z nich jest uzewnętrznieniem

intensywnych uczuć doznawanych przez Fiisun w danej chwili. Na przykład te trzy tutaj, zabrane z popielniczki 17 maja 1981 roku, czyli w dniu, gdy w kinie Peri rozpoczęły się zdjęcia do filmu *Złamane życia*, silnie zgniecione, jakby zamknięte w sobie, przypominają mi nie tylko ogólnie o tamtych ponurych miesiącach, lecz także o milczeniu Fiisun owego dnia, o unikaniu przez nią rozmowy na temat filmu, o jej zachowaniu, jak gdyby nic się nie działo.

Jeden z tych dwóch niedopałków został zgaszony w momencie, gdy w oglądanym przez nas wtedy serialu *Fałszywe szczęście* odtwórca głównej roli i nasz znajomy z baru Pergamin, Ekrem (znany aktor Ekrem Güiclii, który zagrał w swoim czasie patriarchę Ibrahima), wypowiadał słowa: „Największym błędem życiowym, Nurten, jest chcieć więcej i próbować być szczęśliwym!”, a jego uboga ukochana, rzeczona Nurten, milczała, nieruchomo patrząc przed siebie. Drugi niedopałek został zgaszony dokładnie dwanaście minut po tej scenie (Fiisun wypalała jednego samsuna średnio w ciągu dziewięciu minut).

Plamy widoczne na niektórych niedopałkach, które zachowały w miarę niezmienny kształt, pochodzą, jak sobie przypominam, z lodów wiśniowych jedzonych przez Fiisun w pewien gorący letni wieczór. Lodziarz, pan Kamil, krążył latem ze swym trójkołowym wózkiem po uliczkach Cukurcumy i Tophane, potrząsając dzwonkiem i wołając: „Lody, loody!”, zimą zaś z tego samego wózka sprzedawał chałwę. Fiisun powiedziała mi kiedyś, że pan Kamil naprawiał swój wózek w warsztacie Beşira, tym samym, do którego w dzieciństwie oddawała do naprawy rowerek.

Patrząc z kolei na niedopałki i umieszczone przy nich daty, przypominam sobie, jak w gorące letnie wieczory jedliśmy smażone bakłażany z jogurtem i wyglądaliśmy przez otwarte okno na ulicę. Fiisun trzymała wtedy w ręku małą popiel-

niczke i często strząsała do niej popiół z trzymanego w drugiej ręce samsuna. Wyobrażałem ją sobie wtedy jako elegancką damę na przyjęciu. Albo też Fiisun, rozmawiając ze mną tam, w oknie, kogoś takiego udawała. Mogła przecież, gdyby chciała, robić tak jak ja, jak wszyscy tureccy mężczyźni: strząsać popiół prosto na ulicę, potem zdusić niedopałek o framugę okna i cisnąć na dół albo, co gorsza, strzelić palcami i wyrzucić palący się wciąż papieros daleko przed siebie, obserwując, jak szybuje w mroku. Ale nie, Fiisun nigdy nie zrobiła niczego podobnego, dając mi przykład właściwego, kulturalnego zachowania. Ktoś patrzący na nas z daleka mógłby pomyśleć, że ma do czynienia z parą ludzi, którzy na przyjęciu w jakimś zachodnim kraju, gdzie kobiety mogą swobodnie kontaktować się z mężczyznami, stanęli sobie z boku, by pogawędzić i lepiej się poznać. Wyglądaliśmy przez okno i nie patrząc na siebie, rozmawialiśmy o zakończeniu dopiero co obejrzanego filmu, trudnym do zniesienia upale, dzieciach bawiących się na ulicy w chowanego. Nagle od strony Bosforu zrywał się wiatr, przynosząc wraz z zapachem wodorostów i odurzającą wonią kapryfolium najpierw zapach włosów i skóry Fiisun, a potem papierosowego dymu.

Czasami, gdy Fiisun już miała zgasić papierosa, nasze spojrzenia niespodziewanie się spotykały. Gdy oglądaliśmy wzruszający melodramat albo poddawaliśmy się nastrojowi wywołanemu przez muzykę poważną towarzyszącą wstrząsającemu filmowi dokumentalnemu o drugiej wojnie światowej, Fiisun gasiła papierosa, nie poświęcając mu ani odrobiny uwagi. Lecz jeżeli nasze spojrzenia nagle się spotkały, tak jak w podanym tu przykładzie, przebiegał między nami jakby prąd elektryczny, oboje przypominaliśmy sobie, dlaczego siedzę przy tym stole, a wtedy niedopałek, zgaszony w sposób będący odzwierciedleniem panującego w naszych głowach zamętu, przybierał



niezwykły, dziwny kształt. Słyszałem dobiegający z oddali dźwięk syreny okrętowej i zaczynałem się zastanawiać, jak płynący statkiem postrzegaliby mój świat, moje życie.

W niektóre wieczory zabierałem tylko jeden zgnieciony niedopałek, w inne kilka, i zanosilem do kamienicy Zmiłowanie. Gdy potem brałem je pojedynczo do ręki, przypominałem sobie poszczególne momenty z przeszłości. Niedopałki pozwoliły mi z całą wyrazistością pojąć, że zbierane przeze mnie przedmioty dokładnie odpowiadają arystotelesowskiemu „chwilom”.

Teraz nie muszę już brać tych przedmiotów do ręki, wystarczy, bym na nie spojrział, a powracają wspomnienia wieczorów spędzonych z Fiisun przy stole. Wspomnienia, które połączyłem z przedmiotami, porcelanową solniczką, miarką krawiecką w kształcie psa, przerażającym otwieraczem do konserw albo butelką oleju słonecznikowego Batanay, którego nigdy nie mogło zabraknąć w kuchni Keskinów, w miarę upływu lat rozciągały się w mej pamięci na coraz dłuższy odcinek czasu. Gdy oglądałem zgromadzone w kamienicy Zmiłowanie przedmioty czy niedopałki, mogłem przywołać wspomnienie każdej z chwil spędzonych w domu rodziców Fiisun.

## 69. CZASAMI

Czasami nie robiliśmy nic, siedzieliśmy w milczeniu. Czasami wujkowi Tankowi znudziło się, jak nam wszystkim, oglądanie telewizji i kątem oka zerkał w gazetę. Czasami z łoskotem zjeżdżał w dół ulicy jakiś samochód, trąbiąc niemilosiernie, wtedy zastygaliśmy i nasłuchiwalismy, dopóki nie minął domu. Czasami padał deszcz i wsłuchiwalismy się w dzwonienie jego kropli o szyby. Czasami mówiliśmy: „Ależ dziś gorąco!”. Czasami ciocia Nesibe zapominała o pozostawionym w popielniczce papierosie i zapalała w kuchni następny. Czasami, nie zwracając niczyjej uwagi, patrzyłem na dłonie Fiisun przez kilkanaście, a nawet dwadzieścia minut i jeszcze bardziej zachwycałem się moją ukochaną. Czasami na ekranie telewizora pojawiała się kobieta reklamująca produkt, który właśnie jedliśmy. Czasami z oddali dobiegał odgłos eksplozji. Czasami ciocia Nesibe, czasami Fiisun wstawała od stołu i dorzucała kilka brykietów do piecyka. Czasami myślałem, że następnym razem przyniosę Fiisun nie spinkę do włosów, lecz bransoletkę. Czasami, oglądając razem ze wszystkimi jakiś film, jeszcze

zanim się skończył, zapominałem, o czym był, i wpatrywałem się w ekran, wspominając jednocześnie tamten okres, gdy chodziłem do szkoły podstawowej w NiŞantaŞi. Czasami ciocia Nesibe proponowała: „Zaparzę wam herbaty z kwiatu lipy!”. Czasami Fiisun ziewała tak uroczo, że sądziłem, iż zapomina o całym świecie i wciąga w głąb swej duszy technienie nowego, spokojniejszego życia, orzeźwiający jak zimna woda z głębokiej studni w upalny dzień. Czasami powtarzałem sobie w duchu, że nie ma co dłużej siedzieć, powinienem wstać i wyjść. Czasami nocną ciszę przerywał odbijający się echem w całej dzielnicy łoskot żaluzji, pospiesznie opuszczanych w czynnym do późna zakładzie fryzjerskim na parterze, skąd wyszedł wreszcie ostatni klient. Czasami odcinali dopływ wody i przez dwa dni ani kropla nie płynęła z kranów. Czasami z węglowego piecyka dochodził jakiś inny odgłos niż trzaski płomieni. Czasami przychodziłem do nich znowu już następnego dnia, tylko dlatego, że ciocia powiedziała: „Smakowała ci moja duszona fasolka z oliwą, przyjdź jutro wieczorem, zostało jej jeszcze trochę”. Czasami rozmawialiśmy o konflikcie amerykańsko-rosyjskim, o radzieckich okrętach wojennych przepływających nocą przez Bosfor czy amerykańskich łodziach podwodnych na morzu Marmara. Czasami ciocia Nesibe narzekała: „Ależ gorąco dziś wieczorem!”. Czasami z wyrazu twarzy Fiisun domyślałem się, że oddaje się marzeniom, chciałem wtedy podążyć za nią do krainy jej wyobraźni, lecz siedzenie przy stole, moje życie, ja sam, wszystko wydawało mi się strasznie beznadziejne. Czasami nakryty stół zaczynał w moich oczach przypominać krajobraz ze wzniesieniami, dolinami, szczytami, wyżynami i nizinami/ Czasami wszyscy razem śmialiśmy się z czegoś zabawnego pokazywanego w telewizji. Czasami to, że wszyscy dajemy się tak wciągnąć telewizji, wydawało mi się czymś ponizającym. Czasami irytowało mnie,

że Ali, syn sąsiadów, siada Fiisun na kolanach i przytula się do niej. Czasami z wujkiem Tankiem rozmawialiśmy ściszo-  
nymi głosami, jak mężczyzna z mężczyzną, o sytuacji ekono-  
micznej kraju, doszukując się wszędzie spisków, podstępów  
i oszustw. Czasami Fiisun szła na górę i przez dłuższy czas nie  
wracała, co sprawiało mi wielką przykrość. Czasami dzwonił  
telefon i okazywało się, że to pomyłka. Czasami ciocia Nesibe  
zapowiadała: „W przyszły wtorek zrobię kabaczki na słodko”.  
Czasami ze wzgórze schodziła rozwrzeszczana grupka mło-  
dych ludzi, śpiewających piosenki kibiców piłkarskich, i kie-  
rowała się w stronę Tophane. Czasami pomagałem Fiisun do-  
łożyć do piecyka. Czasami widywałem prusaka błyskawicznie  
przemykającego po podłodze w kuchni. Czasami wyczuwałem,  
że Fiisun zsunęła pod stołem klapki z nóg. Czasami stróż za-  
gwizdał swoim gwizdkiem tuż pod naszymi drzwiami. Cza-  
sami Fiisun, a czasami ja zrywaliśmy jedna po drugiej zapomnia-  
ne kartki ze ściennego kalendarza. Czasami, gdy nikt nie  
patrzył, brałem z półmiska jeszcze jedną łyżkę chałwy z kaszy  
manny. Czasami obraz w telewizorze tracił ostrość i wujek  
Tank prosił Fiisun: „Zobacz, córeczko, co tam się stało”, wtedy  
Fiisun majstrowała coś przy pokrętle z tyłu telewizora, a ja  
patrzyłem na jej plecy. Czasami mówiłem: „Wypalę jeszcze  
jednego papierosa i pójdę”. Czasami kompletnie zapomniałem  
o Czasie i wyciągałem się na Teraz jak na miękkim, wygodnym  
łożku. Czasami wydawało mi się, że dostrzegam gnieźdzące  
się w dywanie bakterie, owady, robaki. Czasami w przerwie  
między dwoma programami Fiisun wyjmowała z lodówki zim-  
ną wodę, a wujek Tank szedł na górę do toalety. Czasami go-  
towano na dwa dni kabaczki w oliwie albo faszerowane pomi-  
dory, bakłażany czy paprykę. Czasami po kolacji Fiisun  
wstawała od stołu, podchodziła do klatki i przyjaźnie zagady-  
wała do kanarka, a mnie ogarniało wrażenie, że to ze mną tak

czule rozmawia. Czasami w letnie wieczory przez okno w wykuszu wlatywała do pokoju ćma i zaczynała jak szalona latać wokół lampy. Czasami ciocia Nesibe opowiadała nam najnowsze plotki z dzielnicy, na przykład, że ojcem elektryka Efe jest znany gangster. Czasami zapominałem, iż jestem u nich w domu, długo i czule patrzyłem na Fiisun, okazując jej tym całą swoją miłość, jakbyśmy byli sam na sam. Czasami jakiś samochód przejeżdżał ulicą tak cicho, że zauważaliśmy to tylko dlatego, bo zadrżały szyby. Czasami z meczetu Firuzaga dochodził głos muezzina. Czasami Fiisun zrywała się od stołu, podbiegała do okna w wykuszu i długo wyglądała przez nie, jakby wypatrywała kogoś z utęsknieniem — ból przeszywał mi wtedy serce. Czasami, oglądając telewizję, myślałem o zupełnie innych rzeczach, wyobrażałem sobie na przykład, że jesteśmy podróżnymi, którzy spotkali się w mesie statku. Czasami w letnie wieczory ciocia Nesibe rozpylała na górze środek owadobójczy marki Czysta Robota, po czym dodawała kilka psiknięć na dole, w jadalni, co parę much kosztowało życie. Czasami ciocia wspominała byłą cesarzową Iranu, Sorayę, z którą szach się rozwiódł, bo nie dała mu dzieci, i opowiadała nam o jej życiu w europejskich wyższych sferach. Czasami wpatrzony w ekran wujek Tank wołał: „Znów pokazują tego beznadziejnego typu!“. Czasami dwa dni pod rząd Fiisun nosiła tę samą sukienkę, lecz mnie wydawała się za każdym razem inaczej ubrana. Czasami ciocia pytała: „Kto ma ochotę na lody?“. Czasami widywałem, jak w domu naprzeciwko otwiera się okno i ktoś, stojąc w nim, pali papierosa. Czasami jedliśmy *hamsi*\* z patelni. Czasami zauważałem, że w domu Keskinów żywe są wiara w sprawiedliwość i szczere przekonanie,

\* *Hamsi* — gatunek sardeli (*Engraulis encrasicolus*) występujący w Morzu Czarnym i morzu Marmara.

że niegodziwcy zostaną ukarani — jeśli nie na tym, to na tamtym świecie. Czasami bardzo długo siedzieliśmy w milczeniu. Czasami nie tylko my, ale jakby całe miasto pogrążyło się w ciszy. Czasami Fiisun napominała ojca: „Tato, nie podjadaj!”, i wtedy docierało do mnie, że z mojego powodu nawet przy własnym stole nie mogą czuć się swobodnie. Czasami miałem zupełnie odmienne wrażenie, wydawało mi się, że wszyscy zachowują się ze swobodą. Czasami ciocia, zapalwszy papierosa, skupiała całą uwagę na ekranie telewizora i zapominała zgasić zapałkę, aż ta w końcu parzyła jej palce. Czasami jedliśmy zapiekankę z makaronu. Czasami z hukiem przelatował nad nami w ciemnościach samolot, obniżając lot przed lądowaniem w Yeşilköy\*. Czasami Fiisun wkładała bluzkę odsłaniającą szyję i dekolt, a ja, oglądając telewizję, pilnowałem, by mój wzrok nie padał na jej piersi. Czasami pytałem Fiisun: „Jak postępy w malowaniu?”. Czasami w prognozie pogody zapowiedziano opady śniegu, ale te nie następowały. Czasami rozlegał się przenikliwy, niespokojny dźwięk syreny przepływającego tankowca. Czasami z oddali słychać było strzały. Czasami ktoś w sąsiednim budynku tak mocno trzasnął drzwiami, że w kredensie za moimi plecami zabrzęczały szklanki. Czasami dzwonił telefon, a kanarek brał jego dźwięk za głos samiczki i podochocony, zaczynał swe trele, a my zaśmiewaliśmy się do łez. Czasami przychodzili goście, zaprzyjaźnione małżeństwo, a ja czułem się zakłopotany. Czasami w telewizji występował Chór Żeński Towarzystwa Muzycznego w Uskiidarze i wujek, siedząc w swoim fotelu, śpiewał do wtóru stare piosenki. Czasami w wąskiej uliczce spotykały się nadjeżdżające z naprzeciwka dwa samochody i żaden z kierowców nie chciał

\* **Yeşilköy** — dzielnica Stambułu, w której znajduje się Port Lotniczy im. Atatürka.

przepuścić drugiego, wywiązywała się pyskówka, padały wyzwiska, aż w końcu obaj wysiadali z samochodów i zaczynała się bójka. Czasami w domu, na ulicy, w całej dzielnicy zalegała magiczna cisza. Czasami oprócz bóreka i solonej ryby przynosiłem także suszoną makrelę. Czasami mówiliśmy: „Straszny dzisiaj ziąb, prawda?”. Czasami po kolacji wujek Tank z uśmiechem wyjmował z kieszeni paczkę miętówek Świeżość i częstował nimi wszystkich po kolei. Czasami pod drzwiami dwa koty najpierw miauczały na siebie bojowo, po czym z wrzaskiem rzucały się do walki. Czasami od razu zakładałem Fiisun przyniesione w prezencie naszyjnik czy kolczyki i przy kolacji cichutko szeptałem jej, że bardzo ładnie w nich wygląda. Czasami scena ponownego spotkania i pocałunku w oglądanym melodramacie tak nas wzruszała, że zapominaliśmy, gdzie jesteśmy. Czasami ciocia Nesibe usprawiedliwiała się: „Mało posoliłam, niech każdy sobie doprawi do smaku”. Czasami gdzieś daleko widać było błyskawice i grzmiało. Czasami przenikliwy dźwięk syreny promu na Bosforze budził w naszych sercach smutek. Czasami jakiś aktor, którego znaleźliśmy z baru Pergamin i trochę sobie z niego żartowaliśmy, pojawiał się na ekranie w filmie, serialu albo w reklamie i bardzo wtedy chciałem wymienić z Fiisun porozumiewawcze spojrzenia, ale ona odwracała wzrok. Czasami wyłączano elektryczność i w ciemności widzieliśmy żarzące się czerwono ogniki papierosów. Czasami ciocia Nesibe narzekała: „Ojej, strasznie dużo dziś paliłam!”. Czasami mój wzrok padał na szyję Fiisun, lecz bez większego trudu byłem w stanie zapanować nad sobą, by nie gapić się w to miejsce przez cały wieczór. Czasami zapadała głęboka cisza i ciocia Nesibe stwierdzała: „Na pewno ktoś gdzieś w tej chwili umarł!”. Czasami zapalniczka wujka nie zapalała się i myślałem wtedy, że najwyższa pora kupić mu nową. Czasami ciocia wychodziła do kuchni przynieść coś

z lodówki i pytała, co zdarzyło się w filmie, gdy jej nie było. Czasami młode małżeństwo mieszkające dokładnie naprzeciwko, przy ulicy Dalgic, zaczynało się kłócić i słychać było przenikliwe krzyki bitej przez męża żony. Czasami w zimowe wieczory sprzedawca *boza*\* mijał nasze drzwi, brzęcząc dzwoneczkami i nawołując: „Boooza z Vefaaa!”. Czasami ciocia Nesibe zauważała: „Dziś jesteś w wesołym nastroju!”. Czasami ledwo się powstrzymywałem, by nie wyciągnąć ręki i nie dotknąć Fiisun. Czasami, zwłaszcza w letnie wieczory, zrywał się wiatr i zatrząskiwiał otwarte drzwi. Czasami myślałem o Zaimie, Sibel i niegdysiejszych przyjaciółkach. Czasami na stojących na stole daniach siadały muchy, co bardzo irytowało ciocię. Czasami ciocia, wyjmując z lodówki wodę mineralną dla wujka, pytała mnie: „Też chcesz?”. Czasami jeszcze przed dziesiątą stróż robił obchód i gwizdał gwizdkiem. Czasami miałem nieodpartą chęć powiedzieć Fiisun: „Kocham cię”, ale ograniczałem się jedynie do podania jej ognia. Czasami zauważałem, że bzy, które przyniosłem poprzednim razem, wciąż stoją w wazonie. Czasami w ciszy było słychać, jak gdzieś w sąsiedztwie otwiera się okno i ktoś wyrzuca śmieci na ulicę. Czasami ciocia pytała: „No, kto zje ostatniego kotlecika?”. Czasami widok przemawiających w telewizji generałów przypominał mi moją służbę wojskową. Czasami czułem, że nie tylko ja, lecz my wszyscy zupełnie się nie liczymy. Czasami ciocia mówiła: „Zgadnijcie, co będzie na deser?”. Czasami wujka Tarika łąpał atak kaszlu, wtedy Fiisun wstawiała i podawała ojcu szklankę wody. Czasami Fiisun przypinała broszkę, którą

*Boza* — gęsty, lekko kwaskowy napój ze sfermentowanego zboża (najczęściej prosa), spożywany tradycyjnie w okresie jesienno-zimowym, od października do kwietnia. Z wyrobu *boza* zaśląną! pochodzący z Albanii Haci Sadik Bey, który w 1876 r. w stambulskiej dzielnicy Vefa założył wytwórnię do dziś prowadzoną przez jego potomków.



podarowałem jej kilka lat wcześniej. Czasami zaczynałem sądzić, że za słowami płynącymi z telewizora kryje się coś zupełnie innego. Czasami Fiisun pytała mnie o występującego w telewizji teatrologa, literaturoznawcę czy jakiegoś profesora. Czasami zbierałem ze stołu brudne talerze i zносиłem do kuchni. Czasami wszyscy byliśmy zajęci jedzeniem i przy stole zapadała cisza. Czasami ktoś ziewnął, potem następny, w końcu wszyscy kolejno ziewali, i gdy to spostrzegliśmy, zaczynaliśmy się śmiać. Czasami Fiisun tak wciągała akcja filmu, oglądała go w takim skupieniu, że chętnie zostałbym jego bohaterem. Czasami aż do nocy czuć było w domu zapach smażonego mięsa. Czasami uważałem się za wielkiego szczęściarza, bo Fiisun siedziała obok mnie. Czasami proponowałem: „Może wybierzemy się w końcu nad Bosfor na kolację?”. Czasami odnosiłem wrażenie, że życie toczy się tylko właśnie tu, przy tym stole. Czasami rozpoczynaliśmy dyskusję na tematy, o których nie mieliśmy żadnego pojęcia, tylko dlatego że mówiono o nich w telewizji, na przykład o zaginionych królewskich grobowcach w Argentynie, grawitacji na Marsie, możliwościach długiego pozostawania pod wodą bez nabierania powietrza, niebezpieczeństwach czyhających na motocyklistów w Stambule, procesach, które doprowadziły do powstania kominów wrózek\* w Urgiip. Czasami wiał ostry wiatr, a jego podmuchy gwizdały w szparach okien i wydobywały dziwne dźwięki z rury od piecyka. Czasami wujek Tank, wskazując, że odległa o pięćdziesiąt metrów od domu aleja Bogazkesen znajduje się w miejscu, przez które przed pięciuset laty sułtan Mehmet Zdobywca przeciągnął lądem tureckie galery i spuścił je na wody Złotego Rogu, powtarzał z podziwem: „A miał za-

\* **Kominy wrózek** — charakterystyczne dla Kapadocji ostańce w formie kolumn, utworzone przez erozję wulkanicznego tufu.

ledwie dziewiętnaście lat, gdy tego dokonał!". Czasami Fiisun pod koniec kolacji wstawiała od stołu i podchodziła do klatki Cytrynki, a ja po chwili szedłem w jej ślady. Czasami mówiłem sobie w duchu: „Dobrze, że wpadłem również dzisiaj”. Czasami wujek posyłał Fiisun na górę po okulary, gazetę czy bilet na loterię, które zapomniał przynieść, a wtedy ciocia wołała z dołu do córki: „Pamiętaj zgasić światło!”. Czasami ciocia mówiła, że moglibyśmy jeszcze zdążyć na ślub dalekiego krewnego w Paryżu. Czasami wujek głośno wołał: „cisza!", i wskazując wzrokiem sufit, nasłuchiwał, a my, słysząc chrobot, w pierwszej chwili nie byliśmy w stanie stwierdzić, czy to mysz, czy złodziej. Czasami ciocia pytała wujka, czy telewizor jest nastawiony na właściwą głośność, gdyż z wiekiem wujek coraz gorzej słyszał. Czasami zapadała między nami długa cisza. Czasami padający śnieg gromadził się na chodnikach i parapetach. Czasami odpalano ognie sztuczne, wszyscy zrywaliśmy się od stołu i jeśli tylko się dało, staraliśmy się obserwować przecinające niebo kolorowe rozbłyski, a potem wdychaliśmy zapach prochu, który przez otwarte okno wnikał do wnętrza. Czasami ciocia pytała: „Kemalu, dolać ci?". Czasami pytałem: „Obejrzymy twój obrazek, Fiisun?", po czym czasami szliśmy go obejrzeć i patrząc na niego, wiedziałem, że zawsze będę szczęśliwy.

## 70. *lumtitm*

Pewnego wieczoru, tydzień po tym, jak godzina policyjna została przesunięta z dziesiątej na jedenastą, Feridun przyszedł do domu na pół godziny przed jej rozpoczęciem. Od dawna, pod pozorem pracy nad filmem — twierdził, że nocuje na planie — nie wracał na noc. Tamtego wieczoru był kompletnie pijany i sprawiał wrażenie nieszczęśliwego i zbolałego. Na widok nas, siedzących przy stole, z wyraźnym trudem zdobył się jedynie na wypowiedzenie kilku zdawkowych słów uprzejmości. Z Fiisun popatrzyli tylko na siebie, po czym on powlókł się na górę, jak żołnierz, który wraca pokonany po długiej, wyczerpującej walce. Fiisun powinna była wstać i pójść za nim, lecz tego nie zrobiła.

Przyglądałem się jej uważnie, a ona wiedziała, że ją obserwuję. Jak gdyby nigdy nic zapaliła papierosa i powoli paliła. (Już nie wydmuchiwała dymu na bok, niby wstydząc się przed ojcem). Potem go zgasiła. A mnie znowu ogarnęła niemoc wstania i wyjścia. Choroba, z której, jak mi się wydawało, zupełnie się wyleczyłem, powróciła z wielką siłą.

Za dziewięć jedenasta Fiisun, wkładając w usta — nieco spowolnionymi ruchami — nowego samsuna, z uwagą spojrziała mi prosto w oczy. Tym spojrzeniem powiedzieliśmy sobie tak wiele, że wydawało mi się, jakbyśmy przegadali całą noc. Bezwiednie wyciągnąłem rękę i podałem Fiisun ogień. A ona gestem, który tureccy mężczyźni mogli oglądać jedynie w zagranicznych filmach, przez moment zatrzymała moją rękę z zapalniczką. Ciocia Nesibe zorientowała się w sytuacji, ale przerażona jej powagą, milczała. Wujek niewątpliwie wyczuł, że dzieje się coś dziwnego, ale nie wiedział, czy powinien udawać, że nic nie widzi. Opuściłem ich dom dziesięć po jedenastej. Chyba właśnie wtedy zrozumiałem, że Fiisun za mnie wyjdzie. Zrozumiałem, że w końcu wybierze mnie, i byłem z tego powodu tak szczęśliwy, iż zapomniałem o godzinie policyjnej i o tym, że w ten sposób narażam nie tylko siebie, lecz także Cetina, który wysadziwszy mnie przed domem w alei Teşvikiye, odstawił samochód do garażu przy ulicy Şair Nigar, a następnie, starając się pozostać niezauważonym, szedł pieszo bocznymi uliczkami do swego domu w dawnej dzielnicy *gecekondu*. Tamtej nocy, jak dziecko, nie mogłem zasnąć ze szczęścia.

Siedem tygodni później, gdy w kinie Saray w Beyoglu odbywała się gala z okazji premiery filmu *Złamane życie*, spędziłem wieczór z Ke skinami w ich domu. Właściwie powinniśmy w niej uczestniczyć — Fiisun jako żona reżysera, ja jako producent (byłem właścicielem ponad połowy udziałów w Wytwórni „Cytrynka”), ale oboje z tego zrezygnowaliśmy. Fiisun nawet nie musiała szukać pretekstu, bo pokłóciła się z Feridunem. Przez całe lato rzadko bywał w domu. Najprawdopodobniej mieszkał już ze Stokrotką. W domu w Cukurcumie pojawiał się raz na dwa tygodnie, by z pokoju na górze zabrać coś ze swoich rzeczy, czyste koszule, jakąś książkę. Nie mówiono o tym wprost,

O sytuacji dowiadywałem się z czynionych przez ciocię aluzji, przypadkowych uwag, lecz choć zżerała mnie ciekawość, nie podejmowałem zakazanego tematu. Ze spojrzeń i gestów Fiisun jasno wynikało, że zabroniła mówić o tym w mojej obecności. Ciocia Nesibe zdradziła mi jednak, iż podczas jednej z takich wizyt Feriduna doszło do kłótni między nim a Fiisun.

Przypuszczałem, że gdybym poszedł na premierę, Fiisun dowiedziałyby się o tym z gazet, poczułyby się dotknięta i na pewno zechciałyby mnie ukarać. Z drugiej jednak strony, jako producent, koniecznie powinienem był się tam pokazać. Tego dnia po południu pani Zeynep na mą prośbę zadzwoniła więc do Wytwórni „Cytrynka” i powiedziała, że rozchorowała się moja matka, w związku z czym muszę pozostać w domu.

Gdy miłośnicy kina i dziennikarze mieli po raz pierwszy obejrzeć *Złamane życia*, na dworze padało. Kazałem Cetinowi zawieźć się do Keskinów nie przez Tophane, lecz przez Taksim i Galatasaray. Mijając kino Saray w Beyoglu, przez mokre od deszczu szyby auta dostrzegłem przed wejściem kilka elegancko ubranych osób z parasolami i parę barwnych afiszy, które zamówiła wytwórnia „Cytrynka”, nie przypominało to jednak gali w tym samym kinie, którą przed laty sobie wyobrażałem, gali z okazji premiery filmu z Fiisun w roli głównej.

Podczas kolacji u Keskinów nikt nie odezwał się na temat premiery mojego i Feriduna pierwszego filmu ani słowem. Wszyscy, wujek, ciocia, Fiisun i ja, paliliśmy papierosy jeden za drugim; zjedliśmy makaron z mięsem, *cacik*\*, sałatkę z pomidorów, biały ser oraz lody Ómiir, które kupiłem w Nişantaşi 1 od razu po przyjeździe włożyłem do zamrażalnika w lodówce. Często wstawaliśmy od stołu, by przez okno popatrzeć na

\* *Cacik* — rodzaj chłodnika z jogurtu z drobno posiekanymi świeżymi ogórkami, posypanego suszoną miętą.

deszcz i strumienie wody spływające w dół wzgórza Cukurcuma. Kilka razy miałem ochotę spytać Fiisun, jak jej idzie malowanie ptaków, lecz po zaciętym wyrazie twarzy i zmarszczonych brwiach poznałem, że nie jest to właściwy moment.

Mimo szyderczych, pogardliwych recenzji krytyków *Złamane życia* zarówno w Stambule, jak i na prowincji zostały ciepło przyjęte przez widzów i stały się kasowym przebojem. Ostatnie sceny filmu, w których Stokrotka w pełnych bólu i gniewu piosenkach skarży się na swój nieszczęsny los, doprowadzały kobiety do łez, zwłaszcza na prowincji, a wielu widzów, młodych i starych, opuszczało duszne i wilgotne sale kinowe z opuchniętymi od płaczu oczami. Niezwykle silne emocje budziła też scena, gdy Stokrotka każe złemu bogaczowi, który ją zhańbił, kiedy była jeszcze niemal dzieckiem, błagać o litość, a w końcu go zabija. Scena ta była tak sugestywna, że odtwórca roli niegodziwca, który oszukał dziewczynę i pozbawił ją dziewictwa, kolega z Pergaminu, Ekrem (grywał też bizantyjskich mnichów i ormiańskich bojówkarzy), przez pewien czas nie mógł wychodzić z domu, gdyż przechodnie pluli mu w twarz, a nawet próbowali go spoliczkować. Film zbierał pochwały za to, że po latach terroru, jak nazywano okres przed zamachem stanu, przyciągnął na powrót publiczność do kin. Ożywienie zapanowało także w barze Pergamin; filmowcy, którzy poczuli wreszcie ruch w interesie, znów zaczęli regularnie się w nim pokazywać, sam bar zaś stał się czymś w rodzaju branżowej giełdy. W końcu października, po usilnych namowach Feriduna, wybrałem się tam w pewien wietrzny, deszczowy wieczór, na dwie godziny przed godziną policyjną, i stwierdziłem, że moje notowania znacznie wzrosły; jak to się wówczas mówiło — byłem na fali. Komercyjny sukces filmu uczynił ze mnie znającego się na rzeczy — by nie powiedzieć, bystrego i sprytnego — producenta, a to z kolei sprawiło, że liczba filmowców

chętnych dosiąść się do mojego stolika i zaprzyjaźnić ze mną, od operatorów po znanych aktorów, znacznie wzrosła.

Pamiętam, że tamtego wieczoru siedziałem przy jednym stoliku z Hayatim Marzycielem, Feridunem, Stokrotką i Tahirem Tanem, a w głowie dobrze mi już szumiało od pochlebstw, zainteresowania moją osobą i *raki*. Ekrem, co najmniej tak samo pijany jak ja, droczył się ze Stokrotką, strojąc sobie nieprzyzwoite żarty ze sceny gwałtu, której zdjęcie wciąż jeszcze zamieszczała prasa. Stokrotka śmiała się, odpowiadając, że nie bierze na poważnie mężczyzn bez pozycji i bez kasy. W pewnym momencie niemal namówiła Feriduna, by przylał siedzącemu przy stoliku obok gogusiowatemu krytykowi, który wyśmiał jej grę, a o *Złamanych życiach* wyraził się *per* „podrzędny melodramat”. Na szczęście szybko o tym zapomniano.

Ekrem pochwalił się, że po występie w tym filmie otrzymuje więcej niż kiedyś propozycji zagrania w reklamach banków, i przyznał, że nie wie, dlaczego tak się dzieje, wszak odtwórców ról czarnych charakterów nikt nie chciał w nich przedtem zatrudniać. I tak rozmowa zeszała na najgorętszy w tamtych czasach temat: banki oferujące dwieście procent odsetek. W ich reklamach w telewizji i gazetach widniały znane twarze z Yeşilcam, co filmowy świat powitał z zadowoleniem. Niezupełnie trzeźwo krocący po ziemi stali bywalcy baru uważali mnie za odnoszącego sukcesy nowoczesnego biznesmena („Ceniący sztukę przedsiębiorca musi być nowoczesny” — stwierdził Hayati Marzyciel), dlatego gdy tylko zaczynała się rozmowa na temat banków i odsetek, najpierw zapadali w pełne szacunku milczenie, po czym zaczynali pytać mnie o radę. Po sukcesie kasowym filmu *Złamane życia* uznano mnie za przewidującego, a zarazem pozbawionego skrupułów kapitalistę, i nikt już nie pamiętał, że pojawiłem się w barze Pergamin, by zrobić z Fiisun artystkę. Gdy zastanawiałem się nad tym, jak szybko

zapomniano o Fiisun, moja miłość do niej wybuchała gwałtownym płomieniem; chciałem jak najszybciej ją zobaczyć i czułem, że za to, iż potrafiła oprzeć się temu podłemu, wstrętnemu środowisku i pozostać nietknięta, nieskalana, jeszcze mocniej ją kocham. I znów dochodziłem do wniosku, że dobrze zrobiłem, trzymając ją od tego z daleka.

Piosenki, które w filmie śpiewała Stokrotka, wykonała starsza, mało znana piosenkarka, przyjaciółka jej matki. Teraz, po sukcesie filmu, Stokrotka miała je nagrać sama i wydać na płycie. Tamtego wieczoru postanowiliśmy, że Wytwórnia Filmowa „Cytrynka” wesprze ten projekt, a ponadto zrealizuje dalszy ciąg *Złamanych żyć*. Decyzja o nakręceniu drugiej części filmu była jednak decyzją nie naszą, lecz dystrybutorów i właścicieli kin w Anatolii. Feridun oświadczył, że wobec tylu próśb i nalegań powiedzenie „nie” byłoby „wbrew naturze” (jeszcze jedno z modnych w tamtym okresie powiedzeń). Na końcu pierwszej części Stokrotka, jak wszystkie pozbawione dziewictwa dziewczyny, zarówno te szlachetne, jak i te niedobre, ginie, nie doczekawszy *happy endu*, czyli małżeństwa i macierzyństwa. Rozwiązaliśmy to w ten sposób, że miało się okazać, iż Stokrotka wcale nie zginęła pod gradem kul, lecz została ranna i by umknąć prześladowcom, upozorowała śmierć. Akcja drugiej części filmu miała zaczynać się w szpitalu.

O rozpoczęciu zdjęć Stokrotka poinformowała w wywiadzie, który trzy dni później ukazał się w gazecie „Milliyet”. Co dzień pojawiały się nowe doniesienia na jej temat. Gdy pierwszy film wszedł na ekrany, prasa sugerowała, że między nią a Tahirem Tanem kwitnie sekretny romans, ale ten temat się wyczerpał, gdyż Stokrotka zdecydowanie zaprzeczała, jakoby łączyła ich miłość. Feridun zadzwonił do mnie i powiedział, że w drugim filmie ze Stokrotką chce zagrać najśłynniejszy ówczesny aktor, przy którym Tahir Tan wypada nader słabo. Stokrotka zaczęła



w wywiadach mówić, że jej doświadczenia z mężczyznami nie wykraczają poza całowanie. Pierwszy pocałunek, z chłopakiem będącym jej młodzieńczą miłością, w sadzie, gdzie słyhać było brzęczenie pszczoł — to jej najcenniejsze wspomnienie. Niestety, ukochany zginął na Cyprze w walkach z Grekami. Po jego śmierci nie zbliżyła się już do żadnego mężczyzny, lecz jej miłosny ból ukoić mógłby jedynie znów jakiś porucznik... Feridun nie był zadowolony z tego rodzaju wymyślonych opowieści, lecz Stokrotka oświadczyła, że robi to, by drugi film łatwiej przeszedł przez cenzurę. Feridun nie ukrywał już przede mną swego związku z aktorką. Mogłem mu tylko zazdrościć, że potrafi tak bezproblemowo podchodzić do życia, nie wdając się w konflikty i nie przejmując się niczym, zawsze pogodny i sprawiający wrażenie szczerego.

Pierwszy singiel Stokrotki, zatytułowany *Złamane życie*, ukazał się na początku stycznia 1982 roku i cieszył się sporym powodzeniem, choć nie tak dużym jak film. Na murach z zamalowanymi wapnem po przewrocie wojskowym sloganami pojawiły się plakaty, a w gazetach, niewielkie co prawda, reklamy. Cenzura Tureckiego Radia i Telewizji (oficjalna nazwa tego organu brzmiała nieco łagodniej: Rada Kontroli Muzyki) uznała płytę za zbyt lekką, nie puszczano jej więc ani w radiu, ani w telewizji. Z okazji jej wydania Stokrotka znowu udzieliła serii wywiadów, w których wypowiadała na poły prawdziwe, na poły wymyślone kontrowersyjne poglądy, co zapewniało jej jeszcze większy rozgłos. Wdawała się w dyskusje na tematy w rodzaju: „Co nowoczesna dziewczyna o poglądach kemalistowskich powinna stawiać na pierwszym miejscu: zamążpójście czy pracę?” Zwierzała się, że nie poznała jeszcze mężczyzny swoich marzeń, pozując przy tym przy lustrze w sypialni (kupiła zestaw mebli w stylu na wpół nowoczesnym, na wpół tradycyjnym, orientalnym) z pluszowym misiem w ob-

jęciach, albo w kuchni — takich samych emaliowanych garnków używała też Fiisun — wspólnie z udającą porządną panią domu matką robiła *borek* ze szpinakiem, podkreślając, że jest porządniejsza, przyzwoitsza i szczęśliwsza od swej filmowej bohaterki, zranionej i gniewnej Lerzan (choć stwierdziła przy tym: „Z pewnością każda z nas ma w sobie coś z Lerzan!”). Feridun powiedział mi kiedyś z dumą, że Stokrotka to prawdziwa profesjonalistka i nie bierze na poważnie tego, co wypisują gazety i czasopisma. W przeciwieństwie do poznanych w Pergaminie różnych bezmyślnych gwiazd i gwiazdeczek, które nieustannie martwiły się, że opublikowane w gazetach nieprawdziwe wiadomości na ich temat mogą im zaszkodzić w oczach ludzi, Stokrotka sama produkowała kłamstwa, zachowując nad swym wizerunkiem pełną kontrolę.

## 71. NIE PRZYCHODZI PAN JUŻ DO NAS, PANIE KEMALU

Wobec narastającej konkurencji ze strony Coca-Coli i innych wielkich koncernów zagranicznych do kampanii reklamowej naszej narodowej oranżady Zefir postanowiono zatrudnić Stokrotkę (reżyserem filmowego spotu miał być Feridun), co doprowadziło do ostatecznego, wyjątkowo bolesnego dla mnie konfliktu z dawnymi przyjaciółmi, od których się oddaliłem, choć nigdy nie zerwałem łączących nas więzów.

Zaim oczywiście wiedział, że Stokrotka jest związana z Wytwórnią Filmową „Cytrynka”. Aby po przyjacielsku obgadać sprawę, zjedliśmy razem długi lunch w Foyer.

— Coca-Cola daje dystrybutorom towar na kredyt, zapewnia za darmo szyldy reklamowe z pleksiglasu, rozdaje upominki, kalendarze. Nie wytrzymujemy konkurencji — wyznał Zaim. — Młodzi są jak małpy, zobaczyli Maradonę (ówczesną gwiazdę futbolu) z butelką coli w ręku i już im nie w głowie, że zefir jest tańszy, zdrowszy, krajowej produkcji, piją tylko colę.

— Nie gniewaj się, ja także wolę colę, a po oranżadę sięgam raz na sto lat.

— Ja też... — westchnął Zaim. — Daj spokój, nieważne, co pijemy... Stokrotka wzmocniłaby naszą pozycję na prowincji. Ale co to za typ kobiety? Czy można jej zaufać?

— Nie wiem. Jest ambitna, pochodzi z biednej rodziny. Jej matka była niegdyś piosenkarką w nocnych lokalach... O ojcu nic nie wiadomo. Co cię niepokoi?

— Inwestujemy sporo, więc jeśli potem będzie kręcić tyłkiem w byle pornosie albo, nie wiem, złapią ją w łóżku z jakimś żonatym gościem... Na prowincji nie przyjmą tego dobrze. Podobno żyje z mężem tej twojej Fiisun...

Nie spodobało mi się ani to, że mówi o Fiisunper „ta twoja”, ani wyraz jego twarzy w tym momencie, mówiący: „ty lepiej znasz ten typ ludzi”.

— Zefir cieszy się popularnością na prowincji?

U Zaima, z jego ciągotkami do nowoczesności, europejskości, brak powodzenia wśród stambulskiej burżuazji napoju, reklamowanego przecież na modłę zachodnią, przez zagraniczną modelkę, wyraźnie budził niepokój.

— Tak, większą niż tutaj — odparł. — Bo na prowincji wciąż jeszcze smak się ludziom nie popsuł, wciąż są tam prawdziwi Turcy! Ale ty nie bądź taki przeczulony i nie zmieniaj tematu... Wiem, co czujesz do Fiisun. W naszych czasach miłość taka jak twoja jest czymś wyjątkowym, godnym szacunku, a ludzie niech gadają, co chcą.

— A co kto gada?

— Nikt nic nie gada — odpowiedział Zaim przezornie.

Oznaczało to ni mniej, ni więcej tylko: „w towarzystwie już nikt o tobie nie pamięta”. Obaj poczuliśmy się nieswojo. Lubiłem Zaima za to, że mówi prawdę, a jednocześnie stara się mnie nie zranić.

Dostrzegł wdzięczność i serdeczność w moich oczach, uśmiechnął się przyjaźnie, jakby chciał dodać mi otuchy, i unosząc lekko brwi, spytał:

— O co chodzi?

Mogłem udzielić wymijającej odpowiedzi, Zaim jednak dobrze mnie rozumiał. Było mi przykro, że tak szybko zostałem zapomniany przez kumpli z dawnej paczki.

— Wszystko jest na najlepszej drodze — odparłem. — Pobierzemy się z Fiisun. Wrócę z nią do towarzystwa, do naszej sfery... O ile oczywiście zdołam wybaczyć tym plotkarzom.

— Nie zaprzataj sobie nimi głowy. Po trzech dniach już nikt o niczym nie pamięta. Widać po tobie, że masz się dobrze, humor ci dopisuje. Jak usłyszałem o Feridunie, od razu wiedziałem, że Fiisun zacznie wreszcie myśleć logicznie.

— Skąd wiesz o Feridunie?

— A co za różnica...

— No i jak, szykuje się ślub? — zmieniłem temat. — Masz kogoś nowego?

— Patrz, Hilmi Bękart z żoną, Neslihan — Zaim spojrzął w stronę drzwi.

— O, proszę, kogo ja widzę! — zawołał Hilmi, podchodząc do naszego stolika. Neslihan była bardzo szykownie ubrana. Jej mąż też dbał o wygląd — nie ufał krawcom z Beyoglu i ubierał się we Włoszech. Podobała mi się ich elegancja, widoczna zamożność. Ale wiedziałem, że nie będę w stanie, tak jak oni by sobie tego życzyli, miło się uśmiechać i obrócić wszystko w żart. Przez moment wydało mi się, że Neslihan patrzy na mnie z obawą. Uścisnąłem im dłonie, lecz wciąż zachowywałem chłodny dystans. Coś jednak nie dawało mi spokoju. Chwilę wcześniej w swym zadufaniu powiedziałem Zaimowi, że powrócę do tego, co, zapewne pod wpływem czytanych przez matkę kolorowych tygodników, określiłem jako „nasza

sfera". Teraz wstydziałem się tych słów. Chciałem wrócić do Cukurcummy, do świata, w którym żyła Fiisun. Patrzyłem na tłum wypełniający Foyer, na doniczki z roślinami, gładkie ściany, efektowne lampy jak na przyjemne wspomnienie. Ale restauracja jakby się zestarzała, spłowiła. Czy kiedyś będziemy z Fiisun siedzieli przy tych stolikach, nie przejmując się niczym i rozkoszując szczęściem bycia razem? To bardzo prawdopodobne! — odpowiedziałem sobie w myślach.

— Zatopiłeś się w słodkich marzeniach — zaśmiał się Zaim.

— Nie, zastanawiam się nad Stokrotką pod kątem twoich interesów.

— Jeśli ma zagrać w reklamie zefira i tego lata być twarzą kampanii, będzie musiała przychodzić na spotkania, przyjęcia i tak dalej. Jak sądzisz?

— Co masz na myśli?

— Czy jest uprzejma, miła, czy potrafi się właściwie zachowywać?

— Dlaczego miałyby nie umieć, jest przecież aktorką. I do tego gwiazdą.

— O to mi właśnie chodzi. Wiesz, jak się w tureckich filmach przedstawia bogaczy, te sztuczne gesty... Żebyśmy nie wyszli jak oni!

Dobrze wychowany Zaim mówił o n a s, ale z pewnością na myśli miał j ą. Nie tylko na Stokrotkę, na każdego, kogo uznał za przedstawiciela plebsu, patrzył w ten sposób. Na szczęście miałem dość rozsądku, by uznać, że obrażanie się na Zaima za jego wąskie horyzonty i psucie sobie przez to humoru jest kompletnie bez sensu.

Zapytałem *maitre d'hotel*, Sadięgo, którego znałem od lat, jaką rybę nam poleca.

— Przestał pan u nas bywać, panie Kemal — powiedział Sadi. — Pańska mama również.

— Po śmierci ojca nie znajduje już przyjemności w jedaniu poza domem.

— Proszę odwiedzić nas z szanowną mamą, postaramy się ją rozweselić. Gdy zmarł ojciec Karahanów, synowie przywozili matkę trzy razy w tygodniu na obiad, sadzali ją przy stoliku przy oknie. Starsza pani jadła befsztyk i przy okazji miała rozrywkę, patrząc na przechodniów.

— Ona była kiedyś w sułtańskim haremie — wyjaśnił Zaim.  
— Czerkieska, z zielonymi oczami, choć już po siedemdziesiątce, to wciąż piękna kobieta. Jaką rybę nam podasz?

Sadi lubił czasami przybierać pozę niezdecydowania i wymieniał kilka gatunków: — Wetlinek, dorada, barwena, miecznik, płastuga... — Opisując smak i świeżość każdej z nich, ruszał brwiami i wąsami w górę i w dół. Niekiedy jednak mówił krótko — tak było tym razem:

— Podam okonia z patelni, panie Zaimie. Dziś niczego innego nie polecałbym.

— Co do niego?

— Ziemniaki z wody, rukola i co tam pan sobie zażyczy.

— A co na przekąskę?

— Jest już tegoroczny tuńczyk solony.

— Przynieś też czerwoną cebulę — poprosił Zaim, nie odrywając wzroku od karty, którą trzymał otwartą na stronie zatytułowanej „Napoje”. — I proszę bardzo, jest pepsi, oranżada Ankara, nawet elvan, a zefira nie ma! — powiedział z pretensją w głosie.

— Panie Zaimie, pańscy ludzie przywiozą towar i tyle ich widzieliśmy, a puste butelki zalegają na zapleczu całymi tygodniami.

— Masz rację, w Stambule nasza dystrybucja szwankuje — przyznał Zaim. — Ty się na tym znasz — zwrócił się do

mnie. — Jak to robicie w Satsat, jak rozwiązaliście kwestie dystrybucji?

— Daj mi spokój z Satsat — odpowiedziałem zniechęcony.  
— Osman założył z Turgayem nową spółkę i wykończył nas. Po śmierci ojca zrobił się chorobliwie ambitny.

Zaim nie chciał przy Sadim rozmawiać o naszych prywatnych sprawach.

— Przynieś nam lepiej dwie podwójne *raki* Klubowa z lodem — powiedział. Gdy Sadi odszedł, Zaim, marszcząc brwi, odezwał się niepewnie:

— Twój kochany braciszek chce robić z nami interesy.

— Ja się do tego nie wtrącam — powiedziałem. — Nie mam zamiaru mieć do ciebie pretensji, że wszedłeś z nim w spółkę. Rób, jak uważasz! Co słychać poza tym?

Od razu domyślił się, że pytam o najnowsze plotki, i by poprawić mi humor, opowiedział parę zabawnych historyjek. Giiven Zatapiacz Statków tym razem posadził na przybrzeżnej mieliźnie między Tuzlą a Bayramoglu zarzewiały frachtowiec. Za granicą kupował po cenie złomu wyłączone z ruchu, zatruwające środowisko skorodowane wraki, za pomocą różnych sztuczek robił z nich na papierze w pełni sprawne, drogie jednostki, po czym dzięki znajomościom w rządzie otrzymywał na nie nieoprocentowany kredyt z Funduszu Rozwoju Tureckiej Gospodarki Morskiej. Następnie zatapiał te statki i kasował wysokie odszkodowanie z należącej do państwa Agencji Ubezpieczeniowej „Kłos”. Osiadłe na mieliźnie wraki sprzedawał zaprzyjaźnionym handlarzom złomu i w ten sposób, nie ruszając się zza biurka, zarabiał krocie. Gdy trochę wypił, zaczynał się przechwalać: „Jestem największym armatorem, którego stopa nigdy w życiu nie powstała na pokładzie statku!”.

— Skandalem nie były, oczywiście, jego nieuczciwe numery, ale to, że kazał zatopić jeden z wraków niedaleko letniego



domu, który kupił swej kochance, by nie musieć daleko jeździć. Zrobił to w pobliżu willi, ogrodów, plaż, ludzie skarżyli się, że zanieczyścił morze. Jego flama podobno zalewała się łzami.

— Co poza tym?

— Avundukowie i Mengerli utopili pieniądze w banku niejakiego Deniza. Dlatego mówi się, że Mengerli zabrali córkę z liceum Nôtre Dame de Sion, by ją jak najprędzej wydać za mąż.

• — Dziewczyna jest brzydka jak noc — wtrąciłem. — I poza tym, czy jakiemuś bankierowi Denizowi można ufać? To musi być jakiś najpodlejszy z podłych, nigdy o nim nie słyszałem...

— Trzymasz pieniądze u jakiegoś bankiera? Czy zaufałybyś któremuś z nich, nawet jeśli o nim słyszałeś?

Wiedzieliśmy obaj, że wielu ludzi nie jest w stanie oprzeć się pokusie wysokich odsetek oferowanych przez prywatne banki, zakładane przez niegdysiejszych sprzedawców kebabu, opon samochodowych czy biletów na loterię. Wiele z agresywnie reklamujących się i rosnących jak grzyby po deszczu prywatnych banków zdołało utrzymać się przez pewien czas, zanim zbankrutowało. Chodziły słuchy, że nawet znani profesorowie ekonomii, którzy na łamach gazet wykpiwali tego rodzaju inwestycje, dawali się skusić wizjom niewiarygodnie wysokich zysków i „tylko na miesiąc, dwa” wkładali tam swoje oszczędności.

— Nie trzymam u nich pieniędzy — oświadczyłem. — Ani własnych, ani naszych spółek.

— Dają tak gigantyczne odsetki, że zajmowanie się uczciwą pracą staje się wręcz głupotą. Gdybym pieniądze zainwestowane w oranżadę powierzył bankierowi Kastellemu, dziś miałbym dwa razy więcej.

Nawet teraz, po latach, gdy wspominam tę naszą rozmowę w wypełnionym gości mi Foyer, ogarnia mnie to samo co wtedy wrażenie pustki, bezsensu życia. Wówczas jednak, inaczej niż

dziś, przypisywałem je nie tyle głupocie środowiska, o którym opowiadam, a mówiąc oględniej, jego bezmyślności, ile pewnego rodzaju przykrej lekkomyślności; wtedy nie martwiłem się tym zbyt, wręcz przeciwnie, akceptowałem to z dumą i uśmiechem.

— Naprawdę zefir nie przynosi zysków? — spytałem. Powiedziałem to ot tak, lecz Zaim poczuł się chyba urażony.

— Cała nadzieja w Stokrotce — wyjaśnił. — Spodziewam się, że nie przyniesie nam wstydu. Chciałbym, żeby na weselu Mehmeta i Nurcihan wystąpiła razem ze Srebrnymi Liśćmi i zaśpiewała piosenkę reklamującą napój. Cała prasa tam będzie, w Hiltonie.

Nie odzywałem się przez chwilę. Nie wiedziałem, że Mehmet i Nurcihan biorą ślub i urządzają przyjęcie weselne w Hiltonie oczywiście. Straciłem humor.

— Wiem, nie zaprosili cię — powiedział Zaim. — Myślałem, że już o tym słyszałeś.

— Dlaczego nie zostałem zaproszony?

— Długo ten temat rozważali. Jak łatwo się domyślić, to Sibel nie chce cię widzieć. Powiedziała: „Albo ja, albo on”, a wiesz, że to najbliższa przyjaciółka Nurcihan. Poza tym to ona poznała Mehmeta z Nurcihan.

— Ja zaś jestem najlepszym kolegą Mehmeta — stwierdziłem z goryczą. — Można uznać, że to ja ich sobie przedstawiłem.

— Nie rób z tego problemu, szkoda nerwów.

— Dlaczego ma być tak, jak chce Sibel? — spytałem, wcale nie czując jednak, że to ja mam rację.

— W oczach wszystkich to ją spotkała krzywda — powiedział Zaim. — Zostawiłeś ją po zaręczynach, po tym, jak mieszkaliście razem w *yali*, dzieliliście z sobą łóżko. Jeszcze długo się o tym mówiło. Matki opowiadały o was córkom, traktując

waszą historię jako przestrozę. Sibel się nie przejęła, ale wszyscy jej współczuli. A na ciebie oczywiście byli wściekli. Więc nie miej im za złe, że trzymają jej stronę.

— Nie mam — powiedziałem, choć w gruncie rzeczy tak właśnie było.

Popijając *raki*, zaczęliśmy w milczeniu jeść rybę. Po raz pierwszy podczas tego obiadu nie odzywaliśmy się do siebie z Zaimem. Zwróciłem uwagę na odgłos kroków kelnerów, pospiesznie przemykających wśród stolików. Cały czas słyhać było śmiechy, odgłosy rozmów, brzęk sztućców. Zirytowany, postanowiłem nigdy więcej nie przychodzić do Foyer. Ale w tym samym momencie uświadomiłem sobie, że lubię to miejsce, że to jest właśnie mój świat.

Zaim zwierzył mi się, że zamierza tego lata kupić sobie sportową motorówkę i szuka do niej dobrego silnika montowanego na rufie, ale w sklepach w Karakóy nie może znaleźć niczego odpowiedniego.

— Wystarczy, przestań się wreszcie dąsać — powiedział nagle. — Nie możesz się zamartwiać, że ktoś nie zaprosił cię na ślub w Hiltonie. Nie zdarzyło ci się to jeszcze nigdy?

— Nie podoba mi się, że przyjaciele odtrącają mnie z powodu Sibel.

— Nikt cię nie odtrąca.

— Dobrze, a gdybyś ty miał zdecydować, co byś zrobił?

— O czym znowu miałbym zdecydować? — spytał Zaim z fałszywą nutą w głosie. — Aha, rozumiem. Jasne, bardzo chciałbym, byś przyszedł. Świetnie się razem bawimy na weselach.

— Nie chodzi o zabawę, pytam poważnie.

— Sibel to wyjątkowa dziewczyna — powiedział Zaim. — Złamałeś jej serce. Co więcej, skompromitowałeś ją w oczach wszystkich. Więc zamiast się obrażać i patrzeć na mnie wil-

kiem, pogódź się z tym, co zrobiłeś. Wierz mi, łatwiej będzie ci wtedy wrócić do dawnego życia i cała ta sprawa szybciej zostanie zapomniana.

— To znaczy, że według ciebie ja jestem winny, czyż nie? — spytałem. Wiedziałem, że zaraz będę żałował przedłużania rozmowy na ten temat, ale nie rezygnowałem. — Skoro dziewictwo jest dla nas wciąż tak istotne, to czemu silimy się na całą tę nowoczesność, europejskość? Bądźmy szczerzy.

— Jesteśmy... Mylisz się, uważając dziewictwo za swoją prywatną sprawę. Dla ciebie, dla mnie nie jest ono może istotne... Ale choćbyśmy byli nie wiem jak nowoczesni i europejscy, w tym kraju dla dziewczyny jest ono niezwykle ważne.

— Mówiłeś, że Sibel nic sobie z tego nie robi.

— Ona może nie, ale ludzie... — powiedział Zaim. — Ty zapewne też się niczym nie przejmujesz, ale jak Biały Goździk powypisywał te kłamstwa o tobie i wszyscy o tym mówili, było ci przykro, prawda?

Uznałem, że Zaim specjalnie używa takich wyrażań jak „twoje dawne życie”, sięga po szczegóły, które mogłyby mnie zdenerwować. Skoro on chce mi zrobić przykrość, proszę bardzo, ja też mogę mu dokuczyć. Co prawda jakiś głos gdzieś w jakimś zakątku mojego umysłu podpowiadał mi, że powinienem nad sobą panować, że to wpływ dwóch wypitych szklaneczek *raki* i mogę potem żałować swych słów, ale trudno, wściekłem się.

— Szczerze mówiąc, mój drogi Zaimie, uważam, że zaśpiewanie przez Stokrotkę ze Srebrnymi Liśćmi piosenki reklamowej w Hiltonie to chwyt chybiony i niesmaczny.

— Słuchaj, ta dziewczyna podpisuje z nami kontrakt, więc daj spokój, nie bądź na mnie zły!

— To będzie takie banalne...

— I co z tego, przecież właśnie dlatego wybraliśmy Stokrotkę, że jest banalna... — odparł Zaim z przekonaniem. Sądziłem, że zaraz doda, iż to zasługa naszego filmu, ale Zaim był zbyt dobrym człowiekiem, by coś takiego przeszło mu choćby przez myśl. Oświadczył, że odpowiednio pokieruje Stokrotką. — Ale powiem ci po przyjacielsku... — dodał z powagą. — To nie ci ludzie cię odrzucili, lecz ty ich.

— A co ja takiego zrobiłem?

— Obwarowałeś się murem. Uznałeś nas za niewystarczająco interesujących, nie dość zabawnych. Twoim zdaniem zrobiłeś coś głębokiego, istotnego. Ta miłość była wielkim wyzwaniem. Ale nie możesz nas za to obwiniać...

— Ale to było takie proste. Łączył nas wspianiały seks, zakochałem się w niej... Taka jest miłość. A do tego masz wrażenie, że wszystko, świat, ludzie, nabiera jakiegoś głębokiego sensu. To nie ma nic wspólnego z wami.

Słowo „z wami” jakoś samo wymknęło mi się z ust. Przez moment czułem, że Zaim spogląda na mnie z wielkiego odalenia, jakby już dawno przestało mu na mnie zależeć. Nie potrafił już przebywać ze mną na dawnych zasadach. Słuchając moich słów, zastanawiał się, co powiedzieć nie mnie, lecz znajomym. Wyczytałem to z wyrazu jego twarzy. Zaim był inteligentny, skoro więc zwracał uwagę na takie rzeczy, też musiał być na mnie wściekły. Coraz bardziej oddalał się ode mnie i w pewnym momencie ja także oddaliłem się od niego, od mojej przeszłości.

— Jesteś niezwykle uczuciowym człowiekiem — stwierdził. — I za to cię szczerze lubię.

— A co na to wszystko Mehmet?

— Wiesz, jak bardzo cię lubi. Ale z Nurcihan jest szczęśliwy w sposób, którego ani ty, ani ja nie jesteśmy w stanie

zrozumieć. Jest po prostu w euforii i nie chce, by cokolwiek zmąciło jego radość.

— Rozumiem — postanowiłem zamknąć temat.

Zaim od razu to wyczuł.

— Nie daj się ponieść emocjom, bądź rozsądny! — powiedział.

— Dobrze, będę — odrzekłem i do końca obiadu nie powiedzieliśmy ani słowa na jakikolwiek drażliwy temat.

Zaim kilka razy próbował poprawić mi humor, opowiadając plotki z wyższych sfer i żartując z Hilmim Bękartem i jego żoną, ale bez rezultatu. Teraz elegancja tej pary wydała mi się przesadna i sztuczna. Nic już nie łączyło mnie z tymi ludźmi. Było mi oczywiście przykro z tego powodu, ale jednocześnie czułem gniew i żądzę zemsty.

Zapłaciłem rachunek. Przed drzwiami do Foyer uścisnęliśmy się mocno i szczerze, jak dwaj starzy przyjaciele, którzy wiedzą, że długo się nie zobaczą, bo jeden z nich wyrusza w daleką podróż, a potem poszliśmy każdy w swoją stronę.

Dwa tygodnie później do firmy zadzwonił Mehmet. Przepraszając, że nie zaprosił mnie do Hiltona na wesele, wspomniał, że Zaim jest od dłuższego czasu związany z Sibel. Wszyscy o tym wiedzieli, więc sądził, że ja też o tym wiem.

## 72. ŻYCIE JEST TAKIE SAMO JAK MIŁOŚĆ

Na początku 1983 roku właśnie miałem zasiąść z Keskinami do stołu, gdy wyczułem w jadalni jakąś inność, brak czegoś, i z uwagą rozejrzałem się dookoła. Fotele nie zostały przestawione, na telewizorze nie pojawiła się nowa figurka psa, ale ściany pomieszczenia były jakieś obce, jakby je pomalowano na czarno. W tamtych dniach narastało we mnie wrażenie, że moje życie nie jest stanem przeżywanym świadomie, konsekwentnie, lecz — tak samo jak miłość — rodzajem snu, który przyśnił się akurat mnie. Zachowywałem się tak, jakbym ignorował ten pesymistyczny pogląd, aby nie musieć ani z nim walczyć, ani mu się poddawać. Można powiedzieć, że pozostawiłem wszystko własnemu biegowi. I kierując się tą samą logiką, byłem zdecydowany przejść do porządku dziennego nad niewytłumaczalnym niepokojem, jaki budziła we mnie jadalnia.

Zginęła właśnie Grace Kelly i poświęcony kulturze drugi kanał państwowej telewizji TRT-2 nadawał filmy z jej udziałem. Emisję „Sztuki filmu” w każdy czwartkowy wieczór zapowiadał, czytając z kartki, nasz stary znajomy, słynny aktor Ekrem,

który aby ukryć drżące ręce alkoholika, chował je za wazonem pełnym róż. Teksty pisał młody krytyk filmowy, niegdyś bliski kolega Feriduna (poróżnili się, gdy krytyk wyśmiał w recenzji *Złamane życie*). Pan Ekrem czytał te pisane ozdobnym stylem intelektualne teksty, niezupełnie je rozumiejąc, a skończywszy czytać, unosił wzrok i nim zaprosił do obejrzenia filmu, opowiadał, jakby zdradzał widzom jakiś sekret, że przed laty na festiwalu filmowym osobiście poznał „amerykańską księżniczkę”, która żywiła wiele sympatii dla Turków. Przybierał przy tym tajemniczą pozę, mającą sugerować, że w gruncie rzeczy mógł przeżyć z piękną gwiazdą wielką miłość. Fiisun, która w pierwszych latach małżeństwa wiele słyszała o Grace Kelly od Feriduna i jego kolegi, młodego krytyka, nie przepuściła żadnego z tych filmów. A ponieważ ja nie chciałem przepuścić widoku oglądającej je, zrozpaczonej, bezradnej, ale wciąż pięknej Fiisun, w każdy czwartkowy wieczór zasiadałem u Keskinów za stołem przed telewizorem.

W tamten czwartek oglądaliśmy *Okno na podwórze* Hitchcocka. Film nie tylko nie pozwolił mi zapomnieć o niepokoju, ale jeszcze bardziej go wzmocnił. Widziałem go osiem lat wcześniej, gdy zamiast na lunch z pracownikami Satsat, poszedłem do kina i myślałem o pocałunkach Fiisun. Lecz w ten czwartek zerkanie na nią kątem oka, gdy cała była pochłonięta zdarzeniami na ekranie, doszukiwanie się w niej wdzięku, delikatności Grace Kelly nie było dla mnie żadną pociechą. Mimo filmu, a może właśnie z jego powodu, ogarnęło mnie uczucie, jakiego może niezbyt często, ale w regularnych odstępach czasu doznawałem podczas kolacji w domu w *Cukurcumie*. Wydawało mi się, że nie mogę się zbudzić ze snu, w którym bezskutecznie próbuję wydostać się z pomieszczenia, a jego ściany napierają na mnie i mnie duszą. Jakby czas zaczął się kurczyć.



Bardzo się natrudziłem, by w moim muzeum zobrazować to uczucie niezdolności do zbudzenia się z sennego koszmaru. Miało ono dwa aspekty: a) stanu duszy oraz b) złudzenia zniekształcającego obraz świata.

Jako a) stan duszy w pewnym sensie wykazywało podobieństwo do stanu upojenia alkoholowego lub narkotycznego transu. Ale różniło się od nich. Przypominało niemożność przeżywania danej chwili, terażniejszości. Niejednokrotnie przy kolacji u Keskinów doznawałem wrażenia *déjà vu*... Pokazywany w telewizji film z Grace Kelly już kiedyś widzieliśmy, prowadziliśmy już takie same rozmowy przy stole, ale nie one wywoływały we mnie to wrażenie. Nie czułem, że chwile, które przeżywam, przeżywam tu i teraz. Jakbym przyglądał się im z oddali. Moje ciało, niczym ciało kogoś obcego, żyło w swoim t e r a z jak na scenie teatru, a ja patrzyłem na siebie i Fiisun jakby z łoża. Ciało znajdowało się w terażniejszości, a dusza z daleka je obserwowała. To, co przeżywałem, wydawało się wspomnieniem. Zwiedzający moje muzeum powinni postrzegać zgromadzone w nim obiekty, guziki, szklanki, grzebień Fiisun i stare fotografie, nie jako przedmioty, które mają przed sobą w gablotach, lecz jako moje wspomnienia.

Przeżywanie chwili terażniejszej jako wspomnienia było b) z ł u d z e n i e m związanym z czasem. Doznawałem też złudzenia związanego z miejscem. Najbardziej zbliżonym do tego uczuciem był niepokój, jaki wzbudzały we mnie zamieszczone w czasopismach dla dzieci, których egzemplarze w tym miejscu eksponuję, zagadki oparte na złudzeniach wzrokowych, typu „znajdź siedem szczegółów” albo „który element jest najmniejszy”. Zabawy w stylu „znajdź drogę przez labirynt, w którym schował się król” albo „w którą norę musi wskoczyć zajaczek, by wyjść z lasu” w równym stopniu mnie niepokoiły,

co bawiły. Jednakże w siódmym roku wizyt w domu Keskinów atmosfera przy stole stawała się coraz bardziej duszna, coraz trudniejsza do zniesienia. Tamtego wieczoru Fiisun to wyczuła:

— Co się stało, Kemal, nie podoba ci się ten film?

— Ależ skąd, podoba mi się.

— Może to nie jest temat, który cię interesuje...

— Wręcz przeciwnie — oświadczyłem i zamilkłem.

Zainteresowanie Fiisun moim nastrojem, radościami i niepokojami, zwłaszcza przy stole, w obecności rodziców, było rzeczą tak niezwykłą, że poczułem się w obowiązku powiedzieć kilka miłych słów o filmie i Grace Kelly.

— Nie jesteś dziś wieczór w humorze, Kemal, przyznaj się — nalegała Fiisun.

— No dobrze, powiem. Mam wrażenie, jakby w tym domu coś się zmieniło, ale nie potrafię określić co.

Wszyscy jednocześnie roześmieli się.

— Przenieśliśmy Cytrynkę do pokoju obok, Kemal! — zawołała ciocia. — Zastanawialiśmy się, kiedy się zorientujesz.

— Poważnie? — spytałem z zaskoczeniem. — Jak mogłem tego nie zauważyć. Przecież tak bardzo lubię Cytrynkę...

— My też — powiedziała z dumą Fiisun. — Postanowiłam go namalować, dlatego przeniosłam tam jego klatkę.

— Zaczęłaś już malować? Czy mogę zobaczyć? Proszę...

— Oczywiście.

Z braku chęci i natchnienia Fiisun już jakiś czas temu zarzuciła malowanie stambulskich ptaków. Gdy przeszliśmy do pokoju obok, najpierw spojrzałem na zaczęty obrazek, dopiero potem na kanarka.

— Feridun nie przynosi już zdjęć ptaków — powiedziała Fiisun. — Postanowiłam więc zacząć malować z natury, nie z fotografii.

Dobry nastrój Fiisun, jej swoboda, mówienie o Feridunie, jakby był kimś z przeszłości, sprawiło, że w jednej chwili zakreśliło mi się w głowie. Zapanowałem jednak nad sobą.

— Bardzo ładny początek, Fiisun — oświadczyłem. — Portret Cytrynki będzie twoim najlepszym dziełem, bo najlepiej go znasz. Jeśli człowiek wybierze jako temat coś, co dobrze zna i lubi, na pewno odniesie sukces.

— Ale wcale nie chcę, by portret był realistyczny.

— To znaczy?

— Nie namaluję klatki. Cytrynka będzie siedział na parapecie, jakby przyleciał tam tak jak inne ptaki.

W tamtym tygodniu jeszcze trzy razy odwiedziłem wieczorem Keskinów. Po kolacji szliśmy do pokoju obok i dyskutowaliśmy nad szczegółami obrazka, który zajmował nas bardziej niż sam ptak. Cytrynka na portrecie, uwolniony z klatki, wydawał się ożywiony. Za każdym razem nasza na wpół oficjalna, ale szczerza rozmowa schodziła na plany odwiedzenia paryskich muzeów.

Oglądając obrazek we wtorkowy wieczór, podekscytowany jak licealista, wypowiedziałem słowa, które sobie wcześniej przygotowałem:

— Moja kochana, powinniśmy razem opuścić ten dom, to życie — wyszeptałem. — Mijają dni, lata, a życie jest krótkie. Wyjedźmy stąd gdzieś, gdzie będziemy razem, gdzie będziemy szczęśliwi. — Fiisun zachowywała się tak, jakby ich nie słyszała, ale Cytrynka zaćwierkał krótko w odpowiedzi. — Nie ma się czego bać, nie ma się czego wstydzić. Ty i ja, my oboje, opuścimy ten dom i w innym miejscu, w innym domu, w naszym domu, będziemy szczęśliwi do końca naszych dni. Masz dwadzieścia pięć lat, Fiisun, przed tobą jeszcze pół wieku życia. Zasługujemy na pięćdziesiąt lat szczęścia, dość się

przez ostatnich sześć lat nacierpieliśmy! Wyjedźmy razem! Zbyt długo już trwamy w uporze.

— My trwamy w uporze? Nic mi o tym nie wiadomo, Kemal. Nie wkładaj tam ręki, bo straszysz kanarka.

— Wcale się nie boi, patrz, je mi z ręki. W naszym domu jego klatka będzie stała na poczesnym miejscu.

— Tatuś będzie się niepokoił — powiedziała przyjaźnie, jakby dzieliła się ze mną jakimś sekretem.

W następny czwartek obejrzelśmy *Złodzieja w hotelu*, również Hitchcocka. Przez cały czas trwania filmu obserwowałem nie Grace Kelly, lecz to, jak Fiisun na nią patrzyła. We wszystkim, od pulsowania błękitnej żyłki na szyi po ruch dłoni po kanapie, od gestu, jakim poprawiała włosy, do sposobu, w jaki trzymała papierosa marki Samsun, dostrzegałem podobieństwo mojej ukochanej do „księżniczki kina”.

Gdy znów poszliśmy do pokoju obok obejrzeć portret Cytrynki, Fiisun powiedziała:

— Wiesz, Kemal, Grace Kelly też była słaba z matematyki. Dlatego zajęła się aktorstwem i pracą modelki. Ale ja jej zazdrozczę tylko jednego: tego, że potrafiła prowadzić samochód.

Tego wieczoru Ekrem, zapraszając do obejrzenia filmu, wyjawiał tureckim miłośnikom kina, jakby opowiadał o kimś wyjątkowo sobie bliskim, że wypadek, w którym zginęła księżna, zdarzył się na drodze, którą na filmie jechała samochodem, a nawet na tym samym zakręcie.

— Dlaczego jej tego zazdrościsz?

— Nie wiem. Gdy prowadzi samochód, wydaje się taka silna, niezależna. Może dlatego.

— Mogę cię nauczyć.

— Nie, nie, nie wypada.

— Fiisun, jesteś ogromnie zdolna i nie mam żadnych wątpliwości, że zdołam cię nauczyć tyle, żebyś w dwa tygodnie

zrobiła prawo jazdy i mogła swobodnie jeździć sama po Stambule. Nie ma się czego wstydzić. Mnie prowadzenia samochodu nauczył Cetin, gdy byłem w tym samym wieku co ty (nie była to prawda). Musisz być tylko cierpliwa.

— Ależ ja jestem cierpliwa! — odparła Fiisun z przekonaniem.

## 73. PRAWO JAZDY FUSUN

W kwietniu 1983 roku zaczęliśmy z Fiisun przygotowania do egzaminu na prawo jazdy. Od momentu gdy pół żartem, pół serio poruszyliśmy ten temat, minęło pięć tygodni, a wszystko przez niezdecydowanie, grymaszenie, milczenie. Dla nas obojga bvto jasne, że chodziło nie tylko o zdanie egzaminu z kierowania samochodem, ale także z trwałości naszego związku. W dodatku miało to być nasze drugie podejście — wiedziałem, że Allah nie da nam trzeciej szansy, i bardzo się denerwowałem.

Rozumiałem też, że to niepowtarzalna szansa nawiązania bliskiej więzi z Fiisun, i ogromnie się cieszyłem, że postanowiła mi ją dać. Chciałbym zwrócić uwagę czytelników na fakt, że stawałem się coraz bardziej pewny siebie, wesoły i optymistycznie nastrojony. Po długiej, ponurej zimie zza chmur wreszcie wyjrzało wiosenne słońce.

Pewnego takiego słonecznego wiosennego dnia (był to piątek 15 kwietnia 1983 roku, trzy dni po dwudziestych szóstych urodzinach Fiisun, które uczciłem, przynosząc czekoladowe ciasto kupione w cukierni Divan) zabrałem Fiisun chevroletem

spod meczetu Firuzaga, by odbyć z nią pierwszą lekcję. Samochód prowadziłem sam, a Fiisun usiadła obok mnie, na fotelu pasażera. Poprosiła, bym zabrał ją nie z domu, lecz z jakiegoś miejsca na szczycie wzgórza, odległego o pięciominutowy spacer od wścibskich oczu sąsiadów.

Po raz pierwszy od ośmiu lat byliśmy tylko we dwoje. Oczywiście byłem niezwykle szczęśliwy, ale tak spięty i podniecony, że nie zauważałem własnego szczęścia. Czułem się tak, jakby było to moje pierwsze spotkanie z idealną kandydatką na żonę, którą ktoś wybrał dla mnie, twierdząc, że pasujemy do siebie pod każdym względem, a nie jakbym spotykał się po wielu wspólnych doświadczeniach i bolesnych przeżyciach z dziewczyną, dla której przez osiem lat znosiłem katusze.

Fiisun wyglądała prześlicznie w sukience w pomarańczowe róże i zielone liście na białym tle. Jak sportowiec występujący na treningu w tym samym dresie za każdym razem, gdy wybieraliśmy się pojeździć, zakładała tę sięgającą za kolana sukienkę z dekoltem w szpic. Po każdej lekcji sukienka była mokra od potu — jak dres sportowca. Trzy lata po tym, jak zaczęliśmy naukę, miałem znaleźć ją w szafie Fiisun; z czułością przypominałem sobie te pełne napięcia, przyprawiające o zawrót głowy godziny, szczęśliwe chwile w parku Yildiz nieopodal pałacu Abdiilhamita, i natychmiast instynktownie powąchałem sukienkę, szukając jedyne w swoim rodzaju zapachu Fiisun.

Najpierw przesiąkała potem pod pachami, wilgotne plamy rozlewały się powoli na piersi, ramiona, brzuch. Czasami zatrzymywaliśmy samochód w jakimś nasłonecznionym miejscu i oświetleni wiosennym słońcem, zaczynaliśmy się lekko pocić, dokładnie tak samo jak wtedy, gdy kochaliśmy się w kamienicy Zmiłowanie. Lecz tym, co sprawiało, że najpierw Fiisun, a potem mnie oblewał pot, były panująca w samocho-

dzie atmosfera, nasze zakłopotanie, napięcie, niepokój. Gdy prowadząc auto, popełniła błąd, na przykład przytarła prawym kołem samochodu o krawężnik, niewłaściwie wrzuciła bieg, aż przekładnie przeraźliwym zgrzytem przypomniały o swoim istnieniu, albo gdy silnik nagle zgasł, Fiisun złościła się, czerwieniała i zaczynała się pocić. Ale pot tryskał z niej naprawdę dopiero wtedy, gdy źle wcisnęła sprzęgło.

Przepisów ruchu drogowego nauczyła się niemal na pamięć z książki. Nie najgorzej radziła sobie z kierownicą, ale w żaden sposób nie potrafiła opanować — jak wielu początkujących kierowców — umiejętności używania sprzęgła. Prowadzony przez nią samochód jechał powoli po placu manewrowym, zwalniał na zakrętach, ostrożnie podjeżdżał do chodnika, jak przybijający do nabrzeża statek dowodzony przez uważnego kapitana, i gdy już miałem zawołać: „Brawo, najdroższa, wspa- niale ci idzie!”, zbyt szybko zdejmowała nogę ze sprzęgła i auto zaczynało rzeźzić i podrygiwać jak krztuszący się od kaszlu starzec. „Sprzęgło, sprzęgło, sprzęgło!” — krzyczałem. A Fiisun w panice naciskała na gaz albo na hamulec. Rzęzenie i podskoki niebezpiecznie przybierały na sile lub ustawały nagle jak ucięte nożem. Z purpurowej twarzy Fiisun, z jej czoła, czubka nosa, skroni spływały strużki potu.

— No dobra, wystarczy — mówiła zawstydzona, ocierając pot. — Nigdy się tego nie nauczę, mam dość! Nie jestem stworzona na kierowcę. — Iw pośpiechu wysiadła z samochodu, po czym oddalała się. Czasami wysiadła bez słowa, odchodziła czterdzieści, pięćdziesiąt kroków, by otrzeć pot chusteczką, i w samotności nerwowo wypalała papierosa. (Pewnego razu jacyś dwaj mężczyźni uznali, że jest sama, i zaraz się do niej przyczepili). Albo jeszcze zanim wysiadła, zapalała samsuna, a potem wilgotny od potu niedopałek gasiła ze złością w popielniczkę, powtarzając, że nie dostanie prawa jazdy, a w ogóle



to wcale go nie chce. Ogarniał mnie wtedy lęk, że nie tylko jej marzenie o prowadzeniu samochodu, lecz także wizja naszego przyszłego szczęścia rozwiewa się jak dym, i niemal błagałem ją, by się uspokoiła, zdobyła na cierpliwość.

Mokra od potu sukienka przyklejała jej się do pleców. Obserwowałem kształtne ramiona, zaniepokojony wyraz twarzy, zmarszczone brwi, napięte, tak mi znajome ciało, wilgotne od potu, jak wtedy, gdy kochaliśmy się w tamte wiosenne dni. Siadała z powrotem w fotelu kierowcy i po chwili jej twarz czerwieniała ze zdenerwowania; znów zaczynała się pocić; rozpinała górne guziki sukienki, lecz to nie pomagało. Patrząc na jej mokrą szyję, skronie, skórę za uszami, starałem się przypomnieć sobie podobne do złocistych owoców piersi, które całowałem osiem lat temu. (Wieczorem tego samego dnia, po wypiciu kilku szklaneczek w swoim pokoju, wyobraziłem sobie jej sutki w poziomkowym odcieniu). Czasami Fiisun zauważała, że podniecam się, obserwując ją, jak prowadzi samochód; nie reagowała, wyczuwałem, że jej się to wręcz podoba, co jeszcze bardziej mnie rozpałało. Pokazywałem jej, jak ma delikatnym ruchem, bez wysiłku, zmieniać biegi, a moja ręka dotykała jej ręki, jej biodra; myślałem sobie wtedy, że zanim nasze ciała się połączą, tu, w samochodzie, łączą się nasze dusze. A potem Fiisun zbyt szybko zdejmowała nogę ze sprzęgła i Chevrolet model 1956 znów zgrzytał i dygotał w konwulsjach, niczym wstrząsana gorączką szkapa, by w końcu paść i znieruchomieć. Silnik gasł, a my nagle zauważaliśmy głęboką ciszę spowijającą park, pałac, całe miasto. Jak zaczarowani wsłuchiwaaliśmy się w brzęczenie owada, który zbyt wcześnie obudził się z zimowego snu, i uświadamialiśmy sobie, jak cudownie jest znaleźć się wiosną w parku w Stambule.

Rozległy ogród z kilkoma pałacowymi pawilonami, gdzie niegdyś krył się przed światem sułtan Abdulhamit, by stamtąd

rządzić i bawić się jak dziecko puszczeniem w wielkiej sadzawce miniaturowego okrętu (Młodzi Turcy planowali wysadzenie go razem z tym modelem w powietrze), po ogłoszeniu Republiki stał się miejscem, gdzie bogate rodziny robiły spacerowe rundki samochodami, a początkujący kierowcy uczyli się panowania nad kierownicą. Ochoce i śmiałe pary zapuszczały się w zaciszne kątki w cieniu stuletnich platanów i kasztanowców, by się całować — wspominali mi o tym Hilmi Bękart, Tayfun, a nawet Zaim. Na widok tych odważnych kochanków tulących się do siebie pod drzewami oboje z Fiisun milkliśmy na dłuższą chwilę.

Kiedy nasza lekcja, która trwała najwyżej dwie godziny, choć mnie wydawała się wiecznością (tak jak te chwile, gdy kochaliśmy się w kamienicy Zmiłowanie), dobiegała końca, między nami zalegała cisza podobna do tej po burzy.

— Może pojedziemy do Emirgan na herbatę? — pytałem, gdy opuszczaliśmy park.

— Dobrze — odpowiadała szeptem, jak wstydliva młoda dziewczyna.

Byłem podekscytowany niczym młodzik, którego pierwsze spotkanie z kandydatką na żonę zakończyło się pomyślnie. Gdy jechaliśmy brzegiem Bosforu, a potem, zaparkowawszy przy betonowym nabrzeżu w Emirgan, piliśmy w samochodzie herbatę, ze szczęścia nie mogłem mówić. Fiisun czuła się chyba znużona i przytłoczona tą pełną emocji atmosferą, bo albo milczała, albo mówiła wyłącznie o prowadzeniu auta i lekcjach jazdy.

Kilka razy, gdy piliśmy herbatę, a szyby chevroleta zaszyły parą, próbowałem ją objąć, pocałować, lecz Fiisun odpychała mnie grzecznie, ale stanowczo, jak przyzwoita dziewczyna z zasadami, która nie życzy sobie jakiegokolwiek fizycznego zbliżenia przed ślubem. Ucieszyłem się, gdy potem zauważy-

łem, że nie straciła dobrego humoru i nie jest na mnie zła. W tej mojej radości było chyba coś z zadowolenia pana młodego z prowincji, który dowiedział się, że dziewczyna, z którą chce się żenić, ma zasady.

W czerwcu 1983 roku, załatwiając papiery potrzebne do przystąpienia do egzaminu na prawo jazdy, schodziliśmy z Fiisun wzdłuż i wszerz niemal cały Stambuł. Pewnego razu, spędziwszy pół dnia w kolejce, najpierw do rejestracji Szpitala Wojskowego w Kasimpaşa, dokąd z jakichś nadzwyczajnych przyczyn odsyłano kandydatów na kierowców, a następnie do gabinetu nerwowego pana doktora, uzyskaliśmy wreszcie zaświadczenie, że Fiisun ma zdrowy system nerwowy i prawidłowe odruchy, po czym ruszyliśmy spacerkiem przez boczne dzielnice i doszliśmy pieszo aż do meczetu Piyalepaşa. Innego znów dnia, gdy po czterech godzinach spędzonych w ogonku w Szpitalu Pierwszej Pomocy w Taksimie okazało się, że lekarz poszedł do domu, dla uśmierzenia irytacji zjedliśmy wczesną kolację w niedużej rosyjskiej restauracji w Giimiigsuyu. Jeszcze innym razem, płynąc promem na azjatycki brzeg, do szpitala w Haydarpağa, dokąd odesłano nas, bo laryngolog był na urlopie, z tylnego pokładu karmiliśmy obwarzankami mewy. Przypominam sobie, że złożywszy któregoś dnia dokumenty w sekretariacie Kliniki Akademii Medycznej w Çapa, poszliśmy brukowanymi kocimi łbami, wąskimi bocznymi uliczkami na długi spacer, podczas którego minęliśmy hotel Fatih. Doznałem wrażenia, jakby hotelowy pokój, w którym siedem lat wcześniej przeżyłem tyle bólu i gdzie otrzymałem wiadomość o śmierci ojca, tamtego dnia znajdował się w zupełnie innym mieście.

Zdobywszy kolejny dokument, wkładaliśmy go do poplamionej kawą, herbatą i atramentem teczki i opuszczaliśmy szpital, po czym, ogarnięci entuzjazmem i chęcią uczczenia

sukcesu, szliśmy do pobliskiej restauracji, by zjeść obiad i porozmawiać. Fiisun paliła papierosy bez skrępowania, nie starając się tego przed nikim ukryć, czasami bez pytania sięgała po mój papieros oparty o popielniczkę i — gestem kolegi z wojska — przypalała nim swój, po czym pogodnym wzrokiem kogoś, kto ma ochotę się zabawić, rozglądała się dookoła. Widząc, jak moja zameżna przecież i strapiona ukochana skora jest do włączenia się tu i tam, zaglądania w życie innych, wyszukiwania niespodzianych uroków miasta, poznawania nowych ludzi i zawierania nowych znajomości, zaczynałem kochać ją jeszcze głębiej i mocniej.

— Widziałeś tego faceta, co niósł lustro większe od siebie? — mówiła. Razem ze mną, choć z większą i szerszą od mojej radością przyglądała się przez chwilę dzieciakom grającym w piłkę na ulicznym bruku, a potem w sklepie spożywczym kupowała dwie butelki oranżady (tu też nie mieli zefira!). Z dziecięcym zaciekawieniem obserwowała czyścicieli kanałów z długimi metalowymi prętami i pompami, którzy w stronę okratowanych okien i betonowych balkonów w starych drewnianych domach krzyczeli: „Udrażnianieeee!”. Na promie do Kadikóy obejrzała zachwalany przez komiwojażera przyrząd kuchenny: obieracz do kabaczków, wyciskarkę do cytryn i nóż do mięsa w jednym.

— Widziałeś dzieciaka? — spytała mnie potem, gdy szliśmy ulicą. — Po prostu podrzynał gardło młodszemu bratu! — Na skrzyżowaniu przy ogródku jordanowskim dostrzegła zbiegowisko i od razu pobiegła w tamtą stronę: — Co się dzieje, co sprzedają? — Oboje ze smutkiem przyglądaliśmy się Cyganom z niedźwiedziami, bójce kotłujących się na środku ulicy chłopców ze szkoły podstawowej w czarnych fartuszkach, parze kopulujących psów, które zwarły się i nie mogły rozdzielić (ludzie wydawali żartobliwe okrzyki i obrzucali zwierzęta za-

kłopotanymi spojrzeniami). Kiedy dwa samochody stuknęły się zderzakami, a gotowi do kłótni kierowcy wysiedli z aut, kiedy pomarańczowa piłka wypadła z dziedzińca meczetu i w efektownych podskokach potoczyła się w dół ulicy, kiedy hałaśliwa koparka kopała dół pod fundamenty budynku przy głównej ulicy, kiedy w sklepowym oknie grał włączony telewizor, tak jak wszyscy dookoła zatrzymywaliśmy się i gapili.

Czerpałem nieopisaną radość z odkrywania Stambułu we dwoje, jakbyśmy dopiero co się poznali, z oglądania każdego dnia nowego oblicza miasta i zmieniającej się wraz z nim Fiisun. Bieda i nieporządek w szpitalach, starzy ludzie bezradnie czekający od świtu w kolejce przed uniwersyteckimi klinikami, by na moment pokazać się lekarzowi, rzeźnicy z nielegalnych jatek, urządzonych na niezabudowanych placach przy bocznych uliczkach, nerwowo wypatrujący patrolu straży miejskiej — czułem, że dzięki tym obrazom ciemnych stron życia stajemy się sobie coraz bliżsi. To, co w naszej historii było dziwaczne, wręcz odpychające, przestawało być ważne w zestawieniu z ciemnymi, przerażającymi sprawami, których istnienie wyczuwaliśmy, spacerując ulicami. Miasto uzmysławiało nam zwyczajność naszego życia, uczyło pokory, nie wzbudzając w nas przy tym najmniejszego poczucia winy. Odczuwałem pokrzepiającą moc wmieszania się w tłum na ulicach, w dolmuszach i autobusach i z podziwem patrzyłem na Fiisun, która na promie zawierała znajomości z babkami w chustkach, podróżującymi ze śpiącymi wnukami na kolanach.

Dzięki niej poznałem w tamtych dniach, jak wspaniałe, zabawne i pełne napięcia może być wędrowanie przez Stambuł z nie zasłoniętą chustą dziewczyną u boku. Gdy wchodziliśmy do biura szpitala, gdy przestępowaliśmy próg któregoś z urzędów państwowych, wszystkie głowy odwracały się w jej stronę.

Starzy biurokraci, zamiast traktować Fiisun z lekceważeniem, patrzeć na nią z góry, jak zazwyczaj patrzyli na ubogich pacjentów czy petentów w podeszłym wieku, jak na komendę zaczynali odgrywać pracowitych, kompetentnych urzędników, podchodzących z należytym szacunkiem do swych obowiązków, i nie zważając na jej młody wiek, zwracali się do niej *per* „szanowna pani”. Nawet ci, którzy każdego innego pacjenta czy petenta lekceważąco „tykali”, do niej mówili *per* „pani”, nie brakowało też i takich, którzy nie ośmielali się nawet spojrzeć jej w twarz. Młodzi lekarze, udając dżentelmenów rodem z europejskich filmów, pytali: „W czym mógłbym pomóc?”, a podstarzali profesorowie, nie zauważywszy mej obecności, rozpływali się w uprzejmościach i próbowali ją podrywać... Pojawienie się w urzędzie pięknej kobiety z nie osłoniętą chustą głową wywoływało wśród urzędników nagłe poruszenie, wręcz panikę. Niektórzy nie byli w stanie przejść do zasadniczego tematu i jękali się bezradnie, inni sprawdzali, czy Fiisun nie towarzyszy czasem jakiś mężczyzna, by móc rozmawiać z nim zamiast z nią. Gdy spostrzegali mnie i uznawali za jej męża, odczuwali ogromną ulgę, ja zresztą też.

— Pani Fiisun potrzebuje zaświadczenia od laryngologa, które jest niezbędne do uzyskania niezawodowego prawa jazdy — mówiłem. — Skierowano nas tu z Beşiktaşa.

— Lekarza jeszcze nie ma — odpowiedział strażnik doglądający kłębiącego się w korytarzu tłumu. Zajrzał do teczki, którą mieliśmy ze sobą, przerzucił kilka kartek. — Proszę pójść do rejestracji, wziąć numerek i poczekać — wskazał wzrokiem długą kolejkę pacjentów i dodał: — Wszyscy czekają. Poza kolejnością nie da rady.

Któregoś dnia zamierzałem wetknąć strażnikowi do ręki parę groszy, ale Fiisun od razu się temu sprzeciwiła: — Nie, poczekamy tak jak inni.

Lubiłem, gdy w kolejce czy podczas rozmów z urzędnikami wszyscy brali mnie za jej męża. Dlaczego tak się działo, tłumaczyłem sobie nie tym, że zamężna kobieta nie przyszłaby do szpitala z mężczyzną, który nie jest jej mężem, lecz zacieśnianiem się łączących nas więzi. Gdy w oczekiwaniu na przyjęcie przez lekarza w Klinice Akademii Medycznej w Cerrahpaşa wybraliśmy się na spacer po okolicy i w pewnym momencie straciłem Fiisun z oczu, w jednym ze starych, zrujnowanych drewnianych domów otworzyło się okno i wyjrzała zeń starszuszka w chustce, która wychyliwszy się, powiedziała, że moja „żona” weszła do sklepu spożywczego za rogiem. W tych peryferyjnych dzielnicach wzbudzaliśmy pewne zainteresowanie, ale bynajmniej nie sensację. Otaczały nas dzieci, mieszkańcy sądzili, że zgubiliśmy drogę, albo brali nas za turystów. Czasami jakiś chłopak, na którym Fiisun zrobiła wrażenie, szedł za nami, by jeszcze przez chwilę móc choć z daleka na nią popatrzeć, ale gdy w pewnej chwili napotkał wzrokiem moje niechętnie spojrzenie, grzecznie się oddalał, zostawiając nas w spokoju. Kobiety wyglądały przez okna, wychylały głowy przez drzwi i pytały Fiisun, kogo szukamy, jaki adres chcemy znaleźć. Mężczyźni zaś zadawali te same pytania, kierując je do mnie. Pewnego razu Fiisun kupiła od ulicznego sprzedawcy śliwki i właśnie zamierzała je zjeść, gdy na ten widok jakaś dobroduszna starszuszka zawołała: „Poczekaj, córeczko, najpierw ci je umyję, dopiero wtedy zjesz!”; wybiegła z domu, zabrała śliwki w papierowej torebce, umyła je w kuchni, zaparzyła kawę i wypytała, kim jesteśmy i co robimy w tej części miasta. Gdy powiedziałem, że jesteśmy małżeństwem i szukamy ładnego, drewnianego domu do wynajęcia w okolicy, natychmiast rozpuściła wici wśród sąsiadów.

Kontynuowaliśmy w trudzie i mozołe nasze wyczerpujące lekcje jazdy w parku Yildiz, a jednocześnie przygotowywali-

śmy się do egzaminu teoretycznego. Gdy przysiadaliśmy w jakiejś herbaciarni, Fiisun dla zabicia czasu wyjmowała z torebki *Łatwy podręcznik kierowcy* oraz *Testy egzaminacyjne na prawo jazdy z rozwiązaniami* i ze śmiechem czytała mi pytania i odpowiedzi na nie.

— Czym jest droga lądowa?

— Czym?

— Teren przeznaczony do publicznego użytku w celu ruchu drogowego — odpowiadała Fiisun częściowo z pamięci, częściowo czytając z książki. — A w takim razie, co to jest ruch drogowy?

— Ruch drogowy to przemieszczanie się pieszych i zwierząt... — jękając się, zacząłem podawać odpowiedź, którą słyszałem już tak często, że niemal wyuczyłem się jej na pamięć.

— Nie ma tam „i” pomiędzy — poprawiła mnie Fiisun.

— Ruch drogowy jest to przemieszczanie się pieszych, zwierząt, pojazdów silnikowych i niesilnikowych oraz traktorów na kołach ogumionych po drodze lądowej.

Lubiłem te pytania i odpowiedzi, bo przypominały mi lata szkolne, naukę polegającą na uczeniu się wszystkiego na pamięć, dzienniczki z ocenami ze sprawowania. Podochocony, zaczynałem zadawać pytania Fiisun.

— Czym jest miłość?

— Czym?

— Miłością nazywa się uczucie, jakim Kemal darzy Fiisun, gdy patrzy na nią na drogach lądowych i na chodnikach, w domach i parkach, a także w restauracjach oraz przy stole podczas kolacji.

— Hm, efektowna odpowiedź... — mówiła Fiisun. — Czy gdy mnie nie widzisz, miłość przestaje istnieć?

— Staje się wtedy chorobą, okropną obsesją.



— Wątpię, by ta wiedza przydała mi się na egzaminie na prawo jazdy! — odpowiadała, dając mi odczuć, że tego typu żarty i umizgi nie są właściwe przed ślubem, tego dnia więc nie żartowałem już więcej w taki sposób.

Egzamin pisemny odbył się w Beşiktaşı, w małym pałacyku, w którym jeden z szalonych synów Abdiilhamita, Numan Efendi, dla zabicia czasu słuchał grających na lutni dziewcząt z haremu i malował impresjonistyczne widoki Bosforu. Czekając na Fiisun przed drzwiami budynku, który w czasach Republiki stał się siedzibą urzędu nigdy dobrze nie ogrzewaną, poczułem wyrzuty sumienia, że osiem lat temu, gdy Fiisun biedziła się na egzaminie wstępnym na uniwersytet, nie czekałem na nią przed drzwiami Taşkişla. Gdybym odwołał zaręczyny z Sibel w Hiltonie, posłał matkę, by poprosiła o rękę Fiisun, w ciągu tych lat dorobiliśmy się już trójki dzieci. Ale wkrótce przecież mieliśmy się pobrać, było więc jeszcze dość czasu, by zmajstrować trójkę albo nawet więcej potomstwa. Byłem o tym tak mocno przekonany, że gdy Fiisun z okrzykiem: „Odpowiedziałam na wszystkie pytania!”, wyszła zadowolona z egzaminu, już miałem jej powiedzieć, ile dzieci chciałbym z nią mieć, ale jakoś zdołałem się powstrzymać. Wieczorami zasiadaliśmy przecież razem do kolacji przy rodzinnym stole i oglądaliśmy telewizję.

Fiisun uzyskała z części teoretycznej maksymalną liczbę punktów, ale część praktyczną oblała z kretesem. Wszystkich podchodzących do egzaminu z jazdy utracano przy pierwszym podejściu, by dać do zrozumienia, że sprawa jest poważna, lecz my nie byliśmy zupełnie na to przygotowani. Egzamin nie trwał długo. Fiisun wraz z trzema egzaminatorami wsiadła do chevroleta i bez problemu uruchomiła samochód, ujechała kawałek, a wtedy siedzący z tyłu jeden z członków komisji odezwał się: „Nie spojrzła pani w lusterko!”, na co Fiisun

odwróciła się i zapytała: „Słucham?”. Kazali jej natychmiast się zatrzymać i wysiąść. Kierowcy w trakcie prowadzenia samochodu nie wolno się odwracać, by spojrzeć do tyłu. Egzaminatorzy wysiedli z auta w ostentacyjnym pośpiechu, mającym wskazywać, że nie zamierzają narażać się na niebezpieczeństwo jazdy z tak kiepskim kierowcą. To właśnie ich upokarzające zachowanie najbardziej zabolowało Fiisun.

Następny termin wyznaczono za cztery tygodnie, pod koniec lipca. Poszliśmy więc do pobliskiej herbaciarni, urządzonej w niegdysiejszym *gecekond* (na ścianie wisiały cztery portrety Atatürka i wielki zegar), gdzie nasze przygnębienie z powodu publicznego upokorzenia zostało natychmiast zauważone przez przesiadujących tam znawców tematu „łapówki a kursy prawa jazdy”, którzy lekko kpiąco, acz przyjaźnie wyjaśnili nam sposoby na zdobycie tegoż. Jeżeli Fiisun zapisałaby się (uczęszczanie na zajęcia nie było wcale konieczne) na kosztowne prywatne kursy prowadzone przez emerytowanych policjantów z drogówki, zdałaby egzamin, gdyż egzaminatorzy, jak wielu policjantów, mieli udziały w firmie organizującej kursy. Ci, którzy zdecydowali się zapłacić za kurs, mogli podczas egzaminu korzystać ze specjalnie przygotowanego samochodu marki Ford. Miał on obok siedzenia kierowcy wycięty otwór. Podczas manewru parkowania kandydat na kierowcę mógł przezeń widzieć namalowane na jezdni kolorowe znaki, a jeżeli jednocześnie zerkał na przyczepioną do lusterka kartkę z objaśnieniami ich znaczenia, wiedział, kiedy maksymalnie skrócić kierownicą w lewo i w którym miejscu wrzucić wsteczny bieg, dzięki czemu udawało mu się bezbłędnie zaparkować w bardzo nawet ograniczonej przestrzeni. Mogliśmy też, nie zapisując się na kurs, zapłacić po prostu sporą sumę pieniędzy. Jako człowiek interesów, wiedziałem, że łapówka bywa niekiedy jedynym wyjściem, lecz Fiisun stanowczo oświadczyła, że

nie zamierza zapłacić ani grosza policjantom, którzy oblali ją na egzaminie, wobec czego nadal ćwiczyliśmy jazdę w parku Yildiz.

W podręczniku przygotowującym do egzaminu podano setki szczegółowych reguł, których należało przestrzegać, prowadząc samochód. Nie wystarczyło, że kandydat na kierowcę potrafił w obecności komisji sprawnie kierować autem, musiał jednocześnie przesadnymi gestami demonstrować, że zna zasady i je stosuje, na przykład spoglądając w tylne lustro, powinien chwycić palcami jego brzeg, by podkreślić, że w nie patrzy. Pewien dobroduszny policjant, który zjadł zęby na kursach i egzaminach na prawo jazdy, wyjaśnił Fiisun wszystkie te niuanse przyjacielskim, wręcz ojcowiskim tonem: — Córeczko, na egzaminie musisz prowadzić samochód, a zarazem udawać, że go prowadzisz. To pierwsze rób dla siebie, to drugie dla komisji.

Uwielbiałem, gdy po nauce jazdy w parku, w porze, kiedy promienie słońca zaczynały tracić moc, jechaliśmy do Emirganu i zaparkowawszy samochód na nabrzeżu, wypijaliśmy kawę lub oranżadę, albo w kawiarni w Rumelihisari zamawialiśmy herbatę z samowara; stres związany z egzaminem zniknął wtedy bez śladu. Niech jednak czytelnicy nie sądzą, że byliśmy parą szczęśliwych zakochanych.

— Z nauką jazdy pójdzie nam lepiej niż z matematyką!  
— oświadczyłem pewnego razu.

— Zobaczemy... — odpowiedziała Fiisun ostrożnie.

Czasami siedzieliśmy przy stoliku i piliśmy herbatę w milczeniu, jak małżeństwo z długoletnim stażem, któremu dawno już wyczerpały się tematy do rozmów, i bez słowa obserwowaliśmy przepływające radzieckie tankowce oraz promy linii miejskich na wyspę Heybeli, a raz nawet widzieliśmy statek „Samsun” wypływający w rejs po Morzu Czarnym i patrzyli-

śmy na niego z zachwytem, snując marzenia o innych miejscach, innym życiu.

Fiisun za drugim podejściem również nie zdała. Tym razem zażądano od niej wykonania bardzo trudnego manewru: parkowania tyłem na ulicy biegnącej po pochyłości. W jego trakcie Chevrolet zadygotał, silnik zgasł, a egzaminatorzy znów upokorzyli Fiisun, każąc jej natychmiast opuścić fotel kierowcy.

Jeden z mężczyzn z tłumku obserwujących z daleka egzamin, który tworzyli pisarz podań, roznosiciel herbaty, emerytowani policjanci i czekający na swoją kolej inni kandydaci, na widok siedzącego na miejscu kierowcy przewodniczącego komisji, faceta w okularach, zawołał: „Oblali kobitę!”, na co kilku odpowiedziało śmiechem.

W drodze powrotnej do domu Fiisun nie odezwała się ani słowem. Nie pytając o nic, pojechałem do Ortakóy. W małej knajpce, w budzie na terenie bazaru, zamówiłem dwie porcje *raki* z lodem.

— Fiisun, życie jest krótkie, ale w gruncie rzeczy piękne — powiedziałem, wypiwszy kilka łyków anyżówki. — Nie przejmuj się tymi sadystami, szkoda zdrowia.

— Czemu są tacy wredni?

— Chcą pieniędzy. Zapłaćmy im!

— Twoim zdaniem kobiety nie mogą być dobrymi kierowcami?

— To nie ja tak uważam, tylko oni...

— Wszyscy tak uważają!

— Kochanie, nie upieraj się tak przy tym...

Natychmiast zapragnąłem, by Fiisun nie usłyszała tego ostatniego.

— Przez całe życie nigdy przy niczym się nie upierałam, Kemalu — powiedziała. — Ale gdy ktoś depce twą dumę, ma

cię za nic, nie wolno ci się poddawać! Posłuchaj mnie teraz uważnie, chcę cię o coś prosić. Dostanę prawo jazdy bez łapówki, a ty, Kemalu, nie mieszaj się do tego. Nie dawaj im w łapę za moimi plecami, nie szukaj protekcji, bo od razu to wyczuję i pogniewam się na ciebie.

— Dobrze — obiecałem, spuściwszy głowę.

Nie wymieniając już zbyt wielu słów, wypiliśmy jeszcze po jednej szklaneczce *raki*. Pod wieczór knajpa na bazarze świeciła pustkami. Na smażonych mażżach i kotlecikach przyprawionych kminem i tymiankiem nerwowo przysiadały muchy. Po latach zapragnąłem jeszcze raz zobaczyć tę budę, stanowiącą dla mnie cenną pamiątkę, ale nie było już po niej śladu, została zburzona, a na jej miejscu znajdowały się teraz stoiska z biżuterią i pamiątkami dla turystów.

Tamtego dnia, gdy pod wieczór wyszliśmy z knajpy i wsiedaliśmy do samochodu, chwyciłem Fiisun za ramię.

— Wiesz co, moja śliczna? Po raz pierwszy od ośmiu lat poszliśmy do knajpy tylko we dwoje.

— To prawda — powiedziała. Błysk, jaki wtedy pojawił się w jej oczach, napełnił mnie niewymownym szczęściem. — I powiem ci coś jeszcze. Daj mi kluczyki, ja poprowadzę.

— Oczywiście.

Trochę się spociła na skrzyżowaniach w Dolmabahę i Beşiktasu oraz przy podjazdach pod górę, ale nawet po alkoholu bez większego wysiłku udało się jej dojechać chevroletem do meczetu Firuzaga. Trzy dni później zabrałem ją stamtąd na naukę jazdy i znów chciała prowadzić, tym razem jednak odmówiłem — na ulicach było pełno policji. Mimo upału lekcja przebiegła wspaniale.

W drodze powrotnej zrobiło się wietrznie — patrząc na wzburzone wody Bosforu, oboje zaczęliśmy żałować, że nie wzięliśmy kostiumów kąpielowych.

Następnym razem pod sukienkę w kwiaty włożyła niebieskie bikini, które eksponują w tym miejscu. Na plaży w Tarabyi, dokąd pojechaliśmy po lekcji, rozebrała się jednak dopiero na pomoście, tuż przed wskoczeniem do morza. Po ośmiu latach zdążyłem rzucić tylko jedno nieśmiałe spojrzenie na kształty mej ukochanej. W tym samym momencie bowiem Fiisun, jakby uciekając przede mną, zanurkowała w wodzie. Rozbryzg, jaki przy tym powstał, spienione fale, przyjemne światło, granatowy odcień wód Bosforu, jej bikini, wszystko to utworzyło w moim umyśle niezapomniany, niezwykle obraz. Wiele lat później szukałem tego cudownego wrażenia, tych pełnych szczęścia kolorów na starych fotografiach, pocztówkach, u stambulskich kolekcjonerów.

Natychmiast wskoczyłem za nią do wody. Poczułem dziwny lęk, że mogą ją zaatakować jakieś morskie potwory. Musiałem ją dogonić, ochronić przed złem kryjącym się w mroku morza. We wzburzonej wodzie, oszalały z nadmiaru szczęścia i przerażony możliwością jego utraty, starałem się płynąć najszybciej jak mogłem, aż ze strachu o mały nie zacząłem tonąć. Prąd w cieśninie porwał Fiisun! W tym momencie zapragnąłem umrzeć razem z nią, umrzeć natychmiast! Nagle wśród rozpląsanych fal ujrzałem ją przed sobą. Oboje z trudem łapaliśmy oddech. Uśmiechnęliśmy się do siebie jak szczęśliwi zakochani. Ale gdy tylko spróbowałem się do niej zbliżyć, dotknąć jej, pocałować, poważniała jak przyzwoita dziewczyna z zasadami, chłodna, wyniosła, i odpływała ode mnie. Płynęła żabką, ja zaś płynąłem za nią, naśladowując jej ruchy, i z zachwytem patrzyłem na poruszające się w wodzie jej zgrabne nogi i pięknie zaokrąglone biodra. Po jakimś czasie zorientowałem się, że odpłynęliśmy dość daleko od brzegu.

— Wystarczy! — zawołałem. — Nie uciekaj przede mną, tu zaraz zaczyna się rwący nurt, porwie nas i oboje zginiemy!

Spojrzałem za siebie i przestraszyłem się. Odpłynęliśmy rzeczywiście bardzo daleko. Zatoka Tarabya, restauracja Idylla, do której kiedyś wszyscy razem chodziliśmy, inne restauracje, hotel Tarabya, samochody jadące krętą nabrzeżną szosą, zamykające horyzont wzgórze, dzielnice biedoty w okolicach Biiyikdere, całe miasto oddaliło się od nas.

Niczym wielkiej miniaturze, przyglądałem się nie tylko Bosforowi i miastu, lecz także całemu mojemu życiu, które zostawiłem za sobą. To oddalenie od miasta i od przeszłości miało w sobie coś nierzeczywistego, jakby ze snu. Znajdowałem się pośrodku Bosforu, w środku miasta, daleko od wszystkich, ale razem z Fiisun — i przyprawiało mnie to o śmiertelny dreszcz. Nagle Fiisun, zaskoczona gwałtownie wnoszącą się falą, wydała krótki okrzyk i chcąc się czegoś przytrzymać, otoczyła moją szyję ramieniem. Nie miałem już wątpliwości, że nie rozstanę się z nią aż do śmierci.

Jednak już chwilę po tym, jak mnie dotknęła, albo też objęła, znów odpłynęła, pod pretekstem zbliżania się frachtowca z węglem. Płynęła rytmicznie i szybko, z trudem za nią nadążałem. Po wyjściu na brzeg natychmiast zniknęła w przebieralni. W niczym nie przypominaliśmy kochanków nie wstydzących się swej nagości. Wręcz przeciwnie, zawstydzeni, skrępowani, milczący, jak para ludzi, których małżeństwo zaaranżowały rodziny, unikaliśmy patrzenia na siebie.

Dzięki lekcjom i okazjonalnej jeździe po mieście Fiisun nauczyła się sprawnie prowadzić samochód. Ale egzaminu na początku sierpnia również nie zdała.

— Oblątam, ale co tam, zapomnijmy o tych gnojkach — oświadczyła. — Pojedziemy popływać?

— Pojedźmy.

Podobnie jak wielu innych kandydatów na kierowców, którzy na egzamin szli jak do wojska, odprowadzani przez

kolegów robiących im zdjęcia, po czym w potyczce z komisją ponosili klęskę, z placu manewrowego odjechaliśmy samochodem prowadzonym przez Fiisun, zawadiacko trzymającą w ustach papierosa i naciskającą do oporu klakson. (Gdy po latach ponownie odwiedziłem te łyse, zaśmiecone wzgórza, okazało się, że wyrosły na nich luksusowe wille z basenami). Do końca lata ćwiczyliśmy jazdę w parku Yildiz, prawo jazdy jednak było już tylko pretekstem, by się spotykać, pojechać nad morze albo wybrać do knajpy. Kilkakrotnie zdarzyło się, że wynajęliśmy łódkę na przystani w Bebeku i razem wiosłując, odpływaliśmy w jakieś wolne od meduz i plam ropy miejsce, żeby popływać, walcząc z prądem. By nas nie porwał, jedno trzymało się burty łódki, drugie zaś chwyciło pierwsze za rękę. To dla przyjemności trzymania dłoni Fiisun tak lubiłem wypożyczać łódkę w Bebeku.

Po ośmiu latach znów przeżywaliśmy miłość, tym razem jednak nie jako gwałtowną namiętność, lecz jako rozsądną przyjaźń. Przeżycia z tych ośmiu lat zepchnęły ją w głąb naszych dusz. Jej istnienie odczuwaliśmy nawet wtedy, gdy nie poświęcaliśmy uczuciu najmniejszej uwagi, widziałem jednak, że Fiisun broni się przed niebezpieczeństwem zbyt bliskiego kontaktu, dlatego zwalczałem w sobie nieustającą chęć objęcia jej, pocałowania. Zacząłem ponadto uważać, że gdy dwoje ludzi zapomni się i zacznie uprawiać seks przed ślubem, nie przyniesie to szczęścia ich małżeńskiemu życiu, a wręcz przeciwnie, sprawi, że doznają rozczarowania. Koledzy, tacy jak Hilmi Bękart, Tayfun czy Mehmet, których od czasu do czasu widywałem tu i tam, a którzy odwiedzali domy publiczne i przechwalali się miłosnymi podbojami, zaczęli wydawać mi się teraz ordynarni i gruboskórni. Wyobrażałem sobie, że po ślubie z Fiisun zapomnę o swojej obsesji, a do dawnego środowiska i kolegów powrócę dojrzały i szczęśliwszy.



Pod koniec lata Fiisun po raz kolejny przystąpiła do egzaminu przed tą samą komisją i po raz kolejny oblała. Przez jakiś czas jeszcze pomstowała na uprzedzenia, jakie mężczyźni w Stambule żywią wobec kobiet za kierownicą. Na jej twarzy pojawiał się przy tym ten sam wyraz co wtedy, kilka lat wcześniej, gdy opowiadała mi o obleśnych wujkach, którzy obmacywali ją w dzieciństwie.

Pewnego dnia pod wieczór, po lekcji jazdy, pojechaliśmy na plażę w Sanyer i gdy siedzieliśmy na brzegu, pijąc oranżadę Zefir (kampania reklamowa z udziałem Stokrotki odniosła najwyraźniej sukces), spotkaliśmy Faruka, kolegę Mehmeta, z narzeczoną. Przez moment poczułem dziwny wstyd. Nie dlatego bynajmniej, że Faruk, jako częsty gość *yah* w Anadoluhisari w lecie 1975 roku, był świadkiem mojego ówczesnego życia z Sibel. Było mi wstyd, bo siedząc z Fiisun i pijąc w milczeniu oranżadę, nie wyglądaliśmy na wyjątkowo radosnych i szczęśliwych. Tamtego dnia nie byliśmy rozmowni — oboje przeczuliśmy, że to nasz ostatni wspólny wypad nad morze. W dodatku przelatujące nad naszymi głowami stado bocianów przypomniało nam o zbliżającym się końcu tego pięknego lata. Tydzień później, wraz z pierwszymi deszczami, zamknięto plażę. Ani mnie, ani Fiisun nie chciało się już jeździć samochodem po parku Yildiz.

Fiisun trzykrotnie jeszcze oblewała egzamin na prawo jazdy, ale na początku 1984 roku udało jej się wreszcie go zdać. Egzaminatorzy mieli jej dość, zrozumieli w końcu, że im nie zapłaci. Aby uczcić ten sukces, zabrałem ją, ciocię Nesibe i wujka Tanka do klubu Maksim w Bebeku, by posłuchać starych piosenek Muzeyyen Senar.

## 74. WUJEK TÍRIK

Tamtego wieczoru wszyscy razem pojechaliśmy do Maksima i wszyscy się upiliśmy. Gdy na scenie pojawiła się Miizeyyen Senar, cały nasz stolik zaczął wraz z nią śpiewać niektóre piosenki. Powtarzając unisono słowa refrenów, patrzyliśmy sobie w oczy i uśmiechaliśmy się. Teraz, po latach, nabrałem przekonania, że przez cały wieczór towarzyszyła nam atmosfera pożegnania. Miizeyyen Senar lubił słuchać szczególnie wujek Tank. Fiisun za nią nie przepadała, uznałem jednak, że widok rozbawionego, rozśpiewanego ojca i wysłuchanie choćby takiej piosenki, jak *Nikt nie może się z tobą równać* w wykonaniu gwiazdy sprawi i jej przyjemność. Inną rzeczą, która ten wieczór czyniła dla mnie niezapomnianym, było to, że nikogo nie raziła nieobecność Feriduna. Z zadowoleniem pomyślałem, ile to już czasu spędziłem z Fiisun i jej rodzicami.

Niekiedy na widok wyburzonego budynku, zlikwidowanego sklepu, do którego obecności w danym miejscu się przyzwyczaiłem, po spotkaniu z wesołą dorosłą kobietą o dużym biuście, mężatką i matką dzieci, którą pamiętałem jako małą

dziewczynkę, uświadamiałem sobie z przerażeniem, jak szybko upływa czas. W owym czasie zamknięto butik Champs Elysees, co sprawiło mi ból nie tylko dlatego że straciłem pamiętkę, lecz także dlatego, że nagle poczułem, iż życie mi ucieka. Na wystawie, gdzie dziewięć lat wcześniej zobaczyłem torebkę Jenny Colon, piętrzyły się teraz pęta włoskiej kiełbasy, krawki żółtego sera, będące nowością na tureckim rynku importowane sosy do sałatek, makarony i napoje gazowane.

Relacje mojej matki o życiu towarzyskim wyższych sfer, najnowsze plotki, wiadomości o ślubach i dzieciach nigdy mnie nie interesowały, a teraz po prostu działały mi na nerwy. Gdy przy kolacji opowiadała, co słyhać u mojego kolegi z dzieciństwa, Faruka Szczura, który niedawno (przed trzema laty!) się ożenił, a teraz urodziło mu się drugie dziecko, myśl, że mnie z Fiisun nie było dane użyć życia, natychmiast psuła mi humor, matka jednak tego nie dostrzegała i opowiadała, opowiadała, opowiadała...

Odkąd rodzinie Şazimentów udało się w końcu wydać swą starszą córkę za syna Karahanów, nie jeździli już co roku w lutym na narty do Uludag, lecz latali z Karahanami na miesiąc do Szwajcarii. Zabierali z sobą młodszą córkę, ta zaś poznała tam w hotelu bogatego arabskiego szejka. Şazimentowie już mieli ją za niego wydać, gdy okazało się, że Arab ma w swoim kraju żonę, a nawet cały harem.

Od sąsiada z letniego domu w Suadiye, pana Esata, matka dowiedziała się, że Halisowie z Ayvahku pewnego zimowego dnia przyłapali swego najstarszego syna („tego z najdłuższą szczęką”, zaśmiała się matka, a ja jej zawtórowałem) na igraszkach w letnim domu w Erenkóy z niemiecką opiekunką do dzieci.

Zdziwiła się, że nie słyszałem o młodszym synu Marufów, kupców tytoniowych, z którym w dzieciństwie bawiłem się

w parku — został porwany przez terrorystów; wypuścili go po zapłaceniu okupu. Tak, całą sprawę wyciszono, nim trafiła na łamy gazet, ale jak mogłem o niej nie słyszeć, skoro „wszyscy” o tym mówili, gdyż rodzina z początku wykazała się skąpstwem i nie chciała zapłacić?

Nie dawała mi spokoju myśl, że za tym pytaniem matki kryje się aluzja do moich wizyt u Fiisun i jej rodziców, pytała przecież, gdzie i w jakich okolicznościach miałem na sobie kąpielówki, które latem przynosiłem mokre do domu, a potem kazała Fatmie zapytać mnie o to samo. Próbowałem ją zbyć, odpowiadając: „Mam dużo pracy, mamusiu” (musiała jednak chyba wiedzieć o beznadziejnej sytuacji Satsat). Było mi przykro, że po dziewięciu latach nie tylko nie mogę wtajemniczyć matki w obsesję na punkcie Fiisun, lecz nawet rozmawiać z nią na ten temat, choćby w zawołany sposób; by zapomnieć o kłopotach, prosiłem, żeby opowiedziała mi jeszcze jakąś zabawną historię.

Pani Cemile, którą spotkaliśmy kiedyś z Feridunem i Fiisun w kinie letnim Majestic, tak jak inna koleżanka matki, pani Miikerrem, wobec rosnących kosztów utrzymania rodowej siedziby, osiemdziesięcioletniego drewnianego pałacyku, postanowiła wynająć go ekipie kręcącej film historyczny, lecz, niestety, podczas zdjęć doszło do awarii elektrycznej i „przepiękny olbrzymi pałac” spłonął, co spowodowało pogłoski, że to rodzina kazała go podpalić, by wybudować na jego miejscu kamienicę. Matka opowiedziała mi o tym któregoś wieczoru tak rozwlekłe i szczegółowo, że nie miałem wątpliwości, iż doskonale wie o moich bliskich związkach ze światem filmowym. Musiał jej o tym donieść Osman.

O zdarzeniach w rodzaju tego, że były minister spraw zagranicznych Melikhan przewrócił się na balu, potknąwszy się o dywan, i dwa dni później zmarł w wyniku wylewu krwi do

mózgu, matka nie wspomniała, gdyż ten wypadek, o którym czytałem w gazetach, przypominał o Sibel i zaręczynach. Innych rzeczy, o których matka wołała, bym nie wiedział, dowiadywałem się od fryzjera Basriego z Nişantaşı. Opowiadał mi, że kolega mojego ojca, Fasih Fahir, i jego żona Zarife kupili sobie dom w Bodrum, że Sabih Niedźwiedz to w gruncie rzeczy dobry chłopak, że w tej chwili nie warto inwestować w złoto, bo jego ceny mają spaść, że wiosną będą strasznie szachrować na wyścigach konnych, że znany bogacz pan Turgay tak się przyzwyczaił do chodzenia do fryzjera, iż nadal robi to regularnie, choć na głowie nie ma ani jednego włosa, że on sam dostał propozycję poprowadzenia zakładu fryzjerskiego w Hiltonie, ale jako człowiek „z zasadami” (nie powiedział jednak, o jakie zasady chodzi), odmówił. Potem spytał, co u mnie słyhać, wyraźnie próbując się czegoś dowiedzieć.

Czułem, że Basri i jego bogaci klienci wiedzą o mojej obsesji na punkcie Fiisun, i złościło mnie to, dlatego by nie dawać pożywki plotkom, szedłem czasami do Beyoglu, do Cevata, dawnego fryzjera ojca, u którego wysłuchiwałem opowieści o zabijakach z Beyoglu (zaczęto już o nich mówić *per* „mafia”) i filmowcach. Od niego usłyszałem na przykład, że Stokrotka związała się ze znanym producentem, Muzafferem. Wszystkie te źródła informacji nie wspominały jednak słowem o Sibel, Zaimie czy ślubie Mehmeta i Nurcihan. Powinienem był się domyślić dlaczego: moje problemy i troski były im dobrze znane, ale nie przyszło mi to do głowy, dyskrecja plotkarzy w tym względzie wydawała mi się naturalna, tak jak poruszanie wciąż na nowo mojego ulubionego tematu, bankructw bankierów, by sprawić mi przyjemność.

O bankrutujących prywatnych bankach i tych, którzy powierzyli im swoje pieniądze, głośno było już dwa lata wcześniej, słyszałem o tym wszędzie, w firmie i od kolegów. Lubiłem

ten temat, bo obrazował, jak głupia jest stambulska burżuazja i władze w Ankarze, którym owa burżuazja była niewolniczo oddana. Matka powtarzała chętnie: „Wasz ojciec nieboszczyk zawsze mówił: tym pseudobankierom nie można ufać!”, i cieszyła się, że w przeciwieństwie do wielu naiwnych nie byliśmy na tyle nierozsądni, by powierzyć im nasze pieniądze. (Podejrzywałem jednak, że Osman stracił w ten sposób część zysków z nowych spółek, ale się do tego nie przyznawał]. Było jej przykro, że niektóre zaprzyjaźnione rodziny, takie jak rodziny Kadriego Kubła — z jedną z jego ładnych córek chciała mnie kiedyś ożenić — pana Ciineyta i pani Feyzan, pana Cevdeta czy Pamukowie, straciły na tych niepewnych lokatach, ale ostentacyjnie okazywała zdziwienie (zamykała oczy, jakby zaraz miała zemdleć z wrażenia, i na wpół serio, na wpół żartobliwie potrząsała głową), że „tak zwanym bankierem”, któremu Lerzanowie powierzyli niemal całą fortunę, był syn jednego z zatrudnionych w ich własnej fabryce księgowych (wcześniej pracującego ponoć jako stróż), ktoś, kto jeszcze niedawno mieszkał w *gecekondu* — oddali mu niemal cały swój majątek tylko dlatego, że ten ktoś „urządził sobie byle jakie biuro, dał parę reklam do telewizji i używał książeczki czekowej z renomowanego banku”, po czym dodawała: „Już lepiej by sobie wybrali kogoś takiego jak Kastelli, co się z twoimi artystami koleguje”, i wybuchała śmiechem. Nie przejmowałem się zupełnie określeniem „twoi artyści”; lubiłem pośmiać się z matką, dziwiąc się, jak ci wszyscy rozsądni i uczciwi ludzie, wśród których, jak czytelnikom wiadomo, był też Zaim, mogli być aż takimi cymbałami.

Jednym z tych, których matka nazywała cymbałami, był wujek Tank. Powierzył on oszczędności bankierowi Kastellemu, naszemu znajomemu z baru Pergamin, który do swych reklam zatrudniał znanych aktorów. Sądziłem jednak, że

wujek nie stracił dużo, gdyż nigdy nie zdradził, że ma jakieś kłopoty.

Dwa miesiące po tym, jak Fiisun dostała prawo jazdy, w piątek 9 marca 1984 roku, gdy Cetin zawiózł mnie na kolację do Cukurcumy, wchodząc do domu, zauważyłem, że zastony we wszystkich oknach były odsunięte. W całym domu paliło się światło. (A przecież ciocia irytowała się, gdy w czasie posiłku w którymś pokoju na górze paliła się lampa, uważała to za marnotrawstwo i zaraz mówiła: „Córeczko, nie wyłączyliście światła w sypialni”, wtedy Fiisun szybko szła na górę i gasiła lampę).

Ruszyłem schodami na górę, przygotowując się na małżeńską kłótnię między Fiisun a Feridunem. Stół, przy którym od lat zasiadaliśmy, był pusty, nie nakryto do kolacji. Sąsiadka, starsza kobieta, i jej mąż kątem oka zerkali na lecący właśnie na ekranie telewizora film, w którym Ekrem, nasz znajomy aktor, w stroju osmańskiego wezyra wygłaszał mowę przeciwko niewiernym.

— Panie Kemalü — odezwał się sąsiad, elektryk Efe — pan Tank umarł, wyrazy współczucia.

Pobiegłem na górę. Wiedziony jakimś instynktem, nie skierowałem się jednak do sypialni cioci i wujka, lecz wszedłem do pokoju Fiisun, który przez tyle lat widziałem jedynie w marzeniach.

Moja ukochana leżała zwinięta na łóżku, płacząc. Na mój widok podniosła się. Usiadłem obok niej. Nagle objęliśmy się i przytulili do siebie z całej siły. Wtuliła głowę w zgięcie mojej szyi i zaczęła szlochać.

Mój Boże, jak cudownie było trzymać ją w ramionach! Poczuję nagle całą głębię, urodę, nieskończoność świata. Jej pierś dotykała mojej, jej głowa spoczywała na moim ramieniu; wydawało mi się, że mam w objęciach nie Fiisun, lecz

cały świat. Jej płacz sprawiał mi ból, napawał mnie głębokim smutkiem, jednocześnie jednak jakże czynił mnie szczęśliwym! Z czułością, delikatnie pogłaskałem jej włosy, jakbym jej cesał. Za każdym razem, gdy moja ręka dotykała jej czoła i przesuwiała się po włosach, z oczu Fiisun tryskały łzy, a całym jej ciałem wstrząsało łkanie.

By móc dzielić z nią ból, pomyślałem o śmierci mojego ojca. Lecz choć tak bardzo go kochałem, między nami istniało jakieś napięcie, rywalizacja. Fiisun zaś kochała swojego ojca spontanicznie, bezgranicznie, głęboko, jak kocha się słońce, ulice, własny dom. Wydało mi się, że opłakując ojca, płacze jednocześnie nad stanem tego świata, nad życiem.

— Nie bój się, najdroższa — szepnąłem. — Wszystko będzie dobrze. Wszystko się ułoży. Będziemy szczęśliwi.

— Niczego już nie chcę — odpowiedziała i jeszcze bardziej zaczęła płakać. Widząc, jak drży, rozejrzałem się po pokoju, uważnie przyjrzałem się przedmiotom, szafie, szufladom, małej toalecie, poświęconym kinu książkom Feriduna. Jak bardzo pragnąłem w ciągu tych ośmiu lat wejść do tego pomieszczenia, w którym znajdowały się rzeczy Fiisun, jej ubrania!

Fiisun szlochała coraz głośniejsze, po chwili przyszła ciocia Nesibe:

— Ach, Kemal — jęknęła — co my teraz pocznjemy? Jak mamy żyć bez niego? — usiadła na brzegu łóżka i również zaczęła płakać.

Całą noc spędziłem w domu w Cukurcumie. Od czasu do czasu schodziłem na dół, witałem sąsiadów i znajomych przychodzących złożyć kondolencje. Potem wracałem na górę, pocieszałem Fiisun, głaskałem ją po włosach, podawałem suche chusteczki. Gdy w pokoju obok leżały zwłoki jej ojca, a na dole kłębił się tłum sąsiadów i znajomych, paląc papierosy, pijąc herbatę i w milczeniu oglądając telewizję, oboje z Fiisun



po raz pierwszy od dziewięciu lat leżeliśmy razem na łożku i tuliliśmy się do siebie z całej siły. Wdychałem zapach jej szyi, włosów, spoconej od histerycznego płaczu skóry. Potem wstałem i zszedłem na dół, by podać gościom herbatę.

Feridun, który o niczym nie wiedział, nie wrócił tego dnia do domu na noc. Dopiero teraz, po latach, jestem w stanie docenić, jaką delikatnością ze strony sąsiadów było nie tylko przyjmowanie mojej obecności jako czegoś naturalnego, lecz także traktowanie mnie, jakbym to ja był mężem Fiisun. Podawanie kawy i herbaty ludziom, których poznałem w tej dzielnicy, na ulicy, czasem w tym domu, częstowanie ich kupionymi naprędce na rogu *bórekami*, opróżnianie popielniczek pozwalało mi samemu, a także Fiisun i cioci zająć czymś myśli. W pewnej chwili do pokoju obok salonu weszli trzej sąsiedzi: stolarz, Laz\*, który nieopodal miał warsztat, starszy syn pana Rahmiego (tego ze sztuczną ręką — zwiedzający muzeum na pewno go pamiętają) oraz stary przyjaciel wujka, który popołudniami grywał z nim w karty; po kolei ściskali mnie, powtarzając, że trzeba żyć dalej. Żałowałem oczywiście wujka, a jednocześnie czułem w sobie ogromną chęć życia, czułem, że otwiera się przede mną nowy jego etap, i byłem tak szczęśliwy, że aż się tego wstydziałem.

W czerwcu 1982 roku bankier, któremu wujek powierzył pieniądze, zbankrutował i uciekł za granicę, a wujek Tank wraz z innymi „ofiarami bankierów” (określenie ukute przez gazety) założył stowarzyszenie i regularnie uczęszczał na spotkania. Zamierzali odzyskać na drodze sądowej pieniądze, które stracili emeryci i urzędnicy niższych szczebli, nic jednak z tego nie wychodziło. Wujek opowiadał ze śmiechem, jakby

\* **Lazowie** — grupa etniczna pochodzenia kaukaskiego, zamieszkująca północno-wschodnie rejony Turcji.

się tym zupełnie riie przejmował, że członkowie stowarzyszenia — nazywał ich „bandą naiwniaków” — nie byli w stanie podjąć jednomyślnie żadnej decyzji i wkrótce zaczęli się kłócić między sobą. Dyskusje przeradzały się w słowne utarczki, przepychanki, poszturchiwania... Od czasu do czasu udawało im się wśród krzyków i połajanek napisać wspólnie jakąś petycję, następnie przekazywali ją do ministerstwa, banku albo do jednej z gazet, która i tak się tym zupełnie nie interesowała. Niektórzy próbowali nadać sprawie rozgłos, obrzucając siedzibę banku kamieniami, wznosząc okrzyki protestu, atakując pracowników. Po incydentach, podczas których wyłamano drzwi i splądrowano biura oraz domy bankierów, wujek Tank rozstał się ze stowarzyszeniem, ale poprzedniego lata, gdy my z Fiisun pociliśmy się, próbując zdobyć dla niej prawo jazdy, i jeździliśmy nad morze, ponownie zaczął przychodzić na zebrania. Tamtego dnia po południu podczas dyskusji w stowarzyszeniu bardzo się czymś zdenerwował; zaczął uskarżać się na ból w klatce piersiowej, wrócił więc do domu, gdzie zmarł, jak orzekł wezwany potem lekarz, na zawał.

Fiisun rozpaczała, że nie było jej w domu, gdy ojciec umierał. Leżącemu na łóżku wujkowi przyszło długo czekać na powrót żony i córki. Ciocia Nesibe dostała tamtego dnia pilne zlecenie i poszła z Fiisun szyć sukienkę w domu klientki w Moda. Wspierałem ich finansowo, mimo to ciocia wciąż brała swoje pudełko z przyborami krawieckimi i chodziła szyć po domach. W przeciwieństwie do niektórych mężczyzn nie uważałem tego za dyshonor dla mnie, pochwalałem to, że pracuje, choć wcale nie musi. Ale czułem niepokój, ilekroć dowadywałem się, że Fiisun od czasu do czasu jej towarzyszy. Dręczyło mnie pytanie, co moja piękna ukochana robi w obcych domach, lecz Fiisun — rzadko co prawda — opowiadała o tych wyprawach jak o wycieczkach, rozrywce,

opisywała, jak na promie do Kadikóy piły *ayran* i rzucały mewom kawałki obwarzanka, wspominała, że pogoda była piękna, a Bosfor wyglądał cudownie, i robiła to z taką radością, że nie mogłem jej powiedzieć, iż kiedyś, gdy się pobierzemy i wejdzie w środowisko ludzi zamożnych, być może obojgu nam nie będzie przyjemnie spotykać tych, do których niegdyś chodziła szyć.

Dobrze po północy, gdy wszyscy wreszcie sobie poszli, zasnąłem skulony na sofie w pokoju obok salonu. Pierwszy raz w życiu spędziłem noc w tym samym domu co ona... To było wielkie szczęście. Zanim zmorzył mnie sen, usłyszałem jeszcze świergot Cytrynki i syreny promów na Bosforze.

Rano zbudziły mnie głos muezzina wzywającego na poranne modły i coraz głośniejsze gwizdy syren. W moim śnie podróż Fiisun promem z Karakóy do Kadikóy złała się w jedno ze śmiercią wujka Tanka.

Do moich uszu dobiegł dźwięk buczków mgielnych. Cały dom rozświetlało dziwne, perłowo opalizujące światło, charakterystyczne dla mglistych dni. Powoli, jak we śnie, cicho wszedłem po schodach na górę. Fiisun i ciocia Nesibe spały przytulone do siebie w łóżku, w którym Fiisun i Feridun spędzili pierwsze szczęśliwe noce swego małżeństwa. Wyczułem, że ciocia mnie usłyszała. Jeszcze raz zerknąłem ostrożnie przez uchylone drzwi: Fiisun rzeczywiście spała, ciocia Nesibe udawała, że śpi.

Poszedłem do drugiej sypialni i uniósłszy lekko prześcieradło, popatrzyłem na leżące na łóżku zwłoki wujka. Miał na sobie marynarkę, w której poszedł na zebranie „ofiar bankierów”. Jego twarz była biała, odpłynęła z niej cała krew. Plamy, zmarszczki, znamiona stały się teraz jakby liczniejsze, wyrazistsze, większe. Czy to dlatego, że dusza opuściła ciało, czy może zaczął się już rozkład? Przerazenie, jakie budziła

obecność trupa, było silniejsze niż sympatia, jaką żywiłem do zmarłego. Nie chciałem zrozumieć wujka, postawić się na jego miejscu, chciałem uciec od śmierci. Ale nie wyszedłem z pokoju.

Czułem do wujka sympatię, bo był ojcem Fiisun i tyle lat siadałem z nim przy jednym stole i piłem *raki*. Ale nie polubiłem go naprawdę, gdyż nigdy nie był wobec mnie zupełnie szczery. Obaj nie całkiem przypadliśmy sobie do gustu, ale jakoś udało się nam tego nie okazywać.

Gdy tylko o tym pomyślałem, zrozumiałem, że wujek wiedział od samego początku, tak samo jak ciocia Nesibe, o mojej miłości do Fiisun. Właściwie nie tyle zrozumiałem, ile przyznałem to przed sobą samym. Najprawdopodobniej od pierwszych miesięcy wiedział, że nie przejmując się niczym, sypiam z jego zaledwie osiemnastoletnią córką, i uważał mnie zapewne za pozbawionego serca bogacza, bezwstydnego kobieciarza. To przeze mnie musiał wydać córkę za mąż za nicponia bez grosza przy duszy i z pewnością nienawidził mnie za to. Mimo to nigdy nie okazał mi niechęci. Albo ja nie chciałem jej dostrzec. Nienawidził mnie, a jednocześnie mi wybaczał. Zachowywaliśmy się jak bandyci, których przyjaźń opiera się na wzajemnym niedostrzeganiu złych uczynków i podłości. W ten sposób w ciągu kilku lat z pana domu i gościa staliśmy się współnikami przestępstwa.

Patrząc na zastygłą twarz wujka, przypomniałem sobie pełen zdziwienia i strachu wyraz, jaki na twarzy mojego ojca pozostawiła nadchodząca nagle śmierć. Tymczasem atak serca trwał zapewne jakiś czas, wujek zdążył więc powitać śmierć, być może trochę się z nią mocował, bo nie widać było na jego twarzy zdziwienia. Jeden kącik ust miał boleśnie skrzywiony, drugi zaś wygięty w lekkim uśmiechu. Gdy siedział przy stole, a przed nim stała szklaneczka *raki*, w tym uśmiechniętym trzy-

mał papierosa. Lecz tu, w sypialni, to, co razem przeżyliśmy, straciło swą moc, wszystko spowiła mgła śmierci i pustki.

Białe światło wypełniające pokój płynęło głównie z okna po lewej stronie wykuszu. Wychyliłem się przez nie i ujrzałem kompletnie opustoszałą wąską uliczkę. Wykusz sięgał niemal połowy jezdni — miałem wrażenie, że stoję pośrodku ulicy. We mgle ledwo można było dostrzec skrzyżowanie z aleją Bogazkesen. Cała dzielnica wydawała się spać, jedynie kot szedł powoli wzdłuż muru.

Nad łóżkiem wujek powiesił oprawione w ramkę zdjęcie z czasów, gdy był nauczycielem w Karsie, zrobione podczas szkolnego przedstawienia w słynnym teatrze wybudowanym przez Rosjan. Błat szafki nocnej w dziwny sposób przypominał mi o moim ojcu. Z na wpół wysuniętej szuflady unosił się słodkawy zapach kurzu, leków, syropu na kaszel i pożółkłych gazet. Sztuczna szczeka w szklance z wodą, obok ulubiona lektura wujka, książka Reşata Ekrema Kocu\*. Szuflada była pełna opakowań po lekach, fifek, telegramów, zaświadczeń od lekarza, wyciągów bankowych, rachunków za gaz i elektryczność, monet, które wyszły z obiegu, i różnych szpargałów.

Rano, zanim dom Keskinów znów wypełnił się gośćmi, poszedłem do Nişantaşı. Matka już nie spała, jadła śniadanie, które Fatma podała jej do łóżka: tosty, jajka, dżem, czarne oliwki. Ucieszyła się na mój widok, ale już po chwili posmutniała na wieść o śmierci wujka. Współczuła Nesibe, lecz w jej smutku wyczułem coś jeszcze, coś głębokiego i silnego. Była w nim złość.

\* Reşat Ekrem Kocu (1905-1975) — historyk i pisarz, autor licznych dzieł dotyczących dziejów Turcji i Stambułu (m.in. nie dokończony encyklopedii Stambułu, *istanbul Ansiklopedisi*).

— Idę teraz do nich — powiedziałem. — Niech Cetin zawiezie cię na pogrzeb.

— Nie wybieram się na pogrzeb, synu.

— Dlaczego?

Z początku podała dwie idiotyczne wymówki: „Czemu tak się spieszą, w gazecie nie ukazał się nawet nekrolog” oraz „Dlaczego nie wyprowadzają zwłok z Teşvikiye? Nie tak powinno być”. (Wszyscy urządzali ceremonię pogrzebową w meczecie Teşvikiye). Widziałem, że współczuje Nesibe, która niegdyś wśród śmiechu i żartów szyła dla niej sukienki i którą szczerze lubiła. Z jakiejś jednak głębszej przyczyny postanowiła nie iść na pogrzeb. Moje nalegania i widoczna irytacja w końcu ją rozzłościły.

— Wiesz, dlaczego nie pójdę na pogrzeb? — wybuchnęła.

— Bo jeśli pójdę, ty ożenisz się z tą dziewczyną!

— Skąd ci to przyszło do głowy?! Przecież ona jest mężatką.

— Wiem. Nesibe będzie przykro. Ale, synu, ja już od dawna wiem o wszystkim. Jeśli się uprzesz i ożenisz z jej córką, zostanie to bardzo źle odebrane.

— Ależ, mamusiu, co mnie obchodzi, co sądzą inni?

— Nie zrozum mnie źle — powiedziała matka i odłożywszy ostrożnie na brzeg talerza kawałek tosta i nóż, którym smarowała go masłem, popatrzyła mi w oczy. — Oczywiście, w końcu zdanie innych nie jest ważne. Liczą się prawdziwe, szczerze uczucia. Nie twierdzę, synku, że jest inaczej. Zakochałeś się... Wspaniale. Ale czy ona też cię kocha? Co wydarzyło się w ciągu tych ośmiu lat, dlaczego nie rozwiodła się z mężem?

— Rozwiedzie się z nim na pewno — wtrąciłem nieśmiało.

— Posłuchaj mnie, twój ojciec też zadurzył się w pewnej biedaczce, która mogłaby być jego córką... Kupił jej nawet mieszkanie. Ale wszystko utrzymywał w sekrecie, nie skompromitował się tak jak ty. Nawet jego najbliżsi przyjaciele o ni-

czym nie wiedzieli. — Zwróciła się do Fatmy, która właśnie weszła do pokoju: — Fatmo, rozmawiamy teraz... — Fatma wyszła od razu, zamykając za sobą drzwi.

— Twój ojciec był silnym, mądrym, poważnym mężczyzną, ale i on miał swoje słabości — kontynuowała matka. — Gdy poprosiłeś mnie o klucz do mieszkania w kamienicy Zmiłowanie, dałam ci go, choć wiedziałam, że ty też masz te same słabości co ojciec, dlatego ostrzegałam cię: „bądź ostrożny!”. Czyż nie? Ale ty mnie nie posłuchałeś. No tak, to wszystko twoja wina. Zapytasz pewnie, w czym Nesibe tu zawiniła. To trwa już dziesięć lat i tej udręki, jaką razem z córką zgotowała mojemu synowi, nigdy jej nie wybaczę!

Nie zwróciłem matce uwagi, że minęło osiem, nie dziesięć lat. — Dobrze, mamusiu — powiedziałem. — Wytłumaczę im jakoś twoją nieobecność.

— Synku, z tą dziewczyną nie będziesz szczęśliwy, inaczej dawno już bylibyście razem. Uważam, że i ty nie powinienes iść na pogrzeb.

Matka nie zdołała mnie przekonać, że zmarnowałem sobie życie, wręcz przeciwnie, jej słowa były zapowiedzią, że wkrótce będę szczęśliwy z Fiisun. Dlatego nie gniewałem się na nią, słuchołem jej z uśmiechem, a jednocześnie chciałem jak najprędzej wrócić do ukochanej.

Widząc, że puszczam jej słowa mimo uszu, rozżłościła się na dobre. — W kraju, gdzie kobiecie i mężczyźnie nie wolno się spotykać, rozmawiać ze sobą, nie ma miłości! — wyrzuciła z siebie. — Wiesz dlaczego? Bo gdy tylko mężczyźni w tym kraju spotkają kobietę, wszystko jedno, dobrą czy złą, piękną czy brzydką, rzucają się na nią jak wygłodniałe zwierzęta. Wszyscy tak robią, bez wyjątku. A potem wydaje im się, że to miłość. Czy w takim miejscu jak to może istnieć miłość? Nie oszukujmy się.

W końcu udało jej się mnie rozgniewać: — Dobra, mamó, wychodzę.

— W pogrzebie urządzanym w lokalnym meczecie kobiety nie uczestniczą — oświadczyła, jakby to był rzeczywisty powód jej decyzji.

W grupie osób, które dwie godziny później, gdy uczestnicy modłów pogrzebowych odprawianych w meczecie Firuzaga rozchodzili się do domów, składały kondolencje cioci Nesibe, były również kobiety, ale niezbyt liczne. Przypominam sobie, że widziałem wśród nich właścicielkę butik Champs Elysées, panią Şenay, oraz Ceydę. Stał wtedy obok mnie Feridun, na nosie miał szpanerskie okulary przeciwsłoneczne.

Przez kilka kolejnych dni co wieczór możliwie wcześnie szedłem do Çukurcumy. Ale odczuwałem tam, przy stole, głęboki niepokój, jakby nagle wyszła na jaw cała sztuczność mojego związku z Fiisun, cała złożoność sytuacji. Udawać, że niczego nie widzi, najlepiej potrafił wujek Tank. Teraz, gdy go zabrakło, nie potrafiliśmy ani zachowywać się naturalnie, ani powrócić do naszej na wpół udawanej, na wpół szczerzej swobody, jaką odczuwaliśmy przez osiem lat podczas wspólnych kolacji.



## 75. CUKIERNIA PEREŁKA

Pewnego deszczowego dnia na początku kwietnia, po pogawędce z matką, koło południa, poszedłem do Satsat. Wypiłem kawę, przeczytałem gazetę i wtedy zadzwoniła ciocia Nesibe. Powiedziała, bym przez jakiś czas wstrzymał się z wizytami u nich, bo pojawiły się plotki; nie chce o tym teraz mówić przez telefon, ale ma dla mnie dobre wiadomości. Sekretarka, pani Zeynep, podsłuchiwała z sąsiedniego pokoju, a ja nie chciałem przed ciocią okazać zbytniego zaciekawienia, nie spytałem więc, o co chodzi.

Przez dwa dni zżerała mnie ciekawość, aż w końcu ciocia Nesibe zjawiła się w godzinach porannych w Satsat. Choć w ciągu ośmiu lat spędziłem z nią tyle czasu, nie mogłem się przyzwyczaić do jej widoku w firmie i przez chwilę patrzyłem na nią tępo, jak na klientkę, która przyjechała z jakiejś odległej dzielnicy Stambułu albo z prowincji, by wymienić wadliwy produkt albo otrzymać za darmo kalendarz czy popielniczkę z logo firmy, i jedynie przez pomyłkę weszła na górę, do biura.

Pani Zeynep od razu się domyśliła — może z mojego zachowania, a może dlatego, że coś wiedziała — iż gość jest dla mnie kimś ważnym. Spytała, czy podać nescafe, a ciocia Nesibe odpowiedziała: — Jeśli macie parzoną po turecku, to poproszę.

Zamknąłem drzwi. Ciocia Nesibe usiadła naprzeciwko i spojrzała mi prosto w oczy.

— Wszystko załatwione — oświadczyła tonem, który nie tyle zwiastował dobrą nowinę, ile sugerował, że życie jest w rzeczywistości bardzo proste. — Fiisun i Feridun się rozstają. Jeżeli zostawisz jemu, to znaczy Feridunowi, wytwórnę, sprawę da się rozwiązać pokojowo. Fiisun bardzo by tego chciała. Ale najpierw musicie porozmawiać.

— Ja z Feridunem?

— Nie, ty z Fiisun.

Z zadowoleniem obserwowała radość, która odmalowała się na mojej twarzy, po czym zapaliła papierosa, założyła nogę na nogę i zaczęła pokrótce, choć z wyraźną satysfakcją, opowiadać, co się stało. Dwa dni wcześniej Feridun wrócił wieczorem do domu lekko wstawiony. Podobno zerwał ze Stokrotką i chciał pogodzić się z Fiisun, ale ona nie chciała o tym słyszeć. Pokłócili się, niestety, krzyczeli tak głośno, że w całej dzielnicy było słychać, co za wstyd. Dlatego prosiła, bym do nich przez jakiś czas nie przychodził... Potem Feridun zadzwonił, Fiisun spotkała się z nim w Beyoglu. Zięc i córka postanowili się rozwieść.

Zapadło milczenie.

— Zmieniłam zamki w drzwiach wejściowych — odezwała się ciocia. — Feridun nie ma już wstępu do naszego domu.

Wydawało mi się, że na moment ucichły nie tylko hałaśliwe autobusy przejeżdżające pod oknami biura, ale cały świat pogrążył się w ciszy. Widząc, że siedzę jak zaczarowany, z pa-

pierosem w rękę, ciocia Nesibe zaczęła swą opowieść od nowa, podając tym razem więcej szczegółów. — Nigdy nie byłam niechętna temu chłopakowi — mówiła tonem kogoś, kto od samego początku wiedział, czym się to wszystko skończy. — Ma dobre serce, ale jest słaby... Która matka życzyłaby sobie takiego męża dla córki... — zamilkła na chwilę. Oczekiwałem, że z jej ust padnie coś w rodzaju: „Ale cóż było robić, nie mieliśmy innego wyjścia”, lecz powiedziała coś zupełnie innego.

— Ja też to przeżyłam. W tym kraju trudno być ładną kobietą, trudniej niż ładną dziewczyną... Sam najlepiej wiesz, Kemalu, jak mężczyźni potrafią być ordynarni wobec kobiety, której nie udało im się zdobyć, a Feridun chronił Fiisun przed nimi...

Przez moment zastanawiałem się, czy jednym z nich nie byłem ja sam.

— Oczywiście, nie powinno to trwać tak długo — rzuciła po chwili.

Milczałem, zaskoczony i oniemiały, jakbym pierwszy raz dostrzegł, jaki dziwny obrót przybrało życie.

— Oczywiście, Feridun ma prawo do Wytwórni „Cytrynka” — odezwałem się po chwili. — Porozmawiam z nim. Czy jest zły na mnie?

— Nie — odpowiedziała ciocia. — Ale Fiisun chciałaby z tobą poważnie porozmawiać. Wiele spraw leży jej na sercu. Musicie pogadać.

Ustaliliśmy, że spotkam się z Fiisun trzy dni później, w cukierni Perełka w Beyoghi, o godzinie drugiej po południu. Ciocia Nesibe nie przedłużała rozmowy i szybko się pożegnała, jawnie okazując, że nie najlepiej się czuje w tym obcym dla niej otoczeniu, choć jednocześnie nie kryła zadowolenia, że mogła tu przyjść.

Gdy w poniedziałek 9 kwietnia 1984 roku koło południa szedłem na spotkanie z Fiisun, byłem radosny i podniecony jak chłopak, który umówił się z koleżanką z liceum, obiektem marzeń od wielu miesięcy. W nocy nie mogłem spać, z trudem wytrzymałem w Satsat do południa, w końcu Cetin przed czasem zawiózł mnie na Taksim. Plac skąpany był w słońcu, ale lepiej czułem się w chłodzie pogrążonej w cieniu alei Niepodległości, wśród zapachu wilgoci i kurzu dobywającego się ze sklepów, kin, pasaży handlowych, do których w dzieciństwie chodziłem z matką. Od wspomnień, z perspektywą przyszłego szczęśliwego życia, kręciło mi się w głowie, czułem się częścią radosnego tłumu przechodniów chcących coś zjeść, obejrzeć film, zrobić zakupy.

W poszukiwaniu upominku dla Fiisun zająrzałem do Vakko, Beymena i innych sklepów, ale nie mogłem się zdecydować, co kupić. Dla uspokojenia nerwów ruszyłem właśnie w stronę Tunelu, gdy przed jedną z kamienic zobaczyłem Fiisun — do umówionego spotkania było jeszcze pół godziny. Miała na sobie wiosenną białą sukienkę w groszki, do tego prowokujące ciemne okulary i kolczyki z perłami od mojego ojca. Nie dostrzegła mnie, zajęta oglądaniem wystaw.

— Co za zbieg okoliczności, prawda? — zagadnąłem.

— Ach! Witaj, Kemal! Jak się miewasz?

— Piękny dziś dzień, urwałem się z pracy — oświadczyłem, jakbyśmy nie byli umówieni na spotkanie za pół godziny, lecz całkiem przypadkowo wpadli na siebie na ulicy. — Przejdziemy się kawałek?

— Najpierw powinnam poszukać guzików — powiedziała.

— Mama musi szybko uszyć sukienkę, klientka bardzo nalegała, zaraz potem muszę wracać do domu, pomóc mamie. Obejrzymy guziki w Pasażu Aynali?

Wybrała zestaw drewnianych guzików i pokazała mi:

— Co sądzisz o tych?

— Ładne.

— To dobrze.

Zapłaciła za guziki, które dziewięć miesięcy później znalazłem w szafie zawinięte w papier, tak jak je zapakowano w sklepie.

— Chodź, przejdziemy się troszeczkę — zaproponowałem.

— Przez tych osiem lat wciąż wyobrażałem sobie, że pewnego dnia spotkamy się w Beyoglu i pójdziemy na spacer.

— Naprawdę?

— Serio...

Szliśmy w milczeniu. Od czasu do czasu tak jak ona patrzyłem na wystawy, ale mój wzrok padał nie na wystawione tam rzeczy, lecz na jej odbicie w szybie. Wyglądała pięknie i przechodnie, nie tylko mężczyźni, także kobiety, oglądali się za nią, co sprawiało jej przyjemność.

— Usiądźmy gdzieś, zjedźmy coś słodkiego, jeśli masz ochotę — powiedziałem.

Zanim Fiisun zdążyła odpowiedzieć, jakaś kobieta z okrzykiem radości rzuciła się jej na szyję. To była Ceyda z synami, jednym ośmio- czy dziewięcioletnim, drugim młodszym. Gdy przyjaciółki się witały, dwaj dorodni, pogodni chłopcy o dużych oczach, takich jak u matki, ubrani w krótkie spodenki i białe skarpetki, przyglądali mi się uważnie.

— Jak miło widzieć was razem! — zawołała Ceyda.

— Właśnie się spotkaliśmy... — zaczęła wyjaśniać Fiisun.

— Pasujecie do siebie — orzekła Ceyda.

Rozmawiały półgłosem.

— Mamo, nudzi mi się, chodźmy już! — prosił starszy z chłopców.

Przypomniałem sobie, jak osiem lat temu w parku Taşhk, podziwiając widok na Dolmabahę, rozmawiałem z Ceydą,

która właśnie nosiła wtedy chłopca w brzuchu, o moich miłosnych rozterkach. Ale ani się nie wzruszyłem, ani nie czułem się smutny.

Pożegnaliśmy się z Ceydą i niespiesznym krokiem przeszliśmy obok kina Saray. Grano w nim *Nieszczęsną melodię* ze Stokrotką w roli głównej. Jeśli wierzyć gazetom, aktorka pobiła rekord świata, występując w ciągu dwóch miesięcy aż w siedemnastu filmach i fotopowieściach. Plotkarskie tygodniki rozpisywały się, jakoby otrzymała propozycje zagrania głównych ról w Hollywood, a ona podsyciała te plotki, opowiadając, że uczy się angielskiego z podręcznika Longmana i jest gotowa zrobić wszystko, by jak najlepiej reprezentować Turcję. Fiisun zauważyła, że bacznie się jej przyglądałem, gdy patrzyła na wiszące przy wejściu fotosy.

— Chodźmy stąd — powiedziałem.

— Nie obawiaj się, nie jestem zazdrosna o Stokrotkę — zapewniła, odgadując moje myśli.

Poszliśmy dalej, w milczeniu oglądając sklepowe witryny.

— Dobrze ci w ciemnych okularach — odezwałem się.

— Wejdziemy tu na profitrolki?

Dokładnie o ustalonej z jej matką godzinie znaleźliśmy się przed wejściem do cukierni Perełka. Nie zwlekając, weszliśmy do środka i tak, jak przez trzy ostatnie dni sobie wyobrażałem, w końcu sali był jeden wolny stolik. Usiedliśmy i zamówiliśmy profitrolki, z których cukiernia słynęła.

— Włożyłam okulary przeciwsłoneczne nie dlatego, że mi w nich dobrze. Czasami, gdy pomyślę o tacie, łzy same napływają mi do oczu. Nie chcę, by ktoś to widział. Nie jestem zazdrosna o Stokrotkę, rozumiesz?

— Rozumiem.

— Podziwiam ją — powiedziała po chwili. — Postanowiła sobie coś, zawzięła się, jak Amerykanie w filmach, i osiągnęła

sukces. Jest mi przykro nie dlatego, że nie zostałam aktorką filmową jak ona, ale dlatego że nie potrafiłam znaleźć w sobie tyle uporów co ona, i o to mam żal do siebie.

— Ja od dziewięciu lat zawzięcie się staram, ale nic mi nie wychodzi.

— Być może — odpowiedziała chłodno. — Rozmawiałeś z mamą. Teraz porozmawiaj ze mną.

Pewnym siebie ruchem wyjęła paczkę papierosów. Podając ogień, spojrzałem jej w oczy, i tak, by nikt w niewielkiej cukierni mnie nie słyszał, wyszeptałem, że bardzo ją kocham, że złe dni mamy już za sobą i choć straciliśmy tyle czasu, nadal czeka nas wielkie szczęście.

— Ja też tak sądzę — odpowiedziała ostrożnie. Z jej pełnych napięcia ruchów i zupełnie nienaturalnego wyrazu twarzy mogłem się domyślić, że wszystko się w niej gotuje i jedynie całą siłą woli jest w stanie nad sobą zapanować. Za to, że tak bardzo się stara, by wszystko szło gładko, jeszcze mocniej ją kochałem, obawiałem się jednak siły targających nią emocji.

— Po rozwodzie chciałabym poznać twoich przyjaciół, spotkać się z twoją rodziną — oznajmiła tonem szkolnej prymuski, opowiadającej, co chce robić w przyszłości. — Nie spieszmy się. Wszystko po kolei... Gdy rozwiodę się z Feridunem, twoja mama powinna poprosić w twoim imieniu o moją rękę. Nasze mamy się lubią. Ale twoja powinna pierwsza zadzwonić i przeprosić moją, że nie przyszła na pogrzeb taty...

— Źle się czuła...

— Wiem.

Przez chwilę w milczeniu jedliśmy profitrolki. Patrzyłem na jej usta pełne słodkiego, czekoladowo-kremowego nadzienia nie tyle z pożądaniem, ile z czułością.

— Chcę, żebyś o czymś wiedział i zachowywał się odpowiednio do tego. Przez cały czas trwania małżeństwa między

mną a Feridunem do niczego nie doszło. Musisz mi uwierzyć! Pod tym względem jestem nietknięta. I przez całe życie nie będę żyła z nikim, tylko z tobą. Nie ma sensu wspominać komukolwiek o tym, co wydarzyło się między nami w ciągu tamtych dwóch miesięcy (w zasadzie, drodzy czytelnicy, było to półtora miesiąca bez dwóch dni) dziewięć lat temu. Jakbyśmy na nowo się poznali. To tak jak na filmach, wyszłam za mąż, ale pozostałam dziewicą.

Dwa ostatnie zdania wypowiedziała z uśmiechem, świadom jednak wagi tego, o co prosiła, odpowiedziałem z powagą:

— Rozumiem.

— Dzięki temu będziemy szczęśliwsi — w jej głosie pobrzmiwała nutka rozsądku. — Mam jeszcze jedną prośbę. W zasadzie to był twój pomysł, nie mój. Chciałabym, żebyśmy wybrali się razem w podróż po Europie. Mama pojedzie z nami do Paryża. Będziemy zwiedzali muzea, oglądali obrazy. Kupimy tam też moją wyprawę i rzeczy do naszego domu.

Na słowa „naszego domu” lekko się uśmiechnąłem. Mimo pobrzmiwającego w jej głosie rozkazującego tonu Fiisun też się uśmiechała — jak dowódca wojsk, który po długiej wojnie, zakończonej zwycięstwem, w żartobliwy, lecz nie dopuszczający sprzeciwu sposób dyktuje swoje warunki. — A wesele niech będzie w Hiltonie, tak jak wesela innych! — przy tych słowach z powagą zmarszczyła brwi. — Wszystko musi być jak należy, zapięte na ostatni guzik — powiedziała to zupełnie beznamyślnym tonem, tak jakby nie miała żadnych wspomnień, ani dobrych, ani złych, z mojego nieszczęsnego przyjęcia zaręczynowego w Hiltonie, jakby chodziło jej wyłącznie o to, by uroczystość była dobrze zorganizowana.

• — Ja też tego chcę — oświadczyłem.

Znów milczeliśmy przez chwilę.



Cukiernia Perełka, w dzieciństwie ważny punkt moich i mamy wycieczek do Beyoglu, nic się przez tych trzydzieści lat nie zmieniła. Panował jedynie większy tłok i trudno się nam rozmawiało, więc gdy w lokalu na moment zapanowała magiczna cisza, szybko wyszeptalem, że bardzo ją kocham i zrobię wszystko, co tylko zechce, że jedynym moim pragnieniem jest spędzić z nią resztę życia.

— Naprawdę? — spytała tonem pełnym dziecięcej radości, tak jak wtedy, gdy uczyłem ją matematyki.

Była dość zdecydowana i pewna siebie, by nie traktować poważnie tego pytania. Wystudowanym gestem zapaliła papierosa i wymieniła pozostałe życzenia. Nie miałem mieć odtąd przed nią żadnych tajemnic, miałem dzielić z nią wszystkie sekrety, a na wszelkie pytania dotyczące przeszłości odpowiadać szczerze, bez kłamstw.

Wszystko, co towarzyszyło słowom Fiisun, wryło mi się głęboko w pamięć: zdecydowany, twardy wyraz jej twarzy, stara maszyna do lodów, nastroszone brwi Atatiirka na oprawionym w ramę portrecie, zmarszczone tak samo jak brwi Fiisun. Zaręczyny postanowiliśmy urządzić w gronie rodziny, przed wyjazdem do Paryża. O Feridunie mówiliśmy z szacunkiem, bez złośliwości. Uzgodniliśmy też, że przed ślubem nie ma mowy o jakimkolwiek zbliżeniu natury seksualnej:

— Nie możesz mnie zmuszać. I tak by to nic nie dało — oświadczyła.

— Nie zamierzam — zapewniłem. — Chciałbym zawrzeć z tobą aranżowane małżeństwo, gdzie narzeczeni nie znają się przed ślubem.

— Możemy uznać, że tak właśnie jest — powiedziała z przekonaniem.

Zasugerowała, że moje wieczorne wizyty (codzienne!) mogłyby zostać źle zrozumiane przez sąsiadów, jako że w do-

mu nie było już żadnego mężczyzny. — Oczywiście plotki w dzielnicy to tylko pretekst... — dodała po chwili. — Bez taty rozmowy nie są już takie przyjemne. Bardzo mi smutno z tego powodu...

Przez moment sądziłem, że się rozpłaczę, ale szybko się opanowała. Lokal był pełny, wahadłowe drzwi niemal się nie zamykały. W dodatku do środka władowała się grupa hałaśliwych licealistów w granatowych marynarkach i przekrzywionych krawatach. Śmiali się i przepychali. Wyszliśmy. W milczeniu odprowadziłem Fiisun do alei Cukurcuma, szczęśliwy, że mogę z nią u boku iść przez tłum wypełniający ulice Beyoğlu.

## 76. KINA W BEYOGLU

Zrobiliśmy tak, jak to ustaliliśmy podczas spotkania w cukierni Perełka. Mieszkający w Fatihu mój kolega z wojska, ktoś spoza środowiska z Nişantaşı, zgodził się zostać adwokatem Fiisun. Rozwód miał nastąpić za porozumieniem stron, sprawa nie była więc skomplikowana. Moja ukochana ze śmiechem zdradziła mi, że Feridun zastanawiał się, czy nie poprosić mnie o pomoc w znalezieniu adwokata. Nie mogłem widywać jej co wieczór, bo nie odwiedzałem już domu w Cukurcu-mie, ale co drugi dzień umawialiśmy się w Beyoğlu i szliśmy do kina.

W dzieciństwie bardzo lubiłem chłód sal kinowych, tak przyjemny w wiosenne dni, gdy ulice były już rozgrzane od słońca. Spotykaliśmy się w Galatasaray, niespiesznie oglądaliśmy afisze, by wybrać seans, kupowaliśmy bilety, i wchodziliśmy do pustych, zimnych sal, zajmowaliśmy miejsca w tylnych rzędach, gdzie nie dochodziło światło odbijające się od ekranu, trzymaliśmy się za ręce i beztrosko oglądaliśmy film, jak ludzie, którzy mają nieskończenie dużo czasu.

Pewnego razu na początku lata, gdy kina zaczęły na jeden bilet wyświetlać dwa, a nawet trzy filmy, usiadłem, podciągając nogawki spodni, w fotelu na widowni, a trzymane w rękę gazety zamierzałem odłożyć na puste miejsce obok, co spowodowało, że moja ręka spóźniła się i nie zdążyła chwycić dłoni Fiisun, która jak niecierpliwy wróbel przysiadła na moim brzuchu, jakby sprawdzała, czy jestem obok, i w tym samym momencie moje ręce, jeszcze zanim w głowie pojawiła się jakakolwiek myśl, chwyciły ją i mocno przytuliły.

W kinach, które latem pokazywały dwa (Emek, Fitaş, Atlas), a nawet trzy filmy jeden po drugim (Riyya, Alkazar, Lale), nie robiono tak jak zimą przerwy w trakcie filmu, toteż dopiero gdy między seansami zapaliło się światło, mogliśmy zobaczyć, kto zajmował miejsca na widowni.

Przyglądaliśmy się wtedy widzom, z trudem wracającym z baśniowego świata kina do byle jakiej rzeczywistości, mrocznej, pachnącej kurzem sali kinowej, przysypiającym po kątach staruszkom, samotnym mężczyznom w pomiętych ubraniach, z pomiętymi gazetami w rękach, którzy siedzieli rozparci bądź skuleni w fotelach, i szeptem gawędziliśmy o tym i owym. (Między seansami nie trzymaliśmy się za ręce). Podczas takiej właśnie przerwy, w loży kina Saray, Fiisun powiedziała mi, że to, o czym marzyłem przez osiem lat, stało się faktem — w końcu uzyskała rozwód z Feridunem.

— Adwokat dostał odpis wyroku — oznajmiła. — Jestem oficjalnie rozwiedziona.

Złoczone sztukaterie na suficie, łuszcząca się farba, podwyższenie w pustej sali kina Saray, które utraciło dawny splendor, ekran, kilku zaspanych widzów — w jednej chwili widok ten wrył mi się na zawsze w pamięć. Jeszcze dziesięć lat temu łoże w takich kinach, jak Atlas czy Saray, podobnie jak park Yildiz, były miejscem, dokąd chodziły pary, które nie miały gdzie się

podziąć, by się przytulać i całować. Ale Fiisun nie pozwalała mi się pocałować, wolno mi było co najwyżej położyć rękę na jej kolanie.

Ostatnie spotkanie z Feridunem przebiegło pomyślnie, choć wbrew temu, co przypuszczałem i na co miałem nadzieję, zostawiło po sobie przykre wspomnienie. To, że Fiisun, jak twierdziła w cukierni Perełka, przez osiem lat nie kochała się z nim i chciała, bym w to uwierzył, wstrząsnęło mną, gdyż jak większość mężczyzn zakochanych w zamężnej kobiecie, ja sam przez osiem lat jakąś częścią mego umysłu w to wierzyłem. Ta wiara stanowiła sedno wszystkiego, co się wydarzyło, tylko dzięki niej moja miłość zdołała przetrwać tak długo.

Gdybym częściej, dłużej, intensywniej wyobrażał sobie, że Fiisun i Feridun prowadzą udane życie seksualne (spróbowałem zrobić to raz czy dwa, ale myśl ta sprawiła mi tyle bólu, że nie podejmowałem już dalszych prób), moja miłość szybko by się wyczerpała. Lecz gdy Fiisun przedstawiła mi jako prawdę to, w co, oszukując samego siebie, zmuszałem się przez te lata wierzyć, i jeszcze kazała mi przyjąć to za oczywistość, od razu pomyślałem, że to kłamstwo, i poczułem się zdradzony. Pogodzić się z rzeczywistością mogłem tylko dlatego, że w szóstym roku małżeństwa Feridun ją zostawił. Sama myśl o ich małżeńskim życiu doprowadzała mnie do wściekłości, czułem nieopisaną zazdrość o Feriduna, pragnąłem go upokorzyć. Tylko dlatego, że przez osiem lat tego nie odczuwałem, nie doszło między nami do konfrontacji. I tylko dzięki temu, że Feridun prowadził z żoną udane życie seksualne, mógł tolerować, zwłaszcza na początku, moją obecność, co zrozumiałem również dopiero po ośmiu latach. Jak każdy mężczyzna, któremu układa się w małżeństwie, ale lubi też życie towarzyskie i męskie rozmowy w knajpie z kolegami, nie chciał spędzać wieczorów w domu. Czasami, zwłaszcza

w pierwszych latach, wyraz twarzy Feriduna mówił mi, że mając ich małżeńskie szczęście, ale nie przyznawałem się do tego nawet przed samym sobą, więc nie budziło to we mnie poczucia winy.

Zazdrość, przez osiem lat skryta gdzieś na dnie mej duszy jak w najgłębszym zakątku oceanu, po ostatnim spotkaniu z Feridunem zaczęła znów we mnie wzbierać; zrozumiałem, że powinienem do końca życia unikać go, podobnie jak niektórych dawnych kolegów. Dla Feriduna, który tak samo jak ja przez lata cierpiał z powodu miłości do Fiisun, żywiłem coś w rodzaju braterskich, koleżeńskich uczuć, może się więc wydawać dziwne, że w momencie gdy wszystko zaczęło się układać, zapalałem do niego takim gniewem. Powiem jednak tylko tyle, że dopiero teraz zaczynałem go rozumieć, dotąd zawsze stanowił dla mnie zagadkę.

W jego oczach mogłem wyczytać, że zazdrości mnie i Fiisun czekającego nas szczęścia. Ale podczas długiego obiadu w restauracji hotelu Divan wypiliśmy obaj dość *raki*, by się odprężyć. Omówiwszy szczegóły przekazania praw do wytwórni, przeszliśmy do tematu, który interesował i cieszył nas najbardziej: Feridun miał w końcu rozpocząć zdjęcia do *Błękitnego deszczu*, swojego artystycznego filmu.

Tamtego dnia wypiełem z Feridunem tak dużo anyżówki, że nie wróciłem już do firmy, lecz poczłapałem do domu, gdzie padłem kompletnie zamroczony. Pamiętam tylko tyle, że zanim zapadłem w sen, powiedziałem do matki, która przyszła zobaczyć, co się ze mną dzieje: — Życie jest piękne! — Dwa dni później, w rozświetlany błyskawicami burzowy wieczór, Çetin zawiózł nas do Çukurcummy. Matka zachowywała się tak, jakby zapomniała, że nie chciała iść na pogrzeb wujka Tarika. Ale nie była spokojna, przez całą drogę usta jej się nie zamykały, jak zawsze wtedy gdy się denerwowała.

— O, jakie eleganckie zrobili tu chodniki! — zakrzyknęła, gdy dojeżdżaliśmy na miejsce. — Zawsze chciałam tu przyjechać, zobacz, jak tu ładnie! — Gdy wchodziliśmy do domu, chłodny wiatr, który zerwał się przed deszczem, wzbiał tumany kurzu na ulicznym bruku.

Matka zadzwoniła do cioci Nesibe, by złożyć jej wyrazy współczucia po śmierci wujka, potem kilka razy się spotkały, mimo to wizyta, której celem było poproszenie o rękę córki, przerodziła się w wizytę kondolencyjną. Wszyscy jednak wyuczuliśmy, że kryje się za tym coś więcej, coś głębszego niż zwykłe kondolencje. Po wymianie zwyczajowych grzeczności, po okrzykach typu: „ach, jak tu ładnie! jak się stęskniłam! jak było nam przykro!” matka i ciocia objęły się i zaczęły płakać. Fiisun uciekła na górę.

Wreszcie gdzieś bardzo blisko uderzył piorun i obie kobiety odsunęły się od siebie. „Niech Bóg ma nas w swojej opiece!” — zawołała moja matka. Na dworze zaczęła się ulewa, raz po raz rozlegały się grzmoty, a Fiisun, dwudziestosiedmioletnia rozwódka, niczym czekająca na swatów osiemnastoletnia panna, z wdziękiem podała nam na tacy kawę.

— Nesibe, moja droga, Fiisun jest do ciebie niesamowicie podobna — zauważyła matka. — Skóra zdarta... Tak samo śliczna z niej dziewczyna, tak samo mądrze się uśmiecha!

— Och, nie, ona jest inteligentniejsza ode mnie! — odpowiedziała ciocia.

— Mój biedny Miimtaż też zawsze powtarzał, że Osman i Kemal są bystrzejsi od niego, ale bo ja wiem, może miał rację. Młode pokolenie jakby więcej wie niż my.

— Dziewczęta na pewno są mądrzejsze — powiedziała ciocia. — Wiesz, Vecihe, czego najbardziej żałuję w życiu? — Tym razem nie zwróciła się do matki per „kuzynko”, lecz po

imieniu, i powiedziała, że bardzo chciała kiedyś sprzedawać to, co uszyła, pod własnym nazwiskiem i otworzyć sklep, ale brakowało jej odwagi. — Te niby-krawcowe, które nawet nie umiały trzymać nożyczek ani fastrygować, prowadzą teraz domy mody — żaliła się.

Podeszliśmy wszyscy do okna i obserwowaliśmy wodę spływającą ulicą w dół wzgórza.

— Tarik, mój zmarły mąż, bardzo lubił Kemala — powiedziała ciocia, gdy siadaliśmy do stołu. — Co wieczór powtarzał: „Poczekajmy jeszcze chwilę, może Kemal przyjdzie”.

Wyczułem, że te słowa nie spodobały się matce.

— Kemal wie, czego chce — oświadczyła.

— Fiisun też — powiedziała ciocia.

— Oboje podjęli decyzję.

To było wszystko, co zostało powiedziane w związku z prośbą o rękę.

Ja, ciocia i Fiisun nalaliśmy sobie po szklaneczce *raki*. Matka rzadko piła alkohol, ale w końcu i ona postanowiła się napić; po dwóch łyczkach, jak mawiał ojciec, od samego zapachu nabrała humoru i przypomniała sobie, jak kiedyś z Nesibe przez całą noc, do rana, szyły dla niej wieczorową suknię. Obu ten temat przypadł do gustu i zaczęły wspominać dawne wesela i kreacje.

— Plisowana suknia Vecihe stała się tak sławna, że inne panie z NiŞantaşi chciały, abym im też takie uszyła, sprowadziły nawet z Paryża taki sam materiał, ale ja się nie zgodziłam — oświadczyła ciocia.

Fiisun wstała i podeszła do klatki Cytrynki, a ja poszedłem w jej ślady.

— Na miłość boską, nie zajmujcie się ptakiem w trakcie posiłku — zawołała od stołu moja matka. — Nie martwcie się, jeszcze będziecie mieć dla siebie wiele czasu... Chwileczkę, jak



to tak, nie pozwolę, byście siadali do jedzenia, nie umywszy przedtem rąk!

Ruszyłem do łazienki na górę. Fiisun mogła umyć ręce w kuchni, ale poszła za mną. Na szczycie schodów chwyciłem ją za ręce, spojrzałem jej prosto w oczy i namiętnie pocałowałem ją w usta. Był to trwający dziesięć, dwanaście sekund, głęboki, dojrzały pocałunek. Dziewięć lat wcześniej całowaliśmy się jak dzieci. Teraz były w nim ciężar minionych lat, siła, uczucie — nic dziecinnego. Fiisun pierwsza zbiegła na dół.

W poważnym już nastroju, uważając na każde wypowiedziane słowo, skończyliśmy kolację i gdy tylko przestało padać, pożegnaliśmy się i wyszliśmy.

— Mamusiu, zapomniałeś poprosić o rękę Fiisun — zauważyłem w samochodzie w drodze powrotnej.

— Jak często u nich bywałeś? — spytała. Gdy nie odpowiedziałem, szybko rzuciła: — Wszystko jedno... To, co Nesibe powiedziała, dotknęło mnie. Było mi przykro, że przez tyle lat tak niewiele razy jadłeś ze mną, swoją matką, kolację — pogłodziła mnie po rękę — ale nie martw się, synku, nie poczułam się urażona. Tyle tylko, że nie byłam w stanie prosić o jej rękę, jakby chodziło o dziewczynę tuż po maturze. To dorosła kobieta, była mężatką, teraz jest rozwódką. Jest sprytna, wie, co robi. Wy dwoje omówiliście już wszystko między sobą, podjęliście decyzję. Nie ma co udawać, odgrywać przedstawienia. Moim zdaniem urządzenie zaręczyn jest bez sensu... Lepiej pobierzcie się szybko i bez rozgłosu. Darujcie sobie też podróż do Europy, wszystko możecie przecież kupić tu, na miejscu, po co jechać aż do Paryża...?

Spostrzegłszy, że nadal się nie odzywam, przestała mówić na ten temat.

W domu, zanim poszła do siebie, powiedziała tylko: — Masz rację. To ładna, mądra dziewczyna. Będzie dobrą żoną.

Ale uważaj, zdaje się, że wiele przeszła. Oczywiście nie wiem tego na pewno, ale boję się, że tkwiący w niej gniew, nienawiść czy co tam innego może zatruć wam życie.

— Nie zatruje!

Wbrew obawom matki powoli stawaliśmy się sobie z Fiisun coraz bliżsi, związani uczuciem, które łączyło nas z życiem, Stambułem, jego ulicami, ludźmi, wszystkim. Gdy w kinie trzymałem Fiisun za rękę, czułem niekiedy, że lekko drży. Czasami kładła mi nawet głowę na ramieniu. Sadowiłem się głębiej w fotelu, by mogła się wygodniej na mnie oprzeć, i obiema dłońmi chwytałem jej dłoń, albo niepostrzeżenie gładziłem jej nogę. Nie sprzeciwiała się już, jak w pierwszych tygodniach, byśmy siedzieli w łoży. Trzymając jej dłoń w swojej, mogłem, jak lekarz badający puls pacjenta, rozpoznać najrozmaitsze uczucia, jakie w Fiisun budził film, a oglądanie go z tym jej emocjonalnym komentarzem sprawiało mi ogromną przyjemność.

Podczas przerw rozmawialiśmy o przygotowaniach do podróży do Europy, o tym, że dobrze by było powoli zacząć się pokazywać razem wśród ludzi, ale unikałem tematu zaręczyn, nie wspominałem też o tym, co powiedziała matka. Czułem bowiem, że Fiisun sama powoli zaczyna dochodzić do przekonania, iż zaręczyny nie wyjdą tak, jak by sobie tego życzyła, dostarczą tylko pożywki dla plotek, wzbudzą niepokój w rodzinie; jeśli zaprosimy wielu gości, będą narzekać, że był tłok, jeśli nie zaprosimy, skrytykują, że zaręczyliśmy się cichaczem. Wydaje mi się, że z tego względu ona też wołała nie poruszać tego tematu. W ten sposób, niemal o tym nie rozmawiając, postanowiliśmy w ogóle się nie zaręczać, lecz wziąć ślub od razu po powrocie z Europy. Lubiliśmy snuć plany podróży, siedząc naprzeciwko siebie i paląc papierosy w cukierniach, do których zaczęliśmy zachodzić po wyjściu z kina. Fiisun kupiła napisany specjalnie dla Turków przewodnik *Samochodem po*

*Europie* i nie rozstawała się z nim nawet w kinie. Kartkowaliśmy go stale, planując trasę. Zamierzaliśmy przenocować w Edirne, po czym ruszyć przez Jugosławię i Austrię. Fiisun proponowała, byśmy pojechali też do Wiednia. Lubiła oglądać zamieszczone w przewodnikach zdjęcia Paryża i czasami, patrząc na widoki europejskich miast, z dziwnym smutkiem pogrążała się w marzeniach.

— Co się stało, kochanie, o czym tak rozmyślasz? — pytałem.

— Nie wiem — odpowiadała.

Ciocia Nesibe, Fiisun i *Cetin* mieli po raz pierwszy w życiu wyjechać za granicę i potrzebowali paszportów. Aby oszczędzić im tortury załatwiania formalności w urzędach i stania w kolejkach, poprosiłem o pomoc komisarza Selamiego, który zajmował się tego typu sprawami dla Satsat. (Uważni czytelnicy pamiętają zapewne, że osiem lat wcześniej zleciłem temu emerytowanemu policjantowi odszukanie Fiisun i jej rodziny). Przy tej okazji uświadomiłem sobie, że przez dziewięć lat nie wyjeżdżałem za granicę, nie czułem nawet takiej potrzeby. A przecież wcześniej, jeśli raz na trzy, cztery miesiące pod byle pretekstem nie wyskoczyłem do Europy, czułem się nie-szczęśliwy.

I tak pewnego upalnego letniego dnia wybraliśmy się do biura paszportowego, by podpisać dokumenty niezbędne do wydania paszportów. Zabytkowy budynek w Babiali, niegdyś siedziba wielkich wezyrów i paszów, który nieraz był świadkiem zamachów, morderstw politycznych i dramatycznych wydarzeń opisywanych w podręcznikach do historii, mieścił obecnie urząd gubernatora Stambułu i jak wiele budowli pozostałych po czasach osmańskich w okresie Republiki stracił swój przepych i złocenia, a na jego korytarzach i schodach kłębiły się tłumy mających wszystkiego dość petentów, czekających na dokumenty, pieczęcie i podpisy, wdających się

w kłótnie i pokrzykujących na siebie nawzajem. Dokumenty, które trzymaliśmy w rękach, od razu pomarszczyły się pod wpływem gorąca i potu.

Pod wieczór zostaliśmy odesłani do Sirkeci po jeszcze jeden brakujący papier. Gdy schodziliśmy w dół, ku Żłotemu Rogowi, nieco powyżej dawnej kawiarni Meserret, Fiisun, nie mówiąc nikomu ani słowa, ni stąd, ni zowąd weszła do niewielkiej herbaciarni i usiadła przy stoliku.

— A jej co znowu się stało? — spytała ciocia.

Wszedłem do środka, Cetin i ciocia zostali na zewnątrz.

— Co się stało, najdroższa, zmęczyłaś się? — spytałem.

— Zmieniłam zdanie, nie chcę jechać do Europy — zapaliła papierosa i zaciągnęła się głęboko. — Wy idźcie, załatwcie sobie paszporty, ja nie mam już siły.

— Ależ, kochanie, tak niewiele brakuje, zaciśnij zęby i dalej!

Z początku opierała się, ale w końcu dała się przekonać i choć niechętnie, poszła z nami. Podobny kryzys miała w konsulacie austriackim, dokąd udaliśmy się po wizy. Aby oszczędzić im stania w kolejce i poniżających pytań podczas rozmowy z konsulem, kazałem wystawić zaświadczenia, że zarówno Cetin, jak obie panie są pobierającymi odpowiednio wysokie uposażenie specjalistami zatrudnionymi w Satsat. Wizy wydano wszystkim, z wyjątkiem Fiisun, której młody wiek wzbudził wątpliwości, i dlatego wezwano ją na rozmowę. Poszedłem razem z nią.

Ponieważ sześć miesięcy wcześniej czterema kulami w głowę zabito urzędnika konsulatu szwajcarskiego, znanego z niemilego zachowania i notorycznego odrzucania podań o wizę, w działach wizowych stambulskich konsulatów zastosowano szczególnie środki ostrożności. Chętni do wyjazdu nie spotykali się już z urzędnikami zagranicznych placówek twarzą w twarz, lecz jak na amerykańskich filmach, oddzieleni kuloodporną

szyba, porozumiewali się z nimi za pomocą telefonu. Przed wejściami do konsulatów kłębiły się tłumy ludzi rozpychających się łokciami, byle tylko znaleźć się za bramą. Tureccy pracownicy tych placówek (zwłaszcza o tych z konsulatu niemieckiego mówiono, że „w dwa dni stali się bardziej niemieccy niż sami Niemcy”) krzyczeli na tych, którzy nie ustawiali się w kolejce, popychali ich i dokonywali wstępnej selekcji — oceniwszy ubiór, mówili po prostu: „Nie masz tu czego szukać!”. Szczęśliwcy, którym udało się umówić na rozmowę z konsulem, czekali między kuloodpornymi szybami, cisi i pokorni jak owieczki, trzęsąc się ze strachu jak uczniowie przed trudnym egzaminem.

Dzięki protekcji Fiisun nie musiała czekać w kolejce i z uśmiechem udała się na rozmowę, lecz już po chwili wyszła pąsowa na twarzy i nie spojrzawszy na mnie, ruszyła prosto do wyjścia. Dogoniłem ją na zewnątrz, gdy nieco zwolniła kroku, by zapalić papierosa. Spytałem, co się stało, lecz nie odpowiedziała. Weszliśmy do baru kanapkowego Vatan.

— Nie chcę jechać do Europy, rezygnuję — oznajmiła, gdy usiedliśmy przy stoliku.

— Co się stało? Nie dostałaś wizy?

— Wypytał mnie o całe życie. Dlaczego się rozwiodłam, z czego się utrzymuję, skoro jestem samotna i nigdzie nie pracuję, nawet o to pytał. Nie jadę do Europy. Nie chcę żadnej wizy.

— Załatwię to w inny sposób. Albo popłyniemy statkiem do Włoch.

— Kemal, posłuchaj, naprawdę zrezygnowałam z podróży do Europy. Nie znam żadnego języka, będę się tylko wstydzić.

— Kochanie, będziemy zwiedzać razem... Jest tyle ciekawych miejsc, ludzie wiodą tam szczęśliwsze życie niż tu. Będziemy trzymać się za ręce i chodzić ulicami miast. Świat nie kończy się na Turcji.

— Ach, tak, muszę zobaczyć Europę, by stać się ciebie godną! Ale ja nie chcę też już wychodzić za ciebie za męża!

— Będziemy bardzo szczęśliwi w Paryżu, Fiisun!

— Wiesz, jaka potrafię być uparta, Kemal. Nie nalegaj, bo jeszcze bardziej się uprę.

Mimo wszystko nalegałem i ilekroć po latach zaczynałem żałować, że to robiłem, przypominało mi się, iż często wyobrażałem sobie, jak podczas podróży uprawiam z Fiisun ukradkiem seks w hotelowym pokoju. Dzięki wstawiennictwu Selima Snoba, który importował z Austrii papier, w ciągu tygodnia udało się załatwić dla niej wizę. W tym samym czasie dopełniliśmy formalności związanych z wyrobieniem „tryptyku” dla samochodu. Gdy w loży kina Saray wręczałem Fiisun paszport, którego strony ubarwione były stemplami wiz krajów, przez które mieliśmy przejeżdżać, poczułem dziwną dumę, jakby dumę z bycia jej mężem. Gdy przed laty w różnych miejscach w Stambule widywałem jej sobowtóry, jednego z nich dostrzegłem właśnie tu, w kinie Saray. Fiisun najpierw się roześmiała, a potem ze zmarszczonymi brwiami zaczęła przeglądać wize w paszporcie.

Za pośrednictwem biura podróży zarezerwowałem w paryskim Hotel du Nord trzy duże pokoje: dla mnie, dla Cetina oraz dla Fiisun i jej matki. Kiedyś, gdy jeździłem do Paryża, by zobaczyć się z Sibel, która studiowała tam „na Sorbonie”, to znaczy w jednej ze szkół wyższych, zatrzymywałem się w innych hotelach, ale teraz, jak student, który marzy o miejscach, dokąd pojedzie, gdy będzie bogaty, wyobrażałem sobie szczęśliwe chwile spędzane w tym starym hotelu, jakby wyjętym z dawnych filmów.

— To zupełnie bez sensu, najpierw się pobierzcie, a potem sobie jedźcie — powtarzała matka. — Rozumiem, gdyby to miała być romantyczna podróż z dziewczyną, którą kochasz,

ale z Nesibe i Cetinem? Po co ci oni? Pobierzcie się i na miesiąc miodowy polećcie samolotem do Paryża. Porozmawiam z Białym Goździkiem, niech zrobi z tego romantyczną historię, taką, jakie ludzie lubią czytać, a po dwóch dniach nikt o niczym nie będzie już pamiętał. Zresztą, świat się zmienia. Wszędzie pełno nuworyszy z prowincji. A poza tym, jak ja sobie dam radę bez Cetina? Kto mnie będzie woził?

— Ależ, mamó, przez całe lato zaledwie dwa razy wytknęłaś nos poza dom i ogród w Suadiye. Nie martw się, wrócimy przed końcem września. Na początku października, obiecuję, Cetin przywiezie cię z powrotem do domu w Nişantaşı. Ciocia Nesibe wybierze dla ciebie sukienkę na ślub...

## 77. HOTEL GRAND SEMIRAMIS

Dwudziestego siódmego sierpnia 1984 roku, kwadrans po dwunastej, samochodem prowadzonym przez Çetina podjechałem pod dom w Çukurcumie, skąd wszyscy razem mieliśmy wyruszyć w podróż po Europie. Od spotkania z Fiisun w butikiu Champs Élysées upłynęło dokładnie dziewięć lat i cztery miesiące, ale nie zastanawiałem się ani nad owym zdarzeniem, ani nad tym, jak przez ten czas zmieniło się moje życie i ja sam. Z powodu łez i nie kończących się rad matki oraz korków na ulicach nieco się spóźniliśmy. Chciałem jak najszybciej wyruszyć w drogę i pozostawić za sobą ten etap życia. Gdy w końcu Çetin zaczął pakować walizki Fiisun i cioci do bagażnika, poczułem zażenowanie wobec otaczających samochód dzieciaków z sąsiedztwa i mieszkańców dzielnicy, na których zaciekawione spojrzenia odpowiadałem uśmiechem, a jednocześnie rodzaj dumy, choć nawet przed samym sobą się do tego nie przyznawałem. Gdy jechaliśmy w stronę Tophane, dostrzegliśmy wracającego z meczu Alego, Fiisun pomachała mu ręką. Pomyślałem, że wkrótce będziemy mieli podobnego do niego syna.



Na moście Galata otworzyliśmy okna i z przyjemnością zaczerpnęliśmy powietrza przesyconego wonią Stambułu, mieszaną zapachów wodorostów, morza, gołębich odchodów, spalin i kwitnących lip. Fiisun i ciocia zajmowały miejsca z tyłu, a ja, tak jak to sobie już od dawna wyobrażałem, siedziałem obok Cetina, i gdy samochód, podskakując na wybojach, przejeżdżał przez Aksaray, mijał Mury Teodozjusza i przedmieścia, odwrócony, z ręką na oparciu fotela, patrzyłem uszczęśliwiony na moją ukochaną.

Za miastem, wśród warsztatów, magazynów, moteli, nowo wybudowanych dzielnic, mój wzrok przyciągnęła fabryka tekstylna, której właściciela, pana Turgaya, odwiedziłem dziewięć lat temu, teraz jednak nie byłem w stanie przywołać odczuwanej wtedy zazdrości. Gdy tylko opuściliśmy Stambuł, wszystkie męki, które przez tyle lat znosiłem w imię uczucia do Fiisun, stały się wdzięczną historią miłosną, dającą się streścić w paru słowach. Opowieści mające szczęśliwe zakończenie nie zasługują bowiem na więcej niż kilka zdań! Być może dlatego im bardziej oddalaliśmy się od miasta, tym w aucie robiło się ciszej. Wesoła i ożywiona przez pierwsze minuty podróży ciocia Nesibe, zasypująca nas pytaniami w rodzaju: „A czy przypadkiem nie zapomnieliśmy tego lub tamtego?”, i z zapałem komentująca wszystko, co widziała za oknem, nawet pasące się na pustej parceli stare konie, wychudzone tak, że zostały z nich tylko skóra i kości, zasnęła, nim zdążyliśmy dojechać do mostu w Buyiikcekmece.

Zaraz za Catalcą zatrzymaliśmy się na stacji benzynowej i gdy Cetin tankował benzynę, ciocia i Fiisun wysiadły. Od przydrożnej handlarki kupiły ser i usiadłszy w ogródku pobliskiej herbaciarni, z apetytem zjadły go z obwarzankiem, popijając herbatą. Pomyślałem, że jak tak dalej pójdzie, podróż do Europy zajmie nam całe miesiące, ale usiadłem z nimi. Czy

miałem coś przeciwko temu? Skądże! Siedziałem naprzeciwko Fiisun i w milczeniu patrzyłem na nią, czując w piersiach i brzuchu leciutki ucisk, jak wtedy gdy jako nastolatek spotykałem na prywatce czy na wakacjach ładną dziewczynę. To nie był tamten głęboki, niszczący ból, raczej przyjemne, niecierpliwe mrowienie.

O siódmej czterdzieści słońce schowało się za polami słoneczników. Gdy Cetin włączył reflektory, ciocia Nesibe zawołała: — Dzieci, na litość boską, nie jedźmy po zmroku!

Na dwupasmowej drodze nadjeżdżające z naprzeciwka ciężarówki oślepiały nas długimi światłami. Za Babaeski dostrzegłem mrugający fioletowy neon hotelu Grand Semiramis i uznałem, że może to być właściwe miejsce na nocleg. Kazałem Cetinowi zwołać i gdy samochód, zjechawszy z szosy przed stacją benzynową Tiirk Petrol, zatrzymał się przed trzypiętrowym budynkiem, moje serce najwyraźniej uznało, że tu ziści się to, o czym marzyłem od ośmiu lat, bo zaczęło bić jak oszalałe.

W hotelu, którego wygląd nijak się miał do pompatycznej nazwy, poprosiliśmy recepcjonistę, podoficera w stanie spoczynku (ubrany w mundur, z bronią u boku, uśmiechał się pogodnie ze zdjęcia wiszącego na ścianie), o jeden dwuosobowy pokój dla Fiisun i cioci oraz o dwie jedyne dla mnie i Cetina. Wyciągnąłem się na łóżku i patrzyłem w sufit — przeczuwałem, że podczas tej długiej podróży nocie spędzane w samotności, podczas gdy w pokoju obok śpi Fiisun, mogą się okazać bardziej nieznośne niż dziewięć lat oczekiwania.

Gdy zeszliśmy na dół, do niewielkiej hotelowej restauracji, spostrzegłem, że Fiisun idealnie dopasowała się do niespodzianki, którą dla niej przygotowałem. Starannie umalowana, roztaczająca woń perfum Le Soleil Noir, które kupiłem jej kilka lat wcześniej (i których flakon eksponuję w tym miejscu),

ubrana w intensywnie czerwoną sukienkę, dokładnie w tym samym odcieniu, co szminka na jej wargach, wydawała się schodzić na kolację do udekorowanego aksamitnymi kotarami salonu eleganckiego pensjonatu w dziewiętnastowiecznym nadmorskim kurorcie na południu Europy. Efektowny ubiór podkreślał czerń jej lśniących włosów. Siedzące przy bocznych stolikach rodziny wracających z Niemiec gasterbeiterów, zaciekawione dzieci i podnieceni ojcowie co chwila odwracali się, by na nią popatrzeć.

— Ślicznie dziś wyglądasz, tak ładnie ci w czerwonym — zachwyciła się ciocia. — W Paryżu na ulicy ten kolor będzie jeszcze lepiej się prezentował. Ale podczas podróży nie ubieraj się tak co wieczór.

Zerknęła na mnie, szukając potwierdzenia, ale nie odezwałem się ani słowem. Nie tylko dlatego że chciałem, by Fiisun co wieczór nosiła tę sukienkę, która czyniła ją jeszcze piękniejszą... Byłem spięty jak młody kochanek, który domyśla się, że szczęście jest tuż-tuż, lecz zdobycie go może okazać się trudne, dlatego nie byłem w stanie nawet otworzyć ust. Wyczuwałem, że siedząca naprzeciwko mnie Fiisun przeżywa to samo. Unikała mojego spojrzenia, paliła papierosa, wydychując dym na bok, skrępowana jak licealistka, która dopiero co zaczęła palić.

Otworzyliśmy karty z zatwierdzonym przez urząd miasta skromnym hotelowym menu i przy stoliku zapadła długa, dziwna cisza, jakbyśmy przeglądali nie jadłospis, lecz to, co wydarzyło się w ciągu minionych dziewięciu lat.

Po dłuższej chwili pojawił się kelner i zamówiłem dużą butelkę *raki*.

— *Cetinie*, napij się dziś wieczorem ze mną, stukniemy się kieliszkami — zaproponowałem. — Nie musisz przecież nigdzie mnie odwozić.

— Tyle się już pan na niego naczekał — wtrąciła ciocia z serdecznością i podziwem. — Cierpliwością i pokorą wobec losu można zdobyć każdą twierdzę, podbić każde serce, czyż nie? — dodała, rzucając mi szybkie spojrzenie.

Gdy butelka pojawiła się na stole, nalałem Fiisun, tak samo zresztą jak pozostałym, sporą porcję anyżówki, spoglądając przy tym w oczy mojej ukochanej. Lubiłem obserwować, jak w momentach zdenerwowania, napięcia wpatruje się w koniec zapalonego papierosa. Wszyscy, nie wyłączając cioci, piliśmy *raki* ochoczo, jakby to był jakiś eliksir. Po chwili poczułem, że napięcie ustępuje.

Świat był przecież piękny, a ja czułem się tak, jakbym dopiero teraz to dostrzegał! Wiedziałem już, że do końca życia będę pieścił delikatne ciało Fiisun, jej smukłe ramiona i piękne piersi, będę przez długie lata wtulał głowę w zgięcie jej szyi i zasypiał, wdychając jej zapach.

Tak jak w dzieciństwie, gdy specjalnie starałem się zapomnieć o tym, co mnie cieszyło, by móc to odkryć na nowo, spojrziałem teraz innym wzrokiem na świat dookoła i wszystko wydało mi się piękne. Na ścianie wisiała fotografia eleganckiego Atatiirka we fraku, obok niej widniał szwajcarski landszafcik, dalej obrazek przedstawiający most nad Bosforem oraz pamiątka sprzed dziewięciu lat: Inge we wdzięcznej pozycji, pijąca oranżadę Zefir. Dostrzegłem też zegar, wskazujący godzinę dwadzieścia po dziesiątej, i tabliczkę z napisem: „Od par wymaga się okazania dowodów tożsamości”<sup>\*</sup>.

— Dziś są w programie *Wichrowe Wzgórza* — oznajmiła ciocia Nesibe. — Poprośmy, by nastavili telewizor.

— Jeszcze czas, mamó — powiedziała Fiisun.

<sup>\*</sup> W hotelach w Turcji nie wynajmowano pokoi parom nie będącym małżeństwem.

Do jadalni weszła para w wieku około trzydziestu lat. Wszyscy spojrzeliśmy na przybyszów, a oni przywitani nas uprzejmym „dobry wieczór”. Byli to Francuzi. W tamtych latach w Turcji nie widywało się jeszcze zbyt wielu turystów, a jeśli jacyś się pojawiali, na ogół przyjeżdżali samochodami.

Gdy film miał się zacząć, właściciel hotelu, jego żona w chustce i dwie córki bez chustek — widziałem jedną z nich, jak pracowała w kuchni — zasiedli przed telewizorem i odwróceni plecami do gości, zaczęli w milczeniu oglądać serial.

— Kemalu, stamtąd niewiele będziesz widział — zatroszczyła się ciocia. — Usiądź obok nas.

Wcisnąłem się z krzesłem między ciocię a Fiisun, by obejrzeć *Wichrowe Wzgórze*, których akcja toczyła się na wzgórzach Stambułu. Przyznam jednak, że niewiele rozumiałem z tego, co działo się na ekranie. Nagie ramię Fiisun mocno przywarło do mojego! Miejsce, gdzie nasze ciała się stykały — lewa ręka powyżej łokcia — paliło mnie niczym trawione ogniem. Wzrok miałem wbity w telewizor, ale moja dusza jakby weszła w duszę Fiisun. Moje wewnętrzne oczy patrzyły na jej szyję, kształtne piersi o sutkach jak poziomki, biały brzuch. A Fiisun przyciskała coraz mocniej swoje ramię do mojego. Nie zainteresowałem się ani popielniczką z napisem „Batany — olej słonecznikowy”, w której zgasła papierosa, ani niedopałkami ze śladami czerwonej szminki na ustnikach.

Gdy film się skończył, zgaszono telewizor. Starsza córka właściciela hotelu włączyła radio i wyszukała stację nadającą lekką, przyjemną muzykę, która podobała się Francuzom. Gdy próbowałem przestawić krzesło na dawne miejsce, o mało nie upadłem. Za dużo wypięłem. Fiisun, jak dyskretnie obliczyłem, wypija trzy szklaneczki.

— Zapomnieliśmy stuknąć się kieliszkami — odezwał się Cetin.

— Zróbmy to teraz — zaproponowałem. — Nadeszła właśnie pora na małą uroczystość. *Cetinie*, włożysz nam na palce zaręczynowe obrączki.

Uroczyście wyjąłem i otworzyłem pudełeczko z obrączkami, które kupiłem tydzień wcześniej na Krytym Bazarze.

— Bardzo słusznie, panie Kemalu — odrzekł *Cetin*, błyskawicznie przystosowując się do sytuacji. — Bez zaręczyn nie ma ślubu. Proszę podać swoje dłonie.

*Fiisun* z uśmiechem, ale w widoczny sposób przejęta, nadstawiła palec.

— Teraz nie ma już odwrotu — oświadczył *Cetin*. — Jestem przekonany, że będziecie bardzo szczęśliwi... Panie Kemalu, to nie ta ręka, proszę podać drugą.

Sprawnie wsunął obrączki na nasze palce. Usłyszeliśmy oklaski. To Francuzi przy stoliku obok, którzy nas obserwowali i do których dołączyło kilku innych zaspanych gości, bili nam brawo. *Fiisun* uśmiechała się miło, jak klientka u jubilera oglądała obrączkę na palcu.

— Pasuje, najdroższa?

— Pasuje — odpowiedziała, nie starając się ukryć zadowolenia.

— Ładnie wygląda na twojej ręce.

— Tak.

— *Dancez, dancez!* — zawołali Francuzi.

— No, dalej! — zachęcała ciocia.

Płynąca z radia łagodna muzyka była idealna do tańca. Czy zdołałbym jednak utrzymać się na nogach?

Oboje jednocześnie podnieśliśmy się z krzeseł. Objąłem *Fiisun* w pól i przytuliłem. Pięknie pachniała, pod palcami czułem jej talię, biodra, plecy.

Była bardziej trzeźwa niż ja. Taniec potraktowała serio, bo też objęła mnie z czułością. Chciałem jej szepnąć na ucho, jak bardzo ją kocham, ale na moment zabrakło mi tchu.

Oboje byliśmy pijani, nie na tyle jednak, by stracić nad sobą kontrolę. Po chwili wróciliśmy na swoje miejsca. Francuzi znowu nas oklaskiwali.

— Pójdę się położyć — powiedział Çetin. — Rano zajmę się silnikiem. Wyruszamy wcześniej, prawda?

Gdyby Çetin nie zerwał się tak od razu, ciocia Nesibe posiedziałyby zapewne dłużej.

— Daj mi kluczyki do samochodu — poprosiłem Çetina.

— Panie Kemal, wszyscy sporo wypiliśmy dziś wieczorem, niech pan więc nie próbuje siadać za kierownicą.

— Zostawiłem teczkę w aucie, muszę wziąć z niej książkę.

Momentalnie się opanował i z nieco przesadnym ukłonem, jakim niegdyś okazywał szacunek mojemu ojcu, podał mi kluczyki.

— Mamo, a ty jak zostawisz mi klucz do pokoju? — spytała Fiisun.

— Nie zamknę drzwi — odpowiedziała ciocia. — Będziesz mogła po prostu wejść.

— Lepiej pójdę z tobą i zabiorę klucz.

— Nie spiesz się. Zostawię klucz w drzwiach od środka — oznajmiła ciocia. — Będzie w zamku, ale go nie przekręcę. W każdej chwili będziesz mogła wejść.

Gdy ciocia i Çetin poszli, poczuliśmy się swobodniej, a jednocześnie jeszcze bardziej skrępowani. Fiisun unikała mojego wzroku jak panna młoda, która po raz pierwszy została sam na sam z mężem pisany jej na całe życie. Czułem, że kryje się za tym coś innego niż wstydlivość. Miałem ochotę dotknąć narzeczonej. Pochyliłem się, by podać jej ogień.

— Zamierzasz pójść na górę i czytać? — spytała. Sprawiała wrażenie, jakby szykowała się do wyjścia.

— Nie, kochanie, pomyślałem, że może wybierzemy się na przejażdżkę.

— Za dużo wypiliśmy, Kemal. Nie da rady.

- Przejedźmy się kawałeczek.
- Lepiej idź już spać.
- Boisz się, że spowoduję wypadek?
- Nie boję się.
- W takim razie weźmiemy samochód, pojedziemy bocznymi drogami i zgubimy się gdzieś wśród wzgórz i lasów.
- Daj spokój, idź na górę i połóż się. Ja idę.
- W wieczór naszych zaręczyn zostawiasz mnie samego i idziesz sobie?
- Dobrze, zostanę. Całkiem przyjemnie się tu siedzi.

Francuzi przy stoliku obok patrzyli na nas. Przesiedzieliśmy chyba z pół godziny, nie odzywając się do siebie ani słowem. Od czasu do czasu spoglądaliśmy na siebie niewidzącym wzrokiem. W mojej głowie przesuwały się jak na filmie różne dziwnie zmontowane ze sobą obrazy, których znaczenia nie potrafiłem pojąć, moje obawy, pragnienia, wspomnienia. Potem pojawiła się wielka czarna mucha, żwawo maszerująca po blacie stołu między szklankami. Na ekranie zjawiały się i znikwały moja dłoń i dłoń Fiisun z papierosem, szklanki, Francuzi. W tym zamroczeniu alkoholem i miłością jakaś część mojego umysłu odnajdywała logikę w ciągu filmowych kadrów i nabrałem przekonania, że cały świat powinien koniecznie się dowiedzieć, że między mną a Fiisun panuje wyłącznie miłość i szczęście. Ten problem musiałem rozwiązać tak szybko, jak szybko mucha poruszała się między talerzami. Uśmiechnąłem się do Francuzów, by pokazać im, że jesteśmy szczęśliwi, a oni tak samo uśmiechnęli się do nas.

- Uśmiechnij się do nich.
- No dobrze, już się uśmiechnęłam — odwarknęła Fiisun.
- Co mam jeszcze zrobić, zatańczyć taniec brzucha?

Zapomniałem, że ona też była pijana, brałem na poważnie wszystko, co mówiła, i czułem się urażony jej słowami. Ale



i tak nic nie było w stanie zmaćcić mojego szczęścia. Wszedłem w stan, w którym człowiek zaczyna odczuwać jedność z otaczającym go światem. Ideę tę podsunął mi film z muchą i wspomnieniami, wyświetlony w mojej głowie. Wszystko to, co przez lata czułem wobec Fiisun, wszystkie cierpienia, jakie dla niej znosiłem, połączyło się w moim umyśle ze złożonością i pięknem świata, a owo poczucie jedności i dopełnienia wydawało mi się czymś nadzwyczaj pięknym i napawało mnie głębokim spokojem. Nagle w mej głowie pojawiła się natrętna myśl: jak mucha potrafi tak szybko chodzić i nogi się jej ani razu nie zapłaczą? W końcu mucha znikła.

Moja dłoń dotykała leżącej na stole dłoni Fiisun, czułem, jak wypełniający mnie spokój i zachwyt dla piękna świata przepływa do mej narzeczonej i z powrotem do mnie. Jej piękna lewa dłoń leżała pod moją jak wyczerpane zwierzę, moja prawa ręka dopadła ją od tyłu, brutalnie przysiadła na niej, przydusiła. Świat wirował mi w głowie, w naszych głowach.

— Zatańczymy? — spytałem.

— Nie...

— Dlaczego?

— Nie mam teraz ochoty! — odpowiedziała Fiisun. — Wystarczy, że tak siedzimy.

Zrozumiałem, że ma na myśli nasze dłonie, i uśmiechnąłem się. Czas jakby się zatrzymał, wydawało mi się, że trzymając się za ręce, siedzimy tak od wielu godzin, a jednocześnie miałem wrażenie, że dopiero co przyszliśmy. W pewnym momencie nie wiedziałem, co my tam w ogóle robimy. Po chwili zauważyłem, że w jadalni nie ma już nikogo prócz nas.

— Francuzi sobie poszli.

— To nie byli Francuzi — stwierdziła Fiisun.

— Skąd wiesz?

— Ich samochód miał ateńskie tablice rejestracyjne.

- Gdzie widziałas ich samochód?
- Zamykają restaurację, chodźmy już.
- Przecież my tu jeszcze siedzimy!
- Masz rację — odpowiedziała z przekąsem.  
Siedzieliśmy więc dalej.

Prawą ręką wyjęła z paczki papierosa, zapaliła go zwinnym ruchem i uśmiechając się do mnie, paliła powoli. Wydawało mi się, że trwa to całe godziny. W mej głowie zaczął się wyświetlać nowy film, ale Fiisun wysunęła swą dłoń z mojej i wstała. Poszedłem za nią. Patrząc na jej czerwoną sukienkę, stapałem ostrożnie po schodach i ani razu się nie zatoczywszy, dotarłem na górę.

- Twój pokój jest po tamtej stronie — powiedziała Fiisun.
- Najpierw odprowadzę cię do twojego.
- Nie, idź do siebie — szepnęła.
- Przykro mi, że nie masz do mnie zaufania. Jak w takim razie spędzisz ze mną resztę życia?
- Nie wiem. Idź do swojego pokoju.
- To był piękny wieczór — oświadczyłem. — Jestem bardzo szczęśliwy. Wierz mi, odtąd zawsze będziemy tak szczęśliwi.

Zauważyła, że przysuwam się, by ją pocałować, i uprzedziła mój zamiar, pierwsza obejmując mnie za szyję. Pocałowałem ją z całej siły, niemal zmuszając do pocałunku. Zaczęliśmy się całować. W którymś momencie otworzyłem oczy i ujrzałem wiszący w korytarzu portret Atatiirka. Pamiętam, że między pocałunkami błagałem Fiisun, by poszła ze mną do mojego pokoju.

Nagle usłyszeliśmy ostrzegawcze chrząknięcia, zachrobotał klucz w zamku.

Fiisun wysunęła się z moich objęć i zniknęła za zakrętem korytarza.

Popatrzyłem za nią zawiedziony. Wszedłem do swego pokoju i w ubraniu położyłem się na łóżku.

## 78. LETNI DESZCZ

W pokoju panował półmrok. Rozjaśniały go światła pobliskiej stacji benzynowej i latarnie przy drodze do Edirne. Czy gdzieś tu jest las? Dostrzegłem słaby rozbłysk odległej błyskawicy. Moje zmysły były wyostrzone.

Upłynęło sporo czasu. Potem ktoś zapukał do drzwi, wstałem, by otworzyć.

— Mama zamknęła drzwi od środka — usłyszałem głos Fiisun.

Próbowała dostrzec mnie w ciemności. Chwyciłem ją za rękę i wciągnąłem do pokoju. Położyliśmy się na łóżku. Przytuliła się do mnie jak mały kotek szukający schronienia. Głowę wsunęła mi w zagłębienie między piersią a szyją. Przyciągała mnie do siebie, jakby sądziła, że im mocniej do siebie przywrzemy, tym bardziej będziemy szczęśliwi, cała drżała. Wydało mi się, jak to bywa w bajkach, że jeśli jej natychmiast nie pocałuję, oboje umrzemy. Więc się całowaliśmy, pamiętam, jak pospiesznie wyplątywałem ją z kompletnie już pomiętej czerwonej sukienki, znów długo i namiętnie się całowaliśmy,

łóżko trzeszczało, więc zakłopotani, raz po raz zwalnialiśmy, czułem podniecenie, gdy jej włosy muskały moją twarz i piersi. Nie chcę jednak, by moje stanowcze twierdzenia, że zrobiłem to czy tamto, wywołały wrażenie, iż to, co się między nami zdarzyło, przeżyliśmy świadomie, że pamiętam każdą chwilę ze szczegółami.

Z nadmiaru spożytego alkoholu, podniecenia i napięcia dostrzegałem pojedyncze sekundy, chwile dopiero po upływie jakiegoś czasu i to niezbyt wyraźnie. Pośpiech, z jakim pragnąłem przeżyć to, na co czekałem tyle lat, niewiarygodne szczęście, które przypadło mi w udziale, rozkosz, jaką powinienem czerpać z uprawiania seksu, wszystko to sprawiało, że chwile zlewały się ze sobą, pozostawiając w mej pamięci jedynie ogólne wrażenie. Jakby przez głowę przebiegały mi myśli, nad którymi nie miałem żadnej kontroli i tylko się łudziłem, jak to bywa w snach, że mogę nimi kierować zgodnie ze swoją wolą.

Przypominam sobie, jak wślizgnęliśmy się między prześcieradła, a dotyk jej ciała na moim palił jak ogień. Oszołomiony, poczułem, że ożywają we mnie wspomnienia naszej miłości sprzed dziewięciu laty, tamtych pogodnych dni, szczegółów naszego ówczesnego życia, wspomnienia, o których już nie pamiętałem. Tłumione przez lata pragnienie szczęścia połączyło się z poczuciem zwycięstwa i radością ze zdobycia tego, czego tak pożądałem (jak mogłem najgłębiej chwytalem ustami jej piersi), sprawiając jednocześnie, że to, czego doznawałem, stało się jakby mniej określone — chwile, uczucia, rozkosz zmieszały się ze sobą. Czułem satysfakcję, że wreszcie zdobyłem Fiisun, a przy tym wszystko w niej rozczulało mnie i zachwycało: jej miłosne jęki i westchnienia, przytulanie się do mnie z dziecięcą ufnością, jaśniejąca w mroku jedwabista skóra. Doskonale pamiętam pewien niezwykle moment, gdy

usiadła mi na kolanach i w stopniowo coraz intensywniejszym świetle reflektorów nadjeżdżającej z hukiem ciężarówki spojrzeliśmy sobie w oczy z radością i szczęściem. Zaraz potem zerwał się niespodziewanie silny wiatr, wszystko dookoła zadrżało, gdzieś w pobliżu trzasnęły drzwi, liście drzew zaszeleściły, jakby chciały zdradzić nam swoją tajemnicę. Fioletowe światło odległej błyskawicy na moment wypełniło pokój.

Kochaliśmy się z coraz większą namiętnością, a nasza przeszłość, przyszłość, wspomnienia mieszały się z szybko narastającą falą rozkoszy. Spoceni, starając się tłumić okrzyki, poszliśmy na całość. Znów byłem zadowolony ze swojego życia, świata, wszystko było piękne, wypełnione głębokim sensem. Fiisun przytuliła się do mnie, oparła głowę o moją szyję; zasnąłem, wdychając odurzający zapach jej ciała.

We śnie widziałem obrazy pełne szczęścia. Zwiedzający muzeum mogą je w tym miejscu podziwiać. Śniło mi się morze, które miało odcień ultramaryny, taki sam jak w czasach mojego dzieciństwa. Gdy na początku lata przenosiliśmy się do domu w Suadiye, czułem przyjemną niecierpliwość na wspomnienie ubiegłorocznych przejażdżek łódką, jazdy na nartach wodnych, wieczornych wypadów na ryby. Wzburzone morze w moim śnie budziło we mnie takie samo miłe uczucie radośnego oczekiwania jak w tamte pierwsze dni wakacji. Nagle ujrzałem płynące powoli w moją stronę miękkie obłoki (jeden z nich był podobny do ojca), tonący okręt powoli zanurzający się w otchłani oceanu, czarno-białe rysunki postaci niczym z komiksów z mojego dzieciństwa, mroczne, niewyraźne, a mimo to przerażające. Miały w sobie coś z zapomnianych i na nowo przywoływanych z pamięci wspomnień. Przed moimi oczyma przesuwały się widoki Stambułu ze starych filmów, zaśnieżone ulice, czarno-białe pocztówki.

Te obrazy ze snu wskazywały mi, że radość życia nierozwalnie wiąże się z radością płynącą z podziwiania urody świata.

Silny podmuch wiatru owionął moje ciało, ożywiając te obrazy, poczułem dreszcz na spoconych plecach. Liście akacji, trzepocąc, połyskiwały i wydawały przyjemny szelest. W miarę jak wzrastał wiatr, szelest ten zamieniał się w złowróżbny jęk. Rozległ się przeciągły grzmot. Tak głośny, że się obudziłem.

— Jak słodko spałeś — powiedziała Fiisun i pocałowała mnie.

— Długo spałem?

— Nie wiem, ja też dopiero co się obudziłam, tak głośno zagrzmiało...

— Przestraszyłaś się? — spytałem, obejmując ją i przyciągając do siebie.

— Nie, wcale.

— Zaraz zacznie padać...

Położyła głowę na mojej piersi. Leżąc w ciemności na łóżku, w milczeniu patrzyliśmy w okno. Zachmurzone niebo raz po raz rozświetlały fioletowe i różowawe rozbłyski. Pędzące drogą Edirne-Stambuł hałaśliwe ciężarówki i pełne podróżnych autobusy wydawały się nie dostrzegać tej szalejącej w oddali burzy, jakbyśmy tylko my wiedzieli o jej istnieniu.

Zanim jeszcze do naszych uszu dobiegł huk zbliżających się pojazdów, do pokoju wpadało światło ich reflektorów, powiększając cienie na ścianie po prawej stronie; robiło się zupełnie jasno, po czym w chwili gdy dawał się słyszeć warkot silnika, światło zmieniało kąt padania i znikało.

Całowaliśmy się raz po raz. I znów obserwowaliśmy zmieniającą się jak w kalejdoskopie grę światła na ścianie. Nasze nogi pod prześcieradłem leżały wyciągnięte obok siebie jak u pary małżonków.

Zaczęliśmy się pieścić, powoli, delikatnie, jakby odkrywając siebie na nowo. Teraz, gdy zamroczenie alkoholem ustąpiło, seks był piękniejszy, bardziej zmysłowy. Długo całowałem jej piersi, pachnącą szyję. Przypomniało mi się, co sobie pomyślałem, gdy we wczesnej młodości zauważyłem, jak trudno jest zapanować nad pożądaniem: jeśli człowiek ożeni się z piękną kobietą, będzie się z nią kochał od rana do wieczora i na nic innego nie starczy mu już czasu. Ta sama dziecinna myśl pojawiła się w mojej głowie także teraz. Mieliśmy przed sobą mnóstwo czasu. Świat był niemal rajskim, choć na wpół zagrożonym w mroku miejscem.

W świetle potężnych reflektorów pędzącego autobusu dostrzegłem ponętne usta Fiisun i wyraz jej twarzy, wskazujący, że duchem przebywa gdzieś daleko. Jeszcze długo po tym, jak światła autobusu zgasły, nie mogłem uwolnić się od tego wrażenia. Całowałem jej brzuch. Na drodze na moment zapadła cisza. Gdzieś w pobliżu rozlegał się śpiew cykady, z oddali dobiegały dźwięki przypominające kumkanie żab, a może to ja zacząłem odkrywać subtelne odgłosy żyjącego świata, szelest traw, głuche dudnienie z głębi ziemi, niemal niezauważalne oddychanie przyrody, czego dotąd nawet nie zauważałem. Długo całowałem jej brzuch, leniwie wodziłem ustami po gładkiej jak aksamit skórze. Jak kormoran wynurzający się z wody od czasu do czasu, unosiłem głowę i wśród nieustannie zmieniającego się światła starałem się pochwycić spojrzenie Fiisun. Gdzieś koło nas brzęczał komar, potem przysiadł na moich plecach i mnie ukąsił.

Rozkoszując się odkrywaniem siebie na nowo, kochaliśmy się długo i namiętnie. Budzące podniecenie powtarzające się ruchy i gesty trwale zapisywały się w mojej pamięci, a jednocześnie były od razu klasyfikowane przez mój umysł:

1. Pierwszą kategorię stanowiły charakterystyczne gesty Fiisun, które poznałem dziewięć lat wcześniej, w roku 1975, podczas czterdziestu czterech dni, gdy każdego popołudnia uprawialiśmy seks. Przez dziewięć lat nieraz przywoływałem w pamięci jej miłosne jęki i westchnienia, niewinny i czuły wyraz twarzy, który pojawiał się, kiedy się kochaliśmy (marszczyła wtedy w skupieniu brwi), idealne dopasowanie naszych ciał, gdy trzymając ją mocno tuż powyżej bioder, układałem się na niej (różne części naszych ciał pasowały do siebie jak elementy jakiegoś urządzenia), sposób, w jaki rozchyłała usta przy pocałunku, wszystko stawało mi przed oczami i pragnąłem to jeszcze raz przeżyć.

2. Różne szczegóły, o których zupełnie zapomniałem i dlatego nie wyobrażałem ich sobie, a dostrzegłszy je teraz u Fiisun, ze zdziwieniem odtworzyłem je w pamięci: chwytanie mnie jak pęsetą palcami za nadgarstek, pieprzyk wysoko z tyłu ramienia (umiejscowienie innych dobrze pamiętałem), zamglone oczy w momencie szczytowania i wzrok nagle koncentrujący się na jakimś drobnym przedmiocie w pobliżu (zegarku leżącym na stole albo zagięciu kabla elektrycznego na suficie), nagłe rozluźnienie uścisku otaczających moją szyję ramion, które odczytywałem jako chęć odsunięcia się ode mnie, a potem ponowne objęcie mnie z jeszcze większą siłą. Wszystko to przypominało mi się w ciągu jednej nocy. Te jej zwyczaje i gesty, o których zapomniałem, sprawiały, że seks, który przez częste wyobrażanie go sobie zmieniałem w coś w rodzaju nierealnej fantazji, stał się najkonkretniejszą, najbardziej rzeczywistą czynnością pod słońcem.

3. Niektóre gesty Fiisun, których sobie zupełnie nie przypominałem, zaskakiwały mnie, budziły niepokój i zazdrość. Paznokcie gwałtownie wbite w moje plecy, nagłe zamyślenie w momencie najintensywniejszej rozkoszy, jakby oceniała zna-



czenie tego, co właśnie przeżywa, albo nagłe zneruchomienie, jakby zapadała w sen, albo zdecydowane ugryzienie w bark lub ramię, by sprawić mi ból — miałem dziwne wrażenie, że to nie jest już dawna Fiisun. Podczas tamtych czterdziestu czterech dni przed dziewięciu laty ani razu nie spędziła ze mną nocy, może dlatego to wszystko wydawało mi się takie nowe i inne. Lecz w jej stanowczych gestach i nagłym zamykaniu się w świecie własnych myśli była jakaś niepokojąca zawziętość.

4. Teraz była kimś zupełnie innym. Ta nowa osoba była także osiemnastoletnią Fiisun, którą znałem i z którą uprawiałem seks, ale lata, które minęły od tamtego czasu, okryły tamto delikatnie kiełkujące drzewko warstwami grubej kory. Bardziej niż tamtą młodą dziewczynę jednak kochałem tę Fiisun, która teraz leżała obok mnie. Byłem zadowolony, że upływ czasu uczynił nas oboje mądrzejszymi, obdarzył większą wyrozumiałością i doświadczeniem.

Wielkie krople deszczu zabębniły o szyby i parapet. Ulewie wtórowały gromy. Objęci, wsłuchiwalismy się w szum letniej ulewy. Zasnąłem.

Gdy się zbudziłem, deszcz ustał. Fiisun nie leżała już obok mnie. Stała i zakładała czerwoną sukienkę.

— Idziesz do siebie? — spytałem. — Nie idź, proszę.

— Poszukam wody mineralnej — odpowiedziała. — Sporo wypiliśmy i teraz strasznie mnie suszy.

— Mnie też się chce pić. Zostań — zaproponowałem — ja pójdę, w lodówce na dole widziałem butelki.

Lecz zanim podniosłem się z łóżka, Fiisun cichutko otworzyła drzwi i wyszła. Przekonany, że wróci, leżałem spokojny i szczęśliwy, aż zasnąłem.

## 7!. PODROŻ DO INNEGO ŚWIATA

Gdy w końcu się obudziłem, Fiisun nie było. Pomyślałem, że wróciła do matki, wstałem i wyglądając przez okno, zapaliłem papierosa. Słońce jeszcze nie wstało, nadal panowały ciemności, rozjaśnione jednak delikatną poświatą. Do pokoju wpadał zapach mokrej od deszczu ziemi. Światła pobliskiej stacji benzynowej i neon hotelu Grand Semiramis odbijały się w kałużach i w zderzaku zaparkowanego nieco dalej chevroleta.

Od strony drogi dostrzegłem niewielki ogródek przylegający do restauracji, w której się zaręczyliśmy. Krzesła, poduszki były mokre od deszczu. Trochę dalej, na ławce, siedziała Fiisun, oświetlona przenikającym przez liście światłem gołej żarówki, wiszącej na kablu przywiązanym do pnia figowca. Zwrócona półprofilem w moją stronę, paliła papierosa i czekała, aż wszędzie słońce.

Natychmiast zszedłem na dół.

— Dzień dobry, moja śliczna — szepnąłem.

Nie odezwała się, w zamyśleniu pokiwała jedynie głową, jak ktoś przygnieciony nadmiarem zmartwień. Na stoliku obok ławki spostrzegłem szklaneczkę *raki*.

— Jak wyjmowałam wodę z lodówki, zauważyłam otwartą butelkę — wyjaśniła, a na jej twarzy pojawił się wyraz nie pozostawiający wątpliwości, że jest córką wujka Tarika.

— Jak tu nie napić się w najpiękniejszy poranek świata — uśmiechnąłem się. — Podczas podróży będzie gorąco, cały dzień prześpimy w samochodzie. Czy mogę zająć miejsce koło pani, jaśnie panienko?

— Już dawno przestałam być jaśnie panienką.

Nie odpowiedziałem, bez słowa usiadłem obok niej i wpatrując się w widok przed nami, wziąłem ją za rękę, zupełnie jak w kinie Saray. Nie odzywając się do siebie przez dłuższą chwilę, obserwowaliśmy, jak się rozjaśnia. W oddali wciąż jeszcze pojawiały się fioletowe rozbłyski, ulewa przeniosła się gdzieś nad Bałkany. Drogą przejechał z hukiem międzymiastowy autobus. Patrzyliśmy na jego czerwone tylne światła, dopóki nie znikły nam z oczu.

Od strony stacji benzynowej zbliżał się ku nam powoli czarnouchli pies, przyjaźnie machając ogonem. Zwyczajny podwórzowy burek nieokreślonej rasy. Obwąchał najpierw mnie, potem Fusun, przytknął nos do jej ramienia.

— Polubił cię — powiedziałem, ale Fusun nie odezwała się.

— Wczoraj, gdy tu przyjechaliśmy, trzykrotnie zaszczekał — kontynuowałem. — Kiedyś u was w domu na telewizorze stała figurka identycznego psa, zauważyłaś?

— Ukradłeś ją i wyniosłeś.

— Nie można tego uznać za kradzież. Twoja mama, twój tata, wszyscy od początku o tym wiedzieli.

— Tak.

— Co mówili?

— Nic. Ojcu było przykro. Mama zachowywała się tak, jakby to nie miało żadnego znaczenia. A ja chciałam zostać gwiazdą filmową.

- Zostaniesz.
- Kemalu, znów kłamiesz, sam w to nie wierzysz — powiedziała poważnie. — Naprawdę mnie to złości. Kłamstwa przychodzą ci z taką łatwością.
- Dlaczego?
- Wiesz, że nigdy już nie zrobisz ze mnie gwiazdy filmowej. Zresztą nie ma takiej potrzeby.
- Dlaczego nie? Jeśli rzeczywiście tego chcesz, tak się stanie.
- Ja naprawdę przez całe lata tego chciałam, Kemalu. Dobrze o tym wiesz.
- Pies radośnie skakał wokół Fiisun.
- Zupełnie jak tamten piesek na telewizorze. Tak samo płowy i ma czarne uszy — powiedziałam.
- Co robiłeś z tymi wszystkimi figurkami psów, grzebienikami, zegarkami, niedopałkami i innymi rzeczami?
- One dobrze mi robiły — odpowiedziałem z lekką irytacją. — W mieszkaniu w kamienicy Zmiłowanie zgromadziłem sporą kolekcję. Nie wstydę się tego przed tobą. Gdy wrócimy do Stambułu, wszystko ci pokażę.
- Spojrzała na mnie z uśmiechem. W jej wzroku była zarówno czułość, jak i lekka drwina, na którą, moim zdaniem, zasługiwała moja obsesja i cała ta historia.
- Znów chcesz mnie sprowadzić do swojej garsoniery?
- Nie ma takiej potrzeby — zachnąłem się, powtarzając słowa wypowiedziane przez nią przed chwilą.
- Masz rację. Wczoraj wieczorem uwiodłeś mnie. Przed ślubem zabrałeś mi mój największy skarb, posiadłeś mnie. Po czymś takim tacy jak ty już się nie żeniają. Taki jesteś.
- To prawda — odpowiedziałem na wpół z irytacją, na wpół żartobliwie. — Dziewięć lat na to czekałem, cierpiałem. Po co miałbym się teraz żenić!

Ale wciąż trzymaliśmy się za ręce. Nachyliłem się ku niej i by załagodzić sytuację, nim stanie się naprawdę poważna, mocno pocałowałem ją w usta. Najpierw odwzajemniła pocałunek, potem gwałtownie się odsunęła.

— Mam ochotę cię zamordować — oświadczyła, wstając.

— Bo wiesz, jak bardzo cię kocham.

Nie wiem, czy usłyszała to, co powiedziałem. Moja piękna, pijana ukochana, zła, obrażona, oddaliła się, głośno stukając obcasami.

Nie weszła do hotelu. Pies ruszył za nią. Poszli szosą w stronę Edirne — Fiisun z przodu, pies za nią. Dopiętem resztkę pozostawionej przez Fiisun *raki* (robiłem to już w domu w C u - kurcumie, gdy nikt nie widział). Przez dłuższą chwilę patrzyłem za nimi. Droga do Edirne biegła prosto jak z bicza strzelił, wydawała się nie mieć końca, a im stawało się jaśniej, tym czerwona sukienka Fiisun stawała się bardziej widoczna. Nie ma mowy, żebym stracił ją z oczu — pomyślałem sobie.

Ale wkrótce rozlegający się na równinie odgłos jej kroków przestał dobiegać do moich uszu. Niedługo potem czerwona plama sukienki Fiisun, maszerującej drogą ku nieskończoności, jak to robią w finalnej scenie bohaterki filmów z Yegilcam, również znikła mi z oczu, i wtedy ogarnął mnie niepokój.

Zaraz jednak znów dostrzegłem czerwoną plamkę. Moja rozgniewana ukochana maszerowała dalej. W jednej chwili serce wypełniła mi niezwykła czułość. Miałem z nią spędzić resztę życia, kochając się jak poprzedniego dnia i kłócąc jak przed chwilą. Z całego serca pragnąłem oczywiście mniej się kłócić, ułagodzić ją i sprawić, by była szczęśliwa.

Ruch na trasie Edirne-Stambuł nasilał się. Kierowcy na pewno nie zostawiliby w spokoju idącej poboczem ładnej i zgrabnej dziewczyny w czerwonej sukience. Nim ten żart nie-  
mile się skończy, wskoczyłem do chevroleta i ruszyłem za nią.

Półtora kilometra dalej ujrzałem siedzącego pod platanem psa. Widać postanowił zaczekać tu na Fiisun. Poczujęm ucisk i przyspieszone bicie serca. Zwolniłem.

Dookoła były sady, pola słoneczników, niewielkie gospodarstwa. „Pomidory Altat!” — wołał do mnie slogan z wielkiej tablicy reklamowej, całej podziurawionej kulami. Litera „o” była najwyraźniej tarczą dla strzałów oddawanych z przejeżdżających samochodów. Ślady po kulach były już zardzewiałe.

Po chwili dostrzegłem na horyzoncie czerwoną plamkę i roześmiałem się radośnie. Podjechałem bliżej i zwolniłem. Szła prawym poboczem z wciąż rozgniewaną i urażoną miną. Nie zatrzymała się na mój widok. Otworzyłem okno z prawej strony auta.

— Chodź, najdroższa, wracajmy! Spóźnimy się.

Nie odpowiedziała.

— Fiisun, mamy dziś przed sobą długą drogę.

— Nie jadę, jedźcie sobie sami — powiedziała naburmuszona jak dziecko, ani trochę nie zwalniając kroku.

Jechałem obok niej z taką samą prędkością, z jaką maszerowała.

— Fiisun, najdroższa, zobacz, jaki ten świat jest piękny, jaki wspaniały — wołałem do niej. — Nie ma sensu zatruwać sobie życia złością i kłótniami.

— Ty niczego nie rozumiesz.

— Czego nie rozumiem?

— Przez ciebie zmarnowałam życie, Kemal — oświadczyła.

— Naprawdę chciałam zostać aktorką.

— Przepraszam.

— Co to znaczy „przepraszam”?! — wybuchnęła.

Chwilami trudno mi było jechać równo z nią i nie zawsze rozumieliśmy się nawzajem.

— Przepraszam! — krzyknąłem, sądząc, że wcześniej mnie nie dosłyszała.

— Ty i Feridun zrobiliście wszystko, żebym nie zagrała w filmie. Za to mnie teraz przepraszasz?!

— Czy rzeczywiście chciałabyś być jak Stokrotka, jak te pijane kobiety z baru Pergamin?

— I tak stale jesteśmy pijani — oświadczyła. — A ja na pewno nie byłabym taka jak one. Ale wy zamknęliście mnie w domu, bo byliście zazdrośni, obawialiście się, że gdy stanę się sławna, zostawię was obu!

— To ty, Fiisun, bałaś się pójść tą drogą sama, bez silnego mężczyzny u boku...

— Co takiego? — krzyknęła. Teraz naprawdę się rozzłościła, czułem to.

— Dalej, kochanie, wskakuj do samochodu, wieczorem napijemy się i wszystko przedyskutujemy — prosiłem. — Bardzo cię kocham. Mamy przed sobą cudowne życie. Wsiądź do samochodu.

— Pod jednym warunkiem — oświadczyła z dziecinnym uporem, jak wtedy, przed laty, gdy zażądała, bym przyniósł jej do domu rowerek.

— Tak?

— Ja będę prowadzić.

— Ależ w Bułgarii policjanci są jeszcze gorsi od naszych, tylko szukają okazji, by wziąć łapówkę. Zatrzymują każdy samochód...

— Nie, nie — odpowiedziała. — Chcę prowadzić teraz, gdy będziemy wracać do hotelu.

Natychmiast zatrzymałem samochód, wysiadłem, zostawiając otwarte drzwi. Gdy zamienialiśmy się miejscami, objąłem ją przed maską samochodu i z całej siły pocałowałem, a gdy ona zarzuciła mi ręce na szyję i przytuliła się, przyci-

skając swe cudowne piersi do mojego torsu, byłem kompletnie oszołomiony.

Usiadła w fotelu kierowcy. W skupieniu, jak podczas nauki jazdy w parku Yildiz, uruchomiła silnik, zgrabnie zwolniła hamulec ręczny i ruszyła. Jak Grace Kelly w *Złodzieju w hotelu*, wystawiła lewy łokieć przez otwarte okno.

Jechaliśmy powoli, szukając miejsca, by zawrócić. Chciała zrobić to na skrzyżowaniu szosy z tonącą w błocie wiejską drogą, ale nie udało się, samochód zadygotał i stanął.

— Uważaj na sprzęgło! — powiedziałem.

— Nawet nie zauważyłaś mojego kolczyka — westchnęła.

— Jakiego kolczyka?

Ponownie uruchomiła silnik, zawróciliśmy.

— Nie jedź tak szybko! — upomniałem ją. — Jaki kolczyk?

— W uchu... — jęknęła omdlewającym głosem, jak ktoś budzący się z narkozy.

Rzeczywiście, w prawym uchu miała kolczyk, drugiego brakowało. Czy był na miejscu, gdy się kochaliśmy? Czemu tego nie zauważyłem?

Jechała coraz szybciej.

— Zwolnij! — zawołałem, ale ona wcisnęła gaz do końca.

Widziałem, jak przed nami pies wszedł na jezdnię, jakby z daleka rozpoznał Fiisun. Miałem nadzieję, że zauważy pędzący samochód i zawróci na pobocze, ale on nie ruszył się z miejsca.

Jechaliśmy coraz szybciej. Fiisun raz po raz naciskała klakson, by ostrzec psa. Zarzuciło nas w prawo, potem w lewo, ale zwierzę nadal stało na jezdni. Nagle samochód zaczął jechać po linii prostej, jak żaglówka, która gdy wiatr ustanie, zaczyna płynąć prosto, nie przechylając się na boki. Linia ta wiodła jednak lekko poza łuk jezdni. Z wielką prędkością zmierzaliśmy wprost na rosnący przy drodze platan — zrozumiałem, że nie da się uniknąć uderzenia w drzewo.



Gdzieś w głębi duszy wiedziałem, że moje szczęście się skończyło, że nadszedł czas rozstania się z tym pięknym światem. Z maksymalną prędkością zbliżaliśmy się do drzewa, które Fiisun obrała za cel. Tak to odbierałem, nie widziałem już dla siebie innej przyszłości niż ta, która czekała ją. Dokądkolwiek zmierzaliśmy, zmierzaliśmy tam razem, tracąc możliwość zaznania szczęścia na tym świecie. Szkoda, że było to nieuniknione.

Zdołałem jeszcze krzyknąć „Uważaj!”, jakby Fiisun nie wiedziała, co robi. W gruncie rzeczy wykrzyknąłem to instynktownie, jak ktoś, kto krzyczy, by przerwać śniący mu się koszmar i wrócić do zwyczajnego, lecz pięknego życia. Moim zdaniem Fiisun była chyba nieco pijana, ale nie potrzebowała mojego ostrzeżenia. Jakby świadoma tego, co robi, prowadziła samochód z prędkością stu pięciu kilometrów na godzinę prosto na stuipięcioletni platan. Zrozumiałem, że nasze życie się kończy.

Dwudziestopięcioletni Chevrolet mojego ojca z całą siłą uderzył w drzewo rosnące z lewej strony drogi.

Niewielki budynek za drzewem, stojący pośrodku pola słoneczników, to była mała olejarnia, w której produkowano olej marki Batanay, od lat używany w domu Keskinów. Oboje z Fiisun zauważyliśmy to tuż przed wypadkiem, gdy samochód nabierał szybkości.

Wiele miesięcy później widok wraku chevroleta, którego części kolejno dotykałem, a także sny, które nawiedzały mnie przez lata, przypominały mi, że tuż po wypadku popatrzyliśmy sobie z Fiisun prosto w oczy.

Fiisun wiedziała, że umiera, swym ostatnim, trwającym dwie, trzy sekundy spojrzeniem błagała mnie, bym ją uratował, mówiła, że nie chce odchodzić, że kocha życie. A ja też byłem przekonany, że umieram, zdołałem jedynie uśmiechnąć się do

mojej ukochanej, miłości mojego życia, szczęśliwy, że razem wyruszamy w podróż na tamten świat.

Z tego, co się potem wydarzyło, niczego nie pamiętam; nie mi się nie przypomniało ani podczas miesięcy spędzonych w szpitalu, ani potem. O wszystkim dowiedziałem się od innych, z raportów policyjnych i od świadków, z którymi rozmawiałem, gdy w końcu pojechałem na miejsce wypadku.

Fiisun zginęła, zmiądzona, w zgniecionym jak puszka konserw samochodzie, kierownica dosłownie wbiła się jej w pierś. Z całą siłą uderzyła głową w przednią szybę. (Obowiązek zapinania pasów wprowadzono w Turcji dopiero piętnaście lat później). Jak wynika z raportu z sekcji, który eksponuję w tym miejscu, kości czaszki zostały wgniecione, uszkadzając mózg, nastąpił ciężki uraz kręgosłupa szyjnego. Jeśli nie liczyć złamań kości klatki piersiowej i spowodowanych odłamkami szkła skaleczeń na czole, jej piękne ciało, smutne oczy, cudowne usta, różowy język, aksamitne policzki, kształtne ramiona, jedwabista skóra szyi, piersi i brzucha, długie nogi, stopy, które ilekroć widziałem, wywoływały uśmiech na mojej twarzy, długie, delikatne ręce w odcieniu miodu, pieprzyki i delikatne włoski na jej gładkiej skórze, zaokrąglone biodra oraz dusza, w której poblizu zawsze pragnąłem przebywać, wyszły z wypadku bez szwanku.

## 81. PO WYPADKU

Chciałbym teraz pokrótce opowiedzieć o następnych dwudziestu latach i zakończyć moją historię. Przeżyłem dzięki temu, że wcześniej, prowadząc samochód, aby móc swobodnie rozmawiać z Fiisun, otworzyłem okno od strony pasażera i przed zderzeniem instynktownie wysunąłem przez nie rękę. Doznawszy licznych pomniejszych uszkodzeń ciała i wylewów krwi do mózgu, zapadłem w śpiączkę. Karetką zostałem przetransportowany do Kliniki Uniwersyteckiej w *Capa* w Stambule, gdzie podłączono mnie do respiratora.

Miesiąc przeleżałem na oddziale intensywnej opieki medycznej. Nie mogłem mówić, słowa nie przychodziły mi do głowy, świat jakby zastygł. Nie zapomnę odwiedzin matki i Berrin, całych we łzach, gdy leżałem z rurką wetkniętą w tchawicę. Nawet Osman odnosił się do mnie z czułością, choć czasami jego mina wskazywała, że powstrzymuje się przed powiedzeniem: „a nie mówiłem?”.

Zaim, Tayfun, Mehmet i inni koledzy patrzyli na mnie po części z potępieniem jak Osman, po części ze smutkiem, co

brało się stąd, iż policja w swoim raporcie za przyczynę wypadku uznała prowadzenie pojazdu pod wpływem alkoholu (rola psa pozostała nie zauważona), a cała sprawa została jeszcze podkoloryzowana i rozdmuchana przez gazety. Pracownicy Satsat zachowywali się natomiast z pełnym szacunkiem, a nawet wydawali się poruszeni.

Po sześciu tygodniach zostałem poddany terapii ruchowej. Miałem wrażenie, jakbym od nowa uczył się chodzić, na nowo zaczynał życie. Stale myślałem o Fiisun. Ale teraz myślenie o niej nie wiązało się jak niegdyś z planami na przyszłość, z pragnieniami i zamierzeniami. Moja ukochana powoli stawała się zjawą z przeszłości, wspomnieniem. Było to bardzo przykre, bo odtąd cierpieć z jej powodu nie oznaczało pożądać jej, lecz litować się nad samym sobą. I właśnie wtedy, zastanawiając się nad pamięcią i wspomnieniami, bólem i znaczeniem straty, wpadłem na pomysł urządzenia muzeum.

Pocieszenia szukałem w lekturze takich autorów- jak Proust i Montaigne. Podczas kolacji, gdy siedziałem naprzeciwko matki, a między nami stał żółty dzbanek, w zamyśleniu gapiłem się w ekran telewizora. Dla mojej matki śmierć Fiisun była czymś podobnym do śmierci mojego ojca — oboje straciliśmy kogoś, kogo kochaliśmy, co dawało nam prawo do pokazywania ponurej miny i do wyżywiania się na innych. Poza tym wolno nam było sięgać po szklaneczki *raki* i zamykać się w wewnętrznym świecie albo, wręcz przeciwnie, nie tłumić niczego w sobie i uzewnętrzniać swe uczucia. Matka wybrała tę pierwszą opcję, ja zaś odczuwałem potrzebę opowiedzenia mojej historii.

Przez pierwsze miesiące po wyjściu ze szpitala budziła się ona we mnie, gdy szedłem do kamienicy Zmiłowanie i siedząc na łóżku, na którym kochałem się z Fiisun, paliłem papierosa i patrzyłem na zbierane przez lata przedmioty. Czułem, że opo-

wiedzenie mojej historii złagodzi ból. W tym celu powinienem był upublicznić zgromadzoną kolekcję.

Bardzo chciałem porozmawiać z Zaimem, odnowić więzy przyjaźni. Lecz w styczniu 1985 roku dowiedziałem się od Hilmiiego Bəkarta, że jest bardzo szczęśliwy z Sibel, która spodziewa się dziecka. Hilmi powiedział mi też, że Sibel i Nurcihan pokłóciły się z jakiegoś błahaego powodu. Nie bywałem w nowych lokalach, do których obecnie chodzili niegdyśjsi bywalcy Foyer i Garażu, bo wciąż byłem poruszony tym, co się wydarzyło, i w spojrzeniach innych stale widziałbym Fiisun, nie chciałem też zostać zapamiętany jako ktoś załamany i przybity. Podczas pierwszej i ostatniej wizyty w nowo otwartej, cieszącej się dużą popularnością restauracji Świecznik okazywałem przesadną wesołość, wybuchałem śmiechem, sypałem żartami, zagadywałem starego kelnera Tayyara, który przedtem pracował w Pergaminie, i doprowadziłem do tego, że zaczęły o mnie krążyć plotki w rodzaju: „wreszcie uwolnił się od tej dziewczyny”.

Któregoś dnia spotkałem w Nişantaşı Mehmeta i umówiłem się z nim na kolację, by porozmawiać jak mężczyzna z mężczyzną. Knajpy nad Bosforem nie były już taką atrakcją jak niegdyś, teraz można tam było jeździć choćby i co wieczór. Mehmet wyczuł moją ciekawość i opowiedział mi, co porabiają dawni znajomi. On i Nurcihan wybrali się z Tayfunem i jego żoną, Figen, do Uludag; Faruk (ten, którego spotkaliśmy z Fiisun w Sanyer) zadłużył się w dolarach i wskutek inflacji powinien był właściwie zbankrutować, lecz dzięki zaciągniętych w bankach kredytom udało mu się odroczyć upadłość; Mehmet sam osobiście nie miał nic do Zaima, ale nie widywali się, bo Sibel i Nurcihan się pokłóciły. Niepytany, wyjaśnił, że Sibel uważała Nurcihan za zbyt „turecką”, miała jej za złe, że chodzi do nocnych lokali, by posłuchać starych piosenek

w wykonaniu różnych Miizeyyen Senar czy Zekich Miirenów, że zachowuje post podczas ramadanu („To Nurcihan pości?” — spytałem z uśmiechem), i dokuczała jej z tego powodu. Od razu wyczułem, że prawdziwa przyczyna tego ochłodzenia stosunków między dwiema przyjaciółkami musiała być zupełnie inna. Mehmet uznał, że chciałbym wrócić do dawnego środowiska, i próbował mnie tam za sobą pociągnąć, ale mylił się. Sześć miesięcy po śmierci Fiisun z całą wyrazistością pojąłem, że do tamtego świata nie ma już dla mnie powrotu.

Wypiszy nieco *raki*, Mehmet wyznał mi, że choć nadal bardzo kocha Nurcihan i ją szanuje (to drugie uczucie zaczęło przeważać), po urodzeniu dziecka nie wydaje mu się już tak atrakcyjna jak kiedyś. Zakochał się w niej szaleńczo, ożenił się z nią, zrobił dziecko i zaraz potem wszystko było jak dawniej, a on wrócił do swych poprzednich przyzwyczajęń. Czasami chodził do lokali rozrywkowych sam, czasem zostawiali malucha pod opieką babci i szli we dwoje. Aby mnie rozweselić, zabawić, Mehmet postanowił pokazać mi nowe restauracje, bary, kluby, do których chodzili nowobogacy i ludzie z branży reklamowej, zabrał mnie do nowych dzielnic.

Któregoś wieczoru dołączyła do nas Nurcihan. Za Etiler, w nowej, rozległej dzielnicy, która w ciągu jednego roku wyrosła jak spod ziemi, zjedliśmy coś, co reklamowano jako potrawę kuchni amerykańskiej. Nurcihan wspomniała o Sibel i spytała, jak się czuję po śmierci Fiisun. Powiedziała przy tym coś, co zapadło mi głęboko w serce — oświadczyła bowiem, że ma przeczucie, iż któregoś dnia będę jeszcze szczęśliwy. Te słowa pogłębiły moje odczucie, że droga do szczęścia jest przede mną zamknięta. Mehmet był dawnym Mehmetem, Nurcihan jednak sprawiała wrażenie zupełnie innej, nie znanej mi osoby, wszystkie nasze wspólne wspomnienia jakby znikły. Przez głowę przemknęła mi myśl, że ma to związek z atmosferą pa-

nującą w tej restauracji, nowymi ulicami, które zupełnie nie przypadły mi do gustu.

Te nowe ulice, dzielnice, dziwaczne betonowe osiedla, co dzień wyrastające w Stambule, wzmacniały wrażenie, które nie opuszczało mnie od chwili wyjścia ze szpitala: po śmierci Fiisun miasto zmieniło się nie do poznania. Powiedziałbym, że to właśnie odczucie skłoniło mnie do podróży, która miała trwać latami.

Jedynie wtedy, gdy odwiedzałem ciocię Nesibe, czułem, że to wciąż mój dawny, kochany Stambuł. Pierwsze wizyty przepłakaliśmy, aż któregoś wieczoru ciocia oświadczyła krótko, że mogę pójść do pokoju Fiisun, obejrzeć jej rzeczy i wziąć sobie, co zechcę.

Nim ruszyłem na górę, zrobiłem to, co od dawna było naszym, moim i Fiisun, rytuałem: podszedłem do klatki Cytrynki i sprawdziłem, czy ma wodę i karmę. Na wspomnienie wspólnych kolacji, rozmów podczas oglądania telewizji, wszystkiego, co w tym domu przeżyliśmy, oczy cioci wypełniły się łzami.

Łzy... Cisza... Obojgu nam bardzo trudno było siedzieć i wspominać Fiisun, dlatego starałem się możliwie skrócić tę część wizyty, która poprzedzała pójście na górę. Dwa razy w tygodniu szedłem na piechotę z Beyoglu do domu w Cukurcumie, zjadałem z ciocią kolację, oglądając przy tym w milczeniu telewizję i uważając, by nie wspomnieć o Fiisun, następnie zajmowałem się Cytrynką, który z wiekiem stawał się coraz mniej skory do śpiewu, oglądałem po kolei namalowane przez Fiisun obrazki ptaków i dopiero wtedy, pod pretekstem umycia rąk, szedłem na górę, otwierałem szafki i szuflady i przeglądałem ich zawartość.

Grzebienie, szczotki, małe lusterka, broszki w kształcie motyli, kolczyki, drobiazgi, które przynosiłem jej w prezencie przez lata, Fiisun chowała do szuflad w niewielkich szafkach

w swym pokoju. Odnajdywanie chusteczek, o których nie pamiętałem już, że je podarowałem, pończoch, drewnianych guzików, które, jak sądziłem, kupiła dla matki, spinek do włosów (i podarowanego przez pana Turgaya modelu mustanga), moich listów wysyłanych za pośrednictwem Ceydy wprowadzało mnie w stan emocjonalnego znużenia i nie byłem w stanie wytrzymać dłużej niż godzinę wśród szaf i szuflad, nadal roz-taczających zapach Fiisun. Czasami siadałem na łóżku, zapalałem papierosa i odpoczywałem, innym razem zaś, walcząc z łzami, wyglądałem na ulicę z balkonu, na którym Fiisun malowała ptaki, kiedy indziej znów zabierałem ze sobą kilka drobiazgów, pończochy czy grzebyk.

Zdawałem sobie sprawę, że wszystkie przedmioty związane z Fiisun, zarówno te, które zgromadziłem w ciągu dziewięciu lat, z początku wręcz bezwiednie, jak i te w jej pokoju, a nawet w całym domu, powinienem był zebrać razem gdzieś w jednym miejscu, ale nie wiedziałem gdzie. Odpowiedź na to pytanie znalazłem podczas podróży, gdy zwiedzałem jedno po drugim małe muzea na całym świecie. ^

Pewnej śnieżnej nocy zimą 1986 roku, przeglądając po kolacji podarowane Fiisun motylki broszki, kolczyki, ozdoby, dostrzegłem w rogu pudełka parę kolczyków z motylkami i literą F, tych samych, które Fiisun miała w uszach podczas wypadku i jak twierdziła, jeden zgubiła przed laty. Zabrałem kolczyki i zszedłem na dół.

— Ciociu Nesibe, te kolczyki chyba niedawno znalazły się w szkatułce z biżuterią Fiisun — powiedziałem.

— Kochany Kemal, wszystko, co tamtego dnia Fiisun miała na sobie, czerwoną sukienkę, buty, wszystko schowałam przed tobą, by ci nie sprawiać przykrości. Teraz postanowiłam je odłożyć na miejsce, a ty to od razu zauważyłeś.

— Miała w uszach oba kolczyki?



— Tamtego wieczoru w hotelu, nim poszła do ciebie, była w naszym pokoju, może chciała się położyć. Ale nagle wyjęła je z torebki i założyła. Udawałam, że śpię, ale wszystko widziałam. Nie odezwałam się, gdy wychodziła. Chciałam, abyście wreszcie byli szczęśliwi.

Nie zdradziłam cioci, że Fiisun powiedziała mi, iż jej matka zamknęła drzwi od środka. Jak mogłam nie zauważyć kolczyków, gdy się kochaliśmy? Zapytałam o coś innego:

— Ciociu, przed laty, przy pierwszej mojej wizycie tutaj, powiedziałam cioci, że jeden z tych kolczyków zostawiłam w łazience na górze. Pytałam się nawet, czy ciocia wie, co się z nim stało.

— Nie mam pojęcia, mój drogi. Nie draż teraz tego tematu, bo doprowadzasz mnie do łez. Fiisun mówiła mi tylko, że chce w Paryżu włożyć kolczyki, by zrobić ci niespodziankę, ale o które chodziło, nie wiem. Bardzo chciała pojechać do Paryża, moja biedna córeczka.

Ciocia Nesibe zaczęła płakać i zaraz przeprosiła, że płacze.

Następnego dnia zarezerwowałam pokój w Hotel du Nord. Wieczorem powiedziałam matce, że jadę do Paryża i że podróż dobrze mi zrobi.

— Bardzo dobrze — stwierdziła. — Zajmiesz się trochę interesami Satsat. Żeby Osman wszystkiego nie zagarnął.

## II. MUZEUM NIEMINNOŚCI

Nie powiedziałem matce, że nie jadę do Paryża służbowo. Bo gdyby zapytała, po co to robię, nie byłbym w stanie udzielić jej odpowiedzi. Sam nie chciałem wiedzieć, po co tam jadę. W drodze na lotnisko byłem coraz bardziej przekonany, że ta podróż to rodzaj obsesji związanej z pragnieniem zadośćuczynienia za utratę kolczyka, odpokutowania grzechów.

Lecz gdy tylko znalazłem się na pokładzie samolotu, zrozumiałem, że wyjeżdżam, aby zapomnieć i jednocześnie aby móc marzyć. Stambuł nieustannie pełen był znaków przypominających mi o ukochanej. Podczas lotu doszedłem do wniosku, że poza Stambułem uda mi się głębiej przemyśleć historię moją i Fiisun, ogarnąć ją w całości. W Stambule postrzegałem ją przez pryzmat mojej obsesji, w samolocie zaś mogłem przyrzec się mojej obsesji i samej Fiisun jakby z zewnątrz.

Podobnego wrażenia — głębszego rozumienia i ukojenia, doznawałem, gdy niespiesznie zwiedzałem muzea. Mam na myśli nie te oblegane przez turystów miejsca w rodzaju Luwru czy Beaubourga, ale tak liczne w Paryżu małe, rzadko odwie-

dzane muzea, kolekcje, których niemal nikt nie oglądał. Czuję się znakomicie, krążąc samotnie po salach wystawowych Muzeum Edith Piaf, założonego przez jej wielbiciela, gdzie wstęp był możliwy jedynie po wcześniejszym umówieniu się (ujrzałem w nim szczotki do włosów, grzebienie, pluszowe misie), Muzeum Policji, w którym spędziłem cały dzień, czy Muzeum Jacquemart-André, gdzie obrazy i przedmioty zostały wyeksponowane obok siebie w niezwykle sposób (puste krzesła, żyrandole, przerażające puste przestrzenie). W sali na samym końcu mogłem wreszcie uwolnić się od spojrzeń pilnujących ekspozycji strażników, którzy podążali za mną i odgłosami moich kroków; z zewnątrz dochodził hałas wielkiego miasta, zgiełk ulicy, huk z placów budowy, a ja miałem wrażenie, że znalazłem się w innym świecie, tuż obok miasta i tłumów ludzi, a jednak zupełnie odmiennym; czułem, jak dziwaczność tego świata, panująca w nim atmosfera pozaczasowości łagoda mój ból, i doznawałem pocieszenia.

Niekiedy pod wpływem tego uczucia ukojenia zaczynałem z radością wyobrażać sobie, że mógłbym uporządkować moją kolekcję zgodnie z opowiadaną historią, że mógłbym swoje życie, powszechnie uważane, zwłaszcza przez moją matkę i brata, za zmarnowane, wyeksponować w muzeum pod postacią pamiątek po Fiisun i opowieści o niej, jako nauczkę dla wszystkich.

Wizyta w Muzeum Nessima de Camondo, do którego się wybrałem, gdyż wiedziałem, że jego założyciel był stambulskim Lewantyńczykiem\*, dodała mi otuchy, przypominając, że z dumą mogę wyeksponować części zastawy stołowej Kes-

\* Lewantyńczyk — potomek Europejczyków, głównie Włochów i Francuzów, osiadłych w Turcji i innych krajach wschodniej części basenu Morza Śródziemnego.

kinów, sztuce czy gromadzoną przez siedem lat kolekcję solniczek. W Muzeum Poczty uświadomiłem sobie, że częścią ekspozycji mogą być listy pisane przeze mnie do Fiisun i przez Fiisun do mnie, a w Muzeum Rzeczy Znalezionych — że mogę umieścić w gablotkach wszystko, co zebrałem i co przypominało mi o Fiisun, na przykład sztuczną szczękę wujka Tanka, puste opakowania po lekach czy rachunki za prąd. W muzeum urządzonym w podparyskim domu Maurice'a Ravela, dokąd jazda zabrała mi całą godzinę, niemal się popłakałem na widok szczoteczki do zębów słynnego kompozytora, jego filizanki do kawy, bibelotów, lalek, zabawek oraz metalowej klatki z metalowym słowikiem w środku, która natychmiast przypomniała mi o Cytrynce. Zwiedzając te małe paryskie muzea, przestawałem się wstydzić swojej kolekcji zgromadzonej w kamienicy Zmiłowanie. Z zażenowanego zebranymi szpargałami zbieracza powoli przeistaczałem się w pewnego siebie kolekcjonera.

Oczywiście wówczas nie określałem w ten sposób zachodzących we mnie zmian; przekraczając progi muzeów, czułem po prostu radość i wyobrażałem sobie, jak za pomocą przedmiotów opowiem moją historię. Któregoś wieczoru, gdy popijałem samotnie drinka w barze w Hotel du Nord i przyglądałem się cudzoziemcom, stwierdziłem, że nurtuje mnie pytanie, jakie zadaje sobie każdy — mający pewne wykształcenie i jakiś tam majątek — Turek przebywający za granicą: co ci Europejczycy myślą o mnie, o nas wszystkich?

Potem zacząłem się zastanawiać, jak komuś, kto nie zna Stambułu ani Nişantaşı czy Cukurcumy, wyjaśnić to, co czułem do Fiisun. Wyobrażałem sobie siebie jako kogoś, kto wyjechał do dalekich krajów i spędził tam długie lata, żył wśród tubylców na Nowej Zelandii i obserwując ich zwyczaje, pracę, wypoczynek, rozrywki (także rozmowy podczas ogląda-

nia telewizji), zakochał się w miejscowej dziewczynie. Moje obserwacje i miłość zlały się w jedno. Jedyne eksponując na wystawie, zupełnie jak antropolog, zebrane obiekty, naczynia kuchenne, ozdoby, stroje, fotografie, byłem w stanie nadać sens przeżytym latom.

Ponieważ Proust z sympatią wspominał o Gustawie Moreau, pod koniec pobytu w Paryżu wybrałem się do muzeum tego malarza. Z jednej strony wciąż miałem na uwadze wizerunki ptaków namalowane przez Fiisun, z drugiej — chciałem jakoś spędzić czas. Obrazy Moreau, klasyczne, tchnące sztucznością historyczne malowidła, nie przypadły mi do gustu. Polubiłem natomiast samo muzeum. Malarz poświęcił ostatnie lata życia na przekształcenie dwupiętrowego atelier, wraz z przylegającym do niego domem, w którym przeżył wiele lat, w miejsce, gdzie wyeksponowano jego niezliczone obrazy. Gdy tak się stało, dom, dzięki znajdującym się w nim przedmiotom, zamienił się w przepełnione uczuciami muzeum wspomnień. Kiedy wprawiając w skrzywienie deski parkietu, przemierzałem jego puste sale — wszyscy strażnicy pogrążeni byli w drzemce — ogarnął mnie nastrój niemal religijnego uniesienia. (W ciągu następnych dwudziestu lat odwiedziłem to muzeum jeszcze siedmiokrotnie i za każdym razem doznawałem tego samego wzniosłego uczucia).

Po powrocie do Stambułu od razu poszedłem do cioci Nesibe. Opowiedziałem jej pokrótce o Paryżu i muzeach, a gdy zasiedliśmy do kolacji, niezwłocznie poruszyłem temat, który zaprzętał moje myśli.

— Ciocia wie, że od lat zabierałem z waszego domu różne rzeczy — powiedziałem ze swobodą kogoś, kto może już uśmiechać się na myśl o swej minionej chorobie. — Teraz chciałbym zabrać sam dom, cały budynek.

— To znaczy?

— Chciałbym kupić ten dom wraz ze wszystkim, co się w nim znajduje.

— A co będzie ze mną?

Na wpół żartobliwie, na wpół serio przedyskutowaliśmy sprawę.

— Chcę w tym domu uczcić pamięć Fiisun — oświadczyłem górnolotnie. Podkreślałem, że smutno będzie cioci wieść samotne życie w tym domu, ale nie musi się stąd wyprowadzać, jeśli nie chce. Na wzmiankę o samotnym życiu ciocia trochę sobie popłakała. Powiedziałem jej, że znalazłem bardzo ładne mieszkanie w Nişantaşı, przy ulicy Kuyulu Bostan, tej samej, przy której kiedyś mieszkała.

— W którym domu? — spytała.

Miesiąc później kupiłem dla cioci przestronne mieszkanie w najładniejszym punkcie ulicy Kuyulu Bostan, niedaleko miejsca, gdzie wynajmowali poprzednie, dokładnie naprzeciwko sklepu z papierosami i gazetami Wujka Obłeśnego (tego, który obmacywał Fiisun w dzieciństwie). Dom w Cukurcumie, zarówno piętro, jak i parter, wraz ze wszystkimi znajdującymi się w nim rzeczami, ciocia oddała mnie. Mój kolega adwokat, który prowadził sprawę rozwodową Fiisun, doradził, byśmy sporządzili stosowny akt u notariusza, co też zrobiliśmy.

Ciocia Nesibe nie spieszyła się jednak z przeprowadzką do Nişantaşı. Jak kompletująca wyprawę młoda dziewczyna kupowała z moją pomocą sprzęty do nowego mieszkania, wieszła lampy, ale za każdym razem, gdy się widzieliśmy, powtarzała z uśmiechem, że nigdy nie opuści domu w Cukurcumie.

— Kemalu, mój chłopcze, nic na to nie poradzę, nie potrafię się rozstać z tym domem, ze wspomnieniami...

— W takim razie zamieńmy ten dom, ciociu, w muzeum naszych wspomnień — odpowiadałem jej.

Moje podróże były coraz dłuższe, rzadziej więc ją widywałem. Nie wiedziałem też jeszcze, co mam zrobić z domem i jego wyposażeniem, a także z rzeczami Fiisun, których widok nadal sprawiał mi ból.

Pierwsza wizyta w Paryżu dała mi impuls do kolejnych wypraw. Udając się do nowego miasta, najpierw kierowałem się do położonego w centrum starego, ale wygodnego hotelu, w którym pokój rezerwowałem jeszcze w Stambule, a następnie, zgodnie z tym, co wyczytałem w książkach i przewodnikach, nie spiesząc się i niczego nie pomijając, zwiedzałem po kolei i dokładnie, jak pilny uczeń odrabiający lekcje, wszystkie muzea, zaglądałem na pchle targi, do sklepów z bibelotami i różnego rodzaju drobiazgami oraz do niektórych antykwariatów, jeśli zaś zauważyłem tam przedmiot podobny do jakiegoś z domu Keskinów, solniczkę, popielniczkę, otwieracz do butelek albo cokolwiek, co mi przypadło do gustu, kupowałem go. Gdziekolwiek się znalazłem, w Rio de Janeiro, Hamburgu, Baku, Kioto czy Lizbonie, w porze kolacji wyruszałem na długi spacer bocznymi uliczkami do odległych dzielnic, chcąc przez otwarte okna zobaczyć wnętrza domów, rodziny zasiadające, tak samo jak w domu Fiisun, do stołu, przed telewizorem, matki przygotowujące posiłek w kuchniach połączonych z jadalnią, dzieci, ojców, młode mężatki i ich beznadziejnych mężów, a nawet bogatych dalekich krewnych zakochanych w córce państwa domu.

Rano niespiesznie zjadałem śniadanie w hotelu i zabijałem czas pozostały do otwarcia małych muzeów, krążąc po ulicach i przesiadując w kawiarniach, wysyłałem pocztówki do matki i cioci Nesibe, usiłowałem dowiedzieć się z lokalnych gazet, co dzieje się na świecie i w Stambule, a gdy wybijała jedenaśta, z notatnikiem w rękę, pełen optymizmu rozpoczynałem zwiedzanie.

W salach Muzeum Miejskiego w Helsinkach, do którego zaszedłem w pewien chłodny, deszczowy poranek, ujrzałem stare buteleczki po lekarstwach, takie same jak te, które znalazłem w szufladzie wujka Tanka. W miasteczku Cazelles pod Lyonem, w pachnących pleśnią pomieszczeniach zamienionej w muzeum dawnej fabryki kapeluszy (byłem w niej jedynym zwiedzającym), zobaczyłem nakrycia głowy, identyczne jak te, które nosili moi rodzice. Oglądając w Stuttgarcie, w ulokowanym w zamkowej wieży Muzeum Krajowym Wirtembergii karty do gry, pierścienie, naszyjniki, szachownice i obrazy olejne, natchniony ich widokiem, uznałem, że należące do Keskinów przedmioty i moja miłość do Fiisun zasługują na równie okazałe wyeksponowanie. W Muzeum Perfum w Grasse, mieście na południu Francji, niedaleko wybrzeży Morza Śródziemnego, światowej stolicy zapachów, spędziłem cały dzień, próbując przypomnieć sobie zapach Fiisun. W Starej Pinakotece w Monachium, której schody posłużyły mi potem za wzór przy konstruowaniu schodów w moim muzeum, widok obrazu Rembrandta zatytułowanego *Ofiara Abrahama* przypomniał mi o tym, o czym przed laty rozmawialiśmy z Fiisun — o gotowości do oddania tego, co najcenniejsze, bez żądania czegokolwiek w zamian. W Muzeum Romantyzmu długo przyglądałem się przedmiotom należącym do George Sand: zapalniczce, klejnotom, kolczykom, a także przypiętemu do kawałka papieru puklowi włosów, aż poczułem dreszcz. W poświęconym dziejom miasta Muzeum Historycznym w Göteborgu cierpliwie przesiadywałem przed gablotą pełną chińskiej porcelany sprowadzonej przez Kompanię Wschodnioindyjską. W marcu 1987 roku, zastawszy zamknięte maleńkie Muzeum Miejskie w Breviku, do którego wycieczkę polecił mi pracujący w tureckim konsulacie w Oslo dawny kolega szkolny, postanowiłem mimo wszystko nie rezygnować z obejrzenia ekspozycji.



nowanych w nim wewnątrz trzystuletniej poczty, fotograficznego atelier i dawnej apteki, dlatego wróciłem do Oslo, przemocowałem tam i następnego dnia ponownie pojechałem do Breviku. Wizyta w Muzeum Morskim w Trieście, w którego murach mieściło się kiedyś więzienie, zainspirowała mnie do zilustrowania mojej obsesji innymi obiektami, na przykład modelem statku, powiedzmy „Kalendera”, który pływał po Bosforze i w mej pamięci nierozzerwalnie wiązał się ze wspomnieniami o Fiisun. Na pomysł wyeksponowania podarowanych mojej ukochanej spinek i broszek w gablotkach, jak kolekcji prawdziwych motyli, wpadłem, zwiedzając wraz z innymi ubranymi w szorty turystami Muzeum Owadów i Motyli w miejscowości La Ceiba w Hondurasie, dokąd zdobycie wizy kosztowało mnie wiele trudu. Przyszło mi na myśl, że w podobny sposób mógłbym potraktować komary, muchy, gzy i inne owady pojawiające się w domu Keskinów. W Muzeum Medycyny Chińskiej w Hangzhou w Chinach miałem wrażenie, że oglądam pudełka po lekarstwach wujka Tanka. W Paryżu, w nowo otwartym Muzeum Tytoniu, stwierdziłem z dumą, że tamtejsza kolekcja jest znacznie uboższa od moich zgromadzonych w ciągu ośmiu lat zbiorów. Przypominam sobie, jak w pewien rzeński wiosenny poranek w Aix-en-Provence z zachwytem i nie skrywaną radością podziwiałem półki, kuchenne naczynia, sprzęty w jasnych salach zamienionej w muzeum pracowni Paula Cezanne’a. O tym, że przeszłość zamieszkuje w przedmiotach, jak dusza, że wizyty w cichych, małych muzeach urządzonych w domach przynoszą mi ukojenie i przywiązują mnie do życia, pokazując jego piękno, przekonałem się po raz kolejny w wypieszczonym Domu Rockoksa w Antwerpii. Ale czy musiałem pojechać aż do Muzeum Freuda w Wiedniu i obejrzeć setki rzeźb i antyków z kolekcji wielkiego lekarza, by zaakceptować, polubić, a w końcu zdecydować się pokazać innym własną kolekcję

zgrupowaną w kamienicy Zmiłowanie? Czy powodem, dla którego podczas każdego pobytu w stolicy Wielkiej Brytanii oglądałem dawny zakład balwierski w Muzeum Londynu, była tęsknota za stambulskimi fryzjerami, Basrim i Cevatem Gadułą? W urządzonym w jednym z londyńskich szpitali Muzeum Florence Nightingale, dokąd wybrałem się w nadziei znalezienia tam zdjęć i przedmiotów związanych z pobytem słynnej pielęgniarki w czasie wojny krymskiej w Stambule, nie zobaczyłem niczego, co dotyczyłoby tego miasta, za to spostrzegłem spinkę do włosów, taką samą, jaką miała Fiisun. Wsłuchiwałem się w głęboką ciszę wypełniającą mieszczące się w starym pałacu Muzeum Czasu w Besancon we Francji i wśród zegarów rozmyślałem o czasie i muzeach. Gdy w Muzeum Teylera w mieście Haarlem w Holandii spacerowałem między wielkimi starymi gablotami pełnymi minerałów, skamielin, medali, monet i dawnych narzędzi, doznałem jakby olśnienia i przez moment wydawało mi się, że jestem w stanie powiedzieć, co takiego w tych pograżonych w ciszy muzeach nadaje sens życiu i przynosi mi głębokie ukojenie, ale chwilę potem nie potrafiłem już określić, czemu te miejsca tak mnie pociągają. Podobnego radosnego wrażenia doznałem w Madrasie, w Muzeum Fortu St. George, pierwszej angielskiej twierdzy w Indiach, gdy oglądałem listy, obrazy, monety i przedmioty codziennego użytku, a wielki wiatrak na suficie powoli miesił gorące, bardzo wilgotne powietrze. Gdy wszedłem po schodach Muzeum Castelvechio w Weronie i podziwiałem jedwabiste światło, jakim architekt Carlo Scarpa oświetlił rzeźby, po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że szczęście, jakie dają mi wizyty w muzeach, nie jest związane jedynie z zawartością oglądanych tam zbiorów, lecz wypływa także z harmonijnego ułożenia eksponowanych obrazów i przedmiotów. Ale wizyta w Muzeum Rzeczy, które przez jakiś czas gościło w Martin-

-Gropius-Bau w Berlinie, a potem stało się bezdomne, pokazała mi, że może być również dokładnie odwrotnie, że dzięki inteligencji i poczuciu humoru można zbierać wszystko, że powinniśmy zbierać wszystko, co kochamy, i wszystko, co się wiąże z tym, co kochamy, i nawet wtedy gdy nie mamy do dyspozycji ani domu, ani muzeum, nasza kolekcja będzie miała swą duchową siedzibę. Ujrzawszy we Florencji w Galerii Uffizich obraz *Ofiarowanie Izaaka* Caravaggia, najpierw zapłakałem z żalu, że nie było mi dane oglądać go razem z Fiisun, a potem przypomniałem sobie, że nauka płynąca z historii o ofierze Abrahama mówi, iż możliwe jest zastąpienie tego, co kochamy, czymś innym, i dlatego właśnie jestem tak bardzo przywiązany do zbieranych przez lata pamiątek po Fiisun. Uwielbiałem galimatias i natłok eksponatów w zamienionym w muzeum domu sir Johna Soane'a\*, który odwiedzałem podczas każdej bytności w Londynie, lecz mój największy podziw budził sposób, w jaki eksponowano w nim obrazy; przesiadywałem godzinami w jakimś zakątku tego domu, wsłuchując się w dobiegający z zewnątrz uliczny zgiełk i marząc, by móc kiedyś w ten sam sposób wyeksponować przedmioty należące do Fiisun. Czułem, że wtedy moja ukochana będzie się do mnie uśmiechać z nieba.

Co mogę zrobić z pamiątkami po Fiisun, najlepiej pokazały mi jednak spinki, kolczyki, karty do gry, klucze, wachlarze, flakony perfum, chusteczki, broszki, naszyjniki, torebki, bransoletki zgromadzone na najwyższym piętrze Muzeum Frederica

\* John Soane (1753-1837) — specjalizujący się w stylu neoklasycyźnym architekt brytyjski, który wywarł znaczący wpływ na architekturę XIX w. Kolekcjoner obrazów i antyków, umieścił swe zbiory w kupionym w 1892 r. i przebudowanym według własnego projektu budynku, który w 1833 r. ofiarował narodowi jako Muzeum Architektury (obecnie Muzeum Sir Johna Soane'a).

Marèsà w Barcelonie. Wspominałem tę poruszającą kolekcję, zwiedzając Muzeum Rękawiczek na Manhattanie podczas mojej pierwszej podróży po Ameryce, trwającej pięć miesięcy, w której trakcie odwiedziłem dwieście siedemdziesiąt trzy muzea. W Muzeum Technologii Jurajskiej w Los Angeles powróciło do mnie pewne przyprawiające o dreszcz wrażenie, doznawane w niektórych muzeach: oto cała ludzkość żyje w innej epoce, a ja utkwiłem gdzieś w niewłaściwym miejscu i czasie. W Muzeum Avy Gardner w Smithfield, w Karolinie Północnej, skąd ukradłem tę oto tabliczkę przedstawiającą słynną gwiazdę reklamującą porcelanowy serwis, na widok szkolnych zdjęć małej Avy, jej wieczorowej sukni, rękawiczek i butów poczułem tak bolesną tęsknotę za Fiisun, że zaprzagnąłem natychmiast przerwać podróż i wrócić do Stambułu. Powrót do domu rozważałem także w okolicach Nashville, gdy straciłem dwa dni, by zobaczyć kolekcję puszek po piwie i oranżadzie w nowo otwartym wówczas, lecz po jakimś czasie zamkniętym, Muzeum Puszek i Reklam, zdecydowałem się jednak kontynuować podróż. Ostateczną decyzję o powrocie podjąłem dopiero pięć tygodni później, gdy w innym muzeum, które też miało potem zostać zamknięte, w Muzeum Tragedii Amerykańskiej Historii w mieście St. Augustin na Florydzie, ujrzałem niklowane zegary i rozbity, zaczynający rdzewieć wrak buicka, model z 1966 roku, w którym zginęła słynna gwiazda kina lat sześćdziesiątych, Jayne Mansfield.

Do Stambułu wróciłem na krótko. Gdy pod figowcem na pustej parceli przy drodze do Maślaku, obok warsztatu samochodowego mistrza Şevketa, naprawiającego chevrolety, do którego dotarłem prowadzony przez Cetina, ujrzałem naszego chevroleta model 1956, doznałem niezwykle silnego wzruszenia. Kłapa bagażnika była otwarta, w rdzewiejącym wraku urzędowały kury, zbiegłe z otoczonego siatką pobliskiego kur-

nika, bawiły się dzieci. Niektóre jego fragmenty, jak twierdził mistrz Şevket, pozostały w nie zmienionym stanie, wymontowano jedynie kilka nie naruszonych podczas wypadku części, takich jak klapka wlewu paliwa, skrzynia biegów, korbka do opuszczania tylnej szyby, by zamontować je w innych chevroletach, które nadal jeździły, głównie jako dolmusze w Stambule. Gdy wsunąłem głowę do środka, tam gdzie znajdowały się rozbite teraz zegary, przyciski i kierownica, gdy poczułem zapach rozgrzanych w słońcu obić foteli, doznałem wstrząsu. Wiedziony impulsem, dotknąłem kierownicy, tak starej jak moje dzieciństwo. Przytłoczyła mnie intensywność nagromadzonych wspomnień, poczułem się potwornie zmęczony.

— Panie Kemal, co się z panem dzieje, może pan usiądzie — zatroszczył się Cetin. — Chłopaki, podajcie panu szklanek wody!

Niewiele brakowało, a pierwszy raz od śmierci Fiisun rozplakałbym się w obecności innych osób. Natychmiast się opanowałem. Wypiliśmy herbatę, podaną na tacy z napisem Kibris Tiirk (piszę o tym szczególnie z przyzwyczajenia, niech zwiedzający muzeum nie szukają jej wśród eksponatów) przez czeladnika czarnego od smaru i sadzy jak kominiarz, ale o czystych rękach, a następnie po krótkich targach odzyskaliśmy samochód mojego ojca.

— Gdzie go umieścimy? — spytał Cetin.

— Chciałbym do końca życia mieszkać pod jednym dachem z tym samochodem — odrzekłem.

Mówiłem to z uśmiechem, ale Cetin pojął szczerą tego pragnienia i nie perswadował mi jak inni: „Ależ, panie Kemal, trzeba żyć dalej!”. Gdyby to zrobił, wyjaśniłbym mu, że Muzeum Niewinności powstało właśnie po to, by nie żyć dalej. Ale ta gotowa odpowiedź pozostała nie wykorzystana, powiedziałem więc coś innego:

— W kamienicy Zmiłowanie pełno jest różnych rzeczy, chciałybym zgromadzić je w jednym miejscu i zawsze mieć w pobliżu.

Znałem i podziwiałem ludzi, którzy jak Gustaw Moreau zadbali o to, by ich domy, gdzie mieszkali i gromadzili swoje zbiory, stały się po ich śmierci muzeami. Lubiłem utworzone w ten sposób muzea. Podróżowałem więc nadal, by odwiedzać setki znanych mi już muzeów i odkrywać tysiące innych, które budziły moją ciekawość.

## 82. KOLEKCJONERZY

Jak wynika z obserwacji poczynionych przeze mnie podczas podróży po świecie i zdobytych w Stambule doświadczeń, istnieją dwa rodzaje kolekcjonerów:

1. Dumni, szczycący się swoimi zbiorami i pragnący je pokazać (rekrutujący się głównie z kręgu zachodniej cywilizacji);
2. Nieśmiali, ukrywający swe kolekcje gdzieś w kącie, (reprezentujący podejście zgoła nie nowoczesne).

Według Dumnych muzea stanowią naturalną konsekwencję ich zbierackiej pasji. Dla nich kolekcja, jakkolwiek miała początek, powstawała po to, by w końcu zostać z dumą wyeksponowana. Tak było w wypadku wielu małych, prywatnych amerykańskich muzeów, na przykład w ulotce Muzeum Puszek i Reklam podano, że jego założyciel, Tom, wracając w dzieciństwie ze szkoły, podniósł leżącą na ziemi pustą puszkę. Potem znalazł jeszcze jedną i jeszcze jedną, aż w końcu celem jego życia stało się zebranie wszystkich puszek po napojach i urządzenie muzeum.

Nieśmiali natomiast zbierają, by zbierać. Na początku zbieranie przedmiotów stanowi dla nich, tak samo jak dla

Dumnych, odpowiedź na jakieś bolesne przeżycie, problem, mroczny impuls, staje się pocieszeniem, a nawet lekiem, jak czytelnicy mogą się zresztą przekonać na moim przykładzie. Ale społeczeństwo, w którym przyszło żyć Nieśmiały, nie ceni muzeów ani kolekcji, nie uważa kolekcjonerstwa za cenny wkład w poszerzanie wiedzy, w poznawanie świata, lecz za rzecz wstydliwą, którą należy ukrywać. Gdyż w krajach Nieśmiałych kolekcje nie służą pozytywnej wiedzy, dowodzą jedynie tego, że nieśmiały kolekcjoner został kiedyś zraniony.

Od stambulskich zbieraczy obiektów związanych z filmem, z którymi nawiązałem kontakt w pierwszych miesiącach 1992 roku, szukając afiszy filmów oglądanych latem 1976 roku, fotosów, biletów w celu wyeksponowania ich w Muzeum Niewinności, natychmiast przyswoiłem sobie ten kolekcjonerski wstyd, mroczne uczucie, z którym później miałem się spotykać w wielu miejscach w Stambule.

Pan Hifzi, który po zawziętych targach sprzedał mi w końcu fotosy z takich filmów, jak *Tylko śmierć zakończy miłosną udrękę* i *Wzięty w dwa ognie*, powtórzywszy po wielekroć, jak bardzo się cieszy, że jego kolekcja mnie zainteresowała, zaczął się zachowywać, jakby mnie za coś gorąco przeproszał.

— Bardzo trudno mi się rozstać z przedmiotami, które panu sprzedaję, panie Kemal — powiedział. — Ale niech ci, którzy szydzą z mojej pasji, wyśmiewają się ze mnie i pytają: „Po co gromadzisz w domu te śmieci?“, zobaczą, że ktoś taki jak pan, kulturalny, pochodzący z dobrej rodziny, ceni moje zbiory. Nie piję, nie palę, nie uprawiam hazardu, nie wydaję pieniędzy na kobiety. Mam jeden nałóg: zbieram zdjęcia aktorów i fotosy z filmów... Czy interesują pana zrobione na statku „Kalender” fotografie z *Usłyszcie krzyk mojej matki*, w którym Stokrotka zagrała jeszcze jako dziecko? Miała sukienkę na ramiączkach, odsłonięte ramiona... A może odwiedzi pan moje nędzne do-



mostwo dziś wieczorem, pokażę panu coś, czego nikt poza mną dotychczas nie oglądał: fotosy z *Czarnego pałacu*, którego realizację przerwano, gdy odtwórca głównej roli, Tahir Tan, popełnił samobójstwo. Mam też fotos z *Dworca głównego*, turecko-niemieckiego filmu o losach gasterbeiterów, na którym Inge, ta niemiecka modelka, która wystąpiła w reklamie pierwszej tureckiej oranżady o smaku owocowym, grająca Niemkę darzącą Turków sympatią, całuje w usta swojego ekranowego ukochanego, Ekrema Güclii!

Gdy spytałem, u kogo jeszcze mogę znaleźć poszukiwane fotosy, pan **Hifzi** powiedział mi, że domy wielu kolekcjonerów od podłogi po sufit wypełnione są fotosami, filmami, plakatami. Gazety, czasopisma, papiery, zdjęcia, fragmenty taśmy filmowej piętrzyły się w nich wszędzie, aż w końcu brakowało miejsca nawet dla najbliższej rodziny (większość kolekcjonerów nigdy zresztą nie zakładała rodzin) i bliscy zbieraczy wyprowadzali się, a wtedy ci zaczęli zbierać wszystko, co im wpadło w ręce, i w krótkim czasie zamieniali mieszkania w istne śmietniska. Z pewnością to, czego szukałem, znalazłoby się u znanych kolekcjonerów, ale w tych zagraconych do cna pomieszczeniach trudno byłoby wygrzebać cokolwiek, a do niektórych nie dawało się wręcz wejść.

W końcu pan **Hifzi** uległ moim usilnym namowom i wprowadził mnie do kilku takich domów-śmietnisk w Stambule, o których w latach dziewięćdziesiątych krążyły wśród zainteresowanych legendy.

Wiele z eksponowanych w moim muzeum fotosów, widoków Stambułu, pocztówek, biletów, restauracyjnych kart dań, o których zachowaniu nie pomyślałem w odpowiednim czasie, zardzewiałych puszek, wycinków ze starych gazet, papierowych toreb z logo firm, pudełek po lekarstwach, butelek, portretów artystów i innych znanych osób oraz zwykłych

zdjęć, pokazujących codzienne życie w Stambule i mówiących o mieście, w którym żyliśmy z Fiisun, więcej niż cokolwiek innego, sam wyszukałem w tych domach. Właściciel starego dwupiętrowego domu w Tarlabaşı, siedzący na plastikowym krześle wśród stosów papierów i rozmaitych szpargałów, lecz sprawiający wrażenie całkowicie normalnego, oznajmił mi z dumą, że jego kolekcja liczy czterdzieści dwa tysiące siedemset czterdzieści dwa obiekty.

Zażenowanie, jakie poczułem w tym domu, powtórzyło się w innym, znajdującym się w Uskiidarze, gdzie oglądałem kolekcję należącą do pewnego emerytowanego inkasenta z gazowni, który mieszkał wraz ze swą przykutą do łóżka matką. (Można było wejść do jednego tylko pokoju, gdzie stał gazowy piecyk, pozostałe pomieszczenia, lodowate, nieogrzewane, wypełnione były po sufit; jedynie z daleka dostrzegłem stare lampy, pojemniki po proszku do szorowania Vim i znane mi z dzieciństwa niektóre zabawki). Tym, co wywołało we mnie owo uczucie wstydu, nie były poniżające reprimendy, jakich nieustannie udzielała inkasentowi jego sparaliżowana matka, lecz świadomość, że wszystkie te przedmioty, pamiątki po ludziach, którzy chodzili niegdyś ulicami Stambułu, mieszkali tu, a teraz w większości już nie żyją, przestaną istnieć, nie trafią do żadnego muzeum, nie zostaną skatalogowane i umieszczone w ramach czy gablotkach.

Mniej więcej w tym samym czasie usłyszałem smutną opowieść o pewnym greckim fotografie z Beyoglu, który przez czterdzieści lat fotografował w swojej dzielnicy wesela, zaręczyny, przyjęcia urodzinowe, firmowe uroczystości i spotkania w winiarniach, po czym całą swoją kolekcję negatywów, których nie miał już gdzie trzymać, a których nikt nie chciał, nawet za darmo, spalił w kotłowni. Właściciele domów-śmietnisk bywali obiektem żartów całej okolicy, czasem budzili strach ze

względu na swój trudny nieraz charakter, dziwactwa, grzebanie w śmietnikach. Po śmierci tych samotników stosy rupieci z ich domów wyrzucano z niemal religijną pasją na najbliższą pustą parcelę (jedną z tych, na których podczas Święta Ofiar zarzynano zwierzęta), palono albo oddawano śmieciarzom i handlarzom starzyzną — pan Hifzi mówił mi o tym bez większego smutku, jakby opowiadał o czymś zupełnie naturalnym.

W grudniu 1996 roku samotny zbieracz (nazwanie go kolekcjonerem byłoby nadużyciem), niejaki Necdet Adsiz, został w swym domu w Tophane, w odległości siedmiu minut piechotą od domu Keskinów, przygnieciony przez sięgające sufitu przyzmy papierów i rozmaitych rzeczy, a jego ciało znaleziono dopiero po czterech miesiącach, gdy zrobiło się ciepło i smród stał się nie do wytrzymania. Zwały rupieci blokowały drzwi, dlatego strażacy musieli wchodzić przez okno. Zdarzenie to zostało opisane przez gazety na wpół z drwiną, na wpół ze zgrozą, co sprawiło, że stambulczycy jeszcze bardziej zaczęli się obawiać zbieraczy. Dostrzeżenie pewnego dziwnego szczegółu, którego czytelnicy, mam nadzieję, nie uznają za zbędny, zawdzięczałem zdolności do kojarzenia wszelkich faktów związanych z Fiisun. Otóż Necdet Bezimienny, który zginął przygnieciony przez śmieci, a jego ciało rozłożyło się pod ich stertą, był tym samym Necdetem, o którym, jako o zmarłym, wspominała Fiisun podczas uroczystości moich zaręczyn w Hiltonie, w rozmowie o wywoływaniu duchów.

Głębokie zażenowanie, poczucie, że znaleźli sobie takie przynoszące wstyd zajęcie, wymagające utrzymywania go w tajemnicy, mogłem wyczytać z oczu innych kolekcjonerów, których nazwiska chciałbym tu wymienić z wdzięcznością za ich wkład w moje muzeum i utwalenie pamięci o Fiisun. Gdy w latach 1995-1999 zapałałem żądzą zdobycia pocztówki z widokiem każdej ulicy, każdej dzielnicy, gdzie kiedyś spa-

cerowałem z moją ukochaną, poznałem najświetniejszego filokartystę w Stambule, pana Halita, zwanego Chorym Halitem; wspominałem już zresztą o nim wcześniej. Inny kolekcjoner, który prosił, by nie podawać jego imienia, a którego kolekcję klamek i kluczy nabyłem i z radością eksponuję, powiedział, że każdy mieszkaniec Stambułu (miał na myśli mężczyzn) w ciągu swojego życia chwytą średnio za dwadzieścia tysięcy różnych klamek, i przekonał mnie, że „osoba, którą kochałem”, z pewnością dotykała również wielu z tych znajdujących się w jego kolekcji. Pan Siyami poświęcił trzydzieści ostatnich lat swego życia na zdobywanie zdjęć każdego statku, który przepłynął przez Bosfor od momentu, gdy wynaleziono fotografię — w tym miejscu chcę mu podziękować za to, że podzielił się ze mną dubletami ze swej kolekcji, dając mi tym samym możliwość pokazania zwiedzającym statków, których syreny słyszałem, myśląc o Fiisun i chodząc z nią ulicami, a także za to, że jak człowiek z Zachodu, nie wstydził się pokazać publicznie swoich zbiorów.

Za kolekcję karteczek z podobiznami zmarłych, przypinanych w latach 1975-1980 do kołnierzy żałobników, powinienem podziękować innemu zbieraczowi, który pragnął zachować anonimowość. Zawzięcie targował się ze mną o cenę każdej z nich, po czym w końcu tonem zabarwionym leciutką pogardą zadał mi zasadnicze pytanie, a ja udzieliłem mu odpowiedzi, której nauczyłem się już na pamięć, bo odpowiadałem w ten sposób wszystkim:

- To do muzeum, które zakładam...
- Nie o to mi chodzi. Chciałem wiedzieć, dlaczego pan to robi.

Miało to oznaczać, że w życiu każdego, kto zbierał przedmioty, miał obsesję ich gromadzenia, musiało nastąpić jakieś wielkie rozczarowanie, musiał odnieść głębokie emocjonalne

rany albo cierpieć z powodu jakiegoś nierozwiązywalnego problemu. Co to było w moim przypadku? Czy umarł ktoś, kogo kochałem, i przeżywałem, że na pogrzebie nie przypiąłem do kołnierza jego zdjęcia? Albo czy tak jak zadający to pytanie ukrywałem coś przynoszącego wstyd?

W Stambule lat dziewięćdziesiątych, gdzie nie istniały jeszcze prywatne muzea, zbieracze z powodu swojej obsesji nie tylko czuli pogardę dla samych siebie, lecz także przy każdej okazji starali się publicznie poniżyć innych podobnych sobie. Było jeszcze gorzej, gdy dochodziła zazdrość. Wieść o przeprowadzce cioci Nesibe do Nişantaşı i moich staraniach, by z pomocą architekta ihsana zamienić dom Keskinów w muzeum, „dokładnie takie samo jak prywatne muzea w Europie”, a także o tym, że jestem bogaty, szybko się rozeszła. Miałem nadzieję, że właśnie z tego powodu stambulscy kolekcjonerzy traktowali mnie z taką niechęcią. Mogli przecież sądzić, że oddawałem się zbieractwu tylko z powodu mojego bogactwa i jak ci na Zachodzie chciałem urządzić muzeum po prostu dla sławy, a nie w wyniku jakiegoś emocjonalnego urazu, że podobnie jak im brakuje mi piątej klepki.

Za namową pana Hifziego i z nadzieją, że natrafie na coś, co wiązało się z Fiisun i moją historią, wybrałem się na zebranie nowo powstałego podówczas Stowarzyszenia Miłośników Zbierania Najróżniejszych Rzeczy. Zorganizowano je w wynajętej na jeden poranek sali weselnej. Miałem wrażenie, że znalazłem się wśród wypchniętych poza nawias społeczeństwa trędowatych. Członkowie stowarzyszenia, o których już wcześniej słyszałem jako o kolekcjonerach (siedem znanych czytelnikom osób, w tym filumenista Zimny Suphi), odnosili się do mnie bardziej pogardliwie niż do zbieraczy grzebiących w stambulskich śmietnikach, gorzej niż do siebie nawzajem. Niewiele się do mnie odzywali, patrzyli na mnie jak na podej-

rżane indywiduum, szpiega, obcego, czym sprawili mi ogromną przykrość. Jak później przepaszającym tonem wyjaśnił mi pan Hifzi, to że mimo majątku szukałem leku na swoje problemy w zbieraniu rzeczy, budziło w nich złość, odrazę i przypominało im o beznadziei ich życia. Naiwnie wierzyli bowiem, że jeśli pewnego dnia staną się bogaci, ich chorobliwe zbieractwo przeminie. Gdy jednak dotarły do nich wieści o mojej miłości do Fiisun, ci stambulscy kolekcjonerzy z prawdziwego zdarzenia wiele mi pomogli i wspólnie już walczyliśmy o wyjście podobnych do nas pasjonatów z ukrycia.

Przed przeniesieniem rzeczy z kamienicy Zmiłowanie do domu w Cukurcumie sfotografowałem ogólny widok mojej kolekcji zgromadzonej w pokoju, w którym dwadzieścia lat wcześniej kochałem się z Fiisun. (Z zewnątrz nie dochodziły już okrzyki i przekleństwa dzieciaków grających na podwórku w piłkę, lecz szum klimatyzatora). Gdy do tych przedmiotów dołączyły inne, wyszukane w trakcie wyjazdów, pochodzące z domu Keskinów i wyszperane przez zbieraczy, otrzymane od członków stowarzyszenia i osób, które miały swój udział w mojej historii, przed oczami zobaczyłem wreszcie obraz idei, która zrodziła się w mojej głowie podczas zagranicznych podróży i zdarzających się tam wypadów na targi staroci.

Przedmioty, takie jak solniczki, figurki psów, naparstki, ołówki, spinki, popielniczki, rozprzestrzeniały się po całym świecie jak przelatujące nad Stambułem dwa razy w roku stada bocianów. Zapalniczki identyczne jak ta, którą kupiłem dla Fiisun, znalazłem na pchlich targach w Atenach i Rzymie, a bardzo podobne — w sklepach w Paryżu i Bejrucie. Solniczka, która przez dwa lata stała na stole u Keskinów, została wyprodukowana w Stambule, ale widziałem też taką w muzeum mańskiej restauracji w New Delhi, w jadłodajni w Starym Kairze, w Barcelonie — na płachtach rozkładanych w nie-

dzielę na chodnikach przez handlarzy starzyzną, i w Rzymie, w zwyczajnym sklepie z wyposażeniem kuchni. Było jasne, że ktoś gdzieś taką solniczkę wyprodukował, a w innych krajach powielono jej wzór, wykorzystując różne materiały, i sprzedano w ogromnej liczbie sztuk; ze wschodniej części basenu Morza Śródziemnego, z Bałkanów miliony jej kopii trafiły na stoły milionów rodzin i przez wiele lat uczestniczyły w ich codziennym życiu. W jaki sposób ta solniczka zdołała trafić do tak odległych zakątków świata, było zagadką podobną do tej, jak wędrowne ptaki potrafią się z sobą komunikować i co roku podążać zawsze tą samą trasą. Potem pojawiała się kolejna seria solniczek, w miejsce starych zjawiały się nowe, niczym coraz to nowe przedmioty wyrzucane na brzeg podczas sztormów wywołanych *lodosem*\*, a ludzie zapominali o poprzednich, nie zwracając żadnej uwagi na emocjonalną więź, jaka łączyła ich z rzeczami, których używali przez znaczną część życia.

Moją kolekcję, w tym łóżko, na którym kochaliśmy się z Fiisun, zalatujący stęchłą materac i błękitną pościel, przyniosłem z kamienicy Zmiłowanie na poddasze zaadaptowanego na muzeum budynku. W czasach, gdy mieszkali tu Keskinowie, pomieszczenie było mroczne, stał tu zbiornik na wodę i biegały myszy, pająki oraz prusaki, teraz zamieniło się w czysty, jasny pokój, z którego okien widać było gwiazdy. Wniósłszy tam łóżko, wypłem trzy szklaneczki *raki* i zapragnąłem położyć się na nim, otoczony przedmiotami, które przypominały mi o Fiisun, emanującymi z nich uczuciami i wspomnieniami. Tamtego wiosennego wieczoru otworzyłem własnym kluczem nowe drzwi do przebudowanego domu, który miał stać się

\* *Lodos* — silny wiatr wiejący z południowego zachodu, najczęściej zimą, wywołujący sztormy i powodzie.

muzeum, jak duch wszedłem powoli po schodach na poddasze i położyłem się na łóżku, po czym zasnąłem.

Niektórzy ludzie wypełniają przedmiotami dom, w którym mieszkają, aż u kresu swojego życia zamieniają go w muzeum. Ja zaś próbowałem za pomocą łóżka, pokoju i własnej osoby dom zamieniony w muzeum uczynić z powrotem domem. Cóż może być bowiem piękniejszego od zasypiania w otoczeniu rzeczy związanych z głębokimi przeżyciami, uczuciami i wspomnieniami!

W wiosenne i letnie noce coraz częściej nocowałem w pokoju na poddaszu. Architekt ihsan zaprojektował pośrodku budynku otwartą przestrzeń, której głębię czułem w nocy równie silnie jak obecność eksponatów z mojej kolekcji. Prawdziwe muzea to miejsca, gdzie Czas zamienia się w Przestrzeń.

Zacząłem pomieszkiwać na poddaszu muzeum, co bardzo niepokoiło moją matkę. Ponieważ jednak nadal jadałem z nią posiłek w południe, odnowiłem znajomość z niektórymi z dawnych przyjaciół, oprócz Zaima i Sibel oczywiście, latem brałem udział w przejażdżkach jachtem do Suadiye i na Wyspy Książęce, nic nie mówiła — może uważała, że w ten sposób radzę sobie z bólem po stracie Fiisun. I w przeciwieństwie do moich znajomych przyjmowała zupełnie normalnie pomysł założenia w domu Keskinów muzeum, w którym przedmioty z naszego życia opowiadałyby o mojej miłości do Fiisun.

— Ależ oczywiście, możesz wziąć stare rzeczy z mojej szafy, te z szuflady też... Kapelusze, nie będę już ich nosić, torebki i te rzeczy po ojcu... I druty do dziergania, guziki, po siedemdziesiątce nie będę się przecież zajmować szyciem, weź je, nie będziesz musiał kupować — mówiła.

Z cicią Nesibe, która wydawała się zadowolona z nowego mieszkania i z sąsiedztwa, widywałem się raz w miesiącu, gdy wracałem z podróży do Stambułu. Z przejściem opowiedzia-



łem jej, że Heinz Berggruen\* zawarł z urzędem miasta Berlina umowę, na mocy której miał prawo aż do śmierci mieszkać na poddaszu muzeum, w którym znalazły się jego zbiory.

— Zwiedzający muzeum może w jednej z sal lub na schodach napotkać człowieka, który zgromadził eksponowaną w muzeum kolekcję. Czyż to nie dziwne, ciociu?

— Niech ci Bóg da długie życie, Kemal — odpowiedziała ciocia, zapalając kolejnego papierosa. Potem zapłakała na wspomnienie Fiisun i ze łzami płynącymi po policzkach i papierosem w ustach uśmiechnęła się do mnie.

\* **Heinz Berggruen (1914-2007)** — urodzony w Berlinie marszand i kolekcjoner sztuki. W 1936 r. wyemigrował do Stanów Zjednoczonych. W 1996 r. za niewielką kwotę przekazał swojemu rodzinnemu miastu kolekcję arcydzieł malarstwa XX w. (w 2001 r. wyceniano jej wartość na 450 mln dolarów).

## 83. SZCZĘŚCIE

Pewnej księżycowej nocy obudziło mnie światło wpadające przez pozabawione zasłon okno na poddaszu domu w Cukurcu-mie. Spojrzałem w dół, w otwierającą się pode mną przestrzeń. Przez niewielkie okna muzeum, które czasami wydawało mi się niemożliwe do wypełnienia eksponatami, napływał srebrzysty blask księżyca, sprawiając, że wewnątrz budynku powiększało się w nieskończoność. Niższe piętra, wcinające się w pustą przestrzeń jak balkony, zajmowała wśród cieni kolekcja zbierana przeze mnie trzydzieści lat. Mogłem dostrzec każdy eksponat, zardzewiały wrak chevroleta, przedmioty używane przez rodzinę Keskinów w tym domu, piec, lodówkę, telewizor<sup>^</sup> w który wpatrywaliśmy się, siedząc przy stole przez osiem lat, jedząc kolacje, i niczym szaman potrafiący rozmawiać z duszami przedmiotów, czułem, jak wibrują we mnie snute przez nie opowieści.

Tamtej nocy zrozumiałem, że potrzebny jest katalog, w którym szczegółowo zostałyby opowiedziane historie wszystkich eksponatów. Utworzyłyby one dzieje mojej miłości do Fiisun i stanowiłyby wyraz mojego podziwu dla niej.

Każda z rzeczy zalanych światłem księżycą i przez to sprawiających wrażenie zawieszonych w próżni oznaczała jedną chwilę, niepodzielną jak atomy Arystotelesa. Wiedziałem, że łączącą je linią powinna być opowieść, tak jak linią łączącą arystotelesowskie chwile jest Czas. Oznaczało to, że jakiś pisarz mógłby napisać katalog mojego muzeum, tak jak pisze się powieść. Nie zamierzałem nawet próbować sam napisać takiej książki. Kto więc mógłby to dla mnie zrobić?

I wtedy właśnie postanowiłem zadzwonić do pana Orhana Pamuka, z nadzieją, że wysłucha on opowieści z moich ust i za moją aprobatą napisze tę książkę. Niegdyś jego ojciec i stryj robili interesy z moją rodziną. Pochodził ze zubożałej starej rodziny z Nişantaşı, uznałem więc, że we właściwy sposób ujmie tło, na którym rozgrywa się moja historia. Słyszałem też, że naprawdę lubi snuć opowieści i poważnie traktuje swoje zajęcie.

Na pierwsze spotkanie z panem Orhanem poszedłem przygotowany. Nim wspomniałem o Fiisun, powiedziałem mu, że w ciągu ostatnich piętnastu lat zwiedziłem tysiąc siedemset czterdzieści trzy muzea, skrupulatnie zachowując bilety wstępu, po czym z nadzieją, że go to zainteresuje, zacząłem opisywać moje ulubione muzea poświęcone pisarzom — być może uśmiechnąby się, gdyby się dowiedział, że jedyną oryginalną rzeczą przechowywaną w Muzeum Dostojewskiego w Petersburgu jest kapelusz, wyeksponowany pod szklanym kloszem i opatrzony karteczką z napisem: „Naprawdę należał do Dostojewskiego”. Co powiedziałyby na to, że budynek obecnego Muzeum Nabokova w tym samym mieście był za Stalina siedzibą lokalnego urzędu cenzury? Wyznałem mu, że eksponowane w Muzeum Prousta w Illiers-Combray portrety osób będących pierwowzorami bohaterów *W poszukiwaniu straconego czasu* powiedziały mi więcej o świecie, w którym

pisarz żył, niż o samej powieści. Nie, nie uważałem muzeów poświęconych pisarzom za nonsens. Znakomitym pomysłem było na przykład zgromadzenie w domu Spinozy, w małym holenderskim miasteczku Rijnsburg, wszystkich książek wymienionych w inwentarzu sporządzonym po śmierci myśliciela, a następnie ułożenie ich na półkach według wielkości, czyli tak, jak to praktykowano w siedemnastym wieku. Jak wspaniale było spędzić cały dzień w Muzeum Tagorego, gdzie obejrzałem namalowane przez pisarza akwarele i przypominając sobie pachnące wilgocią i pleśnią wczesne muzea Atatiirka, krążyłem po podobnych do labiryntu salach i wsłuchiwałem się w nigdy nie milnący uliczny zgiełk Kalkuty. Wspomniałem o oglądanych w domu Pirandella w Agrigento fotografiach, które wydały mi się fotografiami mojej rodziny, o panoramie miasta widocznej z domu Strindberga w Sztokholmie i o tym, jak swojsko poczułem się w małym, smutnym domku, który Edgar Allan Poe dzielił z ciotką i dziesięcioletnią kuzynką Wirginią, swą późniejszą żoną. (Muzeum Poego, czteropiętrowy budynek znajdujący się pośrodku jednej z peryferyjnych, ubogich dzielnic Baltimore, ze względu na swe niewielkie rozmiary, rozkład pomieszczeń i smutny stan było najbardziej ze wszystkich muzeów, jakie zwiedziłem, podobne do domu Keskinów). Oznajmiłem panu Orhanowi, że za najlepiej urządzone muzeum poświęcone pisarzowi uważam Muzeum Mario Praza przy ulicy Giulia w Rzymie. Jeżeli kiedykolwiek znajdzie się, zapowiadawszy uprzednio swoją wizytę, tak jak ja to zrobiłem, w domu tego wielkiego historyka romantyzmu, znawcy w jednakowym stopniu malarstwa i literatury, powinien koniecznie przeczytać książkę, w której sala po sali, eksponat po eksponacie spisano, niczym pasjonującą powieść, dzieje jego kolekcji. Dom w Rouen, w którym Flaubert przyszedł na świat, wypełniały medyczne książki jego ojca, w związku z czym

można było sobie darować zwiedzanie Muzeum Flauberta i Historii Medycyny. W końcu spojrziałem uważnie w oczy mojego rozmówcy:

— Zapewne wie pan, panie Orhanie, z listów Flauberta, że źródłem natchnienia dla pisarza była jego kochanka, Louise Colet, z którą uprawiał seks w powozach i prowincjonalnych hotelach, co potem opisał w powieści, a podczas pracy nad *Panią Bovary* trzymał w szufladzie pukiel jej włosów, chusteczkę i pantofelki, które co pewien czas wyjmował i pieścił — patrzył na buciki i wyobrażał sobie, jak ona w nich chodzi.

— Nie, nie wiedziałem o tym, ale to bardzo ładne.

— Ja też kochałem pewną kobietę tak bardzo, że przez lata przechowywałem jej włosy, chusteczki, spinki, wszystko, co do niej należało, i w tych przedmiotach szukałem pocieszenia. Czy mogę opowiedzieć panu szczerze moją historię?

— Oczywiście, bardzo proszę.

Podczas naszego pierwszego spotkania, które odbyło się w otworzonej na miejscu Foyer restauracji Padyszach, przez trzy godziny opowiadałem mu co mi się przydarzyło, tak jak umiałem, może trochę chaotycznie, przeskakując z tematu na temat. Wydaje mi się, że z powodu gorączkowego podniecenia i wypitych trzech podwójnych porcji *raki* nieco strywializowałem swoje przeżycia.

— Znałem Fiisun — powiedział pan Orhan. — Pamiętam też przyjęcie zaręczynowe w Hiltonie. Byłem wstrząśnięty jej śmiercią. Pracowała w butik, tu niedaleko. Na pańskich zaręczynach nawet zatańczyliśmy ze sobą.

— Naprawdę? To był cudowny człowiek, czyż nie? Mam na myśli nie tylko jej urodę, lecz także duszę. Panie Orhanie, a o czym rozmawialiście podczas tańca?

— Jeśli rzeczywiście ma pan wszystkie należące do niej rzeczy, bardzo chętnie bym je obejrzał.

Najpierw odwiedził mnie w Cukurcumie i w zamienionym na muzeum starym domu obejrzał z ciekawością moją kolekcję, nie skrywając wrażenia, jakie na nim zrobiła. Czasem brał do ręki jakiś przedmiot, na przykład żółte pantofle, które Fiisun miała na nogach w dniu, gdy zobaczyłem ją po raz pierwszy w butik Champs Elysees, chciał się o nim czegoś dowiedzieć, a ja mu opowiadałem.

Potem zaczęliśmy regularnie razem pracować. Gdy byłem w Stambule, raz w tygodniu przychodził do mnie na poddasze, pytał, dlaczego przedmioty i fotografie, które w określonej kolejności wiązały się z moimi wspomnieniami, powinny się znaleźć w tej, a nie innej gablocie w muzeum, w tym, a nie innym rozdziale powieści, a ja mu z przyjemnością odpowiadałem. Słuchał mnie uważnie, a to, jak skrupulatnie wszystko notował, sprawiało mi przyjemność i napawało mnie dumą.

— Niech pan jak najszybciej skończy tę powieść, tak aby zwiedzający muzeum mogli przyjść do niego już z książką w ręku. Gdy będą chodzić od gabloty do gabloty, by z bliska poczuć moją miłość do Fiisun, ja zejść z góry w piżamie i wmieszam się pomiędzy nich.

— Ale pan, panie Kemal, też jeszcze nie skończył swojego muzeum — odpowiadał mi pan Orhan.

— Na świecie jest jeszcze wiele muzeów, których nie widziałem — odpowiadałem z uśmiechem. I znów próbowałem mu wyjaśnić wpływ panującej w muzeach ciszy na mąą ckaszę, wyrazić, jakim szczęściem jest dla mnie zwiedzać w któryś wtorek w jakimś mieście na końcu świata zapomniane muzeum w odległej dzielnicy, starając się przy tym uciec przed wzrokiem pilnujących go strażników. Gdy tylko wracałem z kolejnej podróży, natychmiast telefono wałem do pana Orhana i opowiadałem mu, co widziałem, pokazywałem mu bilety wstępu, ulotki informacyjne, schowane do kieszeni w ulubio-

nych muzeach drobne przedmioty czy tabliczki wskazujące kierunek zwiedzania.

Po jednej z takich podróży opowiedziałem mu najpierw moją historię, potem o muzeach, które tym razem zwiedziłem, a w końcu spytałem, na jakim etapie znajduje się powieść.

— Piszę ją w pierwszej osobie — oświadczył pan Orhan.

— To znaczy?

— Swą opowieść snuje pan sam, używając zaimka „ja”. To pan jest narratorem. Dlatego ostatnio usiłuję postawić się na pańskim miejscu, stać się panem.

— Rozumiem — zamyśliłem się. — No dobrze, a pan, czy pan przeżył kiedykolwiek taką miłość?

— Hm... Nie mówmy o mnie — powiedział i zamilkł.

Długo pracowaliśmy, a potem na poddaszu napiliśmy się *raki*. Byłem już zmęczony stałym opowiadaniem o Fiisun i swoich przeżyciach. Gdy wyszedł, wyciągnąłem się na łóżku, na którym kiedyś (ponad ćwierć wieku temu) kochałem się z Fiisun, i pomyślałem o pewnym dziwnym aspekcie opowiadania tej historii w pierwszej osobie.

Nie wątpiłem, że opowieść będzie nadal moją opowieścią i że on ją uszanuje, ale nie mogłem się przyzwyczaić do tego, że będzie przemawiał moim głosem. To był, moim zdaniem, słaby punkt całego przedsięwzięcia. Opowiadanie zwiedzającym własnej historii osobiście i pokazywanie im przy tym poszczególnych eksponatów wydawało mi czymś zwyczajnym, nieraz przecież wyobrażałem sobie, jak otwieram ukończone muzeum i właśnie tym się zajmuję. Ale irytowało mnie, że pan Orhan zajmuje moje miejsce i to jego głos, a nie mój, będzie słyszany.

Nie mogąc się pozbyć tego odczucia, dwa dni później, gdy znów spotkaliśmy się na poddaszu muzeum i już zdążyliśmy wychylić pierwszą szklaneczkę *raki*, spytałem go o Fiisun.

— Panie Orhanie, czy mógłby mi pan opowiedzieć o tym, jak w wieczór moich zaręczyn tańczył pan z Fiisun? Bardzo proszę.

Opierał się przez jakiś czas, krępował się, jak sędzę. Ale po kolejnej szklaneczce opowiedział mi tak szczerze wszystko, że natychmiast mu uwierzyłem i zrozumiałem, że to on, przemawiając moimi ustami, najlepiej opowie zwiedzającym muzeum moją historię.

Myszę, że dość się już nagadałem, więc teraz najlepiej będzie, gdy kwestię zakończenia powieści pozostawię jemu. Od tego momentu, w kolejnych akapitach aż do końca, moją opowieść snuje pan Orhan. Jestem pewien, że serdeczne zainteresowanie, jakie okazał podczas tamtego tańca Fiisun, okaże teraz również ostatnim stronicom tej książki. Zegnam się więc, do widzenia!



Witam, nazywam się Orhan Pamuk! Za pozwoleniem pana Kemala chciałybym zacząć od mojego tańca z Ftisun. To była najładniejsza dziewczyna na przyjęciu i mężczyźni niemal ustawiali się w kolejce, by z nią zatańczyć. Nie byłem ani dość przystojny i reprezentacyjny, ani dostatecznie, jak by to określić, dojrzały — mimo pięciu lat różnicy wieku — i pewny siebie, by zwrócić jej uwagę. Moralizatorskie myśli, które krążyły mi po głowie, zaczerpnięte z przeczytanych książek, nie pozwalały mi się dobrze bawić. Ona z kolei miała głowę zaprzątniętą zupełnie innymi rzeczami, o czym czytelnik z pewnością doskonale wie.

Mimo to, gdy poprosiłem ją do tańca i ruszyliśmy w stronę parkietu — ona pierwsza, a ja za nią — zachwyciłem się jej długą szyją, odkrytymi ramionami, nieskazitelnymi plecami, i gdy tylko uśmiechnęła się do mnie, natychmiast oddałem się marzeniom. Jej dłoń była lekka i ciepła. Gdy położyła mi drugą na ramieniu, przez chwilę wydawało mi się, że gest ten wynikał nie z tańca, lecz z przyjaznej poufałości, i poczułem dumę.

Gdy lekko się kołysząc, wirowaliśmy powoli, bliskość jej skóry, odchylonego ciała, ramion i piersi przyprawiała mnie o zawrót głowy, a im bardziej próbowałem się opierać jej urokowi, tym szybciej pracowała moja wyobraźnia: oto, trzymając się za ręce, schodzimy z parkietu, idziemy do baru na górę, zakochujemy się w sobie szaleńczo i całujemy się pod drzewami, a w końcu bierzemy ślub!

Pierwsze słowa, jakie wypowiedziałem, tylko po to, by cokolwiek powiedzieć („Widuję panią czasem w Niṣantaṣi, gdy przechodzę obok sklepu”), były wyjątkowo banalne, przypomniały jej jedynie, że jest ładną ekspedientką, puściła ją więc mimo uszu. Zresztą już w połowie pierwszej piosenki zorientowała się, że ze znajomości ze mną nic interesującego nie wyniknie, i ponad moim ramieniem obserwowała innych gości, patrzyła, kto siedzi przy stoliku, kto z kim tańczy, z kim rozmawiają i żartują mężczyźni, którzy okazywali jej zainteresowanie, mierzyła wzrokiem ładne kobiety i zastanawiała się, jaki powinien być jej następny krok.

Pod środkowym i wskazującym palcem mojej prawej dłoni, którą z należnym szacunkiem, ale i z przyjemnością trzymałem tuż powyżej jej kształtnego biodra, wyczuwałem, jak puls, nawet najmniejsze ruchy jej miednicy. Trzymała się dziwnie prosto, oszałamiająco prosto. Nigdy tego nie zapomnę. W niektórych momentach czułem pod palcami jej kości, krew pulsującą w żyłach, jej ożywienie, przebłysk zainteresowania czymś nowym, ruch organów wewnętrznych, delikatność jej kręgosłupa i z trudem udawało mi się zapanować nad sobą, by nie objąć jej mocniej i nie przytulić. \^

Gdy na parkiecie zrobiło się tłoczno, jakaś para potrąciła nas i nasze ciała na moment przywarły do siebie. Po tym gwałtownym bliskim kontakcie milczałem dłuszą chwilę. Patrząc na jej szyję i włosy, czułem, że w pogoni za szczęściem, którego

mógłbym przy niej zaznać, byłbym w stanie zapomnieć o książkach i pragnieniu zostania pisarzem. Miałem dwadzieścia trzy lata i wpadałem w złość, gdy na wieść o tym, że zamierzam poświęcić się pisaniu, moi koledzy i znajomi z kręgów burżuazji z Nişantaşı powtarzali mi z uśmiechem, że w tym wieku nikt nie zna dobrze życia. Chciałbym dodać, iż pisząc te słowa teraz, trzydzieści lat później, uważam, że mieli rację. Gdybym wtedy znał życie, zrobiłbym wszystko, by podczas tańca zwróciła na mnie uwagę, wierzyłbym, że mogłaby się mną zainteresować, i nie stałbym z założonymi rękami, patrząc beczynnie, jak wysuwa się z moich objęć i odchodzi.

— Jestem zmęczona — powiedziała. — Może usiadzimy?

Szarmancko, w sposób, jaki podpatrzyłem na filmach, odprowadzałem ją do stolika, ale w pewnym momencie nie wytrzymałem:

— Jaki koszmarny ścisk — oświadczyłem niby przebiegle.

— Może pójdziemy na górę i tam w spokoju porozmawiamy?

— W panującym hałasie nie dosłyszała moich słów, ale z mojej miny od razu domyśliła się, o co mi chodzi.

— Muszę posiedzieć teraz z rodzicami — odpowiedziała i oddaliła się z gracją.

Pan Kemel zorientował się, że tu się kończy moja opowieść, i natychmiast mi pogratulował:

— Tak, dokładnie tak zachowywała się Fiisun, bardzo dobrze pan to ujął! — powiedział. — Bardzo dziękuję, że nie pominął pan żadnych szczegółów, nawet tych, które mogłyby być dla pana krępujące. Tak, chodzi o dumę, panie Orhanie. Otwierając muzeum, chciałem pokazać nie tylko Turkom, ale całemu światu, jak być dumnym ze swojego życia. Podczas podróży widziałem na własne oczy, że ludzie na Zachodzie to potrafią, podczas gdy reszta świata żyje we wstydzie. A przecież jeśli rzeczy, których się wstydzimy, wystawić w mu-

zeum, natychmiast zmienia się w rzeczy będące powodem do dumy.

To była pierwsza z wygłaszanych mentorskim tonem przemów pana Kemala, jakimi, wypiwszy kilka szklaneczek *raki*, raczył mnie o północy w swoim pokoiku na poddaszu muzeum. Nie przeszkadzało mi to zbytnio, gdyż w Stambule każdy, kto zorientował się, że ma przed sobą pisarza, wiedziony tym samym impulsem, zaczynał wygłaszać pouczające przemowy, wciąż jednak, jak często mówił pan Kemal, miałem mętlik w głowie i nie wiedziałem, co w jakiej kolejności powinienem umieścić w książce.

— Czy wie pan, panie Orhanie, kto najdobitniej pokazał mi, że u podstaw każdego muzeum leży duma? — spytał pan Kemal podczas innej naszej rozmowy na poddaszu o północy. — Oczywiście muzealni strażnicy... Wszędzie, gdzie się znalazłem, to właśnie oni z dumą i pasją odpowiadali na moje pytania. W Muzeum Stalina w Gori pilnująca ekspozycji starsza kobieta przez blisko godzinę opowiadała mi, jakim wielkim człowiekiem był Stalin. To z długiej opowieści sympatycznego strażnika z Muzeum Epoki Romantyzmu w mieście Oporta w Portugalii dowiedziałem się, jak głęboki wpływ na portugalski romantyzm wywarły trzy ostatnie miesiące życia Karola Alberta, wygnanego króla Sardynii, które spędził w tym domu w 1849 roku. Panie Orhanie, jeśli ktoś ze zwiedzających nasze muzeum będzie miał jakieś pytania, strażnicy powinni umieć szczerze i z godnością na nie odpowiedzieć, wyjaśnić dzieje kolekcji Kemala Basmaciego, opowiedzieć o mojej miłości do Fiisun i znaczeniu należących do niej poszczególnych przedmiotów. Proszę wspomnieć o tym w książce. Wbrew powszechnemu przekonaniu zadaniem strażników jest nie tylko chronić ekspozaty (oczywiście, że wszystko, co jest związane z Fiisun, powinno podlegać wiecznej ochronie), uciszać zbyt głośno się

zachowujących turystów i pouczać tych, co żują gumę i całują się po kątach, lecz także dawać odczuć zwiedzającym, że znajdują się w miejscu świętym, w którym powinni zachowywać się skromnie, z szacunkiem i nabożeństwem jak w meczecie. Strażnicy w Muzeum Niewinności będą nosić pasujące do klimatu kolekcji i odpowiadające gustowi Fiisun ubrania z ciemnobrązowego welum, jasnoróżowe koszule oraz krawaty z wyhaftowanym emblematem muzeum — kołczykiem, i pod żadnym pozorem nie powinni przeszkadzać żującym gumę czy całującym się parom. Dla kochanków, którzy nie mogą w Stambule znaleźć miejsca, gdzie mogliby się całować, drzwi Muzeum Niewinności po wsze czasy będą stały otworem!

Czasami miałem dość rozkazującego tonu, w stylu politycznie zaangażowanych pisarzy z lat siedemdziesiątych, który pojawiał się w głosie pana Kemala po wypiciu dwóch szklaneczek *raki*, i na kilka następnych dni traciłem chęć na odwiedzin. Ale zawiłości historii Fiisun i niezwykły klimat, jaki tworzyły zgromadzone w muzeum przedmioty, niezwykle mnie pociągały, więc po pewnym czasie znowu miałem ochotę pojawić się na poddaszu i wysłuchać przemowy tego zmęczonego człowieka, który zagłębiając się we wspomnienia o ukochanej, coraz więcej pił, a w miarę tego jak pił, opowiadał z coraz większą pasją.

— Proszę nie zapominać, panie Orhanie, że logika mojego muzeum nakazuje, by z każdego miejsca ekspozycji można było objąć wzrokiem całą kolekcję, każdą gablotę — mawiał. — Zawsąd powinny być jednocześnie widoczne wszystkie obiekty, czyli cała moja historia, w wyniku czego zwiedzający utracą poczucie Czasu. Na tym polega największe pocieszenie w życiu. W tworzonych z miłością, dobrze zaprojektowanych poetyckich muzeach doznajemy ukojenia nie dlatego, że oglądamy w nich nasze ulubione stare przedmioty, lecz dlatego, że

Czas przestaje tam istnieć. Proszę, by umieścił pan to w swojej książce. Nie powinniśmy ukrywać, jak doszło do tego, że zleciłem panu jej napisanie, ani tego, w jaki sposób pan ją pisał... Poproszę także o pańskie notatki, brudnopisy, one też powinny zostać włączone do ekspozycji. Ile czasu to jeszcze panu zajmie? Czytelnicy książki zapragną zapewne — tak jak pan — przyjść tu i zobaczyć włosy Fiisun, jej sukienki i wszystkie należące do niej rzeczy. Proszę też, by na końcu zamieścił pan mapę, by wędrując ulicami Stambułu, osoby zainteresowane mogły łatwo znaleźć drogę do naszego muzeum. Ci, którzy poznają Fiisun i naszą historię, przemierzając ulice miasta i podziwiając jego widoki, będą z pewnością wspominać moją ukochaną, tak jak ja to robię. Czytelnicy otrzymają prawo jednorazowego wstępu za darmo. W tym celu najlepiej będzie dołączyć bilet do książki. Każdemu, kto przyjdzie z nią do muzeum, odźwierny specjalnym stemplem opieczętuje bilet.

— Gdzie umieścimy ten bilet?

— A choćby tutaj!



— Dziękuję. Na końcu książki zamieścimy też indeks występujących w niej osób\*, panie Orhanie. Dzięki panu przypomniałem sobie, ilu ludzi zna naszą historię, ilu było jej świadkami. Trudno mi nawet wszystkich spamiętać.

---

\* Zob. strona 743.

W gruncie rzeczy panu Kemalowi nie bardzo podobał się pomysł, bym odszukał występujące w opowieści osoby i skontaktował się z nimi, ale doceniał moją sumienność jako autora powieści. Czasami ciekawiło go, co dana osoba powiedziała, czym się zajmuje obecnie, czasami jednak pozostawał obojętny, nie rozumiał wręcz, dlaczego mnie to interesuje.

Nie mógł na przykład pojąć, dlaczego napisałem list do pana Abdulkerima, przedstawiciela Satsat na Kayseri, i spotkałem się z nim podczas jednej z jego wizyt w Stambule. Gdy Satsat zbankrutował, pan Abdulkerim zaczął reprezentować Tekyay, spółkę założoną przez Osmana razem z panem Turgayem, historię pana Kemala zaś wspominał jak kompromitujący romans, który spowodował upadek firmy.

Odszukałem też Suhendan Yildiz (Wredną Suhendan), aktorkę specjalizującą się w rolach złych kobiet, która widywała pana Kemala w barze Pergamin, kiedy zaczął tam bywać. Wyznała mi, że tak jak wszyscy doskonale wiedziała, że ten bezradny samotnik był strasznie zakochany w Fiisun, nie współczuła mu jednak specjalnie, bo nie przepadała za bogaczami, którzy próbują wejść w filmowe środowisko w pogoni za ładnymi dziewczynami. Współczuła natomiast Fiisun, która „z niecierpliwością graniczącą z paniką pragnęła grać w filmach i zostać gwiazdą”. Lecz nawet jeśli udałoby się jej zrobić karierę, i tak źle by skończyła w tym stadzie wygłodniałych wilków. Suhendan nie rozumiała, dlaczego Fiisun wyszła za tego „grubasa” (Feriduna). Wnuk aktorki, ten, dla którego, siedząc w barze, dziergała trójkolorowy sweterek, ma dziś trzydzieści lat i gdy ogląda w telewizji jeden z filmów z udziałem swej babci, pokłada się ze śmiechu, dziwić się jednocześnie, jak ubogi był w tamtych czasach Stambuł.

Fryzjer Basri z Nişantaşı był w swoim czasie również moim fryzjerem. Nadal pracuje w zawodzie. Z sympatią i szacun-

kiem wspomina nie tyle Kemala, ile jego zmarłego ojca, pana Miimtaza, człowieka wesołego, lubiącego żartować, szczodrego i serdecznego. Od fryzjera Basriego nie dowiedziałem się nic wartego odnotowania, tak samo zresztą jak od Hilmiiego Bękartu i jego żony Neslihan, Hayatiego Marzyciela i innych bywalców baru Pergamin, Saliha Sanhego czy Kenana. Ayla, sąsiadka z parteru, o której Fiisun nie chciała opowiadać, mieszka obecnie z mężem inżynierem i czwórką dzieci, z których najstarsze jest już na studiach, przy jednej z bocznych ulic w Begiktagu. Powiedziała, że przyjaźń z Fiisun wiele dla niej znaczyła, podziwiała w niej wszystko, energię, poczucie humoru, a nawet próbowała ją naśladować, lecz Fiisun nie była z nią tak blisko, jak by ona sobie tego życzyła. Obie stroiły się i chodziły do Beyoglu do kina. Ich koleżanka z sąsiedztwa była bileterką w Teatrze Dormen i wpuszczała je na próby. Potem szły gdzieś zjeść kanapkę i napić się *ayranu*, wzajemnie broniąc się przed natarczywymi mężczyznami. Czasem wchodziły dla zabawy do Vakko albo innego luksusowego sklepu i przymierzały stroje. Udając, że chcą coś kupić, przeglądały się w lustrach. I gdy tak wesoło spędzały czas, żartowały, rozmawiały albo oglądały film, Fiisun nagle nad czymś się zamyślała i jej dobry nastrój w jednej chwili zniknął, ale nigdy nie powiedziała Ayli, co ją dręczy. Wszyscy w okolicy wiedzieli, że pan Kemal regularnie przychodzi z wizytą, że jest bardzo bogaty i trochę dziwny, ale nikt nie wspominał o miłości. Ayla, podobnie jak inni mieszkańcy dzielnicy, z którymi zresztą nie utrzymuje obecnie kontaktu, nie ma pojęcia, co przed laty zdarzyło się między nim a Fusun.

Biały Goździk z zajmującego się plotkami redaktora awansował na stanowisko naczelnego dodatku rozrywkowego jednej z największych gazet w kraju. Poza tym wydawał czasopismo poświęcone romansom i skandalom z życia aktorów występu-



jących w krajowych filmach i serialach. Jak większość dziennikarzy, którzy niejedną raz wymyślonymi, kłamliwymi informacjami zniszczyli komuś życie, szczerze nie pamięta już, co wypisywał o Kemal, i prosi, by przekazać mu pozdrowienia, a przede wszystkim złożyć wyrazy najgłębszego szacunku jego matce, pani Vecihe, do której zresztą co jakiś czas dzwoni, żeby uzyskać świeże informacje. Sądził, że skontaktowałem się z nim, bo piszę powieść, której akcja toczy się w środowisku artystów, co wróży, że będzie się dobrze sprzedawać, dlatego przyjacielskim tonem zadeklarował gotowość do wszelkiej pomocy: czy wiem na przykład, że syn słynnej niegdyś gwiazdy, Stokrotki, z jej nieudanego związku z producentem Muzaffere jest, mimo młodego wieku, właścicielem jednej z największych firm w branży turystycznej w Niemczech?

Feridun nie utrzymuje już kontaktów ze środowiskiem filmowców, założył dobrze prosperującą firmę reklamową. Nazwa, jaką jej nadał, Błękitny Deszcz, świadczy, że nie zapomniał o swych marzeniach z młodości, ale nie spytałem go o tamten nie nakręcony film. Feridun realizuje obecnie reklamy pełne piłki nożnej i powiewających flag, sugerujące, że cały świat drży przed tureckimi herbatnikami, džinsami, maszynkami do golenia i macho. Słyszał o muzeum pana Kemala, ale dopiero ode mnie dowiedział się o książce „o Fiisun”. Z niezwykłą szczerością wyznał mi, że tylko raz w życiu był naprawdę zakochany, lecz wtedy Fiisun nie odwzajemniała jego uczucia. Nie chciał znów cierpieć, więc przez cały czas trwania ich małżeństwa bardzo się starał ponownie w niej nie zakochać. Wiedział zresztą, że Fiisun wyszła za niego za męża, bo musiała. Doceniałem jego szczerość. Gdy opuszczałem jego eleganckie biuro, grzecznie poprosił o przekazanie pozdrowień panu Kemalowi i marszcząc brwi, rzekł ostrzegawczo: — Jeśli napisze pan jedno złe słowo o Fiisun, będzie pan miał ze mną

do czynienia! — po czym jego twarz przybrała znów swój zwykły, lekko ironiczny wyraz.

Od wielkiej firmy produkującej napoje jego firma otrzymała zlecenie na przygotowanie kampanii reklamowej nowego produktu, oranżady Bryza, która ma zająć na rynku miejsce Zefira; spytał, czy mogliby użyć w spocie pierwszego zdania z mojej książki *Nowe życie*.

Pan Çetin za otrzymaną odprawę kupił taksówkę, którą wynajmuje innemu kierowcy, ale od czasu do czasu, mimo zaawansowanego wieku, osobiście wyrusza na ulice Stambułu, by wozić ludzi. Gdy spotkaliśmy się na postoju w Beşiktaşu, powiedział mi, że pan Kemal nic się nie zmienił od czasów dzieciństwa i młodości, pozostał wciąż takim samym, kochającym każdą chwilę życia, otwartym na świat i ludzi, pełnym optymizmu człowiekiem. Dlatego dziwne może się wydawać, że przez całe życie był nieszczęśliwie zakochany. Lecz gdybym lepiej poznał Fiisun, zrozumiałbym, że zakochał się w tej kobiecie właśnie dlatego, że tak bardzo kochał życie. Oboje, Fiisun i Kemal, byli dobrymi ludźmi, pozbawionymi złych intencji i bardzo do siebie pasującymi; niestety, z woli boskiej nie dane im było się połączyć, lecz nie nam to osądzać.

Gdy spotkałem się z panem Kemalem po jego powrocie z kolejnej długiej podróży, wysłuchawszy opowieści o tym, co podczas niej widział, przekazałem mu słowo w słowo to, co pan Çetin powiedział o Fiisun.

— Pewnego dnia zwiedzający muzeum poznają naszą historię i domyśla się, jakim człowiekiem była Fiisun, panie Orhanie — oświadczył pan Kemal i zaraz napiliśmy się *raki* (picie z nim sprawiało mi coraz większą przyjemność). — Oglądając ekspozycję gabloty po gablocie, plansza po planszy, uświadomił sobie, jak dokładnie przez osiem lat, podczas kolacji, przyglądałem się Fiisun, ile uwagi poświęciłem jej rękom, ra-

mionom, uśmiechowi, falującym włosom, sposobom gaszenia papierosów, marszczeniu brwi, jej chusteczkom, spinkom, butom, łyżce, którą trzymała w ręku, wszystkim, co było z nią związane (miałem ochotę powiedzieć: „ale nie zwrócił pan uwagi na kolczyki, panie Kemal”, ale się powstrzymałem), i poczują wtedy, że miłość to poświęcanie uwagi, zainteresowanie... Bardzo proszę, niech pan skończy jak najszybciej książkę i wspomni w niej, że każdy z eksponatów powinien zostać oświetlony, odpowiednio do uwagi, jaką go obdarzałem, miękkim światłem płynącym z wnętrza gabloty. Oglądając ekspozycję, zwiedzający nabiorą respektu dla miłości mojej i Fiisun, skonfrontują ją z własnymi wspomnieniami. Nie należy wpuszczać zbyt wielu osób naraz, by oglądanie przedmiotów należących do Fiisun, widoków miejsc w Stambule, gdzie chodziliśmy, trzymając się za ręce, całej kolekcji mogło stać się dla zwiedzających prawdziwym przeżyciem. Do Muzeum Niewinności nie mogą wchodzić grupy liczące więcej niż pięćdziesiąt osób, powinny koniecznie, tak samo jak wycieczki szkolne, zapowiedzieć wcześniej swoją wizytę. Na Zachodzie muzea stają się coraz bardziej zatłoczone, panie Orhanie. Tak jak my niegdyś wsiadaliśmy w niedzielę do samochodu i jechaliśmy nad Bosfor, tak tam całe rodziny idą do muzeów, jak my w niedzielę jedliśmy obiad w knajpie nad wodą, tak oni prześiadują teraz w restauracjach przy muzeach. Proust napisał, że po śmierci jego ciotki sprzęty z jej domu trafiły do burdelu i za każdym razem, gdy widział tam ciocine fotele i stoły, czuł, że meble płaczą. Gdy w niedzielę przez muzeum przewalają się tłumy, eksponaty płaczą, panie Orhanie. Ale w moim muzeum będą zawsze u siebie. Obawiam się, że pod wpływem tej muzealnej mody nasi nieobyci bogacze o niewyrobnym smaku nabiorą ochoty na pójście w ślady Zachodu i zaczną urządzać u nas nowoczesne muzea malarstwa, wyposażone w restaura-

cje. A przecież jeśli chodzi o tę dziedzinę sztuki, nasz naród ani nie ma o niej pojęcia, ani w niej nie gustuje, ani też nie przejawia w tym względzie żadnych uzdolnień. Turcy powinni oglądać w muzeach nie marne naśladownictwa sztuki Zachodu, lecz własne życie. Nasze muzea powinny być odzwierciedleniem nie marzeń naszej burżuazji o byciu Europejczykami, lecz naszego życia. Moje muzeum, całe życie moje i Fiisun, wszystko, czego doświadczyliśmy i o czym panu opowiedziałem, jest prawdziwe, panie Orhanie. Być może coś z tego może się wydać zwiedzającym czy czytelnikom nie do końca jasne, gdyż choć opowiedziałem swoją historię absolutnie szczerze, też nie wiem, w jakim stopniu sam ją rozumiem. Wyjaśnienia zostawiam przyszłym naukowcom, którzy będą pisać artykuły do wydawanego przez muzeum czasopisma „Niewinność”. To od nich dowiemy się, jakie strukturalne więzi łączyły spinki i szczotki do włosów Fiisun ze zmarłym kanarkiem Cytrynką. Moje przeżycia, miłosny ból, cierpienie Fiisun, próby złagodzenia udręki spojrzeniami rzucanymi podczas kolacji, szczęście płynące z możliwości trzymania się za ręce na plaży czy w kinie mogą przyszłym pokoleniom zwiedzających wydać się mocno przesadzone, a wtedy muzealni strażnicy powinni wyjaśnić im, że to wszystko rzeczywiście się wydarzyło. Proszę się nie martwić, osobiście nie mam wątpliwości, że nasza miłość będzie absolutnie zrozumiała dla przyszłych pokoleń. Za pięćdziesiąt lat roześmiani studenci, którzy przyjadą tu autobusem z Kayseri, japońscy turyści z aparatami fotograficznymi, karnie ustawiający się w kolejce przed wejściem, czy samotne kobiety, które zabłądzą tu przypadkiem, a także szczęśliwi stambulscy zakochani z uwagą obejrzą sukienki Fiisun, solniczki, zegary, restauracyjne karty dań, stare fotografie Stambułu, nasze wspólne zabawki i będą głęboko przeżywać naszą miłość i wszystko, co my przeżyliśmy, jestem tego pewien.

Mam też nadzieję, że równie chętnie będą zwiedzać wystawy tymczasowe, gdzie ujrzą to, co zgromadzili moi stambulscy bracia dziwacy, których poznałem na zebraniach stowarzyszenia i w domach-śmietniskach, zbierane przez ogarniętych obsesją kolekcjonerów zdjęcia statków, kapsle, pudełka zapalek, rygle do drzwi, pocztówki, podobizny aktorów i znanych osób, kolczyki. Opowieści o tych kolekcjach i wystawach również powinny się znaleźć w katalogach-powieściach. Zwiedzający, którzy z szacunkiem i nabożeństwem będą wspominać dzieje miłości Fiisun i Kemala, rozumieją, że jest to opowieść nie tylko o parze kochanków, jak historie Lejli i Madżnuna czy Hiisn i Aşk\*, ale także o miejscu, w którym żyli, czyli o Stambule. Wypije pan jeszcze jedną szklaneczkę *raki*, panie Orhanie?

Bohater tej powieści, założyciel muzeum, Kemal Basmaci, zmarł 12 kwietnia 2007 roku, dokładnie w dniu pięćdziesiątych urodzin Fiisun, w wieku sześćdziesięciu dwóch lat, w Mediolanie, w Grand Hotel de Milan, gdzie zawsze się zatrzymywał, w wielkim pokoju, którego okna wychodziły na via Manzoni; śmierć nastąpiła nad ranem, we śnie, wskutek zawału serca. Jeśli tylko nadarzała się sposobność, jeździł do Mediolanu, by, jak to określał, „przeżyć” Muzeum Bagatti Valsecchi, które uważał za jedno z pięciu najważniejszych dla niego muzeów. (Przed śmiercią zdążył ich odwiedzić dokładnie pięć tysięcy siedemset dwadzieścia trzy. — Muzea, po pierwsze, nie są po to, by je zwiedzać, lecz by je czuć i przeżywać, po drugie — ich ducha, którego tam się wyczuwa, stanowi kolekcja, a po trzecie — muzeum bez kolekcji nie jest muzeum, tylko salonem wystawienniczym — powiedział kiedyś, co skrupulatnie zanotowa-

\* Hiisn i Aşk — Piękno i Miłość, bohaterowie suffickiego poematu autorstwa Şeyha Galiba (1757-1799).

łem). Tym, co oczarowało pana Kemala w domu urządzonym w dziewiętnastym wieku przez dwóch braci w stylu włoskiego cinquecento, a w dwudziestym stuleciu zamienionym w muzeum, było to, że zgromadzona w nim kolekcja (stare łóżka i lampy, renesansowe lustra, naczynia) stanowiła jednocześnie przedmioty codziennego użytku mieszkających tam braci.

Ceremonia pogrzebowa w meczecie Teşvikiye zgromadziła większość osób wymienionych w indeksie dołączonym do tej książki. Matka Kemala, pani Vecihe, obserwowała ją jak zwykle z balkonu; głowę zakryła chustą. Zebrani na dziedzińcu, ze łzami w oczach patrzyliśmy, jak, szlochając, żegna syna...

Krewni pana Kemala, którzy przedtem nie chcieli ze mną rozmawiać, po pogrzebie kolejno, w dziwnym, ale logicznym porządku, wyrazili chęć spotkania. Zawdzięczałem to ich mylnemu przekonaniu, że w moich książkach, których akcja toczy się na ogół w Nişantaşı i okolicach, bezlitośnie oczerniam wszystkich tamtejszych mieszkańców. Plotki, wręcz oskarżenia, że w złym świetle przedstawiam nie tylko matkę, brata, stryja i całą rodzinę, ale także wielu szanowanych mieszkańców tej dzielnicy, na przykład słynnego pana Cevdeta i jego synów, mojego przyjaciela Ka, a nawet zamordowanego felietonistę Celala Salika, którego osobiście podziwiałem, znanego sklepikarza Alaaddina, generałów oraz wiele znanych osobistości życia politycznego i religijnego, były, niestety, bardzo rozpowszechnione. Zaim i Sibel bali się mnie, choć nie przeczytali jeszcze książki. Zaim jest teraz jeszcze bogatszy niż w latach młodości, oranżada Zefir wprawdzie znikła już dawno ze sklepów, ale firma rozrosła się i nadal dobrze prosperuje. Oboje bardzo gościnnie przyjęli mnie w swoim położonym na wzgórzach ponad Bebekiem wspaniałym domu z widokiem na Bosfor. Oświadczyli, że są dumni, iż to właśnie ja podjąłem się spisania historii Kemala (krewni Fiisun mówili, że piszę histo-

rię Fiisun), lecz aby moja powieść nie była zbyt jednostronna, powinienem wysłuchać także ich.

Najpierw chcieli mi jednak opowiedzieć o niezwykłym przypadku, jakim było spotkanie z Kemalem na mediolańskiej ulicy po południu 11 kwietnia 2007 roku, czyli pół dnia przed jego śmiercią. Zaim, Sibel oraz ich dwie córki, które tamtego wieczoru zasiadły razem z nami do kolacji, dwudziestoletnia Gul i osiemnastoletnia Ebru, wybrali się podczas wakacji na trzy dni do Mediolanu. Gdy szli ulicą całą rodziną, oblizując kolorowe, pomarańczowe, truskawkowe, melonowe lody w wafelkach i oglądając wystawy sklepów, Kemal dostrzegł najpierw Gul, rzeczywiście niezwykle podobną do matki, i zaskoczony podszedł do niej, wołając: — Sibel, Sibel, to ja, Kemal!

— Gul wygląda tak samo jak ja, gdy miałam dwadzieścia lat, a w dodatku miała wtedy na sobie szydełkową narzutkę, którą nosiłam w tamtych czasach — oświadczyła pani Sibel z dumą. — Kemal sprawiał wrażenie bardzo zmęczonego, zaniedbanego i strasznie nieszczęśliwego. To był przykry widok, panie Orhanie, było mi go żal. Nie tylko zresztą mnie, Zaimowi też. Zniknął gdzieś tamten kochający życie, miły, zawsze uśmiechnięty, lubiący żartować człowiek, z którym zaręczyłam się w Hiltonie, a jego miejsce zajął stroniący od świata i ludzi ponury starzec, nie rozstający się z papierosem. Gdyby nie rozpoznał Gul, nigdy nie domyślilibyśmy się, że to on. Zestarażał się, szcerniał, przygarbił. Przykro było patrzeć. W dodatku spotkałiśmy się po raz pierwszy od nie pamiętam ilu lat.

— Dokładnie po trzydziestu latach od waszej ostatniej wspólnej kolacji w Foyer — podpowiedziałem.

Zapadła przyprawiająca o dreszcz cisza.

— Powiedział panu o wszystkim! — jęknęła po chwili Sibel.

W przedłużającej się ciszy zrozumiałem, co w gruncie rzeczy chcieli mi powiedzieć. Zaim i Sibel pragnęli, by czytelnici-

cy dowiedzieli się, że są ze sobą szczęśliwi, że mają udane, normalne życie.

Lecz gdy po kolacji córki poszły do swoich pokoi, a my siedzieliśmy, popijając koniak, wyczułem, że jest coś jeszcze, o czym mówienie przychodzi im z trudem. W końcu przy drugim kieliszku Sibel, nie wdając się, w przeciwieństwie do Zaima, w dłuższe przemowy, zaczęła po prostu opowiadać:

— Pod koniec lata 1975 roku, po tym jak Kemal przyznał mi się do swojej choroby, to znaczy do tego, że zakochał się do szaleństwa w Fiisun, zrobiło mi się go żal, chciałam mu jakoś pomóc. Pełna dobrych chęci mieszkałam z nim w naszym *yah* w Anadoluhisan przez miesiąc (w rzeczywistości były to trzy miesiące), z nadzieją, że się wyleczy. W zasadzie nie ma to teraz znaczenia... Współczesna młodzież nie przywiązuje wagi do takich spraw jak dziewictwo (to też nie jest prawdą), ale bardzo bym prosiła, by nie wspominał pan w swojej książce o tym upokarzającym dla mnie okresie... Sprawa ta może wydawać się błaża, ale z jej powodu pokłóciłam się z Nurcihan, moją najlepszą przyjaciółką, gdyż rozpowszechniała plotki na ten temat. Gdyby się o tym dowiedziały moje córki, zapewne wcale by się nie przejęły, ale znajomi, plotkarze... Niech pan będzie tak uprzejmy...

Zaim oświadczył, że zawsze bardzo lubił Kemala, uważał go za dobrego człowieka i brakowało mu jego przyjaźni, po czym na w pół z podziwem, a na w pół z lękiem zapytał:

— Rzeczywiście Kemal zebrał wszystkie rzeczy należące do Fiisun, naprawdę powstaje muzeum?

— Tak — odpowiedziałem — a ja je rozreklamuję moją książką.

Gdy późno wieczorem serdecznie się żegnaliśmy, przez moment spróbowałem postawić się na miejscu Kemala. Gdyby żył i odnowił przyjaźń z Zaimem i Sibel (to było całkiem



możliwe), opuszczaliby ich dom, odczuwając zarówno radość, jak i żal, że prowadzi samotne życie.

— Panie Orhanie — powiedział Zaim już w drzwiach — proszę przychylić się do prośby Sibel. Nasza firma Zefir z chęcią wesprze powstające muzeum.

Tamtego wieczoru zrozumiałem, że rozmowy z innymi świadkami są bezcelowe. Chciałem napisać historię pana Kemala nie tak, jak oni ją widzieli, lecz tak, jak on mi ją opowiedział.

Wiedziony uporem, pojechałem jednak do Mediolanu, gdzie stwierdziłem, że tym, co tak bardzo zmartwiło Kemala w dniu, gdy spotkał na ulicy Zaima i Sibel z córkami, był opłakany stan Muzeum Bagatti Valsecchi, którego część, by zapewnić mu dochód, wynajęto na sklep znanej marki Jenny Colon. Strażniczki (zatrudniano wyłącznie kobiety) w czarnych strojach miały łyzy w oczach i zdaniem dyrektora tym właśnie był tak przygnębiony ów pan z Turcji, który raz na kilka lat odwiedzał muzeum.

To wystarczyło, bym uświadomił sobie, że nie muszę już wysłuchiwać niczyich racji, by skończyć książkę. Chciałbym jedynie spotkać się z Fiisun i wysłuchać jej opowieści. Nim spotkałem się z jej rodziną, przyjąłem jednak zaproszenia od innych osób, usilnie namawiających mnie do odwiedzenia ich i panicznie obawiających się książki, ale zrobiłem to wyłącznie dla przyjemności zjedzenia w ich towarzystwie posiłku.

Podczas krótkiej kolacji otrzymałem od Osmana radę, bym w ogóle nie opisywał tej historii. Tak, Satsat z powodu zanie dbań nieboszczyka, jego brata, zbankrutował, ale wszystkie inne spółki założone przez ich ojca, Miimtaza, są gwiazdami na firmamencie tureckiego eksportu. Nie brakuje jednak wrogów, a książka, której publikacja z pewnością wywołuje falę plotek, może ośmieszyć Holding Basmaci i oczywiście nas wszystkich w oczach Europejczyków. Ze spotkania wyszedłem jednak z miłą pamiątką — należącą do Kemala, gdy był mały, kulka

do gry, którą pani Berrin w tajemnicy przed mężem wręczyła mi w kuchni.

Pani Nesibe, z którą już wcześniej poznał mnie pan Kemal, w jej mieszkaniu przy ulicy Kuyulu Bostan, nie powiedziała mi niczego nowego. Teraz płakała nie tylko za Fiisun, ale także za Kemalem, o którym mówiła jako o „jedynym prawdziwym zięciu”. Raz tylko wspomniała o muzeum. Miała kiedyś tarkę do pigwy, nie może jej teraz nigdzie znaleźć, a właśnie chciała zrobić konfitury. Może tarka jest w muzeum? Czy mógłbym ją przynieść przy okazji następnej wizyty? Przy pożegnaniu rozpłakała się. „Panie Orhanie, przypomina mi pan Kemala” — powiedziała.

Do Ceydy, najbliższej przyjaciółki Fiisun i powierniczki jej sekretów, a moim zdaniem również osoby najlepiej go rozumiejącej, pan Kemal zaprowadził mnie pół roku przed śmiercią. Nie bez znaczenia było, że lubiąca czytać pani Ceyda sama chciała mnie poznać. Jej dwaj synowie inżynierowie oraz sympatyczne synowe, których fotografie mi pokazała, obdarzyli ją siedmiorgiem wnucząt. U jej starego i bogatego (syn Sedircich!) męża, który wydał mi się nieco podпиты i lekko otepiały od alkoholu, ani my, ani nasze opowieści, ani nawet *raki*, pita przeze mnie z Kemalem, nie wzbudziły najmniejszego zainteresowania.

Ceyda opowiedziała mi ze śmiechem, że pojedynczy kolczyk, który Kemal zostawił w łazience podczas pierwszej wizyty w Cukurcumie, Fiisun znalazła jeszcze tego samego wieczoru i zaraz doniosła o tym koleżance, po czym wspólnie postanowiły ukarać Kemala — Fiisun miała powiedzieć, że żadnego kolczyka nie widziała. Kemal dowiedział się o tym, jak i o wielu innych tajemnicach Fiisun, już wiele lat wcześniej od samej Ceydy. Teraz tylko uśmiechnął się gorzko i nalał nam obu po jeszcze jednej *raki*.

— Aby się czegoś dowiedzieć o Fiisun — powiedział do Ceydy — spotykałem się z tobą w parku Taşlik w Macka. Gdy

opowiadałaś mi o niej, podziwiałem stamtąd widok na Dolmabahę. A teraz zauważyłem, że w mojej kolekcji mam wiele zdjęć zrobionych z tego miejsca.

Gdy temat zszedł na fotografie, pani Ceyda oznajmiła, być może trochę na moją cześć, że znalazła zdjęcie, którego pan Kemal nie widział. Bardzo nas ono zaciekawiło. Zostało zrobione podczas gali finałowej Konkursu Miss Gazety „Milliyet” w 1973 roku, gdy za kulisami Hakan Serinkan szeptał Fiisun na ucho pytania „na wiedzę i inteligencję”, które miał jej zadać na scenie. Znanemu piosenkarzowi, który obecnie jest posłem do parlamentu z ramienia partii islamistycznej, Fiisun najwyraźniej bardzo przypadła do gustu.

— Niestety, żadnej z nas nie udało się zakwalifikować do finału, panie Orhanie, ale jak przystało na licealistki, przez cały wieczór zaśmiewaliśmy się do łez — powiedziała Ceyda. — Wtedy właśnie zrobiono to zdjęcie. — Gdy tylko Kemal spojrział na wyblakłą fotografię, którą szybkim ruchem położyła na blacie stolika, twarz poszarzała mu jak popiół i nie odzywał się przez dłuższą chwilę.

Ponieważ mąż Ceydy nie lubił, gdy wspominała o udziale w konkursie piękności, nie mieliśmy szansy dobrze przyjrzeć się zdjęciu. Ale wyrozumiała jak zawsze Ceyda na pożegnanie ofiarowała je Kemalowi.

Opuściwszy jej dom w Macka, ruszyliśmy w milczeniu w stronę Nişantaşı. — Odprowadzę pana aż do kamienicy Pamuków — oświadczył Kemal. — Nie pójdę dzisiaj do muzeum, lecz przenocuję u mojej matki w Teşvikiye.

Pięć budynków przed kamienicą Pamuków, przy kamienicy Zmiłowanie, zatrzymał się i uśmiechnął.

— Przeczytałem pański *Śnieg* do końca — powiedział. — Nie przepadam za polityką. Dlatego, proszę mi wybaczyć, trochę zmuszałem się do lektury. Spodobało mi się jednak

zakończenie. Ja też, jak bohater *Śniegu*, chciałbym na zakończenie książki przemówić bezpośrednio do czytelników. Mam chyba do tego prawo? Kiedy skończy pan książkę?

— Jak pan skończy urządzać muzeum — odpowiedziałem. To był nasz ulubiony żart. — Co chce pan w ostatnim słowie powiedzieć czytelnikom?

— Nie powiem, jak bohater *Śniegu*, że czytelnicy mogą nas z perspektywy czasu nie zrozumieć, bo wiem, że ci, którzy zwiedzą muzeum i przeczytają książkę, zrozumieją nas na pewno. Chciałbym powiedzieć coś innego.

Mówiąc to, wyjął z kieszeni fotografię i w bladym świetle ulicznej latarni stojącej przed kamienicą Zmiłowanie popatrzył czule na Fiisun. Podeszedłem do niego.

— Piękna, prawda? — zapytał tak samo jak jego ojciec ponad trzydzieści lat wcześniej.

Patrzyliśmy na zdjęcie Fiisun w czarnym kostiumie kąpielowym z wyszytym numerem 9, na jej ramiona w kolorze miodu, niezbyt pogodną, wręcz smutną minę, wspaniałe ciało i ze zdziwieniem, miłością i szacunkiem dostrzegaliśmy w jej twarzy, mimo upływu trzydziestu czterech lat od zrobienia fotografii, wciąż uderzająco głęboki i uduchowiony wyraz.

— Proszę umieścić to zdjęcie w muzeum, panie Kemalu — poprosiłem.

— To są moje ostatnie słowa w książce, niech pan ich nie zapomni...

— Nie zapomnę.

Ucałował czule zdjęcie Fiisun i ostrożnie umieścił je w kieszeni na piersi. A potem uśmiechnął się do mnie tryumfująco.

— Wszyscy powinni wiedzieć, że miałem bardzo szczęśliwe życie.

**2001-2002, 2003-2008**

# INDEKS OSÓB

(WEDŁUG AUTORA)

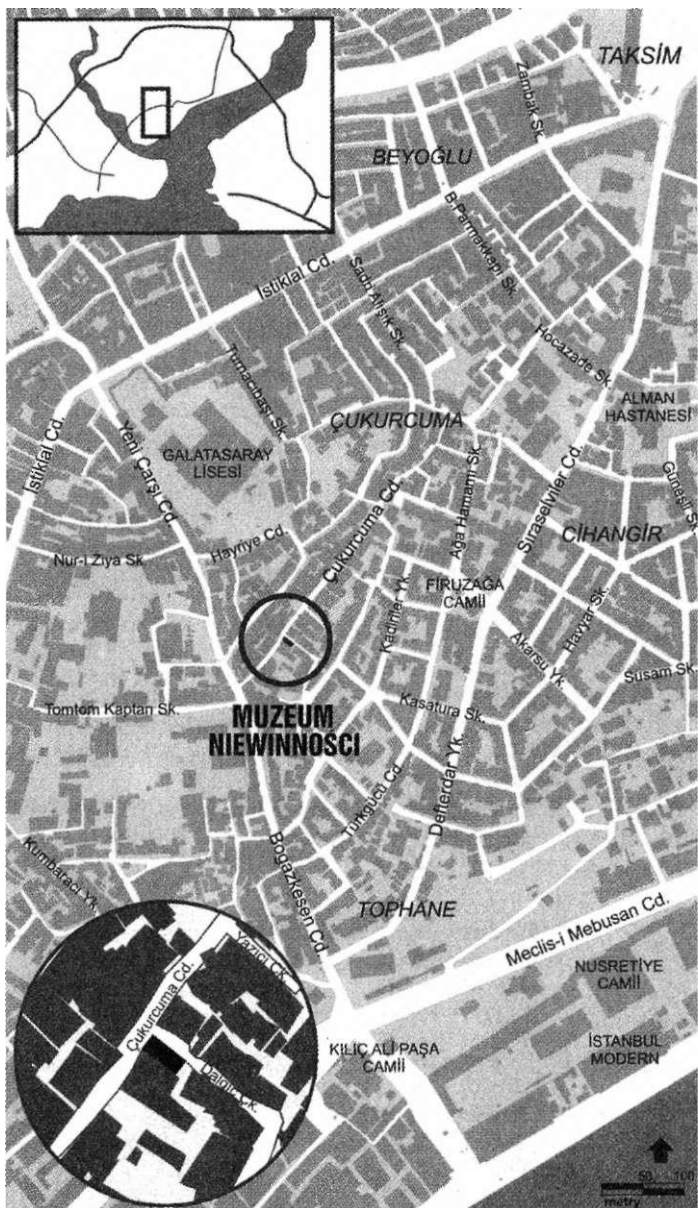
- Abdulkerim**, kolega Kemala z wojska 34, 358-359, 729
- Ahmet**, brat Mehmeda 92
- Alaaddin**, sklepikarz 55, 58-59, 98, 234, 239, 258, 461, 465, 507, 553, 736
- Ali**, syn sąsiadów Keskinów 466, 468, 566, 658
- Alptekin**, syn pana Ciineyta 156
- Asena**, córka pana Ciineyta 156
- Avundukow** starszy syn 373
- Ayla**, lokatorka Keskinów 418, 508, 730
- Ayşe**, dziewczyna Zaima 273, 276, 455, 457
- Basri**, fryzjer 68, 111-112, 147, 623, 700, 729-730
- Bekri**, kucharz 17, 56-57, 112, 119-120, 135, 156, 328, 330, 441, 534
- Belkis**, ofiara wypadku 112-114, 117, 119, 122
- Berrin Basmaci**, bratowa Kemala 71, 163-167, 172, 178-179, 181, 183, 191, 199, 203, 327-328, 334, 373, 458, 685, 739
- Biały Goździk (Sureyya Sabir)**, dziennikarz 177-178, 518, 590, 657, 730
- Billur Dagdelen**, niedoszła narzeczona Kemala 355, 363, 372
- Celal Salik**, felietonista 6, 186, 200, 496, 507, 736
- Cemile**, koleżanka matki Kemala 397-398, 622
- Cevat Gaduła**, fryzjer 147, 623, 700
- Ceyda**, przyjaciółka Fiisun 124-125, 263-264, 302, 304, 337-338, 399, 634, 639-640, 690, 740-741
- Ciineyt**, były lichwiarz 156, 326, 624
- Cetin**, szofer 39, 57, 59-62, 64, 97, 120, 129-131, 135, 138, 142, 152, 325, 328, 335, 339-342, 352-353, 367, 369-370, 372, 376, 383, 388, 392-393, 395, 414-417, 422, 442, 444, 452, 458, 481, 486, 506, 508-509, 536, 538, 541-542, 574-575, 599, 625, 632, 638, 648, 653-654, 656-661, 663-665, 702-703, 732

- Dagdelen, rodzina 355, 364, 372  
Demir Demirbag, kochanek Belkis 119  
Demir Maszyna do Pisania, scenarzysta 474-475, 477  
Demirbag, rodzina 113, 119  
Doktor Barbut 155
- Efe, elektryk 509, 567, 625  
Ekrem Guclii, aktor 62, 69, 531, 576-577, 593-594, 598, 625, 707  
Esat, sąsiad z Suadiye 373, 375, 621  
Ethem Kemal, dziadek Remala 15-16, 148, 462
- Faris Kaptanoglu, pierwszy chłopak Belkis 113-114  
Faruk, spotkany w Sanyer kolega Mehmeta 619, 687  
Faruk Szczur, kolega Kemala 157, 457, 621  
Fasih Fahir, mason, kolega ojca Kemala 157, 623  
Fatma, służąca 42, 55, 111, 119-120, 135, 156, 227, 330, 336-337, 355, 533-534, 622, 631, 633  
Fazila, kobieta na przyjęciu zaręczynowym 153  
Feridun, mąż Fiisun 343-345, 348, 352-553, 361, 364-365, 367-371, 376, 381-385, 389, 393, 395, 400-402, 407, 412, 418, 420, 430-433, 435^140, 445^452, 458, 462, 474-479, 481, 487^192, 501-502, 510-511, 518-519, 527, 543-550, 552, 554, 573-581, 583, 594, 596-597, 620, 622, 625-627, 629, 634, 636-637, 643, 645-648, 681, 729, 731  
Feyzan, żona pana Ciineyta 156, 624  
Figen, żona Tayfuna 323, 525, 687
- Gówniany Wąsacz 83-84  
Giiven Zatapiacz Statków, armator 185, 316, 586
- Hakan Serinkan, piosenkarz i prezynter 87, 227, 429, 741
- Halisowie, bogata rodzina z Ayvahku 155, 621  
Halit, filokartysta 151, 710  
Hanife, żona dozorczy w kamienicy Zmiłowanie 226  
Harun, przedstawiciel Siemens na Turcję 156  
Haydar, dozorca przebrany za Mikołaja 465  
Haydar, kelner 290  
Hicabi, uczestnik pogrzebu 153  
Hicri, handlarz tytoniem 359  
Hifzi, kolekcjoner pamiątek filmowych 706-707, 709, 711-712  
Hilmi Bękart, kolega Kemala 87, 94-95, 100, 316, 321, 335, 457, 583, 592, 604, 618, 678, 730  
Hiilya, dziewczynka na zaręczynach 162, 382, 385
- Ihsan Bilgin, architekt 711, 714  
Inge, modelka 50, 100, 116-117, 182-183, 220, 231, 303, 499, 662, 707  
Ipek Ismet, krawcowa 10, 118  
Igikci, rodzina 373  
Izak, księgowy 198
- Ka, postać ze *Śniegu* 736  
Kadri Kubeł, handlarz samochodami 67-68, 155, 624  
Kamil, sprzedawca lodów 561  
Kaptanoglu, rodzina 113-114  
Karahanowie, rodzina 112, 441, 585, 621  
Kazim, rzeźnik 57, 441  
Kenan, ambitny pracownik Satsat 110, 170, 180, 192, 194, 196-199, 204-205, 208, 216, 222, 231, 247, 250-251, 291-292, 334-335, 374, 499-500, 730
- Latif, wytwórca bóreków 419  
Leclera, profesor 321  
Lerzan, rodzina 112, 580, 624
- Macide, żona dozorczy Saima 156

- Marufowie, rodzina potentatów tytoniowych 157, 621
- Mehmed Ali, kelner w hotelu Hilton 196
- Mehmet, kolega Kemala 52, 92, 100, 164-167, 173-175, 179-184, 187-192, 195, 199-200, 219, 221-222, 229, 253, 272, 275-276, 294-297, 303, 307, 313-314, 335, 357, 442, 457, 485, 512-513, 525, 539, 571, 588, 591-592, 618-619, 623, 685, 687-688
- Melike, krewna 329
- Melikhan, były minister spraw zagranicznych 158, 622
- Mengerli, rodzina 587
- Mengerlich średnia córka 372
- Meral, krewna 185
- Mihriver, babcia Fiisun 15-16
- Mualla, krawcowa 118
- Muzaffer, producent filmowy 478, 488, 491, 546, 623, 731
- Mukerrem, właścicielka zabytkowego domu 397, 622
- Miimtas Basmaci, ojciec Kemala 18, 158, 197, 649, 730, 739
- Necdet Bezimienny, kolega Fiisun 206, 709
- Nesibe, matka Fiisun 13, 15-18, 170, 196, 206, 209, 235-236, 267, 305, 332, 340, 342, 344, 347, 350, 360, 363, 375, 399^402, 406-408, 415, 418^420, 422, 425^426, 430, 432, 441, 448^449, 458-461, 463^467, 481^482, 484, 486^487, 503, 505, 509, 519, 526, 529, 532, 535-538, 552, 555, 560, 564-567, 569-570, 574-575, 619, 626, 628-637, 649, 650-651, 653, 657, 659-660, 662, 665, 689-691, 696-697, 711, 714, 740
- Nesime, cioteczna babka Kemala 330
- Neslihan, żona Hilmiiego Bękart 316, 583, 730
- Nesligah, córka pana Hicriego 359
- Nevzat, fryzjer 153
- Nigan, córka Şiikru Paszy 329
- Numan Efendi, syn sułtana Abdiilhamita 611
- Nurcihan, koleżanka Sibel 10, 164, 167, 173-175, 177, 180-184, 190, 192, 195, 199-200, 219, 221-223, 229, 253, 272, 274-276, 292, 294, 296-297, 302-303, 307, 313-316, 335, 442, 455^457, 512-513, 525, 588, 591, 623, 687-688, 738
- Nurettin, sprzedawca gazet 59
- Osman Basmaci, brat Kemala 56, 71-72, 167, 180-181, 199, 203-204, 247, 250, 324-325, 329-330, 334-335, 373, 441, 458, 464, 499-500, 586, 622, 625, 649, 685, 691, 729
- Pamukowie — Aydm, Giindiiz, Orhan 153, 170, 180, 624, 717, 723, 741
- Pan Hojny, kontrahent Satsat 110
- Pan Szkaradny 83-84
- Perran, krewna 329
- Rahmi, jednoręki goniec 142, 144, 426, 509, 627
- Ramiz, ochroniarz ojca Kemala 304
- Rezzan, znajoma matki Kemala 153
- Rifki, kochanek Belkis 114, 121
- Saadet, znajoma rodziców Kemala 486
- Sabih Niedźwiedź, kolega Kemala 113, 117, 623
- Sadi, kelner 290, 318-321, 584-586
- Saffet, krewna 329
- Saim, dozorca 56, 156
- Salih Sarih, aktor 435^436, 438, 730
- Sarnim, uczestnik pogrzebu Belkis 121
- Sedirci, rodzina 124, 263, 740
- Selami, emerytowany komisarz policji 305, 653
- Selim Snob, znajomy Kemala 168, 656
- Sertap, tancerka 465

- Sevda, bratowa Mehmeda 92
- Sibel, narzeczonka Kemala 9-11, 14-15, 18, 20-21, 23-25, 27-28, 30, 32, 40-41, 50-53, 67, 74-78, 92, 96, 98, 100-102, 110, 112, 114, 116-117, 126, 132, 137, 141-142, 153-164, 167-169, 171-183, 186, 190-192, 195-196, 198-201, 204-209, 214, 218-223, 225, 227-230, 238-239, 244-245, 252-253, 255-257, 259-260, 262-264, 268, 271-273, 275-285, 287-294, 296-303, 307, 310-311, 313-324, 330, 334-338, 371, 373-374, 384, 402, 454, 456-457, 496, 500, 513, 519-520, 534, 559, 570, 588-590, 592, 611, 619, 623, 656, 687, 688, 714, 736-739
- Sidika, krewna 329
- Siyami, kolekcjoner 710
- Somtaz. Yontung, rzeźbiarz 130
- Srebrne Liście, zespół muzyczny 160, 172, 174, 178, 191, 197, 199, 457, 588, 590
- Stokrotka, aktorka 381, 511, 544-550, 574, 576-582, 584, 590-591, 623, 636, 640, 681, 706, 731
- Suhendan Yildiz, Wredna Suhendan, aktorka 435-438, 511, 729
- Sureyya, wujek Kemala 39, 50, 52, 54-55, 175, 177
- Şaziment, znajoma matki Kemala 112, 621
- Şaziye, krawcowa 118
- Şenay, właścicielka butiku 11, 13, 15, 25, 28-30, 37, 40, 86, 88-89, 101-102, 109, 121, 207, 217-218, 247, 634
- Şermin Luksusowa, stręczycielka 157, 189
- Şermin Mańkutka, krawcowa 118
- Şevket, mechanik 702, 703
- Şukran, córka Şükrü Paszy 329
- Şükrü Paşa, postać z *Domu ciszy* 329
- Tahir Tan, aktor 488^191, 511, 518, 544, 458, 550, 578, 707
- Tank, ojciec Fiisun 13, 342, 345-348, 400, 406-410, 415, 417-418, 420, 425-426, 429-431, 443-444, 448, 450, 461-465, 481-482, 486, 488-490, 496, 503, 507, 519, 526, 535, 553, 559, 564, 566-567, 569-571, 619-620, 624-625, 627-629, 634, 648, 650, 677, 694, 698-699
- Tayfun, kolega Kemala 187-190, 293-294, 316, 322-323, 335, 442, 457, 525, 547, 604, 618, 685, 687
- Tayyar, kelner 480, 687
- Turgay, przemysłowiec 88-89, 95-97, 101, 216, 229-230, 247-251, 291, 372, 499, 586, 623, 659, 690, 729
- Tiirkan, córka Şukru Paszy 329
- Vecihe Basmaci, matka Kemala 16, 31, 553, 649-650, 731, 736
- Wujek Obleśny 83-84, 696
- Wujkowie Bezwstydni 84
- Yani, operator filmowy 370, 487, 543
- YeŞim, koleżanka Sibel 50, 52, 54, 316
- Zaim, kolega Kemala 19, 41-42, 51-52, 100, 112, 116, 141, 182-184, 190, 192-195, 197, 201, 208, 216, 218, 220-223, 229, 243, 245, 272-273, 276, 296, 305, 309-315, 319, 323, 335, 373, 392, 442, 454-458, 499, 512-513, 581-586, 588-592, 602, 623-624, 685, 687, 714, 736-739
- Zarife, żona Fasiha Fakira 157, 623
- Zekeriya, krewny 329
- Zeynep, sekretarka 21, 263, 310, 516, 575, 635-636
- Zimny Suphi, filumenista 52, 711
- Ziimrut, znajoma matki Kemala 153, 200





Opracował: Miray Özkan

# WYMÓWA W JEZYKU POLSKIM NIEKTÓRYCH GŁOSEK TURECKICH

- c — czyt. cz (Cetin — Czetin)
- c — czyt. dż (Ceyda — Dżejda)
- i — czyt. y (Tank — Taryk)
- j — czyt. ż (Pe-Re-Ja — Pe-Re-Ża)
- ş — czyt. sz (Teşvikiye — Teszwikije)
- y — czyt. j (Tayfun — Tajfun)
- g — a) w otoczeniu samogłosek tylnych: a, i, o, u oznacza wydłużenie  
poprzedzającej samogłoski i ścieśnienie gardłowe (Dagdelen  
— Daadelen)  
b) w otoczeniu samogłosek przednich: e, i, ó, ii czyt. j (eger — ejer)  
— nad samogłoską a zmiękcza poprzedzającą spółgłoskę (Emirgan  
— Emirgian)
- ó — czyt. francuskie eu, niemieckie ó
- ii — czyt. francuskie u, niemieckie ii

# SPIS ROZDZIAŁÓW

1. Najszczęśliwsza chwila w moim życiu 7
2. Butik Champs Elysees 10
3. Dalecy krewni 15
4. Seks w biurze 19
5. Restauracja Foyer 22
6. Łzy Fiisun 26
7. Kamienica Zmiłowanie 33
8. Pierwsza turecka oranżada o smaku owocowym 41
9. F 43
10. Światła miasta i szczęście 50
11. Święto Ofiar 54
12. Pocałunek w usta 65
13. Miłość, śmiałość, nowoczesność 75
14. Ulice, place i mosty Stambułu 82
15. Kilka niemiłych faktów antropologicznych 91
16. Zazdrość 96
17. Odtąd moje życie jest związane z twoim 101
18. Historia Belkis 109
19. Pogrzeb 118

20. Dwa warunki Fiisun 124
21. Opowieść mojego ojca: kolczyki z perłami 129
22. Ręka pana Rahmiego 140
23. Milczenie 145
24. Zaręczyny 151
25. Udręka oczekiwania 209
26. Anatomiczne umiejscowienie miłosnego bólu 213
27. Nie przechylaj się, bo spadniesz 220
28. Pocieszając się przedmiotami 225
29. Nie było minuty, bym o niej nie myślał 230
30. Nie ma Fiisun 234
31. Ulice, które mi o niej przypominały 238
32. Widma Fiisun 241
33. Pospolite rozrywki 246
34. Jak Łajka w kosmosie 252
35. Zaczątek mojej kolekcji 258
36. W poszukiwaniu nadziei na ukojenie 262
37. Puste mieszkanie 268
38. Przyjęcie na pożegnanie lata 271
39. Wyznanie 277
40. Pocieszenie w willi nad Bosforem 283
41. Pływanie stylem grzbietowym 286
42. Jesienny smutek 289
43. Chłodny i samotny listopad 298
44. Hotel Fatih 304
45. Ferie w Ulu dag 312
46. Czy to normalne zostawić na lodzie narzeczoną? 316
47. Śmierć ojca 324
48. Najważniejsze w życiu to być szczęśliwym 334
49. Zamierzałem się oświadczyć 340
50. To moje ostatnie z nią spotkanie 354
51. Szczęście to po prostu być blisko ukochanej osoby 366
52. Film o życiu i cierpieniu musi być szczery 376
53. Złamane serce i dąsy na nic się zdadzą 390

54. Czas	403
55. Przyjdź jutro, posiedzimy sobie razem	414
56. Wytwórnia filmowa „Cytrynka” SA	429
57. Nie móc wstać i wyjść	440
58. Loteryjka	454
59. Potyczki z cenzurą	470
60. Wieczory w restauracji Idylla nad Bosforem	480
61. Patrzyć	491
62. Dla zabicia czasu	499
63. Rubryka „Życie towarzyskie”	510
64. Pożar na Bosforze	522
65. Psy	531
66. Co to jest, kolego?	538
67. Woda kolońska	543
68. Cztery tysiące dwieście trzynaście niedopałków	557
69. Czasami	564
70. <i>Ziamane życia</i>	573
71. Nie przychodzi pan już do nas, panie Kemalu	581
72. Życie jest takie samo jak miłość	593
73. Prawo jazdy Fiisun	600
74. Wujek Tank	620
75. Cukiernia Perełka	635
76. Kina w Beyoglu	645
77. Hotel Grand Semiramis	658
78. Letni deszcz	669
79. Podróż do innego świata	676
80. Po wypadku	685
81. Muzeum Niewinności	692
82. Kolekcjonerzy	705
83. Szczęście	716
Indeks osób (według autora)	743
Wymowa w języku polskim niektórych głosek tureckich	748